



HELENE URI

WIEDŹMY

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ SKANDYNAWSKA

LITERATURA
PÓŁNOCY

autorka: HELENE URI
tytuł oryginalny: KJERRINGER
tytuł serii: LITERATURA PÓLNOCY
przełożyła z języka norweskiego: Anna Marciniakówna
copyright © Gyldendal Norsk Forlag AS 2011
(All rights reserved)
copyright for this edition © by Pi, Warszawa 2014
copyright for the Polish translation © by Anna Marciniakówna, 2013

Wydawnictwo Pi
ul. Rakowiecka 34/36
02-532 Warszawa

kontakt@wydawnictwopi.pl

www.wydawnictwopi.pl

redakcja: Grzegorz Godlewski

redaktor serii: Anna Marciniakówna

projekt okładki i serii: Artur Gosiewski, www.signature.pl

fotografia na okładce: © AMV Photo/Digital Vision/Getty Images

This translation has been published
with the financial support of NORLA

ISBN 978-83-7836-401-6

o serii znajdziesz więcej na:

www.literaturapolnocy.pl

facebook.com/literaturapolnocy 



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Wiedzmy

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

PROLOGUS czyli Wstęp

LECTIO I – IN MEDIAS RES czyli Wykład pierwszy: Do rzeczy

LECTIO II – NUNC EST BIBENDUM czyli Wykład drugi: A teraz wypijmy

LECTIO III – MEMENTO MORI czyli Wykład trzeci: Pamiętaj o śmierci

LECTIO IV – PIA DESIDERIA. PIA FRAUS czyli Wykład czwarty: Pobożne życzenia, pobożna zdrada

LECTIO V – SUI AMANS, SINE RIVALI czyli Wykład piąty: Kto kocha siebie, nie ma rywali

LECTIO VI – NATURALIA NON SUNT TURPIA czyli Wykład szósty: To, co przyrodzone, nie przynosi wstydu

LECTIO VII – VICTORIA CONCORDIA CRESCIT czyli Wykład siódmy: Wspólnota daje zwycięstwo

LECTIO VIII – AD ARMA czyli Wykład ósmy: Do broni!

LECTIO IX – TERRA INCOGNITA czyli Wykład dziewiąty: Ziemia nieznaną

LECTIO X – CLAVAM EXORQUERE HERCULI czyli Wykład dziesiąty: Wyrwać Herkulesowi maczugę

LECTIO XI – CAUSA BELLI czyli Wykład jedenasty: Przyczyna wojny

LECTIO XII – CONSUMMATUM EST czyli Wykład dwunasty: Dopełniło się

EPILOGUS czyli Epilog

Od redaktor serii

W serii
Tylka okładka

Hae feminae vincent mares
(*Takie kobiety zwyciężą mężczyzn*)

PROLOGUS

czyli *Wstęp*

Wewnętrzna strona powiek ma przyjemną ciemnoczerwoną barwę i przez parę sekund mężczyzna może sobie wyobrazać, że śpi. Wie jednak aż nazbyt dobrze, że nie znajduje się w domu, we własnym łóżku. Leży na ziemi. Oślizgłe jesienne liście lepią się do nagiego krzyża w miejscu, gdzie koszula zadarła się w górę i do tej części pośladków, z której zsunęły się spodnie. Lewa nogawka spoczywa niczym pusty kokon. Nogi rozrzucone, jedna daleko od drugiej, obnażone przyrodzenie marznie w wilgotnym, wieczornym powietrzu. Ziemia pod nim jest zimna, uda zmoczone jego własną uryną. Czuje ból w głowie, rękach i nogach. Nad nim stoją cztery kobiety w długich aksamitnych pelerynach. Najwyższa z nich unosi właśnie prawą rękę, w której trzyma błyszczące nożyczki. Krztusi się ze śmiechu. Gdzie to się dzieje? Kim są te kobiety? Mężczyzna rozpaczliwie przeszukuje archiwa swojej pamięci, ale niczego tam nie znajduje. Chociaż, może w tamtej ciemnowłosej dostrzeżę coś znajomego? Najwyższa kobieta, blondynka, pochyla się nad nim. Przez sekundę wpatruje się w jego twarz. Uśmiecha się niczym anioł. Czy to wariatka? Osoba psychicznie chora? On znowu zaciska powieki, ale teraz nie potrafi już wyobrazić sobie, że śpi. Próbuje się skulić, odwrócić, zewrzeć nogi, ale nie jest w stanie się poruszyć. Kobiety powbiły w ziemię kołki i przywiązały go mocno. Leży rozciągnięty na kształt krzyża. Między udami wyczuwa jakiś ostry metalowy przedmiot, ponownie dociera do niego ten perlisty, hałaśliwy śmiech, potem robi się jeszcze ciemniej i znowu może sobie wyobrazić, że leży w łóżku we własnym domu. Jenna, ubrana w tę długą czarną pelerynę, w półmroku wygląda niczym posąg wykuty w granicie. Wysoka i silna, twarda, niedostępna i pewna siebie. Kiedy jednak Celeste ściągnęła mężczyźnie spodnie, Jenna musiała

zwymiotować, a potem przełknąć kwaśne, nie do końca strawione resztki jabłkowego wina. Dopiero kiedy wyplątywała nożyczki z jasnożółtej apaszki w małe różowe cytrynki, poczuła to, co od początku przewidywała: że będzie wściekła. I nadal jest. Wściekła i przestraszona.

To, co w niej narasta, kiedy odsuwa kciuk od pozostałych czterech palców i rozwiera ciężkie nożyczki, różni się od wszystkiego, czego tymczasem doświadczyła, i to ją przeraża. Waha się przez moment, zanim przytknie metal do ciała mężczyzny. Potem unosi wzrok i spojrzenia czterech kobiet krzyżują się w pustej przestrzeni nad leżącą ofiarą. Oczy jej koleżanek są żółte, żółte z czarnymi źrenicami o elipsowatych kształtach. Czy jej oczy też tak wyglądają? Nie wie. Zaciska nożyczki.

LECTIO I – IN MEDIAS RES

czyli *Wykład pierwszy:* *Do rzeczy*

Celeste z podkurczonymi nogami siedziała na mężczyźnie, który z kolei leżał na jadalnym stole. W tej samej sekundzie, w której akt dobiegł końca, Celeste wyprostowała szczupłe ciało, splotła ręce na plecach, westchnęła jak po udanej ciężkiej pracy i zaczęła mówić, co będzie robić wieczorem.

– Wyrzucasz mnie już? – spytał kochanek.

Celeste miała teraz romans z przystojnym dentystą.

– Tak – odparła, odsunęła się od niego i zeskoczyła ze stołu. Stała chwilę obok i bawiła się w zamyśleniu jego zwiotczałym członkiem, z uśmiechem patrząc przed siebie.

– A czy nie można by dostać niewielkiego drinka, zanim człowiek zostanie wyrzucony w jesienny mrok? – spytał dentysta, siadając i spoglądając na nią spod oka. Jeśli pominąć biodra, co akurat dla niego byłoby trudne, uważał bowiem, że są niezwykle udane, to chyba najbardziej fascynowała go jej skóra. Gładka i po prostu biała, bez jakichkolwiek plam czy innych niedoskonałości. Prawa ręka kobiety nadal spoczywała między jego udami.

– Dzisiaj niczego już stamtąd nie wyciśniesz – westchnął dentysta.

Celeste uśmiechnęła się i cofnęła rękę, podeszła do tacy z karafkami i butelkami. Nie miała na sobie nic prócz biustonosza, wyjątkowo ładnego biustonosza z mnóstwem koronek. Kiedy kochali się po raz pierwszy, dentysta próbował go zdjąć, ale ona z uśmiechem się uchyliła. A czy gwiazdkowe prezenty też rozpakowujesz wszystkie na raz, spytała. Bądź cierpliwy. Dzisiaj na próbę chciał zsunąć jedno z ramiączek, ale Celeste z uśmiechem obiecała, że następnym razem, kiedy...

– Koniak? – spytała, lekko odwracając głowę.

– Przecież wiesz, że ja zawsze pijam whisky – odparł dentysta. Spojrzał na nią trochę z urazą, trochę z podziwem.

– Niełatwo jest was od siebie odróżnić – skwitowała Celeste żartobliwie. Sięgnęła po kryształową szklankę i nalała mu whisky.

Nie, to nie skóra, ani też biodra, myślał dentysta. To ten jej suwerenny sposób bycia. Celeste sprawiała wrażenie bardzo niezależnej i bardzo z siebie zadowolonej. Idzie przez życie lekko, zbierając dary, które po drodze napotyka, na pozór niczego nie traktując poważnie. To czyni ją piękną, dodaje jej urody. Dentysta uśmiechnął się i pomyślał, że zna ją bardzo dobrze. Tych kilka dotychczasowych spotkań z Celeste bardzo ich do siebie zbliżyło. Tu jednak, niestety, dentysta popełniał zasadniczy błąd. Otóż on wcale Celeste nie zna. Nie potrafi odczytywać jej zachowań – w ogóle słabo rozumie kobiety i zresztą z tego powodu jego żona od wielu lat cierpi – Celeste zaś potrafi świetnie grać. Pod pewnym względem miał jednak rację: bo to, co zaobserwował, było dobrym opisem Celeste, jaką była jakieś osiem miesięcy temu. Masz piękną twarz i nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie boli to, że muszę zniszczyć coś tak doskonałego. Ale chyba rozumiesz, że muszę. Nigdy nie powinnaś była tego robić, Celeste.

Zaproponował, że ją podwiezie, Celeste jednak odparła, że woli pojechać swoim samochodem. Tak naprawdę żadnego samochodu nie ma, ale akurat teraz chciała pozbyć się dentysty jak najprędzej. No i na szczęście on szybko odjechał swoim solidnym Volvo. Kiedy jego maszyna zniknęła za rogami, w głowie Celeste pojawiły się dwie myśli: Zastanawiam się, jaka jest jego żona, i zastanawiam się, czy mam dalej ciągnąć te spotkania z nim, czy może pora zmienić pastwisko, poszukać nowej zielonej łąki i poskubać świeżej trawki. Na tym skończyła rozmyślenia o dentyście. W końcu zawsze ma Bjørna. Dającego poczucie bezpieczeństwa, przewidywalnego Bjørna.

W dole brzucha pojawił się delikatny skurcz pożądania na myśl o jego solidnej klatce piersiowej i cudownie zwinnych rękach. Bjørn to

kombinacja sprawności i energii, a takie właśnie cechy bardzo pociągają Celeste, to zresztą głównie dzięki nim Bjørn stał się zdolnym i znanym dziennikarzem.

Ale Bjørn również szybko opuścił jej myśli, a ją znowu ogarnął strach, napełnił całą, tonęły w nim wszelkie pragnienia, które dopiero co odczuwała. Nie myśleć o tym, nie myśleć. Nie pozwól, by ta sprawa kierowała twoim życiem. Nie pozwól draniowi wygrać. Zapomnij o tym.

Później wieczorem odwiedzi Sebastiana, swojego ukochanego Sebbe.

Odwróciła się, by sprawdzić, czy nie mignie jej za firankami swojego mieszkania. Może stać tam godzinami i wyglądać na dwór. Dzisiaj jednak Sebbe jej nie pomachał, nikt nie wystukiwał w szybę rytmu piosenek ABBY. Ona mimo wszystko pomachała, zdarzało się przecież, że Sebbe siedzi z brodą opartą o parapet i bawi się ze światem w chowanego, jak sam to określa. No, ale czas ruszać w drogę, zwłaszcza że zamierzała też wstąpić do biura. Pomachała jeszcze raz, poczuła, że palce sztywnieją jej z zimna. Znowu zapomniała o rękawiczkach.

Zaczęła się rozglądać za taksówką i jakby na zamówienie pojawił się wolny samochód. Ponownie dopisało jej szczęście, które tylekroć wpływało na życie Celeste. Kierowca wyskoczył i z galanterią otworzył drzwi. Przez ułamek sekundy była pewna, że to on. Te same ciemne włosy, tak samo wyprostowane ramiona. Poczowała, że drętwieje, że ręce zaczynają drżeć, ale zaraz stwierdziła, że to oczywiście nie ten człowiek, tylko zwyczajny, uprzejmy taksówkarz.

– Cześć, piękna – przywitał ją. – Po prostu wskakuj.

Nie można pozwolić, żeby tamten przejął władzę. Nie myśleć, nie myśleć! Skupiać się na czymś pozytywnym.

Marzła, ale była całkowicie rozluźniona, zaspokojona. Dentysta? Nie, nie była w stanie nim się zajmować, Sebbe zresztą też nie. Nawet tego blasku w oczach Sebbe, kiedy Celeste przychodzi z wizytą, nie chciała wspominać.

Umościła się na tylnym siedzeniu i podała adres. Mogłaby zacząć

myśleć o kursie. Była podekscytowana, cieszyła się. Początek zajęć o siódmej. Liczyła się z tym, że przyjdzie za późno. Zawsze się spóźnia. Tak jest od pierwszej sekundy, zwykła mawiać, gdy podejmowano ten temat. Najchętniej w chwilach, gdy zdyszana i zaczerwieniona, przybiegała po czasie na umówione spotkanie. I naprawdę mam na myśli pierwszą sekundę, po czym zaczynała opowiadać historię swoich narodzin, a robiła to tak, że ludzie zapominali, iż się spóźniła. Nabierali za to przekonania, że Celeste Ringstad to naprawdę czarująca kobieta. Niewielu potrafiło oprzeć się urokowi Celeste, jeśli tylko się postarała. Już miała zapytać kierowcę o godzinę, ale właśnie wtedy zauważyła elektroniczny zegar na desce rozdzielczej i szybko obliczyła, że aż tak bardzo się nie spóźni. Wkrótce dotrze do biura, wpadnie tam tylko na chwilkę, chwyci papiery, które musi przeczytać do jutra (zaciskała kciuki, żeby Napalonego Karla dzisiaj już nie było). Potem wróci do taksówki! Żadnego Karla Hebberna. Wszystko w porządku!

Kierowca włączył jakiś arabski kawałek, Celeste wyjrzała przez okno i ucieszyła się. Wyjeżdżali już z centrum, na ulicach prawie nie było ludzi. Minęli jakąś starszą panią, która wyszła na spacer z psem, oboje w takich samych odblaskowych kamizelkach. Na jakimś placyku z widokiem na panoramę miasta kilka ptaków grzebało w koszu na śmieci. Przymknęła oczy, oparła się i pogwizdywała fałszywie w takt muzyki. Taksówkarz uśmiechnął się do niej we wstecznym lusterku. Celeste odpowiedziała tym samym.

*

Z tyłu za nią trąbiono z irytacją. Samochód Jenny Hilmarsen trzeszczał w spojeniach i już miał wydać z siebie łabędzi śpiew, gdy w jakiś cudowny sposób został uratowany, a jego życie uległo przedłużeniu – do następnego zderzenia. Ojciec jej córki ma długi firmowy samochód, który jeśli stoi obok małego samochodziku Jenny, zawsze wygląda wyniośle.

– Czy ty nie widzisz, że on po prostu wyśmiewa się pogardliwie

z mojego samochodu? – spytała Jenna któregoś dnia.

– Nie – odpowiedział ów, który jest ojcem córki Jenny. Bowiem, jeśli chodzi o ścisłość, to Julia jest nie tylko córką Jenny, ale również tego mężczyzny, choć tak łatwo o tym zapomnieć. I często zapominają. Wszyscy troje. Ojciec córki Jenny zarabia mnóstwo pieniędzy, sprzedając witaminowe żyrafy i witaminowe słonie – kolorowe żelkowe zwierzęta naszprycowane witaminami C, D i E, kupowane przez rodziców dręczonych wyrzutami sumienia, którzy są przekonani, że muszą je dawać swoim zaniedbywanym dzieciom. A chciwy nigdy nie był. Jenna jest właścicielką małej firmy komputerowej i ma ambicję grać z sukcesem na giełdzie. Na razie ani jedno, ani drugie nie idzie zbyt dobrze. Nie zbiła jeszcze fortuny. Poza tym Jenna ma potrzebę ekonomicznej niezależności także w przypadkach, kiedy wcale nie powinno tak być; prowadzi to do sytuacji, że Jennę i Julię czasami stać na wiele, ale zdarzyło się, że na przykład przez kilka miesięcy musiały się obywać bez pralki, bo stara się zepsuła. Kiedy jednak w końcu kupiły nową, to matka wybrała model ze wszystkimi bajerami świata i wszelkimi możliwymi programami. Jenna lubi wymyślne żelazka, małe, przenośne komputery, elektroniczne kalendarze. Zna wszystkie możliwości telefonu komórkowego, zbadła dokładnie odtwarzacz DVD, nigdy nie ma wątpliwości, jak należy ustawiać nagrywanie czy wyregulować szerokość ekranu telewizora. Gromadzi promocyjne gazetki sklepów ze sprzętem elektronicznym. Uwielbia czytać instrukcje obsługi. Jako dziecko wolała puzzle i klocki lego od lalek. Zanim zaczęła chodzić do szkoły, wypisywała długie szeregi liczb. Początkowo bawiło ją dodawanie rzędów cyfr (1,3,5,7,9,11 lub 1,5,9,13,17,21), później przeszła do bardziej zaawansowanych zadań, w których najpierw dodawała, a potem mnożyła. Liczby i logika zawsze ją pociągały, w pierwszej klasie bez trudności wymieniała wszystkie liczby pierwsze aż do 113. Matka Jenny – Johanna – patrzyła na to z podziwem, ale nie komentowała. Na gwiazdkę, kiedy Jenna miała osiem lat, podarowała jej książkę o numerologii, pewnie w nadziei, że skłonność

Jenny do liczb można wykorzystać do czegoś pożytecznego. Johanna nie martwiła się o córkę. Jenna przeczytała już wiele książek o czarach i najwyraźniej ten temat ją także pociągał.

Kiedy miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat, nagle, z miesiąca na miesiąc, ceny Commodore 64 spadły niemal o połowę. Radość, jaką odczuwała, siadając po raz pierwszy przed własnym komputerem, była nieporównywalna z niczym. Podobną radość odczuła kilka lat później, kiedy złożono w jej ramionach maleńką Julię.

Pieniędźmi nigdy się nie martwiła. Nigdy nie pojęła, na czym polega potrzeba posiadania drogich ubrań. Krzesła i kanapy są po to, by na nich siedzieć. Karton czerwonego wina i zwyczajne norweskie jedzenie są więcej niż dobre. A włosy ma się tak samo czyste, kiedy je umyć w szamponie kupionym w supermarkecie (trochę jeszcze w butelce zostało, bo wystarcza na niewiarygodnie długo), odpowiadała zawsze Jenna, kiedy fryzjer próbował wylewać jej na głowę całe baterie szamponów, balsamów, wmasowywać woski i żele. A w momencie, kiedy rzeczywiście potrzebowała pieniędzy, gdy sprawy miały się naprawdę źle, zawsze znajdowało się jakieś wyjście. Często do akcji wkraczała Johanna, jej ukochana matka. Mieszkają w tym samym domu, wszystkie trzy, a u Johanny w lodówce zawsze znajduje się coś smacznego.

Trwa to do tej pory, chociaż ostatnio ze strony Johanny nie ma wielkiej pomocy. W jej lodówce w ubiegłym tygodniu Jenna znalazła zapakowane w reklamówkę drewniane łyżki, plastikowe łopatki, wałek do ciasta, sitko i wyciskacz do czosnku. Tak, zawsze się układało. A to obie z Julią zostały zaproszone gdzieś na obiad, a to na wakacje do dalszych krewnych. Parokrotnie zdołała nawet sprzedać akcje z zyskiem, dokładnie w najlepszym momencie. Jeśli jednak pomoc znikąd nie nadchodziła, one zaś miały już dość naleśników i zupy pomidorowej z torebki, gdy nie wiadomo było, co zrobić z coraz większą górą brudów, Jenna przyjmowała „pożyczkę” od ojca Julii. Jego chroniczny brak czasu dla córki sprawiał, że chętnie, w ramach rekompensaty, dawał Jennie sumy, o które prosiła.

„Wszystko się ułoży” – to może nie jest świadomie wybrane credo Jenny, ale takie ma ona w każdym razie życiowe doświadczenie.

Jenna dosłownie wychowywała się w butiku matki: „U Johanny – sztuki magiczne i rzemiosło artystyczne”. Sklep znajdował się na rogu budynku przy Telthusbakken. Na jego tyłach był dodatkowy widny pokój, w którym Johanna ustawiła najpierw dwa, a potem trzy łóżka, żeby trzy pokolenia pań Hilmarsen mogły tu nocować, jeśli zechcą. Stały w nim sztalugi i warsztat tkacki.

Julia od dzieciństwa kochała sklep babci, Jenna natomiast czuła się nim, prawdę mówiąc, trochę zmęczona, choć nadal czasem lubiła tu pobyc. W lokalu sklepowym były okna o małych szybkach i podłoga z szerokich, zniszczonych desek. W tylnej części, z belki pod sufitem, zwieszało się krzesło na grubym, podzwaniającym łańcuchu. W ogóle roiło się tam od aniołów, elfów i smoków, zamocowanych u sufitu na przezroczystych sznureczkach. Klienci wyższego wzrostu musieli pochylać głowy, by nie zderzać się z istotami nie z tego świata. Zimą sklep był ogrzewany przez stary czarny piec z huty Gjøvik, latem natomiast ciężka mosiężna żaba podtrzymywała otwarte na całą szerokość drzwi. Jedną ścianę Johanna wypełniła niemal całkowicie włóczką we wszystkich kolorach tęczy, na podłodze pod nią stały kosze z szydełkowymi czapkami, robionymi na drutach szalami i rękawicami. Na ścianie naprzeciwko największego okna wisiały obrazy i makatki tkane we wzory. Nad ladą powieszono ogromny, oprawiony w ramę plakat, przedstawiający znaki zodiaku. Duża półka pełna była książek o czarach, magii, aniołach, naturalnych barwnikach, zdrowym jedzeniu i ekologicznych winach; na samym szczycie kołysał się tuzin malowanych strusich jaj. W zimie Johanna częstowała klientów piekielnie gorącą ziołową herbatą, a latem podawała sok własnej roboty.

Po urodzeniu Julii sprawy ułożyły się tak, że mała niemal tyle samo czasu spędzała z babcią w sklepie, co w domu z mamą. Jenna bowiem wtedy właśnie rozkręcała swoją firmę komputerową o nazwie Błękitna Gwiazda (z pięcioramienną niebieską gwiazdą jako logo). I choć nic w jej

życiu nie mogło konkurować z Julią, Jenna była ze swojej nowo otwartej firmy niebywale dumna.

Przez wiele lat pomagała matce w sklepie, pracowała też w przedszkolu. Czas mijał, a ona nie pomyślała o jakimś wykształceniu. Była zadowolona z tego, co ma, zresztą za co właściwie miałyby się wziąć? Może za nauczanie początkowe, może zostać bibliotekarką. Nie, Jenna po prostu nie potrafiła na nic się zdecydować. Kiedy jednak była w ciąży z Julią i nie miała już siły na pracę w przedszkolu czy na stanie za ladą sklepu matki, nagle nabrała pewności: chce założyć firmę komputerową. A jak już raz taka decyzja zapadła, Jenna zaczęła pracować systematycznie i z entuzjazmem, a także z coraz bardziej rosnącym brzuchem, pobudzana przez hormony i dążenie do wytęsknionego celu. Julia przyszła na świat w pewną jasną lipcową noc, Błękitna Gwiazda narodziła się parę tygodni wcześniej.

Przez pierwsze miesiące Jenna sypiała niewiele. Chciała możliwie jak najwięcej przebywać z Julią, a równocześnie naprawdę marzyła o tym, by rozkręcać firmę. I wtedy właśnie na scenę wkroczyła Johanna. Możesz zostawiać u mnie Julię, na jak długo chcesz, powiedziała. Musisz też dbać o siebie. I tak doszło do tego, że Julia, odkąd skończyła dwa miesiące, dzieliła swój czas między Johannę i Jennę. Jenna karmiła ją piersią, śpiewała i nosiła przytuloną do siebie. Johanna też śpiewała, też nosiła przytuloną wnuczkę i szeptem opowiadała o trollach, wiedźmach, huldrach i upiorach. Jenna sypiała z Julią w łóżku. Johanna zrobiła na drutach maleńki sweterek z białej wełny z niebieską gwiazdą z przodu.

Julia leżała w wózku na plecach i wpatrywała się w to, co się nad nią poruszało i mieniło. Johanna nosiła ją w afrykańskiej chuście przewiązanej przez ramię. Dziewczynka wyciągała rączki i próbowała chwycić światło odbijające się od kryształów. W późniejszych zabawach wyobrażała sobie, że babcia jest koniem, babcia zaś rżała i galopowała po chodniku przed sklepem. Dziewczynka dorastała w zapachu kadzideł, była życzliwie głaskana po głowie przez dłonie ozdobione ogromnymi

pierścionkami i podzwaniającymi bransoletkami. Czytać uczyła się z książek astrologicznych, „wodnik” to było pierwsze słowo, jakie poznała. Och, jakie były dumne wszystkie trzy! Wielkie Ja, Średnie Ja i Małe Ja.

Jenna widywała swoją matkę niemal codziennie. I może to jest właśnie to? Że widuje ją zbyt często. Tak często, że właściwie jej nie widzi. Bo któregoś dnia przed paroma miesiącami Jenna zauważyła, że matka dziwnie zmaląła. A kiedy już raz zwróciła na to uwagę, zaczęło jej się wydawać, że matka przy każdym spotkaniu jest mniejsza. Johanna zawsze była taką wysoką i silną kobietą, Jenna odziedziczyła po niej zarówno wzrost, jak i energię, bo przecież nie po tym swoim chudym, bezsilnym ojcu. Teraz jednak Johanna coraz bardziej zapadała się w siebie, zapadała i malała, a równocześnie mięśnie jej wiotczały i opuszczały ją siły życiowe. Język, którym się posługiwała, też stopniowo ulegał zmianie. Zaczęła wstawiać różne słowa w zdania nie tam, gdzie trzeba, mówiła głównie o mało znaczących i nieważnych sprawach.

Julia zauważyła to samo, bo zanim Jenna zaczęła z nią poważanie rozmawiać o babci, któregoś dnia spytała:

– Czy babcia teraz staje się naprawdę starą panią?

Jenna westchnęła.

– Tego nie wiem.

To prawda, że Johanna utraciła swój przenikliwy intelekt i ostry język. Zajmowały ją rzeczy, z których dawniej by się śmiała i nazywała drobiazgami bez znaczenia (na przykład to, że jej pomoc domowa przychodzi każdego dnia o innej porze, albo że w sklepie nie można dostać takiego pasztetu, do jakiego przywykła, czy że opłaty telefoniczne wciąż rosną). Teraz ciągle o tym mówi, ubarwia swoje opowieści, powtarza te same szczegóły. Zainteresowanie sprawami społecznymi, literaturą, Julią, całkiem zniknęło lub skurczyło się do minimum. Coś tam wprawdzie jeszcze zostało, ale przejawiało się w nieoczekiwany sposób: Johanna zawsze miała skłonność do dziwnych pomysłów i Jenna cieszyła się z nią, kiedy matka któregoś dnia we wszystkich garnkach posadziła pelargonie,

namówiła ją nawet, by ostatnią posadzić w wazie do zupy, chciała bowiem, by został choć jeden garnek do gotowania ziemniaków (Jenna, nic nie rozumiem, chciałam właśnie nastawić ziemniaki, ale ktoś zabrał mi wszystkie garnki i rondle!).

Córka podziękowała pięknie, kiedy Johanna, po wielu dniach spędzonych przy maszynie do szycia, z uroczystą miną przekazała jej cztery czarne niczym noc aksamitne peleryny. Jedną uszyła trochę krótszą, za to szerszą, oświadczyła Johanna rozpromieniona, a Jenna przytakiwała, podziękowała raz jeszcze i po kryjomu upchnęła peleryny w szafie, w której obie z Julią przechowywały sprzęt narciarski. Przestraszyła się jednak nie na żarty, kiedy pewnego dnia Johanna pozapalała wszystkie stearynowe świece, które znalazła w mieszkaniu. Wykorzystała wszystkie świeczniki, mniejsze świece powstawiała do filiżanek, do szklanek i kieliszków, a niektóre ustawiła wprost na blacie stołu. Uśmiechała się radośnie i ze zrozumieniem kiwała głową, kiedy Jenna gasiła te stojące za blisko firanek.

Był niezwykle zimny, jesienny dzień i w samochodzie panował dokładnie taki sam ziąb jak na zewnątrz. Jenna włączyła ogrzewanie fotela kierowcy, ale wiedziała, że dotrze na miejsce, zanim poczuje ciepło. Zaczynają o siódmej. Próbowwała odsunąć rękaw płaszcza, by zobaczyć, która teraz może być godzina, ale musiałyby za bardzo przesunąć kierownicę w lewo, więc zrezygnowała. Samochód podskoczył. Ogrzewanie nie działało jak trzeba od miesięcy i przednią szybę pokrywała teraz gęsta para. Znowu ktoś za nią zatrąbił. Wyraz nadmiaru testosteronu, uznała. Bo przed sobą widziała gąszcz wolno poruszających się czerwonych świateł. Pozbawione konturów płomienne słoneczka, akwarela namalowana na zbyt mokrym papierze. Próbowwała wprawna ręką przetrzeć szybę przynajmniej w polu widzenia. Pomogło. Ale została jeszcze spora zamglona przestrzeń. Kolejka ciągnęła się wolno przez centrum. Dobrze, że Jenna tym razem się nie spieszy. Nienawidziła prowadzenia samochodu, a teraz jeszcze pojawiają się te uderzenia gorąca.

Właśnie w tej chwili musiała wepchnąć jedną rękę do ust, żeby ściągnąć zębami rękawiczkę, potem powtórzyła ten sam zabieg z drugą ręką, rozluźniła też szalik. Odkąd skończyła trzynaście lat, zmagająca się z udrękami menstruacyjnymi w postaci kurczów i bólów krzyża. Ucieszyła się, kiedy stwierdziła, że ma to już za sobą, ale tylko po to, by natychmiast odkryć, że plaga zostanie zastąpiona trudnymi do przewidzenia napadami potów, uderzeniami gorąca i falami mdłości. Kiedy jednak zdała sobie z tego sprawę, Jenna była przede wszystkim zafascynowana swoim ciałem. Ciągłe w nim coś tyka i chodzi, przez blisko cztery dziesięciolecia pracowicie produkuje jajeczka. Kiedy była w ciąży z Julią, ciało sprostało zadaniu i dbało o korzystne warunki dla płodu. Karmiło go i sprawiało, że Julia rosła i rozwijała się. W odpowiednim czasie płód dojrzał i wtedy ciało Jenny ułożyło się tak, by mała mogła wydostać się na zewnątrz. Potem natychmiast zaczęło produkować sterylne mleko o odpowiedniej temperaturze. Ciało kobiety jest jak maszyna, a raczej jak kompleks maszyn, w którym wszystko znajduje się dokładnie na swoim miejscu, wszystko jest starannie przetestowane i przemyślane, a każdy mięsień i gruczoł ma do wypełnienia własną misję. Działa niczym werk zegarka, jakby kierował nim wmontowany w środku komputer. Tylko o wiele lepiej. Gdyby nie to przekłete gorąco, poty, przyspieszone bicie serca, nie byłoby to może takie głupie.

W końcu znalazła się na wzgórzach w pobliżu Ekeberg. Zaczęła nucić coś skoczego. Nie umiałyby powiedzieć, co to za muzyka. Chyba musiała słyszeć ją kiedyś w radiu. W każdym razie melodia jej się podobała. Gdyby Jenna była zainteresowana muzyką klasyczną i w dodatku znała nazwiska osiemnastowiecznych kompozytorów i klasyków wiedeńskich, wiedziałyby, że to koncert Haydna na trąbkę w tonacji s-dur. I wtedy zobaczyła ptaki: cztery wrony siedzące na pokrywie pojemnika na śmieci. Widziała je wyraźnie, choć szyby wciąż miała zaparowane. Uśmiechnęła się. No to w końcu są! Dokładnie takie, jak je sobie zawsze wyobrażała. Wrzuciła trzeci bieg i nuciła dalej.

*

Samochód Frøydis Brun podążał tuż za samochodem Jenny, ona jednak minęła wrony, nie zwróciwszy na nie uwagi. Jeden z ptaków właśnie rozpostarł skrzydła i poderwał się ze śmietnika.

Frøydis prowadziła solidny niemiecki samochód. Czasu miała pod dostatkiem. Ale spóźnianie się nie leży w jej naturze. Z drugiej strony nie jest też typem kobiety, która wpada zdenerwowana na lotnisko na trzy godziny przed odlotem. Nie lubi trwonić czasu. Wszyscy mamy na tej ziemi do dyspozycji jedynie określoną liczbę minut. I Frøydis chciała wykorzystać każdą z nich w możliwie rozsądny sposób. Planowała starannie i zawsze przychodziła dokładnie kiedy trzeba. W świeżo wyprasowanym ubraniu, zadbana, przygotowana.

Ten wieczorowy kurs języka dostała w prezencie od Andersa. Spoglądała na niego pytająco, może nawet uniosła jedną brew w sposób wskazujący, że jej zdaniem prezent nie jest szczególnie trafiony.

– Jeden wieczór przez dwanaście tygodni – powiedział Anders. – Zasługujesz na to.

Lewa brew Frøydis uniosła się jeszcze o milimetr, kiedy mówił „zasługujesz na to” bez cienia ironii.

– Tak właśnie uważam – potwierdził Anders. – Kiedy wrócisz, będę czekał z kolacją. Ugotowaną w domu i pyszną. Słowo honoru! Nie żadne coq au vin, dodał.

To zrobiło wrażenie. Perspektywa posiłku z Andersem tuż po kursie; lubiła, kiedy on żartuje z jej pasji do jedzenia. W dodatku zapamiętał, że jedyne, czego Frøydis naprawdę nie znosi, to coq au vin. Kolacja po każdym zajęciach to niezły interes. Miała tylko nadzieję, że Anders potrafi dotrzymać słowa. Bo nie zawsze robi wszystko, co obiecał.

– Za każdym razem? – upewniła się, jej głos brzmiał surowo i chciałaby, żeby on jeszcze ją przekonywał. Po raz pierwszy w życiu Frøydis miała mężczyznę, mężczyznę, którego dosłownie owinęła sobie wokół małego palca.

– Za każdym jednym razem – zapewnił Anders pokornie.

Brwi Frøydis wróciły na miejsce, a ona nie mogła dłużej powstrzymać uśmiechu.

– No dobrze – powiedziała, bez uprzedzenia położyła dłonie na jego piersi i popchnęła go na kanapę, sama opadła na niego i zaczęła całować po brodzie.

– Mówiłeś mi już, że mnie kochasz? – szeptała z nosem wsuniętym w jego podbródek.

Anders pachniał przyjemnie, ale skórę miał szorstką niczym papier ścierny.

– Nie – odparł również szeptem. – A przynajmniej minęło już od tamtej pory kilka minut. Uważasz, że powinienem znowu to zrobić? Objął ją, całował po miękkich policzkach, okrągłych niczym gumowe baloniki. Frøydis nie odpowiadała, ale, choć to może dziwne, wierzyła mu. Przed Andersem żaden mężczyzna nigdy jej czegoś takiego nie mówił.

Teraz siedzi w samochodzie i jedzie po ten prezent. I, niestety, zaczyna żałować. Dlaczego się zgodziłam, skoro mogłam zostać w domu z Andersem, przytulać się do niego i jeść kanapki z serem? Mogliby leżeć przy sobie, na plecach, każde po swojej stronie łóżka, i bawić się w wymyśloną przez siebie grę, polegającą na tym: kto położy więcej czekoladowych pastylek tego samego koloru na ciele partnera (– Ja wygrywam: trzy liliowe pastylki na twoim pępku! – O nie, nie, ja mam cztery białe na twoim udzie!). A potem należało zjeść te cukierki bez używania rąk (– Łaskoczesz! Przestań! – Moment, kochanie, ja dopiero zacznę łaskotać!). Właśnie teraz mogła tak się bawić. Mogła leżeć obok Andersa. Zmieniła biegi, samochód szarpnął i wkrótce znalazła się na miejscu. W końcu to bardzo miłe z jego strony, że pomyślał o ich przyszłym wyjeździe do Włoch (ossobucco, zabaione, bresaola, szynka parmeńska i minnestrone!). Może to nawet lepsze, niż leżenie z nim w łóżku. Frøydis puściła pedał gazu, czy jednak nie lepiej wracać do domu?

– A może jest jakiś powód, dla którego powinnaś iść na ten kurs, mon

ange, mon coeur?

– Maman! – krzyknęła Frøydis uradowana, choć jej wargi nie poruszyły się nawet na milimetr. Głos mówił szybko i bezładnie, łamiąc nieco norweski, z łatwym do rozpoznania francuskim „r”, dokładnie tak jak mama mówiła:

– Dobrze, też tak myślę. Nie wracaj do domu.

– Bon, zostaję – zdecydowała Frøydis. – Skoro ty mnie prosisz.

Zaparkowała tak, że jej samochód znalazł się dokładnie czterdzieści pięć centymetrów przed następnym pojazdem i dokładnie czterdzieści pięć centymetrów przed poprzedzającym. Potem wysiadła zdecydowanie, zamknęła drzwi pilotem i głęboko zaczerpnęła powietrza. Pozostało trzydzieści sekund do siódmej. Za niespełna dwie godziny będzie znowu w domu, u Andersa.

*

Adiunkt, doktor nauk filozoficznych Ella Blom, wygładziła spódnice na biodrach i zastanawiała się, czy powinna powitać męża na pół zwrócona w stronę kuchennego blatu, tak by wkraczając do pokoju nie widział całej jej szerokości. Nie dalej jak kilka dni temu stwierdził przecież, że jego zdaniem najbardziej pociągające są kobiety o szczupłych biodrach. Ella nigdy w tej partii ciała szczupła nie była, ale przecież figurę ma ładną. Teraz widziała własne odbicie w lśniącej płycie kuchennego wentylatora. W chwilach, kiedy najbardziej siebie nie znosi, uważa, że wygląda jak kopa siana. Jej ciało, które z latami traciło rezerwy tłuszczu, zmieniło się i widziane z przodu jest szersze, z boku natomiast wydaje się szczupłe. Właśnie jak kopa siana lub jakaś głębinowa flądra. Flądra? Ty zawsze przesadzasz, Ello Blom!

Tym razem komentarz wewnętrznego głosu brzmiał życzliwie, Ella jednak była za bardzo pogrążona w negatywnych rozmyślaniach na temat własnego wyglądu, by to zauważyć. Myśli podążały dalej tym samym torem: dawno temu miała dołki w policzkach, które teraz zmieniły się w podługowate bruzdy. Dawniej jej włosy lśniły, pełne życia, a teraz

zwisają jak... (przestała na chwilę, żeby znaleźć odpowiednie słowo na określenie pożałowania godnego stanu swoich włosów)... jak okropne strąki. Dawniej była dumna ze swoich piersi, teraz dorobiła się *inclinatae mammae* – nie, ten łaciński termin nie oddaje rzeczywistości, powinna powiedzieć wprost: obwisłe cycki.

Ella pokazywała się mężowi od najszcuplejszej strony. Zamierzała powitać go jakoś ciepło, ale zamiast tego zaczęła skrępowana poruszać biodrami niczym uczennica. Zdołała się opanować, stanęła spokojnie, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że Peter prawdopodobnie w ogóle na nią nie spojrział.

– Wkrótce wychodzę – oznajmiła. – Zrobiłam sałatkę z tuńczykiem, jakbyś chciał.

Mąż skinął głową.

– Muszę wyjść za moment – mówiła dalej Ella. – Ten kurs i to... – zaczęła, ale nie dokończyła zdania, a Peter nie zapytał, co chciała powiedzieć. Podsunął jej jeden policzek, Ella wspięła się na palce i cmoknęła go. Poczowała z jego ust zapach whisky. Wiedziała, że przyjechał do domu samochodem, ale nie skomentowała tego. Nie ma sensu, niech sam pilnuje swoich promili.

Przymknęła na moment oczy, po czym wyszła do przedpokoju i zaczęła się ubierać. Czyżby czuć było też od niego perfumy?

Płaszcz był długi, z czarnej wełny. Nie byłoby w nim nic godnego uwagi, gdyby nie podszewka: płaszcz Elli miał podszewkę z ciemnoniebieskiego jak nocne niebo jedwabiu. Wypatrzyła go w jakimś sklepie we Freiburgu (gdzie instytut zorganizował seminarium na temat zrekonstruowanych rzeczowników starogermańskich) i natychmiast się w nim zakochała. Odczuwała pożądanie: Musi go mieć! Nieczęsto jej to się zdarza. Ella nie jest osobą impulsywną, ale ten płaszcz tak otulał jej ciało, ta niebieska podszewka tak ją pieściła i dawała poczucie, że jest kimś całkiem innym. *Wundervoll! Ganz fantastisch!* – mówiła ekspedientka, składając dłonie tak jak się robi, kiedy rozmawia się z cudzoziemcami. –

Dieser mantel ist ja wie fur Sie gemacht – ciągnęła kobieta. Ella głaskała okrycie dłonią, kiwała głową, potem wyjęła kartę Visa, kupiła płaszcz, wróciła na popołudniową sesję i zakochała się po raz drugi. Tym razem obiektem pożądania stał się szwajcarski lingwista imieniem Marcel. Ale Ella nie dała mu się uwieść. Udawała, że nie rozumie jego zamiarów, uśmiechała się uprzejmie i wróciła do swojego hotelowego pokoju, gdzie rzuciła się na łóżko, pozwoliła własnym dłoniom pieścić ciało, odpinać guziki bluzki, dotykać piersi, a przez cały czas wyobrażała sobie, że są to dłonie Marcela. Zaraz jednak zaczęła protestować. Peter! Przecież jest mężatką. Nie może zdradzać Petera, nawet w wyimaginowanym stosunku ze Szwajcarem. Przeklinała własny idiotyzm, ale starannie pozapinała guziki bluzki i położyła ręce na podołku. Taka była Ella: nawet onanizować się nie mogła, myśląc o innym mężczyźnie niż Peter. Nawet kiedy była na niego wściekła lub zrobił jej przykrość czy też szaleńczo pociągał ją inny mężczyzna. A miała powody przypuszczać, że Peter zdradza ją ze swoją koleżanką. Może to jest rozwiązanie? Przymknęła oczy i wyobraziła sobie Petera w ramionach tamtej nieznanym kobiety. Widziała, jak mąż ją całuje, jak dotyka jej ud, a potem odwraca się do żony i mówi: ja potrzebuję wolności; pozwalam ci mieć kochanka, Ello! (Sprawiało jej ból patrzenie na to, jak Peter całuje inną. Zresztą nigdy by też niczego takiego nie powiedział. To znaczy trzy pierwsze słowa tak, ale nigdy by nie dodał dalszej części zdania). Siedziała przez chwilę wyprostowana, zanim zdała sobie sprawę, że to działa. Rzuciła się na łóżko, pozwoliła własnym rękami, by ją rozebrały, a własnymi palcami, by zrobiły to, co pragnęła, by zrobił Szwajcar. Teraz, cztery lata później, stała we własnym przedpokoju ubrana w ten czarny wełniany płaszcz z niebieską podszewką, myślała całkiem aerotycznie o Marcelu i wybierała się na zajęcia, które wcale jej nie cieszyły. Gdyby Peter spytał, dokąd jedzie, uśmiechnęłyby się, usiadła i opowiedziała mu o kursie. Zdążyła też spytać samą siebie, czy Marcel chciałby ją zauważyć i zapytać, dokąd się wybiera, ale odrzuciła tę myśl jako głupią, niedojrzałą i pozbawioną

znaczenia. Bardzo by jednak chciała, aby Peter spytał, wtedy wszystko stałoby się łatwiejsze.

– Trzymaj się! – zawołała w głąb mieszkania. Powinam była się nie zgodzić na ten kurs, pomyślała, zatraskując za sobą drzwi.

Zaparkowała swoje kombi przed budynkiem dawnej Szkoły Morskiej, na moment oparła się o zagłówek, po chwili wzięła torebkę i wysiadła. Przyszła właśnie zmiana pogody i w ten wrześniowy wieczór zrobiło się nagle tak zimno, że słyszała, jak żwir chrzęści pod stopami niczym zmrożony. Mignęło jej własne odbicie w szybie starych drzwi – ciemna postać na tle wszechogarniającej ciemności. Nie zatrzymała się, ale wiedziała, że jeśli przystanie i uśmiechnie się do siebie (choć daczego miałyby to robić?), to napotka twarz o regularnych rysach, ale trochę zmęczoną, i lśniące białe zęby. Płyną jednak pewne korzyści z tego, że ma się za męża takiego znakomitego dentystę jak Peter Ditlef Hoff.

*

Ella otworzyła drzwi do klasy (sprawdziła numer pokoju i stwierdziła, że to ten, który zapamiętała z pisemnej informacji). Bała się tych dwóch czekających ją godzin. W drodze do Ekeberg minęła cztery wrony. Cztery szaroczarne ptaszyska, które zrobiły sobie grzędę z oparcia ławki, siedziały tam jedna przy drugiej i Ella, przejeżdżając, odniosła wrażenie, że się na nią gapią. Zawsze szczyliła się tym, że jest osobą racjonalną, przyznać jednak musiała, że wobec tych czterech ptaków nie pozostała obojętna. Dobrze wiedziała, że *corvus cornix* zgodnie z ludowymi wierzeniami wróży śmierć, nieszczęścia i choroby, ale akurat te ptaki dziwnie ją pociągały. Była również pewna, że nie wierzy w takie rzeczy i że teraz nie ma ani czasu, ani ochoty na głupstwa. *Omen non accipio* (Tego znaku nie przyjmuję do wiadomości). Minęła wrony i nie myślała o nich więcej, zajęta tylko tym, co ją czeka w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Wytrzymasz. To nie jest dużo gorsze od innych rzeczy w twoim życiu, które wytrzymujesz, mówiła sobie, otwierając drzwi. Marna pocięcha,

zdążyła jeszcze dodać.

W pokoju było zdumiewająco jasno i gorąco niczym w oranżerii. Odnotowała, że kilkoro studentów (czy może raczej powinna nazywać ich uczniami, nie znała terminologii stosowanej na kursach wieczorowych) jest już na miejscu i że patrzą na nią z zaciekawieniem. Ella rozpięła płaszcz pod szyją i zdecydowanie ruszyła ku prowizorycznej katedrze. Dopiero kiedy tam się znalazła, skinęła głową zebrany.

W tej samej sekundzie do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Ella była w tym wieku, w którym wszystkich mężczyzn poniżej trzydziestki kobiety uważają za gimnazjalistów, ponieważ jednak ona pracuje na uniwersytecie i wciąż ma do czynienia z młodymi ludźmi, bez trudu stwierdziła, że ten egzemplarz musi mieć ze dwadzieścia parę lat. Był szczupły, miał na sobie dzinsy i tweedową marynarkę, między brwiami zauważyła pionową bruzdę. Ukłonił się Elli z pewnością siebie, uśmiechnął się, jakby jej skinienie skierowane było wyłącznie do niego. Obrzucił spojrzeniem ustawione w półkole pulpity i zdecydował się usiąść obok młodego chłopca, który spojrzał na niego pośpiesznie, po czym wrócił do żucia gumy. Co za obrazek, pomyślała Ella. Mamy oto pewnego siebie młodego mężczyznę oraz prawdziwego nastolatka o pryszczatej twarzy, żującego, a jakże, gumę. Jego świecąca się skóra była zaczerwieniona. Ella posłała mu macierzyńskie spojrzenie, choć wiedziała, że jest tak skrępowany, iż tego nie dostrzeże. Mój Boże, co on robi na tym kursie?

Następnie dała sobie czas, by popatrzeć na pozostałych studentów (Uczniów? Teraz postanowiła raz na zawsze, że będzie używać określenia „student”). Starsza pani, która dobiega chyba osiemdziesiątki, ani na moment nie spuściła z niej wzroku i wciąż miała na twarzy pełen oczekiwania uśmiech. Usiadła najbliżej tablicy, ułożyła przed sobą notatnik, temperówkę i dwa dobrze zaostrzone ołówki. Wyglądała jak przejęta uczennica w pierwszym dniu szkoły. Jej widok niemal uradował Ellę, coś jej mówiło, że to osoba wrażliwa na gramatyczne finezje. Nie wątpiła, że będzie to zdolna i obowiązkowa kursantka.

Dwie inne kobiety siedziały vis a vis starszej pani, najwyraźniej jednak nie znały się nawzajem. Jedna, z dużą nadwagą, mogła mieć trochę ponad trzydzieści lat. Ella przyglądała się jej dyskretnie, zdejmując jednocześnie czarny płaszcz z szafirową podszewką. Ciało tej kobiety budziło w niej niechęć, a mimo to ona sama dziwnie ją pociągała. Sprawiała wrażenie władczej, nosiła ekskluzywne ubrania, wyglądało jednak na to, że pozbawiona jest wszelkiej ceremonialności.

Ella starannie składała płaszcz, tak by ukryć podszewkę. Boże kochany, znowu zaczynam. Skup się, Ello Blom. Elli wystarczyło spojrzeć na człowieka, a w jej głowie zaczynały się rozgrywać rozmaite związane z nim historie. Nie potrafiła przestać, znowu musiała spojrzeć na tę otyłą. Na oparciu krzesła wisiał beżowy płaszcz z pewnością należący do niej. Częściowo bez podszewki, z widoczną małą naszywką z nazwą włoskiej firmy odzieżowej. Piękne okrycie. Ale właścicielka jest strasznie gruba. Wszędzie ma wałki i wypukłości. Coś musi być w powiedzeniu, że ludzie otyli mają kłopoty z samokontrolą.

Ella wyjęła papiery z torby, wyciszyła telefon komórkowy i skierowała wzrok na kobietę obok tej otyłej. Ta mogła być w wieku Elli, może nawet parę lat starsza. Trudno powiedzieć, że to klasyczna piękność, ale wygląda sympatycznie i promieniuje dobrą energią. Poza tym budzi... szukała właściwego słowa... poczucie bezpieczeństwa. Tak, bezpieczeństwo i zaufanie. Miała na sobie granatowy żakiet, całkiem zwyczajny. Ella zwróciła uwagę, że jest zmechacony przy mankietach. Na szyi nosiła zrobiony na drutach szal w różowe i liliowe wzory. Nos miała zadarty, oczy wąskie, skóre do śmiechu. Chyba rano zczesła włosy do tyłu i spięła na karku plastikową klamrą. Teraz były potargane, prosto spod czapki (szydełkowy przedmiot, który mógł nią być, leżał na pulpicie, obok pary pozbawionych kształtu rękawiczek). Spod jasnych włosów wystawały uszy, zaczerwienione od tego niespodziewanego jesiennego chłodu czy bardziej może od różnicy temperatur na dworze i w pokoju. Bo tutaj było gorąco do tego stopnia, że Ella zastanawiała się, czy nie otworzyć okien

i nie wpuścić trochę zimnego powietrza. Pani w żakiecie chłodziła twarz, dmuchając w grzywkę i rozplątując jednocześnie swój długi szal. Musiała zauważyć, że Ella ją obserwuje, bo nieoczekiwanie się do niej uśmiechnęła. Miała lekko wysunięty jeden przedni ząb. Ella, lekko skrępowana, odpowiedziała jej uśmiechem.

– Witam – powiedziała, gdy – spojrzawszy na zegarek – stwierdziła, że już dwie minuty po siódmej.

W tej samej chwili w drzwiach stanęła jeszcze jedna kobieta. Szczupła, w białym futrzanym płaszczku.

Wspaniałe futro, pomyślała Jenna. Mam nadzieję, że nie prawdziwe.

Norki, skonstatowały Ella i Frøydis, niemal w tej samej sekundzie.

Włosy nowo przybyła miała ciemne i lśniące, natomiast oczy zaskakująco niebieskie. Nikt się nie odezwał, ale wszyscy odwrócili głowy i patrzyli na nią. Nie zajęła najbliższego wolnego krzesła, ale nie krępując się, podeszła do ustawionych w podkowę pulpitów i, zanim usiadła, chwilę rozważała różne możliwości. Potem, uśmiechnięta, rozglądała się po pokoju, stojąc za wybranym krzesłem, oczy jej się zwęziły i prawie zniknęły za czarnymi, pogrubionymi rzęsami. Chuchała na zmarznięte palce.

– Cześć, jestem Celeste – rzekła w końcu i usiadła obok tej pięknie ubranej kobiety z nadwagą.

– Właściwie to jeszcze nie rozpoczęliśmy prezentacji – rzekła Ella, bliska irytacji – ale skoro Celeste się przedstawiła, to równie dobrze możemy kontynuować. Na początek chciałabym powiedzieć kilka słów o sobie. Nazywam się Elvira Louise Blom, ale wszyscy nazywają mnie Ella. Mihi nomen est Ella.

Celeste sprawiała wrażenie, i zresztą była, całkowicie nieporuszona swoim spóźnieniem ani też tym, że przedstawiła się nieproszona. Znowu się uśmiechnęła, popatrzyła na kobietę za katedrą (dwa zestawione pulpity), która kontynuowała swoje powitalne przemówienie. Celeste uznała, że Ella jest pewna siebie i chłodna. Ładna, choć może trochę

pospolita. Włosy średni blond. Gęste, faliste, fryzura taka sobie. Szczupła twarz. Wysokie kości policzkowe. Oczy osadzone daleko jedno od drugiego. Zęby równe i białe niczym porcelana. W grupie znajdowało się dwóch mężczyzn. No, szczerze powiedziawszy, jeden raczej chłopiec, który zresztą dziwnie na nią spoglądał. Wyraźnie ma na mnie ochotę, skonstatowała Celeste. Ten drugi to dość przystojny facet po dwudziestce. Nie najgorzej. Obok siebie Celeste miała otyłą, ale przystojną i dobrze ubraną panią, z pewnością to ktoś z biznesu, uznała. Naprzeciwko nich siedziała blondynka w granatowym tanim zakiecie, wysoka, chyba trochę zbyt szczupła. I na koniec urodziwa, białowłosa pani. Nikogo więcej. Nie będzie nudno w takim szczupłym gronie? A zresztą, to chyba wszystko jedno. I dzięki temu z pewnością więcej się nauczą.

– Spotkam się z wami dwanaście razy – informowała Ella rutynowo. – Pracuję jako adiunkt w katedrze historii języka na uniwersytecie w Oslo. Ten kurs prowadzi zwykle moja przyjaciółka, ale, niestety, się rozchorowała. Witajcie więc na kursie łaciny dla początkujących. To się nazywa kurs A. Będziecie się uczyć języka określanego jako martwy, który jednak pod wieloma względami jest jak najbardziej żywy.

Otyła uczestnika kursu wydała z siebie cichy okrzyk i przesłoniła dłonią usta, jakby w przedstawieniu pantomimy miała wykonać zadanie: jesteście przestraszona!

Ella zwróciła na nią uwagę, ale mimo to kiwnęła głową Celeste, która oznajmiła, że jest farmaceutką, zatrudnioną w dużej firmie produkującej leki, i łacina jest jej potrzebna w pracy. Na koniec powiedziała, że się cieszy. Potem jeszcze dodała, że ma bzika na punkcie czasów rzymskich (Ona mówi: „mam bzika”. Jakby była nastolatką, stwierdziła Ella). Dużo czyta o Cesarstwie Rzymskim, tak jest, przeważnie powieści i książki popularno-naukowe. Oglądała też fantastyczne seriale telewizyjne. Ella uśmiechnęła się, sama jednak stwierdziła, że nie ma w tym uśmiechu żadnej serdeczności. Ale, kontynuowała Celeste, główny powód jest taki, że ze znajomością łaciny na pewno będzie jej do twarzy. Wypowiedziała

ostatnie zdanie i spojrzała na obu przedstawicieli płci męskiej, jakby spodziewała się z ich strony aplauzu. Ella nie potrafiła opanować irytacji.

– Ale twoja reakcja trochę mnie zaskakuje – dodała Celeste całkiem na koniec i poufale szturchnęła w bok swoją pulchną sąsiadkę.

– Tak, nazywam się Frøydis Brun – powiedziała Frøydis roześmiana, wciąż z przesadnym zdziwieniem na twarzy. – Jestem ekonomistką, pracuję w firmie o nazwie Kvervik Consulting. Dostałam ten kurs w prezencie od mojego... (tu zawahała się na moment, jakby rozkoszowała się słowem, zanim je w końcu wypuści z ust) ukochanego. Ale byłam pewna (tu zrobiła wymowną pauzę), że to kurs włoskiego.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Ella wyraziła nadzieję, że Frøydis mimo wszystko z nimi zostanie. Ta odparła, że zobaczy, ale że w każdym razie dzisiejszego wieczoru chce tu być.

Mężczyzna w tweedowej marynarce przedstawił się jako Bendik. Jest studentem medycyny i jego zdaniem to wstyd, że na akademiach medycznych nie uczy się już łaciny. Choć właśnie łaciną (i greką) personel medyczny wciąż się posługuje. Ella przytaknęła. Bardzo bym chciał wiedzieć, że naprawdę wycinam tę część ciała, co trzeba, dodał Bendik. Słuchacze znowu się roześmiali.

Najmłodszy chłopiec wymamrotał, że ma na imię Erik, a potem coś niezrozumiałego o grupie rockowej i tekstach. Ella zachęcająco kiwała głową, dokładnie tak jak nauczyciel powinien. I zwróciła się do jasnowłosej kobiety w granatowym, zmechaconym żakiecie.

– Ja mam na imię Jenna – przedstawiła się tamta. Jej kolczyki składały się z mnóstwa małych miedzianych płytek, które pobrzękiwały wesoło, kiedy mówiła, a gdy gestykulowała, rozchodził się od niej delikatny zapach kadzidła. A może Ella sobie to wyobraziła? Przez chwilę pociągała nosem. – Szczęśliwie niezamężna, jedna córka. Zajmuję się komputerami, mam własną firmę. Błękitna Gwiazda się nazywa. Ale poza tym bardzo mnie interesuje średniowiecze, antykwaryczne książki, a już szczególnie księgi magiczne.

– Dobrze – powiedziała Ella i uniosła brwi, akurat na tyle, by dać do zrozumienia, że to musi być niezwykle (i w najwyższym stopniu nienaukowe), ale nie bardziej niż, jak sądziła, wypada opanowanej, neutralnej nauczycielce.

– Wiem, że starożytni Rzymianie cenili sobie sztukę wróżbiarską – mówiła Jenna, może intuicyjnie wyczuwając opór Elli. Pewnie próbowała się bronić: – Starali się wiedzieć, co los ma dla nich w zanadrzu. Ważne dla nich było to, jaki wzór wyskubują krowy na pastwisku. I spoglądali w niebo, żeby zobaczyć, jakie formacje tworzą przelatujące chmury ptaków.

– Ptaków? – wykrzyknęła Celeste.

– Tak. Znaki te wykorzystywali przy podejmowaniu ważnych decyzji państwowych – kontynuowała Jenna, zerkając na nią z zainteresowaniem.

– Hm, cóż, to się zgadza – przyznała Ella, niemal boleśnie poruszona, jakby ponosiła osobistą odpowiedzialność za naiwność Rzymian w tej dziedzinie.

– Interesuję się też astrologią – oznajmiła Jenna entuzjastycznie. – A ty, Celeste, jesteś spod znaku Panny, prawda? – spytała, wskazując ją palcem.

– Tak, jestem niewinną panną – potwierdziła Celeste. – Czy to po mnie widać?

– No dobrze. Ella stanowczo przerwała śmiech towarzyszący zbyt frywolnej replice Celeste. Odwróciła się i uśmiechnęła zachęcająco do starszej pani.

Ta wyprostowała się, uniosła rękę do siwych, niemal białych włosów i odgarnęła je raz w jedną, potem w drugą stronę. Powiedziała, że ma na imię Anne, woli jednak, by zwracać się do niej per pani Næss.

Ella skinęła głową i powiedziała:

– Oczywiście, pani Næss.

Troje dorosłych dzieci, pięcioro wnuków. Wdowa. Teraz jest na emeryturze, ale pracowała w SAS-ie. Kiedyś znała trochę łacinę, a teraz

chętnie nauczyłyby się więcej.

– Cieszę się – zakończyła pani Næss.

Celeste wzięła głębszy oddech. Ella Blom wygląda na zdolną, a Celeste żywi szacunek dla zdolności. I nie tylko to: błysk czegoś jeszcze, czegoś bezwarunkowo pozytywnego, czegoś, co chciałyby lepiej poznać, choć nie miała pojęcia, co to takiego – zresztą nie martwiło jej to ani nie powstrzymywało. Celeste pozwoliła Elli pozostać Ellą. Sama zerknęła na innych uczestników przelotnie, na wszystkich po kolei, nieco dłużej na Frøydis. Frøydis ma taką nadwagę, że ludzie, którzy ją spotykają, zauważają przede wszystkim tuszę. Celeste też tak postąpiła, ale niemal równocześnie uderzyło ją, jaka ta Frøydis jest ładna. Nie tylko ma regularną twarz lalki (czarującą, chciałoby się powiedzieć), ale jej ciało też jest bardzo kształtne. Przypomina elipsę, z dość dużą głową na jednym końcu i podobnymi do kopytek stopami na drugim. Ma miękkie piersi, brzuch jest nieco bardziej wysunięty niż biust i biodra. Uda w stosunku do reszty są dość szczupłe. Ma staranną fryzurę, która niczym hełm otacza ładną twarz. Paznokcie równo przycięte, kształtne, pomalowane tak, jak tylko profesjonalne manikiurzystki potrafią. Tak, Frøydis jest piękna. I sprawia wrażenie silnej oraz pewnej siebie. Następnie oczy Celeste zatrzymały się na Bendiku, który musiał to zauważyć, bo uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Ona też uśmiechnęła się do tego młodzieńca, na którego miło jest popatrzeć i chyba łatwo polubić. W ogóle na zajęciach nie było nikogo, kogo Celeste mogłaby nie lubić. Ale akurat ona nie należy do osób, które chodzą po świecie i się krzywią. Ma zdolność dostrzegania czegoś pozytywnego u większości spotykanych ludzi. Choć przeważnie bywa cierpliwa wobec swoich bliźnich, to przecież istnieją tacy, którzy budzą w niej gwałtowną niechęć. Matka na przykład, od której zawsze trzymała się z daleka i nie sprawiało jej to większych trudności. Albo starsza siostra Cindy, choć ostatnio żywi dla niej więcej dobrych uczuć. Czy też Napalony Karl, którego też wcale nie szuka, ale z którym musi utrzymywać jakieś relacje, bo to, niestety, jej szef. Istnieje jednak

człowiek, którego Celeste naprawdę nienawidzi. Człowiek, którego się boi. On. Ten, którego nazwała Nero, bo nie jest w stanie nawet pomyśleć o nim pod jego prawdziwym imieniem. Jest więc Nero lub po prostu on. Miło widzieć, że tak ci dobrze w życiu idzie, Celeste. Jeździsz do pracy codziennie o tej samej porze, ładnie ci w tym białym płaszczyku. Obserwuję cię, bo nie mogę zrozumieć, że zrobiłaś mi to, co zrobiłaś. Nie myśleć, rozkazywała sama sobie, i nakazywała interesować się czymś innym. A potem, jak już uwolniła się od Nerona, swego rodzaju ukojeniem stawały się myśli o młodym, niedoświadczonym lekarzu stażyście. Czy nienawidzi tego niegdyś młodego medyka? Pewnie tak. Nigdy nie sądziła, że tak właśnie jest, ale teraz, po tym, jak osiem miesięcy temu dostała pierwszy list od Nerona, niczego już nie jest pewna. Przyjęła do wiadomości, że lekarz, w miarę upływu czasu, zacierał się coraz bardziej w pamięci, aż w końcu stał się postacią nierzeczywistą, która w równych odstępach czasu pojawia się w jej głowie. Zawsze, kiedy Celeste odwiedza Sebbe, na schodach, na każdym kolejnym stopniu przeklina tego człowieka. Wiara, że go nienawidzi, stała się częścią jej samej, nienawidziła go przez tyle lat, niczego wszakże z tym nie robiąc, nie myśląc nawet, że coś mogłaby przedsięwziąć. Jest jednak przekonana, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby on nie istniał. Pozostała tylko milcząca, niezmienna nienawiść. Wiecznotrwała złość. Teraz, po tym, jak ten drugi, Nero, wdarł się do jej życia, do codzienności, do jej myśli, po raz pierwszy zrozumiała, czym jest lęk. Ten nigdy nie pozostawia jej w spokoju. I przypomina, czym tak naprawdę jest nienawiść. Spokojny głos Elli przedostał się do jej świadomości, mówił, że zaraz będzie przerwa, ale najpierw nauczą się odmiany czasownika amare – kochać. Tak, tak, pomyślała Celeste, otrząsając się z rozważań o tamtych dwóch mężczyznach. Przecież właśnie kochać to mój ulubiony czasownik.

– Celeste, twoja kolej!

Amo, amas, amat. Celeste wyobraziła sobie Sebbe i odtworzyła całą koniugację za pierwszym podejściem.

– To bardzo przypomina francuski – oznajmiła Frøydis.

– Teraz kwadrans przerwy – ogłosiła Ella.

W czasie pierwszej godziny Ella Blom zaczęła swoim studentom opowiadać o Cesarstwie Rzymskim, o przejściu od republiki do cesarstwa, o swoich ulubionych poetach, no i oczywiście o języku. Mówiła przyciszonym głosem, tak by wszyscy siedzieli na krawędziach krzeseł i słuchali. Mówiła całymi zdaniami, bez przerw i wahań, ale miała też świetnie opanowaną sztukę pauzy. Unikała rzadkich, typowych dla języka pisanego słów i wyrażań. Mówiąc, patrzyła po kolei w ich twarze. Wszyscy słuchali. Erik siedział z na pół otwartymi ustami, Ella musiała stłumić śmiech: wyglądał dokładnie tak jak Maja w dzieciństwie. Wytrzeszczone oczy, pełna koncentracja. Niemal czekała, że zobaczy stróżkę śliny spływającą po brodzie. Łacina, mówiła, stwarza nam możliwość znalezienia się jak gdyby w wehikule czasu. Wszystko w nim jest. Możemy się dowiedzieć, co Cezar powiedział w chwili śmierci i co Cicero uważał za radości wieku dojrzałego. Sami możemy się przekonać, dlaczego Horacy jest jednym z największych poetów w dziejach. Możemy tam spotkać Wergiliusza i Owidiusza.

Wielkość Rzymu została zbudowana w początkach naszej ery i trwała co najmniej dwa stulecia. W tym okresie państwo rzymskie było ogromne, ale granice miało stabilne. To właśnie wówczas żyli i tworzyli najwięksi poeci. I to wówczas łacina wyparła języki w zachodniej części imperium, to znaczy na terenach, gdzie dzisiaj znajdują się Włochy, Francja, Hiszpania i Portugalia.

– Och, to naprawdę wielkie terytorium – wtrącił Erik.

– W gruncie rzeczy imperium było o wiele większe – uzupełniła Ella. – Obszar, na którym łacina uważana była za język ojczysty, obejmował też inne części Europy, a ponadto północną Afrykę. We wschodniej części Imperium Romanum łacina była językiem administracyjnym, używano innych języków ojczystych, jak greka czy turecki. Łaciną posługiwała się administracja państwowa. W miarę upływu czasu, na różnych terytoriach

rozwijały się różne jej odmiany. Już około roku 800 pojawiły się trudności w porozumiewaniu się. Z różnych odmian łaciny zaczęły wykształcać się języki romańskie.

Tutaj Ella spojrzała na Frøydis, która chętnie wyrecytowała:

– Francuski, włoski, hiszpański, portugalski, rumuński.

– Tak jest – potwierdziła Ella. – I jeszcze retoromański w Szwajcarii. Ale nowożytne języki to inna historia. My pozostaniemy przy łacinie. A łacina w dalszym ciągu używana jest w kościele, w prawie, w kulturze i nauce oraz w medycynie. Prawda, Bendik?

– Mhm – przytaknął.

– Aż do wieku osiemnastego wszystko, co najważniejsze w obrębie filozofii i nauk przyrodniczych, zostało napisane po łacinie. W szkole łacina była bardzo długo głównym przedmiotem, jednak w Norwegii od dawna już tak nie jest.

Jenna była zadowolona z takiego komentarza. Nie można ukrywać, że czuła się w porównaniu z innymi niedouczone. Wszyscy tutaj mają wyższe wykształcenie. No, z wyjątkiem Erika i chyba starej pani Næss, ale oni się nie liczą. Jenna wiązała wielkie nadzieje z tym kursem, ale teraz siedziała przestraszona, że będzie zbyt dużo niezrozumiałej teorii i nudnej gramatyki. Nie mogła gubić z pola widzenia najważniejszego: wkrótce coś ma się stać. One cztery. Już je widzi, niczym dziwną geometryczną figurę, w której na każdym rogu znajduje się kobieta, jedna linia łączy grubą z ciemnowłosą pięknoską, potem kieruje się ku Elli przy tablicy, w końcu w dół, do niej samej.

– W osiemnastym wieku francuski coraz bardziej przejmował rolę wspólnego języka klasy wyższej w różnych krajach. Elita pragnęła i miała potrzebę porozumiewania się również za granicą, poza tradycyjnie łacińskimi arenami, takimi jak kościół czy uniwersytet. Francuski miał tę przewagę, że uczyły się go również kobiety z klas wyższych, łacina natomiast pod wieloma względami pozostawała językiem mężczyzn.

– Znaczący językiem władzy – wtrąciła Celeste, a Ella przytaknęła.

– Zanim zaczniemy się zagłębiać w ten język – oznajmiła Ella – musicie wiedzieć, jaka jest łacińska wymowa. A zatem teraz elementarny kurs wymowy. Samogłoski wymawiamy tak, jak są napisane. „Ph” to „f”, sprawa jest jasna. Zapamiętajcie również, że w klasycznej łacinie, w odróżnieniu od wymowy tradycyjnej, „c” wymawiane jest jako „k”. Powinniśmy więc mówić Cicero przez „k”, a nie przez „s”, jak czyni wielu Skandynawów. Ale w łacinie tradycyjnej „c” pozostaje jak „c” przed samogłoskami e, i, y oraz ae i oe, a wtedy Cicero będziemy mówić przez „c”.

– A dlaczego my wymawiamy „s”? – spytała Jenna.

– Bo tak się rozwinęła wymowa, która stała się potem na przykład francuską – wyjaśniła Ella. – „Ae” powinniśmy wymawiać jak „ai”. W tekstach, które będziemy czytać, pisze się caesar, a my wymawiamy „kaisar”. Chyba że posłużymy się znów wymową tradycyjną, i wówczas „ae” zabrzmiałoby jak „e” - „cesar”. „Curriculum vitae” powinno się wymawiać tak, jak ja to teraz zrobię: kurriculum vitai.

– Nikt tak nie mówi – zaprotestowała Celeste.

– No to będziesz miała okazję wykazać, jaka jesteś wykształcona – skwitowała Ella. Chciała, żeby to był żart, ale jej głos zabrzmiał trochę zbyt ostro.

– Ja chyba poprzestanę na skrócie CV – odparła Celeste nieporuszona.

– Shortcut. Czasem się opłaca – skomentowała Frøydis.

Celeste odwróciła się i długo jej się przyglądała, a w czasie, gdy Ella wyjaśniała różnicę między tempus a modus (czasem i trybem), ona oceniała wszystkich obecnych. Dopiero kiedy Ella nauczyła ich odmieniać amare, Celeste otrząsnęła się ze swoich myśli.

Ella ogłosiła przerwę.

Druga godzina zaczęła się od stwierdzenia, że wszyscy znają mnóstwo łaciny, tylko nie zawsze o tym wiedzą. Przez pierwsze dziesięć minut próbowali więc szukać przykładów.

– Wszyscy Norwegowie znają wiele łacińskich słów – powiedziała Ella

z entuzjazmem.

– Familia – zaczął Erik.

– Kultura – dodała pani Næss.

I wkrótce z zaangażowaniem wyszukiwali łacińskie słowa w powszechnym języku: plenum, fokus, manuskrypt. Securitas. Veritas. Volvo. Veni, vidi, vici.

– To ostatnie należałoby oczywiście powiedzieć „viki” albo „vici” – sprecyzowała Ella. – No a weźmy słowa takie, jak normalny, lokalny. Nacja i stacja. Motor, traktor, rektor. Motor oznacza tyle, co „poruszać”. Rozpoznajemy to słowo na przykład w mobilności. Traktor pochodzi od czasownika „ciągnąć”.

– Mensa rotunda (okrągły stół) – powiedziała Jenna.

– Euge – pochwaliła Ella i postukała palcem w pulpit. – Chociaż akurat to jest mensa quadrata.

– Ja znam carpe diem (chwytaj dzień) – dodała Celeste.

– No właśnie – ucieszyła się Ella. – Carpe diem, quam minimum credula postero.

– Hę? – zdziwił się Erik.

– Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości. To z Horacego – wyjaśniła Ella.

– Dostyc głupi ten Horacy – skrzywiła się Celeste. – Zawsze są kolejne dni, i to niejednen.

– Ale kiedyś się kończą – ucięła Ella.

– Nawet jeśli, to chyba nie musimy ciągle o tym myśleć – oponowała Celeste.

– Ile właściwie łaciny każde z was już zna? – zapytała Ella.

Okazało się, że Celeste, jako farmaceutka, zna sporo, i być może jest tak też dlatego, że, jak już mówiła, zawsze pasjonowała się wszystkim, co rzymskie. Stwierdziła jednak, że nigdy nie uczyła się systematycznie (Nie – zresztą widać, że na to byś się nie zdobyła, pomyślała Ella).

Bendik zetknął się z łaciną na studiach medycznych, Jenna przyswoiła

sobie wiele, przeglądając stare książki. Powtórzyła, że chciałaby nauczyć się więcej, bo bawi ją czytanie kronik czarownic i podręczników czarnej magii, wprost nie może się już doczekać, by dorwać się do tych tekstów. W dzisiejszych czasach to ważniejsze niż kiedykolwiek, dodała i choć wyraz jej twarzy świadczył wymownie, że to żart, Frøydis powstrzymała się od repliki. Długo przyglądała się Jennie.

Erik zna też trochę łacinę, samodzielnie przerobił kurs, który znalazł w internecie, a pani Næss jest po prostu starą łacinniczką: tak, nawet maturę zrobiłam w klasie o profilu klasycznym, tyle że większość zapomniałam. Podczas przerwy zwierzyła się Bendikowi i Jennie, że chciałaby być dobrze przygotowana na spotkanie ze świętym Piotrem: – Mam dziwne przeczucie, że on lepiej zna łacinę niż norweski. Ale, poważnie mówiąc, zapisałam się na ten kurs, by poćwiczyć mózg. Wicie, w moim wieku to ważne!

Okazało się, że tak naprawdę to tylko Frøydis nigdy nie miała do czynienia z tym językiem, ale ona potrafi myśleć szybko i efektywnie, mówi płynnie po francusku (mam to we krwi – w moich żyłach płynie krew romańska!) i ma dość wiary w siebie, by wiedzieć, że jeśli czegoś chce, to potrafi się przyłożyć. Najwyraźniej zapomniała już, że dopiero co zastanawiała się, czy po pierwszym wieczorze nie zrezygnuje z kursu.

Pod koniec drugiej godziny Ella ogłosiła, że czas na ćwiczenia ustne. Wypisała na tablicy kilka zdań z tłumaczeniem w nawiasach obok:

Ut vales? (Jak się masz?)

Habesne aliquod animal in deliciis? (Czy masz jakieś ulubione zwierzęta?)

Estne tibi maritus? (Czy masz męża?)

Estne tibi uxor? (Czy masz żonę?)

Suntne tibi filii? (Czy masz dzieci?)

Placetne tibi caseus? (Czy lubisz ser?)

Quot annos natus es?

Quot annos nata es? (Ile lat temu się urodziłeś/urodziłaś?)

Natus – rodzaj męski, nata – rodzaj żeński

– Wybierz jakieś pytanie i zadaj je sąsiadowi – poleciła Ella.

– Albo sąsiadce! – wtrąciła Celeste.

– ...i niech odpowiadający wybierze inne pytanie i zada swojemu sąsiadowi – mówiła dalej Ella, ignorując komentarz Celeste.

– Albo swojej sąsiadce – powtórzyła Celeste rozbawiona.

Ella miała niejaki wątpliwości, czy powinna dorosłych kursantów pytać o wiek i stan cywilny. Znalazła te polecenia w starym podręczniku i nie miała siły długo się nad nimi zastanawiać. To przecież słabo płatny wieczorowy kurs, są granice, ile czasu i pracy można w coś takiego wkładać. Szczerze mówiąc, teraz, kiedy stoi przed swoją małą klasą, jest zadowolona z tych pytań. Mogła przecież chcieć się dowiedzieć, w jakim są wieku, a pytania czy lubią ser lub czy mają zwierzęta, nie są już takie wścibskie.

Zaczęła ostrożnie i spytała najpierw panią Næss. Ta odpowiedziała poprawnie, i zwróciła się do Erika:

– Placetne tibi caseus (lubisz ser)?

Erik zaczerwienił się, odpowiedział „sic” i spytał Bedika, czy ma dzieci. Ten dzieci nie miał, ale chciał wiedzieć, ile lat ma Celeste. Ona próbowała sklecić odpowiedź, ale zaczęła chichotać, Ella musiała jej pomagać i tak wszyscy się dowiedzieli, że wkrótce skończy czterdzieści (Dobrze się trzyma, pomyślała Ella, spoglądając z zazdrością na Celeste, która właśnie odchyliła głowę w tył, odsłoniła długie białe zęby i głośno się roześmiała). Bendik wykorzystał zamieszanie i rozbawienie, i zapytał o jeszcze jedno: czy Celeste ma dzieci? Ta pokręciła głową i odparła: non infantes.

Erik spojrzał na nią pośpiesznie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Celeste spytała Frøydis, czy ma zwierzęta, których tamta nie posiada, a wyraz jej twarzy wcale nie wskazywał, że zamierza sobie jakieś sprawić.

Frøydis zastanawiała się, jak idzie Jennie, ta zaś odpowiedziała bene i spytała Ellę, czy jest mężatką. Sic, powiedziała Ella oraz habeo filiam

(mam córkę). Runda dobiegła końca. Ella spoglądała na nieliczne zgromadzenie, oczy wszystkich zebranych skierowane były na nią.

– Instantia est mater doctrinae – oznajmiła Ella, kładąc nacisk na każde słowo.

– Co?! – krzyknęła Celeste, pozostali zaś zrobili tylko pytające miny.

– Ćwiczenie czyni mistrza – wyjaśniła Ella z uśmiechem. – Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. Valete (Bądźcie zdrowi).

– To już koniec? – zdziwił się Erik. Znowu się zaczerwienił i zaczął pakować swoje rzeczy.

*

Studenci, z którymi Ella prowadzi stałe zajęcia, są zdumiewająco do siebie podobni. Młodzi, dobrze wychowani i uprzejmi, słuchają jej wykładów, bo potrzebują zaliczeń albo dlatego, że pasuje im to do reszty planu zajęć. Wieczorowy kurs łaciny okazał się zupełnie inny, zgromadził sześć wyrazistych osobowości. Zespół przypomina jej trochę pierwszą grupę, jaką miała w Blindern^[1]. Swoją pierwszą grupę studencką człowiek pamięta. Sam jest wtedy młody i pełen entuzjazmu, przychodzi na zajęcia lepiej przygotowany niż kiedykolwiek później, z biciem serca i szacunkiem dla przedmiotu oraz studentów. I nigdy ich nie zapomina, tych swoich pierwszych słuchaczy, pierwszej grupy, którą miało się wprowadzić w świat nauki i wiedzy. Miewała uzdolnionych i sympatycznych uczniów również później – Bóg łaskaw – ale nigdy już nie zapamiętała grupy jako całości, zawsze tylko pojedyncze osoby

(Jakąś pełną zapału dziewczynę w pierwszej ławce, z robótką na drutach, zadającą zaskakujące pytania, bruneta, który poruszał się tak szybko, że potykał się o własne nogi, syna adwokata, który kochał filologię i studiował na wydziale filozoficzno-historycznym w tajemnicy, równoległe z prawem. Zapamiętała fragmenty obrazów z lat pracy w charakterze wykładowcy, jakąś przerwę w wiosenny ciepły dzień, kiedy wszyscy śmiali się głośno z czegoś, co powiedziała, zmrużone oczy chłopca, który ją w zakazany, wstydlivy sposób pociągał, i dzień, kiedy pokój seminaryjny

aż tętnił radością, ponieważ nagle do studentów dotarło to, co ona od dawna próbowała im wytłumaczyć). Tego rodzaju rzeczy pamięta, ale nie zawsze potrafi chronologicznie uporządkować wydarzenia, nigdy natomiast nie zapamiętuje całej grupy – z wyjątkiem tamtej pierwszej.

Wracając do domu, Ella nuciła w samochodzie. To był wspaniały wieczór! Trudno powiedzieć, co dokładnie sprawiło, że te dwie godziny okazały się takie przyjemne, iż nie miała ochoty zakończyć zajęć i już teraz pragnęła, by kurs trwał dłużej niż dwanaście tygodni. Próbowała analizować sprawę w taki sposób, jak to czynią akademicy, ale żadna pogłębiona analiza nie była tu konieczna. To nazbyt oczywiste, sytuacja ma związek z poczuciem, że kurs języka łacińskiego znajduje się jakby poza granicą jej zwyczajnego życia. Albo, innymi słowy, że pozwala jej się wyłączyć z rutynowych obowiązków. Ella zawsze traktowała swoją pracę jako ucieczkę. Kiedy w domu coś nie funkcjonowało tak jak należy, pogrążała się w przygotowaniach nowego cyklu wykładów, składała aplikacje do rady badań naukowych, pracowała nad nowym artykułem lub podręcznikiem. Po tym, jak Edmund Benewitz–Nielsen ponownie wkroczył w jej życie, Blindern przestało być przytulnym miejscem. Natomiast wieczorowy kurs owszem. Jest jednak coś jeszcze. Może analiza mimo wszystko byłaby pożądana, żeby dotrzeć do istoty tego czegoś. Nie miała poważnych zastrzeżeń do swoich zwyczajnych wykładów, absolutnie nie. Kiedy jednak wypełnia nauczycielskie obowiązki na uniwersytecie, nie czyni tego z wielką radością w sercu. Wie, że jest zdolna, profesjonalna i chętnie słuchana przez studentów, ale nie cieszy jej to tak, jak dzisiejszego wieczora. I możliwe, że dzisiejsza radość jest większa dlatego, że przyszła tak nieoczekiwanie.

W pomieszczeniu było zbyt gorąco i zbyt jasno. Miejscowy dozorca musi być człowiekiem energicznym, bo jesienny chłód pojawił się z dnia na dzień, a mimo to on (Ella zakładała bez wątpliwości, że to „on”, ale dopiero w sekundę później zdała sobie sprawę, że tak właśnie robi) zdążył przynieść tu dwa piecyki olejowe, które grzały tak skutecznie, że w małym

pokoju temperatura zdecydowanie przekroczyła dwadzieścia stopni. Był koniec września i wieczory już ciemne. Małe pomieszczenie ma pod sufitem potężne świetlówki, które nie dają zwyczajnego niebieskawego światła, ale żółtobiałe, niemal złociste. Może to właśnie to? Chłód i ciemność za oknami, ciepło i światło wewnątrz, jakby tych siedem osób znalazło się w jakimś miejscu w starożytnym Rzymie, pod palącym słońcem koloru żółtka. Ona jako mistrzyni i nauczycielka, a sześcioro pozostałych to jej uczniowie.

Zapamiętała już imiona wszystkich, a zwykle, by to osiągnąć, musi stosować prymitywną mnemotechnikę, którą zresztą większość nauczycieli w skrytości się posługuje. Polega to na szukaniu asocjacji bądź cech charakterystycznych dla poszczególnych studentów, najlepiej, żeby określenia zaczynały się na tę samą literę, co imię: Frøydis mogłaby być Fantastyczną Grubaską. Bez zastanowienia przydzieliła jej przydomek „grubaska”, zaraz jednak sama dała sobie po łapach, zirytowana. Nie powinna być złośliwa, nawet jeśli Frøydis ma kłopoty z nadwagą. W stosunku do Celeste nie musiała niczego wymyślać, ani wykorzystywać podobieństwa liter: Celeste zachowuje się sztucznie, w związku z tym imię też ma sztuczne. Jenna jest kobietą jawnie zwróconą ku tak zwanym alternatywnym wartościom, wierzy w czarownice i znaki zodiaku, i można by ją określić zgodnie z tym jako Jennę naiwną, ale Ella zrezygnowała z tego pomysłu, uznając, że Jenna bardzo przypomina Janis Joplin. A więc niech będzie Janis Jenna Joplin. Jenna mogłaby stanowić większe, szersze, wyższe i starsze wydanie tamtej. Pani Næss została nazwana Loch Næss – Elli bardzo się spodobało takie rozwiązanie, ponieważ łagodna staruszka w żadnym stopniu nie przypomina okropnego potwora pieśczośliwie określanego Nessie. Bendik może oznaczać błogosławieństwo, a jest na tyle urodziwy, że jego obecność mogłaby okazać się błogosławieństwem dla zdominowanej przez panie grupy. Erik to po prostu Eryk Rudy, bo czerwieni się z byle powodu. Oto jej sześcioro wieczorowych studentów. Discipuli vespertini. Jeszcze nie chciała ich

opuścić.

Pryszczaty i jękający się Erik z poobgryzanymi paznokciami, w bluzie z kapturem, ogarnięty zagadkowym dla niej pragnieniem pisania po łacinie tekstów rockowych. Żywiła dla niego takie same dobre uczucia jak kiedyś dla pierwszego chłopaka Mai – obaj równie niezdarni i skrępowani, tamten wprost nie miał odwagi podnieść głowy i spojrzeć jej lub Peterowi w oczy. Drugi młody mężczyzna, Bendik, pięć czy sześć lat starszy, co dla doroślejszych osób nie stanowi znaczącej różnicy, ale dla tych dwóch prawdopodobnie oznacza przepaść. Dlaczego zdecydował się na kurs, na którym – musiał się z tym liczyć – nie spotka rówieśników? Który, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, zgromadzi przede wszystkim panie w średnim wieku interesujące się kulturą – czy może być coś bardziej odstręczającego dla dwudziestoparolatka?

W czasie przerwy powiedział Celeste, że miał ochotę na zmianę środowiska. Jakie to typowe dla tej kobiety, że zapytała. Mhm, odparła sama sobie w myślach, i jakie to typowe dla ciebie, że nie pytasz.

Celeste polubiła najmniej, prawdopodobnie dlatego, że jest taka arogancka i nieznośnie pewna siebie. Żadnych uników, Ello Blom, to nie dlatego! I czy Celeste właściwie jest arogancka? Nie, prawdopodobnie ani trochę. Celeste jest zbyt ładna. I to jest powód. Wewnętrzny głos Elli czasami przypominał pewnego rzymskiego filozofa-moralistę na jałowym biegu, który raz po raz stwierdzał, że świadomość własnych ograniczeń jest drogą do szczęścia, a w każdym razie drogą do wychodzenia z niemożności. Ty ładna już nie jesteś! Powinnaś po prostu uznać, że Celeste jest od ciebie ładniejsza.

Ella pośpiesznie przeskoczyła w myślach do drugiej z kobiet: starej pani Næss obdarzonej inteligencją i poczuciem humoru. Była przekonana, że pani Næss ze zrozumieniem przyjąłaby fakt, iż nauczycielka nazywa ją Næssie. Tak jest, z pewnością by to polubiła. Pani Næss to przemiała starsza dama. Gdyby była o czterdzieści lat młodsza, to ty mogłabyś mieć problemy z przełknięciem także jej niezależności. No, no, no, uspokajała

samą siebie. Możesz powiedzieć wiele o Elli Blum, ale zazdrosna to ona zazwyczaj nie bywa. No dobrze, zaczął głos, ale nic więcej do niej nie dotarło.

No i jeszcze Janis Joplin. Jenna, która ma niesforne jasne włosy i której hobby to czarownice i średniowiecze (Ella pozwoliła sobie na rytualne, niechętnie prychnięcie, ale zaraz roześmiała się sama z siebie, no i z Jenny). Z tego typu alternatywną damą ona właściwie nie ma nic wspólnego. Za dużo astrologii i batikowych chust. Za dużo niepewnych teorii oderwanych od rzeczywistości. Z drugiej jednak strony Jenna pracuje z czymś tak przyziemnym jak komputery i ma w sobie jakiś blask, który opromienia wszystko, czym się zajmuje – czy też wszystko, czym, zdaniem przesądnej Elli, tamta się zajmuje.

Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Frøydis. Frøydis – Fantastyczna Grubaska. Jest rzeczywiście za gruba. Z jednej strony Ella odnosi się z niechęcią do ludzi z nadwagą, kształt ich ciała mówi przecież, że nie mają kontroli nad tym, co jedzą. Zarazem jednak Ella boleśnie zdaje sobie sprawę z tego, jaka ona sama bywa bezradna w różnych obszarach życia i z tego powodu z sympatią spoglądała na kuliste ciało Frøydis. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że uważa je za paskudne i zbyt rzucające się w oczy. Nie może być inaczej, bo jest go nienormalnie dużo. Ale Ella wie także, że Frøydis wcale nie jest słaba, przypuszczalnie jest to najsilniejsza osobowość wśród wszystkich jej studentów. Po ukończonej lekcji Frøydis spytała Ellę, jak po łacinie brzmi „jesteś piękna”, bo zamierza komuś to powiedzieć, wyjaśniła. Nie z ciekawości, ale z przyczyn czysto gramatycznych Ella spytała, czy ma to być skierowane do niej, czy do niego. On z definicji jest płci męskiej, rozpromieniła się Frøydis i Ella poinformowała, że potrzebne Frøydis zdanie brzmi: Pulcher es. Ale „ch” można również, w zgodzie z klasyką, wymawiać jak „k”!

Frøydis uśmiechnęła się jeszcze szerzej i kilka razy powtórzyła frazę. Ella natychmiast zaczęła fantazjować o tym, kogo Frøydis zamierza tak skomplementować. Narzeczonego? Kochanka? Męża?

Zbliżając się do swojej ulicy, przestała nucić. Tym razem szybko znalazła miejsce parkingowe tuż przy wejściu do domu. Postawiła samochód, zamknęła drzwi i, nie zdając sobie z tego sprawy, westchnęła. Już na piętrze wyniesiona z kursu radość gdzieś się ulotniła. Ella poczuła się stara i zmęczona. Kiedy wsuwała klucz do zamka, rękaw płaszcza podwinął się i odsłonił nadgarstek. Skóra była blada, widniały na niej cztery większe znamiona i mnóstwo piegów. Ella nigdy nie miała włosów na rękach, ale na jednym ze znamion wyrastał od czasu do czasu jeden długi, prawie przezroczysty. Na wierzchu dłoni nabrzmiewało mnóstwo żyłek, tworząc coś na podobieństwo mapy metra. Zegarek na pasku, który też się zsunął, zostawił czerwony ślad. Przekroczenie trzydziestki nie zrobiło na Elli Blom żadnego wrażenia, pełna czterdziestka w zasadzie też nie odegrała jakiegokolwiek roli. Nie mogła zrozumieć, dlaczego większość kobiet jest tak opętana swoim wiekiem. Sądziła, że musi to mieć coś wspólnego z powierzchownością, a dokładnie z utratą urody. Elli nigdy nie przyszłoby do głowy twierdzić, że nie przejmuje się własnym wyglądem, ona raczej odnosi się do tego ze spokojem, przekonana, że i tak niewiele można zrobić. Rezygnowała więc z wszelkich zabiegów, do diabła, jest przecież pracownicą naukową. Wie, że walka ze zmarszczkami i innymi oznakami starzenia nie ma żadnych szans powodzenia. Przecież nigdy, żeby nie wiedzieć jakie drogie kremy kupowała, nie odzyska urody z czasów młodości. Jej, która codziennie spotyka mnóstwo studentek, musiałoby być wyjątkowo trudno, gdyby uwierzyła, że może się mierzyć z ich urodą i młodością. Nie, lepiej uznać, że człowiek z każdym mijającym rokiem będzie starszy i mniej atrakcyjny. Postanowiła starzeć się z godnością i po prostu niczym się nie przejmować. Skończyła trzydzieści lat, skończyła czterdzieści, przyjęła prezenty i gratulacje od Petera i Mai. Prezenty i czułości córki wzbudziły w niej nieukrywaną wdzięczność i sprawiły radość. Prezenty i życzenia szczęścia od Petera były oceniane z nadzieją, że znajdzie się też jakiś znak, jakieś ukryte wyznanie miłości w książce (którą powiedziała, że chce dostać), ozdobie (którą wybrała

u jubilera) albo w tradycyjnym bukietcie czerwonych róż. Nigdy niczego takiego nie znalazła (Czego ty oczekujesz, Ello Blom? Miłosnego sonetu, który by napisał twój w najwyższym stopniu prozaiczny małżonek?). Ale decyzja, by starzeć się bez walki, była stanowcza. Dlatego kryzys, jaki przeżyła tuż po ukończeniu czterdziestego piątego roku życia, spadł na nią z zaskoczenia. Nie była w stanie się opanować. Próbowwała zachowywać się dyskretnie, zamknęła się w sypialni. Najpierw zaczęła się trząść, ale po pewnym czasie dygotała już tak, jakby ktoś podrzucał nią niczym szmacianą lalką. Skuliła się na podłodze, mięśnie napinały się spazmatycznie, miała wrażenie, że krew przeciska się przez zbyt ciasne żyły, wiedziała, że wkrótce eksploduje, bo gdzieś w ciele ścianki żył nie wytrzymają i krew wytryśnie niczym gejzer. Teraz albo za chwilę. I wtedy dotarło do niej, że nic nie może zrobić. Nie jest w stanie kontrolować tego, co się z nią dzieje. Wszystko trwało jakąś godzinę i w końcu jej się udało. Zażyła tabletkę od bólu głowy i wyszła do przedpokoju. Uśmiechnęła się do Petera, który najwyraźniej nie zauważył jej nieobecności, weszła wolno do biblioteki i zaczęła się przygotowywać do wystąpienia na konferencji, rzecz jasna ani słowem nie wspominając mężowi o tym, przez co właśnie przeszła. Po wewnętrznej stronie jednego uda Elli wciąż jeszcze drgał zmęczony mięsień.

Załamaniu winna była prosta matematyka: dotarło do niej, że bliżej ma już do pięćdziesięciu lat niż do czterdziestu i ogarnęło ją intensywne poczucie, że to wszystko – wiek, życie, ona sama – jest nierzeczywiste. Ta świadomość zaparła jej dech w piersi. Czy to jestem ja? Przecież ledwie przed chwilą byłam nastolatką, potem spotkałam Petera, zakochaliśmy się w sobie (i to do tego stopnia, że mogłam się posługiwać wyświechtanym określeniem „burza uczuć”). On pragnął mnie nieustannie, a i ja pożałowałam go tak, że czułam ból w całym ciele. Ślub, przecież to było nie tak dawno? I naprawdę ledwie kilka dni temu trzymałam Maję na ramieniu i poklepywałam po plecach, żeby jej się odbiło. Dopiero co szalałam z radości, bo zostałam na stałe zatrudniona w Blindern.

I wówczas niczym ciężka wilgotna chmura spłynęła na nią świadomość, że umrze. Umrze pewnego dnia, i to nie w tak znowu odległej przyszłości. Ktoś będzie siedział i patrzył na nekrolog w *Aftenposten*. Próbowała przemawiać sobie do rozsądku, ale zwyczajna ironia nie działała jak dotychczas: jesteś śmiertelna jak wszyscy ludzie, a to ci niespodzianka. Ella przestanie oddychać, jej serce przestanie bić, i nie nadejdą kolejne dni. Oto jej życie. Prawdopodobnie ma już za sobą więcej niż połowę. I inaczej nie będzie. Dosłownie przygięło ją to do ziemi: nigdy nie będzie inaczej. Ona, jedyna w gronie przyjaciółek, która nie miała zamiaru zmieniać ludzkości ani ratować świata, która nie planowała rozwikłania zagadki raka ani zdobycia Nagrody Nobla. Jedyna ambicja Elli to być szczęśliwą. Żyła w przekonaniu, że przejrzała na wylot naiwność swoich koleżanek. Nie to ma w życiu jakieś znaczenie, myślała i czuła się mądra. Liczy się jedynie, by znaleźć szczęście. Na czym dokładnie szczęście polega, młoda Ella nie miała pełnej jasności, wiedziała jednak, że jego częścią jest miłość do Petera, drugą natomiast dziecko. O tym też była przekonana.

Maja jest w Kopenhadze. To młoda, zdrowa kobieta ze wszystkimi tego konsekwencjami – między innymi taką, że bardziej jest zajęta przyjaciółmi, ukochanymi, imprezami, koncertami i studiami niż własnymi rodzicami. Maja i Ella rozmawiają ze sobą co najmniej raz w tygodniu, ton tych rozmów jest zawsze bardzo miły, ale dawna intymność gdzieś się zagubiła. Ella nie zna już imion przyjaciół Mai, nie wie, jak wyglądają jej dni, więc w ich rozmowach raz po raz pojawiają się dziury, które, rzecz jasna, tylko Ella zauważa, ale żadna z nich nie potrafi ich zapełnić.

*

Gdyby profesor Edmund Benewitz–Nielsen się domyślał, jak często odwiedza myśli Elli, ubawiłoby go to setnie. Gdyby wiedział, jak często budzi się w nocy zrana zimnym potem, bo on jej się przyśnił, to by może nawet się roześmiał (A zdarza się to tak rzadko, że niemal zapomniał, iż

ludzie się śmieją). Być może największa różnica między zwykłymi wykładami Elli na uniwersytecie a jej wieczorowym kursem łaciny polega na tym, że wieczorami może pracować ze swoimi uczniami i nie musi myśleć o Edmundzie Benewitzu–Nielsenie.

Edmund Benewitz–Nielsen jest medykiem ze specjalizacją w neurologii. Zna Ellę od czasu, kiedy mieli po dwadzieścia lat, chociaż i wtedy Ella raz po raz zadawała sobie pytanie, dlaczego spędza z nim tyle czasu. On przyjmował jej podziw jako coś naturalnego, w końcu i dla niej stało się to oczywiste. Ona podziwiała, on był podziwiany. On mówił jej, że jest piękna, ona zaprzeczała i dziękowała. On próbował ją uwieść, ona wolała poczekać. Oczywiście przeważnie mówił on i to głównie on decydował, o czym mają rozmawiać. Co sprawiło, że Ella uzyskała dość dobry przegląd tematów medycznych, Edmund natomiast nigdy nie zmienił poglądów na przykład w sprawie którzy pisarze są naprawdę dobrzy (Jego zdaniem dobry był Jack London, Helge Ingstad i Knut Hamsun). Ale Edmund jej także słuchał, kiwał głową i wyglądało, że to, co wypływa z jej ust jest w jakiś sposób rozsądne, choć Ella zwróciła uwagę, że on często zerka na części jej ciała znajdujące się zdecydowanie poniżej ust. Owszem, lubiła Edmunda i podziwiała jego pewność siebie. Czuła, że akurat tego jej też nie brakuje. Przeciwnie, uważała, że ma jej pod dostatkiem. Wiedziała, że nie jest głupia, wychowywała się w domu inteligenckim, w którym dużo się rozmawiało, na studiach wiodło się jej znakomicie, uważnie słuchała wykładów, codziennie spędzała wiele godzin w czytelni. Jedyne, czego nie umiała, to publiczne zabieranie głosu. Kiedy profesor zapytał o coś, czego nie była pewna, zaczynała się jąkać. Wyraźnie brakowało jej umiejętności jasnego i konkretnego formułowania zdań przed większym audytorium. Słowa gdzieś się zapodziały, a ona próbowała wykrztusić coś bez sensu, serce tłukło się jej w piersi. Ella studiowała filologię, a to oznacza, że w audytorium siadywała zazwyczaj setka kobiet i siedmiu, może ośmiu mężczyzn. Wykładowcy znali ich imiona, to zresztą nie takie dziwne. Stanowili przecież wyraźną

mniejszość, umieli się pokazać i najczęściej reprezentowali tę samą płęć co wykładowcy. Panowie uważali, że publiczne zadawanie pytań nie jest trudne. Ella im zazdrościła, zdając sobie przy tym sprawę, że nie wszystkie pytania, które zadają, nie wszystkie ich komentarze są równie imponujące. Obserwowała, z jaką pewnością siebie wypowiadają najbardziej bagatelne kwestie.

Edmund i Ella uczestniczyli w społecznym życiu uczelni. Oboje poważnie interesowali się polityką oświatową, zwłaszcza na poziomie uniwersyteckim, i rozumieli, że miejsce w parlamencie studenckim czy radzie wydziału (Wydziału Medycznego, jeśli chodzi o Edmunda i Filozoficzno-Historycznego w przypadku Elli) pomogłoby w dalszej karierze i wspinaniu się po akademickich szczeblach. On widział siebie jako przyszłego przewodniczącego studenckiego parlamentu i nie zrobił nic, by ukryć zaskoczenie, kiedy Ella oznajmiła, że ona ma takie same ambicje.

Pijali kawę w kawiarni Frederike, mnóstwo kawy, klęcili się po przyjacielsku o politykę mieszkaniową dla studentów i o zasady finansowania studiów. Czy strajk byłby dobrym posunięciem dla uzyskania lepszych warunków? Kiedyś poszli w mieście do kina, obejrżeli amerykański film, potem w pobliskim barze wypili butelkę wina i Ella oparła się o Edmunda. Pomyślała wtedy, że dzieje się z nim coś osobliwego. Popatrzył na nią i powiedział, że jest ppp... piękna. Potem zaczerwienił się i wyjaśnił, że jako dziecko się jąkał, a teraz mu to wraca po alkoholu. Elli to się spodobało z powodów, które nie do końca pojmowała. Następnym razem machnęli ręką na kino i od razu poszli do baru. Po wypiciu mniej więcej połowy butelki pozwoliła mu się pocałować. No właśnie, naprawdę „pозwoliła mu się pocałować”. Bo doszło do tego tak: on wykazał inicjatywę, a ona się zgodziła. Wszystko jak w przepisie. Edmund odprowadził ją do domu, do maleńkiego mieszkanca, które wynajmowała.

– Czy mmm... mogę wejść na górę?

Ella przecząco pokręciła głową. Nie bardzo była jeszcze pewna, jak poważnie traktuje tę znajomość. Jej koleżanki z Blindern nie ukrywały zazdrości (On jest przecież perfekcyjny!). Drażniły ją i pytały, czy zamierza zostać doktorową, a ona uśmiechała się tajemniczo, wzruszała ramionami i wracała do książek. Ella nie była zakochana, ale w końcu stwierdziła, że coś do niego czuje, że coś ich łączy. Była jednak pewna rzecz, której bardzo u Edmunda nie lubiła: zmieniał się po alkoholu. Stawał się bardziej złośliwy, bardziej arogancki i bardziej bezwzględny w komentarzach. To nigdy nie dotyczyło jej, poza tym nie pił ani często, ani dużo. Stwierdziła jednak z przykrością, że zmienia się w mniej sympatyczne wydanie samego siebie. Nie, nie była pewna, czy powinna bardziej się zakochiwać w Edmundzie. W pewnym momencie w życiu Elli pojawił się Peter Ditlef Hoff, student stomatologii, i wtedy zrozumiała, że zakochanie to coś zupełnie innego niż uczucia, jakie żywiła dla Edmunda.

Wszystko zaczęło się na imprezie. To Edmund ją przekonał, żeby tam poszła. Właściwie Ella była znudzona studenckimi imprezami. Nie miała ochoty patrzeć, jak jej koledzy zabiegają o względy wykładowców, którzy zaszczylicili ich swoją obecnością. Siadali zwykle wokół dużego stołu, zastawionego butelkami piwa, odwrócenie do sali plecami, które niczym mur oddzielały ich od reszty uczestników. Dyskutowali o sprawach naukowych, o polityce studenckiej i wydarzeniach na świecie. Nie interesowali jej młodzi panowie w palestyńskich chustach, którzy na egzaminach i we Frederike ujawniali się zwykle jako przeciętniacy o dość ograniczonych umiejętnościach i horyzontach. Tutaj wypowiadali się ze wzmocnioną przez alkohol pewnością siebie i śmiali hałaśliwie. Po kilku godzinach zarówno studenci, jak i wykładowcy zaczęli zerkać w stronę pań. Czas na flirt, chciał czy nie chciał. Ella przyglądała się temu z niechęcią. Znała rytuał na wylot, ale nie była w stanie nic zrobić. Siedziała wśród tych mężczyzn i na ogół była ignorowana, jeśli nie liczyć faktu, że jeden z profesorów zauważył kiedyś, iż ma ładne oczy. Edmundowi udało się przekonać Ellę, by przyszła właśnie na tę imprezę,

a ona, choć nie bez oporu, zgodziła się, właściwie nie wiadomo czemu. Będzie fajnie, zapewniał Edmund. Masa ludzi, z różnych wydziałów, specjalnie wynajęty didżej. Przyjdź! Będziesz najładniejsza ze wszystkich, Ello. Dała się podejść, uległa jego namowom.

To Edmund ich sobie przedstawił.

– Poznajcie się, to Peter, to Ella.

Peter Ditlef Hoff i Edmund chodzili do tej samej szkoły i dwa lata temu odnowili kiełkującą w dzieciństwie przyjaźń. Edmund studiował na wydziale lekarskim, Peter na stomatologii. Obaj mieli jasność co do różnicy statusu tych studiów, ale to nie narażało na szwank odbudowanej przyjaźni, bo odzwierciedlało status ich obu w szkole. Edmund i Peter pijali razem piwo, grywali w tenisa, Edmund bywał zapraszany na stację do Petera, by razem z nim oglądać rozgrywki piłkarskie... po każdym strzelonym голу wznosili toast. Peter i Ella zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Byli sobą tak zafascynowani, że całowali się publicznie już na tej imprezie. To całkiem niepodobne do Elli Blom. Edmund pił tego. Zauważył, rzecz jasna, na co się zanosi między Peterem i Ellą. Kiedy nareszcie ich usta się rozłączyły, a Ella otworzyła oczy, zobaczyła nie tylko zakochaną twarz Petera, lecz także wściekłe oblicze Edmunda. Stał za Peterem i patrzył na nią.

– Ella, ttt...ty nie możesz chyba powiedzieć, że chciałyś tego szysz... szmaciarza – wyjąkał Edmund głośno, na pozór wciąż bardzo pewny siebie.

Peter próbował go uspokajać.

Liczni uczestnicy imprezy od początku z zainteresowaniem śledzili, co się dzieje. Dość powszechnie wiedziano, kim są Edmund i Ella, i Ellę traktowano jak w pewnym sensie jego dziewczynę. Mimo arogancji Edmunda, która objawiła się w całej okazałości, sympatia była raczej po jego stronie, nie zaś mało znanego, bardzo skromnego Petera. Kiedy jednak Edmund zdzielił Petera w twarz, a Ellę nazwał dziwką, wszyscy nagle wzięli ich stronę. I gdy Peter opiekuńczym gestem objął Ellę,

z grupy obserwatorów dał się słyszeć męski głos:

– Ooo...ona chce właśnie ttt...tego szszsz...szmaciarza!

I wszyscy ryknęli śmiechem.

Chociaż wcześniej Ella była wściekła i zraniona, to teraz zrobiło się jej Edmunda żal. Zresztą tamtego wieczora ona się nie śmiała. Ona się nawet nie uśmiechnęła.

Ella i Peter zostali parą. Edmund przez resztę życia pozostał sam. Wybaczył Peterowi, tak jak mężczyzna wybacza drugiemu mężczyźnie, po prostu uznał jego przewagę. Nigdy o tym epizodzie nie rozmawiali, widywali się rzadko, ale kłaniali się sobie, a nawet, kiedy się przypadkiem spotkali, zamieniali parę zdań. Edmund przyjął też zaproszenie i przyszedł na ich ślub. On i Peter stali się z czasem dalszymi znajomymi, każdy z własną karierą oraz wspólnymi wspomnieniami z dzieciństwa i lat studiów. Elli natomiast nie wybaczył nigdy. Ta dziewczyna zamiast niego wybrała kogoś bez znaczenia. Zakpiła sobie z niego, podeptała go, upokorzyła. Zawsze, kiedy myślał o Elli Blom, przypominał sobie, jak się czuł, stojąc w kręgu zaśmiewających się ludzi.

Nigdy nie zostało powiedziane, czy stało się to za sprawą publicznego ośmieszenia, czy to gorycz porażki, czy jeszcze coś innego, pozostaje jednak faktem, że Edmund nie zrobił takiej kariery, jaką on sam, a także inni uznawali za pewną. Porzucił politykę studencką, skończył studia w przewidzianym terminie, odbył staż i rozpoczął specjalizację z neurologii. Z czasem został ordynatorem oddziału w szpitalu Ullevål, ale cokolwiek robił, był tak samo nieszczęśliwy. Po kilku latach uzyskał posadę pracownika naukowego na uniwersytecie w Oslo. Nie stał się dzięki temu bardziej popularny, nie zaczął więcej bywać, ale sądził z pewnością, że życie nabrało jaśniejszych kolorów. Nie musiał jakoś szczególnie się przejmować innymi ludźmi, mógł zagłębiać się w badaniach, rzadko opuszczał swój gabinet przed zapadnięciem zmroku. Jeździł do domu w Vestfold tak często jak mógł, lubił pracę w ogrodzie, zerkał na studentki, ale trzymał się w cieniu, wolał raczej kupić od czasu

do czasu panienkę do towarzystwa. Rozwinął w sobie zainteresowanie dla portweinu i szybkich samochodów. Nie czuł się w swoim życiu dobrze.

Utrata Elli i epizod na imprezie wryły się głęboko gdzieś w jego osobowość i tkwiły tam niczym wzbierający wrzód, który nabrzmiwał i wciąż się rozrastał.

Całkiem niedawno dostał szansę uczestniczenia w dużym projekcie międzywydziałowym (PIB: Prepositions in the brain – A neurolinguistic project). Edmund Benewitz–Nielsen od początku uważał siebie za niekwestionowanego szefa przedsięwzięcia i z trudem przełknął fakt, iż władze wołały zamiast niego mianować kobietę, w dodatku humanistkę (Typowe! Dubeltowa polityczna poprawność!). Edmund został zredukowany do pozycji zastępcy. Dopiero przed samym startem programu zorientował się, że owa humanistka, o której rektor mówił „Elvira Louise”, to Ella Blom. Przez wszystkie minione lata próbował o niej nie myśleć, ale teraz uczucia znowu dały o sobie znać. Nie zakochanie, rzecz jasna. Ono ulotniło się dawno temu, ale złość, a może nawet nienawiść. Już kiedy witał się z nią podczas pierwszego spotkania, a Ella rozpromieniła się na jego widok, uściskała i zaczęła szczebiotać, jak to miło zobaczyć go po tylu latach, wrzód wzbierający w duszy Edmunda pękł i zainfekowana materia rozlała się po całym ciele. Był wstrząśnięty, jej widok wywołał taką reakcję. Nie miał wyjścia. Infekcja wydostała się na wierzch, rozszerzała się. Wiedział, że musi z Ellą się policzyć. Stwierdził, że nie jest w stanie na nią patrzeć, przyjmować do wiadomości, że jest szczęśliwa, a już zwłaszcza znosić tego, że została jego szefową (Co, rzecz jasna, samo w sobie nosi cechy absurdu – to przecież adiunkt, filolog, kobieta).

A skoro już raz podjął decyzję, przeprowadzał swój plan z wielką zręcznością i talentem. Nic nie mówiąc, unikał wykonywania swojej części zadań. Przytakiwał wszystkiemu, co mówiła Ella, ale nie przekazywał poleceń reszcie grupy. Rozkoszował się zaskoczeniem Elli, kiedy odkryła – w obecności dziekana i prodziekana – że kluczowe dla projektu osoby nie

mają pojęcia o postanowieniach, o których powinny być poinformowane dawno temu. Benewitz–Nielsen po wszystkim pięknie przeproszał, Ella natomiast odparła, że przecież za całość odpowiada ona, a kiedy to samo zaczęło się powtarzać częściej, uznała, że Edmund jest niezorganizowany i sama przejęła większość pracy.

Edmund Benewitz–Nielsen szybko znalazł inne metody. Nigdy nie przepuścił okazji, by powiedzieć o niej coś, łagodnie mówiąc, nieprzyjemnego. Nie, nie było to wprost obraźliwe, na to nie mógł sobie pozwolić, dawał tylko do zrozumienia, że biedaczka Ella Blom wzięła na siebie zbyt wiele obowiązków i nie może sobie z nimi poradzić. Ani w pracy, ani w domu; bąkał współczująco, że nic dziwnego, iż się nie wyrabia, dodawał jednak, że w żadnym razie nie oskarża jej o to, iż końcowy rezultat pracy nie będzie taki olśniewający, jak Ella obiecywała w mowie inauguracyjnej. On dobrze rozumie, że to dla niej po prostu za trudne. Napomykał też, że sam, z czystej miłości bliźniego i w trosce o renomę uniwersytetu, nieustannie musi wkraczać i ratować przewodniczącą w opałach. W innych, bardziej poufalskich rozmowach między panami najwyższymi postawionymi w uniwersyteckiej hierarchii, opowiadał, rzecz jasna ze starannie porcjowaną niechęcią i współczuciem, z którym mu było bardzo do twarzy, że Ella Blom, niestety, nie ma cech przywódczych. W domu czcił swoje drobne zwycięstwa szklaneczką portweinu. Z przyjemnością patrzył, jak Ella się stara, choć poczucie szczęścia, jakie mu to dawało, mijało tak samo szybko jak działanie trunku.

Trzeba było wielu miesięcy, nim Ella zrozumiała, co Edmund Benewitz–Nielsen próbuje jej zrobić. Równocześnie, w miarę jak to do niej docierało, Benewitz–Nielsen zaczął mieć coraz większe problemy z ukrywaniem braku szacunku i pogardy dla niej. Zdarzało mu się robić uwagi, że Ella być może powinna uznać, iż najlepiej z tej funkcji się wycofać, że nigdy nie osiągnie sukcesu, że ktoś inny powinien przejąć ten bałagan, bo przecież należy uznawać własne ograniczenia. A ona w jakiś

sposób wyczuwała, że to dopiero początek. Pamiętała, że Edmund Benewitz–Nielsen nigdy się nie poddaje.

Ella znowu westchnęła, po raz ostatni spojrzała na swoją starzejącą się rękę, pełną plam i popękanych naczynek, przekręciła klucz w zamku i weszła do mieszkania.

– Halo. Wróciłam! – zawołała jak zwykle. I jak zwykle miała nadzieję, że mąż jej odpowie.

*

Przed poznaniem Andersa Frøydis nigdy nie spieszyła się do domu. Teraz biegła do samochodu, trochę dlatego, że jest tak zimno, ale głównie dlatego, że chciała już znaleźć się w mieszkaniu, u niego. Biegła tak szybko, jak pozwalała jej tusza i krótkie nogi, a wysokie obcasy wcale sprawy nie ułatwiały. Tuż przed samochodem poślizgnęła się i o mało nie upadła; jak zawsze krótka chwila braku równowagi napełniła ją przerażeniem. Maman, zdążyło coś w niej krzyknąć. Stała pewnie na ziemi i wszystko się uspokoiło. A kiedy spojrzała w górę, zobaczyła oczy Jenny, jasnej blondynki, która czytuje książki o magii. Frøydis znieruchomiała. Czym ta Jenna się zajmuje? I co to ona mówi? Żeby usłyszeć, Frøydis pochyliła się jak mogła w kierunku tamtej.

Nie, Frøydis Brun nie była kobietą wysoką. Uważała, że nigdy nie udało się jej nadrobić utraconego. Pozbawiony miłości, często gwałtowny sposób, w jaki ojciec traktował matkę, sprawił, że Frøydis przyszła na świat nie w pełni dojrzała. Urodziła się przed czasem, była bardzo malutka. W dniu trzynastych urodzin matka zmierzyła ją dokładnie. Miała wtedy sto pięćdziesiąt dziewięć centymetrów i taki wzrost zachowała przez całe życie. Kiedy wyrabiała pierwszy paszport, skłamała – postanowiła zaokrąglić wzrost do stu sześćdziesięciu. Wzrost – Height – 160 cm. Wcześniej w jej życiu, kiedy była jeszcze znacznie niższa, miały miejsce dwa wydarzenia, które jej zdaniem okazały się decydujące. Pierwszy epizod zdarzył się, gdy mierzyła nie więcej niż trzy, może cztery centymetry. Wyobrażała sobie później, że było to mniej więcej tak: leżała

sobie i kołysała się (świadomie wybrała określenie „kołysać”, bo przedstawiała sobie siebie, jak leży i pływa po powierzchni wody, podobna do poruszającego się, okrągłego czerwono-białego spławika). Twarz miała szeroką, oczy ulokowane po dwóch stronach głowy, jak u ryby. Powieki jeszcze się nie otwierały, ale istota, która później miała stać się Frøydis, wiedziała, że z czasem będą one takie, jak powinny być, więc tym się nie martwiła. Z czasem wszystko się pojawi, a kiedy już poszczególne elementy znajdą się na swoich miejscach, wówczas ona sama wydostanie się na świat, do mamany. W palcach rąk i nóg czuła przyjemne pulsowanie, bo właśnie kształtowały się jej paznokcie. Uszy nie wyglądały całkiem jak uszy i nadal tkwiły na rybiej głowie niczym dwie wypustki skóry. Mimo to bez trudu rozpoznawała głos mamany, która zwykła układać dłoń dokładnie pod swoim pępkiem, uciskała skórę na brzuchu i śpiewała, przemawiała do niej, nazywając ją mon petit chou albo mon bébé.

Od czasu do czasu słyszała również głos taty niczym daleki grzmot, docierający z zewnętrznego świata. Rozumiała, że jeśli chodzi o wybór mężczyzny, matka nie ma żadnych zdolności. Ta, która miała stać się Frøydis, nie lubiła taty. I chociaż on też od czasu do czasu mówił „moje dziecko”, ton, którym to wypowiadał, był całkiem inny niż matki. Wielokrotnie słyszała, jak rodzice głośno się kłócą. Wtedy ta, która miała być Frøydis, mocniej zaciskała oczka, krzyżowała krótkie rączki i wykonywała salto mortale, żeby nie słyszeć. Bardzo chciała chronić matkę, zdawała sobie jednak sprawę, że na razie byłoby to zbyt trudne. Jest astronautką w brzuchu mamany, w stanie nieważkości, ale bezpiecznie przymocowana do ścianek macicy. Pępowina to gruba, zwinięta linka. Bywa, że ona delikatnie jej dotyka, by sprawdzić, czy dobrze trzyma. I oto wydarza się nieszczęście: jest dokładnie dziewięć tygodni od poczęcia. Ona kołysze się w ciemnej letniej wodzie. Nagle podskakuje, bo wszystko wokół niej zaczyna się strasznie trząść. Słyszy głuchy łoskot i krzyk, który musi być krzykiem mamany. Ona też otworzyła usta, by wrzasnąć ze strachu, ale skończyło się na tym, że wody

plodowe zalały jej buzię. Wyglądało, jakby się miała oddzielić, zerwać swoje umocowanie. Długo doznawała wrażenia, że pływa swobodnie, bez żadnych punktów zaczepienia, bez przyszłości. Ale otoczenie powoli się uspokaja, fale znikają. Jednak przekonanie, że z czasem wszystko powinno być dobrze, ulatnia się. Ta, która ma stać się Frøydis, zostaje przemieniona w przerażony płód.

Do drugiego epizodu doszło w niemal pięć miesięcy później, i tym razem stało się coś, co w żadnym razie stać się nie powinno: Frøydis została odłączona, wbrew swojej woli wyslizgnęła się z bezpiecznej ciemności maczyngo brzucha. Będzie miała na imię Frøydis, szepnęła matka do dwóch milczących pielęgniarek, zanim upchnęły to zbyt małe dziecko w inkubatorze. Pielęgniarki najpierw nie zrozumiały, co matka powiedziała, gdyż mówiła z silnym obcym akcentem, w dodatku głosem pozbawionym siły, w końcu jednak pojęły i uśmiechały się do wyczerpanej, bladej kobiety. I oto Frøydis leży na plecach, machając cienkimi jak ołówki kończynami. Waży około kilograma i ma trzydzieści pięć centymetrów wzrostu.

Ani ona, ani mamam z porodu nie zapamiętały nic. Nadszedł nieoczekiwanie dla nich obu, na szczęście mamam mimo wszystko zdążyła do szpitala dzięki nieocenionej pomocy oddanej sąsiadki, pełnej miłości bliźniego i energii, wolnej od wścibstwa (rzadka kombinacja). Teraz mama leży z bandażem na czole, plastrem na brodzie i podpaską wielkości pieluchy w majtkach, gapiąc się na białą szpitalną ścianę. Frøydis zaś ma gałganek na oczach i damską podpaskę nieco mniejszych rozmiarów między pomarszczonymi udami. Jest podłączona do przewodu, poprzez który dostaje jedzenie, i ma wąż łączący się z nie do końca wykształconymi płucami. Pozostanie w inkubatorze przez dziesięć tygodni, po czym obie z mamam pojedą do domu. Są teraz tylko we dwie. Ma chérie. Mon bébé. Frøydis przywiera mocno do piersi matki, wczepia się w nią, próbuje objąć rączkami jej szyję, za nic nie chce jej puścić. W nocy, aż do skończenia trzynastego roku życia, sypia z mamam, dbając zawsze,

by choć maleńki kawałek skóry dotykał ciała matki.

Charlotte Brun wychowała się w mieście uniwersyteckim na południu Francji, niedaleko hiszpańskiej granicy. Była niewysoka, zgrabna i ciemnowłosa, i do tego stopnia straciła głowę dla Norwega o jasnej czuprynie, że wyjechała z nim do Oslo.

Oslo lat sześćdziesiątych w żadnym razie nie było pulsującym życiem wielkim miastem, Charlotte jednak postanowiła, że będzie tu szczęśliwa. Ale nie była, tęskniła za mężczyzną, który przywiózł ją do Norwegii, zapłodnił i porzucił. Tęskniła nie dlatego, że chciała go dla niego samego, ale dlatego, że nigdy nie wyobrażała sobie życia bez mężczyzny u boku, bez kogoś, kim mogłaby się opiekować, rozpieszczać go i kto w zamian opiekowałby się nią. Była kobietą samotną i prawdopodobnie lepiej by zrobiła, gdyby zabrała córkę i wróciła do Francji, ale wstyd, że została sama z dzieckiem, jej na to nie pozwalał. Nie miała odwagi nawet myśleć, co powiedziałyby jej surowa matka katoliczka, gdyby wróciła do domu bez mężczyzny, za to z córką o pogańskim imieniu. To było impossible. Zatem została. Nigdy nie nauczyła się wymawiać poprawnie po norwesku dyftongu w imieniu córki, a ich nazwisko, Brun, czyli swoje nazwisko panięskie, wymawiała tak, jak przez całe życie, czyli z gardłowym „r” i „n” w szczątkowej formie.

Frøydis to imię sąsiadki, która zajmowała się Charlotte w czasie ciąży i zadbała, by w odpowiednim momencie zawieźć ją do szpitala. Zostałaś nazwana po dwóch wspaniałych kobietach, opowiadała matka, spoglądając na Frøydis z miłością. Po mojej matce, twojej kochanej grand-mère, której nigdy nie dane ci było spotkać. Twoje imię przypomina szumne fru-fru, które, kiedy idzie, wydaje jej spódnica. A dostałaś je po kobiecie, która nam obu uratowała życie.

Frøydis uśmiechała się do mamán, trzymając ją za rękę. Maman opiekowała się Frøydis, a Frøydis opiekowała się nią.

Kiedy dziewczynka skończyła trzynaście lat i osiągnęła swój maksymalny wzrost, ważyła niecałe czterdzieści kilo. Zaraz po

trzynastych urodzinach jej życie uległo zmianie. Wszystko stało się inne. Również ciało. W ciągu pierwszego roku przybyło jej osiem kilo, a później co najmniej kilogram rocznie. Blisko trzy dziesięciolecia po trzynastych urodzinach jej waga łazienkowa pokazywała dziewięćdziesiąt sześć kilogramów. Z tym swoim kulistym ciałem Frøydis Brun wspięła się na sam szczyt społecznej piramidy. Jej roczna pensja była siedmiocyfrowa, została też członkiem zarządu kierującego ponad setką ludzi, była silna i spokojna, skuteczna i zorganizowana. Mimo to zdarzało się, że nocą budziła się zlaną potem, śmiertelnie przerażona. To jednak uległo zmianie, kiedy spotkała Andersa.

Przed i po Andersie. Dla Frøydis stało się to naturalną rachubą czasu. Intensywnie nienawidziła swego ciała, a silniejsza od tej nienawiści była jedynie chęć najadania się do pełna, opychania się do niemożliwości. Ale tak było przed Andersem. Apetyt wprawdzie jej nie opuścił, teraz jednak zaczęła szanować to ciało, które ma. Rozkoszowała się tym, do czego może go używać. Ciało Frøydis mimo wszystko było głównym instrumentem pozwalającym czerpać radość z dwóch wielkich namiętności: Andersa i jedzenia. W tej właśnie kolejności.

Dziwne, że od pierwszej chwili pokochała jego ciało tak bardzo, jak nienawidziła swego. Gdyby miała być wobec siebie całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że ich ciała są do siebie tak podobne, że to aż śmieszne. Nie da się, rzecz jasna, zaprzeczyć, że Frøydis ma ciało kobiece, Anders zaś męskie, ale poza tymi oczywistymi różnicami są one niemal identyczne. Spotkali się, kiedy oboje przekroczyli czterdzieści lat i odpowiednio dziewięćdziesiąt pięć oraz sto dziesięć kilogramów. A do poznania doszło przy karmelowym puddingu. Frøydis właśnie nałożyła sobie ogromną porcję i wciąż stała z dużą łyżką w dłoni, zastanawiając się, czy by nie zanurzyć jej w jasnożółtej masie jeszcze raz. Anders zaś polewał swoją, równie wielką porcję, gęstym, lśniącym, słodkim sosem.

– Nie istnieje nic lepszego niż karmelowy pudding – powiedział.

– Owszem, istnieje. Żeberka i siekane wieprzowe kotlety – odparła

Frøydis bez mrugnięcia okiem. – A także lekki gin z tonikiem podczas wycieczki do lasu – dodała, tym razem zamierzając mrugnąć do Andersa porozumiewawczo, ale zrezygnowała.

Stali tak i patrzyli na siebie nawzajem. Oboje uśmiechnięci, choć nie zdawali sobie z tego sprawy, oboje wciąż z tymi łyżkami w rękach. Milczeli.

– Moglibyśmy wypić razem kawę? – spytał w końcu Anders. W środku zdania głos lekko mu się załamał, niczym chłopcu przechodzącemu mutację.

Frøydis przytaknęła i kiedy on ruszył przed siebie, zachwycona podążyła za nim. Prowadził ją w stronę pustego stolika pod oknem – prawdopodobnie poszłaby za nim, dokądkolwiek by się skierował. Postawili wypełnione po brzegi miseczki na stole, równocześnie usiedli, popatrzyli na siebie, uśmiechali się i nie mogli przestać. Frøydis pierwsza spuściła wzrok. I natychmiast zatęskniła za tym, by wsunąć do ust cudownie słodki pudding, wtedy jednak odkryła, że zapomnieli łyżeczek.

Anders zerwał się z miejsca.

– Ja przyniosę – rzekł usłużnie.

– Nie, nie, to ja – zaproponowała Frøydis ogarnięta nagłym pragnieniem zrobienia czegoś dla niego, ale kiedy już szła, zaczęła żałować. Obciągała szary żakiet najbardziej jak mogła, zresztą absolutnie bez rezultatu; równocześnie wciągała brzuch w nadziei, że może nie jest aż tak bardzo podobna do foki. Kiedy wracała z łyżeczkami i dwiema filiżankami kawy (której również zapomnieli), boleśnie zdawała sobie sprawę ze swoich rozmiarów. Nie mogła myśleć o niczym innym.

W końcu z ulgą opadła na krzesło. Na szczęście nie zgubiła ani jednej łyżeczki. Poczowała, że brzuch, uda i pośladki wciąż jej drżą. Nie patrzyła na Andersa, a gdy już się uspokoiła, chwyciła łyżeczkę i zaczerpnęła puddingu, który natychmiast zaczął się trząść tak jak tłuszcz pokrywający jej ciało. Odłożyła łyżeczkę i upiła łyk kawy. Kiedy jednak uśmiechnięty Anders posłał jej powłóczyście spojrzenie, wiedziała, że to zupełnie

wyjatkowy mężczyzna i zdecydowała się z nim związać. Wyskrobali do czysta salaterki, gdy zaś nie było już ani śladu słodkiego sosu ani puddingu, Anders wyciągnął rękę, a Frøydis ją ujęła.

Przez całe dwie godziny zajęć Jenna nie mogła przestać myśleć o matce. Wielokrotnie w jej wyobraźni pojawiała się twarz Johanny, ale uśmiechała się uspokajająco do córki, co Jenna uznała za znak, że może cieszyć się gramatyką i starożytnymi Rzymianami. Gdy tylko lekcje dobiegły końca i wyszła z klasy, natychmiast wróciła troska o matkę, niepokój, co zastanie w domu. A jeśli Johanna zrobiła sobie krzywdę? Wyszła z mieszkania i oddaliła się spacerkiem, jak to już nieraz czyniła? Jenna musi do niej wrócić jak najszybciej!

Po omacku próbowała otworzyć drzwi samochodu, ręce jej się trzęsły, przekręciła kluczyk w stacyjce, ale silnik nie zareagował. Tupnęła w podłogę, uderzyła pięścią w deskę rozdzielczą, spróbowała ponownie, wykrzyczała długie przekleństwo lapońskie, którego nauczyła się od babki, ale nic nie pomagało. Wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i powtórzyła przekleństwo. I stało się jakoś tak, że wkrótce nie wyklinała już samochodu, tylko szefa dzielnicowego wydziału opieki nad osobami starszymi, niejakiego Jona D. Ommundsena. Ktoś za nią chrząknął, odwróciła się i zobaczyła tę otyłą kobietę z kursu – pamiętała, że ma na imię Frøydis – przyglądającą się jej z przekrzywioną głową.

– Powinnaś chyba przesiąść się do mnie – powiedziała tamta życzliwie, ale jakoś władczo.

Jenna przytaknęła, a on niech żegluj po własnym morzu, pomyślała, spoglądając na swój samochód. I ruszyła w stronę Frøydis. Trzydzieści sekund później mogła, wdzięczna i odrobinę skrępowana, rozsiaść się w solidnym niemieckim aucie tamtej, wyposażonym w posłuszne konie mechaniczne, skuteczne ogrzewanie i przyjemne, obite skórą siedzenia.

Później żadna z nich nie mogła zrozumieć, co to spowodowało. Ale zanim dotarły do Starego Miasta, gadały jak dwie przyjaciółki znające się od czasów szkolnych i kiedy Frøydis zostawiała Jennę na Vålerendze, ta

zapropowała (żartem, co prawda), że powinny stworzyć coś w rodzaju kobiecej ligi. Obie wybuchnęły głośnym śmiechem, ale propozycja musiała wywołać jakiś oddźwięk, bo obie ją zapamiętały. Może zaczęło się od wdzięczności Jenny, że nie musiała brać taksówki. Najpierw wygłosiła kilka standardowych uprzejmości, upewniła się, czy nie sprawia zbyt wielkiego kłopotu i czy Frøydis naprawdę jedzie w tym samym kierunku. Ta ze swej strony powtarzała, że odwiezienie Jenny to czysta przyjemność, że praktycznie wcale nie nadłożyła drogi i w ogóle nie ma o czym mówić. Wyjaśniła, że mieszka w Majorstuen, więc Vålerenga znajduje się właściwie po drodze. I chyba wtedy Jenna powiedziała coś o tym, że właśnie zdążyła pomyśleć, iż musi dzwonić po taksówkę (czyste kłamstwo, bo jedyne, o czym wtedy myślała, to troska o matkę oraz to, jak bardzo prowokuje ją ten wyniosły typ – Jon D. Ommundsen), a potem opowiedziała Frøydis krótką i dość obojętną historię o tym, jak zachował się szofer, kiedy ostatnio jechała taksówką. Nie dlatego, żeby to było jakieś ważne, ale by wypełnić słowami dzielącą je przestrzeń:

– Nie masz pojęcia, co taksówkarz do mnie powiedział – rzekła, przyglądając się pyzatemu profilowi Frøydis, w którym nos prawie nie wystawał poza czoło i policzki, a broda oraz szyja tworzyły jedną linię. Dziwne, ale Frøydis tak bardzo naruszająca przyjęte kanony urody, mimo wszystko jest piękna.

– Nie! Opowiedz – zachęcała Frøydis, bo Jenna umilkła.

Wyznała więc, że została niemal zwymyślana za to, iż nie od razu podała dokładny adres. Taksówkarz dawał poza tym do zrozumienia, że przyczyną chamstwa, które wylało się z niego (Jenna nie rozumiała przy tym, dlaczego taksometr przez cały czas był włączony), jest mianowicie fakt, że wiezie kobietę, a baby nie mają wyczucia kierunku, nie pamiętają adresów, w ogóle nic nie wiedzą o prowadzeniu samochodu.

– To straszne.

– No. Wylazła z niego potworna nienawiść do kobiet – przytaknęła Jenna. – Szczerze mówiąc, przestraszyłam się. Ubawiło mnie to, ale też

przestraszyło.

Przez chwilę milczały, Frøydis, manewrując, jechała w dół Ekebergåsen. Jenna miała ochotę coś powiedzieć. Wyrzała przez okno, popatrzyła na fiord, pogrążony w jesiennych ciemnościach, spokojny, zobaczyła światła na nabrzeżu i kuter (prawdopodobnie duński) sunący wolno na południe, w stronę kontynentu. I chyba to wtedy Jenna spytała, czy Frøydis jest mężatką. Nadal spoglądała w okno i odezwała się raczej po to, by przerwać milczenie i raz jeszcze okazać wdzięczność, że Frøydis ją podwozi. Wiedziała przy tym, że ta jazda samochodem jest w jakiś sposób ważna. To coś więcej niż tylko dwie panie w aucie. Frøydis pokręciła przecząco głową. Nie, nie jest. A ty?

Jenna odparła, że nigdy nie miała męża. Ale masz dziecko, zauważyła Frøydis. Jenna przytaknęła. Tak, mam córkę.

– Szczęściara – uśmiechnęła się Frøydis.

– Owszem – przyznała Jenna po prostu. – Bardzo się cieszę, że mam Julię.

– To, że ja nie mam dzieci, jest... – zaczęła Frøydis niepewnie, po czym umilkła.

Jenna też się nie odzywała. Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo chce, by Frøydis mówiła dalej, żeby one dwie jechały w ciemnościach i rozmawiały, poznały się nawzajem, zostały przyjaciółkami, płakały i śmiały się razem. Wpiła paznokcie w dłoń tak, że zabolalo. Mów, myślała. Mów!

Frøydis zaczerpnęła powietrza.

– To jest smutne. Bardzo smutne.

Jenna przywykła, że klienci w sklepie matki potrafią przekazywać zdumiewająco intymne informacje (Tego małego smoka kupiłabym dla mojej kochanej teściowej. Szczerze jej nienawidzę. Ona uważa, że mój mąż wciąż jest pięcioletnim chłopczykiem i potrzebuje jej ochrony!). Wiedziała jednak, że tym razem to coś całkiem innego.

– Tak – bąknęła niepewnie. – Mogę to zrozumieć.

Frøydis nie odpowiedziała, włączyła wycieraczki, które przez chwilę szorowały suche szyby, potem je wyłączyła. O tej sprawie Frøydis rozmawia rzadko. Jenna zdawała sobie sprawę, że to nie jest osoba, która opowiada ze szczegółami o swoim życiu, a już zwłaszcza ludziom, których mało zna, o których jeszcze dwie i pół godziny temu nie wiedziała, że w ogóle istnieją. Chociaż z drugiej strony dla takich zwierzeń lepsza jest przypadkowa znajomość. Na przykład w sklepie lub w pociągu. Można powiedzieć wiele komuś, czyjego imienia się nie zna i kogo więcej się nie zobaczy. Ale to, co się teraz dzieje, jest właściwe. Właśnie tak powinno być. Chodzi o to, by Frøydis czuła się dobrze.

Jenna spojrzała na nią, tak, była przekonana, że tamta żałuje swoich słów. Więc ona zareagowała dokładnie tak, jak wiele kobiet w podobnej sytuacji by zrobiło. Odplącała się własnym zwierzeniem.

– Tak się martwię o moją mamę.

Opowiadała, by ulżyć Frøydis, ale sama też poczuła się lepiej. Mówiła o sprawach, o których nie mogła przestać myśleć, zwierzała się Frøydis, jak bardzo się boi, jak wiele matka dla niej znaczy, jak ją kocha i z jakim gniewem przyjmuje fakt, że matka tak się zmienia.

– Tak – westchnęła Frøydis, kiedy Jenna umilkła, i to jedno małe słówko zawierało w sobie bardzo wiele znaczeń. Zaangażowanie, szczere współczucie, zrozumienie. Jenna wszystko to usłyszała.

Później powiedziała jeszcze, że od wielu miesięcy próbuje znaleźć dla matki miejsce w domu opieki, urzędnik oznajmił jednak stanowczo, że Johanna miejsca nie dostanie. Jakoś sobie sama radzi, ma pomoc domową, w mieście mieszka jej dorosła córka. Co tam w mieście, w tym samym domu! – i, ciągnęła dalej Jenna – kiedy ostatnio telefonowała do tego wstrętnego Jona D. Ommundsena, dawał do zrozumienia, że ona po prostu nie ma ochoty zajmować się swoją starą matką.

– Co za bezczelność! – prychnęła Frøydis ze złością.

– Powiedział mi, że to dość niezwykły brak odpowiedzialności za starych rodziców.

– Naprawdę tak się wyraził? A czy ty wiesz, że do mężczyzny nigdy nie miałby śmiałości tak się odezwać?

– Oczywiście masz rację.

– Przeklęty drań!

Frøydis powiedziała „drań” z taką gwałtownością i z taką powagą, że Jenna spojrzała na nią zaskoczona, po czym zaczęła się serdecznie śmiać. Zanosila się, jakby nie mogła – nie chciała – przestać. Siedziały tak obie, było ciemno i ciepło, silnik warczał, samochód kołysał się i kiwał, raz po raz światła jadących z naprzeciwka aut rozjaśniały jego wnętrze. Udo Jenny znajdowało się ledwie kilka centymetrów od uda Frøydis, prawa ręka Frøydis spoczywała na drążku skrzyni biegów. Zwierzyły się sobie nawzajem, przewentylowały frustracje. Spotkały się całkiem nieoczekiwanie, w sposób, jakiego człowiek w swoim życiu nieczęsto doświadcza. Było tak od samego początku, ale naprawdę ujawniło się dopiero teraz, kiedy Jenna zaczęła opowiadać o matce i Jonie D. Ommundsenie. Teraz wszystkie elementy znalazły się na swoich miejscach w jakiś niezwykle sposób do siebie dopasowane.

– Ten drań – krztusiła się Jenna, a słowa ginęły w śmiechu. Jaka to ulga opowiedzieć o matce, cudowne oszołomienie, że ktoś inny wziął na siebie część jej gniewu.

– Siedzimy tu niczym dwie nienawistnice i wygadujemy na facetów – zaśmiewała się Frøydis.

Jenna czuła ciepło w całym ciele:

– Tak, siedzimy tu niczym dwie zgorzkniałe wiedźmy.

– Dlaczego zgorzkniałe? Wystarczy wiedźmy – stwierdziła Frøydis.

– Jasne. Jenna znowu się roześmiała.

– A naprawdę istnieje mnóstwo obrzydliwych męskich egzemplarzy – dodała Frøydis. Nagle spoważniała, choć na twarzy pozostały jeszcze resztki uśmiechu.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie spotkałam mężczyzny bez wad – westchnęła Jenna.

– A ja mam najlepszego na świecie faceta – oznajmiła Frøydis nieoczekiwanie. – Andersa.

– Niech Bóg ma w opiece Andersa – śmiała się Jenna. A więc Frøydis ma faceta, to dobrze, pomyślała. Może i na dzieci nie jest jeszcze za późno?

– Amen – zakończyła Frøydis, znowu wpadając w rozbawienie.

Jenna przyglądała się jej badawczo i gdyby miała być całkiem szczerą – z lekką zazdrością. Jakiś samochód oświetlił na parę sekund twarz Frøydis. Jej skóra była niemal całkiem wolna od zmarszczek, Jenna podejrzewała jednak, że to otyłość tak ją wygładza i podskórny tłuszcz wypełnia od spodu wszystkie załamania naskórka. Frøydis nie jest może taka młoda, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, ale zdecydowanie wciąż mogłaby urodzić. Żadnych uderzeń gorąca ani objawów menopauzy, nie, nie. Czy wypadałoby zapytać, ile ma lat? Nie, uznała, to źle się łączy ze wszystkim, o czym dotychczas rozmawiały. Poza tym zbliżały się właśnie do Tøyen, Jenna zaraz wysiądzie.

– My, kobiety, powinnyśmy bardziej wspierać się nawzajem – rzekła Jenna zamiast pytać o wiek. Zabrzmiało to jakoś uroczyście, ale też lekko. Znaczenie jednak zgodne było z tym, co chciała wyrazić, pozwoliła więc, by zdanie zawisło w powietrzu. Nie skorygowała go, nie cofnęła.

– Masz oczywiście rację – zgodziła się Frøydis i zerknęła na pasażerkę spod oka.

– Szczerze mówiąc powinnyśmy stworzyć jakąś ligę – zawołała Jenna entuzjastycznie. Sama była zaskoczona swoimi słowami. – Taką ligę kobietą, gdzie mogłybyśmy ze sobą rozmawiać i pomagać sobie nawzajem.

Jenna miała plan. Wiedziała, czego chce, ale czy w taki sposób powinna to robić? Może przez swój brak opanowania wszystko zniszczyła? I to idiotyczne określenie: liga, skąd jej to się wzięło? Dopiero wiele godzin później, kiedy leżała już w łóżku i próbowała zasnąć, zdała sobie sprawę, skąd przypuszczalnie pochodzi inspiracja wyboru takiej absurdalnej nazwy: otóż ze sportowych stron Dagbladet.

Frøydis nie powiedziała nic więcej, zatem Jenna dodała nieco bardziej

pojednawczo:

– To znaczy ligę pań.

– Otóż to właśnie. Dla naszej czwórki. Ty i ja. Ella i Celeste.

Frøydis zatrzymała się na światłach. Kobiety popatrzyły na siebie nawzajem. Milczały, ale każda dostrzegała coś w oczach tej drugiej. Myśli Jenny krążyły niczym luźne strzępy papieru na wietrze. Cztery. Ella, nauczycielka łaciny. Celeste, to ta piękna, ciemnowłosa. Czy to te cztery, które... Oczywiście, że tak. Przecież dobitnie zdała sobie z tego sprawę już w czasie przerwy, a wiedziała, jak tylko tam przyszły. Zgadzało się wszystko co do joty. I te aksamitne peleryny. Musiała się uśmiechnąć. Johanna. Dobra, stara Johanna. Kawałki papieru wylądowały, ułożyły się w pełny arkusz.

– Czy chcesz powiedzieć?...

– No właśnie chcę – odparła Frøydis. Zapaliło się zielone światło, więc zdecydowanie ruszyła dalej. – Mam się zatrzymać tam na rogu?

– Tak, świetnie. Liga kobieca – powiedziała Jenna wolno i znowu się roześmiała. Czowała się lekko, trochę oszołomiona, jakby się napiła szampana. I jeszcze to śmieszne słowo: „liga”!

Dziś rano przewracała sportowe strony gazety, starając się dotrzeć do działu kulturalnego. Pomyślała wtedy przelotnie, ile jest na nich zdjęć mężczyzn. Błyszczące od potu ciała, pewność siebie, radość. U dołu prawej strony zamieszczono zdjęcie trzech kobiet: grają w koszykówkę w lidze kobiecej. Pytano je o stosunek do mody sportowej. Jenna z przyzwyczajenia zmarszczyła brwi i sama siebie spytała, jak nazywa się liga, w której grają mężczyźni – przypuszczalnie po prostu liga koszykówki. Dalej przeglądała gazetę, ale zwrot „liga kobieca” wbił się jej w podświadomość i już tam pozostał.

– No to jesteśmy – rzekła Frøydis, podjeżdżając do krawężnika. – To będzie ekstra – dodała po paru sekundach.

– Co? – zapytała Jenna, wsuwając głowę przez jeszcze otwarte drzwi samochodu.

– Ekstra! – powtórzyła Frøydis zadowolona.

Potem znowu obie wybuchnęły śmiechem. Bo czyż to nie jest komiczne zakończenie niezwykłego wieczoru? Liga! Były pobudzone i rozchichotane, zachowywały się prawie tak, jakby obie dopiero co się zakochały. Błyszczące oczy, zarumienione policzki. Przyśpieszony puls. Rozbawienie i radość, zaskoczenie tym, co się między nimi wydarzyło, zarazem pewność, że to słuszne, że dokładnie tak powinno być. I może jeszcze lekkie skrępowanie z powodu zwierzeń tamtej oraz własnych. Co mogły zrobić innego, jak nie wybuchnąć jeszcze raz śmiechem?

– Vale! – zawołała Jenna w końcu i zatrzasnęła drzwi samochodu. Przez chwilę stała jeszcze na chodniku, patrząc w ślad za samochodem, potem odwróciła się i pobiegła w stronę pomalowanego na czerwono, drewnianego domu, w którym czeka Julia i, miejmy nadzieję, Johanna.

*

– Pulcher es! – krzyknęła Frøydis z wielką pewnością siebie jeszcze na schodach, zaraz potem, jak zamknęła za sobą drzwi. Oboje z Andersem mieszkali w dość obszernym, dwupoziomowym mieszkaniu, niedaleko parku Vigelanda.

– He? Ciao, bella! Kurs ci się spodobał? – dobiegło z kuchni.

Frøydis zdjęła płaszcz, wysokie buty wstawiła do szafy (z prawidłami wewnątrz, by obuwie jak najdłużej zachowało fason), powiesiła płaszcz na swoim stałym wieszaku (i zapięła trzy górne guziki, by kołnierz się nie deformował), rzuciła rutynowe spojrzenie w lustro i poprawiła grzywkę. Frøydis nie była kobietą, która by długo i z miłością wpatrywała się w swoje oblicze. Wystarczy sprawdzić. Wszystko w porządku. Wbiegła więc po schodach i raz jeszcze pomyślała, jak bardzo się cieszy z tego, że Anders pojawił się w jej życiu. Teraz czekał na nią przy schodach z dwoma kieliszkami wina.

– Bardzo mi się spodobał – odparła.

– Na zdrowie, kokosowa bułeczko – rzekł, podając jej kieliszek.

– Na zdrowie, kromko chleba ze smalcem – odparła Frøydis

i pociągnęła łyk. – Spudłowałeś – rzekła potem. – Pomyliłeś się o dwa tysiące lat.

– O co ci chodzi?

I Frøydis musiała opowiedzieć, że zamiast na kurs włoskiego, trafiła na łacinę. Anders był kompletnie zaskoczony.

– No to jak zamówimy sobie pizzę, kiedy pojedziemy do Rzymu? Zagłodzimy się na śmierć – mówił, przesadnie przygnębiony. – Jak długo można żyć samą miłością i powietrzem?

– Ty i ja? Chyba niezbyt długo.

– Mam nadzieję, że twoim zdaniem to nie miłości nam brakuje? – roześmiał się Anders.

– Nie, nie, nie to miałam na myśli.

– A propos jedzenia: przygotowałem kolację, jak obiecałem. Odrobina tłuszczu na żebrach bardzo ci się przyda – mówił Anders, obejmując jej wydatne pośladki.

– A ty, mój kochany – odpowiedziała Frøydis. – Najwyraźniej potrzebujesz podstawowego kursu anatomii.

Roześmiani usiedli do nakrytego stołu, na którym Anders ustawił dwa głębokie talerze. Teraz napełnił je po brzegi zupą rybną z pastelowo różowymi rakami, dużymi kawałkami dorsza, kawałeczkami marchewki i pasternaku, a do każdej porcji dodał łyżkę śmietany. Anders, jak chce, to potrafi! Frøydis cmoknęła zadowolona, kiwając głową.

– Pycha! A w ogóle to będę chodzić na ten kurs łaciny.

– No pewnie. W Rzymie jakoś w końcu zamówimy sobie jedzenie – zgadzał się Anders, ale upierał się, że to Frøydis będzie rozmawiać z kelnerami, bo przecież on nie potrafi zamówić nawet właściwego kursu językowego.

– Wiesz, mnie się zdaje, że jest jakiś głębszy sens w tym, iż trafiłam właśnie na ten kurs – rzekła Frøydis, a sposób, w jaki wypowiadała słowa, w żadnym razie nie wskazywał, że żartuje.

Po jedzeniu Anders wziął ją za rękę i pociągnął na kanapę. Frøydis nie

wypuściła jego ręki nawet gdy usiedli, przysunęła blisko, bliziotko swoje syte, kuliste ciało, wsunęła nos w zgięcie jego łokcia i wchłaniała dający poczucie bezpieczeństwa zapach mężczyzny. Przez sekundę było tak, jakby siedziała wtulona w ciało matki. Tak właśnie siadywały obie nieskończoną ilość razy, rozmawiając cicho albo po prostu milcząc.

Frøydis została sierotą tuż po swoich trzynastych urodzinach. W sposób, którego nigdy nie zapomni. Jeszcze teraz miewa koszmarne sny związane z tamtym dniem, bywa, że budzi się w środku nocy, rozdygotana i zlana potem. Wciąż jeszcze jakiś drobny epizod, czyjaś uwaga, zdanie przypadkowo przeczytane lub zasłyszane potrafią wywołać uczucie, że jest na świecie całkiem sama. Strach, jaki wtedy przeżyła, nigdy jej nie opuści. Tylko że teraz potrafi nad nim panować. Stała się na tyle silna, że umie go rozpoznać, odsunąć od siebie, by nie trwał dłużej, niż sama na to pozwoli. Mozolnie wypracowała metody, które pomagają. W tamtym czasie ów ponury strach to było jedyne uczucie przepełniające jej ciało. Świadomość, że jest całkiem sama, że krąży po świecie, a nikt się nią nie zajmuje, nie ma żadnych punktów zaczepienia. Był najgłębiej ulokowany ze wszystkich lęków i dlatego najgorszy. Z początku, kiedy się pojawiał, Frøydis stawała się kompletnie bezradna, nie miała nic, co mogłaby mu przeciwstawić. Skończyła trzynaście lat i została sama. Straciła matkę, na nikim nie mogła już polegać. Z czasem odkryła, że pomaga jej jedzenie. Kiedy napcha się do pełna, czuje się tak, jakby pokarm szczelnie wypełniał pustą przestrzeń w jej duszy. Zaczęła więc jeść, a kiedy już raz do tego doszło, nie widziała powodu, żeby przestawać.

Zabrnęła tak daleko w ów proces „zajadania” strachu, iż pewnego dnia obudziła się lękiem, że już z tego nie wyjdzie. Że nigdy nie znajdzie innego pomysłu na życie, będzie dalej tak jeść i jeść, aż w końcu doprowadzi się do śmierci. Tego za nic nie chciała. Wstała więc z kanapy. Było to trudne przeżycie, najbardziej pragnęła opaść z powrotem na miejsce, ale jednak się przemogła. Skończyła studia ekonomiczne w przewidzianym czasie i ze świetnym wynikiem. Nadal przybierała na wadze, zaczęła kupować szyte

u krawca kostiumy, drogie buty i ekskluzywne perfumy, odnosiła zawodowe sukcesy. Frøydis miała trzy cechy, które sprawiły, że jej się udawało: była bystra, była uparta i była wściekła. Wściekła na tych, którzy odebrali jej matkę, wściekła na mężczyzn, których wyraźnie interesuje wygląd zewnętrzny kobiet, więc jej nigdy żaden nie wybiera. Uznała, że ma tylko swoją głowę. Inne wyjście nie istnieje, myślała, bo przecież nie będzie odgrywać roli obiektu seksualnego. Zamiast tego czytała na przykład „Księcia” Machiavellego, żeby poznać jedną czy drugą jego sztuczkę.

Frøydis od pierwszej chwili pokochała swoją pracę w Kvervik Consulting. Kochała też i to, że zarabia tak dużo, iż może kupić tyle drogich butów i ekskluzywnych perfum, ile zechce. Kiedy weszła do zarządu koncernu (który przez wiele lat składał się z ośmiu mężczyzn, mimo że podstawową wartością dla Kvervik Consulting była różnorodność, a firma nastawiała się na przyszłość i rozwój), uczciła to wydarzenie, zamawiając sobie u krawca jeszcze jeden elegancki kostium.

To mniej więcej w tym czasie Frøydis po raz pierwszy usłyszała głos matki; pewnego wieczora, kiedy przygotowywała referat, usłyszała swoje imię. Fr-r-øydis, powiedział głos z gardłowym „r”. Odwróciła się automatycznie, choć dotarło do niej, że matki oczywiście nie ma w pokoju. Kiedyś Frøydis znajdowała się w ciele matki, teraz matka znalazła się w jej ciele. Była w tym swego rodzaju logika, a w każdym razie pociecha. Głos matki brzmiał dokładnie tak, jak Frøydis zapamiętała. Bardzo charakterystyczny, głęboki i ostry. Mama mówiła szybko i niewyraźnie, kaleczyła norweski dokładnie tak jak za życia. I udzielała Frøydis rad tak samo jak dawniej.

Teraz tuliła się do Andersa jak tylko mogła. Miała szczególną zdolność kierowania myśli na inne tory. Jenna. W tej chwili chciała myśleć o Jennie. Roześmiała się cicho.

– O co chodzi? – szepnął Anders.

– O ligę – odparła.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się. – To po łacinie?

– Tak, sądzę, że tak – zgodziła się Frøydis. Czuła w całym ciele cudowne mrowienie. Ileż mogłyby dokonać! Potem zaczęła całować Andersa w szyję. Anders jest najlepszy ze wszystkich. Dostała od życia znacznie więcej, niż taka niewysoka kobieta z nadwagą mogłaby oczekiwać.

*

Jenna zobaczyła światło w matczynej części domu i zapukała do drzwi. Najpierw dotarł do niej głos Julii. Wtedy poczuła, że ogromna fala ulgi ogarnia jej ciało, zrozumiała, jak bardzo niepokoiła się o matkę. Julia siedziała obok babci i karmiła ją jabłkiem, które obrała i pokroiła na ćwiartki. Uśmiechnęła się do Jenny, Johanna też popatrzyła na nią przyjaznym wzrokiem i z uprzejmym skinieniem, które mogło świadczyć, że nie do końca zdaje sobie sprawę, kim jest ta pani. Jenna uściskała ją i przywitała się.

– Cześć, mamó.

A wtedy Johanna odparła natychmiast:

– Jenna, cześć.

Jenna i Julia posiedziały z Johanną jakiś czas, potem poszły do siebie.

– Ona nie może już mieszkać sama – oznajmiła Julia, kiedy stanęły przed własnymi drzwiami.

Tego dnia Julia zastała u Johannę rozpaloną do czerwoności płytę elektrycznej kuchni. Johanna zaś siedziała na kanapie i patrzyła w telewizor, tyle tylko, że go nie włączyła. Jenna westchnęła. Sytuacja staje się naprawdę dramatyczna. Matka stanowi zagrożenie dla samej siebie. I dla otoczenia. Wciąż mówi o tym, że się boi, bo nie wie, kim jest. Pyta o ludzi, których ani Julia, ani Jenna nie kojarzą, ale domyślają się, że to jacyś przyjaciele i krewni z dzieciństwa.

Następnego ranka, jak tylko przyszła do pracy, Jenna zadzwoniła do urzędu dzielnicowego. Numer telefonu znała na pamięć, było to bardzo łatwe, ponieważ dwie pierwsze cyfry (po numerze kierunkowym)

pomnożone przez trzy dawały w rezultacie dwie ostatnie. Natomiast dwie środkowe były pomnożonym przez dwa numerem kierunkowym. Wydział opieki nad osobami starszymi przyjmował telefony od interesantów w godzinach między dziesiątą a dwunastą. No trudno. Jenna włączyła komputer, sprawdziła maile, stwierdziła, że nie dostała zamówienia, na które złożyła ofertę. Znowu więc przez jakiś czas będzie kruczo z pieniędzmi. Weszła na stronę giełdy i dowiedziała się, że akcje, które kupiła poprzedniego dnia, nie zyskały na wartości. Choć wszystkie zakłęcia wypowiedziała jak trzeba w najdrobniejszych szczegółach, to akcje spadły o kilka øre. To znaczy, że również w tym miesiącu nie wymieni pękniętej serwantki. Jenna wynajmowała biuro niedaleko własnego domu. Nie stać jej było na nic innego, jak ten pełen przeciągów lokal urządzony meblami w bardzo kiepskim stanie, umowa zaś zakładała, że to ona podejmie się ich renowacji. Matka – zanim jej stan bardzo się pogorszył – zaoferowała się, że urządzi jej biuro bardzo przytulnie, kiedy jednak Jenna zorientowała się, że to oznacza kadzidła, mnóstwo miedzianych lichtarzy i barwnych akwarel matki, uprzejmie podziękowała. Ona wolała mieć bardziej neutralną, pozbawioną zapachów strefę, bez obrazów, kryształów, poduszek, paciorków i muszli.

Było dziesięć po dziesiątej, kiedy ponownie sięgnęła po słuchawkę telefonu. Tym razem ktoś odebrał, ale była odsyłana od urzędnika do urzędnika i w końcu trafiła do Jona D. Ommundsena. Znowu! Znowu ten okropny facet. Kiedy z nim rozmawia, ma wrażenie, że trzyma przy ustach brzeg puchowej pierzyny, ten człowiek wchłania całą jej agresję i złość, rozmawia łagodnie i miłutko, zarazem jest nieznośnie arogancki, odpięra wszystkie jej argumenty i dźga, z największą życzliwością, rzecz jasna, jej sumienie.

Przedstawiła się i wyjaśniła, że rozmawiali już wcześniej. Na biurku przed nią leżał nowo zakupiony telefon komórkowy. Jon D. Ommundsen odpowiedział uprzejmie, że ją, oczywiście, pamięta.

– To świetnie – ucieszyła się Jenna. – Mojej matce, niestety, bardzo się

pogorszyło.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Jon D. Ommundsen.

Nagle Jennie wpadł do głowy pomysł. Przysunęła komórkę do staroświeckiej słuchawki telefonu stacjonarnego i włączyła nagrywanie.

– Ona stanowi zagrożenie i dla siebie, i dla innych. Zapomina na przykład wyłączyć kuchnię elektryczną. To po prostu niebezpieczne – mówiła Jenna. Starła się wypowiadać rzeczowo i konkretnie. Teraz nie może dać się ponieść emocjom.

– Musisz zainstalować u niej czujniki dymu – doradził Ommundsen.

– Już to, oczywiście, zrobiłam. U nas, piętro wyżej, też zainstalowałam – informowała Jenna przez zaciśnięte zęby. – Ale pożar może wybuchnąć i tak.

– To prawda – zgodził się Jon D. Ommundsen.

– Ostatnio ona przez większość czasu się boi. Jest rozkojarzona. Nie do końca wie, kim jest, ani kim my jesteśmy.

– Biedaczka – westchnął Jon D. Ommundsen.

– Ona potrzebuje profesjonalnej opieki – upierała się Jenna.

– Potrzebuje opieki, to prawda.

– Często zapomina na przykład o posiłkach.

– Niedobrze. Ważne, by odpowiednio się odżywiała – rzekł Jon D. Ommundsen.

– Zdarza się, że stawia buty na stole w salonie. Zapala świece stojące blisko firanek.

– Uff, to niedobrze. Potrzebuje stałej uwagi. Potrzebuje ciebie.

– Wszystkie żyjemy w niebezpieczeństwie. Nie chcesz chyba odpowiadać za pożar, w którym wszystkie zginiemy?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Jon D. Ommundsen. Był wyraźnie zdziwiony, że Jenna mogła coś takiego o nim pomyśleć, a także lekko oburzony, że jemu takie myśli przypisuje.

– Sądzę, że najlepsze dla niej byłoby miejsce w zakładzie – Jenna próbowała z innej strony.

– Większość starszych osób najbardziej chce mieszkać we własnym domu – stwierdził Ommundsen.

– Mama mówi, że chętnie by się przeniosła. Ona się już po prostu nie czuje dobrze w domu – tłumaczyła Jenna.

– Moim zdaniem ona potrzebuje przede wszystkim troskliwości i towarzystwa – stwierdził urzędnik.

– Odwiedzam mamę codziennie. Ale ona nawet nie zawsze wie, kim jestem, a ja nie wiem, ile jeszcze mogę znieść. Jestem jedyną żywicielką rodziny, mam pracę.

– Jeśli chodzi o rodzinę, trzeba zdobyć się na nieco więcej, to zwykła rzecz – poinformował Jon D. Ommundsen.

– Jedyne, o co proszę – zaczęła Jenna, czując, że głos jej się zaraz załamał. – Jedyne, o co proszę, to spotkanie z wami. Krótkie spotkanie z pracownikami dzielnicy, żebyśmy mogli przedyskutować, co dalej zrobić.

– Niestety, w domach opieki nie mamy żadnych wolnych miejsc – oznajmił Jon D. Ommundsen ze smutkiem w głosie.

– No to co ja mam robić? – Jenna straciła panowanie i rozpląkała się w słuchawkę.

– Możemy zwiększyć opiekę w domu o godzinę tygodniowo. Przy takiej pomocy świetnie dasz sobie radę.

– Nie – zaprotestowała Jenna. – Nie dam sobie świetnie rady! Doba ma dwadzieścia cztery godziny, a dób jest siedem w tygodniu. Co pomoże jedna godzina?

– To przecież twoja matka. Spróbuj postawić się w jej sytuacji. Znaleźć się w otoczeniu obcych, kiedy mogłaby mieć przy sobie własną córkę – mówił spokojny głos po tamtej stronie.

Jenna poznawała po tym głosie, że Jon D. Ommundsen jest urodziwym mężczyzną. Prawdopodobnie wysoki, rude włosy, niewyraźne piegi.

– Jest jeszcze inna sprawa – powiedziała, mobilizując całą swoją siłę, by mówić tak spokojnie jak on. – Mamie porobiły się na nogach rany, które nie chcą się goić. Ja nie wiem...

– Leczenie wymaga naturalnie czasu, ale to nie jest sztuka magiczna – odparł Jon D. Ommundsen. – Jeśli nie możesz lub nie chcesz poświęcać na to własnego czasu, my w dzielnicy możemy załatwić domową pielęgniarkę, która zajmie się ranami aż do wyzdrowienia.

– Dziękuję – bąknęła Jenna. Boże drogi, czy ja mu naprawdę podziękowałam?

– Cała przyjemność po mojej stronie. Żegnam.

Odłożył słuchawkę, zanim Jenna zdążyła odpowiedzieć. Cisnęła więc telefon na biurko. Stara bakelitowa słuchawka podskoczyła kilkakrotnie, niczym kamyk rzucony na powierzchnię wody, ale się nie rozbiła. W drugiej ręce Jenna trzymała telefon komórkowy. Nagrywanie wciąż działało, wcisnęła więc klawisz, żeby wyłączyć.

Długo siedziała z głową wspartą na rękach. Co mogłaby zrobić? Jak zapewnić matce najlepszą opiekę i bezpieczeństwo? Jon D. Ommundsen: „Ona potrzebuje opieki i towarzystwa”, „to normalne, że rodzina musi się zdobyć na nieco więcej”. Że też Jenna mogła spokojnie słuchać czegoś takiego! „Zainstalować czujniki dymu.” Boże, jaki ten człowiek jest rozsądny i pełen zrozumienia. Pomyśleć, że okazał chęć wysłuchania tego, co ona mówi. Gdyby tylko znalazł czas na spotkanie, gdyby polecił komuś odwiedzić jej matkę, podyskutować, co by było najlepsze... Ale nie. Zamiast tego potraktował ją z góry.

Jon D. Ommundsen najwyraźniej potrzebuje jakiegoś pozdrowienia. Może mogłaby to być końska głowa w łóżku? Albo martwy emeryt w domu. Jeden z tych, którzy umarli, bo dzielnica ma za mało środków. Nie, to nie jest zabawne, to chory pomysł. Może powinna by uprowadzić Jona D. Ommundsena, rozebrać kierownika wydziału opieki nad starszymi do naga, narobić mu zdjęć w kompromitujących pozach i wrzucić je do sieci? Te wszystkie scenariusze zaczynały ją ożywiać. Z drugiej jednak strony to chyba nie jego wina. Nim kierują inni. Politycy. On ma budżet i musi się go trzymać. Zobaczyła w wyobraźni twarz Frøydis, tak wyrazistą, jakby ktoś zawiesił przed jej oczyma fotografię.

Liga kobieca! To właśnie jest taka sprawa, jaką liga mogłaby się zająć, pomyślała Jenna. Oczywiście. Bo czyż działania Jona D. Ommundsena nie są wrogię kobietom? No czyż nie są? Owszem są. Ten biurokrata najwyraźniej uważa, że córki lepiej się opiekują swoimi starymi krewnymi niż ich męscy odpowiednicy. Kobieca liga. Która nie istnieje, musiała sobie przypomnieć w następnej chwili. Coś jednak powinnaś z tym zrobić. A w międzyczasie będzie próbować na własną rękę. „Leczenie ran nie jest sztuką magiczną”. Nie, nasz poczciwy Jon D. Ommundsen trafił w sedno.

*

Pierwsze, co Julia zapamiętała, to scena, w której ona, mama i babcia siedzą w sklepie na podłodze, obejmując się nawzajem niczym mała drużyna piłki nożnej. To wtedy Johanna, a może Jenna, spytała:

– Kim my jesteśmy?

A Julia odparła:

– Jesteśmy paniami – ja!

Co jej zdaniem znaczy nie tylko to, że wszystkie mają imiona rozpoczynające się na literę „j”, a kończące na literę „a” (j–a), lecz i to, że wszystkie mówią życiu „tak”^[2]. Trzy pokolenia pań Hilmarsen trzymają się razem, wspierają nawzajem i nigdy nie tracą humoru. Tak, tak, tak, to my! Duże–ja, średnie–ja i małe–ja.

Kiedy Julia miała mniej więcej rok i właśnie nauczyła się mówić „mama”, „baba” i „ja”, i gdy stało się jasne, że matka nigdy nie odczuje potrzeby zamieszkania z jej ojcem, Jenna spytała Johannę, czy nie byłoby dobrze, gdyby wszystkie trzy ja–kobiety znalazły sobie wspólny dom. I tak się też stało. Johanna sprzedała mieszkanie, które zostawił jej w spadku mąż, Magnar Wilhelmsen, Jenna przeprowadziła właśnie dość udaną operację giełdową i wspólnie zakupiły trypoziomowy drewniany dom na Vålerendze. Nie był zbyt duży i raczej idylliczny niż praktyczny. Johanna zamieszkała na parterze, Jenna i Julia zajęły oba piętra. Były to dwa odrębne mieszkania, dwa odrębne gospodarstwa domowe, a równocześnie mogły sobie nawzajem pomagać, pożyczać od siebie kawę, używać

wspólnych naczyń, jednego magicznego lapońskiego bębenka i elektrycznego grilla, wspólnie w razie konieczności przygotowują jedzenie. Raz w tygodniu jadały razem obiad (Musimy zachować wolność, nalegała Johanna). W ciągu pierwszych lat Johanna była opiekunką Julii, kiedy Jenna tego potrzebowała, a Johanna miała na to ochotę. W zamian Jenna pomagała Johannie w sklepie. Była to współpraca bez zobowiązań, wspólnota bez wtrącania się nawzajem w nie swoje sprawy. W ten sposób przeżyły piętnaście lat. Mieszkały razem, znały się na wylot, ale też każda miała swoje drobne tajemnice.

– Posłuchaj, mamó – powiedziała Julia pewnego dnia jakieś dwa tygodnie temu, po powrocie z wizyty u Johannny. – Wszystko, co babcia mówi, odnosi się do wiedźm. Nie rozumiem, do czego zmierza. Naprawdę mówi to, co myśli, czy żartuje? A może ma taką sklerozę?

Jenna popatrzyła na córkę i uśmiechnęła się:

– No przecież wiesz, że ona ostatnio, niestety, miesza ze sobą różne rzeczy.

– A czy dawniej też tyle gadała o wiedźmach? – dopytywała się Julia, mrużąc oczy.

– W każdym razie ja nie pamiętam – odparła Jenna z powagą, spoglądając na córkę.

Jenna od dzieciństwa знаła opowieści matki o czarownicach z ich rodu.

– Nie wszystkie kobiety otrzymywały ten dar – poinformowała Johanna córkę. Jenna była wtedy trochę młodsza niż Julia teraz. – To dotyczy tylko wybranych.

– A czy ja jestem wybrana? – spytała Jenna, nie bardzo wiedząc, czy chciałaby tego czy nie.

– Tylko ty możesz sobie na to pytanie odpowiedzieć. Znajdziesz wyjaśnienie we właściwym czasie – odparła matka. – Dodam tylko, że wybrane rodzą się zawsze w noc październikowej pełni. A wiesz, że wtedy przypadają twoje urodziny.

Jenna wsunęła koniec warkocza do ust i westchnęła, jak zwykła robić,

gdy była zdenerwowana lub podekscytowana. Wiedziała bowiem dobrze, że zarówno ona, jak i matka urodziły się w październiku, a później, jeszcze tego samego dnia, stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że nastąpiło to w nocy z zaznaczoną w kalendarzu pełnią księżyca. Kiedy zaś przyszła na świat Julia, Jenna nie mogła nie odnotować, że stało się to w pewne słoneczne lipcowe przedpołudnie.

– Twoja prababka pochodziła z ludu Saame^[3] i znała się na czarach – tłumaczyła Johanna wytrzeszczającej oczy córce.

– I ona też urodziła się w październiku?

– Wyjmij włosy z ust! Oczywiście, że tak. Twoja prababka umiała też tamować krew i rzucać klątwy na wrogów.

Jenna gapiała się na matkę. Jeden warkocz spoczywał na plecach, jak powinien, ten drugi, ośliniony, znajdował się z przodu.

– Jeśli twoja prababka rzuciła w kogoś kulką włosów, to ten ktoś umierał.

– Jak ona to robiła? – zastanawiała się Jenna, ale na to matka odpowiedzieć nie chciała. Nagle stała się tajemnicza, niemal odpychająca. – Będziesz musiała sama sobie to wyjaśnić – ucięła. Ale po paru dniach pokazała Jennie sporządzoną przez siebie kopię napisów runicznych na starym bębenku lapońskim. Reniferowa skóra naciągnięta na bębenku była niemal biała, a namalowane na niej figurki czarne. Jenna dotknęła palcem wskazującym figurkę znajdującą się pośrodku. – To jest słońce – wyjaśniła Johanna. Mimo wszystko nie chciała opowiedzieć córce, w jaki sposób posługuje się runami.

Pewnego dnia Johanna wspomniała, że jedna z ostatnich czarownic, którą spalono w Norwegii, pochodziła z rodu Jenny. Kiedy jednak ona niemal bez tchu spytała, czy matka mogłaby pokazać jej, jak się czaruje, na przykład sprawić, by lekcja z historii odrobiła się sama, Johanna ją po prostu wyśmiała. W swoje dziewiętnaste urodziny Jenna dowiedziała się, że jest jedną z wybranych. Nie wydarzyło się wtedy nic szczególnego. Po prostu nabrała takiego przekonania.

Johanna zawsze była dumna ze swojej części domu i starała się utrzymać ją w nienagannym stanie. Teraz serce Jenny krajało się, kiedy widziała, jak meble matki pokrywają się warstwą kurzu, jej stanik z pośliskowymi ramiączkami leży na kanapie, a płytki nad kuchnią elektryczną lepią się od tłuszczu. Jeszcze bardziej cierpiała dlatego, że matka niczego nie zauważa i że, co gorsza, nie potrafi już dbać nawet o siebie. Codziennie przychodziła do niej na godzinę pomoc domowa, a co dwa tygodnie inna, żeby pomóc matce pod prysznicem. Johanna przez całe życie kochała wodę, miała do niej niemal zmysłowy stosunek. Może dlatego, że urodziła się na dalekiej północy Norwegii, w domu, w którym nie było bieżącej wody, i w klimacie, w którym nawet latem kąpiele nie zawsze są możliwe. Kiedy przeprowadziła się do Oslo, w letnich miesiącach kąpała się w morzu i leśnych jeziorach tak często, jak mogła. Zimą chodziła na pływalnię. I brała kąpiele w wannie. Codziennie, przez całe dorosłe życie. Jej część domu urządzona była raczej po spartańsku. I nikt nie mógłby jej zarzucić, że jest przesadnie zajęta wnętrzem (ale nie można też zaprzeczyć, że miała zdumiewająco dużo tkanych w domu kilimów, barwnych malowideł i przedmiotów ceramicznych). Łazienka natomiast w żadnym razie spartańska nie była. Przypominała raczej piękny oddział spa, na długo zanim to pojęcie stało się modne. Wyłożona białymi kafelkami, z paprociami w doniczkach. Na półkach stały szklane słoiki z solami kąpielowymi w pięknych kolorach. Ostatnio wstawiona została wanna, w której matka może siedzieć, lekarstwa leżą porozrzucane na serwantce, na krawędzi stoi puszka z plastikowymi ochraniaczami, które pomoc domowa wkłada na buty. Ręczniki leżą nieporządnie rzucone w kącie, rośliny doniczkowe dawno poschły, słoiki z solami zniknęły, jeszcze tylko jeden stoi na górnej półce niczym szydercze przypomnienie tego, co tu było przedtem. Johanna nigdy nie wspomniała, że brak jej tamtych kąpiele, ale ożywia się zawsze, kiedy Jenna proponuje, że wykąpie ją w wannie. Córka zaczęła więc sobie wyrzucać, że nie robi częściej tego, co dla matki jest takie ważne. Ale gdy

tylko podjęła mozolny trud rozebrania matki, zobaczyła jej wychudzone ciało o sterczących żebrach, uda pozbawione mięśni, kości obojczyków pokryte skórą tak pomarszczoną jak krepina i przerzedzone na czubku głowy włosy (o piersiach i podbrzuszu nie mogła nawet myśleć) zaczęła żałować, że zaoferowała jej pomoc. No i jeszcze te rany! Johannie porobiły się na skórze dokuczliwe nacieki, które nie chcą się goić. Umiejscowione są głównie po zewnętrznej stronie ud, czerwone, pokryte dziwnymi pęcherzami, przypominającymi zaschnięty syrop. Jenna oczyszczała je jak mogła, a matka przy tym pojękiwała. Córka dobrze pamiętała, jak matka setki razy pochylała się przed nią, klękała na podłodze i oczyszczała z piasku jej otarcia i skaleczenia, przemywała jodyną, ostrożnie przyklejała plastry i pocieszała. Teraz Jenna klęczy przed chudziutkimi nogami matki, z gazą w ręce, wodą utlenioną i płynem odkażającym, ale nie odczuwa takiego współczucia jak powinna. Uważa, że rany są paskudne i jest zła na matkę, a potem zaczyna złościć się na siebie, że w ogóle dopuszcza do siebie takie myśli.

Przewięzała rany wodoodpornym bandażem, poklepała matkę po ręce. A kiedy Johanna siedziała już w wannie i ostrożnie poruszała dłońmi, uśmiechając się do córki, Jenna poczuła, jak strasznie tęskni za tamtą dawną Johanną.

[1] Blindern – główna siedziba i kampus uniwersytecki w Oslo (przyp. tłum.).

[2] „Ja” w jęz. norweskim – „tak” (przyp. tłum.)

[3] *Saame* – nazwa Lapończyków, jakiej oni sami względem siebie używają i wymagają tego od innych (przyp. tłum.).

LECTIO II – NUNC EST BIBENDUM

czyli
Wykład drugi:
A teraz wypijmy

Za kilka godzin minie dokładnie tydzień, odkąd po raz pierwszy spotkała Jennę, Celeste i Ellę. W minionych dniach Frøydis dużo myślała o tych trzech kobietach, a najczęściej, oczywiście, rozmyślała o sprawie kobiecej ligi. Było wtorkowe popołudnie, o siódmej znowu mają się zobaczyć, a przedtem Frøydis została zaproszona na seminarium czy raczej popołudniowe spotkanie liderów życia gospodarczego. Normalnie nie chciałyby tam iść, czy ściślej mówiąc: normalnie nie zostałyby zaproszone. Bo to Swensson zwykle bywa na tych mających bogatą tradycję popołudniowych zgromadzeniach. Dziś jednak Swensson wypełnia inne zobowiązania, jak sam się wyraził, spytał więc, czy Frøydis nie miałyby ochoty pójść za niego. To ważne, żeby budować sieć kontaktów, dodał. Frøydis zgodziła się, bo wiedziała, że Andersa i tak nie będzie w domu. Może więc spokojnie pójść na to seminarium, potem zgodnie z umową zabrać Jennę (która cieszyła się na wspólną jazdę samochodem), a następnie pojechać prosto na kurs.

Lokal wypełniony był ludźmi w ciemnych ubraniach. Kiedy Frøydis wysiadła z windy, przez moment miała wrażenie, że widzi wyłącznie mężczyzn, po paru sekundach jednak zorientowała się, że kilka z osób, które uznała za mężczyzn w garniturach, to panie w kostiumach. Krótko ostrzyżone włosy, szare, czarne lub granatowe kostiumy. Pocieszała się tym, że jej kostium w kolorze koks różni się przynajmniej od innych cieniutkimi czerwonymi wypustkami przy kołnierzu. Poza tym miała na sobie kupiony przez Andersa top z nieprzyzwoicie głębokim dekoltem.

Rozejrzała się wokół. Goście stali w niewielkich grupach i rozmawiali cicho, lecz z zaangażowaniem. Skinęła głową kobiecie, którą już parę razy

spotkała. Frøydis nie odczuwała potrzeby przyłączenia się do któregoś kręgu gości, dokonywania prezentacji w nadziei na interesującą rozmowę. Po chwili przemaszerowała przed nią kelnerka z tacą kanapek. Frøydis ją zatrzymała, wzięła serwetkę, rozłożyła sobie na dłoni i zbudowała na niej chwiejną wieżę z tyłu kanapek, na ile pozwalała ograniczona powierzchnia. Postanowiła, że je zje i pójdzie do domu. Kiedy zostały jeszcze tylko dwie, nieoczekiwanie jej wzrok padł na niego. Na człowieka stojącego w drugiej części sali. W jakiś niezwykle sposób w tłumie ludzi na moment utworzyło się długie przejście. Od miejsca, w którym stała Frøydis, do tamtego narożnika. Była kompletnie nieprzygotowana na to, co zobaczyła na końcu tego tunelu. To Sturla Hagbartsen. Widziała go przez ułamek sekundy, potem tłum znowu zlał się w jedną zwartą masę nieznanym mężczyznom w garniturach i obcych kobietom w kostiumach. Była okropnie objedzona, bała się, że zaraz zwymiotuje na swoje ciemnoszare buty z kozłej skóry.

– Frou–frou, ma fille, tylko spokojnie.

– Maman. Ja...

– Co, kochanie?

– Nie wiem, co mam zrobić, maman.

– Myślę, że wiesz.

I głos umilkł. Frøydis znowu stała sama, mdłości ustąpiły, ale na jedzenie nie miała już ochoty. Zmiała serwetkę z pozostałymi kanapkami, zanim rzuciła ją po prostu na podłogę, poczuła, że chleb zmienił się w ciasto. Kulka wylądowała przy prawej stopie Frøydis i potoczyła się ku czarnym, z pewnością ręcznie robionym butom jakiegoś wysokiego pana. Frøydis ruszyła w kierunku miejsca, w którym stał Sturla Hagbartsen. Tłum się rozstąpił, ludzie odsuwali się na boki, kiedy szła, tak jak Morze Czerwone rozstąpiło się przed Mojżeszem. Pomyślała, że prawdopodobnie wygląda groźnie. Czowała, że jest groźna. I, starając się zachować neutralny wyraz twarzy, lekko uśmiechnięta podążała przed siebie, pośród ubranych na ciemno mężczyznom. Teraz Jenna powinna mnie widzieć, przyszło jej do

głowy. Właśnie w tej chwili ja sama jestem całą kobiecą ligą!

On stał wciąż w tym samym miejscu i rozmawiał z jakimś drugim panem. Do Frøydis docierały fragmenty zdań i domyśliła się, że o Sturli Hagbartsenie musiały pisać dzisiejsze gazety. Ona sama miała czas na przejrzenie tylko głównej części porannego dziennika. Kiedy teraz stała blisko człowieka, który wyrządził jej i matce tak wiele złego, znowu zaczęła się bać. Przestraszona i niepewna, nie wiedziała, co zrobić. Obserwowała go przez lata. Wyszukiwała informacje w internecie, numery telefonów, posługiwała się swoją damską siecią dobrze poinformowanych i chętnych do plotek koleżanek. Wiedziała, gdzie pracował, zanim przeszedł na emeryturę, sprawdziła wysokość dochodów. Zarabiał dobrze, zgromadził niewielką fortunę. Wiedziała, że ma żonę, dzieci i wnuki. Zawsze lubił ruch na świeżym powietrzu, ale teraz lekarz zabronił mu jeździć na nartach. Parę lat temu przeszedł operację wszczepienia by-passów, więc musi być ostrożny. Żadnych napięć.

Frøydis śledziła ruchy Hagbartsena. Już od tamtego razu sprzed mniej więcej dwudziestu pięciu lat, tak, śledziła go. Na początku musiała liczyć się z ograniczeniami trzynastolatki, później mogła posługiwać się wszelkimi możliwościami, jakie ma do dyspozycji odnosząca sukcesy zawodowo czynna kobieta. I wciąż coś jej się nie zgadzało. Coś odkryła. Wiedziała, że jeśli ma zrobić z tego użytek (tylko jaki?), to musi sprawę zbadać bardzo dokładnie. Frøydis jest osobą systematyczną, nigdy nie bierze się za nic z myślą, że jakoś to będzie. Nie była niczego pewna, nie na sto procent, ale miała powody, by sądzić, że Sturla Hagbartsen mógł sprzeniewierzyć pieniądze. Założył własną firmę, poprosiła więc o przysłanie jej rozliczeń z rejestru gospodarczego. W nich też coś jej się nie zgadzało, na razie jednak dalej się nie posunęła, nie wiedziała zresztą, co robi, jeśli jej podejrzenia się potwierdzą. I oto teraz stoi tuż za nim. Mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć jego granatowej marynarki. Najbardziej jednak chciała stąd odejść. Potem zdała sobie sprawę, że tak właśnie by zrobiła, gdyby nie czekająca ją jazda samochodem z Jenną.

Frøydis, osoba systematyczna, strateg, planista, podjęła ryzyko, wielkie ryzyko, jakby powiedział Anders. Wspięła się na palce, stając się o kilka centymetrów wyższa, delikatnie pociągnęła Sturlę Hagbartsena za rękaw marynarki, z uśmiechem spojrzała mu w twarz, upewniła się, że on nie ma zielonego pojęcia, kim Frøydis jest (no pewnie, jak miałby pamiętać po tylu latach?), przekrzywiła głowę tak, że mężczyzna pochylił się ku niej wyczekująco. Światło słoneczne płynące przez okna padało na jego uszy, które wyglądały, jakby świeciły.

– Chciałabym przekazać ci pewną tajemnicę – rzekła Frøydis cicho i mrugnęła doń kokieteryjnie, a kiedy wielkie ucho starego faceta znalazło się tuż przy jej ustach, powiedziała to. Powiedziała tak głośno, że musiał go zabołec bębenek, ale jednak nie na tyle głośno, by ktoś wokół mógł usłyszeć. – A co, jeśli dojdzie do lustracji ksiąg rachunkowych?

Wyraz jego twarzy świadczył, że trafiła celnie. Malowało się na niej nie tylko zdumienie czy niedowierzanie, był to po prostu strach. Twarz z wolna robiła się biała, ucho, do którego Frøydis mówiła, zmieniło barwę z jasnoróżowej na krwistoczerwoną. Frøydis uśmiechała się ufnie (to przecież tylko niewinne pytanie), odwróciła się na pięcie i opuściła zgromadzenie.

– Salve! – Ella witała swoich uczniów w miarę jak wchodzili do klasy.

Jenna i Frøydis przyszły razem. Ella nie cofnęła się przed stwierdzeniem, że ciało Frøydis jest brzydkie, równocześnie jednak musiała przyznać, że wygląda bardzo dobrze i neutralnie w dopasowanym kostiumie w kolorze szarego koksu, z wąziutką czerwoną wypustką przy kołnierzu. Najwyraźniej przyszła prosto z pracy. Sprawiała wrażenie ożywionej, ale też trochę niespokojnej. Oczy jej lśniły, uśmiechnęła się szeroko do Elli. Nauczycielka odpowiedziała tym samym.

Ostatnia weszła Celeste, na „salve” Elli odpowiedziała z pewnością siebie „bonum diem, domina” i uśmiechnęła się do pozostałych. Celeste miała na sobie ten sam futrzany płaszczyk, co w ubiegłym tygodniu, najwyraźniej znowu zapomniała rękawiczek, bo kulila się i rozcierała

dłonie. Na dworze zrobiło się jeszcze zimniej. Ella spytała wszystkich, jak im idzie. Ut vales? I kiwając głową, słuchała, jak jej sześcioro uczniów posłusznie odpowiada: bene, satis bene oraz optime. Ella przenosiła wzrok z jednego na drugie, potem sama powiedziała, że u niej wszystko całkiem optime, zresztą tak właśnie uważała.

Rano Ella obudziła się z niejasnym poczuciem, że zaczyna oto jeden ze swoich dobrych dni, lekko uśmiechnięta leżała w ciemności i nie chciała się zastanawiać, z czego tak się cieszy, wołała jeszcze przez chwilę rozkoszować się tym oczekiwaniem, spoglądać na plecy Petera z większą życzliwością niż ostatnio, wiedząc, że niedługo ona – bo tego była pewna – będzie robić coś, na co czeka. I wtedy zdała sobie sprawę, że jest wtorek. Dziś wypadają drugie zajęcia wieczorowego kursu. Nie byłaby Ellą Blom, gdyby natychmiast nie pomyślała z ironią: Boże drogi, a więc tak nisko już upadłaś, że tkwisz tu zadowolona, iż poprowadzisz zajęcia na wieczorowym kursie? Kiedy jednak dostatecznie wykpiła sama siebie, znowu poddała się radości. Wielokrotnie w ciągu minionego tygodnia w wyobraźni wdziała swoich uczniów: okrągłą, piękną twarz Frøydis, czujne oczy Erika pod przyszczatym czołem, cudownie jasne oczy Celeste, aksamitnie miękkie zmarszczki pani Næss, młodzieńczy entuzjazm studenta medycyny, rozczochrane włosy Jenny. I, ponieważ nigdy nie potrafiła się od tego odzwyczaić, zaczęła tworzyć historie ich życia. Nie mogła przestać, robiła to od zawsze. Bohaterami byli koledzy, studenci, rodzice koleżanek Mai, dziennikarze telewizyjni i aktorzy. Każdy, kto miał w sobie coś, co ją poruszało. A kiedy już zaczęła, jej wyobraźnia nie potrzebowała wielu zachęt. Mimo wszystko racjonalizm Elli był jednak silniejszy niż jej bujna fantazja, wiedziała, że historie, które wymyśla (o labradorze Erika, o bliskich kontaktach Jenny z ojcem kochającym życie na świeżym powietrzu, o ukochanym wnuku Anne Næss), najprawdopodobniej nie mają żadnego związku z rzeczywistością. I zresztą nie te jej fantastyczne wyobrażenia sprawiły, że odczuwała wielkie przywiązanie do nich (choć słowo „przywiązanie” jest tu chyba zbyt

patetyczne, z kolei „relacja” zbyt techniczne). Ella miała wrażenie, że ona i studenci kursu łaciny mają ze sobą coś wspólnego, coś, co ich, nawiasem mówiąc, wiąże, co tworzy ten zupełnie wyjątkowy nastrój w klasie. A może jest przewrażliwiona? Starzejąca się, przewrażliwiona kobieta w nieudanym małżeństwie.

W wyposażonej po spartańsku klasie dawnej Szkoły Morskiej znajdowało się siedem osób. W tym przypominającym twierdzę budynku z czterema wieżami także i dzisiaj było zbyt gorąco, a jarzeniówki świeciły równie mocno jak poprzednio: spędzali razem dwie godziny w drugi wtorek z rzędu. Gdyby podeszli do okna, mogliby popatrzeć w dół na centrum Oslo, na wysokie budynki hoteli, na świetlne reklamy, na samochody, autobusy i tramwaje, na Dworzec Centralny, skąd nieustannie odjeżdżają pociągi, na migające niebieskim światłem ambulanse. Ale nikt do okna nie podchodził. Na te dwie godziny świat zewnętrzny kompletnie tracił dla nich znaczenie.

Ella mówiła o przymiotnikach. *Albus* znaczy biały (rozpoznamy go też w *albinosie*), *bonus* to dobry, *magnus* – duży. Pamiętajcie, że w łacinie istnieją trzy rodzaje, a przymiotniki przyjmują rodzaj, liczbę i przypadek rzeczowników. *Servus albus*, *porta alba*, *templum album*. Biały sługa, biała brama, biała świątynia^[4]. Sześć przypadków, dwie liczby. W sumie daje to dwanaście form każdego rzeczownika i każdego przymiotnika. Ella zapisała na tablicy i poprosiła, by wszyscy zwrócili uwagę, jak zmieniają się końcówki przymiotników w zależności od rzeczowników.

– To jest reguła o matematycznej urodzie – stwierdziła Ella.

Jenna uśmiechała się zachwycona, nawet Erik (który, gdyby go ktoś zniemacka spytał o cokolwiek, kręciłby tylko głową bez zrozumienia) siedział bez ruchu i najwyraźniej pojmował, co Ella ma na myśli.

Podczas przerwy Bendik oznajmił, że po zajęciach wybiera się na piwo do pubu w mieście.

– Czy to zaproszenie? – spytała Celeste i zatrzepotała rękami, parodiując zakłopotaną panienkę. Ella przyłapała się na tym, że ciekawi

ją, czy Celeste całkiem automatycznie zaczyna flirtować, gdy rozmawia z jakimkolwiek mężczyzną, niezależnie od wieku.

– No, dlaczego nie – odparł Bendik i wyjaśnił, że jest umówiony z kilkoma wspaniałymi chłopakami z medycyny.

– Byłoby strasznie fajnie, gdybyście poszli – powtórzył po zakończeniu drugiej godziny zajęć.

Erik musiał wracać do domu, zresztą mama zabrała go zaraz po kursie. Powlókł się do samochodu, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie podoba mu się, iż jest traktowany jak mały chłopiec.

– In proximum! – zawołała Ella w ślad za postacią w swetrze z kapturem.

Erik odwrócił się i uśmiechnął niepewnie.

– Zobaczymy się następnym razem – przetłumaczyła Ella.

Na to chłopak się rozpromienił, pomachał na pożegnanie i wsiadł do samochodu.

Ella powiedziała w domu, że wróci zaraz po zajęciach, ale teraz wstąpił w nią diabeł. Chciała wyjść do miasta, nie zamierzała informować o tym Petera i postanowiła się upić! Słyszała, jak Celeste i Bendik uzgodnili, że mają się spotkać w pewnym popularnym pubie w pobliżu Parku Zamkowego.

– Pani chyba też pójdzie, pani Næss? – spytała Celeste, a tamta uśmiechnęła się wzruszona.

– Nigdy nie odmawiam młodym studentom medycyny! – oznajmiła.

Bendik poklepał ją po szczupłym ramieniu. Zaczepnie, ale też z szacunkiem. Pani Næss uniosła głowę w sposób, który świadczył, że ma niezłą wprawę w kokietowaniu. I nagle Ella uświadomiła sobie, że kiedyś musiała to być piękna kobieta.

Pani Næss, Bendik i Celeste pojechali z Ellą. Jenna przysiadła się do Frøydis. Wszyscy wiedzieli już, że na kurs też przyjechały razem. Samochód Jenny się zepsuł, wyjaśniła Frøydis z chichotem, kiedy w końcu wszyscy usiedli w pubie przy stole w rogu. Jenna też się roześmiała.

W ogóle obie zachowywały się tak, jakby przyjaźniły się jeszcze jako nastolatki. Bendik swobodnie pochylił się nad stołem i nie wiadomo czemu zaczął opowiadać o Diogenesie.

– Ale on był Grekiem – zaprotestowała Celeste. Nie miała nic przeciwko Bendikowi ani przeciwko temu, że mówi o jakimś Greku. Był to raczej nieświadomy protest wobec potrzeby wielu mężczyzn, by wymądrzać się, czy trzeba czy nie trzeba.

– Naprawdę?

– Tak – odparła Celeste. – Każde dziecko to wie.

– No dobrze, dobrze – zgodził się Bendik. – Był Grekiem. Ale teraz słuchaj!

– Cicero go tłumaczył – wtrąciła Ella.

– No widzisz – uśmiechnął się Bendik triumfująco i szturchnął Celeste w bok. – Diogenes poprosił swoich przyjaciół, żeby po śmierci nie składali go do grobu. Chciał po prostu, by zostawiono go na skraju drogi.

– Uff – jęknęła Frøydis. – Może moglibyśmy zamówić jakieś wino?

– Przyjaciele Diogenesa sprzeciwili się temu, tłumacząc, że przyjdą dzikie zwierzęta i rozszarpiają ciało na strzępy. Połóżcie przy mnie moją laskę, żebym mógł się bronić. Przecież będziesz martwy, przekonywali przyjaciele. Skąd będziesz wiedział, że zwierzęta przyszły? No właśnie, rzekł Diogenes. Ale to oznacza chyba też, że nie zwrócę uwagi, iż pozerają moje martwe ciało.

– Chyba bym się napiła – jęknęła Celeste.

– Podoba mi się to – stwierdziła Jenna, uśmiechając się do Bendika.

No pewnie, pomyślała Ella, zerkając na nią. Racjonalność najwyraźniej nie jest twoją mocną stroną.

– Otóż to, znalazł puentę ten twój Grek – zgodziła się Celeste. – Ale co ona oznacza? Jaki jest morał? Dla nas? Jaki jest głębszy sens tego, że nam o nim teraz opowiedziałeś?

– Nie mam pojęcia – odparł Bendik. – A co powie nauczycielka?

– Rozsądek kontra uczucia – odparła Ella z wahaniem.

– A oto i oni! – zawołał Bendik. Od dłuższego czasu obserwował drzwi i w końcu wypatrzył swoich kolegów. Machał do nich i zapraszał, by się przysiedli.

Nie można było niczego zarzucić studentom medycyny, ani pod względem wyglądu, ani zachowania, mimo to Ella wołała, żeby tu nie siadali. Nie należą do grupy. To intruzi! Roześmiała się ze swojej niechęci, a równocześnie zdziwiła, że tak bardzo chce, by sobie poszli. Wypytywała ich jednak uprzejmie o wydział i o studia medyczne, dyskutowała o roli łaciny dla terminologii medycznej. Nie chciała dopuszczać do siebie myśli, że brakuje jej Erika. Jakie to beznadziejne i jakie patetyczne! Przywołała na pomoc od dawna wypracowaną technikę kpienia z samej siebie. Pani adiunkt tęskni za gimnazjalistą. Kochana, ty mogłabyś być jego matką, co tam matką, ty, która zaczynałaś wyjątkowo wcześnie, nadawałabyś się nawet na jego babkę. A ty co, siedzisz tu i tęsknisz za nim? Za pryszczatym małym? Tym razem jednak ironia nie skutkowała, przecież Erik w żaden sposób jej nie pociąga. W tym, co odczuwa, nie ma nic wstydliwego. Brakuje jej Erika jako członka grupy. Kropka. Na tym to polega: zabrakło jednego ogniwa.

Ella rozejrzała się wokół i zmarszczyła nos, pomieszczenie było, jak na jej gust, trochę zbyt zatłoczone. Widać, że właściciele pragnęli stworzyć tu nastrój rustykalny, a zarazem atmosferę zabawy, bo na ścianach wisiały trąbki, saksofony i inne instrumenty muzyczne, stara piła do cięcia lodu, cynkowa tarka do prania, suszone kwiaty, a poza tym trzy głowy łosi oraz rzeźbiona w drewnie figura z hiszpańskiego galeonu, o bujnych kształtach, jaskrawo czerwonych wargach i z równie czerwonymi brodawkami piersi. Przy licznych stołach siedzieli ciasno stłoczeni hałaśliwi ludzie, którzy głośno opowiadali sobie nawzajem różne historie, śmiali się serdecznie, trącali się kieliszkami.

Pani Næss, rozpromieniona, królowała u szczytu stołu. Ubrana w piękną granatową suknię ze staroświecką broszką po lewej stronie, wyprostowana, o cudownie młodych oczach w pięknej twarzy. Bendik

wciąż stawiał jej kolejne drinki (A co to przyniosłeś tym razem? Daiquiri, powiadasz. No tak, chyba gdzieś o tym czytałam. Mmm, pyszne.). Wypiła już cztery drinki w różnych kolorach, w tym dużą porcję Sex on the beach (Mówisz, że jak to się nazywa? Sex on the beach – no cóż, tyle lat minęło, odkąd robiłam to po raz ostatni, ale o ile sobie przypominam, było strasznie miłe). Z pozoru alkohol za bardzo na nią nie działał. Wciąż siedziała wyprostowana, język jej się nie plątał, ruchy miała precyzyjne, może tylko oczy nieco bardziej błyszczące. Flirtowała po kolei z Bendikiem i jego trzema kolegami, dała jednemu klapsa w dłoń, kiedy powiedział, że jest najwspanialszą kobietą, jaką ostatnio widział. I naprawdę tak uważam, zapewniał. A ja ci wierzę, mój drogi, ty też nie jesteś najgorszy, odparła pani Næss, wypijając ostatni łyk jadownicze zielonego Appletini, ale teraz chciałabym wrócić do domu, gdzie będę dalej fantazjować na wasz temat.

Studenci, którzy i tak wybierali się na koncert, oświadczyli, że po wyjściu pani Næss wieczór będzie do niczego, postanowili więc, że odprowadzą ją wszyscy razem i znajdą jej taksówkę. W drzwiach odwrócili się jeszcze jak na komendę i chórem krzyknęli: Valete! Pani Næss stała w środku, mając po dwóch studentów z każdej strony, ukłoniła się Elli i cała piątka zniknęła w ciemnościach.

– To dopiero dama! – westchnęła Frøydis.

Jak za milczącym porozumieniem, cztery kobiety pozostały na swoich miejscach. Ella, Frøydis, Jenna i Celeste. Po raz pierwszy były ze sobą w czwórkę same. I Ella nabrała przekonania, że taka konstelacja jest jak najbardziej właściwa.

– Chyba zamówimy sobie butelkę wina, dziewczyny? – zaproponowała Celeste. Zdanie było zbudowane w formie pytającej, ale w jej głosie żadnych wątpliwości nie zauważyły, zresztą już machała do kelnera, który pojawił się niemal momentalnie.

Dlaczego kelner nie pojawia się tak szybko, kiedy ja go wzywam, pomyślała Ella i w tej samej chwili zastanowiła się też, dlaczego wciąż

sama sobie zadaje te idiotycznie retoryczne pytania, udając, że nie zna odpowiedzi. Czy mam ci odpowiedzieć, Ello Blom? Dlatego, że ona jest od ciebie ładniejsza, dlatego, że jest młodsza niż ty (wprawdzie niewiele, ale wygląda młodziej), dlatego, że promienieje, że jest piękna, że jest pewna siebie.

Kelner właśnie wrócił, najpierw nalał wina do kieliszka Celeste, a potem do pozostałych. Barolo. Smaczne.

– Teraz chyba wzniesiemy toast – zaproponowała Frøydis.

– O tak – zgodziła się Jenna. Siedziała tak blisko Frøydis, że ich ramiona się dotykały.

– Niczego sobie ten facet – skonstatowała Celeste, unosząc w górę kieliszek. – A wino jest pyszne.

– Który facet?

– Jak to się mówi po łacinie? – spytała Jenna Elleę.

– Na zdrowie? Prosit!

– Prosit – powtórzyły trzy posłuszne uczennice.

– Bendik – odparła Celeste. – Jest na co popatrzeć.

– Teraz zamierzam się upić – oznajmiła Ella stanowczo i jednym duszkiem opróżniła kieliszek. Co ja gadam, pomyślała. Jakbym słyszała kogoś innego, jakieś wypaczone, wulgarne wydanie mnie samej.

– Wspaniały pomysł! – przyłączyła się Jenna. – Ja też!

– I ja – dodała Celeste, zakładając włosy za uszy. – In vino veritas.

W czerwonym winie i tak dalej.

– Prosit – rzekła Frøydis. – Owszem, pośladki ma nienajgorsze.

Frøydis prawie wcale nie myślała o popołudniowym spotkaniu ze Sturlą Hagbertsenem, ale kiedy teraz zobaczyła małe, białe uszy Celeste, przypomniała sobie wielkie, krwiście czerwone ucho tamtego. Co mnie naszło, jak mogłam się odważyć, żeby coś takiego powiedzieć? I tłumiona radość wybuchnęła w niej z całą siłą: ona rzeczywiście ma co świętować dzisiejszego wieczora! Ponownie uniosła kieliszek i przepiła sama do siebie: prosit, Frøydis.

W oczach Elli otoczenie powoli się rozmazywało. Zapomniała, że siedzą w pubie udekorowanym głowami łosi i muzycznymi instrumentami, że są tu jeszcze inni ludzie. Przestała słyszeć ich głosy i toasty. Były tylko one: kobiece głosy. Czoło Frøydis. Ciemne włosy Celeste, nad głową Jenny paliła się lampa, sprawiając, że potargane włosy tamtej lśniły. Jej własne ręce trzymające kieliszek z winem. Jakby któraś z nich włączyła jakiś mechanizm, jakby ktoś wyjął zatyczkę, bo z ust wszystkich czterech płynęły strumieniami słowa. Bez przerwy. Bez ustanku. Zdania i historie toczyły się wartko. Nie było sekundy, żeby przynajmniej jedna czegoś nie mówiła. Rozmawiały o miejscach wakacyjnych, o malarstwie, o Bliskim Wschodzie, o ulubionych kolorach i ukochanych zwierzętach (Kolibry, powiedziała Ella. A ja kocham mrówkojady, stwierdziła Celeste). Przy trzeciej butelce Celeste wyznała, że ma kochanka, nawet dwóch, jednego na stałe, a właśnie teraz znalazła również przystojnego, zadbanego faceta, ale liczy się z tym, że wkrótce go zmieni. Jenna stwierdziła, że nie jest tak łatwo znaleźć nowego kochanka. Mężczyźni nie rosną na drzewach. Ależ tak, upierała się Celeste. Tak właśnie jest. Trzeba tylko trochę potrząsnąć gałęziami, to padają do twoich stóp. Jezu, ty to masz pełną kontrolę sytuacji, powiedziała któraś, chyba Jenna. Wtedy Celeste zdrętwiała. Nie myśleć o tym, nie myśleć. Ale niewiele to pomogło. Dziś rano dostała kolejny list. Leżał przy drzwiach razem z gazetą. Wyobraź sobie, że to twoje białe futerko mogłoby mieć paskudne czerwone plamy. Czy powinna im teraz o tym powiedzieć? Ale w tej samej chwili, kiedy postanowiła opowiedzieć o Neronie, o swoim prześladowcy, o tym, że się boi, że boi się śmiertelnie, Ella rzekła, że najgorsze, co istnieje, to kobiety polujące na żonatych mężczyzn. *Alius est Amor, alius Cupido* (Co innego miłość, co innego pożądanie).

– Ale winę ponosi chyba żonaty mężczyzna, bo to on jest niewierny, a nie kobieta z którą grzeszy – zawołała Celeste, chwytając się rozpaczliwie możliwości odsunięcia na chwilę myśli o Neronie.

– *It takes two to tango* – przytaknęła Frøydis. – Trudno winą obarczać

tylko kobietę.

– No jasne, że wina leży również po stronie mężczyzny – zgodziła się Ella. – Mimo to najbardziej ze wszystkiego nienawidzę kobiet romansujących z żonatymi mężczyznami.

– Zgadza się – zawołała Jenna w sposób, który sprawił, że Celeste pomyślała, iż tamta musiała kiedyś zostać strasznie oszukana.

– A ja jestem taka szczęśliwa – zawołała Frøydis i zaczęła wychwalać Andersa. – Anders jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie!

– Znaleźć takiego, to jakby wygrać czternaście milionów w lotto – westchnęła Ella.

– No właśnie! I mnie szczęście dopisało! A nie macie pojęcia, co ja dzisiaj zrobiłam – ciągnęła Frøydis rozogniona, w następnym momencie zaczęła pociągać nosem i szepnęła: – Nie macie pojęcia.

– Tak? – zdziwiła się Jenna. – A co zrobiłaś? Chcesz nam o tym powiedzieć? Chcesz powiedzieć mnie?

– Nie – odparła Frøydis i niczym zakłopotana uczennica dodała: – Bo właściwie nic nie zrobiłam. Zadałam tylko krótkie pytanie.

– Tak, ale teraz chyba wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Jenna. Nie miała pojęcia, o czym Frøydis mówi, jednak robiła, co mogła, by ją uspokoić. Tak jak wielokrotnie uspokajała Julię. Poklepała Frøydis po ręce z poufałością wywołaną bardziej tymi trzema podróżami samochodem niż winem, które dziś wieczorem wypija.

Celeste i Ella siedziały skrzępowane, nie bardzo wiedząc, co zrobić, a wtedy Frøydis znowu podniosła głowę.

– Wszystko jest w porządku – powiedziała. – Przepraszam za ten wybuch. Jesteście cudowne.

– O tak, jesteście cudowne – powtórzyła Ella z ulgą.

– I wypijemy za cudownego Andersa! – zawołała Celeste. – Zdrowie wszystkich cudownych mężczyzn!

– To jest takich więcej? – zdziwiła się Jenna. – A co z twoimi studentami, Ella? Dużo tam masz pysznej jagnięciny?

– Daj mi jeszcze trochę wina – poprosiła Frøydis.

– Mmm – mruzczała Celeste. – Kotleciki jagnięce.

– To jest... – zaczęła Ella.

– Podoba mi się to – powiedziała Jenna, pociągając rękaw swetra Elli. – Ładnie ci w tym kolorze.

– ...zabronione, chciałaś powiedzieć? – dokończyła za Ellę Celeste.

– Nic tak nie smakuje jak zakazany owoc – oznajmiła Frøydis, nie mając pojęcia, o czym Celeste i Ella rozmawiają.

Jenna pochyliła się ku niej.

– My cztery – szepnęła.

Frøydis chrząknęła, zastukała w kieliszek i powiedziała podniesionym głosem:

– Jenna i ja założyłyśmy... ligę.

– Ligę? – zdziwiła się Celeste.

– To wspaniale. Co ty właściwie teraz powiedziałaś? – Ella wybuchnęła śmiechem, nie bardzo wiedząc, dlaczego.

– Założyłyśmy kobiecą ligę – powtórzyła Frøydis ze śmiertelną powagą, a potem i ona zaczęła się śmiać.

Jenna próbowała tłumaczyć, że to był tylko żart, o tej lidze obie z Frøydis rozmawiały tydzień temu w drodze z kursu do domu. Takie tam głupstwa. I ona też zaniósła się śmiechem, aż się zakrztusiła, bo wino wpadło nie do tej dziurki i Frøydis musiała stukać ją między łopatkami. Ella i Celeste obserwowały je z uwagą.

– Wgląda mi to na coś, do czego mogłabym się zapisać – rzekła Celeste.

– I Ella też. Prawda, Ella?

– Bez wątplenia – odparła wykładowczyni.

– A będziemy robić tam coś jeszcze prócz chichotania?

– Nie – zaśmiała się Jenna.

– Tak – powiedziała równocześnie z nią Frøydis. – To ma być...

– To ma być klub dla kobiet – ciągnęła Jenna, teraz pół żartem pół serio. – Dla nas. Dla naszej czwórki.

– Będziemy... – podjęła Frøydis – ...jakby to sformułować, naprawiać niektóre błędy popełniane przez mężczyzn. Kierować ich na właściwe tory. A najchętniej skłaniać ich do zastanowienia się, powstrzymywać przed robieniem podobnych głupstw w przyszłości.

– Skłaniać mężczyzn do myślenia? Marzenie ściętej głowy – krzyknęła Celeste.

Jenna znowu zacisnęła powieki i próbowała się skoncentrować. Właśnie to teraz się dzieje. Liga powstaje.

– Będziemy się na nich mścić – uściśliła Frøydis.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zawołała Celeste.

– Czy wy się wygłupiacie? Jak to? – niedowierzała Ella.

– W jaki sposób miałybyśmy to robić?

– Czy oni są naprawdę tacy beznadziejni? – spytała Celeste. – Tak poważnie mówiąc.

Frøydis przywołała kelnera, który akurat przechodził obok, i zamówiła jeszcze jedną butelkę wina. Jej głos brzmiał swobodnie, ale pojawiały się w nim tony ostrzegające, że zaraz powie coś bardziej podniosłego:

– Wy mnie nie znacie – zaczęła. – Już jednak wiecie o mnie jedną rzecz: mam najwspanialszego na świecie współlokatora, i ten współlokator jest mężczyzną. Zatem nie jestem kobietą, która nienawidzi mężczyzn.

– Współlokator? Fantastyczny? Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś? – drażniła się z nią Celeste.

– Mimo to nie mogę przecież nie widzieć, że nam w Norwegii jest wciąż jeszcze bardzo daleko do równości płci. Pamiętajcie o różnicy płac! Pamiętajcie o przemocy, jaką mężczyźni stosują wobec kobiet. I nie zapominajcie też o czymś tak banalnym jak liczba kobiet i mężczyzn, o których pisze się w gazetach lub których pokazuje się w telewizji. Kobiety to mniej niż trzecia część osób opisywanych lub fotografowanych.

– Teraz będziemy mieć wykład? – mruknęła Celeste, ale umilkła i słuchała Frøydis, która omawiała właśnie zjawisko klubów dla panów.

– Oni tam nawzajem się rekomendują – mówiła Frøydis. – Zasiadają

w tych samych zarządach, wychwalają jedni drugich, są członkami Rotary Club i udzielają sobie wzajemnie referencji.

– No, tak jest – potwierdziła Celeste.

– Mężczyźni w piątki piją razem piwo – ciągnęła Frøydis. – Razem jeżdżą na golfa, jak tylko nadarzy się okazja. Ważne decyzje podejmowane są na nieformalnych forach.

– Forum oznacza otwarty plac – mruknęła Ella.

– Spotkania, w których uczestniczą kobiety, służą tylko do formalizowania decyzji, do przyklepywania rozstrzygnięć – zakończyła Frøydis.

– No, tak jest – powtórzyła Celeste.

– Tak jest też na uczelniach – wtrąciła Ella. – Męskie koleżeństwo kwitnie. *Asinus asinum fricat* (Osioł liże osła).

– Osobiste doświadczenie? – spytała Frøydis.

Ella przekrzywiła głowę, nie powiedziała ani tak, ani nie. Miała ochotę wspomnieć coś o swoich problemach z Edmundem Benewitzem–Nielsenem, postanowiła jednak poczekać. Nie wydawało się jej właściwe wymienianie jednego nazwiska, kiedy rozmawiają ogólnie o sytuacji, zresztą obgadywanie po nazwisku konkretnego człowieka to zupełnie inna sprawa. Celeste najwyraźniej nie miała takich obiekcji. Bez skrępowania opowiadała o pewnym mężczyźnie ze swojej firmy, kimś, kogo na początku określiła jako Napalony Karl, a teraz wymieniała go już z imienia i nazwiska: Karl Hebborn.

Frøydis pochyliła się nad stołem i warknęła: – Dag Martin Martinsen. – On jest okropny – jęknęła na dodatek.

– To twój szef? – spytała Jenna. – I muszę powiedzieć tylko to jedno: masz piękny sweterek, Ella.

– Nie, w zasadzie nie – odparła Frøydis. – Ja jestem takim samym szefem jak on, ale on zachowuje się tak, jakby był moim zwierzchnikiem, a poza tym kocha wszelkiego rodzaju imprezy sportowe.

Ella stłumiła uśmiech, Celeste roześmiała się głośno.

– No a ty, Jenna? Na kim, w twoim imieniu, klub miałby się zemścić? – spytała Frøydis. – Zdaje mi się, że wiem przynajmniej o jednym takim.

Tak, Jenna myślała oczywiście o Jonie D. Ommundsenie. Uśmiechnęła się, upiła łyk wina, potem jeszcze jeden i jeszcze, zanim odstawiła kieliszek na stół. Dobrze, może o tym powiedzieć. Nie zapomniała tych władczych męskich technik, którymi on się posługuje, tego przesadnego, szyderczego zdumienia, jakie okazał w dniu, w którym zapytał, czy Jenna woli, by obcy ludzie przejęli opiekę nad jej matką.

– No, dalej, Jenna! – zachęcała Frøydis.

– On się nazywa Jon D. Ommundsen – zaczęła Jenna zdecydowanie. – Jest szefem działu opieki nad osobami starszymi – dodała, zwracając się do dwóch pozostałych.

– Zanotowane – oznajmiła Frøydis.

– Ty znowu się wygłupiasz? – spytała Celeste.

– Oczywiście, że tak – stwierdziła Ella. – Widzisz przecież, że niczego nie notuje.

– A kogo mamy załatwić dla ciebie? – spytała Frøydis. – Może jakiegoś profesora? Jednego z tych męskich szowinistów, o których dopiero co mówiłaś? Który jest najgorszy?

Czy mogłaby to powiedzieć? Czy może łączyć coś tak poważnego z pijackim bełkotem Frøydis?

– On się nazywa Edmund Benewitz–Nielsen – odparła pośpiesznie i poczuła się tak, jakby w końcu zdecydowała się skoczyć z wysokiej skały do morza. Człowiek się wzdraga, boi się, ale kiedy już to zrobi, jest szczęśliwy. Uff, jesteś pijana. Nigdy nie powinnaś była wypowiadać jego nazwiska.

– Kolejni? Nie macie ich więcej? – pytała Jenna. – Teraz, kiedy tak dobrze zaczęliśmy?

– Jest, oczywiście, wielu innych – rzekła Frøydis twardo.

Celeste zaczerpnęła powietrza, by powiedzieć coś o Neronie. Nie, jednak nie może. Przecież dał jej niezwykle jasno do zrozumienia, jeśli

Celeste nie będzie trzymać języka za zębami i komuś opowie o jego elegancko sformułowanych pogroźkach, to pożałuje.

– Celeste, wygląda na to, że siedzisz i rozważasz nazwisko jeszcze jednego drania.

– Nie – odparła, uśmiechnęła się i poczuła, że łyzy pieką ją pod powiekami.

– Dobrze, później się tym zajmiemy. Na razie mamy na liście czterech panów – podsumowała Frøydis. – To dopiero początek. Mamy Napalonego Karla, czarującego szefa Celeste. Mamy kolegę Elli Edmunda Benewitza–Nielsena, mamy Jona D. Ommundsena z wydziału opieki nad starszymi osobami, no i mamy mojego Daga Martina Martinsena. Czterech panów, czterech prawdziwych drani.

– No i co? – spytała Jenna. – Co z nimi zrobimy?

– Co za pamięć! – zawołała Celeste. – Wow!

– Wszystkiemu winne jest to, co panowie noszą między nogami – oznajmiła Ella i poczuła się zuchwała.

– To co, miałybyśmy ich wszystkich po prostu wykastrować? Poobcinać im te walory? No, może wtedy nie byliby tacy najgorsi – mówiła Jenna.

– Chciałabyś pozbawić ich tej części ciała, którą mimo wszystko najbardziej lubisz? – spytała Celeste, z niedowierzaniem wytrzeszczając oczy.

Jenna potrząsnęła głową.

– Nie, zresztą właściwie po co komu chłop bez penisa?

Kiedy śmiech ucichł, Frøydis powiedziała jasnym wysokim głosem i z naturalnym autorytetem przywódcy, oczekującym, że zostanie wysłuchany:

– Zróbmy to! Założmy ligę.

Jenna przymknęła oczy.

– Tak – krzyknęła Celeste ułamek sekundy później. – Zróbmy to!

Jakie to proste. Jenna otworzyła oczy, najpierw popatrzyła na Celeste, potem na Ellę, a w końcu na Frøydis. W chwilę później siedziały z głowami

pochylenymi ku sobie i omawiały zasady działania klubu. Nie chciały się brać za najgorszych, takich jak alfonsi, fanatycy religijni, zwolennicy obrzezania kobiet, mordercy, czy łamiący zasady ruchu.

– Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet, nie leżą w kręgu naszego zainteresowania – stwierdziła Frøydis stanowczo.

– Dlaczego nie? – spytała Ella.

– Tym niech się zajmą inni. Policja. Politycy. My weźmiemy pod lupę takich, którzy pogardzają kobietami.

Powinny się zmierzyć z szowinistami powszedniego dnia. Mężczyznami, którzy przechwalają się, jacy to są nowocześni.

– Hurrra! – wrzasnęła jedna z członkiń ligi.

Ella nie wiedziała która. Nie słyszała już muzyki, choć z pewnością w pubie grają, docierały do niej tylko basy niczym uderzenia w błony bębenkowe. Ella słyszała swój głos, widziała swoje gestykujące ręce, mimo to miała wrażenie, że jej tu nie ma. Nagle zdała sobie sprawę, co jej to przypomina. To jest taki stan, jak między snem a jawą. Człowiek przesuwają się raz bardziej w tę, raz bardziej w drugą stronę. W ubiegłym tygodniu Ella zasnęła przed telewizorem i czuła się mniej więcej tak samo: słyszała fragmenty tego, co mówiono i nawet jakoś sama w programie uczestniczyła, w następnej sekundzie pogrążyła się we śnie, pojawiały się marzenia, będące wypaczonym wydaniem tego, co akurat docierało do niej z telewizora. Jednocześnie wiedziała przecież, że czuwa, że nie siedzi przy stole w tym strasznie zatłoczonym pubie i śpi. Jest podpiita, to prawda. Wypiła dziś więcej alkoholu niż kiedykolwiek od czasów studenckich, ale wiedziała, że nie tylko to tworzy poczucie, iż uczestniczy w czymś nierzeczywistym. Jest w tym wszystkim coś chorego. Czy to tylko moje takie zwykle krytyczne ja, zastanawiała się, ale nie mogła w to uwierzyć. Sytuacja jest osobliwa pod każdym względem: oto cztery dorosłe kobiety siedzą w zimny wtorkowy wieczór przy stole i planują powołanie klubu. Klubu, którego celem będzie mścić się na mężczyznach. Czyż to nie chore? Zemsta. Słyszała wyraźnie słowo „zemsta”, czy to przywidzenie? Echo jej

własnych myśli? Czy właśnie tego chce? Zemsty? Zemsty na Edmundzie Benewitzu–Nielsenie? Na Peterze? Peterze, który z całą pewnością ją zdradza, który jej już nie kocha? Zemsty na jego kochance? Zemsta. Co to takiego? I jak miałyby pomóc? Czy powinny wykastrować Petera? Czy ona, Ella Blom, byłaby od tego szczęśliwsza?

Widziała niewyraźnie, głowy koleżanek się kiwały. Widziała, że Jenna coś mówi, widziała, że Celeste się śmieje. Widziała, że Frøydis unosi kieliszek i prawdopodobnie pije czyjeś zdrowie. Ella nie pojmowała tylko czyje. Słowa Jenny nie zawierały żadnego sensu. Śmiech Celeste nie był już śmiechem, ale czym w takim razie? Nie, nie, pozbieraj się, Ello Blom. Słowo „kastrowanie” powstało jedynie w twojej głowie. Nikt go nie wypowiedział. Śmiech Celeste jest wulgarny, ale pozbawiony złości. Pozostałe kobiety są tak samo zrównoważone i rozsądne jak ona, martwienie się tym, co mówią, byłoby głupotą i histerią. Niewinny klub! Jeszcze mocniej zacisnęła powieki, a kiedy znowu je otworzyła, stwierdziła, że któraś z tamtych musiała zamówić szampana, bo wszystkie trzymały wysokie kieliszki i wznosiły toast, ona też. Uniosła kieliszek, popatrzyła na trzy pozostałe kobiety i przyglądała się bąbelkom.

– Nasze zdrowie – powiedziała Frøydis.

– Zdrowie – powtórzyła Ella, a nikt nie zauważył, że język jej się płacze.

Policzki Jenny płonęły, włosy miała bardziej potargane niż zazwyczaj. Celeste nie mogła przestać się śmiać. Jeden guzik u drogiego żakietu Frøydis dyndał na nitce, ale ona nie zwracała na to uwagi. Oczy jej lśniły.

*

Kiedy ostrożnie otwierała drzwi, Ella czuła się niczym pełna winy gimnazjalistka zbyt późno wracająca do domu. Zamknęła je od środka i na palcach wślizgnęła się do mieszkania. Była czwarta nad ranem, a ona powiedziała, że wróci zaraz po kursie. Przeżywała ten sam lęk, który nękał ją jako nastolatkę, te same wyrzuty sumienia, że nie dotrzymała umowy (Elviro Louise, czy ty wiesz, która godzina? A przecież jutro

wcześnie rano idziesz do szkoły!). Zdjęła buty i postawiła ostrożnie na półce, ale czubkami stuknęła w ścianę mocniej niż to konieczne. Zamarła na chwilę. Czy Peter usłyszał? No tak, rozpoznawała również to pragnienie, żeby ktoś za nią tęsknił, chciała potwierdzenia, że jest kochana, że ktoś nie spał, czekał i martwił się o nią. Ale nikt na nią nie czekał (Co ty sobie myślisz, jesteś przecież dorosłą kobietą). Peter na pewno śpi. Rozejrzała się, próbując znaleźć w mieszkaniu jakieś znaki, że ktoś jednak nie spał, ale niczego nie dostrzegła. Żadnej filiżanki po kawie, żadnej rozłożonej gazety, którą mąż przeglądał, zastanawiając się, co się stało z żoną. Jej telefon komórkowy nie zawierał żadnych wiadomości ani wezwań bez odpowiedzi. Wszystko wskazywało na to, że Peter nie obawiał się o nią, może nawet nie zwrócił uwagi, że jej nie ma.

Szła w stronę łazienki i sypialni, ale nagle zdała sobie sprawę, że to niemożliwe, by mogła się położyć w podwójnym łóżu, obok męża. Postanowiła więc zamiast tego zaparzyć sobie filiżankę herbaty. Następnego dnia i tak nie ma spotkań, równie dobrze może „przenieść pracę badawczą w inne miejsce”, jak to określa wykaz obowiązków dla pracowników naukowych, i to „inne miejsce” jutro będzie oznaczać łóżko, a potem może jej domowy gabinet, postanowiła. W końcu pracownicy uniwersytetu też muszą mieć jakieś korzyści.

Oburącz obejmowała filiżankę, odczuwała gorąco w opuszkach palców niczym ból. W końcu musiała filiżankę odstawić i siedziała, wpatrując się w czerwony płyn. Rooibos, podobno bardzo zdrowa, a co ważniejsze bez kofeiny. Rooibos zawiera kwercetynę, która działa uspokajająco. Jest to w każdym razie stały nocny napój Elli, chociaż czy uspokajający i usypiający, to już inna sprawa. Na stole przed nią leżały dwa listy o mało kuszącym wyglądzie, w zwyczajnych białych kopertach z okienkami.

Ella uniosła głowę. Czy to jakiś hałas? Czy Peter idzie zobaczyć co z nią? Nie, to pewnie u sąsiadów. Wciąż odczuwała skutki wypitego wina, miłe przytłumienie świadomości. Miała ochotę posiedzieć trochę dłużej. Nie, poprawka: Ello Blum, ty nie masz ochoty siedzieć dłużej, ty chcesz po

prostu odsunąć ten moment, kiedy pójdziesz i położysz się obok męża. Tak, tak, powiedziała Ella półgłosem sama do siebie. Jak zawsze masz rację. Podniosła się, mdliło ją z niewyspania i nadmiaru alkoholu. Jeszcze jedna filiżanka herbaty, zdecydowała. Wyciągnęła rękę i sięgnęła po poranne wydanie Aftenposten. Rano, zanim wyruszyła do Blindern, nie przeczytała wstępniaka ani kroniki (co z dawnego przyzwyczajenia uważa za obowiązek), paru recenzji książek, które – uznała – powinna przeczytać, choć wiedziała, że nigdy ich nie otworzy, poza tym nawet nie zerknęła na nekrologi i wspomnienia o zmarłych (które zawsze czyta z wielkim zainteresowaniem). Przerzuciła tylko strony ekonomiczne, przebiegła wzrokiem artykuł o pięciu kobietach, które odniosły sukces w biznesie. Dlaczego zawsze trzeba podkreślać, że to były kobiety? Dlaczego zawsze trzeba twierdzić, że jest to coś odbiegającego od normy, w tym, że kobietom się powiodło? Roześmiała się, bardziej dlatego, że w tej sytuacji wydawało się jej to właściwe, niż dlatego, że artykuł o poprawie atmosfery w miejscu pracy jakoś szczególnie ją rozbawił („Chętnie aranżują rozmaite zajęcia na świeżym powietrzu w czasie pracy lub po jej zakończeniu”). Tak jakby Edmund Benewitz–Nielsen stał się łagodny niczym baranek, gdyby zabrała go na wycieczkę narciarską. Bez większego zainteresowania czytała o byłym dyrektorze banku, który dzielił się swoimi propozycjami jak emeryci mogą sensownie spędzać czas: „Śledzę oczywiście zmiany wartości korony i oprocentowania, ale wyprawy z wnukami na działkę są w moich planach na pierwszym miejscu.” Zerknęła na zdjęcie tego emerytowanego już dyrektora banku, uznała, że wygląda sympatycznie, taki stary pater familias, surowy, ale z gruntu dobry i zgodny. Kocha wyprawy narciarskie, wyczytała, ale teraz, po ostatniej operacji serca lekarz zapowiedział mu, że nie może się przemęczać.

Ella ziewnęła, wypija jeszcze jeden łyk herbaty, nasłuchiwała chwilę, czy w nocnej ciszy nie usłyszy, jak Peter przewraca się na drugi bok. Nie, teraz i ona może pójść do łóżka. Mox nox (Wkrótce noc).

W domu niedaleko mieszkania Elli w swoim mieszkaniu siedziała

Frøydis i wpatrywała się w ten sam artykuł. Anders już dawno zasnął (weszła do sypialni i pocałowała go w usta, on się nie obudził, ale uśmiechnął przez sen). Frøydis usiadła, by przemyśleć wydarzenia wieczoru i przyszyć urywający się guzik. Przypadkiem spojrzała na zdjęcie. Oczywiście, to ten artykuł. „Rodzina znaczy dla mnie wszystko”, przeczytała. I potem jeszcze raz. Teraz Frøydis Brun siedziała dość spokojnie i nakłuwała gazetę igłą, dziurka przy dziurce. Frøydis mogłaby powiedzieć Elli, jaki błąd popełnia: szef banku Sturla Hagbartsen wcale nie jest łagodnym ojcem rodziny. Zaledwie parę godzin temu patrzyła prosto na jedno ucho starego człowieka; widziała, jak zmienia ono kolor z różowego na krwisto czerwony. Frøydis dźgała igłą i dźgała. W końcu, kiedy nie można już było odczytać, jakie to nazwisko, złożyła gazetę i wyrzuciła do kosza z makulaturą.

Otworzyła drzwi lodówki z tym samym oczekiwaniem, jakie zawsze odczuwa w tej sytuacji, i spoglądała na wszystkie pyszności, które tam się znajdowały. Co wybrać? Co byłoby odpowiednie o takiej porze? Niezależnie od ataku złości ma co świętować. Zrobiła to! Przecisnęła się przez tłum ludzi i stanęła z nim oko w oko. Mogło to teraz oznaczać tylko jedno: ciasto. Ona i Anders niemal zawsze mają w lodówce torcik czekoladowy. Na początku Frøydis piekła, ale ostatnio wiele razy zrobił to Anders (i zawsze zostawiał w kuchni bałagan). Słodkie ciasto prawie bez mąki, na które potrzeba czterech tabliczek kokosowej czekolady, świeżego masła i jaj. Frøydis odziedziczyła przepis po mamą. Ciasto rozpływa się w ustach i pozostawia na podniebieniu pyszną warstewkę tłuszczu. Ciekawe, czy Anders zjadł ostatni kawałek. Nie, na szczęście znalazła jeszcze trochę w plastikowym pudełku na drzwiach. Bogu dzięki. I do tego szklanka zimnego mleka.

Kwadrans później, syta i zadowolona, weszła na górę i położyła się tuż obok miękkiego, budzącego poczucie bezpieczeństwa ciała Andersa. Życie nie jest takie najgorsze. I zanoszą się na coś więcej niż babska przyjaźń między nią i trzema pozostałymi paniami z kursu. Wszystkie one mają

w sobie to coś, tego Frøydis jest pewna. Celeste jest wystarczająco szalona. Wszystko, czego potrzebuje Ella, to czas. A Jenna już z nią jest.

Jenna piła mniej niż pozostałe panie, mimo to przed pójściem do łóżka zadbała o uzupełnienie płynów w organizmie. Wypiła trzy czwarte litra zimnej wody z dzbanka, który z jakiegoś powodu stał na kuchennym blacie. Kiedy odstawiła dzbanek, poczuła, że robi się jej gorąco, fala ciepła przepływa przez ciało, pot się leje, wycieka przez wszystkie pory, aż sweter zrobił się całkiem mokry. Zakręciło się jej w głowie, zdjęła sweter, została tylko w staniku. Pomogło.

Na palcach zeszła po schodach na dół i nasłuchiwała przy drzwiach matki. Stała tak, dopóki nie usłyszała cichego chrapania. Na górze, w swojej części domu, umyła się do pasa myjką zanurzoną w zimnej wodzie, włożyła białą, staroświecką nocną koszulę, wyszczotkowała zęby, ostrożnie otworzyła drzwi do pokoju Julii, zobaczyła głowę córki na poduszce, westchnęła, widząc ubrania rozrzucone po podłodze i znowu ostrożnie zamknęła drzwi. W salonie nad kanapą paliła się lampa, na stole znajdowały się resztki pizzy, którą Julia najwyraźniej jadła na obiad. Laptop, który dzieliły obie z Julią, stał włączony na podłodze. Jenna otworzyła swoje konto i sprawdziła, czy ma akcje, których kupno zleciła przed południem. Nie, najwyraźniej się spóźniła. Nie zrobiło to jednak na niej wrażenia. W końcu spotkała tamte kobiety. Wygląda na to, że się spełni. Jej idea. Nareszcie coś osiągnęła dzięki swoim magicznym sztuczkom. Teraz chodzi tylko o to, by przenieść magiczne kompetencje również na rynek akcji. Zachichotała. Owszem, byłoby wspaniale, gdyby miała więcej pieniędzy. Ale przecież w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Do tego, co zamierzają zrobić, wielu pieniędzy nie trzeba! Tej nocy Jenna miała sen o czterech ptakach. Krążyły wolno nad kimś leżącym na ziemi.

Celeste właśnie zasnęła. Leżała naga w całkowicie bezpiecznych objęciach Bjørna, brodatego dziennikarza, z którym zwykła sypiać. Bjørn był kompletnie pozbawiony romantyczności i niezwykle rzeczowy. Nigdy nawet nie dał do zrozumienia, że jest lub że może być w niej zakochany

lub że ma jakieś inne, poważniejsze zamiary. Jest zainteresowany jej ciałem, ją interesuje jego ciało. Co więcej, pożąda ciała dokładnie takiego, jakie ona ma.

Bywało, że potem leżeli i rozmawiali, najczęściej jednak zegnali się, nie umawiając na nic. Celeste miała do niego zaufanie, ale wiedzieli o sobie nawzajem bardzo niewiele i chcieli, żeby tak właśnie było. Ona nie wie nawet, czy Bjørn jest żonaty, on nie ma pojęcia o istnieniu Sebbe, ani o Neronie.

Ella wślizgnęła się do sypialni. Peter pochrapywał zadowolony, po swojej stronie łóżka, zalaatywało od niego whisky, ale zapachu perfum dzisiaj nie czuła. Odwrócił się plecami do niej. Nawet przez sen mnie odpycha. Peter jęknął cicho. Ella uznała, że zaczyna mu się właśnie erotyczny sen. Założyłabym się, że to nie ja mu się przyśniłam. Ella przyłożyła głowę do poduszki i patrzyła w ciemność.

*

Odkąd Ella Blom skończyła jedenaście lat, zawsze, zanim została jej wypłacona tygodniówka, musiała omawiać treść wybranych kronik z Aftenposten z minionego tygodnia. Od trzeciego roku życia uczestniczyła w grze zwanej Słowo Dnia, co stało się dla niej równie oczywiste jak to, że człowiek posługuje się nożem i widelcem. Była też niesłychanie zdziwiona, kiedy jako siedmiolatka odkryła, że w innych rodzinach niczego takiego się nie praktykuje.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że małżonkowie Blom lekceważyli wychowanie jedynaczki Elli. Były lekcje gry na pianinie i szkoła baletowa. Była dyscyplina i starannie wydzielana miłość. Były letnie kursy językowe, no i to Słowo Dnia. Podczas obiadu mianowicie ojciec odgrywał krótkie przedstawienie, w którym każdego dnia prezentował nowe słowo. Jeśli Ella w tamtych czasach nie bardzo kochała te ceremonie, to przynajmniej później bardzo sobie ceniła owe codzienne glosariusze, które jej aplikowano przez całe dzieciństwo i młodość: Ella dysponowała nie tylko lingwistyczną bazą, lecz także pasywnym zasobem słów

w rozmiarach, od których niejeden leksykograf mógłby zzielenieć z zazdrości. Słowa były najczęściej wybierane po prostu *con amore* (co omawiano w Słowie Dnia 13 kwietnia 1975 r.). Od czasu do czasu darowywano jej tę mękę, a w zamian otrzymywała lekcję, która była źle maskowanym kazaniem umoralniającym. Wszystko zaś po to, by sprowadzić ją znowu na właściwą drogę.

Kiedy Ella miała prawie dziesięć lat, została przyłapana na kradzieży ciasteczek z ceramicznego pojemnika w kuchni. Ojciec nic wtedy nie powiedział (wychowanie dziecka, dopóki chodziło o drobiazgi, a nie o główne zasady, to nie było jego pole), ale jako Słowo Dnia wybrał wówczas „obżarstwo”. Dysponent Blom siedział z kamienną twarzą i informował Ellę, jak następuje: „Obżerać się, znaczy spożywać więcej niż trzeba. Synonimami tego czasownika są opychać się, łasuchować. Do języka norweskiego słowo przyszło z Niemiec.” Ella kiwała głową. Nie zapomniała nigdy, że w języku norweskim słowo „obżerać się” ma takie właśnie korzenie i dbała potem, by swoje interesy źle znoszące światło dnia załatwiać bardziej dyskretnie.

O narodzinach Elli Blom niewiele jest do powiedzenia, właściwie nic poza tym, że kiedy już znalazła się na świecie, nieoczekiwanie zaczęła pluć. Podobnie jak większość przedsięwzięć, które Ella podejmowała, jej narodziny odbyły się szczęśliwie. Gdyby nie ta ślina, można by nawet użyć określenia „bezbłędnie”. Ella leżała w delikatnych ciemnościach, w wodach płodowych, o tak samo perfekcyjnie dostosowanej temperaturze jak wina, które w późniejszym życiu miała podawać pełnym podziwu gościom. Leżała tam długo, pobierała pokarm, spała, rosła i rozwijała się, aż nabrała pewności, że czas nadszedł, ułożyła rączki wzdłuż dokładnie trzyipółkilogramowego ciała, zaczęła zdecydowanie wpychać głowę w szyjkę macicy, która ustępowała pod naporem, podobnie jak później, gdy Ella miała przywyknąć, iż otoczenie najczęściej jej ulega (zanim jako dorosła kobieta zaczęła napotykać opór, którego, jak sądziła, nie da się wytrzymać). Posuwała się bez żadnych wątpliwości, bez wahania, ku

światłu. Odczuwała silną niechęć do tego, co ją otaczało w ciasnym, ciemnym przejściu, ale rozumiała, że to jedyna droga. Na zewnątrz, w białym pokoju, zaciskała powieki przed światłem, do którego nie przywykła, i chłodem. A potem z powagą i badawczo popatrzyła na trzy twarze, które przyglądały się jej w napięciu. I wtedy splunęła. Zmarszczyła nos z obrzydzeniem, ściągnęła usta i splunęła, spora ilość śliny wylądowała na podłodze. Nie ma jasności, czy wówczas obecni zrozumieli, co właśnie zrobiła.

– Jest po prostu śliczna – powiedziała jedna z osób.

– Spójrzcie na te pięknie ukształtowane brwi – dodał inny głos.

– Ona wyrośnie na kogoś znacznego. Witaj na świecie Elviro Louise! – rzekł jedyny mężczyzna w pokoju.

Dziecko patrzyło na niego z otwartą buzią.

– Spójrzcie, ona próbuje coś powiedzieć! – krzyknął zachwycony ojciec.

I rzeczywiście, wyglądało na to, że małeństwo chce im przekazać coś ważnego. Zdawało się, że głowę dziewczynki wypełniają kryształowo jasne myśli, że dokładnie wie, co chciałyby powiedzieć, brak jej tylko słów, by to wyrazić.

Ella bardzo chciała sama się przedstawić, przywitać z tymi trojgiem i powiedzieć, że podziela przewidywania ojca co do jej przyszłości. Kiedy jednak otworzyła buzię, wydostał się z niej dźwięk, który nie wyrażał tego, co zamierzała. Zdecydowała się więc milczeć, dopóki nie będzie umiała zakomunikować swego przesłania jasno i jednoznacznie. Elviro Louise Blom, wstrzymaj się z mówieniem, dopóki się tego nie nauczysz. I Ella nie wypowiedziała ani jednego słowa, póki nie skończyła dwóch lat, a kiedy już zaczęła mówić, jej język pozostawał w pełnej zgodzie z gramatycznymi regułami.

Elvira Louise otrzymała imię po prababce ze strony ojca. Okazało się, że jest ono trudne do wymówienia dla jej małych przyjaciółek (sama Ella nie miała żadnych kłopotów z wymową), i potem już przez całe życie wszyscy nazywali ją Ellą.

Narodziny to sprawa, która jeszcze i teraz pojawia się w jej myślach, co niekiedy wydaje się wręcz nieznośne. Jej nos, ten sam nos, który ma dzisiaj, choć wtedy w mniejszym wydaniu, został otarty w drogach rodnych matki i przypuszczalnie napełnił się śluzem oraz krwią. A usta, które, jej zdaniem, wtedy mocno zaciskała, zostały przeciągnięte przez ciasny tunel tak, że dolna warga straciła błonę śluzową i do buzi dziecka dostały się fizjologiczne płyny matki. Nic dziwnego, że zaraz po wyjściu na świat splunęła.

Jako dziecko Ella była małomówna, ale umiała bardzo dobrze się wypowiedzieć i jako dorosła kobieta też to potrafi. Słowa padające z jej ust są wyszukane i wyrażają dokładnie to, co chce. Studia skończyła z najlepszym wynikiem jako dwudziestotrzylatka, a doktorat obroniła po dwudziestych ósmym urodzinach. Dziesięć miesięcy po tym, jak ubrana na biało stanęła na ślubnym kobiercu, urodziła się Maja. Ella i jej mąż mieszkali w dużym mieszkaniu na tyłach zamku królewskiego – trzy pokoje w amfiladzie, z oknami od ulicy. Posiadali wszystko, czego mogli pragnąć: designerskie meble, elegancki serwis porcelanowy, zastawę do herbaty Georga Jensena, samochód volvo, oddzielną garderobę, przytulną bibliotekę wypełnioną książkami od pokrytej parkietem podłogi po sztukaterie na suficie.

Ella wiele rozmyśla. Snuje refleksje, ocenia, wartościuje. Jej myśli krążą wokół tych samych tematów, toczą się runda za rundą, aż natrafia na coś, co je zatrzymuje. Zawsze w tym samym punkcie. Zderza się z Peterem i Edmundem, Edmundem i Peterem. Podjęła wiele właściwych decyzji w życiu, z jednym, może dwoma wyjątkami: Ella nigdy nie powinna była dopuścić, by Edmund Benewitz–Nielsen myślał, że go podziwia; nigdy nie powinna była pozwolić, by ją pocałował. I prawdopodobnie byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby nie wyszła za Petera Ditlefa Hoffa.

[4] Świątynia w jęz. łacińskim jest rodzaju nijakiego (przyp. tłum.).

LECTIO III – MEMENTO MORI

czyli *Wykład trzeci:* *Pamiętaj o śmierci*

W łacinie mamy dwie liczby (liczbę pojedynczą i liczbę mnogą – czyli singularis i pluralis, Ella uważała, że należy to powiedzieć we właściwym momencie kursu), trzy rodzaje (masculinum, femininum i neutrum) oraz sześć przypadków (nominativus, genetivus, dativus, accusativus, ablativus, vocativus). Istnieje sześć deklinacji rzeczowników. Dzisiaj nauczyli się odmieniać rzeczownik pierwszej deklinacji: puella, dziewczyna. Puella, puellae, puellae, puellam, puella, puella – w liczbie pojedynczej oraz puellae, puellarum, puellis, puellas, puellis, puellae w liczbie mnogiej. Zanim wrócili do Rzymu i mów Cycerona, zahaczyli o Pompeje. Wezuwiusz był znany z dymu i ognia jeszcze przed wybuchem w 79 roku. W greckiej mitologii mówi się, że jest to góra posadowiona na grzbiecie plującego ogniem potwora. A czy wiedzieliście, że w jednej willi znaleziono mnóstwo skamieniałych zwojów papirusu, zaś w ich rozwinięciu i odczytaniu brali udział też norwescy uczeni?

Kiedy minęła dziewiąta z minutami i Ella ogłosiła, że zajęcia na dziś dobiegły końca, uczestnicy kursu popatrzyli po sobie, chwilę pozostali jeszcze na miejscach, a potem zaczęli wolno, niechętnie wstawać. Ella nie czekała z niecierpliwością, aż sobie pójdą, mimo to było w niej coś, co sprawiło, że Erik, który zamierzał zostać, aż nikogo już nie będzie, by porozmawiać z Ellą o łacińskim tekście piosenki, jaki próbował napisać, rozmyślił się. Mama po mnie przyjedzie, poinformował natomiast Ellę. Padło to dość dla niej nieoczekiwanie, bo nie wiedziała, co właściwie chłopak ma na myśli. Ach tak, rzekła. Erik w tej samej sekundzie zdał sobie sprawę, jakie to niepotrzebne i głupie, co powiedział, i jakie zawstydzające, że znowu wspomniał o mamie. Zaczerwieniony zniknął

w drzwiach. Ella spoglądała w ślad za nim i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jeszcze nie tak dawno temu Maja była tak samo nieporadna.

Bendik spoglądał pytająco na Celeste, ale napotkał życzliwą odmowę, choć z żadnej strony nie padło ani słowo, więc młody człowiek odwrócił się i uklonił pani Næss z pytaniem, czy chciałaby pojechać z nim do miasta:

– Pożyczyłem starego golfa, ale chcę ostrzec, że on nie ma ogrzewania.

– Nic nie szkodzi – odparła pani Næss. Uznała najwyraźniej, że gdyby było trzeba, Bendik sam ją rozgrzeje. – Wyglądasz na gorącokrwistego, młody człowieku – powiedziała.

Stojąca obok Celeste kiwała głową.

Tylne światła golfa Bendika zniknęły. Cztery kobiety odwróciły się od okna. Żadna się nie odezwała, nie patrzyły na siebie, jakby nagle wszystkie boleśnie sobie uświadomiły, że przecież wcale się nawzajem nie znają. Żadna nie zaprotestowała, gdy Ella bez ostrzeżenia zgasiła światło i tylko lampa u sufitu na korytarzu oświetlała pokój. To był po prostu impuls i Ella natychmiast zaczęła żałować. Cóż za dziwaczne zabiegi! Ponownie wyciągnęła rękę do kontaktu, ale Jenna ją powstrzymała.

– Zaczekaj – powiedziała. – Przyniosłam stearynowe świece.

Pogrzebała w ogromnej torbie i postawiła na stole cztery płaskie świeczki w miseczkach, sięgnęła po zapałki i zapaliła. Mdła, chybotliwa poświata pełgała po ścianach, a w pokoju rozszedł się korzenny zapach. Następnie Jenna ustawiła laseczkę kadzidła w porcelanowym statywie, który też wyjęła z przepastnej, tkanej na krosnach torby (raczej pojemnego worka uszytego z indiańskiego poncza czy czegoś takiego). Zapaliła również kadzidło i nos Elli wypełniła intensywna woń, niemal irytująca. To nie jest możliwe. To, szczerze mówiąc, nieznośne i przykre uczestniczyć w czymś takim. Ale stała z rękami opuszczonym wzdłuż ciała, nie poruszała się, nie odzywała. Jenna znowu pogrzebała w swojej torbie. Z żartobliwym ta-ta-ta-tam wyciągnęła coś ciemnego i falującego, podobna do matadora machającego bykowi przed oczyma płaszczem.

– A to co? – spytała Frøydis sceptycznie.

– Wzięłam po prostu parę rzeczy z butiku mamy – odparła Jenna z mieszaniną zawstydzenia i pychy w głosie. Stała z tą ciemną tkaniną w objęciach, nie dając znaku, że chciałyby im to pokazać i powiedzieć coś więcej.

– Będziemy się przebierać za wiedźmy? Naprawdę to mamy robić? – spytała Celeste inkwizytorskim tonem. W następnym momencie uśmiechnęła się szeroko do Jenny, ale pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

Ella również bez entuzjazmu spoglądała na ciemny materiał w ramionach Jenny i nadal nic nie mówiła. W głębi duszy przemawiała jednak do siebie, choć nie słuchała własnych słów, klepała tylko napomnienia, te ironiczne „słuchaj no, Ello Blom” i swoje „teraz musisz wziąć się w garść”. W innym punkcie świadomości, pośród czterech tańczących wiedźm, pojawiła się pewna myśl, myśl o czymś ważnym, czego jednak nie była w stanie sformułować. Owa myśl zdawała się możliwa do uchwycenia, a mimo to wymykała się. Czy ma ona coś wspólnego z Edmundem Benewitzem–Nielsenem? Czy to coś takiego? Coś łączy ją z ptakami, ale co? Ella próbowała się koncentrować, gdy jej starania, by pochwycić ulotną myśl, przerwało głośne prychnięcie Frøydis. Poczula pustkę w głowie i ani ona, ani Frøydis nie zdobyły się na protest, gdy Jenna dała każdej po pelerynie. Obie przyjęły je posłusznie i trzymały okrycia w objęciach. Peleryny okazały się zaskakująco ciężkie, ale mięciutkie niczym kocie futerko.

– To są peleryny – wyjaśniła Jenna.

– Czy my nie posuwamy się za daleko? – spytała Celeste.

Jenna spojrzała na nią. W tym momencie Celeste upuściła swoje okrycie, które bezgłośnie opadło na podłogę i rozłożyło się niczym oleista plama na jasnoszarym linoleum.

– To po prostu żart – rzekła Ella, może bardziej po to, by uspokoić samą siebie i ten nieustannie gdaczący wewnętrzny głos.

– Chodźcie, dziewczyny. Przymierzmy to. Tylko tak dla zabawy.

Ella pierwsza narzuciła na siebie pelerynę. Znowu uderzyło ją, że materiał jest dziwnie ciężki, ale potem zauważyła, że to piękny strój: długi, uszyty z czarnego mięsistego aksamitu, ze spiczasto zakończonym długim kapturem, podszyty równie czarnym jedwabiem. Pozostałe patrzyły na nią, obróciła się więc w kółko, próbowała odgrywać rolę zabawnego manekina, który traktuje to wszystko jako wygłup.

– Przypomina mi akademicką togę – powiedziała.

Celeste pochyliła się i podniosła swoją pelerynę. Włożyła ją i zrobiła kilka piruetów, co kompletnie rozbroiło Elle.

– Ostatni krzyk mody dla czarownic – skwitowała Jenna ubawiona.

– Moda dla wiedźm – potwierdziła Celeste.

Ale ona też nie czuła się szczególnie komfortowo, podobnie jak Ella robiła, co mogła, by to ukryć. Najpierw nie potrafiła rozpoznać nieprzyjemnego uczucia w rejonie żołądka, w końcu jednak zrozumiała: czuje się skrępowana. Zaskakująco owo skrępowanie mieszało się z dobrze znanym lękiem przed Neronem.

Teraz powinnam się obracać, powiedziała sobie. Pozostałe pozornie dały się nabrać na jej grę, skrępowanie powoli ustępowało i pojawiała się zwykła u Celeste pewność siebie, pewność własnego ciała, własnej osobowości. Okazało się to zaraźliwe. Ella przyśpieszyła obroty, potknęła się i wybuchnęła śmiechem. Frøydis rozwinęła pelerynę i włożyła na siebie, Jenna zrobiła to samo. Peleryna Frøydis była krótsza i szersza niż pozostałe, mimo to uwierała ją pod pachami i zamiatała podłogę. Pominąwszy szczegóły, Frøydis od razu poczuła się w niej dobrze. No właśnie, może tego było nam trzeba, pomyślała.

Przez kilka sekund stały poważne, obserwując się nawzajem. Celeste wydobyła ze swojej torby srebrną piersiówkę i trzy małe kieliszki.

– Calvados! – oznajmiła, zdjęła zakrętkę i naląła jabłkowego alkoholu najpierw do niej, a potem do tych trzech kieliszków. – Prosit!

Wszystkie wypily jednym haustem, choć przecież się nie umawiały. Ella poczuła, że wódka spływa w dół jej ciała. Była rozkosznie oszołomiona

tym, że wypła wszystko na raz. Ani Jenna, ani Celeste nie robiły żadnych uwag. Celeste dlatego, że często pija alkohol właśnie w ten sposób, Jenna dlatego, że wystarczyło jej patrzenie na trzy koleżanki wczuwające się w nastrój sabatu czarownic. Frøydis, która była najbardziej zaawansowaną użytkowniczką alkoholu, zdumiała się własnym zachowaniem – zwykle smakuje wino lub koniak, przenosi językiem na podniebienie, obraca płyn w ustach, dozując napój małymi łyżkami pozwala, by smak się rozprzestrzenił. Dlaczego to po prostu w siebie wlała? Cóż za marnotrawstwo wspaniałych doznań!

Znowu popatrzyły jedna na drugą i wszystkie otrzymały odpowiedź na pytanie, którego żadna nie zadała: czy tylko ja czuję się inaczej? Odpowiedź widziały wyraźnie w oczach pozostałych. Wszystkie wiedziały, że dzieje się coś wyjątkowego. Potem, kiedy Ella leżała już w swoim łóżku i próbowała usprawiedliwić to, w czym wzięła udział, przyłapała się na myśli, że peleryny muszą być magiczne. Włożenie ich na siebie spełnia taką samą funkcję jak narkotyk stymulujący centralny układ nerwowy. Wszystkie one stały się silniejsze, dojrzalsze, w ich głowach pojawiły się jaśniejsze i bardziej wyrafinowane myśli właśnie dzięki tym strojom.

Ella przesuwiała dłoń po gładkim aksamicie. Są silne, są dzielne. Są... są amazonkami.

– Jesteśmy dumne i silne – powiedziała wolno. Głos brzmiał uroczyście. Wszystkie zwróciły się ku niej.

– Jesteśmy amazonkami.

– One miały tylko po jednym cycku! – krzyknęła Frøydis, burząc magiczną atmosferę, dziwny, nierzeczywisty nastrój, w którym się znalazły, i przywołała wszystkie z powrotem do tej dość obskurnej klasy.

– Owszem, zgodnie z grecką mitologią amazonki musiały obcinać lub wypalać sobie prawą pierś, by móc maksymalnie napinać łuki – potwierdziła Ella, już nie tak uroczyście, ale swoim zwykłym nauczycielskim głosem.

Jenna pokręciła głową. Było oczywiste, że kobiety bez jednej piersi do

niej nie przemawiają. Mnie to by pasowało, pomyślała Celeste, ale nie powiedziała nic.

– Musiały pozostawać dziewicami, dopóki nie zabiją trzech mężczyzn – dodała Ella.

– Too late dla wszystkich tutaj – pisnęła Celeste.

– Na utracone dziewictwo nic poradzić nie mogę, zgłaszam jednak dobrowolną wstrzemięźliwość, dopóki nie strzelę w łeb trzem facetom – krzyknęła Jenna ze śmiechem. – Może być?

– A czy amazonki nie są... bardzo wysokie? – spytała Frøydís niepewnym, cieniutkim głosem. Właściwie miała ochotę powiedzieć coś złośliwego o dziewczynach, które wszywają sobie przed ślubem sztuczne błony dziewicze. Dlaczego dajemy sobie wmawiać, że nietknięte kobiety są lepsze, podczas gdy mężczyzna prawiczek wydaje się jedynie śmieszny? A przecież tak myślą wszyscy, nawet nowoczesne zachodnie panie, które jednocześnie żywią pogardę dla kultur wymagających czystości aż do ślubu. Frøydís naprawdę by nie chciała, żeby Anders był zupełnie niedoświadczony, ale jest też przekonana, że on nie miałby nic przeciwko temu, gdyby się okazało, że jest jej pierwszym.

Wszystkie śmiały się jeszcze głośniej.

– Amazonki – powiedziała Jenna jakby na próbę, jeszcze trochę zdyszana od śmiechu. – No, sama nie wiem. Przecież one też są greckie. Nie miałybyś jakiejś odpowiedniejszej łacińskiej nazwy, Ella?

Ella próbowała się zastanawiać, oszołomiona zmianą nastroju, wciąż roześmiana. I nagle przypomniała sobie. Dziwne, że wcześniej na to nie wpadła.

– Virago.

– Viagra? – wykrzyknęła Jenna.

– Mamy przyjąć nazwę jakiegoś lekarstwa? – zapytała Celeste. – I to lekarstwa, które podstarzałych facetów wprowadza na wojenną ścieżkę, bo ich pewność siebie doznała uszczerbku i chcą powrócić do dawnego stanu?

– Virago – skorygowała Ella. – Silna, odważna kobieta.

– No to tak jak my – ucieszyła się Frøydis.

– Powiedzmy w miniaturze – stwierdziła Celeste.

– Viragi – rzekła Jenna i pokiwała głową. – Dla mnie brzmi nieźle.

– Liczba mnoga brzmi viragines – sprostowała Ella. – Myślę jednak, że gramatykę możemy olać. Jedna virago, cztery viragi.

– Pewnie po raz pierwszy w życiu powiedziałaś coś takiego – roześmiała się Celeste.

Viragi zostały przyjęte. Fuck gramatykę...

– I facetów też! – przyłączyła się Frøydis.

– Więcej niż chętnie – zgodziła się Celeste.

– A więc jesteśmy viragi – podsumowała Jenna.

– Viragi – powtórzyła Ella. Uznała, że to chyba perfekcyjna nazwa. Potem jednak zaczęła się zastanawiać nad etymologią. Virago pochodzi od vir, co nie oznacza nic innego jak mężczyznę. Nihil novi sub sole (Nic nowego pod słońcem). W Wulgacie możemy przeczytać: „Dixitque Adam hoc nunc os ex ossibus meis et caro de carne mea haec vocabitur virago quoniam de viro sumpta est.” Głupi, zadufany w sobie Adam powiada, że kobieta jest kością z jego kości i ciałem z jego ciała. Hę? Skąd ci faceci to biorą? On był najwyraźniej pierwszym w swoim rodzaju i od razu prawdziwym męskim szowinistą. „Będzie się ona nazywać kobietą, bowiem z męża została stworzona.” Pozostałe trzy gdakały wokół Elli jak opętane. I zanim odezwała się do nich, pozwoliła sobie na chwilę radości z faktu, że po norwesku te słowa nie wywołały w niej takiego protestu jak ich łacińskie asocjacje. Vir – virago, po grecku adam – adama lub po angielsku man – woman. Mężczyźni, którzy pisali Biblię, z jednego tylko nie chcieli zdać sobie sprawy: że urodziły ich kobiety. Viragi są nie do przyjęcia. Zanim zdążyła powiedzieć coś o swoich etymologicznych wątpliwościach, odezwała się Frøydis:

– Uważam, że powinniśmy nazywać się po prostu Wiedźmy. Bo właśnie wiedźmami jesteśmy. I nimi zostaniemy.

No i tym sposobem stały się Wiedźmami. Ella opowiedziała im, że

głównymi cnotami w cesarstwie rzymskim były odwaga, wstrzemięźliwość, mądrość i sprawiedliwość. I wymieniła cnoty kardynalne po łacinie: fortitudo, temperantia, prudentia i iustitia.

– I czyż nie są to cechy charakteru pasujące do typowej wiedźmy? Myślę, że pasuje jak ulał – rzekła Ella. W jej głosie brzmiała duma, jakby cnoty kardynalne były jej zasługą.

– Owszem, i to jest piękne – zgodziła się Jenna. – Fotitia... Nie, jak to się nazywa?

– Tę wstrzemięźliwość to mogłybyśmy chyba sobie odpuścić – rzekła Celeste i wybuchnęła śmiechem.

– To pozostałyby nam fortitudo, prudentia, iustitia – natychmiast podsumowała Frøydis, najzupełniej poprawnie, nie gubiąc w żadnym słowie ani jednej głoski.

Ella musiała podziwiać ją i za precyzję, i za pamięć.

– Witam na pierwszym roboczym spotkaniu Stowarzyszenia Wiedźm – oznajmiła Celeste głosem niższym niż zazwyczaj. Można było odnieść wrażenie, że zaplanowała to jako żart, ale zabrzmiało najzupełniej poważnie.

Trzy pozostałe spoglądały na nią, bąkając podziękowania. Frøydis zapytała, czy któraś z pań ma jakieś uwagi do porządku dziennego. Żadna nie odpowiedziała, wobec tego Frøydis zadała kolejne pytanie:

– Kto idzie na pierwszy ogień? Którego z panów wybieramy? Gdzie zaczynamy?

Celeste patrzyła przed siebie. Ella spuściła wzrok. Frøydis zdecydowała więc, że powinna dać dobry przykład. Jenna zaś wstała i chrząknęła. Miała zamiar powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale wykrztusiła tylko:

– Matka. I zaczęła płakać.

– A zatem Jon D. Ommundsen – stwierdziła Frøydis stanowczo, a potem łagodniejszym głosem dodała: – Opowiedz im o swojej matce, Jenna.

Ella stwierdziła, że wcale jej się nie podoba to, iż Frøydis pamięta jego

nazwisko, bo skoro pamięta jedno, to wiele wskazuje, że zapamiętała też inne. A wcale nie zależało jej na tym, by Frøydis chodziła po świecie, wiedząc, kim jest Edmund Benewitz–Nielsen.

– Nie wiem, od czego zacząć. Ona budzi się po nocach. Całkiem niedawno wyszła z domu, bosą, w płaszczu narzuconym na nocną koszulę. Obudził mnie trzask drzwi.

– Mieszkacie w tym samym domu? – spytała Ella.

Jenna przytaknęła.

– Dom starców – rzekła Celeste. – Nie można załatwić jej miejsca w jakimś domu opieki?

– Nie ma nic wolnego – odparła Jenna.

– Jesteś pewna, że taki dom byłby dla niej odpowiedni? – spytała Frøydis niepewnie.

– Tak – potwierdziła Jenna. – Teraz nie mam już wyboru, ona sama tego chce, zresztą to naprawdę jest dobre wyjście.

– Masz jakiś konkretny dom na myśli? – spytała Frøydis.

– Tak. Odwiedziłam ich wiele i doszłam do wniosku, że Solheim byłby dla mamy znakomity. Znajduje się niedaleko, Julia i ja mogłybyśmy codziennie ją odwiedzać.

– Ale przecież załatwienie miejsca musi być możliwe – upierała się Celeste.

– Nie, nie ma żadnej nadziei. Dzielnica, to znaczy facet, który jest tam szefem wydziału opieki nad starszymi... Jon D. Ommundsen... On uważa, że mama niczego takiego nie potrzebuje, bo sama daje sobie radę. No i ma bliskich, którzy mogą nią się zająć.

– Co za bezczelność! – krzyknęła Ella. – Przecież jej może coś się stać.

– Tak, ja pomagam mamie więcej niż chętnie – oznajmiła Jenna. – Ale boję się, to zbyt wielka odpowiedzialność. Naprawdę nie daję sobie ze wszystkim rady. Mamie porobiły się na nogach paskudne rany, nawet nie wiem, jak się z nimi obchodzić.

– Przecież ktoś musi tym się zająć!

– Oni powiedzieli, że mogą przysyłać domową pielęgniarkę, ale nie wiem, czy będę w stanie dłużej im o tym przypominać. Rozmowa z tym człowiekiem to okropne przeżycie.

– W takim razie my musimy ci jakoś pomóc – przerwała jej Ella.

Frøydis powiedziała głośno:

– Wiedźmy na swoim zebraniu postanowiły, że liga zorganizuje akcję w domu opieki Solheim.

– My zorganizujemy? – spytała Jenna.

– Co miałybyśmy zrobić? – spytała Ella.

– Mam pewien plan – poinformowała Frøydis. – Chodźcie.

– Teraz? – spytała Jenna z niedowierzaniem.

– Zwariowałaś? – krzyknęła Ella. – Dokąd? Nie możemy iść tam tak po prostu teraz.

– Dlaczego nie? – spytała Celeste.

– No ale przecież to system i Jon D. Ommundsen stanowią problem – zaproponowała Ella. – Co miałybyśmy do roboty w Solheim?

– Jesteśmy Wiedźmami, jesteśmy pragmatyczne – rzekła Frøydis.

– Ach tak? – zdziwiła się Celeste.

– Mamy ukarać Jona D. Ommundsen i zdobyć miejsce w domu opieki dla mamy Jenny – tłumaczyła Frøydis zadowolona. – Spotkamy się znowu za godzinę. Jest bowiem parę spraw, które musicie załatwić. Przygotować trochę prowiantu na przykład. Teraz wam powiem, co macie robić. Siadajcie.

*

– To tam – szepnęła Jenna.

Stały przed dużym czteropiętrowym budynkiem z cegły. Odchyliła w tył głowę i spoglądała w górę. Świeciło się tylko w dwóch oknach na każdym piętrze. Wolno podeszły bliżej. Żeby wejść do środka, trzeba zadzwonić domofonem. Zanim Jenna zdążyła pomyśleć, Frøydis nacisnęła guzik z napisem „Odwiedzający”.

– Co im powiesz? – szepnęła Jenna przestraszona.

– Tak? – zaskrzeczał głos w aparacie na ścianie.

Jenna podskoczyła.

– Chcemy odwiedzić Agnes – odparła Frøydis i zabrzmiało to dość wiarygodnie. Nikt, prócz jej sojuszniczek, nie zwróciłby uwagi na moment zawahania, nim wypowiedziała imię „Agnes”. I nikt w najbardziej szalonych przypuszczeniach nie odgadłby, że głos należy do wojowniczo usposobionej kobiety w czarnej pelerynie.

Aparat zabuczał i Celeste, stojąca najbliżej drzwi, otworzyła je pchnięciem. Wślizgnęły się do środka. Jenna przez chwilę czekała, czy gdzieś spod ściany nie ryknie głos: „Kim jesteście? Czego chcecie? Tu nie ma żadnej Agnes!” Ale w domu panowała cisza.

– Które piętro? – spytała Ella rzeczowo.

– Myślę, że trzecie – szepnęła Jenna. – Poczekaj, sprawdzę na tamtej tablicy. Tak, trzecie.

– No to idziemy – zdecydowała Frøydis.

Opuściły hol i weszły na klatkę schodową. Było tak ciemno, że ciała w czarnych aksamitnych pelerynach zniknęły i zlały się w jedno, mając tylko twarze i dłonie kobiet. Twarz Celeste lśniła niczym gładki, biały jedwab.

– Co robić, jak się na kogoś natkniemy? – spytała w końcu Jenna.

– Ciągnąć dalej sprawę z Agnes – zaproponowała Ella.

– Powiedzieć, że jesteśmy nowym zespołem lekarskim – wtrąciła Celeste. – Black is the new white.

Ona, Ella i Frøydis roześmiały się głośno. Jenna syknęła nerwowo, żeby je uciszyć.

– Nie tracić pewności siebie – rzekła Frøydis. – To zawsze się opłaca.

Jenna nie była przekonana. Ale szło dobrze, nikogo nie spotkały.

Nie była też przekonana, czy sprawą matki powinny zajmować się Wiedźmy. Kiedy jednak wyraziła swoje wątpliwości, Frøydis zachnęła się: Twoja matka jest kobietą, my zaś pracujemy dla dobra kobiet. Ella ją poparła. Pamiętaj, powiedziała, że statystycznie żyjemy co najmniej cztery

lata dłużej niż mężczyźni. Innymi słowy, leży w interesie kobiet, by w ostatnich latach otaczano nas opieką, by ten czas był dla nas bezpieczny i byśmy zaznały trochę komfortu.

Jenna uśmiechała się blado. Ella jednak jeszcze nie skończyła: Pamiętaj też, że to kobiety opiekują się starszymi. Dlatego jest tak mało miejsc w domach opieki, władze liczą na to, że kobiety z rodziny się tym zajmą. To jest zdecydowanie sprawa dla nas.

Jenna dała się przekonać.

Na podeście schodów drugiego piętra wisiał biały szyld: Oddział południowy. Pensjonariusze długoterminowi. I właśnie tam, w bok od tablicy, znajdowały się drzwi prowadzące na oddział. Otworzyły je ostrożnie i przekroczyły próg. Chwilę stały, nasłuchując. Żadnego dźwięku. No nie, czasem słycać było przyciszone głosy. W głębi korytarza zauważyły uchylone drzwi, na podłogę padał stamtąd strumień światła. Pokój wypoczynkowy, poinformowała Jenna.

Wiedźmy zaczęły skradać się na palcach w kierunku przeciwnym od tego przyciszonego szumu głosów. Po obu stronach korytarza znajdowały się pokoje, każdy z tabliczką na drzwiach, na której dużymi literami wypisano nazwisko lokatora. Na niektórych drzwiach nazwiska były dwa. Pachniało mydłem i środkami dezynfekcyjnymi, na całym piętrze wyczuwało się też cierpki zapach moczu, ale dość słaby i niespecjalnie przykry. Minęły ogromny regał z myjkami, zapasem pieluch i poskładanymi ręcznikami. Gdzieniedzie pod ścianami długiego, pomalowanego na żółto korytarza znajdowały się krzesła, prawdopodobnie po to, by pensjonariusze mogli odpocząć, kiedy spacerują. Tu i tam stały wazony z na pół zwiędniętymi bukietami, do łodyg kwiatów przytwierdzono małe białe karteczki. Na niedużym stoliku pyszniła się ogromna rozłożysta azalia o krwiście czerwonych kwiatach. Obok niskiego regału z prasą stał porzucony balkonik z damską torebką w koszyku. Na ścianach wisiały duże czarno-białe fotografie, powiększone zdjęcia różnych miejsc w Oslo.

Wiedźmy szły dalej. Gdzieś raz po raz krzyczała starsza pani. Najpierw nie rozumiały, co wykrzykuje, potem jednak dotarło do nich wyraźnie: szatan stoi za tobą, szatan stoi za tobą. Celeste żartobliwie szturchnęła Jennę w bok:

– Słyszałaś? Miej się na baczności.

Ale Jenna się nie roześmiała. Szły jeszcze kawałek, w końcu Frøydis przystanęła.

– Tutaj? – rzekła, spoglądając pytająco na Jennę.

Ta pomyślała chwilę i przytaknęła.

W dalszym ciągu znajdowały się na tym długim szerokim korytarzu ciągnącym się przez całe piętro. Frøydis wybrała miejsce przy wyjściu na balkon. Na zewnątrz paliła się lampa i w jej blasku widziały plastikowy składany stół oraz donicę, z której sterczały jakieś brunatne łądygi. Ziemię w doniczce pokrywała warstwa petów.

Przy drzwiach, od ich strony, znajdowała się tylko spora szafa i kaloryfer.

Frøydis pomogła Jennie rozłożyć na podłodze gruby koc, watowaną kołdrę i patchworkową narzutę.

– Piękna narzuta – pochwaliła Ella.

– Uznałam, że byłoby dobrze, gdybyśmy dzisiaj wieczora siedziały na narzucie zrobionej przez mamę – wyjaśniła Jenna. – Ona zawsze bardzo pięknie szyła.

– I nadal szyje? – chciała wiedzieć Frøydis.

– Zdarza się – odparła Jenna z tajemniczym uśmiechem.

Celeste wyjęła kilka niedużych plastikowych toreb oraz swoją srebrną pierśiówkę. Ella ustawiła na narzucie dwa spore termosy i cztery filiżanki. Jenna pochyliła się nad swoją torbą stojącą na podłodze, otworzyła zamek błyskawiczny, wsunęła obie ręce głęboko do środka i wyciągnęła kilkumetrowy łańcuch. Solidny łańcuch, podzwaniający głośno przy każdym ruchu. Jenna robiąc miny do pozostałych, wyjaśniała:

– Wzięłam go ze sklepu mamy. Ona wieszała na nim hamak.

– Bardzo dobrze! – Frøydis z uznaniem pokiwała głową.

Bez żadnych instrukcji wszystkie zajęły odpowiednie pozycje, siedziały na narzucie plecami odwrócone do drzwi balkonowych. Wspólnymi siłami przymocowały łańcuch do klamki, przeciągnęły go za kaloryferem, a potem wszystkie po kolei opasały sobie nim nogi w kostkach. Kiwały do siebie nawzajem, że wszystko w porządku, na koniec Frøydis spięła całość potężną kłódką.

– Alea iacta est (Kości zostały rzucone).

– A co zrobisz z kluczem? – spytała praktyczna Ella.

– Połknij go – zaproponowała Celeste. – W książkach dla chłopców zawsze tak się postępuje.

– Popatrzcie na mnie – rzekła Frøydis, wzięła klucz, uniosła się lekko i wsunęła go pod pośladki. – Tutaj będzie bezpieczny, ukryty pod słoninką.

– Może byś coś zjadła? – spytała Celeste. – To klucz będzie jeszcze bezpieczniejszy.

– Dobrego jedzenia nigdy nie odmawiam – odparła Frøydis.

Celeste zaczęła otwierać plastikowe torby, które ułożyła przed sobą na narzucie. Najpierw pojemnik z oliwkami, najwyraźniej kupionymi na wagę. Drugi pojemnik z serem feta w oliwie. Duży camembert (Niepasteryzowany, ucieszyła się Frøydis). Paczkę słonych keksów.

– Całe szczęście, że Turek na rogu miał otwarte tak późno wieczorem.

– Tutaj mamy herbatę – dodała Celeste, dotykając jednego z termosów.

– Liczę, że w drugim jest kawa – rzekła Frøydis z nadzieją w głosie. – Chyba nie zapomniałaś o kawie?

– Nie, niestety – bąknęła Celeste przepraszająco. – W tym drugim są parówki.

– Parówki w termosie! Nie jadłam od czasu, kiedy obie z mamą chodziłyśmy na niedzielne wycieczki, jak byłam mała – ucieszyła się Jenna.

– A tutaj coś na deser – wtrąciła Ella, wyjmując z torby dwie tabliczki czekolady i ułożyła w małej emaliowanej miseczce.

– Wzięłaś miseczkę? – spytała Celeste z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Ella była nieporuszona. – Zobacz, jak pięknie wygląda czekolada na błękitnym tle.

– Słyszałam, że poziom życia w domach dla starców jest niższy niż w więzieniach – poinformowała Frøydis.

– Przecież to jasne – roześmiała się Celeste. – Więzienia zaludniają mężczyźni, a tutaj mieszkają przeważnie panie.

– Solheim to dobry zakład – wtrąciła Jenna. – Sprawdziłam dokładnie, byłam tu wielokrotnie.

– Oczywiście – zgodziła się Celeste. – Nie miałam na myśli nic złego.

Wciąż jeszcze były trochę niepewne, bały się powiedzieć coś, co mogłoby być źle zrozumiane, co mogłoby ranić.

Celeste wyciągnęła rękę, by poklepać Jennę po ramieniu, ale łańcuch się napiął i uderzył ją w udo. Obie zaczęły chichotać.

– Ten dom na pewno jest dobry – rzekła Celeste pojednawczo.

Jenna przytakiwała.

Minęło co najmniej pół godziny, zanim zostały zauważone. Jakaś kobieta w białym uniformie szła w stronę balkonu, żeby sobie zapalić. Stopy w białych zdrowotnych sandałach same niosły ją we właściwym kierunku do drzwi balkonowych. Szła z pochyloną głową i nie widziała siedzących na podłodze, dopóki nie znalazła się przed nimi. Przestraszyła się tak, że zaczęła głośno krzyczeć. Jenna patrzyła na nią z poczuciem winy. Ella syknęła gniewnie niczym surowa nauczycielka, Celeste wybuchnęła śmiechem. Frøydis wyjaśniała spokojnie, że przykuły się tutaj, by demonstrować przeciwko gminie, która nie prowadzi dialogu z rodzinami, oraz po to, by uzyskać miejsce w domu opieki dla Johanny Hilmarsen. To moja matka, dodała Jenna. Ubrana na biało kobieta wytrzeszczała oczy, potem odwróciła się na pięcie i pobiegła. Po paru minutach stanęło przed nimi siedem tak samo ubranych pań.

Jenna nie miała problemu ze zrozumieniem, że cztery siedzące na podłodze kobiety to dość niecodzienny widok. Rozśmieszyło ją to. Czarny

aksamit na tle czystego białego otoczenia. Na moment Jenna przypomniała sobie epizod z czasów, kiedy była małą dziewczynką. Poszła z matką na zakupy. Krótco przedtem wprowadzono sprzedaż mleka w kartonach, ale śmietana nadal była w butelkach, z brązowego szkła z metalowymi korkami w kolorze złota.

Kiedy Jenna miała wyjąć śmietanę z wózka, butelka wyslizgnęła się i upadła na ziemię. Oczywiście się potłukła, ale ona zapamiętała tylko białą śmietanę na czarnym asfalcie. To było piękne, a zarazem całkowicie nienaturalne. One teraz też tak muszą wyglądać, taki sam kontrast. Czarne aksamitne peleryny w sterylnym białym otoczeniu. Może na dodatek wyglądają groźnie? Jenna przyglądała się badawczo ubranym na białą pielęgniarkom. Okultystyczne zjawisko zakazane w zrationalizowanym świecie. Tylko dziwne, czy również niebezpieczne? I kiedy myślała, że dostrzega sympatię w niektórych twarzach, zastanawiała się czy to prawda, czy przywidzenie? Może jednak się nie myli. Może to uznanie dla buntu i rewolucji w świecie rezygnacji. Pielęgniarki w białych uniformach są przepracowane, źle opłacane, jest ich za mało na oddziale. Cierpią na bóle pleców, mają pracę w niepełnym wymiarze. Zaczynały powodowane współczuciem i szczerym pragnieniem niesienia pomocy, ale entuzjazm powoli zastępuje postawa jakoś–przetrwac–dyżur. Robią, co mogą, ale nie są już w stanie pracować więcej.

Teraz pielęgniarki były wściekłe. Jedna, o najciemniejszej karnacji, mówiła głośno i kalecząc język, wymyślała im. Jenna i jej trzy koleżanki słuchały uprzejmie, ale się nie odzywały. Pielęgniarka zakończyła informacją, że natychmiast idzie dzwonić po policję. Zaraz teraz. Nie mogą tak tutaj siedzieć, przykute do kaloryfera.

Jeden z pensjonariuszy obudził się, przypuszczalnie z powodu tego krzyku, i szedł ku nim, pociągając nogami. Miał piżamę w kropki i białe włosy sterczące na wszystkie strony. Usta dziwnie zapadnięte, a kiedy je otworzył, żeby coś powiedzieć, stało się oczywiste, że brak mu zębów. Jedna z ubranych na biało wzięła staruszka przyjaźnie pod rękę

i odprowadziła. Ta o ciemnej karnacji już się nie odzywała, patrzyła tylko na cztery siedzące na ziemi kobiety ze złością. Potem mruknęła coś, czego nikt właściwie nie zrozumiał, odwróciła się i odmaszerowała. Jej gromadka stała jeszcze przez parę sekund, po czym wszystkie zabrały się i poszły za nią. Jedna, chyba salowa, o blond włosach i z kolczykiem w nosie, odwróciła lekko głowę:

– Nie sądzę, że ona zadzwoni – powiedziała cicho.

Noc w domu opieki nie upływa w ciszy. Jest spokojniejsza, łagodniejsza i powolniejsza niż dzień, mimo to dzieje się bardzo wiele. Wózek na kółkach z czerwonym i żółtym sokiem pchany jest do pokoju, w którym dziewięćdziesięcioletnia kobieta nie może spać. Na małym stolyczku stoją plastikowe pojemniczki z białymi pigułkami. Jakaś pielęgniarka idzie ramię w ramię ze zgarbioną, uśmiechającą się panią, posuwają się małymi krokami i rozmawiając cicho, zbliżają się do celu: toalety na drugim końcu korytarza. Jeden z pokoiów dzielą dwaj bracia, tak jak to robili przez całe życie. Za dnia siedzą przy sobie, oglądają jeden z licznych albumów, które tu ze sobą przywieźli. Obaj lekko rozkojarzeni, nie bardzo wiedzą, kim są, nie rozpoznają pokoju, są uprzejmi oraz zdystansowani wobec wszystkich i wyglądają na zadowolonych, dopóki mają siebie nawzajem, a także kawę i ciasto po południu. Nocami jednak nie ma mowy o harmonii. Jeden z braci chrapie i budzi drugiego, choć ten przyjmuje silne środki nasenne. Zrywa się, krzyczy, budzi tego pierwszego. Pielęgniarki w białych kitlach biegają tam i z powrotem, cierpliwie pocieszają, uspokajają, w końcu jeden siada i śpiewa drugiemu kołysankę.

W pierwszych godzinach po spotkaniu z pracownikami cztery kobiety spodziewały się, że w każdej chwili może tu wkroczyć policja. Ale skoro się nie zjawiała, przestały się nad tym zastanawiać. Noc jest długa. Siedziały ciasno jedna przy drugiej, na patchworkowej narzucie uszytej przez Johannę, przed sobą miały herbatę, czekoladę, oliwki, ser i parówki w termosie.

– Prawie jak wycieczka na wieś – zauważyła Frøydis, wsuwając do ust ostatni kawałek fety.

– No, tylko parę drobiazgów do wycieczki nie pasuje – zachichotała Celeste, uniosła stopę i potrząsała nią tak, że łańcuch uderzał w linoleum i dzwonił głośno, trafiając w rurę, wokół której był okręcony.

– Cii! – syknęła Jenna. – Spójrzcie na tę tam. Czyż nie jest piękna?

Odwróciły się wszystkie i patrzyły w stronę białowłosej kobiety w pikowanym szlafroku koloru czerwonego wina. Szła po korytarzu wyprostowana, szybkim krokiem, wyraźnie ku jakiemuś konkretnemu celowi gdzieś w głębi budynku. Cerę miała zdrową i opaloną, pod oczami odrobinę ciemniejszą, marszczyła się delikatnie przy uśmiechu. A teraz właśnie, mijając cztery siedzące na kolorowej narzucie kobiety z rozstawionymi miseczkami z jedzeniem, przykute do ściany, uśmiechała się przyjaźnie, jakby to był dla niej codzienny widok. Z błyskiem w oczach, jakby chciała złożyć im gratulacje z okazji święta narodowego i życzyć miłego dnia.

– Uważajcie tylko, żeby Niemcy nie dowiedzieli się o was – szepnęła, nie przystając. Energiczna, zadowolona z życia.

– Pewnie w czasie wojny była małą dziewczynką – powiedziała Ella rozmarzona. – Albo młodą panną. Mogła pracować przy redagowaniu nielegalnej gazety. Bohaterka. Mogła mieć...

– ...niemieckiego żołnierza za kochanka – przerwała Celeste zniecierpliwiona.

– Ona ma dużo dzieci – rzekła Jenna.

– Albo żadnego – odparła Celeste, przewracając oczami, ale pozostałe nie zwróciły na nią uwagi.

– Tak jest – zgodziła się Ella. – Z pewnością ma dużo dzieci.

Na moment zobaczyła w wyobraźni nekrolog tej pani z długim szeregiem imion pod nazwiskiem.

– Ma dużo dzieci, same córki – powiedziała znowu Jenna.

– Naprawdę? – spytała Celeste z ironią.

– Tak – potwierdziła Jenna stanowczo. – Cztery córki. Trzy z nich mieszkają tutaj w mieście. Odwiedzają ją tak często, jak tylko mogą. To dlatego jest taka zadowolona, mimo wszystko.

– Co ty powiesz? – przerwała jej Celeste zaczepnie, ale głos brzmiał ciepło.

– Tak – upierała się Jenna spokojnie. – Jedna była tu wczoraj.

– Znasz ją może?

– Nie.

– Czy w takim razie jesteś jasnowidząca? – spytała Celeste.

– Jestem.

Celeste dała spokój. Odwróciła się i patrzyła w ślad za postacią w czerwonym szlafroku.

– To musi być przyjemne tak żyć pod swoim kloszem – powiedziała. – Kompletnie bez związku z rzeczywistością.

Kiedy już wypowiedziała te słowa, ogarnęło ją na moment dojmujące pragnienie, by stać się tą starszą panią. Krążyć po korytarzach domu opieki, bezpiecznie, nie musieć odnosić się do zewnętrznego świata, do ataków Napalonego Karla, martwić się o przyszłość Sebbe, nie myśleć o Neronie. Ale może ta starsza pani też się boi? Przecież ostrzegła je przed Niemcami. Pewnie to są właśnie jej demony. Jej lęki. Jej przyczajony strach. Może odczuwa tylko, że jest niespokojna, że czegoś się boi, ale jej umysł nie jest już w stanie zdefiniować przyczyny. W jakiś sposób jej zaburzone synapsy łączą lęk z Niemcami. Bała się ich w młodości. Przez pięć lat bała się Niemców. Przez pięć lat niemieccy żołnierze wywoływali u niej przyspieszony puls i mdłości. Teraz z tamtego strachu pozostały już tylko te skojarzenia. Celeste musiała się uśmiechnąć sama do siebie. Siedzi oto i fantazjuje na temat życia kobiety w szlafroku koloru czerwonego wina.

– Matki – powiedziała Jenna wolno, gdy przez dłuższy czas nikt się odzywał. – Mamy mają w sobie coś szczególnego, no nie?

– Nikt na świecie nie irytował mnie tak jak moja matka – oznajmiła

Ella.

– Mama dawała mi herbatę ziołową i tabletki dispril przeciwko bólom menstruacyjnym. Dawała mi też książki o sztukach magicznych, razem oglądałyśmy „Śniadanie u Tiffany’ego” – rzekła Jenna rozmarzonym głosem. – I odnowiła tacę, piękną starą tacę, której używałyśmy tylko na Boże Narodzenie, kładłyśmy na niej migdały, czekoladę kokosową i rodzynki.

– A ja czytałam z moją mamą książki o dobrym wychowaniu – powiedziała Ella. – Codziennie rozdział. Starczyło nam na wiele lat.

– O rany! – jęknęła Celeste.

– Matki umieją pocieszać – mówiła Jenna. – Matka wie dokładnie, jakie guziki powinna nacisnąć, żeby mnie pocieszyć.

– Moja wie, gdzie trzeba przycisnąć, żeby zranić – wtrąciła Celeste. – Nikt nie jest tak dobry w manipulowaniu jak matki.

– To też prawda – przyznała Jenna.

– A córki wcale nie są o wiele lepsze – stwierdziła Ella i pomyślała o Mai. – Umieją manipulować matkami, też wiedzą, jakie guziki naciskać.

– To prawda. Julia bardzo dokładnie wie, co powiedzieć, żeby mnie trafić.

– Maja też!

– Matki są przez cały czas – szepnęła Jenna. – Nie znikają.

– Ja swojej matki nie widuję zbyt często. Mamy tradycję wspólnych niedzielnych obiadów, ale nie zawsze się tego trzymamy – rzekła Ella rzeczowo. – Przypuszczam jednak, że masz rację, człowiek naprawdę przez cały czas związany jest z matką w specjalny sposób. I to nie tylko dzięki genom. Moja matka jest obecna w moim życiu, czy tego chcę, czy nie.

– A ja swoją mam gdzieś – oznajmiła Celeste.

– Naprawdę? – zdziwiła się Frøydis. – Naprawdę masz ją gdzieś, czy tylko tak mówisz?

– Naprawdę czuję, że z nią skończyłam – ucięła Celeste.

– Ja natomiast przeglądam się w lustrze i widzę, że z każdym mijającym rokiem jestem do niej bardziej podobna – stwierdziła Jenna. – A ty, Frøydis, jesteś podobna do swojej matki?

– Może trochę – odparła Frøydis wolno. – Ja bardzo... bardzo kocham moją mamę.

– Ona umarła, kiedy byłaś mała, prawda? – spytała Jenna niepewnie.

– Tak – potwierdziła Frøydis. – Umarła, kiedy miałam trzynaście lat.

– To musiało być dla ciebie straszne – westchnęła Ella.

Frøydis przytaknęła. Rzadko rozmawia o matce, choć zdarza się oczywiście, że znajduje się w sytuacji, gdy ktoś pyta ją o rodziców. W pracy, na przykład. Gada się o wszystkim, i o niczym. O pogodzie, o obchodzeniu świąt, wakacjach, o rodzinie. Ona zawsze odpowiada, że matka nie żyje, a z ojcem nie ma kontaktu. Nigdy nikomu nie powiedziała, w jaki sposób mama umarła, ani że nie wie, kim jest ojciec. Odpowiada krótko, ale tak, by nie budzić w ludziach ciekawości, i zawsze umie powiedzieć to z dystansem, który pozwala sądzić, że już dawno temu pogodziła się ze stratą.

Teraz, na tej narzucie przed kaloryferem, w środku nocy, wszystko było odmienione. To niezwykle siedzieć tak blisko innych kobiet, czuć ciepło ich ciał, ich oddechy, mieć ich usta tuż obok, kiedy mówią. Matka była jedyną kobietą, z którą miała taki intymny, fizyczny kontakt. Nic dziwnego, że tyle o niej myśli, że słyszy jej głos. Frøydis była otoczona starymi ludźmi, białowłosymi, pomarszczonymi kobietami w wieku, w jakim byłaby teraz jej matka. Maman. W tej chwili Ella popatrzyła na nią, jej twarz znajdowała się ledwie kilka centymetrów dalej, to musiało być straszne, powiedziała.

Owszem, rozmawiała z Andersem, ale on musiał to z niej wyciągać, zdanie po zdaniu, i choć niczego nie ukrywała, była to zwięzła i sucha relacja.

Teraz Frøydis się rozkleiła, zaczęła płakać, mówiła i znowu płakała. Nie mogła przestać. Odbyły razem tyle wycieczek, ona i mama. Razem

piekły ciasta, tarte Tatine i kruche ciasteczka. Matka śpiewała dla niej francuskie dziecięce piosenki. Frøydis nadal je umie. Zaczęła jedną: Il était un petit navire, il était un petit navire, qui n'avait ja-ja-jamais navigué, śpiewała cicho, dopóki głos jej się nie załamał. Opowiedziała o tym, jak słońce świeciło przez okno sypialni, rysując na podłodze prostokąt. Wciąż to przed sobą widzi. Ten świetlny prostokąt na parkiecie, ciało matki zwisające ciężko spod sufitu. Pomyślała wtedy o kiści winogron, o ciemnoliliowych matowych owocach. Zawsze później winogrona kojarzyły się jej ze śmiercią. Pamiętała nowe buty, jakie dostała na pogrzeb, jak przy całej rozpaczycy stwierdziła, że buty jej się podobają i bardzo tego się wstydziła. Nie powiedziała im jednak, że wiele miesięcy później, kiedy w końcu była w stanie przejrzeć nieliczne zostawione przez matkę rzeczy, znalazła teczkę z listem, jaki mama dostała od Arthura Lokke. Jeszcze pamięta niektóre zdania tego listu: „Nigdy od ciebie nie odejdę, Charlotte. Ty i Frøydis jesteście kobietami mojego życia. Będziemy we troje zawsze razem.”

Długo rozmawiały o swoich matkach, o Johannie, o wyrzutach sumienia Jenny, po prostu o starości (Dlaczego, do cholery, nie przydarza się nam nic pozytywnego, kiedy się starzejemy? Włosy na głowie nam rzedną, natomiast na ciele mamy ich więcej, pojawiają się zmarszczki, starcze plamy wątrobowe, a zęby nam żółkną? Dlaczego nie możemy mieć przynajmniej coraz dłuższych rzęs z każdym mijającym rokiem? Co prawda ustaje miesiączka, ale czy to rzeczywiście pozytywna zmiana? O tak, na pewno! Nie!). Że też mężczyźni są równie pociągający z siwymi włosami i pomarszczoną twarzą (Czysta biologia. Oni mogą przez całe życie produkować potomstwo, my jesteśmy płodne tylko przez jakiś czas. Nie, to nudne, wymyślcie jakiś inny temat!). Zaczęły rozmawiać o tym, że powinny być mądrzejsze.

– Stałyśmy się mądrzejsze, Ella, nie zapominaj o tym. Pomyśl, co wiemy teraz, a czego nie wiedziałyśmy, kiedy byłyśmy wiotkimi nastolatkami.

Dyskutowały o mężczyznach – co należy preferować: ilość czy jakość. Celeste upierała się przy ilości (im więcej, tym lepiej!), Frøydis opowiedziała się za tym jednym jedynym. Próbowały skłonić Ellę, by powiedziała coś więcej o profesorze Benewitzu–Nielsenie. Ona jednak nie chciała psuć nocy rozmową o kimś, kto jest taki imbecillus.

– Bardzo proszę, możemy powiedzieć parę słów o Napalonym Karlu – zaproponowała Celeste.

– Albo o Dagu Martinie Martinsenie – roześmiała się Frøydis. – Totalnie śmiesznym idiocie z mojej pracy, który ma bzika na punkcie sportu.

– Nie, szczerze mówiąc, wolałabym porozmawiać o kimś miłszym – zdecydowała Ella.

– Anders! – zawołała Frøydis. – Rozmawiajmy o Andersie!

– Albo o naszym pierwszym pocałunku.

– O najprzystojniejszym aktorze.

– Najpierw jednak muszę zrobić siusiu – poinformowała nagle Jenna. – I to zaraz.

– Tylko nie spoglądaj na moje termosy takim tęsknym wzrokiem – ostrzegła Celeste.

– Na szczęście nie jesteśmy facetami – rzekła Frøydis stanowczo, przechyliła się na bok, wydobyla klucz i zaproponowała, by wszystkie, jedna po drugiej, odbyły wycieczkę do toalety.

Nie były zmęczone, w każdym razie nie bardzo. W pewnym momencie Frøydis zrobiła się senna, oparła się więc o Jennę i przymknęła oczy. Siedziała tak przez kilka minut. Reszta czuwała, nie chciały zasnąć, jakby się bały, że noc im umknie, nie chciały stracić z niej ani sekundy. Salowa z kółkiem w nosie przechodziła obok po drodze dokądś lub skądś, uśmiechała się, a raz usiadła nawet na podłodze po turecku.

– Dyżurna nie dzwoniła na policję – poinformowała. – Ale skontaktowała się z szefem opieki nad starszymi ludźmi w dzielnicy.

– Jonem D. Ommundsenem?

- Zgadza się – przytaknęła salowa.
- To zarozumiały głupek.
- Kontaktowała się z nim teraz? – spytała Frøydis.
- Najwyraźniej – odparła salowa, która jednak musiała biec dalej.
- Dzwoniła poza czasem jego dyżuru telefonicznego – zauważyła Jenna cierpko.

W jakiś czas potem salowa wróciła z filiżanką czarnej kawy dla Frøydis, po czym znowu zniknęła, żeby sprawdzić, co złego dzieje się w pokoju 315, skąd słychać było dzwonek.

Czuwały wszystkie niemal przez całą noc. Jeszcze nie zaczęło świtać, bo to jesień i słońce wstaje później niż ludzie, ale dało się zauważyć, że dzień się rodzi i miasto znowu budzi się do życia. Nad ich głowami buczały pierwsze poranne samoloty, słychać było pojedyncze samochody, potem coraz więcej i więcej. Za oknami z wolna zaczynał się ruch, choć wciąż przytłumiony z powodu zimna i ciemności. Dwaj roznosiciele gazet krzyczeli coś do siebie nawzajem. Przy drzwiach balkonowych w Solheim siedziały cztery kobiety, wciąż pogrążone w rozmowie. Były oszołomione brakiem snu, zwierzeniami i ciepłem własnych ciał. Surrealistyczny nastrój się ulotnił. Fakt, że siedzą na patchworkowej narzucie przykute do kaloryfera, wydawał im się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Brak snu rozwiązywał języki, mówiły więc rzeczy, jakich by w innych okolicznościach nigdy nie powiedziały. Były dla siebie nawzajem wyzwaniem, jakie w normalnych warunkach nie przyszłoby im go głowy. Przestały się przejmować tym, że łańcuch hałasuje, jakby tego nie słyszały. Podobnie jak ludzie mieszkający w okolicy lotniska nie reagują na huk samolotów.

Ella miała wrażenie, że patrzy na siebie z boku, że widzi siebie siedzącą w kręgu kobiet ubranych w czarne peleryny, ale natychmiast powróciła do własnego ciała.

– Edmund Benewitz–Nielsen to zdecydowanie sprawa dla nas – rzekła Frøydis.

– Dopadniemy go! – zawołała Jenna, strasznie zmęczona.

– Tak jest, ruszajmy – roześmiała się Ella. – Możemy go związać i dźgać dzidą.

Wiedziała, że jutro będzie tego gorzko żałować, ale dnia jutrzejszego ani dziennego światła jeszcze nie było. Frøydis wyprostowała się, zapomniała o łańcuchu i o tym, gdzie się znajdują, najwyraźniej była gotowa do działania. Teraz! Ella przymknęła oczy i miała ochotę się rozplakać. Nie jak zwykle nad życiem, małżeństwem czy beznadziejną sytuacją w pracy. Nie, tamto to zupełnie inny rodzaj płaczu. Teraz jest po prostu wzruszona. I nagle stwierdziła, że ma w głowie jedną jedyną myśl: była wdzięczna, że jej stara przyjaciółka lektorka złamała szyjkę kości udowej i przekazała jej prowadzenie wieczorowego kursu.

Rano, a dokładnie biorąc o godzinie ósmej, przed Solheim zatrzymała się taksówka. Wyskoczył z niej mężczyzna o rudoblond włosach, trzasnął drzwiami, zlekceważył pożegnanie kierowcy i pełnym irytacji ruchem pchnął drzwi do domu opieki. Miał na sobie dzinsy i szafranowożółtą koszulę, z daleka więc odróżniał się od wszystkich ubranych na białe, biegających tam i z powrotem pracownic domu.

Na oddziale od wielu godzin trwała ożywiona aktywność. Starsi państwo byli poubierani, większość poradziła sobie sama, niektórzy jednak potrzebowali pomocy przy zapięciu jakichś trudno dostępnych guzików albo opornego suwaka; inni byli wystarczająco sprawni, ale potrzebowali opiekuna, żeby nie skończyło się z koszulą na biodrach i skarpetkami zamiast rękawic.

Ruszyli w stronę jadalni. Niektórzy sami, inni z balkonikami, a jeszcze inni bez. Dwaj bracia szli ramię w ramię. Pani w szlafroku koloru czerwonego wina, która dzisiaj miała na sobie piękną suknię także tego koloru, przemierzała korytarze stanowczym krokiem. Schwymano ją jednak i skierowano we właściwą stronę. Niektórzy, pociągając nogami, dawali się prowadzić ubranym na białe, pełnym życzliwości pielęgniarce. Dwoje wieziono na wózkach. W domu pachniało świeżo parzoną kawą,

Frøydís pożądlíwíe wchłaniała zapach.

Kiedy pensjonariusze znaleźli się w jadalni, do protestujących kobiet przyszła pielęgniarka. Na małym wózku przywiozła kartony z sokiem pomarańczowym, koszyczek świeżo opieczonych bułeczek, ser, kawior i pasztet.

– Pomyślałam, że może przykute miałyby ochotę coś zjeść – powiedziała ze śmiechem.

– Tak, dziękujemy – ucieszyła się Frøydís. – Kawa? Tak, bardzo chętnie kawa!

Właśnie skończyły jeść, kiedy mężczyzna w tej rzucającej się w oczy żółtej koszuli, podszedł do nich marszowym krokiem. Jenna natychmiast domyśliła się, kto to. Jon D. Ommundsen. Urodziwy mężczyzna. Dokładnie tak wyobrażała go sobie na podstawie głosu. Kiedy teraz stał naprzeciwko nich, nie miała wątpliwości, że to ktoś, kto jest bardzo zajęty własnym wyglądem. Jenna nie bardzo się znała na markach ubrań i designie, widziała jednak, że spodnie leżą świetnie, a koszula jest świeżo wyprasowana. Z tego też powodu musiał być dla niego wyjątkowo dokuczliwy fakt, że jedną stronę jego twarzy szpeciła wielka rana. Czerwona rana z żółtymi pęcherzami, wyglądającymi jak zaschnięty syrop. Ale powinno dobrze się skończyć. Nie tak dawno Jenna słyszała przecież, że pielęgnowanie ran to żadna magiczna sztuka, prawda? Mężczyzna wpatrywał się ze złością w kobiety. Nie mówił nic, ale przechylił głowę na bok i patrzył tak jak dorośli patrzą na rozpuszczone dzieciaki. Jenna przedstawiła się. Mężczyzna nie przestawał gapić się na nią.

– Tak myślałem – rzekł w końcu.

– No właśnie – przytaknęła Jenna.

– Dzwoniono do mnie stąd w środku nocy.

– To naprawdę bardzo przykre – odparła Jenna.

– Jenna niemal co noc jest budzona przez swoją matkę – wtrąciła Ella.

– Chyba rozumiesz, że to nie jest sposób starania się o miejsce w domu

opieki – mówił dalej Jon D. Ommundsen, nie poświęciwszy Elli nawet spojrzenia.

– Ja też bym wolała spotkanie w normalnym czasie – odparła Jenna.

– Szczerze mówiąc, nie widzę takiej potrzeby – uciał Jon D. Ommundsen.

Jenna zaczerpnęła powietrza, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, podniosła się Celeste. Zatrzepotała rzęsami i wpiła swoje jasnoniebieskie oczy w urzędnika:

– A czy mówiłyśmy już, że mamy bardzo dobre kontakty z prasą codzienną? Mógłby się przecież ukazać piękny artykuł w Dagbladet albo w VG o tej sprawie.

– To, że stara kobieta nie dostaje miejsca w domu opieki, to nie jest żaden news – odparł Jon D. Ommundsen z wyższością. – Taka jest, niestety, obecnie sytuacja w Oslo.

Celeste nie zdążyła nic dodać, bo Frøydis podniosła się i stanęła obok Jenny. Przy tym łańcuch napiął się tak, że Ella też już nie mogła siedzieć. Stały więc teraz wszystkie w szeregu.

– Jak to miło, że w końcu mogliśmy cię poznać, Jonie D. Ommundsen – powiedziała Frøydis serdecznie. – Wiele o tobie słyszałam, ale aż do tej chwili nie sądziłam, że jesteś taki.

Jenna popatrzyła na nią przestraszona. Jon D. Ommundsen odwrócił się, spojrzał przelotnie na Frøydis, potrząsnął głową, nic nie mówiąc. Ona zdawała się tego nie zauważać.

– Chcę powiedzieć, że bardzo dobrze znam panią odpowiedzialną za kampanię, którą właśnie prowadzicie w dzielnicy.

Jon D. Ommundsen stał wciąż w tej samej pozycji, ale było oczywiste, że usłyszał, co Frøydis powiedziała.

– Kampanię? – spytała Jenna. – O czym ty mówisz, Frøydis?

– To Jon D. Ommundsen ci o tym nie powiedział? Nieładnie. Wydawało mi się, że rozmawialiście ze sobą wielokrotnie. Bo widzisz, dzielnica postanowiła zainwestować w lepszy kontakt z mieszkańcami, czyli po

prostu skupić się na dialogu z obywatelami. Na tę kampanię wydano sporą sumę pieniędzy, zgadza się?

Jon D. Ommundsen leciutko pochylił głowę, potwierdzając wbrew własnej woli, że tak jest.

– Czy zdecydowaliście się ostatecznie na hasło: „Twoja i moja dzielnica” czy też wybraliście to drugie: „Jesteśmy dla ciebie”?

– „Jesteśmy dla ciebie” – mruknął Jon D. Ommundsen.

– Co powiedziałaś? – spytała Frøydis.

– „Jesteśmy dla ciebie” – powtórzył Jon D. Ommundsen nieco głośniej.

– To może i Dagbladet, i VG mogłyby o tym napisać? – pytała Celeste słodziutkim głosem. – Miliony wyrzucone na kampanię. A obok zdjęcie twoje i Jenny z podpisem: Zrozpaczona kobieta prosiła przez pół roku o spotkanie, czy coś w tym rodzaju.

– Celeste – zwróciła się do niej Jenna. – Może ten twój znajomy dziennikarz miałby ochotę posłuchać, co nagrałam w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej z Jonem D. Ommundsenem? Sądzę, że to może lepiej naświetlić problem.

Kwadrans później wszystkie cztery stały przed domem opieki i spoglądały na wysoki budynek.

– To była piękna noc – ziewnęła Celeste.

– Jakie szczęście, że go rozpoznałaś – powiedziała Ella do Frøydis.

– Tak jest – odparła. – Także Wiedźmy potrzebują czasem łuta szczęścia.

Jenna uzyskała obietnicę rozmowy z kierownictwem domu starców i przedstawicielem dzielnicy, podczas której przedyskutują, jak należy postąpić w przypadku Johanny Hilmarsen. Wierzę, że wszystko się ułoży, zapewniła kierowniczką domu, zanim wyszły.

Jenna weszła do domu. Zachichotała na wspomnienie czegoś, co powiedziała Celeste, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to było. Śmiała się, przypominając sobie narzutę zastawioną jedzeniem, łańcuch podzwaniający przy każdym ruchu, wściekły wzrok szefa wydziału opieki

nad starszymi osobami, ubranego w żółtą koszulę i z oszpeconą twarzą (co prawdopodobnie szybko się zagoi).

Ziewnęła, czując, jak potwornie jest zmęczona. No, ale w końcu wygrały! Teraz pozostało tylko uporządkować peleryny, wziąć prysznic i będzie się mogła parę godzin przespać. Julia była z wizytą u przyjaciółki, a sklep Johanny będzie dziś zamknięty.

Nuciła, wyjmując cztery peleryny z torby, były ciężkie, nie wiadomo dlaczego aż tak. Ominęła leżącego na podłodze w salonie pilota do telewizora i otwartą kosmetyczkę pozostawioną przez Julię. Na swoim zwykłym miejscu w serwantce leżała gruba książka oprawiona w brązową zniszczoną skórę, grzbiet odrywał się od okładek, ale gotyckie pozłacane litery były wyraźne: Liber supranaturalia illustrans. Przez chwilę po prostu patrzyła, w końcu wzięła peleryny, po kolei uderzała każdą trzykrotnie i układała na książce. Powtórzyła to cztery razy, a potem złożyła peleryny i schowała do torby. Ziewnęła raz jeszcze, tęskniąc rozpaczliwie za łóżkiem. Bałaganem pozostawionym przez Julię zajmie się później, ale teraz musi jeszcze sprawdzić, co tam u matki. Zapukała ostrożnie do drzwi. Żadnej reakcji. Ujęła klamkę i stwierdziła, że mieszkanie nie jest zamknięte na klucz. To dziwne, bo matka zawsze bardzo na to uważa.

Zajrzała do środka, zobaczyła, że telewizor rzuca niebieskawe, chybottliwe światło na podłogę. Gdzie matka? Jenna weszła wolno do mieszkania. A gdyby tak... Telewizor był włączony, ale dźwięk przyciszony, jakiś kanał nadawał źle dubbingowany amerykański serial młodzieżowy, zdaje się. Jenna wyłączyła odbiornik, na palcach przeszła do sypialni. Johanna, kompletnie ubrana, leżała na kołdrze. Jenna podeszła, ukucnęła i położyła rękę na czole matki. Bogu dzięki. Usłyszała jej oddech, ciche sapanie. Skóra na czole wydawała się cieniutka i delikatna. Przy włosach widziała kropelki potu, niczym u śpiącego dziecka. Położyła się obok chudego ciała matki, objęła ramieniem jej biodra. Wkrótce ona też zasnęła.

LECTIO IV – PIA DESIDERIA. PIA FRAUS

czyli

Wykład czwarty:

Pobożne życzenia, pobożna zdrada

Była noc z poniedziałku na wtorek. Minęła druga i Ella wiedziała dobrze, że powinna się położyć, by przespać choć parę godzin przed jutrzejszym spotkaniem. Wieczorem znowu jest kurs łaciny, po raz kolejny spotkają się w Szkole Morskiej, ale między teraźniejszością a kursem mieszczą się jeszcze nieprzyjemne godziny w towarzystwie Edmunda Benewitza–Nielsena i dziekana wydziału. Następnym razem twoja kolej, powiedziała Frøydis. Rozprawimy się z tym twoim profesorkiem. Ale co należałoby przedsięwziąć w stosunku do Edmunda Benewitza–Nielsena, pozostawało wciąż w najwyższym stopniu niejasne. Może Frøydis chce, żeby się przykuły w jego gabinecie? Ella westchnęła, znowu spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że teraz już koniecznie musi wyłączyć te wszystkie myśli, odzyskać spokój, wślizgnąć się do łóżka, spać. Jest tylko jedno lekarstwo, dzięki któremu może to osiągnąć: herbata i gazeta.

Lodówka szumiała, z ulicy docierały głosy, jakiś mężczyzna coś krzyczał, a kobieta go uciszała, ale zaraz odpowiedziała tak samo głośno, radośnie. Z sypialni Elli i Petera nie dochodziły żadne dźwięki. Ponad dwie godziny temu mąż życzył jej dobrej nocy. Pochylił się, żeby ją pocałować i jego wargi wylądowały trochę na jej ustach, a trochę na policzku, takie niezdarne cmoknięcie, wyraźnie pokazujące, jak rzadko małżonkowie coś takiego robią. Ona się roześmiała i odepchnęła go żartobliwie dlatego, że ją to krępowało, poza tym nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować. Dopiero kiedy Peter wyszedł, pozwoliła sobie pomyśleć o spojrzeniu, jakie jej posłał, zanim się pochylił do pocałunku. Czyż w jego wzroku widziała jeśli nie miłość, to przynajmniej czułość? Trudno powiedzieć. Mogła była pójść za nim, do sypialni, raz jeszcze powiedzieć dobranoc lub wyznać mu,

że go ceni i kocha. Ale pozostała na kanapie, wpatrywała się w książkę i nawet nie drgnęła, kiedy zamykał za sobą drzwi.

Nie chciała więcej myśleć o Peterze. Nie chciała więcej myśleć o Edmundzie Benewitzu–Nielsenie. Następnym razem przyjdzie kolej na twojego kandydata, powiedziała Frøydis. Wiedzmy. Musiała się uśmiechnąć. Tydzień temu spędziły noc w miejskim domu opieki, skute ze sobą łańcuchem. Kompletny absurd. W ciągu minionego tygodnia po wielekroć przypominała sobie sceny z tamtej nocy i zawsze musiała uśmiechać się do siebie.

Teraz siedziała przy kuchennym stole nad filiżanką herbaty i poranną gazetą, oddając się jednej ze swoich tajemnych namiętności: czytała nekrologi. Czytała wszystkie bardzo uważnie i choć od dawna wmawiała sobie, że robi to, by się po prostu orientować, sprawdzać, czy nie znajdzie znajomych nazwisk, dobrze wiedziała, że nie taka jest przyczyna. Ależ tak, to dla mnie ważne wiedzieć, kto umarł, powtarzała. Ach tak, odpowiadała sobie natychmiast. Tak mówisz? Tak, broniła się, powinnam wiedzieć, gdyby umarła któraś z moich szkolnych koleżanek lub któryś ze studentów stracił ojca. Nawet sobie nie wyobrażaj, że zjawiałabyś się na pogrzebie kogoś, z kim chodziłaś do szkoły, a co do studentów to nawet z nazwiska nie wszystkich znasz. Po prostu się przyznaj, czytasz nekrologi, bo uwielbiasz fantazjować na temat wymienianych tam ludzi. Tak właśnie jest, Ello Blom!

No i tak było. Ella czytała nekrologi tak jak inni czytują romanse (Coś, czemu ona nigdy nie poświęciłaby czasu. Na jej nocnym stoliku zawsze leżą grube, fachowe dzieła, stosy naukowych czasopism i prace magisterskie studentów, których prowadzi).

„Moja ukochana małżonka, nasza niezastąpiona mama, ukochana babcia”. Długi szereg dzieci z małżonkami i z własnymi dziećmi. Mimmi Ellegård, kobieta, która zawsze pracowała tylko jako żona, gospodyni, matka, która przez sześćdziesiąt trzy miesiące była w ciąży (siedmioro dzieci), która zmieniła niezliczone ilości pieluch, osuszała łzy, dawała

dzieciom tran i nuciła im, przygotowując duńskie klopsiki (Dlaczego pomyślała właśnie o tych klopsikach? Znowu spojrzała na tekst. Aha, no właśnie, brzmiące z duńska nazwisko sprawiło, że pomyślała o duńskim daniu). Mimmi Ellegård przez całe swoje życie miała długie włosy upinane w kok na karku, które z upływem lat posiwiały i zrzedły. Jej mąż do ostatniej chwili był przekonany, że włosy małżonki są równie wspaniałe jak wówczas, kiedy w noc poślubną je rozwiązał i po raz pierwszy zobaczył, że spływają na jej ramiona niczym woal. Lekarze mówili mu, że już zasnęła w Panu, ale on nie przestawał głaskać jej po włosach.

Od czasu do czasu Ella rozpoznawała osoby, na temat których snuła fantazje, w ukazujących się jakiś czas potem wspomnieniach. Fakt, iż raz po raz stwierdzała, że to, co wymyśliła, generalnie nie zgadza się z rzeczywistością, wcale jej nie peszył. Wielokrotnie wprawdzie bezlitośnie sama siebie wyszydzała, w końcu jednak dała spokój i czytając nekrologi pozwalała sobie na sentymentalizm. Możesz poszaleć, i tak nie potrafisz przestać. Widziała w wyobraźni pary, które od dnia ślubu nie spędziły bez siebie ani jednego dnia, i z których teraz jedno zostało samo, bezradne. Długie, sensowne życie, a może życie, które powinno być całkiem inne, marzenia, które nigdy nie stały się rzeczywistością. „Dar dla towarzystwa misyjnego”, życie bez własnych dzieci, w charakterze nauczyciela ciemnoskórych maleństw pod tropikalnym słońcem. Dwa nekrologi tej samej osoby, wrogość, bo on rzucił żonę dla młodej kochanki. Zmarłe dzieci, dzieci, które żyły tylko pięć lub osiem lat. Dzieci, które odeszły nagle jako nastolatki. Choroby, nieszczęścia. „Wyrwane z życia”. „Przegrał walkę z rakiem”. Pograżała się w fantazjach na temat, jakby to było, gdyby Maja umarła. Maja jako mała dziewczynka, zanim zdążyła pójść do szkoły. Małe białe trumienki, niewinne dzieci, którym nie dane było zaznać życia. Jakiś miś pozostawiony na podłodze dziecinnego pokoju. Maleńki strój ludowy, który już więcej nie będzie potrzebny. Wzruszała się też nad zmarłymi, którzy osiągnęli wyjątkowo sędziwy wiek. Patrzcie, miała sto cztery lata! Przeżyła dwie wojny, była starszą panią, kiedy

nastąpiła rewolucja informatyczna (Może jeden z prawników nauczył ją wysyłać maile?). Co oni wszyscy dostali od życia? Czy było takie, jak się spodziewali? Ella wielokrotnie układała własny nekrolog. Próbowała sobie wyobrazić, co chciałby napisać Peter. Czy napisałby „moja ukochana małżonka”? Nie, tego nie, ale „moja droga małżonka” albo „żona”, to może. „Moja droga mama Elvira Louise (Ella) Blom”. Peter i Maja pod spodem, sami. Wyglądało to niezwykle skromnie. Ale nie, Ella nie chce umierać jeszcze przez wiele lat, a wtedy imię Mai nie musi być pod nekrologiem całkiem samo, może przecież wyjść za mąż, obok zostanie umieszczone imię męża: Øystein na przykład. Skąd na Boga wzięło się jej to imię? I dzieci. Będą mieć troje dzieci, Maja i ten Øystein. Ale gdyby Peter ją porzucił? „Moja niezastąpiona mama”, czy Maja napisałaby coś takiego?

Ella spojrzała na gazetę przed sobą: „Nasza droga ciocia Paula Magel”. Miała blisko osiemdziesiąt lat. Złożeniu do grobu towarzyszyła skromna uroczystość. „Siostrzenice i bratanice”.

Paula wiodła ciche życie, myślała Ella. Była wysoka, znacznie wyższa niż większość kobiet z jej pokolenia. Wstydziła się tego wzrostu i chodziła przygarbiona, jedno ramię niżej, duże stopy. W szkole była zdolna, nosiła długie warkocze z kokardami, nie, wróć, Paula była młoda w czasie wojny, włosy miała proste, zakrywające uszy, podtrzymywała je spinką. Po szkole podstawowej skończyła kurs dla sekretarek, poszła do pracy, zakochała się w żonatym szefie. Za mąż nigdy nie wyszła, została za to członkinią Czterolistnej Koniczynki, klubu, do którego należały jeszcze trzy jej przyjaciółki, dwie z czasów szkolnych i jedna koleżanka z pracy. Razem chodziły na wycieczki, grały w brydża, jeździły do Frederikshavn promem lub busem do Szwecji, by tuż za granicą kupować szynkę i boczek.

A to co? Czy to jakieś hałasy z sypialni? Czy to może... Czy możliwe, że Peter idzie, żeby... ją pocałować... Nie, co za głupstwa! Może raczej prosić, żeby się położyła?

Nie, musiała się przesłyszeć. Jeszcze jedna filiżanka herbaty, zadecydowała. I jeszcze jeden nekrolog. Przymknęła oczy i na chybił trafił

dotknęła palcem mniej więcej środka strony. Dyrektor banku Sturla Hagbartsen. Czy nie słyszała przedtem tego nazwiska? Zastanawiała się chwilę, ale dała spokój. Nie, chyba znowu coś jej się przywidziało. „Mój drogi małżonek, kochany ojciec i dziadek”. Ella upiła łyk herbaty, miała wrażenie, że pokój kręci się wolno wokół. Szef banku zostawił małżonkę i troje dzieci, które założyły już rodziny. Dwaj synowie mają własne dzieci. Czworo wnucząt miał Sturla Hagbartsen. Mile widziane datki na Norweskie Towarzystwo Turystyczne. Aktywny człowiek, ktoś, kto kochał chodzić latem w góry, jazdę na nartach zimą. Ktoś, kto upierał się, by używać starych granatowych sportowych spodni typu pumpy, ale jako jeden z pierwszych sprawił sobie narty z powłoką ze szklanego włókna. Sturla Hagbartsen był troskliwym ojcem rodziny, podporą społeczeństwa. Miał trochę przerzedzone włosy i dobre oczy. Po domu chodził w wełnianym swetrze w norweskie wzory i w kapciach. Lubił rozwiązywać krzyżówki. Nie udało mu się zrezygnować z palenia fajki, ale w ostatnich latach żona wypędzała go z tym na werandę. Nie chciała, żeby dym tytoniowy wgryzał się w meble. Stał więc tam i palił urażony, ona natomiast siedziała z cierpką miną na nowej, pokrytej welurem kanapie. Potem jednak i on, i (tutaj Ella zerknęła znowu na nekrolog: jak to ona ma na imię?) Margrethe pili wspólnie świeżo zaparzoną kawę. Pogrzeb się odbył.

Nie było jeszcze siódmej. Te same nekrologi czytała Frøydis. Drgnęła, widząc jego nazwisko. To dobrze znane, znienawidzone. On nie żyje, umarł. Umarł naprawdę. Sprawdziła datę w anonsie, kiwnęła głową i siedziała w pogrążonej w półmroku kuchni, patrząc przed siebie. Nie zrobiła przecież nic poza tym, że szepnęła mu do ucha krótkie, niewinne zdanie. Ale on sobie na to zasłużył. Sturla Hagbartsen zasłużył na śmierć. Mógł być jej pomocą, ale nie zaryzykował, nie chciał wierzyć, że samotna cudzoziemka zdoła spłacić tak wysoką pożyczkę. Ważniejsza była jego własna kariera. Czy kobieta–dyrektor banku postąpiłaby tak samo wobec swojej współsiostry? O tak, z pewnością by mogła. Istnieje wystarczająco

dużo kobiet–rycerzy paragrafów, kobiet–pedantek. Ale jak przyjdzie co do czego, to mężczyźni są gorsi. Tak to jest, to mężczyzna odebrał życie maman. Inny mężczyzna. Sturla Hagbartsen był jedynie katem. I czyż nie dlatego jego śmierć jest właśnie taka jak powinna? On nie odebrał życia Charlotte Brun własnymi rękami, nigdy jej nawet nie dotknął, a jednak to jego słowa doprowadziły do jej śmierci.

Frøydis też nie bezpośrednio odebrała życie jemu, co to, to nie. Nie wiedziała nawet, że jej słowa mogłyby mieć takie działanie. Z jednej strony sobie tego życzyła, z drugiej jednak śmiertelnie ją to przerażało. Ale władzę, którą jej dało, polubiła.

Zawołał ją Anders. Chciał, żeby go pocałowała, zanim rano wyjdzie do pracy. Frøydis, mój leciutki niczym piórko elfie, przyjdiesz? Wstała i wolno poszła po schodach. Maman, il est mort.

*

W kartach wyszło, że Edmund Benewitz–Nielsen ma być następną ofiarą. Zanim się pożegnały w ten wtorkowy wieczór, ustaliły spotkanie następnego dnia o ósmej u Celeste. Ella spytała impertynencko, czy może powinny przyjść kwadrans po, by mieć pewność, że gospodyni już jest. Jenna i Frøydis się roześmiały, Celeste wzruszyła ramionami, ale nie powiedziała nic.

– Sprawiam ci przykrość? – spytała natychmiast Ella. Chociaż od czasu do czasu myślała, że Celeste dobrze robi, żeby ją szturchnąć, to przecież nie chciała jej ranić. Naprawdę nie. – To był po prostu głupi żart.

– No co ty, zwariowałaś? Oczywiście, że nie – odparła Celeste. – Nigdy nie czuję się urażona.

– Przepraszam – bąknęła Ella.

– W porządku. Ja naprawdę nigdy nie czuję się dotknięta – powtórzyła Celeste.

– No chyba nie do końca tak jest – zaoponowała Ella na pół z podziwem, na pół prowokująco.

– Masz rację, nie – przyznała Celeste z rozbajającym uśmiechem.

– Ty jesteś jak gęś, Celeste – powiedziała kiedyś jej siostra Cindy.

– Głupia jak gęś, chciałaś powiedzieć? – spytała Celeste, która przywykła, że z tej strony może ją spotkać wiele.

– Nie – odparła siostra. – Jesteś niczym gęś zaimpregnowana tłuszczem z własnego kupra, tak że wszystko, co ją spotyka, po prostu spływa, a ona obojętnie idzie dalej.

– W porządku – zgodziła się Celeste. – Taką gęsią mogę być.

*

Celeste nie martwiła się bez powodu o przyszłość i nie roztrząsała przeszłości. I jeśli kilka kwiatów w bukietcie przywiędło, wybierała najpiękniejsze, ale resztę wyrzucała. Zjadała soczyste winogrona, nie poświęcając żadnej uwagi pomarszczonym. Tak w każdym razie chciała postępować i do pewnego stopnia to jej się udawało. Miała niewątpliwą umiejętność cieszenia się bieżącą chwilą i korzystania ze wszystkich radości, jakie istnieją, wystarczy tylko się rozejrzeć. Tego rodzaju radością był na przykład tramwaj. Szybki i praktyczny, bezpośrednia linia łączy jej pracę z miejscem, w którym mieszka. Zawsze panuje w nim spokój, z jakiegoś powodu w czasie, kiedy Celeste ma wracać do domu, jest dużo wolnych miejsc, nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby musiała stać. Jest poza tym przyjazny środowisku, co też należy traktować jako korzyść, chociaż ona nie jest specjalnie przejęta takimi sprawami. Przed wszystkim jednak stanowi w jej życiu kontynuację. Sklepy są zamykane, a w to miejsce wchodzi sieci, domy są rozbierane i wznoszone nowe kompleksy betonowych bloków. Znajomości się rwą, pojawiają się inne. Ludzie przychodzą i odchodzą, a tramwaj jest wciąż ten sam. Tak samo zgrzytający, jasnoniebieski. Tramwaj, w którym Celeste znajdowała się właśnie teraz w drodze z pracy do domu był dokładnie taki jak tramwaj w jej dzieciństwie. Choć trzeba przyznać, że ma o wiele bardziej aerodynamiczny kształt, konduktor został zastąpiony automatem, a bilet kosztuje czterdzieści razy więcej. Mimo to Celeste upiera się przy tej kontynuacji. Zawsze kochała miejskie tramwaje. Akurat dzisiaj jednak

podróż tramwajem nie była wielką przyjemnością, a to z powodu Karla Hebberna, Napalonego Karla.

Karl Hebbern jest dyrektorem oddziału i bezpośrednim szefem Celeste. Irytuje ją na niezliczone sposoby, ale przede wszystkim dlatego, że jest taki pewny siebie, że się rozpycha, a przy tym niespecjalnie zdolny. Kombinacja, która rzadko bywa pociągająca. Zadufanie Karla Hebberna częściowo opiera się na jego przekonaniu o własnej atrakcyjności, czego Celeste i większość jej koleżanek nie jest w stanie pojąć.

Krótko potem jak zaczęła pracować w Alfapharm, firma zorganizowała zakrojone na szeroką skalę badanie ankietowe w sprawie przejawów molestowania seksualnego, które było częścią pakietu działań proponowanych przez zewnętrzne biuro konsultingowe w celu likwidowania nieprawidłowości w środowisku pracy. Celeste odniosła się do tego z pełną lekceważenia obojętnością. Miała niewielkie doświadczenie zawodowe, to dopiero jej druga praca po studiach. Zdławiła więc ziewanie i wypełniła pozbawione, jej zdaniem, sensu stronicę. Nie, nigdy nie była narażona na molestowanie seksualne. Nie, nie ma takiego problemu. Nie, nigdy nie czuła się nieswojo/urazona/ zachowaniem któregoś z kolegów płci przeciwnej. Westchnęła demonstracyjnie, choć nie było nikogo, kto mógłby to westchnienie usłyszeć. O co, na Boga, w tym badaniu chodzi, pytała sama siebie. Jeśli kobieta narażona jest na pożądliwe spojrzenia mężczyzny, to trzeba się tylko z tego cieszyć. A najlepiej spoglądać tak samo pożądliwie, ewentualnie się odwrócić. W czym problem? Celeste w ciągu swojego życia była obiektem niezliczonych spojrzeń i nigdy nie odebrała tego jako powodu do obrazy. Zresztą można po prostu odejść. Nie rozumiała, co to za sprawa. Była zirytowana i odrobinę prowokacyjna. Typowe dla pozbawionych poczucia humoru feministek, które ze wszystkiego robią zagadnienie, myślała. W miejscu przeznaczonym na komentarz napisała, że w gruncie rzeczy uważa, iż w Alfapharm udziela się jej zbyt mało seksualnej uwagi. Jest gotowa przyjmować znacznie więcej, pisała i podkreśliła słowo „więcej”. Ewentualne molestowanie

przyjmę z radością, dodała, złożyła ankietę, wsunęła do koperty i przestała nad tym się zastanawiać.

Później jednak dużo o ankiecie myślała. Nie minęło wiele tygodni w firmie, a zaczęła żałować. Była naiwna, początkowo nie zrozumiała tego, ale pewnego wieczora pojęła. Jej dział z okazji zakończenia lata zorganizował imprezę na jednej z licznych wysp Oslofjordu. Wszyscy uczestniczyli w przygotowaniach. Mężczyźni zajęli się napojami, kupili kilka kartonów białego wina i mnóstwo koniaku do kawy (choć o kawie zapomnieli). Panie miały się zająć jedzeniem. Było wiele narzekań, że brakowało czasu na przyrządzenie czegoś porządnego, więc zrobiły tylko proste sałatki, z makaronu, z kurczakiem, z tuńczykiem i sałatkę tajska. Inne narzekały jeszcze głośniej, bo w pośpiechu upiekły jedynie bułeczki z serem, ciasto marchewkowe, czekoladowe i muffinki. Celeste kompletnie zapomniała, że też powinna się przyłączyć, uznała jednak, że jedzenia i tak będzie za dużo. Jedli więc, pili, śmiali się i chichotali. Niektórzy panowie porozbierali się do pasa. Panie zdjęły buty i chodziły boso. Nikt nie rozmawiał o strategii, budżecie, trudnych czasach w branży farmaceutycznej, konkurencji. Karl Hebborn podszedł do Celeste i jej koleżanki, z którą rozmawiały o sprawach, o jakich Norwegowie chętnie rozmawiają w lecie. Że nic nie jest równie piękne jak jasne nordyckie letnie noce, że zima jest zbyt długa, że nad fiordem jest dość zimno (Nie, no skąd! Teraz jest ponad dwadzieścia stopni), ale że kąpiel zawsze jest orzeźwiająca. Może chcecie wskoczyć? Wszystko w porządku, dziewczyny? Kiwnęły głowami i uśmiechnęły się. Żadnych problemów? Wciąż uśmiechnięte, pokręciły głowami przecząco. Więc dobrze u nas się czujecie? Celeste skinęła i uśmiechnęła się, tamta zapewniła, że czuje się znakomicie. Karl Hebborn powiedział im obu, że jest z nich bardzo zadowolony. Moje dziewczyny! One kiwały i uśmiechały się. Miło to słyszeć, odparła Celeste. Wyraźnie zainspirowany ich przyjaznym nastawieniem, oplótł ramieniem talię Celeste. W pierwszym odruchu chciała strząsnąć z siebie spoconą łapę, tak jakby zrobiła w każdej innej

sytuacji, gdy mało interesujący mężczyzna dotyka ją bez pozwolenia. Chciała się otrząsnąć, tak jak otrząsa się pies, który wyskoczył z kąpieli. Nie dyskretnie, ale też bez wielkiej agresji. Zaplanowała sobie zabawną reakcję. Chciała pozbyć się ręki, która teraz znalazła się na jej biodrze. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziła jednak, że nie może, nie udało jej się. Celeste stała. Ręka była tam, gdzie była. Kawałek poniżej jej talii, czuła jego palce przez cienką letnią bluzkę. Czuła też, że facet gapi się w jej dekolt. Udała, że na moment straciła równowagę, odsunęła się lekko w bok, ręka szefa przemieściła się na jej brzuch, on też cofnął się nieco i znowu ją złapał mocno w talii. Zdała sobie sprawę, że układa rękę dokładnie tam gdzie przedtem i odepchnięcie jej stało się niemożliwe, bo jeszcze bardziej niż ten dotyk odczuwała, że Karl Hebbert jest jej szefem. To on przydziela jej w pracy zadania, on może dać jej podwyżkę, awansować ją, zwolnić, napisać jej opinię.

I nagle, gdy beztrąsko poruszał palcami kilka centymetrów od jej pępka, a z oddali dochodził chlupot rozbijających się o skalisty brzeg fal oraz szum zadowolonych głosów (Wspaniałe muffinki! Och, ledwo czegoś spróbowałam w biegu) oraz chrobot stukających się plastikowych kubeczków, dotarło do niej, jaki popełniła błąd, odpowiadając na tamtą ankietę. To, co jej robi Karl Hebbert, to po prostu nic, żaden atak, facet nie jest nieprzyzwoity, ale ta jego wilgotna łapa, te poruszające się palce sprawiły, że Celeste zrozumiała. Karl Hebbert nigdy potem już jej nie tknął, ona nikomu nic nie powiedziała (A co miałyby powiedzieć? Mój szef mnie oblał. No i co wtedy zrobiłaś? Nic, po prostu stałam. Czy on cię zmuszał? Nie. Byliście sami? Nie. Groził ci? Nie. Powiedział coś nieprzyzwoitego? Nie). Podejrzewała jednak, że jeśli chodzi o Ann Carin, młodą stażystkę z recepcji, nie skończyło się na oblałaniu w pasie. Tamta była oczywiście w dużo trudniejszej sytuacji niż Celeste i dlatego niewątpliwie miała większe problemy, by mu się przeciwstawić. Opowiedziała Celeste, że długo była bezrobotna, aż w końcu dostała tę posadę. Któregoś ranka jednak nie zajęła swojego miejsca w recepcji.

Podobno została zwolniona. Ale przecież to zastępstwo miało trwać jeszcze kilka miesięcy, zapytał ktoś, zaskoczony zniknięciem Ann Carin. I chyba były możliwości, żeby zatrudnić ją na stałe, dodał ktoś inny, również zaskoczony. To dziwne, wtrącił trzeci, który chyba znał ją najlepiej. Problemy osobiste, szeptano przy stole w czasie lunchu. Widocznie nie radziła sobie z presją w firmie, uznano powszechnie w drugiej części dnia, a pod koniec pracy mówiono już zgodnie, że najlepiej dla Alfapharm, iż odeszła.

Celeste bez problemów mogłaby znaleźć sobie nową pracę (choć końcowa opinia mogłaby mieć poważne konsekwencje), i bywało, że bawiła się tą myślą.

Nie, Karl Hebbert nie narzucał się jej od tamtego letniego przyjęcia, ale przecież codziennie musiała jakoś do niego się odnosić. Karl Hebbert zachowywał się pogardliwie wobec swoich podwładnych, sześciorga osób zatrudnionych w oddziale, którym kierował. Było coś w jego spojrzeniu, co mówiło, że w żadnym razie nie ceni ich tak wysoko jak siebie. Był uprzejmy, ale nigdy nikogo nie chwalił za wykonaną pracę. A raczej, kiedy Celeste lepiej się zastanowiła, Karl Hebbert nie odnosi się tak samo do Kjella Erika, nowo zatrudnionego technika. Karl Hebbert zwołał zebranie, by wyjaśnić, przed jakimi wyzwaniem stoi teraz dział. Poinformował o oczekiwaniach i ekonomicznych założeniach. Patrząc na sześciuosobowe zgromadzenie, jego wzrok raz po raz zatrzymywał się na Kjellu Eriku lub na jakimś punkcie za jego głową. Najmłodsza z kobiet, od niedawna w zespole, inżynier świeżo po studiach, podniosła rękę, a Karl Hebbert łaskawie skinął głową, chrząknęła więc, uśmiechnęła się trochę skrępowana i zgłosiła wspólną propozycję. Przedstawiała ją tonem pytającym i zakończyła słowami: „No, sama nie wiem”. Karl Hebbert patrzył nieruchomo przed siebie i lekko kiwał głową. Celeste wiedziała, co się dalej stanie: pod koniec zebrania szef przedstawi tę samą propozycję, trochę inaczej sformułowaną, jako podsumowanie dyskusji, kończące ją wnioski, a przede wszystkim jako własną ocenę sytuacji. Celeste było

przykro. Przykro dlatego, że Karl Hebbert uważa za rzecz oczywistą to, iż ona i inne kobiety mają posprzątać filiżanki po kawie i zatłuszczone papiery po drożdżówkach, podczas gdy on sam i Kjell Erik bez mrugnięcia okiem opuszczają pokój. Było jej przykro, że i ona, i koleżanki robią to bez szemrania, automatycznie usuwają śmieci, zgarniają okruchy ze stołu i wyrzucają. Brudne filiżanki wynoszą do zmywarki w pomieszczeniu kuchennym. Jakby uważały, że od tego właśnie są, jakby traktowały to jako swój obowiązek. Jakby nosiły w sobie gen sprzątania, którego mężczyźni nie mają.

Powinna wysiąść na następnym przystanku i właśnie wtedy podjęła decyzję. Następną ofiarą będzie Karl Hebbert. Przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. Nie miała pojęcia, skąd jej się to wzięło, ale było tak ekscytujące, że wyskakując z tramwaju, roześmiała się głośno. W torbie miała plik papierów, które przed wyjściem z pracy dał jej Karl Hebbert. Że też od razu o tym nie pomyślała! Dziś wieczorem Wiedźmy mają spotkanie u niej w domu – pozostaje więc tylko przekonać je, by wybrały Karla Hebberta, odkładając akcję przeciw profesorowi Elli.

Kiedy stanęła pod drzwiami mieszkania, poczuła bolesny skurcz w żołądku. Podwójnie nieznośny, ponieważ na wiele minut pozwoliła sobie nie myśleć o nim. Pod drzwiami nie było żadnego listu, ale nie wiadomo, co gorsze: znaleźć list czy nie znaleźć i zamiast tego myśleć, jaki diabelski podstęp uknuje następnym razem. Napalony Karl to głupi cap, jeden z męskich szowinistów. Ten, którego Celeste nazywa Neronem, jest niebezpieczny. Z Napalonym Karlem sobie poradzi, zwłaszcza że inne Wiedźmy jej pomogą, z Neronem nie może zrobić nic.

Zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi mieszkania na klucz, spojrzała na zegarek. Do spotkania zostały blisko dwie godziny. Czy powinna czymś Wiedźmy przyjąć? Może ciastem? Albo podać kekсы i ser? Założyła łańcuch w drzwiach, zdjęła buty i zostawiła je na środku pokoju, podeszła do kanapy, usiadła i nalała sobie szklaneczkę calvadosu. Teraz może tu posiedzieć, wolno opróżniać szklaneczkę i nie myśleć o niczym, a potem

zajrzy do Sebbe. Powiedziała mu, że przyjdzie przed szóstą, teraz jest już kwadrans po, ale Sebbe wie lepiej niż ktokolwiek inny, że ona zawsze się spóźnia. Wie również, że w końcu zawsze przychodzi.

Czy nie powinna trochę posprzątać przed spotkaniem? No i Sebbe czeka. Mimo to pozwoliła sobie na jeszcze pół szklaneczki, jeszcze jedno spojrzenie na kanapę. Przymknęła oczy. Pod powiekami pojawiły się koniugacje, których nauczyła się na pierwszych kursowych zajęciach, przesuwają się w jej głowie w marszowym rytmie. Amo, amas, amat, amamus, amatis, amant. Amo Sebastian. Sebastian amat Celeste (Kocham, kochasz, kocha, kochamy, kochacie, kochają. Kocham Sebastiana. Sebastian kocha Celeste).

Odezwał się telefon, Celeste podskoczyła. O Boże, a jeśli to Neron znowu zaczął dzwonić? Nie wstała jednak, wyciągnęła tylko białą, szczupłą rękę i udało się jej chwycić słuchawkę przy pierwszej próbie. Uśmiechnęła się, słysząc kto to. Dzwonił Bjørn. Bjørn mówi głębokim basem i zawsze jest zrównoważony. Celeste uwielbia słuchać jego głosu – może dlatego, że jemu najwyraźniej nigdy nie przyszło do głowy, by prawić jej kwieciste komplementy. Najczęściej rozmowa ogranicza się do rzeczowych pytań: Bzykniemy się? Masz ochotę? Masz czas? Było dobrze? (Odpowiedź na to ostatnie zawsze brzmi: tak). Na wspomnienie Bjørna podbrzusze Celeste poruszyło się niczym zadowolony kot, bardzo by chciała spotkać się z nim dziś wieczorem. Spojrzała na zegarek, zrobiło się już wpół do siódmej.

– Chęć?

– Tak.

– Czas?

– Jest trochę późno, niedługo mam spotkanie. A co byś powiedział na jutro?

– No, może – odparł Bjørn. – Mam pilną robotę, ale zadzwonię, jak skończę.

– Będę czekać – powiedziała Celeste, wyciągnęła rękę do tyłu i odłożyła

słuchawkę.

Dwa piętra niżej siedzi Sebbe i czeka na Celeste. Siedzi z udami ustawionymi dokładnie równolegle, a złożone razem dłonie wsunął w szczelinę między nogami. Jest wyprostowany, wygląda, jakby nasłuchiwał. Może i tak jest, może nasłuchuje, czy w głębi domu, na klatce schodowej, nie usłyszy kroków matki, ale przede wszystkim liczy. Bo Sebastian Ringstad zaczyna każdy dzień w ten sam sposób. Budzik dzwoni o godzinie siódmej piętnaście. Sebastian natychmiast wstaje, idzie do łazienki, robi siusiu, myje ręce, goli się (w staroświecki sposób, z pianką i jednorazową maszynką), czesze się (za pomocą grzebienia robi prosty przedziałek), ośmioma krokami pokonuje odległość do kuchni i całuje Panią Pusię w mordkę, je śniadanie (kornfleksy z chudym mlekiem i duży kubek kakao), robi osiem kroków z powrotem do łazienki, szczotkuje zęby, płucze gardło, idzie do salonu (dziesięć kroków) i zaczyna liczyć. Potem liczy tak aż do chwili, gdy zaczyna się ceremonia wieczorna (która w gruncie rzeczy jest odwrotnością porannej) z kilkoma wariacjami, np. idzie z salonu do kuchni, gdzie zjada kornfleksy, potem do łazienki przed wizytą w toalecie, mycie zębów, płukanie gardła i mycie rąk. Liczenie jest głównym zajęciem Sebastiana, jest szczęśliwy, że może równocześnie z tym robić różne inne rzeczy. Może na przykład wyglądać przez okno i obserwować, co się dzieje na sąsiednim podwórku. Może słuchać radia, oglądać telewizję, grać na komputerze. Może czytać książki o pielęgnacji kotów. Może karmić Panią Pusię, bawić się z nią (wścieka się, kiedy ktoś mówi o jego kocie „on”), zajmować się nią, rozmawiać z nią. Może przygotowywać obiad (najchętniej rybny pudding, zupę z raków lub wieprzowe siekane kotlety). Może nawet nucić piosenki ABBY, bo przeliczył już wszystkie i wie, ile sylab zawiera każda zwrotka. Może rozmawiać z Celeste, kiedy przychodzi do niego z wizytą. To lubi najbardziej. Wtedy Sebastian odsuwa liczenie głęboko w tył mózgu, gdzie ono sobie czeka i toczy się dalej, a on nie musi nim się przejmować, zaś po wyjściu Celeste ponownie po nie sięga. Tylko kiedy komponuje muzykę na

komputerze, liczyć nie może. Sebbe jest spokojnym chłopcem, ale Celeste musi obchodzić się z nim jak z jajkiem. Jeśli powie coś nie tak, na przykład „on” o Pani Pusi, zapomni zamknąć drzwi do salonu, ma na sobie coś w paski, wtedy Sebastian zamyka się w swoim pokoju, naciąga kołdrę na głowę, wkłada do uszu słuchawki i włącza Dancing Queen. W najgorszym razie może się zamknąć na wiele dni, nie odzywać się, odmawiać jedzenia.

Sebastian nie miewa wielu gości, obecnie tak naprawdę odwiedzają go tylko dwie osoby. Ale czuje się dobrze w swoim świecie. Prawie nigdy nie opuszcza mieszkania, życie niczym go nie zaskakuje. Wie, czego się trzymać od rana do wieczora. Sebastian liczy. Radzi sobie sam. Nie czuje się jednak samotny. Przychodzi do niego Erik i przychodzi Celeste. Na telewizorze stoi duża fotografia portretowa przedstawiająca Sebbe i Celeste, poszli do fotografa dwa lata temu (no tak, dwa lata, jeden miesiąc i cztery dni temu), wszędzie w mieszkaniu jest też wiele ich wspólnych zdjęć z czasu, kiedy Sebastian był mały. Niedawno dostał paszportowe zdjęcie Erika, które powiesił na lustrze w łazience. Erik jest nowy. Przed Erikiem był Egil. Teraz jest Erik. Układa im się świetnie. Sebastian polubił Erika, choć dobrze wie, że Erik bierze pieniądze za to, że go odwiedza. Poza tym Sebastian ma Panią Pusię. Nie potrzebuje żadnych jej zdjęć, bo ona jest tutaj przez cały czas. Wita go na swój sposób każdego ranka. Najpierw wydaje jakby trochę zdumiony dźwięk: „prrt”, przypominający start motoroweru. Od czasu do czasu Sebastian pochyla górną część ciała nad wibrującym, mruczącym kotem, zdarza się, że tuli twarz do futerka i bardzo ostrożnie całuje Panią Pusię w pyszczek, dopóki kot nie odwróci głowy od jego ust. Lubi opowiadać Erikowi i Celeste o pielęgnowaniu kotów. Oni nigdy nie przychodzą tu równocześnie, więc może opowiadać to samo dwukrotnie. A ponieważ nie do końca polega na pamięci Erika czy Celeste, bardzo chętnie opowiada im to często. Wygląda bowiem, że oni za każdym razem zapominają. Pani Pusia została wysterylizowana, ale Sebastian dużo wie o kociej ciąży i porodach. Każde

kociątko przychodzi na świat we własnym sinym pęcherzu płodowym. Kotka zjada pęcherz, krew i pępowinę. Trzeba zbadać odległość między odbytem i cewką moczową, by stwierdzić, czy kociak jest płci męskiej czy żeńskiej. Matka liże małe po brzuskach, żeby pobudzać trawienie, a kiedy odchody zostaną wydalone, natychmiast przybiega i zjada je.

Celeste uśmiecha się zawsze, kiedy Sebastian opowiada o kociętach. On patrzy na nią i liczy, ile sekund trwa jej uśmiech.

Celeste miała dwóch mężów, ma Bjørna, a przez lata uzbierała się spora liczba kochanków. Jeszcze nie zdecydowała się, czy chce kontynuować romans z dentystą. Ale właściwie w jej życiu liczy się tylko jeden mężczyzna – bo nikogo nie kochamy tak bardzo jak własne dziecko.

Udało się jej pobyc z Sebastianem niemal półtorej godziny, zanim musiała wrócić do siebie. Sebbe ucieszył się, że ją widzi, ona ucieszyła się, że widzi jego. Opowiadał jej o swoim nowym opiekunie. Świetnie, cieszyła się Celeste. Wchodząc po schodach w drodze powrotnej myślała zawsze, jaki on mógłby być, gdyby lekarz słuchał, kiedy próbowała mu powiedzieć, że coś jest nie tak. Poklepała go po ramieniu (Sebbe nie lubi być obejmowany), drzwi mieszkania syna zamknęły się za nią, jedną nogę postawiła na pierwszym stopniu schodów, druga zawisła w powietrzu i natychmiast pojawiły się te myśli: Czy by studiował, a jeśli tak, to co? Czy miałby dziewczynę?

Próbowała powiedzieć doktorowi, że czuje, iż coś jest bardzo, bardzo źle. On nie chciał jej słuchać. Arogancki, zbyt młody stażysta, który uważał, że rodzące kobiety nie powinny wtrącać się do tego, jak szpital je traktuje. A już zwłaszcza pierworódki. Mózg Sebastiana nie dostał odpowiedniej ilości tlenu. Celeste wołała, krzyczała raz po raz, że coś idzie źle, że wie, iż nie jest tak, jak powinno. Lekarz spojrział na nią, uniósł lekko brwi, skinął na akuszerkę i powiedział, że wszystko jest w porządku. To normalne, dodał i poszedł.

Teraz biegła na górę i z przyzwyczajenia przeklinała tamtego, który sprawił, że życie Sebbe jest inne, niż mogłoby być. Wkrótce dotarła do

mieszkania. Za nic nie chciała przyznać racji Elli, więc dokładnie o ósmej znalazła się znowu we własnym salonie. Posłużyła się swetrem, by wytrzeć kurz ze stołu i usunąć ślad wielkości owocu papai (owalny odcisk jej wilgotnego poślądka, pozostawiony na blacie podczas ostatniej wizyty dentysty), pośpiesznie nastawiła wodę na herbatę i kawę, zebrała z podłogi buty i jakieś ubrania. Ciasta nie miała, ale szybko połamała czekoladę i włożyła ją do deserowej salaterki, do drugiej wsypała torebkę migdałów. W lodówce ma litrowe pudełko migdałowych lodów, jeśli dobrze pamięta. Filiżanki podzwaniały na talerzykach, kiedy wносиła je do salonu. W kuchni przejmująco zagwizdał czajnik i w tej samej sekundzie rozległ się dzwonek u drzwi. Celeste spojrzała na swój ręczny zegarek: dwie po. Że też ludzie nie mogą być punktualni.

*

– Zapraszam – mówiła Celeste, usuwając się na bok, tak by trzy kobiety mogły wejść do środka. Uśmiechała się do nich, na moment na jej twarzy pojawiło się coś więcej niż uprzejmość. Bo teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo chciała je tutaj widzieć, u siebie, w swoim mieszkaniu, i jak się cieszy, że je widzi, jakiego znaczenia dla niej nabrały w ciągu tego krótkiego czasu. – Zapraszam – powtórzyła jeszcze serdeczniej.

– Dziękuję – odparła Ella, stojąca na przedzie i jako pierwsza weszła do mieszkania. Rozejrzała się wokół. Wyobrażała sobie mieszkanie Celeste mniej więcej takim, jakie w rzeczywistości było (Popatrz no, Ello Blom. Od czasu do czasu twoje fantazje się potwierdzają!). Trzypokojowe, Ella spoglądała w głąb długiego korytarza przez dwuskrzydłowe drzwi do salonu ze zniszczonym parkietem. Mieszkanie sprawiało wrażenie przykurzonego, dość chaotycznie urządzonego. Na komodzie leżał rozrzucony plik listów, kolorowe broszury reklamowe i porozrywane koperty. Ella odchyliła głowę w tył i próbowała określić wysokość pokoju (wyraźnie kilkadziesiąt centymetrów niższego niż u niej), i całkiem nieoczekiwanie pojawiła się przed nią zniechęcona gęba Edmunda Benewitza–Nielsena, znowu przerywając jej rozmyślenia. Na jaką zemstę

zostanie skazany? Ella nie miała pojęcia. Powiesiła okrycie obok białego płaszczyka Celeste, Jenna swój płaszcz rzuciła na krzesło. Celeste stanęła w drzwiach do salonu, wskazywała im drogę, niczym wyjątkowo uprzejma stewardessa. W myślach Elli pojawiła się teraz pani Næss, wypychając Edmunda Benewitza–Nielsena, i skłoniła ją do uśmiechu.

– Jak tu u ciebie przytulnie – zachwycała się Frøydis. – A zabrałaś ze sobą peleryny? – zwróciła się do Jenny.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Celeste.

– Oczywiście – odparła Jenna, wskazując na wielką szkarłatną torbę ozdobioną haftami. – Są tutaj.

Ella uśmiechnęła się blado. Jenna i te jej peleryny. Salony Celeste – ma dwa – były zastawione mieszaniną mebli z domu towarowego i przedmiotami, które, zdaniem Elli, odziedziczyła po rodzinie. Mieszkanie zostało urządzone ze smakiem („ze smakiem” oznacza tylko tyle, że zgodnie z twoim mieszczańskim gustem, Ello Blom), zarazem jednak było oczywiste, że Celeste właściwie nie za bardzo się przejmuje tym, co ją otacza. Interesowało ją to do pewnego poziomu, a potem już inne ważniejsze rzeczy pochłaniały jej uwagę. Ella uznała, że jej i Petera świetnie umeblowane mieszkanie na wysoki połysk, z którego jest bardzo dumna, świadczy jedynie o tym, że ona prowadzi pozbawione sensu życie, skoro tyle energii wkłada w urządzenie domu. Bo popatrzcie tylko na mężczyzn. Czy ich coś takiego interesuje? Nie, dopóki jest funkcjonalne i jako tako wygląda, to wystarczy, czas przeznaczają na co innego.

W domu Celeste prawie nie było ozdób ani bibelotów, okna nagie, bez firanek. Wszędzie leżały rzeczy, większość najwyraźniej nie na swoim miejscu, może nie aż tyle, by można było powiedzieć, że mieszkanie jest zagracone, ale wystarczająco dużo, by Ella, i z pewnością pozostałe też, nie mogły tego nie zauważyć. Na większości krzeseł leżały ubrania, na stołach stosy książek. Gazety z ostatniego tygodnia walały się obok telewizora. Na parapetach stały nie tylko rośliny, lecz na przykład także talerzyk z czymś, co wyglądało na do połowy zjedzoną gruszkę, obok

lampa z przekrzywionym abazurem i stos papierów. Ella próbowała koncentrować się na wnętrzu, ale Edmund Benewitz–Nielsen nie chciał zostawić jej w spokoju. Co, na Boga, mogłyby z nim zrobić, to znaczy jeśli Wiedźmy zdecydują podjąć tę sprawę. Widziała przed sobą jego świdrujące, złośliwe oczka.

Na jednym z bocznych stolików przy kanapie stała duża, poczerniała srebrna taca z pięknymi karafkami wypełnionymi złocistym lub bezbarwnym alkoholem. Na stole nadal stał mały kryształowy kieliszek. Ella przeniosła wzrok na karafki, na piękne szkło, na srebrną tacę, na różnokolorowe płyny. Dwa zupełnie czyste, to pewnie wódka i być może gin, obok stała karafka z czymś ciemnozłocistym (być może whisky) i druga z ciemnobrązowym (koniak?), i jeszcze jedna, wypełniona do połowy trunkiem jasnobezowym. Ella zastanawiała się najpierw, czy to może jest rum, ale nie, to oczywiście calvados! Celeste częstowała je przecież calvadosem, zanim poszły do domu opieki. Dziś wieczorem mają zaplanować... jakby to określić... atak na Edmunda Benewitza–Nielsena. Z jednej strony nie pragnęła niczego bardziej niż tego, żeby on się zmienił i porzucił chęć dręczenia jej (No nie, jest jednak coś, czego pragniesz znacznie bardziej: szczęśliwe małżeństwo. Dobrze, dobrze, musiała przyznać, ale powinnyśmy chyba poruszać się w jakichś realistycznych ramach, prawda?). Ella gratulowała sama sobie, że przynajmniej tym razem zdołała być bardziej ironiczna niż jej surowy wewnętrzny głos. Co należy przedsięwziąć wobec tego człowieka? Jak on zareaguje? Jak zareaguje ona? No a jeśli zostaną przyłapanie? Już widziała wielkie tytuły prasowe: „Pani adiunkt nęka kolegę”, a poniżej, mniejszymi, ale równie wyraźnymi literami: „Atmosfera na uniwersytecie w Oslo wciąż się pogarsza”.

– Piękne karafki – stwierdziła Ella. Jak miałyby go ukarać? Czy powinny go związać? Pobić? Dźgać go rozpalonymi do czerwoności szpikulcami? Zatruc?

– Napijesz się? – spytała Celeste. – Jak widzisz, mam tego sporo.

Miałabyś ochotę na whisky? A może na calvados?

– Nie, dziękuję – odparła Ella.

– Coś takiego widziałam tylko na filmie. Jenna wskazywała ogromną skórę białego niedźwiedzia rozłożoną przed kominkiem.

– To prezent od jednego z kochanków – wyjaśniła Celeste.

– Polarnika? – próbowała sprecyzować Frøydis.

– Badacza lodowców. A co tam u twojej mamy, Jenna?

– No, dziękuję, żadnej odmiany nie ma, ale przynajmniej jestem umówiona za tydzień na spotkanie w dzielnicy. To mnie podnosi na duchu!

– Świetnie – ucieszyła się Frøydis.

– Pogłaszczcie to miękkie futro – proponowała Jenna, kucając przy niedźwiedziej skórze. – Ale oczy to on ma jakieś smutne.

– Oczy są ze szkła – poinformowała Celeste. – Siadajcie, przyniosę kawę.

– Może ci pomóc? – spytała Jenna.

Celeste pokręciła głową. Wkrótce na stole znalazła się kawa, herbata, miseczki z czekoladą i migdałami oraz plastikowy pojemnik z lodami.

Przez jakiś czas rozmawiały o tym i owym, piły kawę (Frøydis i Ella) oraz herbatę (Celeste i Jenna). Celeste podawała po kolei pojemnik z lodami (zapomniała tylko, że jakiś czas temu zjadła parę łyżek). Ella wiedziała, że ona by zaczęła przeproszać, mówić, że powinna była upiec ciasto, ale nie miała czasu, więc będą musiały się zadowolić kupnym. Celeste nie powiedziała nic. Ella nie wiedziała, czy dlatego, że ona po prostu o takich sprawach nie myśli, czy dlatego, że świadomie nie chce. Niezależnie od przyczyny Ella musiała podziwiać ją za to, że ani słowem nie wspomniała o nie dość eleganckim przyjęciu.

– A teraz sprawy poważne – chrząknęła Jenna, podnosząc z podłogi torbę. Otworzyła ją i podała każdej z pań pelerynę. One wstawały, wkładały okrycia z pewnym wahaniem, niepewne, czy żartować, czy traktować rzecz serio, czy w ogóle nie komentować. Wybrały tę ostatnią strategię, zachowywały się jakby nigdy nic. Wkładały peleryny, jakby to

była najbardziej naturalna rzecz na świecie, choć żadna nie robiła tego bez mniejszych lub większych wątpliwości. W duszy Elli głos gadał piskliwie: Naprawdę chcesz nosić ten śmieszny kostium, Ello Blom? Czy dzięki temu fizyczny atak na urzędnika państwowego stanie się mniej problematyczny? Nawet Jenna się wahała. Bała się tego, co miało nastąpić. Czy posuną się do działań gwałtownych? Nie, na to ona się nie pisze! Do czego coś takiego miałyby doprowadzić? A jeśli on, ten profesorek, okaże się silniejszy? Ale podziwiała – co tam, rozkoszowała się – widokiem kruczoczarnych aksamitnych okryć z zaangażowaniem, które zapewne mogłyby zaskoczyć pozostałe. To jest takie... piękne, takie wspaniałe, niczym pradawna wspólnota kobieca, aż jej zaschło w gardle ze wzruszenia i dumy. Cztery silne kobiety w czarnych okryciach, które mają razem walczyć z niesprawiedliwością. I wiedziała, że peleryny spełniają tu ważną funkcję. One działają, po prostu.

– Czy musimy to na siebie wkładać? – zastanawiała się Celeste. Patrzyła na Frøydis, jakby szukając odpowiedzi, a może sojuszniczki, tak by one obie mogły uśmiechnąć się porozumiewawczo nad tymi idiotycznymi strojami lub przesłać sobie nawzajem potwierdzenie, że wszystko jest w porządku, że peleryny są częścią całości. Frøydis akurat układała okrycie na swoich potężnych ramionach. Celeste w napięciu spoglądała w jej twarz: Frøydis wygląda na energiczną i jasno myślącą, jej okrągła twarz lalki promieniała teraz siłą i pewnością. To jest najlepsze, nie, drugie w kolejności najlepsze, co mi się przydarzyło. Peleryny należą do sprawy, pomyślała jakby w niemej odpowiedzi na pytanie, które pojawiło się w głowie Celeste. Równocześnie jednak Frøydis też miała wątpliwości. Nie jest przecież tchórzem, co to, to nie, nie chciała jednak narażać na szwank wszystkiego, co w życiu osiągnęła (Anders, praca, mieszkanie, bezpieczeństwo i stabilizacja). Czy to, co zamierzają uczynić, jest tego warte?

Tak, stwierdziła Frøydis. Tak! I właśnie w tym momencie Celeste spojrzała na nią i wyczytała w jej twarzy przekonanie.

– Calvados, dziewczyny? To też staje się już naszą tradycją – powiedziała w końcu Celeste.

Wszystkie pozostałe pokręciły przecząco głowami, nie, dzisiaj wieczorem prowadzą. Wszystkie? Mhm, potwierdziły. Celeste naląła sobie łyk złocistego płynu do kieliszka, którego używała dziś po południu. Popatrzyła gdzieś obok przyjaciółek (w tej samej sekundzie, gdy słowo „przyjaciółki” przyszło jej do głowy, zdała sobie sprawę, że tym właśnie one się dla niej stały). Jej mieszkanie. Lubi je, nie jest to może pełna słodczy miłość, żadne silne uczucie, mieszkanie to w końcu rzecz materialna, ma znaczenie praktyczne, ale podobnie jak inne rzeczy będące jej własnością, nie może podlegać zamianie. Kiedyś dostała to mieszkanie w prezencie. Od tamtej pory minęło wiele lat, Mohammeda spotkała tuż po urodzeniu Sebbe. Był właścicielem kilku restauracji i nocnych klubów w Oslo. Gazety nazywały go baronem życia. Ona i Mohammed byli ze sobą kilka miesięcy i wtedy dostała mieszkanie w prezencie urodzinowym.

– Mam tyle pieniędzy, że nie wiem, co z nimi robić – wyjaśnił. – Zbudowałem szkołę w północnym Pakistanie. Teraz mam ochotę dać ci tę małą pamiątkę. W porządku?

– Jak najbardziej w porządku – odparła Celeste. – A co ty w takim razie chciałbyś dostać na urodziny? Skarpetki czy krawat? A zresztą nie, możesz dostać i jedno, i drugie, skoro byłeś wobec mnie taki hojny.

Od tamtej pory Celeste tu mieszka. Ale chociaż Sebbe tutaj dorastał, nie myśli o swoim mieszkaniu z nostalgią. Nostalgia nie leży w moim charakterze, stwierdza zwykle stanowczo. Nie jest w stanie protestować przeciwko nachodzącym ją myślom, nie jest w stanie przyznać, że tu ważne jest coś zupełnie innego. Kreski na futrynie kuchennych drzwi, zaznaczane raz w miesiącu przez wiele lat: ona z flamastrem w dłoni, Sebbe z uroczystą miną przy futrynie, z chwiejącą się na głowie książką. Oczywiście, że to ma jakieś znaczenie, ale są to też te same drzwi, do których przypierał ją Nero, wtedy ona stała tuż przy futrynie, tak jak zawsze Sebbe, ale podczas gdy przedtem ona uzbrojona była we flamaster,

Nero trzymał w ręce nóż. Kant futryny wbijał się jej boleśnie w plecy, od tyłu głowy aż do bioder, i bała się bardziej, niż kiedykolwiek myślała, że to możliwe. Kiedy jednak ostrze noża dotknęło jej szyi, przestała się bać. Nic już nie czuła, znajdowała się po prostu w tym miejscu i rejestrowała, co się dzieje. Nie myśleć. Nie myśleć. Powtarzała to sobie wtedy i mówi to teraz. Od czegoś muszą zacząć, a Karl Hebborn jest równie dobrym kandydatem na start jak każdy inny. Na dodatek, ze względu na okazję, jaka się teraz nadarza, jest lepszy niż kandydat Elli.

– Moje panie – zaczęła i zdołała się uwolnić od obrazu Nerona. Uświadomiła sobie, że się denerwuje, co zwykle, w sytuacjach takich jak ta, się nie zdarza. Wypychała językiem policzek, jak to robiła w dzieciństwie. Teraz musi uważać jak się zachowuje, musi patrzeć na koleżanki, uśmiechać się, trzymać język tam, gdzie należy. Zdawała sobie sprawę, że to, co teraz ma zaproponować, będzie zaskoczeniem dla Elli, że Ella siedzi tu gotowa układać plan, jak najlepiej ukarać profesora, którego nazwiska Celeste w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć. Ella sprawiała wrażenie zdecydowanej, ba, nawet zaciętej. No i profesor naprawdę zasłużył na ich uwagę. Tylko że przecież teraz nadarza się wyjątkowa możliwość, by raz na zawsze załatwić Napalonego Karla.

Wszystkie na nią spojrzały, poczuła, że się chwieje, odstawiła więc jedną nogę lekko w bok, by stanąć pewniej.

– Profesor Elli wygląda na odpowiednią ofiarę. Mimo to chciałabym was prosić, byście oceniły innego. Czas nagli, zaraz wyjaśnię dlaczego.

Ella głośno zaczerpnęła powietrza i wydała z siebie ciche „o”. Ze zdumienia, ale najbardziej z poczucia ulgi. Będzie z pewnością rozczarowana, jeśli Edmund Benewitz–Nielsen zostanie przesunięty na liście i minie trochę czasu, zanim ona otrzyma możliwość przedstawienia jego sprawy. Ale nie chodzi przecież o skreślenie, to tylko odroczenie. Mile widziane odroczenie.

Quod differtur, non aufertur (Co się odwlecze, to nie uciecze). Cudownie jest nie musieć ustosunkowywać się do tego teraz. Celeste przez

cały czas nie odrywała wzroku od twarzy Elli i źle odczytała jej reakcję jako niezadowolenie.

– Rozumiem, oczywiście, że właściwie to nie jest do zaakceptowania – pośpieszyła dodać. – Przykro mi, Ella, ale to naprawdę sprawa niecierpiąca zwłoki. Proszę, byście tylko wysłuchały, co mam do powiedzenia i potem podjęły ostateczną decyzję.

Celeste w czarnej pelerynie patrzyła na trzy koleżanki. To dziwne uczucie widzieć je tutaj, w znajomym otoczeniu, na jej terenie, można powiedzieć. Regał z książkami za głową Jenny, ręka Elli na jednym z kufli, które Celeste kiedyś zabrała z pracy i przyniosła do domu, odbicie Frøydis w okiennej szybie. Wszystko to sprawiało, że sytuacja wydała jej się taka rzeczywista, iż trudno było dać się porwać nastrojowi. Odtworzenie atmosfery spotkania założycielskiego też było niemożliwe – światła pełgającego po ścianach, zapachu kadzidła mieszającego się z zapachem gąbki i kredy. Poczucia siły i niezłomności, gdy włożyły peleryny i stanęły w kręgu. Dzisiejsze spotkanie to coś całkiem innego. Kanapa z Ikei, plastikowy pojemnik z lodami na stole, trzy kobiety, które w napięciu, ale trzeźwym wzrokiem jej się przyglądają. Musi je za wszelką cenę przekonać. Najpierw spojrzała na Ellę. Odniosła wrażenie, że jest zirytowana i surowa. Mimo to Celeste odczuwała ciepło, myśląc o niej, może dlatego, że wydaje się taka krucha i bezradna w tej swojej aurze autorytetu, pewności i akademickiej pozycji. Właśnie teraz siedzi wyprostowana i bardziej poprawna niż zwykle, ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad głową Celeste. Byłoby oczywiście naturalne, gdyby Ella nie chciała napotkać jej spojrzenia, zaniepokojona o swojego kandydata, zanim Celeste przedstawi sprawę. Teraz chodzi o to, by przekonać ją, iż kandydat Celeste nie może czekać, że jest to okazja z najczystszyego dwudziestoczekaratowego złota! Przeniosła wzrok na Jennę. Ta wyglądała przede wszystkim na poruszoną. Siedziała z niezmiennym uśmiechem na wargach i Celeste nabrała podejrzeń, że Jenna dzięki nim, Wiedźmom, zyskała nieoczekiwanie możliwość wprowadzania w życie

własnych fantazji, bo zewnętrzne ramy tego, co się dzieje, są rezultatem jej zainteresowań czarownicami i czarną magią. W tym momencie w myślach Celeste pojawił się Sebbe, potrzebowała trochę czasu, żeby od niego się uwolnić; nie ma sensu teraz nad tym się zastanawiać. Teraz toczy się sprawa Karla Hebberna.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zwlekała z najważniejszym. Uświadomiła to sobie dopiero, kiedy jej oczy napotkały oczy Frøydis: to Frøydis decyduje, to ona jest szefem. Celeste wcześniej o tym nie pomyślała. Jenna odpowiada za efekty specjalne, to ona przyniosła peleryny. Ella to nauczycielka. Jaką rolę ona sama odgrywa, nie miała pewności. Wesołka? Autorki zuchwałych komentarzy? W każdym razie nie ulega wątpliwości, że to Frøydis pociąga za sznurki. To ona akceptuje i odrzuca, to jej reakcje wszystkie śledzą. Jej pragną dogadzać, to na jej uznanie czekają.

Frøydis siedziała na kanapie niczym czarna kula. Włosy na jej głowie leżały jak hełm, gładkie, perfekcyjnie zaczesane.

Wpiła oczy w Celeste:

– Opowiedz nam o swoim kandydacie – powiedziała spokojnie.

Celeste chrząknęła i zaczęła:

– Karl Hebbern jest moim szefem i głęboko niekompetentnym dupkiem.

– Karl Hebbern, który nieustannie wykorzystuje swoich współpracowników, wysysa z nich umiejętności, a cały honor przywłaszcza sobie. Jest przekonany, że mężczyźni są dużo bardziej uzdolnieni niż kobiety i gdy tylko ma możliwość, stawia mężczyzn przed kobietami. Co mu jednak nie przeszkadza korzystać z kompetencji kobiet i przez cały czas najlepszymi pracownikami jego działu są dziwnym zbiegiem okoliczności, kobiety. Nigdy im nie dziękuje, nigdy nie podnosi ich zasług. Patrzy na nie tak, jak w dawnych czasach ojciec patrzył na swoje młode córki – z pewną wyrozumiałością, ale bez szacunku, bez zaufania. Są ładne, więc można na nie popatrzeć, mogą być pożyteczne, w żadnym

razie jednak nie warto tego, by z nimi dyskutować.

– Czy on powiedział, że mężczyźni są bardziej inteligentni? – spytała Jenna.

– Nie – odparła Celeste. – Nigdy tak nie powiedział. Nie jest przecież aż taki głupi, chociaż to chłop. Ale z daleka widać. Wszystko, co robi i czego nie robi, pokazuje to aż nazbyt wyraźnie.

– Znam ten typ – wtrąciła Frøydis. – Mamy na przykład zebranie. Dwie kobiety, dwóch mężczyzn. Nikt nie jest szefem, wszyscy zajmują takie same pozycje. Zebranie się kończy. Mężczyźni, jakby nigdy nic, wychodzą z pokoju, sprzątanie zostawiając nam.

– Otóż to – zgodziła się Celeste. – I nigdy też nie patrzy kobietom w oczy. Albo patrzy na obecnych wtedy mężczyzn, albo gapi się w nasze dekolty.

– My, staruszki, tego nie doświadczamy! – krzyknęła Jenna. – To by nawet mogło być przyjemne.

– Nie, on oczywiście w ogóle nie spogląda na kobiety w okresie menopauzy – zauważyła Ella.

– Akurat o to nie można Napalonego Karla oskarżać. On gapi się na cycki kobiet w każdym wieku – skorygowała Celeste. – Patrzy na nie pożądliwie i pogardliwie. Mówi do nich „dziewczynki”, „panienki” albo jakoś tak.

– No właśnie – rzekła Frøydis. – Jakież konkrety?

– Tak, w firmie znana jest historia Karoline – zaczęła Celeste. – Należy ona do najzdolniejszych, startowała mniej więcej w tym samym czasie, co ja. Karoline zdobyła znaczną sumę pieniędzy na badania nowego leku na astmę. Dyrektor poprosił ją o zaprezentowanie projektu na wspólnym spotkaniu dyrektorów z całej Skandynawii. Wielki zaszczyt. I właśnie w chwili, kiedy miała wejść na podium i rozpocząć prezentację, Karl Hebborn spytał ją szeptem, czy spała z szefem działu prowadzącego badania. Tylko tak żartuję, dodał po chwili. To był jedyny komentarz w tej sprawie, jaki od niego otrzymała, wobec kierownictwa natomiast

podkreślił, jakie ważne jest to wsparcie, i nie ukrywał swojej wiodącej roli w całym procesie (roli w rzeczywistości ograniczonej do podpisania dwóch listów, choć nie zadał sobie nawet trudu, by je przeczytać).

– No dobrze – powiedziała Ella. – Słyszę, że to typowy dupek. W Blindern mamy takich w co drugim gabinecie.

– Twoim profesorem też się zajmiemy – powiedziała Celeste zdesperowana. – Ale akurat teraz mamy fantastyczną możliwość, by dać nauczkę Karlowi Hebbernowi. Bo on zrobił nie tylko to, możesz być pewna.

– No to mów – wtrąciła Jenna.

– On zawsze mówi „ja”, nigdy „my”, kiedy rozmawia o dziale.

– Tak, tak – niecierpliwiła się Ella. – To przecież mężczyzna.

– Ostatnio z jego powodu odeszła recepcjonistka.

– Hmm – rzekła Frøydis. – To mi zaczyna coś przypominać.

– A co jej zrobił? – spytała Jenna.

– Próbował ją zmusić, żeby... żeby z nim wyszła – odparła Celeste.

– Otóż to – bąknęła Frøydis.

– I wiem, że zablokował przynajmniej dwóm kobietom możliwość zrobienia kariery w Alfapharm – mówiła dalej Celeste.

– Jak do tego doszło? – spytała Frøydis. – I skąd o tym wiesz?

– Z anonimowego, ale pewnego źródła – wyjaśniła Celeste. W rzeczywistości nie wiedziała na ten temat nic pewnego, ale od dawna podejrzewała, że jej poprzedniczka straciła posadę w dziale, choć sama złożyła wypowiedzenie. Zdaje się, że była systematycznie ignorowana, nigdy nie zapraszano jej na zebrania, na których podejmowano decyzje i w których uczestniczyło kierownictwo firmy. Kobięca sieć informacyjna w firmie, przeciwko której normalnie Celeste nic nie miała, a teraz zdecydowała się przedstawić jako anonimowe, ale pewne źródło, uznaje, że właśnie brak tego rodzaju zaproszeń spowodował, iż kobieta zdecydowała się odejść. A o tym, że w zarządzie znajdowała się kobieta, która w jakiś sposób musiała się przyczynić do wykluczenia Karoline, Celeste

postanowiła nie wspominać. Keep it simple. Działaj pedagogicznie: kobiety są ofiarami, mężczyźni to dranie. Karoline nie zaproszono na spotkanie, którego ważnym punktem był jej wielki projekt. Wkrótce potem złożyła wypowiedzenie.

– Wiesz to na pewno? – spytała Frøydis.

Celeste przytaknęła.

– Uwierz mi – powiedziała tylko. – Nie mogę wyjawić nic więcej, ale Karl Hebbert zasługuje na najgorsze. Nie – dodała po paru sekundach. – On nie zasługuje na najgorsze. On zasługuje na nauzkę. Nie, nie na najgorsze. Durny Karl na to nie zasługuje. Na najgorsze to zasługuje Neron. Celeste patrzyła na swoje współpracownice. Dotarła do nich. Nagle uprzytomniła sobie, że one wszystkie siedzą tu i każda myśli o swojej historii, o mężczyznach, których w życiu spotkały, a którzy w ten czy inny sposób przypominają Karla Hebberta. Chyba zdołała już je przekonać, a jeszcze nie doszła do najzabawniejszego punktu.

– Zapraszają go do telewizji – oznajmiła. – Teraz, w piątek.

Karl Hebbert został zaproszony do udziału w talk-show, by opowiedzieć o sprawie, która zdaje się być przełomem w farmacji. O szczepionce zapobiegającej otyłości, dzięki której będzie można ratować życie setkom ludzi. Właśnie Alfapharm stworzyła i przetestowała tę szczepionkę, prace trwają od wielu lat. To najbardziej obiecujący wynalazek firmy, przyniesie i sławę, i pieniądze. Teraz zaczyna się promocja, a występ w talk-show to bardzo dobry początek! Tymczasem szef działu informacji, który w sposób naturalny powinien być zostać zaproszony, leży w łóżku z jakąś zakaźną chorobą, wobec czego nie może reprezentować przedsiębiorstwa. Dwie panie, które opracowały szczepionkę, odmawiają rozmów z mediami. Boją się, że się pomylą, że dziennikarze nie zrozumieją niuansów i tego, że nie każdy szczegół może być przedstawiony w telewizji. Karl Hebbert nigdy przy szczepionce przeciw otyłości nie pracował, ale świetnie włada słowem, posiada pewność siebie i wygląd nadający się do telewizji. Zarząd doszedł więc do wniosku,

że szef działu Karl Hebbert będzie w tej sprawie twarzą Alfapharm. Kiedy go zapytano, zgodził się natychmiast. Oczywiście jestem do dyspozycji Alfapharm, powiedział, sygnalizując w ten sposób, że nawet gdyby odnosił się do swego występu niechętnie, to dobro firmy stawia wyżej niż własną wygodę. Problem polegał tylko na tym, że Karl Hebbert ma jedynie bardzo powierzchowną wiedzę o sprawie, jaką można zdobyć siedząc w kantynie, kiedy inni dyskutują o szczepionce, ale myślami i wzrokiem jest się całkiem gdzie indziej. Postanowił nie informować o tym zarządu. Inni może przyznaliby się szczerze do braku kompetencji, może nawet zaproponowaliby kogoś, kto lepiej niż oni sprosta wyzwaniu. Powiedzieli, że tak będzie lepiej dla firmy. Karłowi Hebbertowi jednak taka ewentualność w ogóle nie zaświtała. Pochlebiali mu, że zwrócili się do niego, nie mógł się doczekać, kiedy wkroczy do telewizji, by opowiedzieć narodowi o ostatnim sukcesie Alfapharm, o tym, że to jego firma (w znaczeniu firma, w której pracuje, rzecz jasna) stworzyła coś, co może wyglądać na prawdziwy cud.

– On chce, żebym mu napisała, co ma powiedzieć – poinformowała Celeste, machając plikiem papierów. Były tam wycinki prasowe, raporty i sprawozdania, które dostała od Karla Hebberta, on zaś ze swej strony od zarządu (Nie, żebyśmy sądzili, iż tego potrzebujesz, Karl, ale krótka powtórka nigdy nie zaszkodzi). Karl Hebbert wydał polecenie Celeste, żeby go przygotowała, nafaszerowała informacjami, wyposażyła w słowa-kucze i błyskotliwe puenty (I znajdź mi kilka nośnych sformułowań, może też jakieś dowcipy pasujące do sprawy). Czyli ma mu po prostu napisać wystąpienie.

– To będzie ekstra – stwierdziła Frøydis.

– A iluż to widzów ma ten program? – spytała Jenna.

– Myślę, że około miliona – odparła Ella i roześmiała się cicho.

– I nadawany jest na żywo – dodała Celeste.

*

Karl Hebbert opuścił gabinet, by udać się do siedziby telewizji

w Marijenlyst; był świeżo ufryzowany, miał na sobie nowiutki garnitur, a w kieszeni absolutnie kompromitujący tekst i także sformułowania w głowie. Właśnie opowiadał o programie nowej recepcjonistce, Liselotte. Ilu ma widzów, jaki fachowy, ceniony i popularny jest gospodarz programu, jakich znanych, kompetentnych i podziwianych ludzi zaprasza, jak często potem udzielają oni wywiadów w prasie codziennej w związku z telewizyjnym wystąpieniem.

Listelotte kiwała głową, pełna podziwu. Będzie oglądać, obiecywała. Cieszę się, wyraził zadowolenie. Choć nie dlatego, że temu akurat programowi brakuje widzów, dodał. Ponad milion, powiedział, bardziej już sam do siebie.

Celeste krzyknęła za nim.

– Tak?

Odwrócił się zniecierpliwiony. Podeszła do niego, z uśmiechem poprawiła mu chusteczkę w kieszonce marynarki.

– Powodzenia.

Karl nie podziękował. Zresztą nigdy tego nie robi. Nawet dziś, kiedy przesiedziała z nim i instruowała go przez wiele godzin.

Patrzyła w ślad za szefem, kiedy, nie odwracając się, zniknął za szklanymi drzwiami. Wiedziała, że dzisiaj nie będzie już w stanie nic więcej w pracy zrobić, poszła więc do gabinetu, spakowała rzeczy i powlekła się na przystanek tramwajowy. Mdliło ją ze zdenerwowania, równocześnie jednak była rozbawiona i skłonna do śmiechu. Tamtego wieczora, kiedy postanowiły, że Napalony Karl będzie następną ofiarą, nastrój stał się trochę szalony, propozycje padały ze wszystkich stron, pomysły latały w powietrzu niczym pingpongowe piłeczki. W końcu Wiedźmy dostały kolki ze śmiechu. Przeciwno najbardziej zuchwałym propozycjom Celeste musiała protestować. On ciężko myśli, ale nie aż tak. Ella powiedziała im o damnatio memoriae – usunięciu z pamięci. Rzymianie mianowicie posuwali się do zacierania wszelkich śladów po tych, którzy popadli w niełaskę. Imię i wizerunek zeszlifowywali z monet

i reliefów, posągi niszczyli, na obrazach z wieloma osobami niechciane twarze były zamalowywane.

– No, my chyba nie możemy wymazać Głupiego Karla – rzekła Celeste.

– Nie, ale możemy mu zniszczyć opinię – odparła Ella – i do tego właśnie dążyli Rzymianie.

Na koniec Celeste długo siedziała przed laptopem, wpatrując się w swój tekst. Przeczytała go jeszcze raz, bo liczyła się z tym, że w świetle dnia może wyglądać inaczej, skończyło się jednak tylko na skreśleniu paru propozycji Jenny dotyczących „błyskotliwych sformułowań”. Potem poszła do gabinetu Karla Hebberna, pod drzwiami chwilę stała na uginających się kolanach, do piersi przyciskała plik zapisanych kartek, przekonana, że on odkryje intrygę – i przerażona, czym to się skończy. Niewątpliwie wyrzuceniem z pracy i katastrofą. Na moment w wyobraźni zobaczyła skupioną twarz Sebastiana, Sebbe przed komputerem, Sebbe wystukujący o futrynę okna rytm swojej ulubionej piosenki Abby. Uniosła brodę, wysunęła głowę do przodu, przełożyła papiery z jednej spoconej ręki do drugiej i zapukała. Ella cytowała Senekę. Celeste nie zapamiętała, jak to brzmi po łacinie (prawdę mówiąc, zostały jej w głowie tylko dwa ostatnie słowa: *sed veniunt*), ale w tłumaczeniu jest to mniej więcej tak: „Powinniśmy wszystko znosić w spokoju ducha, nie jest tak, jak myślimy. Nic się nie wydarza. Tylko przychodzi.” Sens tego jest oczywisty: teraz one nie mogą zrobić nic więcej. Trzeba pozwolić, żeby przyszło, co ma przyjść.

Peter siedział na kanapie, Ella z podkurczonymi nogami na krześle. Telewizor był włączony. Niewiele czasu zostało do rozpoczęcia programu, w którym miał się zaprezentować Karl Hebbern. Teraz szły wiadomości. Dwoje spikerów, mężczyzna z krzaczastymi brwiami około sześćdziesiątki, i młoda, bardzo ładna kobieta siedzieli obok siebie w pięknych neutralnych ubraniach i z uroczystymi minami czytali wiadomości. U wybrzeży Finnmarku zaginął rybacki kuter. Pewien hollywoodzki aktor zgodził się uświetnić swoją obecnością norweski festiwal filmowy. Nieletnią Afgankę, która została zgwałcona w rodzinnej wsi, skazano na śmierć przez

ukamienowanie. Jest piątą kobietą z tamtych okolic, które w krótkim czasie skazano na karę śmierci w podobnych okolicznościach. Na ekranie pojawił się jakiś norweski polityk i oświadczył, że Norwegia potępia takie działania. Młoda spikerka poinformowała jeszcze o ostatnich wydarzeniach sportowych. Ella odwróciła się do Petera, nabrała powietrza, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Jenna też siedziała na kanapie, otulona pledem. Często w piątki ogląda talk-show, a dzisiaj śledzi go od początku szczególnie uważnie. Właśnie w tej chwili prowadzący program rozmawia z reżyserem. Jennę nie bardzo interesowało to, co mówią, włączyła więc laptopa stojącego przed nią na stole, przez cały czas jednak spoglądała na ekran telewizora, by nie przeoczyć pojawienia się Karla Hebberna. Drgnęła, kiedy komórka zaczęła śpiewać – Julia zmieniła dawny dzwonek matki na jakiś natrętny popowy kawałek.

Dzwoni Viveke Hjem. Jenna zawahała się. Viveke potrafi być gadatliwa, jak już raz zacznie. Ale może, jeśli Jenna wyraźnie powie, że ma czas tylko na krótką rozmowę?...

Odebrała telefon i po sekundzie podniecony głos Viveke brzmiał jej w uchu.

Jenna zna Viveke ze szkoły podstawowej. Tamta zawsze marzyła, by zostać aktorką, ale wielkiej kariery nie zrobiła i nie jest specjalnie znana. Teraz Viveke opowiadała, że parę tygodni temu zatelefonował do niej ten Stormm. Szkolony, modulowany głos koleżanki wznosił się i opadał, a po chwili do Jenny dotarło, że mówi ona o mężczyźnie znajdującym się właśnie na ekranie. Olav Stormm. Tak się nazywa. Jest reżyserem. Viveke telefonuje, bo zobaczyła go w telewizji, a przypuszcza, że Jenna ogląda ten sam program.

Olav Stormm miał wystawiać nową sztukę i uznał, że Viveke świetnie by pasowała do jednej z ról. Zaprosił ją więc do domu na rozmowę. Aktorka przygotowała się gruntownie, przeczytała sztukę, próbowała sobie wyobrazić, w której roli reżyser by ją widział. Przyszła i nie minęło

wiele czasu, gdy on dał jej do zrozumienia, że ta niewielka rólka, jaką dla niej przeznaczył, będzie kosztować łożko.

– Co za wstrętny drań – jęknęła Jenna.

– Otóż to – zgodziła się Viveke. – Po prostu sobie poszłam, a on nigdy więcej nie odezwał się do mnie w sprawie roli.

Viveke była tak wzburzona, że dyskretnie zaczęła przyglądać się jego życiu. Nie jest przecież tajemnicą, iż takie epizody zdarzają się w ich środowisku, wkrótce jednak okazało się, że Olav Stormm jest z tego słynny.

– Ja się tym zajmę – obiecała Jenna. – Napiszę do niego list.

– No wiesz, list... – bąkała Viveke sceptycznie.

– Zaufaj mi. Ja piszę bardzo skuteczne listy – odparła Jenna i Viveke z jakiegoś powodu tego nie skomentowała.

– Dwa „m” – powiedziała tylko. – Pamiętaj, że jego nazwisko pisze się przez dwa „m”.

– Muszę kończyć – rzekła Jenna pośpiesznie, bo właśnie teraz dokonywano prezentacji Karla Hebberna. Odłożyła słuchawkę, zanim Viveke zdążyła coś powiedzieć.

Celeste zeszła na dół do Sebbe, by obejrzeć telewizję. Chętnie umówiłaby się z innymi Wiedźmami, ale była taka spięta, że postanowiła skulić się na sofie i ukraść synowi trochę spokoju oraz ciepła. A co będzie, jeśli Karl ją przejrzał? Sebbe nie widział powodu do zmiany swoich przyzwyczajień, zjedli więc rybny pudding, duże plastry puddingu, które Sebbe udekorował majonezem. Gospodarz talk-show skierował do kamer swój tak dobrze znany chłopięcy uśmiech. Z pewnością zostało już niewiele minut i Karl pojawi się na ekranie. Żołądek Celeste się zaciskał. Na razie wywiadu udzielał średnio znany reżyser. Olav Stormm opowiadał o swoim ostatnim filmie, o tym, jak w naszych czasach trudno stworzyć coś naprawdę znaczącego. Ale właśnie otrzymał duże wsparcie z funduszu filmowego i będzie robił film na podstawie sześciu wielkich tomów biografii pewnego pisarza, sześć tomów o jego stosunku do ojca, do kobiet,

które spotykał, o problemach z przedwczesnym wytryskiem. Reżyser był ubrany w czarne spodnie, czarny T-shirt i czarną marynarkę. Podobnie jak ubiera się większość mężczyzn-osobistości w dziedzinie kultury. Jedyne, co zwracało w nim uwagę, to włosy. Miodowego koloru, opadające ciężkimi falami niemal do ramion. Dwukrotnie je poprawiał, zakładał za uszy, przytakując słowom gospodarza programu. Raz potrząsnął głową niczym szalony żrebak, dla podkreślenia, jak beznadziejnie ubogie i zuniformizowane jest życie kulturalne w Norwegii. To wielka ulga, że pisze się też literaturę, która opowiada nie tylko o dzieciństwie, o stosunku między matką a córką, powiedział reżyser. Ale brakuje projektów politycznych! Ten tam, lubi swoje włosy, zauważyła Celeste. Ten tam lubi siebie, powiedział Sebbe. I Celeste znowu została zaskoczona jego zdolnością obserwacji.

Ale oto na ekranie coś zaczęło się dziać, reżyser wstał, a do studia wszedł Karl Hebborn. Celeste dostała mdłości z napięcia.

Prezentuje się dobrze, stwierdziła.

– To jest mój szef – powiedziała do Sebbe.

Chłopiec przyglądał się Karlowi Hebbornowi, ale nie odpowiedział. Jego wargi się poruszały, Celeste wiedziała, że liczy. Witamy, rzekł gospodarz, podniósł i powitał Karla Hebborna krótkim, męskim uściskiem dłoni. Przychodzisz do nas z dobrymi nowinami, mówił dalej, kiedy Karl Hebborn usiadł w fotelu naprzeciwko niego. To prawda, odparł gość z pewnością siebie. Przychodzę z wiadomościami, które z ulgą przyjmie wielu Norwegów, a zwłaszcza wiele norweskich kobiet.

Celeste widziała, że Karl Hebborn wierci się zadowolony, bo udało mu się powiedzieć dwa drobne żarciki od razu w pierwszym zdaniu. Twój szef lubi siebie jeszcze bardziej niż tamten z włosami, powiedział Sebbe swoim monotonnym głosem. Celeste wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. Pozwolił jej na to, ale po paru sekundach usunął się spod jej dłoni. Teraz prowadzący program pochylił się do przodu i z zainteresowaniem patrzył na Karla Hebborna. Ulga dla wielu, powiadasz? Karl Hebborn oznajmił

więc, że firmie Alfapharm udało się dokonać wielkiego przełomu w medycynie. Alfapharm (my, powiedział Karl Hebbert z wyraźną przyjemnością) opracowała szczepionkę przeciw otyłości. Wow, wykrzyknął prowadzący program ze starannie wyreżyserowanym zaskoczeniem, zanim popatrzył w swoje papiery. Jak działa ta szczepionka? Opowiedz dokładnie, Hebbert!

Karl Hebbert poinformował więc, że dorośli mogą wziąć trzy zastrzyki w rocznych odstępach. Można też wziąć jedną dawkę przed ukończeniem trzeciego roku życia, jeżeli w rodzinie były przypadki chorobliwej otyłości, czy to ze strony matki, czy ojca. Prowadzący skinął głową i podsumował: Jeśli zatem cierpi się na otyłość, można tego się pozbyć nawet kiedy jest to dziedziczne, hmm, powiedzmy... obciążenie? To też można nie być grubym?

Karl Hebbert potwierdził, ale dodał, że ważna jest także rozsądna dieta. To przecież nie jest żadna magiczna formułka, powiedział prosto do kamery, lekko marszcząc czoło. A po dwóch sekundach pauzy dodał: Ale daleko od tego nie odbiega. On i Celeste długo trenowali właśnie tę pauzę i tę replikę.

Na razie wszystko szło całkiem dobrze. Celeste spojrzała na zegarek. Karl Hebbert jest na ekranie już prawie trzy minuty, a to oznacza, że zostało mu jeszcze nie więcej niż kolejne trzy. Ruszaj, prosiła w duchu, powiedz coś głupiego. I nagle jej modlitwa została wysłuchana. Teraz Karl Hebbert wyjaśniał procesy biochemiczne. Zrób to prosto i zrozumiale, wbijała mu Celeste do głowy, pamiętaj, że przeciętny widz nie wie kompletnie nic nawet o najbardziej elementarnej farmakologii (podobnie jak ty, myślała). Karl Hebbert skinął głową i przeczytał dwa lub trzy zdania napisane przez Celeste na kartce, którą mu dała. Tak, to jest oczywiście bardzo uproszczone, ale dla przeciętnych ludzi wystarczy. To, co miał napisane na kartce, to były wierutne bzdury, a on właśnie o tych formułkach i związkach chemicznych teraz rozprawiał. Prowadzący przerwał mu, mówiąc, że widzowie z pewnością już rozumieją, jakie

przenikliwe umysły, gruntowne badania i znajomość najnowszych osiągnięć nauk przyrodniczych były niezbędne, by stworzyć tę fantastyczną szczepionkę przeciw otyłości. Karl Hebbert kiwał głową zadowolony i wygłosił końcowe zdanie o komórkach tłuszczowych oraz o tłuszczach wielonienasyconych. Odrobił swoją lekcję, wszystko, co powiedział, było dokładnym odbiciem bigosu, który Celeste wysmażyła. Wywiad zbliżał się do końca, gospodarz zastanawiał się, czy Karl Hebbert mógłby powiedzieć coś o znaczeniu szczepionki. Ten odparł natychmiast, że szczepionka przeciw otyłości spowoduje przede wszystkim przełom dla kobiet. Sławny gospodarz programu uniósł pytająco brwi. Dwie młode feministki przed rokiem napisały wściekły artykuł do gazety, w którym oskarżyły go, że jest męskim szowinistą, wskazywały, że w jego programach większość zawsze stanowią mężczyźni, że kobiety, które zaprasza, najczęściej są młode i piękne, że prowadzący program traktuje je jak obiekty seksualne, flirtuje z nimi, a raz nawet wahał korespondentkę wojenną o blond włosach, która właśnie wróciła z frontu. Krytyka została oddalona jako zwykłe babskie marudzenie. Wywiady z kobietami przeprowadza się wtedy, kiedy czegoś dokonały. Kiedy kobiety piszą równie dobre powieści jak mężczyźni (a nie tylko poświęcone miłości, dzieciom, małżeńskiemu pożyciu, menstruacji i innym damskim sprawom). Kiedy kobiety robią równie dobre filmy jak mężczyźni (a nie tylko takie, które za wszelką cenę opowiadają o kobietach). Wtedy, kiedy kobiety są równie dobrymi szefami jak mężczyźni. Równie dobrymi naukowcami. Równie dobrymi satyrykami. A poza tym okazało się, że liczba kobiet występujących w jego talk-show jest taka sama, jak średnio w telewizji państwowej: 32 procent. Teraz prowadzący program uniósł brwi kilka milimetrów wyżej i zastanawiał się, czy gość naprawdę myśli to, co mówi. Szczepionka przeciw otyłości, zapewniał Karl Hebbert, będzie fantastycznym przełomem dla kobiet. Ach tak, rzekł prowadzący. Tak, tak, potwierdził Karl Hebbert, nie dostrzegając, że gospodarz wygląda na trochę zaskoczonego. Bo przecież dla kobiet wygląd zawsze znaczył wiele –

dla osiągnięcia szczęścia, sukcesu, możliwości zrobienia kariery. Na dodatek do tego, że ciało i wygląd znaczą oczywiście wiele dla ich szans wyjścia za mąż, perorował Karl Hebborn niezrażony. O takiej puencie oboje z Celeste rozmawiali najwięcej podczas przygotowań. Celeste raz po raz podkreślała, jakie ważne jest, żeby to o kobietach zostało wyraźnie powiedziane. Staniesz się wielkim bohaterem kobiet, zapewniała.

Czas wywiadu dobiegł końca, Karl Hebborn dostał podziękowania za to, że przyszedł, gospodarz programu życzył jemu i firmie powodzenia w produkcji leku.

W domu Frøydis i Andersa zjedzono szarlotkę z kremem. Teraz Frøydis upierała się, by włączyć telewizję i obejrzeć popularny piątkowy program. Nie sądziłem, że lubisz tego prowadzącego, zdziwił się Anders. Mam jednak ochotę dzisiaj popatrzeć, upierała się Frøydis, może on jest naprawdę znakomity, może popełniam błąd, a milion Norwegów ma rację. Jedli ciasto, całowali się, jednym okiem zerkali na reżysera filmowego o zdumiewająco bujnych włosach, znowu się całowali. Kiedy jakiś dyrektor jakiejś firmy farmaceutycznej pojawił się na ekranie, Frøydis usiadła wyprostowana, uciszyła Andersa i odepchnęła jego rękę. Poczekaj chwilkę, rozkazała, chętnie tego posłucham. Anders zdał sobie sprawę, że chodzi o szczepionkę przeciw otyłości. Ty chyba nie masz zamiaru, zaczął. Oczywiście, że nie, przerwała mu i znowu uciszyła. Kiedy mężczyzna z uśmiechem na wargach opowiadał o przełomie dla kobiet, Anders spodziewał się, że Frøydis wyłączy telewizor, a przynajmniej powie, że facet wygaduje horrendalne głupstwa. Skoro jednak milczała, on próbował skrytykować. Po raz trzeci tego wieczora został uciszony. Frøydis siedziała jak zaczarowana i słuchała, co ów dyrektor wygaduje. Dopiero kiedy gospodarz programu podziękował farmaceutyce i powitał dwóch nowych gości (przedsiębiorcę, który do tego stopnia ceni kobiecą urodę, że pragnie stworzyć park rzeźb z samymi posągami kobiet, oraz uczestniczkę reality show, która wyglądała, jakby włożyła sobie pod sweter dwie nadmuchane piłki) wyłączyła telewizor i odwróciła się znowu do niego i do szarlotki.

Uważam, że to naprawdę dobry program, oznajmiła.

Naturalnie wybuchł totalny skandal. Ani prowadzący program, ani Karl Hebbert nie mieli o tym pojęcia przed zakończeniem wywiadu, choć dziennikarz domyślał się, że z powodu niektórych wątków wojujące feministki z pewnością podniosą krzyk. Był jednak zadowolony, bo gość sprawiał wrażenie przygotowanego, wypowiadał się jasno i w sposób niezbyt skomplikowany. Karl ze swej strony był zadowolony, bo uważał, że z make-upem jest mu do twarzy. I dlatego, że dobrze mówił, oraz dlatego, że wykorzystał żartobliwe wyrażenia oraz gest, który tak długo ćwiczył w domu przed lustrem. Telefony i maile zaczęły napływać strumieniem jeszcze przed zakończeniem wywiadu. I kiedy Karl Hebbert wyszedł ze studia, czekał na niego redaktor odpowiedzialny za ten cykl programowy. Trzeba było wielu minut, żeby Karl zrozumiał, o czym tamten mówi.

Karl ze zwykłą pewnością siebie wygadywał kompletne brednie. Nie jest oczywiście tak, że większość ludzi rozumiała właśnie ten aspekt sprawy, ale zblamował się kompletnie wobec swoich współpracowników, swoich zwierzchników, ba, przed całą branżą i środowiskiem zawodowym. Ujawnił, że kompletnie nie orientuje się w sprawach, na których powinien się znać. Całkowicie się obnażył.

I większość widzów oglądających program zareagowała bardzo negatywnie na wrogie wobec kobiet wypowiedzi Karla Hebberta. Pojawiło się mnóstwo skarg na wywiad trwający ledwie pięć czy sześć minut. Pewien emerytowany profesor farmacji zadzwonił głęboko oburzony, mówił gniewnie o komórkach tłuszczowych i pensum w szkole podstawowej, podkreślał, jaki to wstyd, że ów pan Hebbert najwyraźniej nie ma bladego pojęcia o najbardziej elementarnych zjawiskach w swojej dziedzinie. Telefonował magazyn feministyczny. Dzwoniła rzeczniczka do spraw równego traktowania, żądając, by ją połączono z samym prezesem radia i telewizji. Prezes Stowarzyszenia Osób z Nadwagą dzwonił dwa razy i groził NRK procesem. Zadzwonił też szef konkurencyjnej firmy

farmaceutycznej, przedstawił się z imienia i nazwiska, a potem śmiał się tak głośno i hałaśliwie, że nie można było zrozumieć, co mówi. Jeszcze tego samego wieczora ukazały się pełne obelg wpisy na blogach. Sprawa Karla Hebberna była omawiana następnego dnia w stacjach radiowych, a dwie komentatorki prasowe zrezygnowały z zaplanowanych na piątkowy wieczór rozrywek, by napisać zjadliwe artykuły, które ukazały się w sobotnich wydaniach gazet.

W poniedziałek Celeste została wezwana do gabinetu szefa. Miał na sobie ten sam nowy garnitur, ale wyglądało, jakby w czasie weekendu on sam zrobił się o numer mniejszy. Tłumaczyła się, jak mogła. Przepraszam cię, Karl, nie zrobiłam tego umyślnie. Wyjaśniała, że jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wręczyła mu niewłaściwe papiery. Wybacz mi, okropnie mi przykro, mówiła, patrząc mu w oczy. Karl się nie odzywał. Już dzisiaj wieczorem powinnam zacząć szukać nowej pracy, pomyślała Celeste, utrzymanie mieszkania mojego i Sebbe dużo kosztuje, za samą energię elektryczną płacę więcej niż wynosi zasiłek dla bezrobotnych, więc nie stać mnie na dłuższe pozostawanie bez pracy. Próbowała wyglądać na taką szczerą i skruszoną, jak to tylko możliwe, choć wiedziała, że on jej oczywiście nie uwierzy. Całe to jej tłumaczenie nie trzyma się przecież kupy. Jaki nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Niewłaściwe papiery. A dlaczego w ogóle miała papiery zawierające jawnie nieprawdziwe fakty? To jasne, że on w to nie wierzy! Teraz Karl Hebbern uczyni jej życie jeszcze trudniejszym. Przepraszam, powiedziała znowu. Będzie gorzej niż kiedykolwiek, pomyślała. Ale sprawa jest tego warta. Znajdę sobie jakąś nową pracę. Zrobiła niewinną minę. Starła się, by jej twarz miała wyraz odpowiedni do sytuacji. Spoglądała na niego, nie podejmowała żadnych starań, by ukryć, co do niego czuje. Miała nadzieję, że w jej twarzy można łatwo wyczytać obrzydzenie. Karl Hebbern przyglądał się jej długo. W porządku, rzekł w końcu. Celeste wytrzeszczyła oczy. Jaki diabelski podstęp uknuł ten facet? Szybko jednak pojęła, że szef nie podejmie żadnych działań przeciwko niej, że nie

zamierza jej karać. Karl Hebbern został wezwany na dywanik do swojego szefa i okazał się na tyle bystry, by zrozumieć, że nie poprawi swojej sytuacji, tłumacząc, co się tak naprawdę stało. Poinformował Celeste, że nikomu o niej nie wspomniał. Czy oczekuje za to wdzięczności? Patrzyła na niego z kamienną twarzą. Po czterech minutach wyszła z gabinetu z pochyloną głową. Jest kobietą, która, jeśli tak można powiedzieć, nigdy nie żałuje tego, co zrobiła. Teraz też nie żałowała, ale triumf mieszał się ze współczuciem i powątpiewaniem. Biedny człowiek. Może posunęły się za daleko?

Co najdziwniejsze, Karl Hebbern się zmienił. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stał się pokorniejszy, zaczął okazywać wdzięczność, uważniej słuchał. Celeste uniknęła zmiany pracy. Całkiem nieoczekiwanie dostała wysoką podwyżkę. I raportowała swoim koleżankom, że Karl Hebbern stał się lepszym człowiekiem, musiała jednak ze wstydem dodać, iż nie jest przekonana, czy jego metamorfoza wynika z tego, że pojął, o co chodziło.

– Możliwe, że on się zmienił ze... – zaczęła Celeste, ale sama sobie przerwała.

– Z czego? – spytała Ella.

– Ze strachu – podpowiedziała Jenna.

– No właśnie – przytaknęła Celeste. – Ze strachu. Zrozumiał, co zrobiłam, i boi się, co mogłabym wymyślić następnym razem.

– Albo boi się, że mogłabyś opowiedzieć po prostu, jak było – dodała Ella.

– Tak. Myślę jednak, że przynajmniej uświadomił sobie, iż nie może postępować z nami jak zechce tylko dlatego, że jesteśmy kobietami.

– Ocknął się i zmienił na lepsze, prawda? – spytała Frøydis.

– Tak jest – zgodziła się Celeste. – Absolutnie tak. Zachowuje się teraz zupełnie inaczej, i to nie tylko wobec mnie. A szczerze mówiąc, mnie jest naprawdę kompletnie obojętne, czy on się boi, czy zmądrzał.

– Myślę, że możemy wyciągnąć wniosek, iż zmądrzał – stwierdziła

Frøydis. – Nie jest już takim dupkiem, jak był, prawda?

*

Frøydis nie była pewna, co o tym myślą pozostałe trzy koleżanki, ale ona chciała, żeby tak właśnie było. Oczywiście trzeba zachować dość płaską strukturę; wszystkie uczestniczą w grze, nikt nie boi się składać propozycji, ale Frøydis wiedziała, że każdy zespół potrzebuje szefa. Kogoś, kto podejmuje decyzje, kto ma plan, kto bierze na siebie odpowiedzialność. I właśnie ona jest ich nieformalną szefową. Niewidzialną, ale silną, z wyraźną koncepcją dalszego działania, którą tylko ona zna. Nie chodzi o to, że ma inne cele niż pozostałe, bo cele są wspólne, o tym jest przekonana. Zarazem jednak nie ma pewności, czy koleżanki dostatecznie je już przemyślały. Dobry szef jest pierwszym wśród swoich współpracowników. Frøydis nie odczuwała potrzeby, by pozostałe koleżanki wiedziały, że to ona jest u Wiedźm dyrektorem zarządzającym. Dla niej optymalne jest, by zachowywały się tak, jakby była tym dyrektorem, ale sądziły, że wszystkie cztery decydują w takim samym stopniu.

Siedziała przy kuchennym stole. Anders w salonie oglądał reality show (ten sam, w którym w ostatnim sezonie występuje dziewczyna o piersiach jak piłki). Przed nią na stole stała miseczka z orzeszkami, talerzyk z dużym kawałkiem francuskiego czekoladowego ciasta, filiżanka macchiato, zaparzonej w nowym ekspresie. Miała włączonego laptopa, obok położyła notatnik i długopis. Zwykle pracując na komputerze, robi też notatki. Wcisnęła ikonę „Business Manager” i na ekranie pojawił się pusty schemat.

Pisała długo, przestawała, zjadała kawałek ciasta, upijała łyk kawy, czekała, aż wszystko rozpuści się jej w ustach, zanim połknie. Wiedźmy ukarały Karla Hebberna z wielu powodów. Analizowała wszystkie po kolei. Pycha, notowała Frøydis. Pogarda, to drugi punkt. Frøydis oceniała kolejność, zastanawiała się, zamieniała poszczególne punkty miejscami. Karl Hebbern zasłużył na karę, ponieważ przypisywał sobie zasługi

innych. Czy kara za to przestępstwo powinna być umieszczona w tym punkcie? Owszem, mają powody do zadowolenia: po występie w telewizji będzie musiał też brać odpowiedzialność za pracę innych. Istnieje w tym piękna symetria. Zachichotała cicho. Ale musiała zadać pytanie: czy ofiara zdaje sobie sprawę ze swojego przewinienia? Frøydis wbiła widelec w ciasto, włożyła kęs do ust, roztała językiem o podniebienie, czując, jak się rozpuszcza, a słodycz rozchodzi się powoli. Długo tak siedziała, w końcu doszła do wniosku, że Karl Hebborn się poprawi i zaznaczyła na schemacie: częściowy rezultat w punkcie pierwszym osiągnięty. Później należy sprawdzić, czy rezultat jest okresowy, czy trwały.

Ciasto zostało zjedzone, kawa wypita. Frøydis była zmuszona zająć się prywatną częścią swoich rozważań. Czy akcja objęła również przestępstwa Sturli Hagbartsena? Frøydis oparła głowę na rękach. Musi przez to przejść, nie ma powodu do odkładania nieprzyjemnej pracy. O Arthurze Lokke nie trzeba dzisiaj myśleć. Owszem, pycha jest wspólna im obu. Pogarda, jaką Hagbartsen okazał tamtego dnia, kiedy tłumaczył matce, że w Norwegii tak naprawdę nie pożyczają się pieniędzy cudzoziemcom. Obojętność, jaką okazał słabszym od siebie. To, że stawiał karierę wyżej niż szacunek dla bliźniego. Oczywiście. Frøydis przesunęła kursor po ekranie, wcisnęła „enter” i powstawiała krzyżyki we właściwe pola. Zamknęła aplikację „Business Manager”, wyłączyła komputer. A kiedy wstawiała brudne naczynia do zmywarki, posłała krótki raport mamie. Maman, podjęłam działanie. Swoją filiżankę, talerzyk i łyżeczkę umieściła w najwyższym koszyku, na dolnej półce systematycznie i oszczędnie ustawiła garnki, rondle i inne naczynia, których Anders używał, przygotowując obiad. Akcja przeciwko Karlowi Hebbornowi nie zawisła w powietrzu. Stanowi fragment większej całości, przynajmniej dla niej. Celeste być może traktuje to inaczej. Ale bezpośrednie zadowolenie też jest nie do pogardzenia.

LECTIO V – SUI AMANS, SINE RIVALI

czyli

Wykład piąty:

Kto kocha siebie, nie ma rywali

– Co tam na Alma Mater? – spytała Celeste. – Miałaś ostatnio kontakt z tym czarującym profesorem?

Stały na parkingu przed Szkołą Morską. Było piętnaście po dziewiątej i samochód Bendika zniknął właśnie za szczytem wzniesienia, a matka zabrała Erika. Był wtorek, koniec października, i nad ustami rozmawiających unosiły się obłoczki marznącej pary.

– Jest jak zwykle – uśmiechnęła się Ella. – I Edmund Benewitz–Nielsen też pewnie jest tak samo przebiegły jak zawsze, tylko że w tym tygodniu ani się nie odezwał, ani nie pokazał.

– Może zrobił się miły? – podpowiedziała Jenna. Marzła i bardzo chciała już iść. Niecierpliwie przytupywała, przestępowała z nogi na nogę i skrzyżowanymi na piersiach rękami obejmowała własne barki.

Ella spojrzała na nią.

– To kompletnie niemożliwe – rzekła z powagą.

– Może wyjechał? – zastanawiała się Celeste.

– To możliwe – zgodziła się Ella z taką samą powagą.

– A może coś knuje? – wtrąciła Frøydis.

– To też jest możliwe – przyznała Ella.

– Marzniesz, Jenna? Uważam, że wkrótce powinniśmy podjąć akcję przeciwko naszemu zacnemu profesorkowi – rzekła Frøydis.

– Och, okropnie – przytaknęła Jenna.

– Chyba powinniśmy – zgodziła się Ella. – Tylko że ja wciąż nie mam pojęcia, co miałybyśmy z nim zrobić. Jego na ogół nie zapraszają do talk-show.

– Coś mi się zdaje, że będzie mróz – stwierdziła Frøydis.

– Karla Hebberna też pewnie więcej nie zaproszą – zachichotała Celeste. – Musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz o twoim profesorze, to wymyślimy jakąś odpowiednią karę.

– Taaak – rzekła Ella przeciągle.

– No to tak się Wiedźmy umawiają. Spotkamy się przy jakimś dobrym jedzeniu i urządzimy prawdziwą burzę mózgów. Na pewno wymyślimy coś, co będzie można wykorzystać – podsumowała Frøydis. – Tymczasem ja mam pewną propozycję nie do pogardzenia.

– Kto? – spytała Jenna. Nos miała czerwony, trzęsa się coraz bardziej. Ramiona podniosła aż do uszu, ręce wciąż były skrzyżowane na piersiach, dłonie leżały na barkach w samotnym uścisku mającym chronić przed chłodem.

– Jeden z mojej pracy. Nazywa się Dag Martin Martinsen.

– Pozwól, że zgadnę. To twój szef – roześmiała się Celeste. – I jest tak samo beznadziejny jak mój.

– Jak twój był, chciałaś chyba powiedzieć – sprostowała Jenna.

– Oczywiście. Słuchajcie, on w dalszym ciągu jest całkiem inny – śmiała się Celeste. – Zaczynam wierzyć, że tak już zostanie. No, ale teraz chodzi o szefa Frøydis.

– Ja jestem takim samym szefem jak on – rzekła Frøydis. – Oboje zasiadamy w zarządzie koncernu.

– Jezu, i to jest jakiś problem?

– Niestety – westchnęła Frøydis. – Jest problem.

– Nie możemy zostawiać tego Benewitza–Nielsena – wtrąciła Jenna.

– Absolutnie nie. Jego też wychowamy – zapewniła Frøydis. – Ale tymczasem mogłybyśmy trochę potrenować na moim kandydacie.

– Dag Martin Martinsen. To o nim opowiadałaś, o tym, który jest taki sporty – wtrąciła nagle Ella.

– Otóż to właśnie – przytaknęła Frøydis.

– Opowiadaj – ponaglała Ella, której ulżyło, że znowu skoncentrują się na innym mężczyźnie, a Benewitz–Nielsen może poczekać.

– Tak, opowiedz wszystko o tym sportsmanie – dodała Jenna. – Ale zrób to szybko, zanim zamarznę.

– Dag Martin Martinsen, mówiąc w skrócie, ma kondycję psa myśliwskiego. Dużo mięśni długich i niemal zero tłuszczu. Niemożliwe, żeby był zdrowy. Codziennie rano uprawia jogging, przybiega do pracy spływający potem. Wstrętne.

– Ale chyba się przebiera? – spytała Celeste.

– Oczywiście. Bierze prysznic i przebiera się, w gabinecie ma szafę z garniturami.

– Ale może to jest w porządku? – Celeste nie chciała ustąpić

– Oczywiście – odparła Frøydis. – Mimo wszystko to prowokujące. A na lunch jada musli i popija sokiem z marchwi. Wprowadził korytarzowe treningi. Założył w firmie drużynę futbolową.

Celeste otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz znowu je zamknęła.

– Strasznie irytujący facet – ciągnęła Frøydis. – Szczupły, powiedziałam? Raczej wychudzony.

– Chcesz, żebyśmy go podtuczyły? – spytała Celeste.

Ironia nie zrobiła na Frøydis wrażenia.

– On zachęca pracowników Kvervik Consulting, by uczestniczyli w biegach i zawodach narciarskich, w sztafetach i wszelkich możliwych imprezach sportowych. Dag Martin Martinsen jest zawsze kapitanem drużyny.

– Czy to coś złego? – spytała Ella, która dotychczas się nie odzywała.

– Oni na te zawody dostają płatne urlopy – wyjaśniła Frøydis. – Dag Martin Martinsen twierdzi, że sport pozytywnie wpływa na motywację i stosunki w pracy. Mówi, że jest to dobre dla Kvervik.

– I pewnie ma rację – rzekła Ella.

– Owszem, ale dlaczego ja nie dostałam urlopu, kiedy starałam się o kurs dla liderów?

– No właśnie, dlaczego nie dostałaś? Co to był za kurs? – pytała Jenna.

– Teraz będziecie się śmiać, ale mieliśmy tam się uczyć metod budowania zespołu poprzez wspólne gotowanie. Rezultaty są podobno znakomite.

– My się nie śmiejemy – roześmiała się Celeste .

– Jeszcze nie doszłam do istoty sprawy – odparła Frøydis ze złością. – Otóż Dag Martin Martinsen nagradza dokonania sportowe podwyżkami pensji, dodatkowymi dniami wolnymi, przydziela tym ludziom atrakcyjne zadania w pracy.

– Hmm – mruknęła Ella.

– To chyba dość oryginalne – przyznała Celeste. – Ale o wrogości wobec kobiet raczej nie świadczy.

– A może wolno mu tak robić? – spytała Jenna, która teraz dzwoniła zębami.

Frøydis wyciągnęła rękę w jasnoszarej rękawiczce z kozłej skórki i zaczęła masować jej bark. Natychmiast potem Ella zaczęła masować jej drugi bark. Jenna uśmiechała się do nich z wdzięcznością.

– On ma błogosławieństwo szefa koncernu, który jest dawnym mistrzem Norwegii w trójskoku – oznajmiła Frøydis takim tonem, jakby szef koncernu był dawniej karany.

– No, no, to też czasem bywają dobrzy ludzie – zauważyła Celeste. – Ale żadne kobiety z twojej pracy w tych zawodach nie uczestniczą?

– Właśnie, chyba są u was jakieś kobiety zainteresowane sportem? – spytała Ella. – Ja na przykład lubię biegać na nartach.

– Oczywiście są.

– W takim razie ja nie widzę problemu – stwierdziła Celeste.

– Jeszcze nie skończyłam – zaproponowała Frøydis. – Powiedziałam, że on ich nagradza za osiągnięcia. Ale nie we własnej kategorii, tylko totalnie, rozumiecie? Jak, waszym zdaniem, powodzi się zainteresowanym sportem paniom, które mają jeździć na rowerze lub na nartach, ścigając się z mężczyznami?

– No nie – jęknęła Ella.

– I żadna nie protestuje? – spytała Celeste.

– Owszem, ale wiesz, to tylko zabawa i rozrywka, nie traktuj tego tak poważnie, mówią, kiedy ktoś odważy się wystąpić z protestem. Szef biura Swensson poklepał mnie po ramieniu, roześmiał się w twarz i wytłumaczył, że to przecież wszystko całkiem nieformalne, zwyczajna zabawa. Boże drogi, Frøydis, bądź trochę sporty.

– Przecież tak nie wolno – rzekła Jenna z naciskiem.

Frøydis popatrzyła na koleżanki i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ulżyło jej, że nie musi opowiadać, co szef koncernu, Dag Martin Martinsen i szef biura Swensson powiedzieli wczoraj, kiedy wkroczyła do gabinetu tego pierwszego. Była wściekła i gniew dodawał jej odwagi, mimo to denerwowała się, pukając do drzwi.

W gabinecie siedzieli wszyscy trzej, na co ona przygotowana nie była, ale jednak powiedziała to, z czym przyszła, to, co już wcześniej mówiła Dagowi Martinowi. Szef koncernu zareagował dokładnie tak samo, jak tamci dwaj: po prostu ją wyśmiał. A kiedy Frøydis wciąż stała, mierzył ją od stóp do głów, a potem powiedział:

– Pamiętaj, że z tego płyną też korzyści zdrowotne.

– No i właśnie na najbliższy weekend zaplanowane są biegi narciarskie, jakaś ogromna impreza gdzieś w górach, gdzie można biegać na nartach przez okrągły rok. Dag Martin Martinsen tygodniami wysyłał maile z zaproszeniami, maile w sprawie zgłoszeń, maile przypominające, maile zachęcające do udziału w tym biegu. Miałam ochotę wymiotować! W ubiegłym tygodniu podjęto decyzję, że najlepszy biegacz z Kvervik Consulting w nagrodę dostanie weekend dla dwojga, z pokryciem kosztów podróży, hotelu i wszystkich innych wydatków.

– No i nie kusi cię, żeby się zgłosić? – spytała Celeste.

Frøydis nawet się nie uśmiechnęła:

– Zgłosiło się wielu pracowników Kvervik. Czternastu mężczyzn i dwie odważne panie. Jedną znam dość dobrze, nazywa się Ine Erlandsen. Ine spytała zresztą, ponownie w tym roku, czy najlepszy w swojej kategorii

zawodnik dostanie od firmy premię. Odpowiedziano jej, że najlepiej trzymać się tradycyjnego porządku, tak jest najprościej, czyż nie. Premię dostanie ten spośród pracowników Kvervik, który uzyska najlepszy czas w ogóle. To przecież zabawa! Wy, kobiety, wszystko traktujecie ze śmiertelną powagą. To tylko rozrywka, wytłumaczono jej.

– Niewiarygodne – jęknęła Ella. – Teraz jednak Jenna musi znaleźć się w cieple.

– Jest w porządku – odparła tamta. – Muszę dotrzeć do końca. – Co zrobimy?

– Chciałabym, żeby bieg w tym roku był taki, by żaden z uczestników go nie zapomniał. Potrzebuję dwóch rzeczy: moralnego wsparcia i asystentki farmaceutycznej – rzekła Frøydis.

– Rozkaz – odparła Celeste bez wahania.

– I może jeszcze dobrego aparatu fotograficznego.

– Panasonic lumix z obiektywem Leica – zaproponowała Ella.

Kvervik Consulting ma opinię, że do biegu narciarskiego wystawia dobrych zawodników. Szef marketingu zajął kiedyś czwarte miejsce, a dwaj panowie z kontroli też zwykle uzyskują dobre wyniki. Trzy lata temu Dag Martin Martinsen stał się gwiazdą imprezy, bo sprytnym sposobem zwyciężył. Poza tym konsultantka Ine Erlandsen zwykle zajmuje trzecie lub czwarte miejsce. Ale to oczywiście kategoria kobieca. A nawet najlepsze uczestniczki w tej kategorii nie mogą, rzecz jasna, konkurować z mężczyznami.

Jenna wciąż się trzęsła, spędziła więc kilka minut w samochodzie Frøydis, ale jak tylko trochę się rozgrzała, siedząc na przednim siedzeniu z włączonym na pełny regulator ogrzewaniem, znowu mogła się śmiać.

– Genialny pomysł – zachwycła się. – To, co Ella mówiła o Brytaniku, było... dość inspirujące.

– To dopiero będzie widok – zaśmiewała się Frøydis.

– Czy wiedziałaś, że suma cyfr na twojej tablicy rejestracyjnej daje dokładnie czterdzieści?

– Nie...

– Musicie zrobić mnóstwo zdjęć – prosiła Jenna. – Bardzo bym chciała z wami pojechać, ale obiecałam wziąć dyżur w butikiu mamy. Julia musi mieć czas dla przyjaciół i na naukę oraz na wszystko, czym siedemnastolatka powinna się zajmować.

– Jasne – odparła Frøydis. – Ale będzie nam ciebie brakowało.

*

Frøydis oglądała się zawsze za kobietami w ciąży, zatrzymywała się przed wystawami sklepów dla młodych mam, w aptece przeglądała półki z testami ciążowymi. Na widok małych dzieci musiała się uśmiechać. Nie mogła się opanować. Pochylała się i zaglądała do dziecięcych wózków, zachwycała się pociechami wobec mam (lub ojców, jeśli oni też przy tym byli), wyciągała palec wskazujący i głaskała maleństwa po czółkach. Jeśli jakieś dziecko płakało, musiała bardzo się starać, by nie wziąć go na ręce, nie przytulić do siebie. Nie mogła zrozumieć matek, które spokojnie pozwalają dzieciom płakać. Pokiwają tylko lekko wózkiem lub włożą smoczek do zapłakanej buzi.

Niedługo знаła Andersa, gdy powiedziała mu, że najbardziej ze wszystkiego pragnęłaby dziecka. Początkowo obawiała się go o tym poinformować. Wydawało jej się głupie mówienie o dziecku, jak tylko zostali parą. Mogła ryzykować, że go przestraszy. Frøydis nie chciała stracić Andersa, nie miała też dobrego mniemania o odpowiedzialności mężczyzn. Arthur Lokke pomagał jej przy wypracowaniach z norweskiego, bo na mamę w tej dziedzinie liczyć nie mogła. Urządzał jej urodziny, siedział przy niej na kanapie i słuchał, co mówi. Opowiadał jej o Edvardzie Munchu. Pokazywał zdjęcia liści miłorzębu i oboje zgadzali się, że piękniejsze drzewo nie istnieje. A potem Arthur Lokke zniknął.

Ale dziecko było dla niej takie ważne, że ukrywanie tej strony własnej osobowości odczuwała jako zdradę. Musiała mu to powiedzieć. Pewnego dnia, po miłosnych uniesieniach, kiedy leżeli objęci i spoceni, zrobiła to. Popatrzyła mu w twarz i powiedziała.

Anders uśmiechnął się do niej i odparł, że na jego liście pragnień pierwsze miejsce także zajmuje dziecko. To znaczy razem z włoskim garniturem. Frøydis szturchnęła go w brzuch, odczuwała głęboką ulgę. Anders odwrócił ją na plecy, tak że znalazł się na niej. Już teraz możemy je sobie zrobić, szeptał jej do ucha. Z oczu Frøydis popłynęły łzy radości, spływały po skroniach i niknęły we włosach za uszami.

– Może powinniśmy mieć dwoje? – powiedział później Anders.

– Albo troje – dodała Frøydis, wciąż zdyszana.

– W takim razie równie dobrze możemy mieć czworo. Czterech chłopców, których nauczę grać w piłkę nożną.

– No chyba żartujesz? Pozwól mi przynajmniej na jedną dziewczynkę.

– No dobrze, jedną dziewczynkę masz prawo urodzić, pod warunkiem że będzie podobna do ciebie.

– To jasne, że będzie podobna do mnie. A nasz syn...

– ...synowie!

– Dobrze: synowie będą podobni do ciebie.

– Jak zdjęta ze mnie skóra – przytaknął Anders zadowolony. – Chodź tutaj, moja kochana, pokażę ci, jak to się robi.

– Zwariowałaś? Znowu?

Potem próbowali z wielkim zaangażowaniem, ale rezultatów nie było. Po pół roku Frøydis zamówiła wizytę u znanego specjalisty. Nie mieli czasu do stracenia. Wpatrywała się w sufit, zaciskając szczęki, kiedy doktor wsuwał w nią wziernik. Zrobiło się zimno jak na tę porę roku, zabawiał ją tymczasem rozmową, pochylał się i zaglądał do jej wnętrza. Męczy mnie ten nieustanny deszcz, mówił dalej.

Tak, rzeczywiście, pogoda ostatnio marna, przytakiwała Frøydis z taką godnością, na jaką w tej chwili było ją stać. Miejmy nadzieję, że wkrótce się poprawi, mówił ginekolog, nie przerywając obserwacji. Potem coś zamknął i wziernik wysunął się z jej ciała. Wszystko w najlepszym porządku, moja panno.

Anders wciąż zwlekał z zamówieniem wizyty u lekarza. Jutro, już

jutro to zrobię, obiecywał.

Kiedy Anders skończył czterdzieści lat, Frøydis zabrała go do krawca, z którego usług sama zwykle korzysta. Wzięto mu miarę, ona wybrała cienki wełniany materiał i zamówiła dwurzędową marynarkę. Anders często bywa niezorganizowany.

Mama i Frøydis funkcjonowały znakomicie. Ty i ja świetnie dajemy sobie radę, mawiała matka łamanym norweskim. Frøydis przytakiwała, zresztą najczęściej ona i matka zgadzały się ze sobą. Są przecież tylko we dwie. Po wielu latach, Frøydis skończyła już dwanaście, pojawił się Arthur Lokke. W rzeczywistości nazywał się zupełnie inaczej, ale dla Frøydis na zawsze pozostał Arthurem Lokke. To pod tym nazwiskiem pojawił się w ich życiu, a potem z niego zniknął, i Frøydis nadal tak o nim myślała. Anons, jaki zamieścił w Dagbladet, zaczynał się następująco: „Nigdy nie pisałem, ani nie odpowiadałem na ogłoszenia towarzyskie.” Frøydis odkryła później, że takie ogłoszenia to metoda, jaką Arthur Lokke posługiwał się najczęściej, by nawiązać znajomość z kobietami. Sam siebie opisywał tak: „Sympatyczny facet, lubi zwierzęta i dzieci, melancholijnie usposobiony, ale też obdarzony zdolnością cieszenia się drobiazgami w życiu: dobrym winem, wycieczkami, teatrem, towarzystwem. Nie jestem znawcą sztuki, ale Kocham Edvarda Muncha!”

Frøydis odkryła, że wszystko, co pisał, było kłamstwem, z wyjątkiem tego, że lubi wino (choć wolał piwo), i że naprawdę kochał Muncha. Edvard Munch był tak wielką pasją, że przewyższała ona wszelkie kłamstwa i zmyślenia.

Frøydis jako dziecko tego nie rozumiała, ale madame Charlotte Brun musiała być bardzo samotną kobietą. Uczyła francuskiego w szkole wieczorowej, a przedpołudniami miała lekcje prywatne. Nie należała do żadnej grupy społecznej, z nikim się nie spotykała, z wyjątkiem córki Frøydis i sąsiadki Frøydis. Nic dziwnego, że Arthur Lokke ją zauroczył. „Ja wiem, że właściwa osoba warta jest, by na nią czekać”, pisał, co wcale nie było kłamstwem. To całkiem poprawny sposób przedstawiający

filozofię działania Arthura. Był profesjonalnym oszustem, niebieskim ptakiem, uwodzicielem kobiet, którym zamierzał odebrać majątek. Charlotte Brun nie należała wprawdzie do osób zamożnych, ale miała mieszkanie (całkowicie spłacone), dostała poza tym skromny spadek z Francji, dzięki czemu dysponowała pewną sumą w banku (przeznaczoną na wykształcenie córki). Ekonomiczna sytuacja Charlotte została dokładnie sprawdzona. Arthur Lokke był czarującym mężczyzną, miał rozległe kontakty, zarówno w urzędzie skarbowym w Oslo, jak i w różnych bankach. Nie podejmował spraw ryzykownych. Charlotte Brun przeszła przez ucho igielne, więc odpowiedział na jej list. Otrzymał wiele zgłoszeń na swój anons, wszystkie przetrzymywał z myślą o przyszłości, ale na pierwszy ogień poszła Charlotte. Doskonały obiekt: Francuzka, żadnych krewnych w Norwegii, samotna matka Frøydis („Mam córkę – ty, mężczyzna lubiący dzieci, zechcesz ją pokochać”), trzydzieści parę lat, średnio urodziwa, sądząc po zdjęciu, które dołączyła. Starannie napisany list, niemal bezbłędnym norweskim, z kilkoma drobnymi potknięciami gramatycznymi. Jej charakter pisma różnił się jednak od norweskich rękopisów. Był to charakter kogoś przywykłego do pisania, ale kreseczka przy „ø” nie była skośna lecz pozioma i wyglądała, jakby zrobiono ją ciemniejszym atramentem, co prawdopodobnie wynikało z tego, że pisząca nie wprowadziła tej dziwnej litry do swojego pisma ręcznego i dlatego w tym miejscu mocniej przyciska pióro. Może to właśnie ten charakter pisma go pociągał, sprawił, że wybrał list Charlotte ze stosu innych? Arthur Lokke to esteta, a charakter pisma Charlotte Brun był piękny i obcy; cyferki w numerze telefonu dziwne i zapisane w kontynentalnym stylu.

Później Frøydis wielokrotnie myślała, że powinna była go przejrzeć, powstrzymać, wytłumaczyć matce, jakiego rodzaju człowiekowi chce oddać serce. Robiła sobie wyrzuty, że nie wyczuła instynktownie, iż cała sprawa skończy się katastrofą. Wolałaby go natychmiast znienawidzić, a przynajmniej go nie polubić. Ale tak się nie stało. Frøydis była tak samo

oczarowana Arthurem Lokke jak jej matka. Ubóstwiała go. Chwalenie nie leży w jego naturze, zwierzył się im, ale dawał do zrozumienia, że jest człowiekiem zamożnym. Zabierał je do restauracji, wychodzili z matką, żeby potańczyć, kupił Frøydis drogą skórzaną kurtkę. Wszyscy troje odwiedzali muzeum Muncha. Opowiadał im o swoim ulubionym malarzu, a one słuchały urzeczone. Po kilku miesiącach wyznał skrępowany, że ma problemy biznesowe. Czy mógłby poprosić o niewielką pożyczkę, by uporządkować to wszystko? Męczyło go, że musi kłopotać Charlotte swoimi sprawami, ale nie widział innej rady. Matka pożyczyła mu pieniądze, on serdecznie podziękował, potem pili stare wino z Langwedocji, które Charlotte trzymała od lat, pili za jego przyszłe sukcesy w biznesie i za ich wspólne szczęście. Jak tylko znowu wypłynę na spokojne wody, weźmiemy ślub, obiecywał Arthur. Charlotte uszczęśliwiona kiwała głową. *Quel bonheur!* Sprawy szły jeszcze gorzej, ale to tylko przejściowe, Charlotte wzięła pożyczkę pod zastaw mieszkania. Teraz wszystko się ułoży, zapewnił Arthur. Wyznaczyli datę ślubu. Arthur powiedział, że jego zdaniem Frøydis powinna być druhną, ona sama uważała, że jest już za duża, ale Arthur tłumaczył, że jest taka śliczna, iż wiek nie szkodzi. Wszyscy troje się roześmiali. One z mamą naradzały się szeptem w sprawie sukni ślubnej i sukni dla druhny, w sprawie bukietów i butów. Arthur zapewniał, że już nie może się doczekać i zastanawiał się, czy obie nie powinny mieć na głowach wianków z róż. Nie, żeby jakoś specjalnie znał się na kwiatach, stroikach i tego typu rzeczach, ale chętnie by widział dwie swoje ulubione kobiety przystrojone różami (skoro nie można zdobyć liści miłorzębu, dodał, mrugając do Frøydis).

Pewnego dnia Arthur zniknął. Nigdy więcej nie dał znaku życia. Miał o piątej przyjść na obiad, ale się nie pojawił. Charlotte przygotowała jego ulubione danie (jesteś znakomitą kucharką, Charlotte, ja kocham francuskie chłopskie jedzenie): *coq au vin*. Jedzenie stało na piecu i cichutko bulgotało, rozsiewając zapach wina w całym niewielkim mieszkaniu. Frøydis cieszyła się na obiad, wprost nie mogła się doczekać.

Wybiła siódma, potem ósma i dziewiąta. Charlotte Brun nie miała pojęcia, co robić, obawiała się, że spotkało go jakieś nieszczęście. Kiedy minęła dziewiąta, a matka wyłączyła piec i wstawiła rondel do lodówki, Frøydis spokojnie poszła do łazienki i wyrzuciła niebieską szczoteczkę należącą do Arthura Lokke. On tu już więcej nie przyjdzie, myślała, ale nie chciała nic mówić maman. Pocieszała ją i zapewniała, że wszystko jest w porządku. Vraiment, pytała matka. Naprawdę? Tak, odpowiadała Frøydis. Charlotte uważała, że on musi znajdować się w jakimś szpitalu, nieprzytomny, ciężko ranny. Frøydis robiła, co jej kazano. Obdzwoniła wszystkie szpitale, ale w żadnym nie było Arthura Lokke. W końcu Charlotte sama zadzwoniła na policję. Połączono ją z bardzo miłym funkcjonariuszem, w każdym razie na początku był miły, ale potem stawał się dziwniejszy i dziwniejszy. Zdaniem Charlotte udzielał jakiś niezwykłych odpowiedzi. Skończyło się na tym, że zapytał, czy następnego dnia mógłby przyjść do niej do domu i porozmawiać. Ona powiedziała, że tak, ale serce biło jej mocno i boleśnie. On nie żyje, myślała, policjant chce przyjść, żeby mi to powiedzieć twarzą w twarz. Nie, on nie mógł zginąć, pocieszała się, bo czyż w takim razie policja czekałaby aż do jutrzejszego przedpołudnia?

Policjant przyszedł w towarzystwie koleżanki. Mieli ze sobą fotografię. Czy to ten mężczyzna, spytali. Frøydis i Charlotte popatrzyły na zdjęcie. Charlotte przytaknęła. Tak, to jest jej drogi Arthur. Policjant westchnął ciężko, policjantka poklepała ją po ręce.

W końcu Charlotte złożyła meldunek na policji. Wstydziła się tak, że wprost nie mogła udźwignąć całej sytuacji, ale w końcu rozsądek zwyciężył i oskarżyła Arthura Lokke o oszustwo. Policja nigdy go nie znalazła. Przypuszczalnie wyjechał z kraju.

Matka pracowała dwa razy więcej niż przedtem, ale przecież są granice tego, ile może zarobić nauczycielka francuskiego. Skończyło się na tym, że straciły mieszkanie. Postarał się o to dyrektor banku Sturla Hagbartsen. Matka prosiła i błagała o przesunięcie spłat, ale Hagbartsen był nieprzejednany. Frøydis bywała z matką w banku w charakterze swego

rodzaju tłumacza; przy tak ważnej sprawie nie może dochodzić do językowych nieporozumień. Dyrektor banku przesłuchał Charlotte, wypytał ją o wszystkie detale. Jak spotkała Arthura Lokke? Jak długo go znała? Czy nie wiedziała, że nie należy pożyczać pieniędzy ludziom, których się dobrze nie zna? Czy teraz już to zrozumiała? Skąd dyrektor banku ma wiedzieć, że Charlotte nie ucieknie i nie postąpi dokładnie tak samo?

Charlotte nie podnosiła wzroku. Nie mam pani nic do zaoferowania, oznajmił dyrektor. I dodał, że musi działać profesjonalnie. Charlotte tak zaciskała dłonie, aż pobiełały jej kostki. Licytacja to naszym zdaniem jedyne rozwiązanie, natychmiast rozpoczynamy procedury. Dopiero po wielu latach Frøydis odkryła, że Sturla Hagbartsen wykorzystał okazję i kupił mieszkanie poniżej wartości. Profesjonalnie, powtarzał dyrektor. Frøydis objęła matkę, poklepywała ją po plecach. Idziemy już, maman, wstań, wychodzimy.

To był początek końca. Przeprowadziły się do pensjonatu. Matka przestała się śmiać. Rano nie była w stanie podnieść się z łóżka. Coraz częściej opuszczała pracę. W końcu została zwolniona. Straciła apetyt. Nie mogła spać. Lekarze dawali jej środki nasenne. Któregoś dnia zażyła wszystkie pigułki ze słoiczka, potem weszła na ogrodowy stołek, wsunęła głowę w pętlę, którą zawiesiła na haku od lampy, kopnęła stołek. Zrobiła to starannie. Nie ryzykowała. Frøydis znalazła ją, kiedy wróciła ze szkoły. Na podłodze słoneczne światło malowało prostokąt.

*

Frøydis oparła głowę o brzuch Andersa. Siedział na kanapie i oglądał program, w którym czterech panów w krawatach o czymś dyskutowało, ale ona nie bardzo wiedziała o czym. Na wół leżała u jego boku, z uniesionymi w górę nogami. Brzuch Andersa uginał się pod ciężarem jej głowy tak jak nowoczesne poduszki piankowe.

Anders położył rękę na policzku ukochanej i pieścił jej ucho. Byłby doskonałym ojcem, pomyślała, zresztą nie po raz pierwszy. Ale teraz coś

się odmieniło. Najpierw nie bardzo rozumiała co, w końcu jednak do niej dotarło. Po prostu odpuściła. Przestała wierzyć, że ona i Anders będą jeszcze mieć dziecko. Ona jest za stara. Próbowali długo. Wprawdzie Anders nie zebrał się jeszcze, by zamówić wizytę u lekarza, ale to chyba i tak nie ma znaczenia.

Podczas gdy leżała na kanapie, z twarzą wtuloną w ciepły brzuch Andersa i rozmyślała o tym, jak jest im razem dobrze, jak się nawzajem kochają, nagle, całkiem wbrew woli, przyszło jej do głowy, że nie wszyscy ludzie powinni zostawać rodzicami, że nie wszyscy umieją zająć się własnymi dziećmi, a niektórzy w ogóle nie chcą ich mieć i usuwają, zanim one przyjdą na świat. Położyła rękę na dłoni Andersa, która nadal spoczywała na jej uchu.

Czy Wiedźmy nie powinny w pewnym momencie zrobić czegoś z ojcami, którzy zdradzili? Z nieobecnymi tatusiami? Z tatusiami, którzy obiecywali, że przyjdą, pozwalali dzieciom czekać z rękami pełnymi dziecinnych rysunków i innych skarbów przeznaczonych dla ojców, ale oni nigdy się nie pojawiali. Frøydis nie poznała własnego ojca, porzucił je, kiedy była jeszcze zamknięta w brzuchu Charlotte Brun. Nie może go ukarać, bo nie wie, kim on jest. Matka zawsze powtarzała, że najlepiej dla niej jest nie znać imienia ojca. W końcu obiecała, że powie jej w piętnaste urodziny, ale zmarła, zanim Frøydis osiągnęła ten wiek.

Program zbliżał się do końca i Anders zaczął poruszać mięśniami brzucha, tak że głowa Frøydis kiwała się niczym łódź wiosłowa na potężnych falach. Przestań, nie mogę myśleć, powiedziała i uszczypnęła go w nos. Powstrzymał się na chwilę, ale po paru sekundach zaczął znowu. Tym razem fale były jakby mniejsze. Frøydis uśmiechała się. Pod nią zanosilo się na porządny sztorm.

– Leż spokojnie, jesteś poduszką – powiedziała, unosząc brodę nad trzęsącego się brzucha ukochanego. – Nie zapomniałeś, że w weekend wyjeżdżam, prawda?

– Pomyłka, ja jestem materacem – odparł Anders, wyłączając

telewizor. Ekran zrobił się czarny.

– Mnie jest wszystko jedno, ale skoro tak, to zachowuj się jak materac.

– Tylko że ja mam wadę fabryczną. Tak, moja kochana, pamiętam, że jedziesz na spotkanie zarządu koncernu, a potem będziesz kibicować uczestnikom narciarskiego wyścigu, którego nie lubisz.

– Zgadza się – potwierdziła Frøydis.

– A ja jestem materacem z wadą fabryczną – powtórzył Anders.

– Ach tak? – spytała Frøydis w sposób dający do zrozumienia, że mniej więcej rozumie, o co chodzi.

– Mam wrażenie, że wyłazi ze mnie pierze – powiedział Anders, uniósł się lekko i położył rękę Frøydis w odpowiednim miejscu.

*

Celeste siedziała na posadzce w łazience. Ogrzewanie podłogowe było włączone na cały regulator i w ciągu paru sekund spocily się jej pośladki i stopy, ale ściana, o którą opierała plecy, pozostawała nieprzyjemnie zimna. Jak zwykle znajdowała się w mieszkaniu sama, ale drzwi do łazienki zamknęła na klucz. Nie było tu okien, więc nie doznawała uczucia, które ją od czasu do czasu ogarnia, że ktoś przyciska twarz do szyby i gapi się na nią (kompletny absurd, bo przecież mieszka na trzecim piętrze). Brak okien sprawiał, że miała wrażenie zamknięcia; po prostu nie istniała możliwość ucieczki. Mimo to łazienka jest tym pomieszczeniem, w którym czuje się najbezpieczniej.

Dostała jeszcze jeden list. Zdecydowała się go nie otwierać, ale oczywiście nie była w stanie się powstrzymać. Wczoraj miałaś na nogach nowe botki. Jesteś tak samo piękna, jak zawsze byłaś. Jesteś śmiertelnie piękna. Sądzisz pewnie, że to dziecinny i niedojrzały przymiotnik, ale on właśnie najlepiej oddaje moje uczucia. Ty jesteś naprawdę śmiertelnie piękna, droga Celeste. Zmiała list, nie doczytawszy do końca, ale i tak zdążyła zerknąć na ostatnie zdanie. Kto zaopiekuje się Sebbe? Ktoś, kto nie wie, że on nie lubi być dotykany w ramię lub w rękę? Nie myśleć, nie myśleć.

Złożyła na niego doniesienie na policji. Ale tego przecież on nie może wiedzieć. Czyżby widział, że szła na komisariat? Wczoraj rano obudziła się i wiedziała, że to właśnie musi zrobić. Bez względu na to, co się potem stanie. Wzięła ze sobą listy, które pisał, opowiedziała o wszystkim. Policja odpowiedziała, że nie mogą zrobić nic, dopóki on nie podejmie gwałtownych działań. Więc mam czekać, aż mnie pobije, spytała. Bardzo nam przykro, odpowiedzieli. Nie myśleć, nie myśleć. Lepiej wyobrażaj sobie twarze dziewczyn. Łagodne oczy Elli, uśmiech Jenny. Myśl o stanowczości i sile Frøydis. Musi opowiedzieć im o Neronie, nie może już dłużej pozostawać z tym sama. Oddychaj głęboko, nakazywała sama sobie, jutro pojedziesz w góry z Frøydis i Ellą. Wtedy im opowiesz.

*

W piątkowe popołudnie cała szesnastoosobowa grupa uczestników z Kvervik przybyła w góry wynajętym autobusem. Razem z uczestnikami przyjechał też zarząd koncernu (z wyjątkiem głównego szefa, który, niestety, nie mógł). Zarząd Kvervik Consulting nadal składa się z ośmiu mężczyzn i jednej kobiety – czyli, jak to któregoś razu wyjawiał szef koncernu: w grupie zarządzającej koncernem jest ośmiu dyrektorów i jedna kobieta, również na stanowisku dyrektorskim. Postanowiono, na wniosek Daga Martina Martinsena, który występował tu i jako kapitan drużyny, i jako członek zarządu, że swoje cotygodniowe zebranie zarząd odbędzie tuż przed wspólnym obiadem, a w sobotę przed południem jego członkowie staną wzdłuż trasy i będą dopingować uczestników z Kvervik. Frøydis zawiadomiła, że w piątek przed południem ma spotkanie, przyjedzie więc własnym samochodem, najszybciej jak będzie mogła. Cieszy się zarówno na wspólny obiad, jak i oczywiście na zawody następnego dnia, oznajmiła pozostałym członkom zarządu. Naprzód, Kvervik, zawołała. Szef koncernu poklepał ją po sportowemu w ramię. Bardzo dobrze, Frøydis, rzekł z uznaniem. Świetnie, że kibicujesz.

– Zakładam, że całe twoje sportowe wyposażenie znajduje się tutaj – powiedziała Ella do Frøydis.

Stała pochylona nad bagażnikiem samochodu koleżanki, przesuwała ciężką walizkę, by zrobić miejsce dla swojej torby.

– Ta walizka jest moja – wtrąciła Celeste. – Ale możemy tak powiedzieć: to jest wyposażenie.

– Wskakujcie i ruszamy – ponagliła Frøydis niecierpliwie. Zanim dojechały do Gardermoen, zdążyły obgadać Jennę, łagodnie wykpiły jej skłonność do zjawisk ponadnaturalnych, wyśmiały jej bezkształtne szydełkowe czapeczki, chwaliły operatywność, żartowały z kadzideł i świec, wygłupiały się, że akcja Kvervik może się nie udać, skoro nie mają aksamitnych peleryn. I zakończyły, mijając właśnie Eidsvoll, że Jenna jest fantastyczną kobietą, z charakterem, osobą, której można ufać.

– Jest wspaniała – rzekła Celeste.

– Będzie mi jej w ten weekend brakować – dodała Frøydis.

– I mnie też – przyłączyła się Ella.

Koło Minnesund Celeste zaproponowała wspólne śpiewanie. Na wysokości Hamar miały już za sobą piosenki dziecięce, repertuar Beatlesów i szlagiery Abby (w czym Celeste okazała się znakomita). Przed Lillehammer Frøydis skręciła na stację benzynową.

– Potrzebujemy energetycznej czekolady i energetycznych napojów – oznajmiła.

– Naprawdę? My przecież i tak jesteśmy wystarczająco energetyczne – rzekła Ella i zachichotała niczym nastolatka.

– Potrzebujemy ich na akcję – wyjaśniła Celeste.

– Wiem o tym – przytaknęła Ella grzecznie.

– I ze dwie, trzy czekolady także dla nas – zdecydowała Frøydis.

– Oczywiście – przytaknęła Ella.

Frøydis wysiadła i w jakiś czas potem wyszła ze sklepu z plastikową torbą w jednej ręce i hot dogiem w drugiej. Rzuciła jedną czekoladę Elli na tylne siedzenie i jedną Celeste.

– Mamy jeszcze szesnaście takich – oznajmiła.

– Przydadzą się – odparła Celeste rzeczowo, oceniwszy uważnie

czekoladę.

Ella zdążyła już swoją nadgryźć.

– Dobra – pochwaliła. – Nie chcesz spróbować, Frøydis?

– Ja nie jadam takich dietetycznych słodczy – oznajmiła Frøydis.

Przyjechały do hotelu zaledwie dziesięć minut przed rozpoczęciem zebrania zarządu, w którym Frøydis miała wziąć udział.

– Gdyby ktoś komentował, że w moim samochodzie były jeszcze jakieś dwie panie, to powiedzcie, że przyjechałyście kibicować – szepnęła, zanim pobięła.

– W porządku – zgodziła się Ella.

– Nie znamy się nawzajem – uściśliła Frøydis.

– Wyluzuj. Nigdy przedtem cię nie widziałyśmy – wtrąciła Celeste.

– Coś ty za jedna? – spytała Ella.

Ella i Celeste zameldowały się w swoich pokojach i po paru minutach Ella zapukała do drzwi koleżanki. Przez prawie pół godziny pracowały efektywnie, świadome celu. Kiedy skończyły, na stole leżał stos jednorazowych rękawiczek, zużyte strzykawki i dwie puste butelki po lekarstwach oraz inne opakowania, a pośrodku tego bałaganu znajdowała się długa zielona jedwabna wstążka.

Obiad, który Kvervik Consulting przygotował ku czci uczestników biegu, był wyszukany. Nie oszczędzano na niczym, choć firma w bieżącym roku miała wyraźnie mniejsze zyski, niż zarząd się spodziewał. Menu było przemyślane, lekkostrawne, zawierające odpowiednie ilości węglowodanów i białka. Małże na przystawkę, następnie makaron z łososiem, gotowane w bulionie jarzyny i wymyślna kompozycja jagód na deser (czy te małże nie smakują trochę dziwnie, szepnęła Frøydis do swojego sąsiada). Alkoholu nie podawano, również dla tych, którzy nie mieli uczestniczyć w biegu, to wyraz solidarności (no i zysk ekonomiczny dla Kvervik, rzecz jasna). Po przystawce Dag Martin Martinsen zadzwonił w szklanę. Zaczął od pochwały menu, które – wyjaśnił – osobiście wybierał. Prowadził intensywną korespondencję mailową z hotelową kuchnią. Świetnie,

zawołał ktoś. Następnie Dag Martin Martinsen podkreślił wagę tego biegu, który wzmacnia wspólnotę, budzi zespołowego ducha, co z kolei ma bezpośredni wpływ na główny kierunek działania firmy. Wszyscy klaskali. Frøydis klaskała tak, że aż rozboleły ją dłonie. Naprzód, Kvervik, krzyknęła ponad stołem do Daga Martina Martinsena. Świetna mowa!

Pod koniec obiadu wszyscy uczestnicy jutrzejszego biegu otrzymali kombinezony narciarskie z napisem „Kvervik Consulting” na plecach. Śnieżnobiałe stroje z nazwą firmy w zielonym trawiastym kolorze. Pozdrowienie od szefa koncernu. Posyłamy mu nasze najgorętsze podziękowania, wrzasnął Dag Martin Martinsen. Wszyscy znowu klaskali i wzniesli wodą toast za prawdziwego sportsmena. Dyrektor ekonomiczny zainspirowany tym wstał i wygłosił nieplanowane oświadczenie: Będziemy was dopingować. Taki bieg jak ten to nie żarty. Czterdzieści kilometrów po zboczach i wzniesieniach wymaga od zawodników jaj i włosów na kłacie. I wam, pracownikom Kvervik Consulting, tego nie brakuje. Naprzód, chłopaki z Kvervik! I wy, dziewczyny, oczywiście też.

Po wspólnym obiedzie uczestniczący w biegu mężczyźni mieli pójść do sauny, żeby się psychicznie wyluzować, umocnić wspólnotę, pobudzić ducha konkurencji. Frøydis, Ine i tamta druga zawodniczka usiadły razem, uniosły szklanki z wodą mineralną i wypily za jutrzejszy wyścig.

Pod oknem, przy małym stoliku, siedziały samotnie dwie panie. Jedna uderzająco piękna, druga zwracała mniejszą uwagę, ale też ładna, szczupła, o niezwykłym uśmiechu. Jadły i rozmawiały ze sobą z ożywieniem, najwyraźniej dobrze się bawiły, bo raz po raz wybuchały głośnym śmiechem.

Okolo wpół do dziesiątej Frøydis kilkakrotnie głośno jęknęła. Pięć po wpół chwyciła się za żołądek, dziesięć po wpół zasłaniała dłonią usta i przyrykała oczy, a dokładnie za kwadrans dziesiąta wstała i oznajmiła, że czuje się źle. Boli ją żołądek, ma mdłości.

– Mam nadzieję, że to nie jest zakaźne – jęknęła cicho.

– Biednaś ty – współczuła jej Ine.

– W każdym razie muszę wracać do pokoju – jęczała Frøydis.

– Boże, co by to było, gdyby uczestnicy się pochorowali – powiedziała ta druga z przerażeniem w głosie.

– Zdaje mi się, że małże miały dziwny smak – rzekła Frøydis i zgięta w pół opuściła restaurację.

Dwie panie przy stoliku pod oknem musiały wyjść tuż przed nią.

Frøydis zamknęła drzwi pokoju i wyprostowała się. Ella siedziała już w jej fotelu, Celeste leżała na łóżku.

– Wszystko w porządku, dziewczyny? – spytała Frøydis.

Celeste wskazała głową jeden duży i dwa małe koszyki, pałaki wszystkich były przewiązane lśniącymi, trawiastozielonymi wstążkami.

– No, świetnie się spisałyście. I wiecie na pewno, co w którym koszyku jest?

– Oczywiście – odparła Ella. – Tu są panie znające się na rzeczy. Celeste przygotowała trzy rodzaje, każdy w innym koszyku.

– Jeszcze tylko odrobina szminki na wargi i ruszam – rzekła Celeste. – Ella?

– Jestem gotowa – odparła tamta, biorąc mały koszyk.

Dwie minuty później zapukano do przeszklonych drzwi sauny. Siedziało tam czternastu nagich, wznoszących okrzyki facetów, a zaczęli wykrzykiwać jeszcze głośniejsze, gdy śliczna ciemnowłosa kobieta wsunęła głowę do środka, mówiąc:

– Mam na pół zamknięte oczy, moi panowie, nic nie widzę. Chcę wam przekazać ważną wiadomość. Tuż za drzwiami stoi coś, czemu z pewnością chcielibyście się dokładnie przyjrzeć.

Szczodrze przez naturę obdarowany pierwszy konsultant, który lubił prezentować swoje walory, szedł na rozstawionych nogach niczym buldog ku drzwiom, w których przed chwilą stała kobieta. Otworzył je i wyjrzał. Ciemnowłosej, niestety, nie było, więc nie będzie miała okazji go podziwiać. Ale na podłodze stały dwa koszyki. Jeden duży, wiklinowy, z pałakiem przewiązany szeroką zieloną szarfą i mały koszyk z mniejszą

szarfą. W dużym znajdowało się trzynaście tabliczek czekolady z orzechami i trzynaście butelek energetycznego napoju. Na górze przyczepiona była kartka: „Powodzenia jutro, chłopaki! Jestem pewien, że zrobicie dla firmy wszystko, na co was stać. A teraz rozkoszujcie się tym i wyluzujcie w jacuzzi. Zasługujecie na to!”. Kartka w mniejszym koszyku skierowana była tylko do Daga Martina Martinsena. „Wykonujesz wspaniałą robotę jako kapitan drużyny. Przynieś zaszczyt Kvervik Consulting.” W koszyku leżała jedna tabliczka czekolady i jedna butelka napoju. Pierwszy konsultant wziął oba koszyki, kopniakiem otworzył drzwi i krzyknął, że teraz czas na jacuzzi. Jeszcze jedno pozdrowienie od szefa koncernu! Dag Martin Martinsen był dumny z tego, że otrzymał osobiste przesłanie, uważał zresztą, że w jego koszyku powinno leżeć coś więcej (mimo wszystko jest kapitanem drużyny!), z drugiej jednak strony rozumiał prostą symbolikę faktu, że otrzymał dokładnie to samo, co pozostali uczestnicy biegu. Stanowią przecież jeden team. Raz jeszcze przeczytał kartkę, zanim włożył kawałek czekolady do ust. Przynieś zaszczyt Kvervik Consulting. Tak, zrobi wszystko, na co go stać. Na zdrowie, krzyknął i otworzył butelkę z napojem energetycznym. Na zdrowie, odparło trzynastu pozostałych.

Tymczasem Ella przekazała mały koszyk z zieloną szarfą dwóm paniom uczestniczącym w zawodach. Frøydis usadowiła się na łóżku z pudełkiem ciasteczek i butelką wina, którą Anders dla niej przygotował (nie będziesz musiała wypijać sikacza z buteleczek w minibarze).

– Panowie wznoszą toasty energetycznym napojem – poinformowała Celeste.

– Znakomicie – ucieszyła się Frøydis. – Naprawdę znakomicie. My też wypijemy sobie coś przed snem.

– Nieskądzone czekolady i napoje przekazałam paniom – meldowała Ella.

– Znakomicie – powtórzyła Frøydis. – I aparat jest gotowy?

– Wszystko w porządku.

– I telefonowałaś?

– Jak powiedziałam, kiedy pytałaś mnie po raz ostatni: tak, telefonowałam. Przyjadą – odparła Ella.

– Przepraszam, że tak marudzę – bąknęła Frøydis pokornie.

– Zachowujesz się jak prawdziwa wiedźma – stwierdziła Celeste.

– Pamiętaj, Neron to nasz człowiek – powiedziała Ella.

Celeste przymknęła oczy.

– Ten drań! – roześmiała się Frøydis.

– On otruł wielu – mówiła dalej Ella. – Ale najbardziej nam chyba dzisiaj pasuje historia Brytanika. Jak pamiętacie, Neron polecił podać mu truciznę na oczach tłumy zaproszonych na obiad gości. Nieszczęsny Brytanik natychmiast padł martwy...

– A Neron wyjaśnił gościom, że cierpiał na epilepsję i kazał go wynieść – dokończyła Frøydis, uśmiechając się słodziutko.

Zarząd koncertu (z wyjątkiem Daga Martina Martinsena, który czekał gotowy na starcie, oraz Frøydis, która, niestety, musiała zostać w pokoju ze względu na problemy żołądkowe) ćwiczył okrzyki. Przybyło mnóstwo ludzi. Elita życia gospodarczego albo brała udział w biegu, albo tworzyła wzdłuż trasy grupy kibiców. Naprzód, Kvervik!

Doszło do tego w różnych momentach, ale trzynastu spośród szesnastu uczestników z Kvervik Consulting nie zdołało ukończyć biegu. Wszyscy jak jeden mąż dostali ostrej, nie poddającej się żadnej kontroli biegunki. Nowe kombinezony utraciły swoją śnieżną biel. Jakies dwie obce panie stanęły przy trasie, skąd lepiej było widać, jedna z nich przypadkiem miała aparat fotograficzny i robiła zdjęcia wszystkim trzynastu nieszczęśnikom, i z przodu, i z tyłu. Stroje Ine Erlandsen i drugiej uczestniczki natomiast były bielusińkie, kiedy zawodniczki dotarły do mety. Ine zajęła znakomite drugie miejsce w kategorii kobiecej, a jej koleżanka znalazła się w pierwszej dziesiątce. Dag Martin Martinsen nie miał problemów żołądkowych, wpadł na metę jako trzeci, z czasem o dziesięć minut lepszym od Ine. I właśnie uniósł ręce w górę, kiedy trzech

poważnych panów podeszło do niego, Ine i innych, którzy właśnie przekroczyli linię mety. Komisja kontroli antydopingowej od jakiegoś czasu miała podejrzenia, że również w sportach amatorskich zawodnicy stosują niedozwolone metody, a gdy przed tym biegiem odebrano telefon, zawiadamiający, iż któryś z uczestników może coś brać, postanowili to sprawdzić. Mieli poważny argument: wielu uczestników takich amatorskich zawodów uzyskuje wyniki porównywalne z osiągnięciami profesjonalnych sportowców.

– Rutynowa kontrola. Testy dopingowe. Państwo, którzy zajęli trzy pierwsze miejsca, zostaną zbadani – poinformował jeden z kontrolerów. – Proszę z nami do tamtego namiotu. Załatwimy to w ciągu kilku minut.

– Boże drogi, dlaczego? Przecież to tylko zabawa! – rzekła Ine, wzruszając ramionami.

– Oczywiście, to całkiem niepotrzebne – poparł ją Dag Martin Martinsen. Twarz miał równie białą jak ten kombinezon od prezesa.

– To dziwne, że inni uczestnicy się nie pochorowali – rzekła Ine do koleżanki w drodze powrotnej. Siedziały na przedzie autokaru, poprosiły kierowcę, żeby włączył wentylację na cały regulator, bo w autokarze panował nieprzyjemny odór. Trzynastu uczestników biegu leżało, każdy na podwójnym siedzeniu, z zielonobludymi twarzami, każdy z plastikową torbą w ręce, do której od czasu do czasu wymiotował.

– Słyszałam, że Frøydis Brun leży w swoim pokoju i także wymiotuje – odparła koleżanka.

– Myślisz, że to te małże? No to Dag Martin Martinsen i my obie mieliśmy szczęście, że nasze porcje były świeże – rzekła Ine.

– Ale spójrz na niego, jak on źle wygląda, taki blady – zwróciła uwagę koleżanka.

Ine odwróciła się. Dag Martin siedział z medalem na szyi.

– Rzeczywiście, chyba nie jest w formie – zgodziła się Ine.

– Szkoda, że nie zachorował wcześniej – powiedziała jej koleżanka. – To by dopiero było fantastycznie, gdybyś ty wygrała.

– Przy takich zasadach, jakie panują w naszej firmie, nigdy do czegoś podobnego nie dojdzie – rzekła Ine z goryczą.

Dag Martin Martinsen rozstroju żołądka nie dostał. W poniedziałek rano przybiegł jak zwykle do biura. Podczas przerwy na lunch zorganizowano z wielką pompą i przepychem uroczystość rozdania nagród, z przemówieniem szefa koncernu, podniosłym aż do przesady. Dag Martin Martinsen kłaniał się, obiema rękami przyjmował dary i dziękował serdecznie, ale potem wielu uznało, że był znacznie mniej wylewny niż oczekiwano. Frøydis gratulowała mu, uśmiechała się, ścisnęła mu rękę, ale w duchu powtarzała: Tylko poczekaj, ty draniu.

Pewnego dnia w listopadzie do Kvervik Consulting dotarła szokująca wiadomość. Testy antydopingowe, które wykonano po biegu narciarskim, w przypadku Daga Martina Martinsena okazały się pozytywne.

– Cóż to za tragedia – jęknęła Frøydis. – I to kto jak kto, ale Dag Martin Martinsen!

Siedziała w kantynie w towarzystwie siedmiu, może ośmiu kolegów.

– Tak, i pozytywna jest zarówno próbka A, jak i próbka B – dodał człowiek, który przyniósł informację.

– Co to znaczy? – spytał ktoś inny.

– To, że nie można sprawy zlekceważyć, że nie zaszło nieporozumienie. Wszystko wskazuje na to, że Dag Martin Martinsen brał sterydy od dłuższego czasu.

– Co?! – Frøydis uniosła się na krześle.

– Tak, to rzeczywiście smutne – skomentował jeden z kolegów.

– To po prostu wstyd – dodał inny.

Pewnie nie ma co się dziwić, że szef koncernu nie zorganizował nowej ceremonii rozdania nagród, ale Ine Erlandsen bardzo się ucieszyła i z dodatkowych pieniędzy (które ściągnięto z konta Daga Martina Martinsena), jak i z weekendu w eleganckim hotelu.

Celeste zebrała się w końcu i wysłała trzem pozostałym koleżankom zdjęcia, które zrobiła podczas biegu.

– Są po prostu śmieszne – oceniła Jenna. – Śmiałam się tak, że o mało nie spadłam z krzesła. Trzynastu poważnych wysportowanych mężczyzn na rozstawionych szeroko nogach w zaświnionych białych kombinezonach. I to obfotografowanych ze wszystkich stron.

– Wielu powinno czerpać radość z tych zdjęć – rzekła Frøydis.

– Jest przecież możliwe, że Ine Erlandsen i inne dziewczyny z twojej pracy dostaną maila z nowo utworzonego konta na hotmailu – obiecała Jenna. Jej palce poruszały się szybko po klawiaturze laptopa.

– ...a wtedy może się zdarzyć, że zdjęcia rozejdą się w sieci – wtrąciła Ella. – I będą krążyć w środowiskach biznesowych.

– W takim razie byłaby to prawdziwa udręka – rzekła Jenna z fałszywym współczuciem.

– Uff, masz rację – zgodziła się Frøydis.

– Ale ta sprawa z Dagiem Martinem Martinsenem – mówiła Celeste zamyślona. – Myślał, że jest nietykalny, że może postępować tak jak zwykle: skończyć jakieś dwa tygodnie przed biegiem.

– Zasłużył sobie na to – stwierdziła Frøydis stanowczo.

– Wysłane – Jenna zamknęła komputer.

*

Na kuchennym stole stał włączony laptop, na ekranie znajdował się wypełniony schemat „Business Managera”. Obok komputera stała pusta taca. Frøydis była najedzona i zadowolona. Współpracownicy przeszły same siebie. Dag Martin Martinsen dostał to, na co zasłużył. Frøydis doszła nawet do wniosku, że facet się zmieni. Nie wyobrażała sobie, by on, czy któryś z pozostałych członków zarządu chcieli teraz wyśmiewać jej propozycje lub osiągnięcia zawodowe Ine Erlandsen. Trudno by im było zarzucać paniom, że są nieusportowane, skoro oni sami zostali przyłapani na czymś tak bardzo niesportowym.

Prywatne oceny Frøydis też okazały się zasadne. Dla Daga Martina Martinsena miejsce na podium było ważniejsze niż sprawiedliwość. Dla Sturli Hagbartsena też ważniejsza niż sprawiedliwość była jego

wspinaczka w górę po szczeblach kariery. Maman, on y va!

– Cześć, kochanie.

– Maman!

– Jestem teraz w twojej głowie.

– Zauważyłam to.

– Jak ci się wiedzie?

– Bardzo dobrze. Mam Andersa. I poznałam wspaniałe kobiety.

– Bon.

– I nie odpuściłam.

Teraz będzie musiała pomyśleć o przyszłości, formułować nowe cele. Musi pracować nad postępem. Prawdopodobnie nigdy nie odnajdzie Arthura Lokke, ale zrobi, co w jej mocy, by powstrzymać innych dupków przed dopuszczaniem się podobnych czynów. Frøydis, zawołał Anders, a brzmienie jego głosu nie pozostawiało wątpliwości, czego od niej chce. Frøydis wstała. Już idę, zawołała w odpowiedzi.

Dobrze było przeczytać nekrolog Sturli Hagbartsena.

LECTIO VI – NATURALIA NON SUNT TURPIA

czyli

Wykład szósty:

To, co przyrodzone, nie przynosi wstydu

– Moim zdaniem powinniśmy się wybrać na jakąś ekskursję – powiedział Bendik na zakończenie lekcji w ubiegłym tygodniu. Rzucił po prostu propozycję, gdy wychodzili z klasy. Zabrzmiało to bardziej niż żart.

– O tak! – zawołała Celeste. Zdażyła już włożyć płaszcz.

– Jeśli się nie mylę, to ekskursja jest słowem łacińskim – zauważyła pani Næss.

– Zgadza się – przytaknęła Ella z uśmiechem. – Eks to przedrostek oznaczający „z”, natomiast druga część tego słowa wiąże się z czasownikiem „currere”, biec. Jest też w łacinie czasownik „excurrere”, wybiegać.

– Nie wygadaj się z tym – powiedział Bendik.

– Następnym razem spotkamy się w restauracji – postanowiła Ella. – Co nie oznacza, że będzie to czas wolny. W menu restauracyjnym bowiem mamy dużo dobrej łaciny. Powiadomię was mailem, która to będzie restauracja. Powinniśmy chyba wybrać włoską, hiszpańską lub francuską.

Padło na włoską. Ella wybrała La Donnę, w pobliżu katedry, i prosiła, żeby przyszli na siódmą, jak zwykle.

Zatelefonowała też do mamy Erika i upewniła się, czy nie przeszkadza jej, że tym razem kurs łaciny odbędzie się w restauracji.

Ściany w lokalu La Donna zostały zbudowane z czerwonej cegły, podłoga z szerokich, lakierowanych na biało desek. U sufitu wisiały dwa rzędy żółtobiałych kulistych lamp. Na stołach leżały białe krochmalone obrusy i także serwetki, co tworzyło bardzo intymny nastrój. Ella była tu

kilkakrotnie, raz z Peterem, który zaprosił ją na kolację w rocznicę ślubu, wiedziała więc, że jedzenie jest znakomite. Teraz prezydowała u szczytu stołu. Kiedy wszyscy już przyszli, powitała ich, unosząc, jako gospodyni, szklanę z wodą mineralną.

– Nie będziemy pić nic mocniejszego, tylko wodę i sok jabłkowy – oznajmiła. – Pamiętajcie, że to lekcja.

– Na razie tak – zgodziła się Frøydis.

– Impertynenckie dzieci będą wypraszane na korytarz – odparła Ella. – Wiedzieliście, że słowo „restauracja” pochodzi od łacińskiego czasownika „restaurare”, odnawiać, przywracać? Zatem w restauracji człowiek odnawia siebie.

Przy każdym daniu, które pojawiało się na stole, Ella opowiadała jakąś anegdotę, językową ciekawostkę lub wygłaszała lingwistyczny komentarz. A gdy kelner odwrócił się do nich plecami, szepnęła, że „kelner” to zapożyczenie z niemieckiego, gdzie początkowo oznaczało „gospodarza piwnicy”, ale że Niemcy zapożyczyli oczywiście słowo „keller” z łaciny.

Kelner wrócił z koszykiem chleba i kilkoma porcelanowymi miseczkami z oliwą.

– Chleb i igrzyska – powiedziała Celeste.

– Otóż to właśnie – przytaknęła Ella. – Panem et circenses. A co jest w tej małej miseczce tam?

– Sól – odparł Erik.

– Tak, a jak się nazywa po łacinie?

Tego już Erik nie wiedział.

– Sal – wtrąciła pani Næss. – Cum grano salis, pamiętam, uczyłam się tego w szkole.

– I co to znaczy? – spytał Erik.

– Z ziarnkiem soli – odparła pani Næss.

– Euge – pochwaliła Ella. – Imponujące.

– Uwielbiam dobrą sól – oznajmiła Frøydis. – Sól Maldon, mmm.

– Sól była bardzo cenna w czasach, zanim wynaleziono konserwy

i lodówki. Norweskie „salær” pochodzi od... „Salær” oznacza po prostu zapłatę, honorarium – mówiła Ella, spoglądając na Erika, najwyraźniej zdezorientowanego. – I pochodzi od łacińskiego sal, dokładnie zaś od salarium – płaca, żołd przeznaczony na zakup soli.

Jak wynikało z karty, głównym daniem miała być norweska wołowina przygotowana na sposób włoski. Norweskie słowo „fe”, czyli „bydło”, mamy wspólne z łaciną, tłumaczyła Ella. Po łacinie mówi się też pecus czyli „trzoda”. I pewnie ekonomiści widzą związek między słowami pecus a pecunia, co po łacinie oznacza po prostu „pieniądze”. Były bowiem czasy, kiedy zwierząt domowych używano jako środka płatniczego. A jak się nazywa po angielsku grzywna lub opłata? No właśnie, „fee”.

Frøydis starannie wybiera swoje jedzenie. Kiedy je w restauracji, nie sięga widelcem do talerza bez zastanowienia, bierze kęs z jednego miejsca, zastanawia się, dobiera nieco z innej części talerza. Celeste też lubi jedzenie (czy w ogóle są ludzie kochający życie, którzy nie cenią wysoko jedzenia?), ale nie myśli wiele o tym, co wkłada do ust. Teraz zajadała z wielkim apetytem i w wielkim tempie. Wyraźnie sprawiało jej to przyjemność. Celeste wystarczało, że jedzenie jest smaczne i że zaspokaja głód.

Dzisiaj, choć czyniła to niechętnie, Celeste musiała wyjść wcześniej. Zapłaciła swoją część rachunku i wstała.

– Mam spotkanie – powiedziała przepraszająco.

– Z jakimś ekscytującym mężczyzną? – spytała Jenna.

Celeste pokręciła głową. Kiedy przyszli do restauracji, dostała bardzo miłego SMS-a od dentysty, który pisał, że nieoczekiwanie ma parę wolnych godzin. „Nie pasuje mi”, odpisała.

– Zastanawiam się, czy nie sprzedać mieszkania – wyjaśniła teraz. – No i właśnie czekam na wizytę człowieka, który ma dokonać wstępnej wyceny.

– A zatem przystojny agent nieruchomości – stwierdziła Frøydis.

– Prawda, prawda – zgodziła się Celeste. – Choć, szczerze mówiąc,

chyba zawsze był znacznie mniej zainteresowany mną niż ja nim.

Pochyliła się nad stołem i złożyła paniom krótkie wyjaśnienie, dlaczego doszło między nimi do zerwania. Słuchały uważnie. Frøydis westchnęła i pokręciła głową. Ella mruknęła coś o tym, że trochę rozumie agenta nieruchomości – to znaczy do pewnego stopnia, sprecyzowała.

– Przestań, Ella – rzekła Frøydis oburzona.

– Przecież powiedziałam „trochę” i „do pewnego stopnia” – broniła się Ella.

– Teraz muszę iść – rzekła Celeste. – Ale gdybyś chciała, to mogę cię z nim poznać, skoro macie takie same poglądy.

– Tego nie powiedziałam!

– Żartowałam. Muszę lecieć.

– Pozdrów go od nas – poleciła Frøydis.

Celeste odwróciła się lekko i pomachała im na pożegnanie.

– Proszę cię – krzyknęła za nią Jenna. – Bądź prawdziwą Wiedźmą, zrób z tym coś!

Wiele lat temu Celeste miała krótkotrwały romans z agentem nieruchomości, ale zerwała z nim natychmiast, jak tylko odkryła jego szczególny stosunek do kobiecego ciała. Potem go już nie widywała, ale odbyła z nim uprzejmą rozmowę, kiedy parę dni temu wpadli na siebie w sklepie. Znajdowali się w dziale warzywnym. On właśnie pakował do koszyka torbę ziemniaków, ona trzymała w ręce karczocha i zastanawiała się, czy nie mogłaby ugotować kilku takich na kolację. No nie, pomyśleć, że ty musisz sięgać po afrodyzjaki, powiedział jakiś głos za nią. Przez kilka strasznych sekund myślała, że to on, ale przecież Neron nigdy by nie powiedział czegoś takiego, Neron powiedziałby coś znacznie bardziej wyrafinowanego, więc odwróciła głowę i zobaczyła niewinnego agenta nieruchomości. Ulga sprawiła, że uśmiechnęła się serdeczniej, niżby to zrobiła w innej sytuacji. Odłożyła karczocha i postanowiła, że na kolację zje chrupki z serem, na nic bardziej pretensjonalnego sobie dzisiaj nie pozwoli. Stali przez chwilę, rozmawiając o tym i owym. O pogodzie

i wietrze. O mrozach. O dobrym winie, które jej polecał. O filmie, którzy oboje widzieli. Celeste powiedziała, że rozważa sprzedaż mieszkania i w końcu umówili się, że agent przyjdzie do niej któregoś dnia. Wyjaśnił, że miałby znakomitego kupca i że mógłby znaleźć dla niej odpowiednie mieszkanie, znacznie tańsze.

Brzmiało to interesująco. Celeste kiwała głową.

W domu, w którym teraz mieszka, czynsz nie jest wygórowany, ale biorąc pod uwagę, że ona opłaca sprzątanie, fundusz remontowy, ubezpieczenie i prąd nie za jeden, ale za dwa lokale, uznała, że najlepiej byłoby się przeprowadzić, znaleźć coś tańszego dla siebie i dla Sebbe. Może czułaby się lepiej, gdyby zamieszkała w domu, w którym on nigdy nie postawił nogi, w mieszkaniu wolnym od asocjacji z cesarzem Neronem.

No i teraz wyszła wcześniej z zajęć, by spotkać się z agentem. Zjawił się parę minut po niej. Wracał z biznesowego obiadu, przyjemnie pachniał winem i wodą po goleniu, był lekko podchmielony i w znakomitym humorze. Natychmiast zabrał się do oglądania mieszkania, zajrzał do wszystkich pokoi, wyjął laserową miarkę i zmierzył powierzchnię. W końcu wrócił do salonu, gdzie czekała Celeste.

No tak, rzekł. Za to mieszkanie mógłby uzyskać dobrą cenę. Stary kominek jest po prostu cudowny, układ stron świata więcej niż zadowalający. Celeste musiałaby tylko tu i ówdzie coś poprawić, zamalować plamę w przedpokoju, zmienić oberwane drzwi od szafy. Celeste przytakiwała, poczęstowała go rozpuszczalną kawą i resztką lodów. Rozmawiali o rynku nieruchomości w Oslo. O zaletach i niewygodach różnych form własności. O tym, że wartość mieszkania bardzo zwiększa winda i balkon. Że miejsca parkingowe są na wagę złota. Agent nie był człowiekiem fascynującym, którego stwierdzenia powodowałyby, że nadstawia się uszu i raz jeszcze chce się to przemyśleć. Ale miał przyjemny głos i na razie nie powiedział nic jawnie głupiego. Celeste pozwalała mu mówić. Była to w gruncie rzeczy miła wizyta, dobrze wiedzieć, że ktoś jeszcze jest w mieszkaniu, bo czuje się wtedy

bezpieczniejsza. Może mógłby zostać na noc? Przyjrzała mu się uważnie. Nie, ten facet w najmniejszym stopniu już jej nie pociąga. Była jednak przekonana, że on podejmie próby i wtedy ona mu odmówi, choć odmawianie nigdy jej nie cieszy. Na razie jednak gość nie starał się jej uwodzić.

– No a życie uczuciowe? – spytał nagle. – Co u ciebie w tych sprawach?

– Nieźle – uśmiechnęła się Celeste (Zaraz się zacznie, pomyślała). Ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, on poinformował ją, że teraz ma kochankę.

– Cieszę się w twoim imieniu – odparła.

– Jest bardzo młoda. Wprost nieprzyzwoicie młoda – rzekł, mrugając do niej porozumiewawczo.

– Ach tak – bąknęła Celeste.

Agent nieruchomości tymczasem zaczął się rozwodzić na temat, że mężczyźni są w lepszej sytuacji niż panie; dłużej zachowują atrakcyjność i mają większe możliwości wyboru kandydatek. Celeste lekko kiwała głową, ale nie odpowiadała. On dodał, pewnie dlatego, iż uważał, że podtrzymywanie konwersacji jest jego obowiązkiem, że mężczyźni generalnie są płcią szczęśliwszą. Roześmiał się z własnych słów. Jesteśmy uprzywilejowani, wykrzyknął. Wino, które jakiś czas temu wypił, rozwiązało mu język i chociaż się śmiał, widać było, że to jego prawdziwe poglądy. Poglądy, które dzieli z, ogólnie biorąc, stoma procentami reprezentantów swojej płci; sądził, że po świecie prawdopodobnie chodzi wiele kobiet, które chętnie by się z nimi zamieniły.

Celeste zaczerpnęła powietrza, by powiedzieć coś o sferach, w których, jej zdaniem, kobiety mają się lepiej niż mężczyźni, ale agent nieruchomości rozwijał temat dalej. Taka menstruacja, na przykład, mówił żartobliwie, ale w jego głosie słychać było obrzydzenie, dokładnie tak, jak robił to w czasach, kiedy spotykał się z Celeste. To jest takie wstrętne, że powinno być zabronione, kpił. Ale ty teraz to już chyba jesteś na to za stara, roześmiał się. To chyba jedyna korzyść dla was, starszych

pań, dodał, unosząc ręce w obronnym geście. Nie, nie bierz tego poważnie, żartowałem, tłumaczył, ponieważ Celeste milczała. Pamiętała jednak aż nazbyt dobrze, że dawniej nie potrafił ukryć, iż uważa kobiety za istoty odpychające. Nigdy nie chciał z nią sypiać, kiedy miała miesiączkę, i zawsze, kiedy przychodził, pytał, czy jest „dostępna”. Ona odpowiadała, że jest dostępna, kiedy ma na to ochotę, ale dla niego nie była to właściwa odpowiedź. To, co naprawdę czuje do kobiecego ciała, okazało się pewnego wieczora, kiedy wyszli z łóżka. Wygłupiali się, krążyli półnaczy po mieszkaniu, tańczyli, robili sobie drinki, rozmawiali. W końcu znowu zaczęli się kochać, a ona zażartowała, że jego jądra pokryte są krótkim, gęstym futerkiem. Niczym dwa dojrzałe owoce kiwi, stwierdziła, biorąc jedno w rękę. No to ugryź kawałek, zaproponował. W ten sposób, najpierw żartem, zaczęli dyskutować o podobieństwach i różnicach organów płciowych kobiet i mężczyzn. Jego żartobliwy nastrój ulotnił się bardzo szybko i stało się jasne, że faktycznie – mimo że wyraźnie go pociągają – to uważa kobiece organy za mało urodziwe, a nawet, co tu dużo gadać – za obrzydliwe. Są dziwnie zbudowane, a już o tym, że wydstaje się stamtąd dziecko, on nie jest w ogóle w stanie myśleć. Celeste była w tym momencie zbyt zdumiona, by kazać mu przestać. Czy zresztą ona sama też nie uważa, że bardzo nieapetyczne jest wszystko, czemu one służą – pytał. A do tego woń! Przecież musi przyznać, że często od kobiety czuć rybą albo zgniłym pierzem. Celeste nie znajdowała na to odpowiedzi. To już piersi są dużo lepsze, zwierzał się, a twoje to w ogóle są perfekcyjne (w tamtym okresie swojego życia Celeste naprawdę miała perfekcyjne piersi). Chociaż kiedy on zaczyna myśleć, że te miękkie półkule, które lubi pieścić, są wypełnione gruczołami mlecznymi i kanałami, przez które przepływa pokarm dla dziecka, znowu dostaje mdłości, rozprawiał. Twoje brodawki są naprawdę po to, by karmić dzieci, a brzmiało to tak, jakby właśnie dotarła do niego jakaś niesłychana biologiczna pomyłka. Zerknął pośpiesznie na piersi Celeste. Dziecko będzie je ssać i... – przerwał sam sobie. Rozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Celeste skinęła głową. To

było ich ostatnie spotkanie. Kiedy zatelefonował kilka dni później, nie okazała już zainteresowania. Była zbyt młoda, zbyt nieśmiała, by powiedzieć, dlaczego zrywa. Szczerze mówiąc, zawsze potem tego żałowała. Nie żeby dużo o agencji nieruchomości rozmyślała, ale kiedy teraz siedział przed nią i opowiadał o swojej młodej kochance, znowu zaczęła żałować, że mu wtedy nie wygarnęła. Ale nigdy nie jest za późno.

– Oczywiście żartujesz – powiedziała spokojnie. – Chciałbyś się czegoś napić, zanim pójdziesz?

– Dziękuję, chętnie – odparł zadowolony z siebie agent. – Może wytrawne martini? Albo po prostu wódka z limonką. Wymyśl coś, polegam na twojej inwencji.

Celeste uśmiechnęła się i wyszła do kuchni.

– Zaraz wracam – zaszczebiotła.

W kuchni włożyła do szklanki kilka kawałków lodu, zalała je odrobiną wódki, wycisnęła pół cytryny, otworzyła puszkę soku pomidorowego i nalała prawie do pełna. Kilka kropel tabasco, szczypta pieprzu. Selera naciowego nie miała. Ani sosu worcester. Miała natomiast coś innego. Czy powinna? Nie, to zbyt wolno działa, ale z drugiej strony byłoby wspaniale utrzyć mu nosa. Bo przecież wcale nie jest za stara. Mogłaby tego dowieść. To prawdziwy zbieg okoliczność. A może wcale nie zbieg, bo kobiety miesiączkują przez czwartą część czasu, miesiąc w miesiąc, rok po roku. Aż pewnego dnia wszystko się kończy, choć Celeste jeszcze do tego nie dotarła. Mogłaby pójść na chwilę do toalety? Wyjąć tampon, wycisnąć go nad szklanką i wyrzucić dowód. A może raczej powinna podać mu drinka z OB niczym ekspresową herbatę ze sznureczkiem zwisającym na zewnątrz. To by było odpowiednie, tylko że zorientowałyby się za wcześnie. I czyż dyskretne działanie nie jest bardziej wyrafinowane?

Jenna upierała się, żeby wszystkie zainstalowały na swoich komputerach komunikator MNS. Po wyjściu agenta nieruchomości Celeste włączyła laptopa i otworzyła program. Ella i Jenna były zalogowane.

Do: J wiedzma_J@hotmail.com; E wiedzma_E@hotmail.com

C mówi: (00:12:34) Dostałam świetną tymczasową wycenę. Poczęstowałam go bloody Celeste.

E mówi: (00:12:38) Co masz na myśli?

J mówi (00:13:02) Nie zrobiłaś tego!

E mówi (00:13:54) Co macie na myśli?

J mówi (00:14:01) Powinnaś uruchomić fantazję, Ella. Co Celeste mówiła, do jakiej części kobiety on ma problematyczny stosunek?

E mówi: (00:15:09) Teraz się wygłupiasz!!!

E mówi: (00:15:55) Fe! Fe!

E mówi: (00:16:16) To jest bardzo, ale to bardzo obrzydliwe.

C mówi: (00:16:59) To całkiem naturalne

J mówi: (00:17:10) Zrobiłaś to?

E mówi: (00:17:25) Powiedz, że się wygłupiasz!!!

J mówi: (00:18:08) Jeśli to zrobiłaś, powinnaś mu chyba powiedzieć? Zemsta nie jest zemstą, jeśli ofiara o niej się nie dowie.

C mówi: (00:18:14) Dobranoc, dziewczyny!

C mówi: (00:18:56) Agent podziękował za drinka i powiedział, że mu smakowało. Ale niestety zwymiotował, kiedy podałam mu recepturę. Może znalazło się tam coś, na co jest uczulony? Mężczyźni są tacy wrażliwi i nie rozumieją, kiedy kłamiemy.

LECTIO VII – VICTORIA CONCORDIA CRESCIT

czyli *Wykład siódmy:* *Wspólnota daje zwycięstwo*

Ella siedziała w swoim gabinecie i śniła na jawie, kiedy zadzwonił telefon. Dopiero co skończyła podwójny wykład, dwa razy po czterdzieści pięć minut, zawsze po takim wysiłku przez co najmniej pół godziny jest kompletnie wyczerpana. Teraz tkwiła przy biurku, wprawdzie nad otwartą pocztą elektroniczną, ale wielu listów nie przeczytała, na żaden jeszcze nie odpowiedziała. Oczy miała półprzymknięte, plecy zgarbione w sposób, którego jej matka w żadnym razie by nie zaakceptowała. Elviro Louise, wyprostuj się!

Maja, co ona robi w tej chwili? Może jest na zajęciach, może ona też właśnie skończyła podwójny wykład. Możliwe, że siedzi w kantynie z grupą kolegów, z filiżanką cappuccino w ręce, może też teraz myśli o matce.

I właśnie wtedy odezwał się telefon. Ella z poczuciem winy sięgnęła po słuchawkę (Nieróbstwo jest przyczyną wszelkiego zła, nie zapominaj o tym, Elviro Louise!). Była kompletnie odrętwiała, kiedy odkładała słuchawkę. Serce dudniło jej w piersi, krew pulsowała w koniuszkach palców, a zarazem te palce były takie sztywne, że nie chciały jej słuchać. Zaczęła się trząść, czuła drżenie w stopach, które rozchodziło się w górę, przenosiło na łydki i uda. Jej pierwszą myślą było, że powinna skontaktować się z Mają, ale szybko z tego zrezygnowała. To przecież absurd obciążać córkę czymś takim. Peter, mogłaby zadzwonić do Petera. Przypomniała sobie jednak, jak bardzo on jest zajęty z pacjentami przed lunchem. Irytuje się zawsze, kiedy żona dzwoni do niego w ciągu dnia.

Z drugiej jednak strony sytuacja jest kryzysowa. Ella nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak bardzo zdeptana, taka bezsilna. Edmundowi Benewitzowi–Nielsenowi dopisało szczęście. Siedzi pewnie teraz i się cieszy. Zaciera ręce, strzela triumfująco palcami. Opanuj się. Oddychaj spokojnie. Przyłożyła trzy palce lewej ręki do lewej skroni, poczuła, jak największa żyła pulsuje, najpierw w histerycznym tempie, a potem coraz wolniej. O, tak. Ella wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer Petera, czekała, aż rozległo się znajome: „Tu poczta głosowa Petera Ditlefa Hoffa. Niestety, nie mogę odebrać...”. Zadzwoiła jeszcze raz, także nie odebrał. Nie zostawiła żadnej wiadomości. Może powinna zadzwonić do Frøydis? Wybrała numer, zanim zdążyła się rozmyślić. Frøydis odebrała natychmiast.

– Cześć, Ella – powiedziała, jakby to była największa oczywistość, choć Ella nigdy przedtem do niej nie telefonowała.

Teraz dała sobie spokój z grzecznościowymi frazesami:

– Zostałam czasowo zawieszona w obowiązkach kierownika projektu.

– A co się stało? – spytała Frøydis rzeczowo.

– Nie wiem nic więcej prócz tego, co powiedział dziekan, kiedy przed chwilą z nim rozmawiałam. Podobno jest wiele niezadowolenia i uwag co do moich kompetencji kierowniczych. Przychodziły skargi, dowiedziałam się.

– I ty zakładasz, że to jest...

– Tak, to nie może być nikt inny. To nie do pomyślenia. Tylko Edmund Benewitz–Nielsen mógł rozmawiać o mnie z dziekanem.

– Czy oni się znają? – spytała Frøydis.

– Oczywiście – odparła Ella z goryczą. – Bardzo dobrze się znają. Studiowali razem, razem grają w tenisa. Dziekan zrobił go szefem na czas mojego zawieszenia.

– W takim razie zwołuję zebranie dzisiaj wieczorem przed kursem. Może być o wpół do szóstej? Sprawdzę, czy mogłybyśmy się spotkać u Jenny.

– Dobrze – odparła Ella. – Dobrze. U Jenny będzie znakomicie.

– Anders zaprosił jakiś swoich kolegów, więc u mnie zapowiada się tłok – mówiła dalej Frøydis. – Ale chętnie go wam pokażę kiedy indziej.

– Tak – rzekła Ella, choć nie była w stanie okazać zachwyty wobec perspektywy poznania w przyszłości Andersa.

Ella zadzwoniła do pomalowanych na kobaltowo niebieski kolor drzwi, nad dzwonkiem wisiała duża ceramiczna tabliczka, na której namalowano trzy miłe panie (dwie wysokie blondynki i jedną mniejszą, o ciemnych włosach), poniżej ozdobnym pismem napisano: Johanna, Jenna i Julia. Muszę pamiętać, żeby zapytać, co z matką, przypomniała sobie Ella. Usłyszała kroki na schodach w domu i po chwili Jenna wysunęła głowę, chwyciła gościa za rękę i pociągnęła za sobą w głąb mieszkania.

– Moja droga – powitała ją i uściskała.

Ella nie przepadała za uściskami, cofnęła się więc niemal automatycznie, ale zaraz zmieniła zdanie i pozwoliła sobie na przyjemność, jakiej doznała, gdy rozgrzany policzek Jenny dotknął jej twarzy. Tamta szła przed nią po schodach z sosnowych desek. Ella błyskawicznie usunęła zdradliwą kropelkę z kącika oka. I przez cały czas przygryzała wewnętrzną stronę policzków. To pomogło.

Na narożnej sofie siedziały Frøydis i Celeste, każda z wielką filiżanką w kropki w dłoniach.

– No to jesteśmy w komplecie – powiedziała Jenna, popychając Elle delikatnie przed sobą w stronę kanapy. – Usiądź tutaj, a ja przyniosę ci herbaty.

Ella przełykała ślinę i kiwała głową.

– Coś nowego w sprawie? – spytała Frøydis.

Ella w milczeniu przecząco pokręciła głową.

– Zdecydowałyśmy więc, że Wiedźmy powinny podjąć akcję przeciwko Edmundowi Benewitzowi–Nielsenowi.

Ella podniosła wzrok, otworzyła usta. Frøydis powstrzymała ją ostrzegawczym ruchem ręki.

– To moja propozycja. Czy są jakieś inne?

– Czy wiemy na pewno, że to on stoi za... degradacją Elli? – spytała Jenna.

– Tak – odparła Ella. – Sama zadzwoniłam do dziekana i zażądałam, by powiedział mi, kto się skarżył.

– Dzielna dziewczynka – pochwaliła Frøydis. – Inne komentarze lub uwagi? Nie ma? Żadnych? W takim razie postanowione, że Wiedźmy podejmą akcję przeciwko Edmundowi Benewitzowi–Nielsenowi, wiek: czterdzieści sześć. Płeć: męczyzna. Zawód: profesor.

– I dupek – uzupełniła Celeste.

– A jak sprawy twojej mamy? – Ella zwróciła się do Jenny.

– Miło, że pytasz. Rozmawialiśmy o tym tuż przed twoim przyjściem – odparła Jenna. – Mamy obiecane miejsce w Solheim od nowego roku.

– Wspaniale!

– Żeby ustalić, jaką dać mu nauczkę, musimy wiedzieć możliwie jak najwięcej – podjęła temat Frøydis.

Ella znowu przytaknęła.

– Jakiego rodzaju jest to człowiek? Jakie ma słabe punkty?

– Nie wiem – rzekła Ella.

– Czy ma żonę, którą kocha, dzieci, które ubóstwia? – spytała Celeste.

– Nie ma żony ani dzieci.

– Narzeczony? Kochanki?

– Nie sędzę. Ale nie wiem. Trudno mi jednak wyobrazić sobie, że ktoś mógłby spędzać czas z tym nadętym nudziarzem.

– Od dawna go znasz? – spytała Celeste.

– Owszem, w młodości byliśmy parą. Tak się przynajmniej zachowywaliśmy.

– Otóż to właśnie – westchnęła Frøydis. – A potem ty go nie chciałaś.

– Coś w tym rodzaju.

– No ale chyba znasz jakieś jego słabości?

Ella zastanawiała się.

– Kiedy sobie wypije, zaczyna się jąkać.

– Hmm. Coś więcej?

– Pod jakim znakiem zodiaku się urodził? – spytała Jenna.

– Pojęcia nie mam. Ella uśmiechnęła się blado.

– No dobrze – westchnęła Frøydis. – A co z jego pracą? Czy na tym polu mogłybyśmy go jakoś przyłapać?

– Właściwie nie sędzę, by praca miała dla niego jakieś wielkie znaczenie – odparła Ella po zastanowieniu.

– Może hobby? Zamiłowanie do karłowatych pudli albo syberyjskich świnek morskich? – spytała Celeste.

Nie, Ella przecząco kiwała głową, żadnych ulubionych zwierząt, o ile wiedziała.

– Bujne włosy? Lubi ubrania?

– Włosów niewiele, byłabym bardzo zaskoczona, gdyby się okazało, że jest szczególnie zajęty garderobą. To nie ten typ.

– Drogi samochód?

– O tak! – wykrzyknęła Ella i rozpromieniła się niczym uczennica, która nareszcie udzieliła poprawnej odpowiedzi. – Ma sportowy samochód, czarny. Kabriolet.

– Aha.

– Założyłabym się, że samochód wiele dla niego znaczy – mówiła dalej Ella. – Słyszałam, jak o nim mówi.

– No dobrze – ucieszyła się Frøydis. – To już coś. A gdzie mieszka?

– Niedługo będziemy musiały ruszać – przypomniała Jenna. – Trzeba trochę czasu, by dojechać stąd do Szkoły Morskiej.

– No właśnie – potwierdziła Ella, spoglądając na swój zegarek. – Ja nie mogę się spóźnić.

– Mamy jeszcze parę minut – uspokajała Frøydis. – Gdzie mieszka ten czarujący troll?

Ella zmarszczyła czoło.

– On mieszka na stacji. Niedaleko uniwersytetu.

– Na stacji?

– Tak – potwierdziła Ella. – Bo ma gdzieś w Vestfold stary rodzinny dwór czy coś takiego. W każdym razie spędza tam co najmniej trzy dni w tygodniu. Więc uważa pewnie, że w Oslo nie potrzebuje niczego większego.

– Zatem tamto miejsce musi coś dla niego znaczyć?

– Tak, tak chyba jest. Słyszałam, że odwiedzają go ludzie z pism ogrodniczych i wnętrzarskich.

– Zanotowane. Jakies mroczne, tajemne obciążenia?

– Raczej nie sądzę – bąknęła Ella. – Nic prócz tego, że lubi mnie dręczyć.

– Nie jest weekendowym satanistą ani podpalaczem kościołów?

Ella pokręciła głową.

– Może klientem burdeli?

– Nie mam pojęcia – odparła Ella, nagle zirytowana. – Ale nie sądzę. To dosyć zwyczajny człowiek – dodała nieco spokojniej.

– Co właśnie nie jest zwyczajne – mruknęła Celeste.

– To zwyczajny, pozbawiony humoru, arogancki profesor. Mam wrażenie, że nie za bardzo lubi ludzi, a mnie najmniej. Teraz jednak musimy ruszać.

– Tak jest, jedziemy. Jenna, zadzwonisz po taksówkę? – spytała Frøydis. – Coś wymyślimy. Każda musi się trochę zastanowić. Może coś z tym samochodem byłoby nie od rzeczy, jak sądzicie?

*

– Bonum vesperum! (Dobry wieczór)

Ella stała w drzwiach i witała Erika, Bendika oraz panią Næss.

– Salve, domina (Witaj, pani) – odparł Erik, lekko się rumieniąc. – Czytałem książkę o miastach w Cesarstwie Rzymskim – dodał, kiedy już wszyscy siedzieli.

Ella skinęła zachęcająco.

– Opowiedz.

– To niewiarygodne! Czego oni tam nie mieli – zaczął Erik.

Ella uśmiechnęła się.

– Mieli centralne ogrzewanie, wodociągi – mówił dalej pewniejszym głosem. – W miastach istniały publiczne pisuary. Wprowadzili też opiekę nad dziećmi. Możecie wierzyć albo nie, ale były kioski, w których sprzedawano posiłki.

– Fast food – wtrąciła Celeste.

– Tak, właśnie – potwierdził Erik. – I mieli publiczne łaźnie.

– Spa – zauważyła Frøydis.

– Tak! – rzekł Erik zachwycony, po czym umilkł. Było oczywiste, że nic więcej nie powie.

– Dziękuję, Erik – uśmiechnęła się Ella. – To ładnie z twojej strony.

Zbliżała się przerwa. Ella długo mówiła o Kleopatrze.

– Podobno nie była specjalnie ładna, choć dzisiaj wszyscy wyobrażamy ją sobie jako niemal nieziemską piękność.

– Mamy chyba przed oczyma młodą Elizabeth Taylor – stwierdziła pani Næss.

– Ale kiedy Kleopatra jako dwudziestojednoletnia dziewczyna została przeszmugłowana do pałacu w Aleksandrii – kontynuowała Ella – udało się jej mimo wszystko uwieść Cezara.

– Pewnie miała inne zalety niż uroda – powiedziała Frøydis.

– Tak, właśnie takie miała – przyznała Ella. – Cezar został zamordowany, a królestwo podzielone między Oktawiana i Marka Antoniusza. Kleopatra, nie tracąc czasu, natychmiast uwiodła Antoniusza. No i, jak wiecie, skończyło się samobójstwem ich obojga. A wiesz, jakiego sposobu użyła Kleopatra, by odebrać sobie życie, Erik?

– Oczywiście – ucieszył się chłopak. – Dała się ukąsić kobrze.

– Zgadza się – potwierdziła Ella. – Chociaż może to mit. Tego nie wiemy. Przeżycia Kleopatry zostały przedstawione w najpiękniejszej antycznej historii miłosnej, czyli w Eneidzie Wergiliusza, gdzie poeta przedstawił Kleopatę w postaci Dydony. A w ogóle to największym

rzymskim poetą i ekspertem od miłości jest Owidiusz. Napisał między innymi *Ars amandi*, „Sztukę kochania”, która jest praktycznym przewodnikiem w miłości. Uważa on między innymi teatr i cyrk za znakomite miejsca, w których można spotkać swojego przyszłego kochanka lub kochankę.

– Aha, więc cyrk jest dobrym miejscem kontaktowym – rzekł Bendik, udając, że z zapalem notuje.

– Owidiusz daje też mnóstwo rad praktycznych, na przykład mówi, że mężczyźni powinni starannie czyścić paznokcie.

– Bystry facet, ten Owidiusz – roześmiała się Frøydis.

– Mam nadzieję, że mówi też coś na temat włosów w nosie – dodała Celeste.

– Owidiusz powiada: *forma viros neglecta decet* – powiedziała Ella. – „Z pewną niedbałością w wyglądzie mężczyznom jest do twarzy”.

– Dobra, dobra – skomentowała Celeste.

– Widać już starożytni Rzymianie, to znaczy rzymscy mężczyźni, byli wyraźnie leniwi. Czy mówi o nich coś więcej? – spytała Jenna.

– Zdaje się, że w antyku nigdy nie było takich problemów – powiedziała pani Næss.

– W podręczniku Owidiusza mówi się też, że dziewczęta nie powinny się objadać – ciągnęła Ella. W momencie, kiedy to powiedziała, zerknęła na Frøydis i pożałowała. Ale wyraz twarzy tamtej pozostawał niezmienny. Ella uznała, że najlepiej będzie zachowywać się jakby nigdy nic. Zresztą dopóki trwają zajęcia, ona jest nauczycielką, więc nie ma sprawy.

– Ale według Owidiusza – kontynuowała – dziewczęta mogą pić. Twierdzi on, że *Bachus* i *Amor* świetnie ze sobą się zgadzają. Tak, kobiety mogą rozkoszować się alkoholem, byle nie za dużo. Bo to paskudztwo. A teraz mamy przerwę!

Pochyliły się ku sobie nawzajem, rozmawiały cicho, rozgorączkowane. Musimy działać szybko. Czy on codziennie bywa w Blindern?

Ella pokręciła głową. Wczoraj wyjechał do Tokio. Tokio? Na konferencję, wyjaśniła. Czy możecie wszystkie w sobotę? Przytakiwały po kolei.

– Halo, moje panie! Nie przeszkadzam?

W progu stała pani Næss. Żadna nie zauważyła, kiedy weszła. Czy stała tam dłużej?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła w końcu Frøydis, bo wszystkie przez parę sekund gapiły się na panią Næss, nie będąc w stanie nic powiedzieć.

– Nie, nie – włączyła się Ella. Otrząsnęła się i znowu była nauczycielką. – Przerwa wkrótce się skończy – dodała i w tej chwili ogarnęło ją silne poczucie, że pani Næss wszystko odkryła.

– Bo ja nad czymś się zastanawiam – rzekła tamta.

– Tak? – spytała Ella, znowu profesjonalna aż po koniuszki palców, choć w środku cała się trzęsła.

– Te inskrypcje, o których rozmawialiśmy poprzednim razem – zaczęła pani Næss.

– Tak, co z nimi? – rzekła Ella przyjaźnie.

– No bo ty chyba powiedziałaś, że część starogreckich inskrypcji była zapisywana według takiego wzoru, jak pracuje pług, prawda? Czyli że są ryte od lewej do prawej, a następnie z powrotem, od prawej do lewej, niczym bruzdy układające się na ziemi za wołem – tłumaczyła pani Næss.

– Bustrofedon – przyznała Ella.

– Otóż to – potwierdziła pani Næss. – To się nazywało bustrofedon. Jakie inskrypcje przede wszystkim ryto w ten sposób?

– Przekleństwa! – wykrzyknęła Jenna.

Ella, Frøydis i Celeste popatrzyły na nią zdumione.

– Tak właśnie było. Bruzdy od pługa, przekleństwa i stare napisy – mówiła pani Næss spokojnie.

Jenna uśmiechała się do niej, ale ona zdawała się tego nie widzieć. Pani Næss skinęła tylko, jakby sama do siebie, i wróciła na swoje miejsce, wzięła świeżo zaostrzony ołówek i była gotowa do następnej lekcji.

O dziewiątej, po zakończeniu kursu, nie było możliwości prowadzenia dalszej dyskusji nad sprawą profesora. Każda musiała wracać do swoich zajęć. Frøydis prosto do domu, do Andersa (żeby zjeść resztki i posprzątać po jego gościach). Ella musiała przygotować wykład (w tych obowiązkach mnie nie zawiesili). Jenna miała się spotkać z Julią i pójść z nią do restauracji (muszę wykorzystać okazję, kiedy moja nastoletnia córka ma akurat czas). Celeste obiecała Sebbe wieczorne odwiedziny (muszę tylko przygotować na jutro prezentację w power poincie).

Julia zaproponowała sushi i teraz siedziały na wysokich niczym grzędy stołkach, jedna obok drugiej, w barze. Przed nimi leżały duże kawałki ciemnego tuńczyka i jasnego łososia, stał pojemnik z ikrą łososia i drugi z małżami. Na delikatnej tacce znajdowały się niemal czarne wodorosty, awokado i ogórki oraz śnieżnobiały ryż. Piły herbatę. Julia nie mogła się powstrzymać, by nie skomentować, że Jenna jest w stanie pić herbatę dopiero co zalaną wrzątkiem. Fascynowało ją to, odkąd pamięta. Ona, Johanna i Jenna często siadywały z kubkami herbaty w rękach, nierzadko były to rozmaite zioła i liście, które babcia suszyła, i zanim one z Johanną miały odwagę przyłożyć kubek do ust, Jenna kończyła już pierwszą porcję i gotowa była zacząć następną. Ona ma w gardle watę odporną na gorąco, mawiała w takich razach Johanna, a Julia była już prawie dorosła, kiedy zrozumiała, że to żart. Że gardło matki jest takie samo jak u innych, również w środku.

Jenna przyglądała się córce. Wciąż nie mogła przestać się dziwić, że jej małe dzieciątko wyrosło takie duże, przestała jednak głośno o tym mówić – wiedziała, że siedemnastolatce nie spodoba się, iż matka wciąż jej powtarza, jaka jest wysoka, jaka duża, jaka dorosła. Jenna była dumna ze swojej córki, tą osobliwą dumą, którą jej zdaniem tylko matki odczuwają wobec swojego potomstwa. Czymś w rodzaju dumy producenta: patrzcie, co dostałam. Patrzcie, co stworzyłam. Patrzcie, co dojrzało w moim brzuchu, co urodziłam, wychowałam i komu własnymi słowami wskazywałam drogę. Jenna patrzyła na profil Julii, myślała, że

dziewczyna jest śliczna i wiedziała, że uważa tak nie tylko dlatego, bo jest matką nadopiekuńczą. Julia naprawdę pięknie wyrosła. Teraz bardzo szeroko otwierała usta, by włożyć do nich porcję sushi; przez chwilę przeżuwała, a jej oczy uśmiechały się do Jenny. Nawet w takich sytuacjach młodość jest piękna. Świetny łosoś, powiedziała z pełnymi ustami. Kiedy Jenna, nienawykła do jedzenia pałeczkami, upuściła kolejny kawałek do sojowego sosu, oznajmiła, że potrzebuje przerwy. Wyjęła telefon z torebki. Od dawna miała ochotę go włączyć. Julia uniosła brwi.

– Zdawało mi się, że telefonowanie jest zabronione podczas posiłków – rzekła zaczepnie.

– Można sobie pozwolić na wyjątek zawsze, kiedy jedzenie spadnie ci dwukrotnie – odparła Jenna. – Zapomniałam ci o tym powiedzieć?

– Teraz sobie zapamiętam – zapewniła Julia.

Jenna chciała wysłać tylko jednego SMS-a, bo przecież musiała podzielić się z innymi wspaniałym pomysłem: „Mam pewną ideę, przyszła mi do głowy, kiedy pani N. mówiła o bustrofedonie.” Telefon zapiszczał niemal natychmiast. Ella odpowiedziała: „Świetnie. Ja też mam ideę.” Meldunek Celeste dotarł po pół minuty: „Pewnie mi nie uwierzycie, ale ja też mam pomysł. Siedzę właśnie i na coś patrzę.” Sekundę później odezwała się Frøydis: „Świetnie, dziewczyny. Ja sprzątam. Niewiarygodne, jak czterech mężczyzn może nabałaganić.” Julia spoglądała na matkę i przewracała oczami. Demonstracyjnie bębniła palcami po stole.

– Resztę zabiorę do domu – rzekła Jenna pośpiesznie. – Jeszcze tylko napiszę jedno zdanie. To się wiąże z moją pracą. Ważne zlecenie.

– To dlatego wyglądasz na taką zadowoloną?

– Mhm – przytaknęła Jenna.

– Ty wyglądasz na zakochaną, mamo. A jesteś? To chodzi o mężczyznę?

– pytała Julia. Nie sprawiała wrażenia, że miałyby coś przeciwko temu.

– Masz rację – potwierdziła Jenna. – Chodzi o mężczyznę.

– Wiedziałam! – zawołała Julia triumfująco.

– Zapewniam cię jednak, że nie jestem w nim zakochana.

– Ale może będziesz? Ja bym nie protestowała przeciwko bogatemu ojczymowi z autem na chodzie. I może czterema lub pięcioma przystojnymi synami. Czym on się zajmuje?

– Jest profesorem.

– Hm, to dosyć nudne – skrzywiła się Julia.

– Właściwie, to on wcale taki nudny nie jest, tak mi się zdaje – rzekła Jenna. – Ale to relacja czysto biznesowa.

Po przejrzeniu prezentacji, którą Julia miała jutro przedstawić na lekcji norweskiego (kobiety u Ibsena), po włożeniu do pralki treningowego stroju córki i upewnieniu się, że matka leży w łóżku, a kuchenka jest wyłączona, po wysprzątaniu kuchni matki i zgaszeniu światła w salonie, Jenna opadła na kanapę. Nareszcie! Napisała długiego maila, w którym wyjaśniła swoją koncepcję, po czym wysłała na adres „Wiedźmy”. Następnie wyciszyła telefon, by nie przeszkadzać córce ćwiczącej w swoim pokoju jutrzejszą prezentację, oparła się i czekała. Telefon zaczął wibrować niemal natychmiast, pierwsza zgłosiła się Ella: „Znakomicie! Potrzebujemy odpowiedniego przedmiotu.” Celeste odpisała w kilka sekund później: „Mogę to załatwić. Mam swoje kontakty.” Potem wyświetliło się imię Frøydis: „Zapisałam propozycję. Co z twoim pomysłem, Celeste? I z twoim, Ella?”

Jenna ułożyła się pod kołdrą po godzinie i dokładnie szesnastu SMS-ach. Uzgodniły, że akcja ma być czymś w rodzaju trójczłonowej rakiety. Kąciki ust jej drgały. Będą grzebać, będą kleić. A ona, Jenna, wykorzysta wszystkie swoje umiejętności komputerowe. Edmundzie Benewitzu–Nielsenie, my jesteśmy prawdziwe Wiedźmy. Miej się na baczności!

*

Prowadziła Frøydis. Jest ona wytrawnym kierowcą, jeździ szybko, ale nie przekracza dozwolonej prędkości na tyle, by groziły jej wysokie kary. Niecierpliwi się, ale żadnego ryzyka nie podejmuje. Prowadzi płynnie. Tym razem obok niej z przodu siedziała Ella, wpatrywała się przed siebie,

prawą rękę trzymała na klamce, lewa natomiast spoczywała beczynn timer na podolku. Z tyłu siedziały Celeste i Jenna. One dwie znały się najmniej i chyba miały najmniej wspólnego. Nie odbyły ze sobą takiej rozmowy jak Jenna i Frøydis podczas pierwszego spotkania, kiedy po kursie wsiadły do jednego samochodu. Nie żywiły wzajemnego respektu dla swoich zdolności, jak Ella i Frøydis, ani podziwu dla urody i zadbania, jaki Celeste, Ella i Frøydis podświadomie dla siebie mają. To, co je łączyło, to niewyrażona w słowach zgoda, że Frøydis bywa przerażająco wojownicza w swoich reakcjach wobec mężczyzn, podczas gdy Ella jest powściągliwa. Wspólna jest też u obu miłość macierzyńska, choć od tej strony jeszcze się nie poznały. Coś w Celeste, być może wrażliwość na ciosy mimo wyraźnego powodzenia, skłaniało Jennę do tego, by wyciągnąć rękę i poklepać koleżankę po ramieniu, ale na to się nie zdobyła. Wiedziała, że nie zdoła znaleźć właściwych słów, że mógłby to być błąd i że Celeste popatrzyłaby tylko na nią tymi swoimi jasnymi, chłodnymi oczyma.

Nastrój w samochodzie zdecydowanie nie był taki swobodny, jak można by oczekiwać. Frøydis skoncentrowana za kierownicą, Ella nieruchoma i milcząca na przednim siedzeniu. Celeste i Jenna z tyłu, każda w swoim kącie, wciśnięta w swoje drzwi. Nie odzywały się. Frøydis włączyła muzykę i każda z kobiet cieszyła się cichą melodią, przekonana, że pozostałe trzy uważają, iż atmosfera nie jest przytłaczająca ani męcząca. Jenna sama sobie zadawała pytanie, czy kiedyś już słyszała ten kawałek, czy też go nie zna.

Za oknami przesuwiał się płaski krajobraz Vestfold, brunatne nagie pola z cienką warstwą śniegu w brzdach, białe domy mieszkalne, świeżo malowane na czerwono stodoły i obory, jakieś stawy i jeziora niczym czarne plamy w terenie, mroczne i lśniące, jakby czekały, aż zostaną skute lodem. Lasy z pozbawionymi liści drzewami, tu i ówdzie jakaś ciemnozielona sosna lub świerk oraz w równych odstępach tablice ostrzegające o niebezpieczeństwie pojawienia się łośia. W którymś miejscu zatknięto w gruncie cztery czy pięć płonących pochodni, bukiety kwiatów

leżały na ziemi. Jenna zdążyła zobaczyć turkusowego misia siedzącego na skraju drogi i już jechały dalej.

Frøydis włączyła kierunkowskaz, skręciła z głównej drogi w prawo, a po paru minutach wjechała na wąską dróżkę pokrytą tłuczniem, który chrzęścił pod kołami. Frøydis sprawdzała coś w GPS-ie, Ella wpatrywała się w mapę.

– To tutaj – stwierdziła po chwili. Głos brzmiał ochryple, odchrząknęła kilka razy i powtórzyła: – To tu.

Zabrzmiało w tych słowach jakieś niedowierzanie. Cztery kobiety wysiadły z samochodu. Przed nimi znajdował się dwór, stary wielki dwór, po prostu pańska posiadłość. Wokół białego domu (co najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych w obrysie, uznała Frøydis) rozciągał się park, a dalej znowu pola z płatami śniegu i ciemnymi bruzdami od pługa. W parku znajdowały się nieczynne fontanny, niektóre okryte drewnianą konstrukcją, która prawdopodobnie miała chronić posągi przed mrozem. Tu i ówdzie wielkie rabaty kwiatowe pokryte igliwem, bezlistne krzewy przyszczyżone w różne kształty. Park ciągnął się w dół, aż do jeziora, dzieliła go na dwoje szeroka aleja – ponad sto drzew w dwóch równych rzędach, czarne gałęzie na tle błękitnego nieba.

Park pogrążony był w ciszy, w tym mdłym popołudniowym świetle wyglądał na zamarznięty, ale i tak sprawiał wspaniałe wrażenie.

– Czy to może być tutaj? – spytała Celeste sceptycznie, wypychając językiem policzek od środka.

– To powinno być tutaj – potwierdziła Ella.

– Musimy chyba sprawdzić jeszcze raz, zanim... przystąpimy do pracy – stwierdziła Frøydis. – Przy skręcie w boczną drogę zauważyłam nieduży sklepik – dodała i ponownie wsiadła do samochodu.

Do sklepiku poszła Frøydis z Ellą, a Celeste i Jenna, jak dzieci, zostały na tylnym siedzeniu.

– Kupić wam coś? – spytała nawet Ella, zanim zdała sobie sprawę, że przez lata zadawała to samo pytanie Mai (Ello Blom, brakuje tylko

jeszcze, byś przypomniała Celeste, że powinna zrobić siusiu).

Ella i Frøydis wróciły z wiadomością, że owszem, to właśnie Edmund Benewitz–Nielsen mieszka w tej wielkiej posiadłości nad jeziorem. I poświęca jej mnóstwo czasu oraz pieniędzy, poinformowała je gadatliwa sprzedawczyni. Ziemię wydzierżawił – rolnictwo go nie interesuje. Odrestaurował budynki, ale to park jest jego dumą. Tak, potwierdziła Ella, słyszałam o tym. Posłuchajcie, wiosną przyjadą tu podobno ludzie ze znanego brytyjskiego magazynu ogrodniczego, żeby zrobić reportaż. Był dumny niczym paw, kiedy o tym mówił. Z pewnością jest teraz w domu, zapewniała sprzedawczyni. Zawsze spędza tu weekendy.

Tym razem jednak go nie było. Edmund Benewitz–Nielsen siedział bezpieczny po drugiej stronie globu, w Tokio, jako uczestnik wielkiej konferencji poświęconej neurolingwistyce. Jego samochód natomiast został w domu. Ella dobrze wiedziała, że Edmundowi nie przyszłoby do głowy jechać na lotnisko Gardermoen samochodem. Uniwersytet pokrywa koszty pociągu na lotnisko, ale niebotycznych opłat na parkingu lotniskowym już nie.

Zaparkowały kawałek od domu, u wylotu alei, częściowo ukryły samochód za ogromnym modrzewiem. Włożyły aksamitne peleryny i naciągnęły kaptury na głowy. Nastrój zmienił się prawie natychmiast. Ella spoglądała na koleżanki ozywiona, z zaróżowionymi policzkami i gorączkowo lśniącymi oczyma. Celeste przestępowała z nogi na nogę, niczym rasowy koń niecierpliwący się przed startem do gonitwy. Jenna wielokrotnie kiwała głową, uśmiechała się zachęcająco do Elli i Celeste. Teraz musimy zachować spokój, powiedziała Frøydis. Czy każda dokładnie wie, co ma robić? Wszystkie przytaknęły. Jenna i ja spróbujemy odszukać samochód. Ella i Celeste wezmą ze sobą to tam (Frøydis wskazała niewielki, szary kartonik) na dół (Tym razem pokazała w stronę jeziora). Trzecią fazę zrealizujemy wieczorem. Wszystkie przytakiwały zgodnie.

Jenna i Frøydis poszły aleją w stronę zabudowań, jedna niewysoka postać obok drugiej wysokiej, w długich do ziemi, czarnych jak noc

pelerynach. Jedyne, co zaburzało wszechogarniającą czerń, to lok jasnych włosów Jenny i nieduża papierowa torba, którą niosła Frøydis. Droga była wyżwirowana, z szerokim pasem brunatnego gresu pośrodku. Dzień chylił się ku końcowi i chociaż drzewa nie miały liści, pod nimi było już dość ciemno. Frøydis włożyła dzisiaj botki z delikatnej skóry, na wysokich obcasach. Obcasy nie należały do najcieńszych, ale i tak wyraźnie nie nadawały się na takie nierówne drogi. Mimo to nuciła cicho zadowolona, machała rękami, tak że biała papierowa torba to znikwała, to pojawiała się w polu widzenia Jenny. Zresztą Jenna też była w znakomitym humorze. Wraz z Frøydis miały zrealizować pierwszy etap przedsięwzięcia, którego celem jest doprowadzenie Edmunda Benewitza–Nielsena do upadku i – być może – do odrodzenia. Typowałabym, że to jest ten budynek tam, wskazała ręką Frøydis. Jenna przystanąła i mrużąc oczy patrzyła w stronę, gdzie w cieniu stodoły znajdował się nieduży, pomalowany na żółto domek o szerokich podwójnych drzwiach. Owszem, to mogło wyglądać na garaż.

Otworzyły niezamknięte na klucz drzwi, które skrzypnęły tak filmowo, że obie zaczęły nerwowo chichotać. Automatycznie zapaliło się światło. Jenna zacisnęła powieki i poczuła, że serce zaczęło się jej tłuc w piersi, choć rozsądek podpowiadał, że nikt nie ukrywa się w ciemnym i zimnym garażu. Słyszała, jak Frøydis cmoka zadowolona i kiedy pół sekundy później znowu otworzyła oczy, spojrzała w zachwyconą twarz koleżanki, za którą stało to: pośrodku garażu królowała duma Edmunda Benewitza–Nielsena. Czarny, świetnie utrzymany kabriolet. Maserati, sześciocylindrowy, powiedziała Frøydis głosem pełnym najwyższego uznania. No dobrze, to możemy zaczynać, dodała, a Jenna odniosła wrażenie, że tym razem w jej głosie zabrzmiał żal. Frøydis szybko się jednak opanowała. Nie ma czasu do stracenia! Otworzyła papierową torbę i zawartość podzieliła między siebie oraz Jennę. Początkowo trochę się wahały, zastanawiały się, gdzie co umieścić. Dawały sobie czas na układanie rzędów cyfr, kolumn i staranność (Jenna) oraz z pozoru

przypadkową estetykę (Frøydis), ale po paru minutach pracowały po prostu bez namysłu, za to tak skutecznie, jak to możliwe. Miały pocierane palce i klej pod paznokciami. Pokrycie całego samochodu nalepkami zabrało dużo więcej czasu, niż sądziły. W końcu jednak stał upstrzony i kolorowy niczym cyrkowy wóz, cała elegancja, ekskluzywny wygląd, cały męski szyk zniknęły. Czarnego lakieru prawie nie było widać, teraz samochód gęsto pokrywały kwiatki, kucyki i kotki, anioły i zwierzątka we wszystkich kolorach tęczy – na drzwiach, na masce, na klapie bagażnika, na błotnikach. Na jednym tylnym znalazła się wielka nalepka, której nie dało się przeoczyć, mniej więcej czterdzieści na czterdzieści centymetrów: „Honk if you’re horny” (Trąb, jeśli jesteś napalony), wypisano wyraźnymi czarnymi literami na białym tle.

– Skąd to się wzięło? – spytała Jenna.

– Anders dostał od jednego kolegi – odparła Frøydis. Szczerze mówiąc, wyglądała na nieco skrępowaną.

Jenna uśmiechnęła się. Dotychczas nie wierzyła, że Frøydis mogłaby się wstydzić czegoś, co wiąże się z jej ukochanym Andersem.

– Kropka nad i – stwierdziła.

Pokiwały do siebie nawzajem i wycofały się z garażu. Nie potrafiły oderwać oczu od swojego majstersztyku. Zamknęły za sobą drzwi, sprawdziły, czy światło wewnątrz też zgasło. Jenna, nawet kiedy już wyszły w półmrok, wciąż miała przed oczyma samochód w całej jego niezwyklej okazałości.

– Chyba mogłabym sobie wyobrazić, że taki kolorowy samochód jeździ po ulicach.

– Możliwe – rzekła Frøydis. – Ale ja nie. I jestem przekonana, że Edmund Benewitz–Nielsen też nie.

Ellę i Celeste znalazły przy największej z nieczynnych fontann.

– Uznałyśmy, że to będzie perfekcyjne miejsce – rzekła Ella spokojnie. Klęczała na mokrej ziemi, w ręce trzymała szpadel, taki niewinny mały szpadelek, jakich zazwyczaj się używa do spulchniania ziemi na grządkach

róż albo w ogrodzie warzywnym.

Celeste przyglądała jej się z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Na ziemi przed nią stał ów niewielki szary kartonik.

– Mhm – stwierdziła Frøydis z uznaniem. – Wygląda na to, że w tym miejscu można wyrządzić największe szkody.

– A jak wam poszło z samochodem? – spytała Celeste.

– Etap pierwszy został zrealizowany – zameldowała Frøydis.

– Samochód wygląda przepięknie – zachwycała się Jenna.

– On budzi grozę – dodała Frøydis. – Właściciel na jego widok przeżyje fizyczny ból.

Ella spojrzała na nie z dołu.

– Czy możemy zaczynać?

Wszystkie przytaknęły, a Celeste powiedziała:

– Tak, ruszamy.

Ella zaczęła kopać. Ziemia jeszcze nie zamarzła, tylko górna warstwa była lekko zmrożona, bardzo szybko więc wykopała wystarczająco dużą dziurę. Celeste podeszła do niej, ukucnęła i podała kartonik. Ella otworzyła ostrożnie i wydobyła coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak pospolity szary kamień. Ujęła to w obie dłonie, wstrzymując dech, pokazała pozostałym koleżankom, by i one mogły podziwiać. Jesienne słońce zniknęło właśnie za rzędami wzgórz na zachodzie i zabarwiało niebo na pomarańczowożółty kolor. Chmury rozciągnęły się w delikatne czerwone smugi, niebo było ołowianoszare, krajobraz też szary, brązowy i czarny, z białymi płatami śniegu tu i ówdzie. Jakby dla dopełnienia obrazu z drzew na krańcach parku zerwała się chmara wron i kracząc głośno, poleciała w stronę lasu. Cztery kobiety w swoich ciemnych pelerynach pasowały do otoczenia jak ulał. W dodatku jedna klęczała, wyciągając ręce ku pozostałym. Jenna poczuła się przeniesiona w przeszłość. Drgnęła na myśl, że jest członkinią jakiegoś przymierzenia czarownic, że dzieje się to w odległych czasach, w okresie pogańskim, że one wszystkie mają ponadnaturalne zdolności, a teraz złożą w ziemi dar

ofiarny, by móc kontynuować swoją działalność i zawsze skutecznie atakować mężczyzn.

Ella czuła wilgoć przedostającą się przez aksamit, spodnie i rajstopy, które miała pod spodem, poza tym niewygodnie było jej tak długo klęczeć (kobieta w twoim wieku, Ello Blom!). Pomyślała, podobnie jak Jenna, o przeszłości, ale w przeciwieństwie do tamtej w myślach Elli nie było nic romantycznego. Przed sześcioma tysiącami lat, w okresie neolitu, ktoś wyciosał tę siekierkę. Spojrzała w dół na kamień, który nadal trzymała w rękach. Pod wieloma względami był niepozorny. Szary, z nieco jaśniejszymi zaciosami, wydłużony i gładki niczym ptasie jajo. Ella uważała, że jest piękny. Pomyślała tak natychmiast, gdy tylko zobaczyła go w szklanej gablocie.

Wraz z Celeste stały na zakurzonej korytarzu Instytutu Archeologii, obok Celeste mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni. Nie ulegało wątpliwości, że ma on do Celeste wielką słabość, wodził za nią oczyma i Ella zauważyła, że dotyka rękawa jej płaszcza, czego tamta przez grubo materiał nie czuje. Wcześniej Celeste powiedziała jej, że raz się z nim przespała.

– To był raczej nieszczęśliwy wypadek – śmiała się. – Myślę, że było mi go żal, a poza tym piętnaście lat temu on był naprawdę przystojny. Wiesz, ci archeolodzy mają sprawne mięśnie, bo dużo kopią i dźwigają ciężary.

– Akademy z wymagającą wysiłku fizycznego pracą to rzeczywiście rzadkość – przytaknęła Ella.

– Poza jakąś statuetką z brązu z czasów wikingów, którą osobiście wykopał gdzieś w Hardanger, ja jestem największą miłością jego życia – wyznała Celeste. – Nie widziałam go od lat, ale spodziewam się, że nadal będzie gotów zrobić dla mnie wszystko.

– Może lepiej, żebym ja tam z tobą nie chodziła – próbowała przekonać ją Ella. – Jesteśmy przecież kolegami, zatrudnionymi na tym samym uniwersytecie, nie mam ochoty, by mnie rozpoznał i...

– On jest taki roztargniony i tak zajęty mną, że nie musisz się martwić

– odparła Celeste z wielką pewnością, a Ella zastanawiała się, jak to jest, kiedy ma się tyle wiary w swój osobisty wdzięk.

Okazało się jednak, że Celeste ma rację. Sangvik (z bardzo do niego pasującym imieniem Stein^[5]) ledwo spojrział na Ellę, którą Celeste przedstawiła jako swoją przyjaciółkę. Potem powiedziała, że interesują ją archeologiczne stanowiska w Vestfold. Sangvik rozpromienił się i pokazywał im instytutowe zbiory. Z entuzjazmem opowiadał o poszczególnych zabytkach, zatrzymywał się przy wyjątkowych znaleziskach, a Celeste uśmiechała się i mrugała do niego, robiła aluzje do tamtej gorącej nocy sprzed piętnastu lat, może czas już na jakiś... obiad? Nieszczęsny człowiek był kompletnie oszołomiony, a kiedy Ella dyskretnie wskazała na kamienną siekierkę i Celeste poprosiła go, by otworzył przeszkloną gablotę, bo chciałyby jej dotknąć, profesor nie był w stanie powiedzieć „nie”. Jest surowo zabronione otwieranie gablot bez obecności dwóch pracowników, wyjaśnił, ale skoro on jest dyrektorem instytutu, to chyba może to zrobić. Celeste wzruszona ujęła siekierkę, położyła ją sobie na dłoni, a drugą ręką czule głaskała, trzymając kciuk po jednej stronie, a pozostałe cztery po przeciwnej. Sangvik śledził jej ruchy jak zahipnotyzowany. Celeste uniosła kamienną siekierkę (typu górskiego, wyjaśnił Sangvik) do twarzy, wysunęła koniuszek języka, przymknęła oczy.

– Jaka ona gładziutka – wyszeptała.

– Tak, została oszlifowana i wypolerowana – tłumaczył Sangvik.

– A jaka twarda – zachwycała się Celeste.

– Tak, oczywiście, została przecież zrobiona z kamienia – bąknął Sangvik i głośno przełknął ślinę.

Celeste znowu zaczęła mówić o czekającym ich obiedzie, potem drink i być może... Sangvik przytakiwał energicznie. Celeste podała kamienną siekierkę Elli, która niepostrzeżenie wsunęła ją do swojej torby.

– W takim razie jesteśmy umówieni – rzekła Celeste, wspięła się na palce i na moment dotknęła policzkiem jego policzka.

– Tak – zaśpiewał Sangvik. – Jesteśmy umówieni.

– No to my już sobie pójdziemy – oznajmiła, znowu uśmiechając się do niego słodko.

On także odpowiedział jej uśmiechem. Kiedy były już przy końcu korytarza, zawołał:

– Kiedy?

A Celeste odpowiedziała:

– Zadzwoń do ciebie.

– Jak myślisz, kiedy on się zorientuje, że siekierka zniknęła? – spytała Ella na schodach.

– Dość szybko – odparła Celeste. – Ale to przecież nie ma najmniejszego znaczenia. Jakby wytłumaczył się z tego, że wyjął zabytek z gabloty i mi go dał? Byłoby to dla niego bardzo przykre. Nie, on po prostu cichutko zamknie gablotę i będzie milczał.

– Wybierasz się z nim na ten obiad?

Celeste przystanęła i popatrzyła na nią.

– Tak – rzekła wolno. – Myślę, że chyba pójdę.

Upewniły się, czy siekierka jest takiego typu, iż spowoduje wielkie wykopaliska w posiadłości Edmunda Benewitza–Nielsena. A teraz znalazły miejsce, w którym prace archeologiczne mogą wyrządzić największe szkody zadbanemu parkowi, w który zainwestowano mnóstwo pieniędzy. Ella ułożyła siekierkę na dnie dziury, przykryła ją do połowy ziemią. Potem otarła ręce, wyprostowała się, czując ostry ból w krzyżu, który przeszedł w lekkie ómienie, jak tylko się podniosła.

– Teraz zostało nam jeszcze kilka telefonów do lokalnej prasy i okręgowego konserwatora zabytków – oznajmiła.

– Ja znam bardzo zdolnego dziennikarza, specjalistę w tej dziedzinie – poinformowała Celeste.

– Droga pani Næss – zaczęła Frøydis, unosząc pobożnie oczy ku czarnoszaremu teraz niebu. – Dziękujemy ci za bajeczny pomysł.

– Na szczęście pani Næss nie ma tam w górze – zaprotestowała Jenna

rozbawiona i szturchnęła Frøydis łokciem.

– Masz rację – przyznała Frøydis i odpowiedziała Jennie szturchańcem. Obie zachichotały niczym uczennice. Obie były w promiennych humorach, zadowolone z tego, co zrobiły, czekały w napięciu, jak to się dalej rozwinie.

– Z drugiej strony jest to jednak trochę straszne – stwierdziła Jenna, kobieta o dobrym sercu, rozglądając się wokół. – Trudno sobie wyobrazić ten wspaniały park z koparkami.

– Ależ to będzie cudowny widok – zaproponowała Ella. Jej twarz pod kapturem wydawała się biała, tuż nad brwiami miała odrobinę zaschniętej ziemi. Prawdopodobnie kopiąc ocierała ręką czoło.

– Pojawi się tu raczej grupa wrażliwych archeologów z łyżkami – zachichotała Frøydis. – Ale mimo wszystko: świetna robota, dziewczyny! Hurra! Czyż Rzymianie nie stosowali konfiskaty mienia, Ella? Czy wrogom państwa nie odbierano domów i ziemi?

– Hurra dla wszystkich! – wrzasnęła Jenna przejęta.

– Owszem – potwierdziła Ella. – Po ogłoszeniu wyroku człowiek tracił prawo do obrony i majątku.

– Pozostaje więc trzecia faza – stwierdziła Celeste głośno i wyraźnie. – To tutaj, to nie jest żadna kara wobec przestępstw, jakich on się dopuścił.

– Ale stanowi dobry początek – podkreśliła Ella.

W drodze powrotnej do Oslo Ella i Celeste siedziały z tyłu. Usadowiły się tak blisko siebie, że ich uda dotykały się za każdym razem, kiedy Frøydis skręcała i samochód się przechylał.

Jenna odebrała zabłocone peleryny i troskliwie umieściła je w torbie.

– Może każda weźmie swoją i sama wypierze? – zaproponowała Frøydis.

– Nie, nie – upierała się Jenna. – Chętnie tego się podejmę.

Żadna nie zaprotestowała.

Jechały nie dłużej niż kwadrans, gdy Frøydis oświadczyła, że jest głodna. Musi coś zjeść. Zaraz.

– Zdaje mi się, że trochę dalej na północ jest przydrożna gospoda –

powiedziała Ella.

– Nie jestem w stanie jeść tego, co podają w przydrożnych gospodach – odparła Frøydis. – Ale oto i stacja benzynowa. Jak na zamówienie!

Gwałtownie przyhamowała, włączyła kierunkowskaz, skręciła.

– Jedzenie na stacji benzynowej wydaje ci się lepsze? – spytała Jenna.

– O tak – odparła Frøydis. – Jedzenie na stacji benzynowej nie udaje tego, czym nie jest. A kielbaski bywają naprawdę dobre. Kupić komuś jeszcze?

Wszystkie pokręciły przecząco głowami, siedziały w samochodzie i patrzyły, jak otyła, elegancka i skuteczna Frøydis kroczy w stronę szklanych drzwi.

Wewnątrz było jasno i ciepło. Za ladą stała kobieta mniej więcej w tym samym wieku co Frøydis. Jej brzuch i piersi sterczały pod pomarańczowym roboczym strojem, rękawy napinały się na piegowatych ramionach. Zerknęła na Frøydis i uśmiechnęła się z uznaniem, tak że podbródek jej się zatrzęsł. Frøydis odpowiedziała uśmiechem, żadna się nie odezwała, ale obie wyczuwały wspólnotę.

– Coś grillowanego czy parówki? – spytała Frøydis.

– Parówki są dzisiaj najlepsze – odparła tamta poufale. Jedna znawczyni jedzenia do drugiej.

– Dwa razy parówki w bułce – zdecydowała Frøydis. – I trochę smażonej cebuli. Wzięła też karton mrożonej herbaty i torebkę czekoladek. Zapłaciła i wyszła, niosąc bułki w lewej ręce.

– Miłego wieczoru! – zawołała kobieta za ladą.

– Nawzajem – odparła Frøydis.

Usiadła na swoim miejscu i odgryzła pierwszy kęs, skórka parówki ustąpiła pod zębami dokładnie tak jak trzeba, delikatny chrzęst i dotarła do soczystego, solonego mięsa. Plastry cebuli stawiały opór i tworzyły kontrast, musztarda (ketchupu nigdy nie używa) paliła leciutko w podniebienie (jeszcze lepsza byłaby oczywiście ostra musztarda Dijon). Mmm. Jedząc, przymykała oczy, częściowo z przyjemności, częściowo po

to, by drażnić koleżanki.

– Rany boskie, mamy tu siedzieć i czekać, aż zjesz dwie porcje?! – zawołała Celeste.

– I w dodatku w tym tempie – dodała Ella niczym echo.

– Tak, muszę to zjeść – odparła Frøydis, znowu odgryzła kęs i wydała z siebie jeszcze głośniejsze „mhm”.

– Rany boskie – jęknęła znowu Celeste.

– Macie to – Frøydis rzuciła do tyłu torbę z czekoladkami.

Ella chwyciła ją w powietrzu, otworzyła i poczęstowała Jennę i Celeste.

– A jak tam Napalony Karl? – spytała Frøydis. – Wciąż jest tak samo pokorny i zgodny?

Celeste przytaknęła.

– Po tym telewizyjnym skandalu stał się kimś w rodzaju celebryty – zauważyła Frøydis. – Widziałam go nawet w gazecie na stronie, gdzie pytają ludzi o pięć ulubionych książek.

– To też trochę mówi o człowieku. Fakt, że staje przed dziennikarzem i odpowiada na pytania – rzekła Jenna. – Dasz mi jeszcze jedną czekoladkę, Ella?

– Napalony Karl uprawia PR – roześmiała się Celeste. – Daj no tę torebkę, Ella!

– Ciekawa jestem jego literackich faworytów. Chyba nie czyta Germaine’a Greera – stwierdziła Ella, oddając torebkę Celeste.

– A kto to taki? – spytała Jenna.

– Zwróciłam tylko uwagę, że on wybrał pięciu pisarzy–mężczyzn.

– I jesteś tym zaskoczona? – spytała Ella.

– Przestańcie, dziewczyny! On przecież nie zmądrzał – stwierdziła Celeste pojednawczo. – Zrobił się tylko trochę sympatyczniejszy. Wszyscy pytani przez redaktora tej kolumny, z kilkoma chwalebnyymi wyjątkami, wybierają mężczyzn.

– Z czystej ciekawości: co wybrał Karl Hebborn?

– Dwa kryminały: Nesbø, Mankell. Więcej nie pamiętam – odparła

Frøydis. – A zresztą nie, pamiętam jeszcze jedno nazwisko. Nasz przyjaciel, Napalony Karl, wybrał książkę takiego znanego psychologa. „Instrumenty miłości”, czy jakoś tak.

– Cato Mathiassen – przypomniała jej natychmiast Ella. – Ja zawsze czytuję jego kolumnę.

Celeste głęboko wciągnęła powietrze. Ella na nią spojrzała. Twarz Celeste była sztywna i pozbawiona wyrazu, wszelka wesołość zniknęła bez śladu. Czy powinna spytać Celeste, na co tak zareagowała? Była oczywiście ciekawa, ale nie chciała wzbudzać większego zainteresowania tym psychologiem. Ella mianowicie pewnego razu, rozczarowana swoim małżeństwem, napisała list do kącika porad, który Cato Mathiassen prowadził w sobotnich wydaniach stołecznej gazety. Nigdy nie otrzymała odpowiedzi i kiedy teraz o tym pomyślała, zawstydziła się własnej głupoty.

Frøydis włączyła silnik.

– Ja też czytam czasem jego kolumnę – powiedziała Jenna z przedniego siedzenia. – Jest naprawdę dobra. Mówi o komunikacji i relacjach miłosnych.

– Koniec z parówkami – zaśpiewała Frøydis. – Jedziemy. Następna stacja: Blindern.

Był wczesny wieczór, kiedy dotarły do uniwersytetu, a ponieważ śniegu nie spadło jeszcze wiele, zrobiło się tak ciemno, jak tylko może być w Norwegii, kiedy niskie słońce całkiem zniknie, a ziemia pochłania światło ulicznych latarni. Budynek biblioteki uniwersyteckiej jest czarny i lśniący z zewnątrz, w środku natomiast palą się tysiące lamp. Jakby to było całe miasto na tle tej czerni. Ella kocha bibliotekę uniwersytecką. Zawsze daje sobie czas, by przystanąć i ogarnąć budynek zachwyconym wzrokiem. Biblioteka reprezentuje wszystko, co ona w życiu akademickim ceni najbardziej: wiedzę, porządek, spokój. Odwróciła się i tym razem też spojrzała pośpiesznie, już chciała skomentować widok, zwrócić na niego uwagę koleżanek, ale nie była w stanie. Wiedziała, że jest na najlepszej drodze, by zdradzić własne ideały, że zaczyna przekraczać granice.

Porządek i spokój, idiotko! Uważam, że obecnie co tydzień przekraczasz granice, Ello Blom! Nie chciała tego słuchać, odwróciła się do Celeste i stwierdziła, że tamta na nią patrzy, choć było oczywiste, że Celeste wcale nie uważa, iż Ella w jakikolwiek sposób przyłapała ją na gorącym uczynku. Celeste po prostu na nią patrzyła, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Położyła ją na dłoni Elli, ona zdążyła zauważyć, jaka piękna jest ręka Celeste (czy w tej kobiecie nie ma niczego, co nie byłoby perfekcyjne?). Celeste pogłaskała ją, potem pochyliła się do przodu. Ella poczuła jej ciepły oddech w uchu i przez moment wydawało się jej, że czuje też wilgotny dotyk języka lub ust Celeste, ale pewna nie była. Błyskawicznie przemknęło jej przez głowę, że to z kobietą powinna mieszkać, nie z Peterem, ale zaraz myśl zniknęła, równie szybko jak się pojawiła.

– On na to zasługuje – szepnęła jej Celeste do ucha. – Pamiętaj, że Edmund Benewitz–Nielsen mozolnie sobie na to zasłużył.

Wysokie budynki w uniwersyteckim kampusie przeważnie miały ciemne okna, ale tu i ówdzie paliło się światło i owe małe lampki wewnątrz świadczyły o obecności pracowitych mrówek przedkładających pracę uniwersytecką nad inne zajęcia sobotniego wieczoru. Plac przed budynkiem imienia Henrika Wergelanda był niemal pusty, a wewnątrz świeciło się tylko w podwójnym oknie na drugim piętrze. Siedzi tam dialektolog, wyjaśniła Ella. Opracowuje on mapę użycia zaimków trzeciej osoby liczby mnogiej we wszystkich gminach w kraju. Prawie nigdy nie wychodzi do domu, prawie zawsze sypia w gabinecie na kanapie, choć tego nie wolno robić.

Zbliżyły się do drzwi wejściowych. Ella przytknęła do zamka kartę i wbiła kod, drzwi zaszemrały życzliwie i otworzyły się.

– Wchodzimy tędy, pójdziemy na skróty, przez czytelnię – powiedziała.

To nie był żaden skrót, Ella jednak nie chciała spotkać któregoś z kolegów lub studentów. Fakt, że jest w gabinecie w sobotę wieczorem, to nic dziwnego i raczej nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale to, że chodzi po

uniwersytecie w towarzystwie trzech bardzo dorosłych pań, już trudno byłoby wytłumaczyć. Na szczęście peleryny ubrudziły się ziemią, bo pokazanie się w nich w Blindern uważała za absolutnie wykluczone. Oczywiście aż się roi od oryginalnie i byle jak ubranych pracowników tej instytucji, ale ich oryginalność jest czymś innym niż aksamitne i długie do ziemi peleryny ze spiczastymi kapturami.

– Po prostu zaloguj się jak zwykle – poleciła Jenna, kiedy znalazły się w gabinecie Elli, nikogo po drodze nie spotkawszy, a Frøydis dała wyraz swemu zaskoczeniu, że ktoś tak znakomity jak adiunkt nie ma większego gabinetu. Przecież tu ledwie się mieścimy, narzekała. Za to masz imponujący widok, dodała, by złagodzić krytyczne słowa.

Ella nie zamierzała wdawać się w rozważania na temat, jak państwo pojmuje potrzeby lokalowe pracowników uniwersyteckich. Skinęła głową i zgodziła się, że gabinet jest rzeczywiście mały, a widok fantastyczny. Miały przed sobą roziskrzone światłami Oslo.

– Czy naprawdę musisz to zrobić z mojego komputera? – spytała Ella po raz już chyba trzeci.

– Tak – odparła Jenna cierpliwie. – Chodzi o to, że komputer musi być stąd, z Blindern.

– No to już się zalogowałam – rzekła Ella, oddając swoje krzesło Jennie.

Frøydis usiadła na krześle dla gości. Na moment Ella przestraszyła się, czy delikatne biurowe krzesło na czterech kółkach wytrzyma, ale w następnym momencie skarciła sama siebie. Wyluzuj, Ello Blom. Naprawdę myślisz, że normalny biurowy fotel załamie się pod ciężarem kobiety? Naprawdę wierzysz, że żaden z twoich kolegów, niektórzy wysocy na dwa metry, nie waży więcej niż Frøydis?

Pośladki Frøydis ułożyły się na siedzeniu, jej stopy nie sięgały podłogi, machała więc nogami niczym dziecko, a uda poruszały się rytmicznie. Uśmiechnęła się do Elli. Oczy jej promieniały. Akurat w tej chwili nawet Ella widziała, że tamta jest niemal piękna, pełna godności niczym

królowa: Frøydis siedziała otulona niebieskim wełnianym materiałem sukienki, za nią miasto Oslo mieniło się światłami niczym narzuta utkana z tysięcy lśniących punktów, włosy bardziej niż kiedykolwiek przypominały hełm wojownika, usta jak u lalki wyginały się ku górze, policzki miała zaróżowione z przejęcia i o wiele ładniejsze niż jakikolwiek profesjonalny wizażysta by stworzył.

Żadna się nie odzywała. Palce Jenny poruszały się zrećźnie po klawiaturze.

– To jest o wiele lepsze, niż mogłybyśmy sobie wymarzyć – powiedziała nagle.

– Co takiego?

– O co chodzi? – zaniepokoiła się Ella.

– Zaczekajcie chwilę – bąknęła Jenna, nie podnosząc oczu. – Proponuję, byśmy zrobiły to trochę inaczej niż planowałyśmy – rzekła wreszcie po blisko kwadransie.

Jenna znalazła na uniwersyteckim serwerze plik autorstwa Edmunda Benewitza–Nielsena. Teraz przeniosła ten dokument na ekran.

– Dla ciebie, Ella, nie będzie to zbyt zabawna lektura, ale daje nam nowe możliwości.

Edmund Benewitz–Nielsen napisał tekst o Elli Blom. Zawarł w nim cały swój gniew i pogardę dla niej. Pisał o niej w trzeciej osobie, było widać, że starał się utrzymać tekst w rzeczowym tonie, ale tu i ówdzie dawał się ponieść. Nawet gdyby uwierzyć we wszystkie twierdzenia na temat Elli, trzeba by było zareagować na sformułowania. Dokument niewątpliwie był pisany w afekcie, tak, budził nawet podejrzenia, że autorem jest osoba zaburzona psychicznie.

– Oj – jęknęła Ella w pewnym momencie. Potem już przez dłuższy czas się nie odzywała.

– To kompletny absurd – stwierdziła Frøydis. – Ten facet zwariował.

– To jest... czytanie tego to mocne przeżycie – bąknęła Ella.

– Teraz lepiej rozumiem, jak musiało ci być trudno z tym człowiekiem

– wyznała Jenna, przesuając kursor na najcięższe oskarżenia. Głównie chodziło o to, jak bardzo Ella nie nadaje się na funkcję kierowniczą, jak bardzo pozbawiona jest jakichkolwiek zdolności, jak stale ze wszystkim się spóźnia, odmawia wykonywania swoich obowiązków w pracy nad projektem.

– Do czego on chciał to wykorzystać? – spytała Frøydis. – Kiedy to zostało napisane?

– Zaraz zobaczymy – odparła Jenna. – O, mam. Napisał to ponad cztery miesiące temu. Wiesz, właściwie nie sędzę, że chciał to do czegoś wykorzystać. Myślę, że są to notatki, które robił na własny użytek.

– Tak, rozpoznaję większość z tego – przytaknęła Ella. – Są tu rzeczy, które mi mówił, widzę te same zarzuty, jakie stawiał mi dziekan, kiedy do mnie zadzwonił, by powiedzieć, że zostałam zawieszona jako kierownik projektu.

– Popatrz tam – rzekła Celeste. – On pisze, że na wspólne spotkania ubierasz się wyzywająco. Ten facet naprawdę musiał zwariować.

– Lepiej przeczytaj ostatni rozdział – pokazywała Jenna. Zjechała na dół dokumentu. – Tutaj zwraca się wprost do ciebie, Ella: „Ello Blom, sporządziłem listę wszystkich błędów, jakie popełniłaś, będąc kierowniczką naszego projektu. Jeśli się natychmiast nie wycofasz, prześlę tę listę do Uniforum.”

– Co to jest Uniforum? – spytała Frøydis.

– Wewnętrzne pismo uniwersyteckie – odparła Ella. – Tak, tak, jak przyszło co do czego, to wcale nie musiał mi grozić, żebym się wycofała. Dziekan o to zadbał.

– A ja zadbam, żeby dziekan zastanowił się raz jeszcze – powiedziała Jenna. – Teraz zrobię sześć kopii tego listu, wymienię twoje nazwisko na inne, tak by w komputerze był nie tylko jeden dokument z twoim nazwiskiem, ale siedem bardzo podobnych na temat siedmiu różnych pracowników uniwersytetu...

– Sprytne – wtrąciła Celeste.

– ...i, rzecz jasna, każdy z nich będzie miał inną niż dzisiejsza datę. Wcześniejszą. Będzie wyglądać tak, jakby wszystkie zostały napisane w tym samym okresie co dokument dotyczący Elli.

– Sprytne – powtórzyła Celeste.

– Jeden list z oskarżeniami jednej osoby ludzie przyjmą tak, jakby Edmund Benewitz–Nielsen miał rację – powiedziała Jenna. – Mimo że używa absurdalnych słów, mimo że pogróżki zioną jadem.

– Ale siedem podobnych listów o siedmiu różnych osobach – wtrąciła się Frøydis. – Tak, człowiek, który to napisał, nie może mieć dobrze w głowie. To nie ulega wątpliwości.

– Będziesz teraz miała przyjemność wybrania tych sześciorga pozostałych, Ella. Jest tutaj z pewnością takich mnóstwo. Have a pick.

– Rzeczywiście, drani jest pod dostatkiem – westchnęła Ella.

– Zaczekaj momencik! – przerwała Frøydis, unosząc rękę. – Wybieraj starannie. Wybierz najgorszych mizoginów. Oprócz tych absurdalnych, które skopiujemy z Benewitza–Nielsena, znajdź inne rzeczy, które o nich wiesz – nie musi to koniecznie być związane z ich wrogością wobec kobiet. Najważniejsze, żeby to, o co zostaną oskarżeni, sprawiło, iż poczują się dotknięci, dzięki czemu ich gniew zwróci się przeciwko Benewitzowi–Nielsenowi.

Kiedy Ella znalazła sześciu dodatkowych kandydatów i sformułowała oskarżenia, usiadła na wąskiej kanapie pod półką z książkami, trzymając w rękach pracę magisterską, którą powinna przeczytać. Przeczytała jednak ten sam akapit z piętnaście razy, ale nie zrozumiała, o co w nim chodzi. Celeste siedziała na biurku i pisała do kogoś SMS-y. Telefon piszczał w równych odstępach czasu. Pewnie do kochanka, pomyślała Ella, nie bardzo wiedząc, czy jest zirytowana, czy zazdrosna. Frøydis stała przy oknie z dłońmi opartymi o parapet i wpatrywała się w miasto.

– OK – powiedziała Jenna po mniej więcej godzinie.

– OK co? – nie zrozumiała Celeste.

– Skończyłam – poinformowała Jenna.

– Czy ty... Czy ty to zrobiłaś? – spytała Ella.

Jenna przytaknęła.

– A teraz wracamy do domu – rzekła, wstała, włożyła kurtkę i przekroczywszy przez szczupłe nogi Elli, otworzyła drzwi na korytarz.

– Poczekaj! – zawołała Ella. – To już wszystko? Nie musimy zrobić nic więcej?

Jenna pokręciła głową.

– Mission completed. Jutro przekażę kierownictwu anonimową propozycję, dokładnie taką, jak uzgodniłyśmy – wyjaśniała wyraźnie zniecierpliwiona, stojąc na progu.

Ella wstała, kolana ją zawiodły, zatoczyła się, o mało nie straciła równowagi. Czy nie powinny ze sobą teraz porozmawiać? Urządzić coś w rodzaju briefingu? Czy to już wszystko? Stało się to tak nagle, tak nieoczekiwanie.

Celeste zeskoczyła z biurka:

– A nie powinnyśmy napić się po kieliszku wina czy coś takiego?

– Owszem, byłoby miło – odparła Ella z ulgą i uśmiechnęła się do niej. Krzyknęła półgłosem za Jenną, która była już daleko na korytarzu. Ale tamta nie usłyszała. Ella zaczęła, aż Celeste i Frøydis także wyjdą, po czym zatrzasnęła drzwi i pobiegła za Jenną.

– Dziękuję ci – powiedziała do jej pleców tuż przy windzie.

– No to co, wino? – spytała Celeste, kiedy już zjeżdżały na dół. – Wino mam w domu.

Frøydis pokręciła głową.

– Nie, nie dziś wieczorem – odparła Jenna, naciskając guzik na parter.
– Nie bardzo jestem w formie.

I teraz Ella zobaczyła, że twarz Jenny jest czerwona i lśni od potu. Jedna kropla spływała jej po policzku.

– Bawcie się dobrze, moje panie – uśmiechnęła się z trudem. Rozpięła kurtkę i zaczęła rozpinać guziki bluzki. Skóra na piersi też była czerwona jak w gorączce. – Próbowałam to jakoś zaczarować, ale nie pomogło.

– No właśnie, jest pewna niewygodna przy czarach: one rzadko pomagają – powiedziała Celeste cierpko.

– Co prawda, to prawda – zgodziła się Jenna, wysunęła dolną wargę i dmuchnęła w grzywkę.

*

W poniedziałek przed południem Edmund Benewitz–Nielsen wylądował na Gardermoen. Podczas lotu niewiele spał, bo rzecz jasna nie ma możliwości, by pracownik uniwersytecki podróżował w cywilizowany sposób; powiedział tej babie, Elli Blom, że nie wypada, by profesor medycyny (niewątpliwie najważniejszej z nauk) podróżował inaczej niż klasą biznes, ale ona tylko pokręciła głową. Przykro mi, powiedziała. Przykro mi tu, i przykro mi tam, myślał Benewitz–Nielsen ze złością. Nogi mu zeszywniały, krzyż zdrętwiał, czuł się okropnie. A wszystko to jej wina. Mógł jednak się pocieszać, że odmowa kupienia mu porządnych biletów lotniczych to absolutnie ostatnia rzecz, jaką zrobiła jako kierownik projektu. Na myśl o tym odczuwał radość, która rozchodziła się po całym ciele i kończyła lekkim, triumfalnym uśmiechem.

Kiedy kiwając się siedział w pociągu z lotniska, postanowił, że w ciągu najbliższych dwóch dni będzie pracował w domu w Vestfold. Akurat w tej chwili nie był w stanie znieść myśli o swoich mało utalentowanych studentach i czasami dość irytujących kolegach. Nie ma, o ile pamięta (a jego pamięć jest znakomita), żadnych wykładów aż do czwartku ani żadnych ważnych spotkań. Owszem, jest spotkanie właśnie z Ellą Blom, ale niech ona sobie siedzi i na niego czeka. Przecież nie jest już kierowniczką projektu. Wyśle jej maila z przeprosinami (że niestety nie czuje się całkiem dobrze, nie może przyjść na spotkanie), który dotrze do niej, kiedy zdąży już opuścić swój gabinet, żeby na to spotkanie pójść, nie będzie więc mogła oskarżać go, że jej nie zawiadomił (to przecież nie jego wina, że system mailowy od czasu do czasu działa zbyt wolno). Teraz zamierzał wstąpić na uniwersytet, by odebrać pocztę, a stamtąd uda się taksówką na dworzec centralny i pociągiem pojedzie prosto do domu

(wciąż o rodzinnym dworze myślał jako o domu i za każdym razem go to cieszyło). Ziewnął, stwierdził, że minęli już Lillestrøm, poczuł ból pod powiekami. Ale za parę krótkich godzin będzie leżał w domu na kanapie z widokiem na park, aleję i jezioro.

Kiedy nareszcie zajął tę wytęsknioną pozycję, wyciągnął się na kanapie we własnym domu we dworze w Vestfold, kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza, które potem wolno wypuszczał przez nos. Jedną z haftowanych poduszek, odziedziczonych po matce, złożył we dwoje, tak że głowa spoczywała na niej pod dość ostrym kątem. Nie wyglądało to może naturalnie, ale on lubił tak leżeć, bo mógł widzieć zarówno park, jak i jezioro. Dzisiaj było szare, z niewielkimi falami, na których czasami pojawiały się białe grzywy. Widział też ze swojego miejsca krzewy, które zaczął przystrzygać w różne kształty. Jego celem było stworzyć sieć szachowych figur. Nie marzyły mu się trzydzieści dwie (roześmiał się w pustym pokoju), wystarczą mu ze trzy lub cztery laufry, jako dodatek do innych figur.

Drewniana konstrukcja na szczycie fontanny nie jest piękna, ale wiedział, że znakomicie chroni Posejdoną z granitu, teraz starannie otulonego wełną mineralną. Już cieszył się na tę chwilę, kiedy będzie można zdjąć izolację i znowu włączyć wodę, być może nawet na początku maja. Kiedy mrużył jedno oko, aleja zniknęła za okiennym szprosem. Przymknięte oko, alei nie ma, otwarte oko – jest, zamknięte: nie ma, otwarte: jest. Zabawiał się w ten sposób przez chwilę, aż przed oczyma zaczęły mu tańczyć różowe plamki i zrozumiał, że zasypia. Spał niczym niewinne dziecko niemal trzy godziny. Po przebudzeniu uśmiechał się, bo wyobraził sobie, jak to było, kiedy Ella Blom dostała reprimendę od dziekana za to, że zaniedbuje obowiązki kierownika projektu. Może nawet mógłby skłonić rektora, żeby z nią się skontaktował. Żeby jej wyjaśnił, iż okazała się niezwykle leniwym kierownikiem. Może mogłaby zostać zwolniona? Może całe kolegium rektorskie otoczy ją kręgiem, a ona pośrodku, zwymyślana i upokorzona, mając w uszach głośny śmiech

zebranych. On zna przecież rektora dosyć dobrze, może byłoby to możliwe? Rozbudził się całkiem, wypoczęty, ożywiony. Usiadł, ciało miał jeszcze zdrętwiałe, ale był w promiennym humorze. Wrócił do domu! Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno, ale chciał urządzić sobie krótką przejażdżkę, wycieczkę swoim maserati do pobliskiego sklepu, żeby kupić coś na obiad. Coś prostego, pizzę lub fasolę z mięsem, nie mógł teraz myśleć o gotowaniu czegoś w domu. A potem, po zakupach, przejedzie się wzdłuż fiordu, siedząc bezpiecznie pod zaciągniętym dachem kabrioletu, będzie czuł konie mechaniczne pod maską. Mój księżę! Mój dumny czarny księżę!

Idąc w stronę garażu czuł to samo łaskotanie w żołądku, to samo oczekiwanie, co zawsze. Właśnie to nadaje życiu wartość. Ta posiadłość, samochód, mieszkanie na wsi. Dzisiaj oczekiwanie było szczególnie silne, tęsknota głębsza, bo przecież dawno temu po raz ostatni otwierał dubeltowe drzwi, zapalał światło.

Najpierw myślał, że to znowu są te różowe plamy, które pojawiły się, zanim zasnął, że to konsekwencja jet lag, zespołu nagłej zmiany strefy czasowej, zacisnął powieki, ale samochód mimo wszystko nie był taki jak zawsze, taki, jak powinien być, taki, jaki miał przed oczyma podczas tej niepotrzebnej konferencji w Tokio i w czasie, kiedy leżał w łóżku z tą chudą japońską prostytutką, a zwłaszcza gdy siedział w pociągu wiozącym go do domu. Na samochodzie, na jego maserati, znajdowały się jedna przy drugiej nalepki z małymi figurkami, niczym psychodeliczne rabaty z kwiatami, a wśród nich zwierzęta, ze skrzydłami i czarodziejskimi pałeczkami, niczym koszmar w pastelowych kolorach. Edmund Benewitz-Nielsen wolno szedł do kabrioletu, do swojego księcia, położył rękę na masce i poczuł niewielkie wzniesienia kleju pod nalepkami. Wtedy zrozumiał, że nie jest to zaburzenie wzroku. Usiadł na gołej cementowej podłodze i zaczął płakać. Dopiero po powrocie do domu przyszło mu do głowy, że ktoś musi za tym stać. Najpierw pomyślał, że samochód został zniszczony, jego widok sprawiał mu fizyczny ból. Potem zaczął się zastanawiać, jak

można go uratować, czy naklejki dadzą się usunąć wodą z mydłem, czy lakier nie został uszkodzony. Kiedy znowu usiadł na kanapie, tym razem ślepy na piękny widok z okna, a zresztą i tak nic nie było widać w ciemną jesienną noc, zdał sobie sprawę, że ktoś zakradł się do garażu, spędził tam wiele czasu i starannie przylepiał do jego samochodu jeden kwiatek po drugim. Ktoś zbezczeszczył jego czarnego księcia. Kto mógłby wymyślić coś takiego? Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego mózgu, kierowała ku się Elli Blom, ale bardzo szybko ją odepchnął. Ella Blom jest zbyt poprawna, by zrobić coś takiego. Poza tym jest nudna, pozbawiona fantazji. I zbyt tchórzliwa. Właśnie te jej cechy powodowały, że mógł nękać ją tak długo. No ale kto inny był w stanie to zrobić?

Edmund planował wycieczkę samochodową, spokojny wieczór, a teraz siedział pochylony nad stolikiem przy kanapie, z kartą papieru i piórem w ręce. Wszystko tu wyglądało harmonijnie, niemal idyllicznie – przystojny mężczyzna w średnim wieku, w kręgu samotnej lampy. Ale Edmundowi Benewitzowi–Nielsenowi nie było dobrze. Dokonywał przeglądu swojego życia. Rok po roku, epizod po epizodzie, człowiek po człowieku. Musi to wyjaśnić. Kto mu źle życzy? Wielokolorowe kwiatki mieniły się przed jego oczyma, zmieniały się w małe zwierzątka, pokazujące mu języki, strojące miny i mówiące „zygu-zygu-zyg”. Nie był w stanie na to patrzeć. Przecierał oczy, widział czerwone chmurki zamiast kwiatów, ale natychmiast one znowu wracały, zyg-zyg, tarł oczy jeszcze bardziej, aż zdawało mu się, że popękają, więc przestał. Kto? Na kartce przed nim pojawiały się coraz liczniejsze nazwiska. Głęboko wciągał powietrze, w końcu powlókł się do łóżka. Listę położył na stoliku, na wypadek gdyby przyszło mu na myśl jeszcze więcej ludzi, wobec których zgrzeszył w ciągu swoich pięćdziesięciu lat na ziemi.

Dziwne, ale zasnął dość szybko, tylko że o świcie obudził się zmęczony. Jego sny zdecydowanie nie były tak podnoszące na duchu jak te podczas popołudniowej drzemki poprzedniego dnia. W nocy osoby, wobec których miał nieczyste sumienie, mieszały się z bezczelnymi, podskakującymi

kwiatkami. Dodał do listy kilka nazwisk.

Musiał znowu zasnąć, bo obudził go telefon. Mówił jękający się młody człowiek z lokalnej gazety, yyym, to pierwsze, co wykrztusił, zanim się jakoś zebrał i przedstawił. Edmund Benewitz–Nielsen usiadł na posłaniu. Głowa mu ciążyła, a kiedy spojrzał na kartkę wciąż leżącą na nocnym stoliku razem z piórem, poczuł ciężar również w rejonie żołądka. Na moment zapomniał o samochodzie, o żalonym widoku sponiewieranego auta. Pośpiesznie powiedział, że dziękuje, ale już zaprenumerował lokalną gazetę. Młody człowiek jednak odparł, że nie dlatego telefonuje, wyraźnie urażony, że Edmund Benewitz–Nielsen bierze go za jakiegoś akwizytora.

– Mnie chodzi o reportaż – rzekł z pewnością siebie.

Edmund Benewitz–Nielsen ostrożnie postawił stopy na lodowatej podłodze. To jedna z niewygód wynikających z mieszkania w starym domu, choć budynek został przed dwoma laty starannie ocieplony, to nadal są przeciągi. Edmund planuje ocieplić ściany dodatkową warstwą wełny mineralnej, ale priorytetem jest jednak park. Podeszedł do okna, rozkoszując się znajomym, uspokajającym widokiem.

– Tak – powiedział zdecydowanie zyczliwiej. Był już portretowany w tutejszej gazecie, ale nie ma nic przeciwko powtórce. W końcu człowiek coś musi dawać lokalnej społeczności. A nie ma nic bardziej naturalnego niż reportaż na temat dworu, biblioteki i urządzenia parku, właściciel może pozować do zdjęcia w gumiakach, by pokazać, że nie boi się ziemi pod paznokciami.

– Jak pan z pewnością wie – mówił dalej dziennikarz – doniesiono o starożytnym znalezisku w pańskim ogrodzie.

– W parku – sprostował Benewitz–Nielsen automatycznie i wtedy dotarło do niego, co dziennikarz powiedział.

– Halo? Dziennikarz niecierpliwił się po swojej stronie przewodu, że Benewitz–Nielsen nie odpowiada.

– Nic o czymś takim nie wiem – zdołał w końcu wykrztusić.

– A zatem żadnych komentarzy? – spytał dziennikarz.

– Tak – rzekł Benewitz–Nielsen. – A raczej nie. Przycisnął guzik z czerwoną słuchawką i opadł na fotel, wciąż wyglądając przez okno. Na zewnątrz znajdował się jego park. Szron leżał na trawnikach, panował spokój, jego park śpi, przygotowuje się do wiosny, by wybuchnąć pulchnymi, zielonymi pąkami. Na to, by właściciel mógł spacerować między ukochanymi krzewami i wspaniale zakomponowanymi rabatami kwiatów. To nie może być prawda, że ktoś miałby wykopywać krzewy, drzewa, niwelować pochyłości, niszczyć fontanny, że ktoś mógłby gwałcić jego trawniki, rozkopywać ziemię, przewracać drzewa, obcinać korzenie.

Przeniósł wzrok na garaż. Budynek nie lśnił słoneczną żółcią jak zwykle, ale złą, siarczaną barwą. Na tle bieli, brązu i szarości. Kim jest ktoś, kto mu to zrobił?

Usuwał kwieciste nalepki, kiedy znowu zadzwonił telefon (tym razem komórkowy). Zamknął drzwi garażu i włączył piecyk z dmuchawą, by nie odmrozić sobie palców. Na stole stało radio przyniesione z kuchni, włączony był program drugi, gdzie mówiono właśnie o węgierskiej literaturze, czego on właściwie nie słuchał, ale co wypełniało ciszę i dawało mu przyjemne poczucie, że robi coś pożytecznego i właściwego (mniej więcej tak, jakby przelykał dużą łyżkę tranu). Na cementowej posadzce stało niebieskie wiadro pełne wody z mydłem, profesor trzymał w ręce mokrą szmatę. Pracował już od trzech godzin, ale zdążył zerwać nie więcej niż tuzin kwiatków. Wulgarny napis na tylnym błotniku był całkowicie nieusuwalny. Męczył się przy nim co najmniej pół godziny i nic. Oczywiście mógłby pracować szybciej, ale bał się, że uszkodzi delikatny samochodowy lakier. Uspokoił się trochę, zaczął myśleć, że wszystko jakoś się ułoży, że ta sprawa z kwiatkami to tylko niewinny chłopięcy żart. Myślał tak w chwili, kiedy telefon w kieszeni na piersi zaczął wibrować i wygrywać swoją wesołą melodyjkę. Tak, odpowiedział Edmund krótko, ostrożnie odkładając szmatę na krawędź wiadra.

– Edmund Benewitz–Jensen? – spytał zdyszany kobiecy głos.

– Benewitz–Nielsen – skorygował cierpko.

– Ja dzwonię z redakcji telewizyjnych wiadomości – mówił dalej głos. – Słyszeliśmy, że na pańskiej działce dokonano sensacyjnego odkrycia z epoki kamienia. Czy to się zgadza?

W tym samym momencie, kiedy miał odpowiedzieć przecząco, wyjrzał przez małe okienko na lewo od drzwi: w parku trwała ożywiona aktywność. Czerwono-białymi taśmami opasano różne miejsca. Jakiś mężczyzna w ubłoconym kombinezonie rozmawiał przez telefon, gestykulując energicznie. Na ziemi, obok największej fontanny (tej z Posejdonem) leżało trzech ludzi z pośladkami uniesionymi w górę.

Wszystkie złe siły świata sprzysięły się przeciwko niemu: cały ruch kolejowy w stronę Oslo został wstrzymany. Kierowca ciężarówki, kobieta (jakżeby inaczej), spowodowała wypadek. Choć bardzo tego nie chciał, musiał: Edmund Benewitz–Nielsen siedział w swoim kwiecistym samochodzie w drodze do Oslo, do telewizji, gdzie miał być gościem wiadomości. Ręce zaciskał tak bardzo na kierownicy, że aż mu zdrętwiały. Ujechał nie więcej niż dwa kilometry, kiedy zatrałił za nim pierwszy samochód – tu-tut – przejechał obok. Był pełen młodych ludzi, którzy machali do niego, pękając ze śmiechu. Edmundowi gwizdało w uszach, widział teraz przed sobą szydzące i kpiące, kwieciste zwierzątka, które tańczyły po jego parku, śmiejąc się w głos, rozkopywały ziemię wokół, łamały gałęzie i deptały rabaty, stawały na krawędziach fontann, skakały w dół, jedno usiadło na głowie Posejdona i kopało na zmianę to lewy, to prawy policzek nieszczęsnego boga morza. Musi po prostu się zatrzymać. Natychmiast. Nie wytrzyma tego ani sekundy dłużej.

Nagle zobaczył przed sobą żółtoczerwone szyldy stacji benzynowej, szarpnął kierownicą i skręcił ostro, nie włączając kierunkowskazu. Przez chwilę siedział w samochodzie, próbował spokojnie wciągać powietrze przez nos i wydmuchiwać przez usta. Potrzebował wody mineralnej. Butelkę zimnej niebieskiej Farris. Powlókł się na stację, znalazł to, co trzeba w lodówce, zapłacił u sprzedawczyni, mało apetycznej, otyłej kobiety, która pozwoliła sobie uśmiechnąć się do niego. Nie odpowiedział

jej tym samym, wziął butelkę z wodą i wyszedł. Piękny samochód, krzyknęła za nim. Krowa, warknął półgłosem.

Telewizja chciała nagrać z nim program na terenie uniwersytetu.

– To przecież pańskie miejsce pracy – tłumaczył kamerzystą. – Będzie ekstra, jeśli profesor...

– Ja jestem profesorem medycyny – sprecyzował Edmund Benewitz–Nielsen.

– To akurat nie ma znaczenia – odparł dziennikarz.

– ...będzie ekstra, że profesor znajduje taki skarb – dokończył kamerzysta.

– Ja niczego nie znalazłem – prostował Edmund Benewitz–Nielsen.

– Nie, nie, ale odkrycia dokonano w pańskim ogrodzie, rozumie pan, co mam na myśli – przekonywał reporter.

– To nie jest żaden ogród! – krzyknął Edmund Benewitz–Nielsen.

– Co? – zdziwił się dziennikarz.

– Nic – uciął Benewitz–Nielsen. Co ma zrobić? Czy jest jakieś wyjście? Musi udawać zachwyconego. Jest zastępcą szefa pewnego humanistycznego projektu, jest człowiekiem wrażliwym na sztukę, człowiekiem, który słucha drugiego programu radia, który czyta książki. Jest profesorem.

Posadzili go przy stoliku w uniwersyteckiej kawiarni Frederikke. Miła, nieformalna rozmowa, wyjaśnili mu. Hmm, bąknął Benewitz–Nielsen. Wokół siedzieli jego koledzy i studenci z kubkami kawy lub nad kiepskim włoskim jedzeniem. Potem będą do niego przychodzić i pytać, co się stało, a on będzie musiał udawać zadowolonego i rozgorączkowanego, również po wywiadzie.

– Jest pan gotowy?

Przytaknął.

– To znalezisko może zmienić historię Norwegii – zaczął dziennikarz.

– Tak, to będzie ekscytujące – powiedział Edmund Benewitz–Nielsen do kamery.

– A czy nie okaże się dla pana zbyt trudne, że rozkopią pański ogród? – pytał dalej dziennikarz.

– Nie, skąd – zaprzeczył Edmund Benewitz–Nielsen. – To dla mnie radość.

W drodze z Blindern do wynajmowanego w Oslo mieszkania zatrąbiło za nim wesoło osiem samochodów.

W środę rano oddał samochód do warsztatu z poleceniem dla mechanika, by usunął kwiatki, a zwłaszcza nalepkę z tylnego błotnika.

– Rany, a co to się stało? – spytał tamten, obchodząc samochód w kółko. Dotknął kilku kwiatków i różowych kucyków, półgłosem odczytał napis.

Edmund Benewitz–Nielsen zaciskał wargi.

– Nie twoja sprawa – burknął.

– Nie, no masz rację – zgodził się mechanik. – Mimo wszystko zrobię, co będę mógł.

Było parę minut po dwunastej, gdy zapukano do jego drzwi.

– Proszę wejść – krzyknął i w tej samej chwili poczuł, jak bardzo jest głodny. Trzeba zejść na dół i kupić sobie bułkę. Miał nadzieję, że to nie jeden z natrętnych studentów. Zmarszczył brwi, przybrał odpychający wyraz twarzy. Drzwi otworzyły się szeroko. Na zewnątrz stał kierownik instytutu, a obok jakiś mężczyzna, którego Benewitz–Nielsen chyba dotychczas nie widział. Głos zabrał kierownik.

– Benewitz–Nielsen, musisz iść z nami.

– A o co chodzi? – spytał Edmund. Zwrócił uwagę, że kierownik instytutu, z którym niezliczoną ilość razy pił piwo i plotkował na kolegów, i z którym od trzydziestu lat jest po imieniu, zwraca się do niego bardzo oficjalnie, w dodatku lodowatym tonem.

– Myślę, że wiesz, czego sprawa dotyczy – odparł tamten.

– Nie wiem – rzekł Edmund Benewitz–Nielsen, szczerze zdziwiony. Podniósł się z krzesła przy biurku.

Plotki rozchodziły się szybko po długich korytarzach uniwersytetu

w Oslo, przy stolikach w kantynie i po czytelniach. Fama volat (Pogłoski krążą). Ponieważ bohater zatrudniony był przy międzywydziałowym projekcie, plotkarska maszyna kręciła się jeszcze szybciej niż zazwyczaj.

Pracownicy naukowcy, personel biurowy, stypendyści i studenci – wkrótce wszyscy o tym wiedzieli. Jeden z profesorów został aresztowany, przekazywano sobie półgębkiem. Edmund Benewitz–Nielsen trafił do więzienia, mówili inni. Pewna asystentka zatrudniona przy jego projekcie szeptała do pewnego szybko pnącego się w górę młodego filozofa:

– Słyszałeś o tym? W komputerze Benewitza–Nielsena znaleziono kompromitujące dokumenty.

– Poważne? – dopytywał się filozof.

Asystentka wzruszyła ramionami, nie wiedziała, jakiego rodzaju są te dokumenty. W takim razie przypuszczalnie poważne, skonkludował filozof. Benewitz–Nielsen został zwolniony, usłyszała Ella po południu.

Nie było jednak tak źle. Edmund Benewitz–Nielsen ani nie został wtrącony do więzienia, ani nie dostał wypowiedzenia. Sprawa wyglądała tak, że w jego komputerze znaleziono liczne dokumenty, w których, nie przebierając w słowach i w prześmiewczym tonie oceniał centralne postaci uniwersytetu w Oslo. W jednym z dokumentów opowiada o dziekanie wydziału humanistycznego, w innym o dziekanie medycyny. A na dodatek o trzech dyrektorach instytutów (między innymi instytutu, w którym sam pracuje). Opisany został też rektor. Ostatni dokument dotyczy adiunkta, Elli Blom. W dokumentach tych można przeczytać, jakie marne kwalifikacje, a zwłaszcza zdolności kierownicze mają owe osoby i jakie są egoistyczne, jak mało inteligentne, a nawet po prostu strasznie głupie. Ze szczegółami opisano zaniedbania, jakich się dopuścili: zwołują zebrania, na które nie przychodzą, spóźniają się, nie przekazują dalej informacji, choć to należy do ich obowiązków. Cała siódemka ma na sumieniu obgadywanie i niszczenie innych pracowników. Wszyscy oni zdobyli swoje stanowiska w nieuczciwy sposób. Kłamali i robili kariery przez łóżko (myśl

o tym, że łysy sześćdziesięcioletni rektor miał zdobyć swoją pozycję przez łóżko wywołała tłumiony chichot u wezwanego na pomoc konsultanta komputerowego). Dokumenty kończą się wezwaniem, by wymienieni otrzymali pisemne ostrzeżenia, a właściwie to cała siódemka (sześć listów opowiadało o mężczyznach, a tylko jeden o kobiecie: Elli Blom) powinna natychmiast dostać wymówienia. Pliki, które przypominały raczej pocięte papiery, nie miały wyraźnych adresatów, a pracowników, których dotyczą, omawiano w trzeciej osobie. Ostatni rozdział w każdym dokumencie był inny. Adresowany bezpośrednio do osoby, której dotyczy, zawierał pogróżki, że Edmund Benewitz–Nielsen upubliczni listy naruszeń służbowych danej osoby. Liczne sformułowania i frazy były w dokumentach identyczne i tak różne osoby, jak Ella Blom, dziekan wydziału medycznego i rektor oskarżono, że ubierają się nieprzyzwoicie na spotkania (ciasne spodnie, głęboko wydekoltowane bluzki, to nie są odpowiednie stroje na oficjalne okazje).

Kiedy to wszystko odnaleziono i przeczytano, uznano niezwłocznie, że autorem jest osoba chora oraz że oskarżenia nie mają żadnego odniesienia do rzeczywistości. Takie przypadki gazety zwykle nazywają osobistą tragedią. Postanowiono zatem działać dyskretnie.

Edmund Benewitz–Nielsen otrzymał poważne ostrzeżenie. W tym kraju prawo zabrania grożenia ludziom. Dostał zwolnienie lekarskie i odsunięto go od stanowiska ze skutkiem natychmiastowym. Ella natomiast doczekała się przeprosin za to, że niesłusznie była podejrzewana o zaniechanie obowiązków (Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że Benewitz–Nielsen jest psychicznie chory, powiedział dziekan. Nie powinniśmy byli mu wierzyć). Poproszono, by wróciła na kierownicze stanowisko, na co się zgodziła. Tego popołudnia Ella wysłała następującego maila do swoich trzech koleżanek: „Acta est fabula plaudite! (Sztuka odegrana, bijcie brawa!). A ja biję brawa wam. Dziękuję, Wiedźmy!”.

Kiedy kobieta zatrudniona na uniwersytecie zostaje matką, jej twórczość naukowa ulega ograniczeniu na wiele lat. Kiedy pracujący na

uniwersytecie mężczyzna zostaje ojcem, fakt ten w ogóle nie ma to żadnego wpływu na to, ile artykułów i książek produkuje. Więcej niż połowa studiujących na norweskich uniwersytetach to kobiety. Ale już wśród profesorów jest tylko czternaście procent kobiet. Ella zakładała, że z czasem zostanie profesorem. Przecież regularnie publikuje w uznanych czasopismach. Wydała książkę w Oxford University Press. Wielu mówiło jej, że jak najszybciej powinna zacząć się starać o mianowanie. Ona jednak nie mogła się zdobyć, odkładała to. Bardzo się bała, że komitet odrzuci jej kandydaturę. W ciągu ostatnich pięciu lat każdej jesieni zastanawiała się, czy tym razem nie wystąpić, z radością słuchała wszystkich, którzy przekonywali ją, że z pewnością wszystko pójdzie dobrze, ale przejrzawszy uważnie listę swoich publikacji znowu postanawiała, że poczeka jeszcze rok. Że napisze jeszcze ze dwa artykuły. Ale w roku, w którym podjęła wieczorowy kurs łaciny, adiunkt Ella Blom wystąpiła nareszcie o mianowanie na profesora. Pokusa pojawiła się w tydzień po tym, jak cały uniwersytet trząsł się od plotek o Edmundzie Benewitzu–Nielsenie i jego tragikomicznym ataku na siedmioro przypadkowych kolegów. Spakowała kopie swoich prac naukowych do pudła i zaniósła je do sekretariatu instytutu. Uśmiechnęła się do sekretarki i wróciła do gabinetu, żeby się przygotować na popołudniowe zebranie uczestników projektu.

*

Ella nie mogła zasnąć, leżała bez ruchu po swojej stronie małżeńskiego łóża. Płakała. Pół godziny temu leżała w tym samym miejscu i tak bardzo pragnęła Petera, że miała problemy z kontrolowaniem oddechu, bała się, by nie zauważył, iż ona płonie z pożądania (jak to określiła kilka dni temu Celeste, kiedy opisywała spotkanie z jakimś kochankiem – tylko że Celeste, rzecz jasna, nie bała się, że on to zauważy; przeciwnie, ona z przejęciem opisywała swój stan właśnie w tych słowach).

Elli nigdy by się nawet nie przyśniło, że zwycięstwo nad Benewitzem–Nielsenem mogłoby wpłynąć na stosunki między nią a Peterem. Ale owa

triumfalna energia, która ją przepelniała, musiała w jakiś sposób pobudzić również seksualne pragnienia. Ella rzadko odczuwa pożądanie, a jeśli już, to przemijające, podszyte wstydem i skierowane do innego mężczyzny, nie do męża. Mógł to być młody student o powłóczyście spojrzeniu, facet w autobusie, który otarł się o nią biodrem, kolega, który na konferencji posyłał jej niedwuznaczne uśmiechy. Nie umiałyby wytłumaczyć, dlaczego dziś wieczorem ogarnęło ją takie gwałtowne pragnienie Petera. Przecież rok minął od ostatniego razu. Nie wiedziała, co powinna robić. Jakby zapomniała, jak człowiek się zachowuje w takiej sytuacji. Lub może lęk przed odtrąceniem był silniejszy od pożądania. Leżała więc bez ruchu ze swoimi chęciami. Najlepiej byłoby przytulić się do męża, poczekać na słowa, które tak bardzo chciała usłyszeć. Zauważyła, że Peter też przewraca się niespokojnie na swojej części łóżka. Strasznie chciała go dotknąć.

W końcu wyobraziła sobie, że mąż odczuwa to samo, co ona, że tęskni za nią i zanim zdążyła się zreflektować, nie analizując nawet takiej możliwości, wyciągnęła w mroku rękę. Fakt, że pokonała Benewitza-Nielsenę, wyraźnie dodawał jej wiary w siebie. Trafiła Petera w brodę, przesunęła dłoń wyżej, na policzek. On leżał bez ruchu, w ogóle na to nie zareagował i Ella poczuła, jak żołądek jej się zaciska. Pojawiła się też dobrze znana, lodowata rezygnacja. I ten sam stary żal. Kiedy zaczęła cofać rękę, Peter nagle ją chwycił i przeciągnął żonę na swoją stronę. W ciągu paru sekund znalazła się pod nim. Była taka podniecona, że wszedł w nią, zanim zdążyła o czymkolwiek pomyśleć, a teraz, teraz, w ogóle nie była w stanie myśleć. Później, kiedy leżał na niej spocony, a jej ręka machinalnie pieściła jego plecy, myślała: Super. Super! Skąd, na Boga, wzięło jej się to słowo. To więcej niż okropne, że pomyślała właśnie „super”, słowo, które uważa za młodzieżowe i komiksowe. Przeturlała się na swoją stronę łóżka. Peter wciąż nie wypowiedział ani słowa. Oddychał ciężko i miarowo, ale nie wiedziała, czy naprawdę śpi, czy tylko udaje. Zresztą to bez znaczenia. Odpuściła, chichotała sama z siebie: super,

super, super, trzy razy super. A następnie: opamiętaj się, Ello Blom. Odwróciła się na bok, uśmiechnęła w ciemności, poczuła, że jego nasienie z niej wypływa, ale zanim pierwsza kropla dotknęła prześcieradła, Ella, w całkowitej ciszy, zaczęła płakać.

Przecież byli niegdyś szczęśliwi. Ella żywiła przekonanie, że to, co Peter do niej czuł, było lustrzanym odbiciem jej uczuć, to, co ona myślała, było echem jego myśli. Należeli do siebie nawzajem. Mówili o sobie „my”. Zapamiętała pewien czerwcowy dzień w latach osiemdziesiątych, krótko po tym, jak się spotkali. Pojechali samochodem w stronę Moss, drogą wzdłuż Oslofjordu. Zatrzymali się w miejscu, którego żadne z nich nie znało, zaparkowali samochód, poszli ścieżką przez las. Peter niósł plastikową torbę z kolorowym logo sklepu spożywczego. Jedną rękę miał wolną, więc albo obejmował talię Elli, albo głaskał palcem jej nos. Nieustannie musiał jej dotykać. Brnęli przez suchą trawę, na ścieżce leżało sosnowe igliwie. Adidasy Petera i sandały Elli rozgniatyły szyszki i suche gałązki. Szli ręka w rękę. Wszędzie było pełno mrówek. Ziemię w lesie pokrywało mnóstwo słonecznych plam tańczących między cieniami drzew, przesuwających się ciągle, ponieważ łagodny ciepły wietrzyk poruszał gałęziami. Ułożyli się na trawie, na skraju lasu, na wzniesieniu, skąd mieli widok na fiord. Panowała zupełna cisza. Peter wyrzucił zawartość torby na trawę. Ello, jesteś najlepsza ze wszystkich, nigdy o tym nie zapominaj! Jedli serek brie, taki dojrzały i ciepły, że niemal wypływał spod cienkiej aksamitnej warstwy pleśni. Jedli paryskie bagietki z chrupiącą skórką i białym puszystym mięszem. Deklamowali wiersze Jana Erika Volda i całowali się ustami pełnymi jedzenia. Należymy do siebie nawzajem. Peter zabrał też ze sobą butelkę wina – nawet o korkociągu nie zapomniał – zapomniał natomiast wziąć inne picie, więc musieli w tym słońcu gasić pragnienie bordeaux. Mieli od tego liliowe zęby, chichotali, czuli się senni. Kochali się w trawie. Potem on strzepywał igliwie i gałązki z jej pleców, pokazywał, co tam miała. Siedzieli w lesie, aż zaczęli marznąć w swoich letnich ubraniach, a Peter uznał, że

wytrzeźwiał na tyle, by móc znowu prowadzić.

To przecież nie było tak dawno temu, prawda?

*

Edmund Benewitz–Nielsen świadomie chciał zniszczyć Ellę. Na dodatek do wszystkiego innego obgadywał ją. Frøydis mogła postawić krzyżyk w rubryce „osiągnięty cel” w Business Managerze, ale najważniejsze było opowiedzieć mamam, co uzyskały tym razem. Punkt wyjścia był zaskakująco podobny. Ktoś mówi brzydkie rzeczy na kogoś innego, by samemu przedstawić się w lepszym świetle. Sturla Hagbartsen oczerniał Charlotte Brun po śmierci, kiedy nie mogła już się bronić. Ona nie miała dobrze w głowie, opowiadał Sturla Hagbartsen każdemu, kto chciał słuchać. Cudzoziemka. Niewybaczalnie naiwna. Nie umiała nawet zająć się dzieckiem.

A zmarli bronić się nie mogą. Jej córka miała zaledwie trzynaście lat. Pośrednimi drogami, ale nie całkiem przypadkowo, dotarło do uszu Frøydis, co szef banku mówił o jej matce. I w końcu dziewczyna go dopadła. Zastanawiała się, czy nie wyciąć z gazety nekrologu, ale uznała, że przechowywanie tego jako trofeum byłoby dziecinne. Nie, na długo wystarczy to, że może w równych odstępach czasu wkładać na siebie pelerynę Jenny! Frøydis uśmiechnęła się, pochyliła do przodu i poczuła, jak ciepły, ciężki brzuch opiera się o jej uda. Jenna opowiedziała o jej znaku zodiaku. Frøydis jest Lwem. Tyle oczywiście wiedziała, ale nigdy nie interesowała się astrologią. Teraz Jenna wyjaśniła jej, że lew to istota przywódcza. Ale obdarzona szczególnymi cechami. Ktoś, kto woli leżeć wyciągnięty w trawie i być obsługiwany. Może ta astrologia nie jest taka głupia. Ale nie do końca to się zgadza. Bo choć Anders często podaje jej jedzenie, to potem ona musi sprzątać. Anders nie jest złym człowiekiem, jest mężczyzną. Z początku kochała po nim sprzątać.

Wstała i wzięła tacę.

*

Przygotowanie, realizacja – następujący potem sukces – akcji

przeciwko Benewitzowi–Nielsenowi sprawiły, że Jenna kompletnie zapomniała o obietnicy danej przyjaciółce Viveke. Przypomniała sobie dopiero któregoś dnia, kiedy ze zdjęcia w gazecie popatrzył na nią Olav Stormm. Uśmiechał się pewny siebie i spojrzał Jennie prosto w oczy, kiedy przewracała stronę. Jego włosy były rzeczywiście niezwykle bujne. Tutaj cię mamy, tak, powiedziała Jenna półgłosem i pstryknęła reżysera w nos. Wstała, usiadła przy biurku i zaczęła pisać. Nie przerywała, dopóki nie usłyszała chrząkania Julii. Córka stała obok biurka i patrzyła na matkę z góry.

– Co robisz, mamó? Dlaczego gadasz sama do siebie?

– Piszę list – odparła Jenna spokojnie. Zupełnie nie robiła wrażenia zaskoczonej, chociaż córka przerwała jej w połowie lapońskiego zaklęcia. List był gotowy. Pióro leżało na biurku. Jenna wykonywała właśnie jakieś faliste ruchy rękami.

– Jestem otoczona kobietami zaburzonymi psychicznie – rzekła Julia, pół żartem, pół serio. – Tutaj siedzisz ty i mamroczesz coś niezrozumiale, a na dole siedzi babcia i opowiada o twoim ojcu.

– Naprawdę? – spytała Jenna i dopiero teraz wyglądała na kompletnie zaskoczoną. – Opowiada o moim ojcu? O Magnarze?

– Zdaje mi się, że zrobiła siusiu na kanapę – poinformowała Julia. – Nie jestem w stanie zobaczyć, ale pachnie właśnie tak.

– Zaraz temu zaradzę – westchnęła Jenna. – W styczniu babcia dostanie miejsce. Mamy nawet pisemne zapewnienie z dzielnicy, miły list podpisany przez Jona D. Ommundsena, z wydrukowanym u góry strony mottem: „Jesteśmy dla ciebie”. Co ona mówi o moim ojcu?

– Powiedziała, że był z gruntu dobry.

– Z pewnością ma rację – zgodziła się Jenna. – Coś więcej?

– Że nie pomyliła się co do jego materiału genetycznego.

– Aha. No dobrze. Czasami mówi mnóstwo bezsensownych rzeczy, biedaczka. Coś jeszcze pamiętasz? O moim ojcu prawie nigdy nie mówiła.

– Teraz powiedziała, że niedługo znowu go zobaczy.

– Uff, to jej myśli krążą takimi torami? – zdziwiła się Jenna. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że matki mogłoby przy niej nie być. Gardło jej się zacisnęło. Johanna była dobrą matką. Głośne czytanie. Śniadanie u Tiffany’ego. Filcowe serduszka, które szyły co roku w grudniu. W końcu uzbierały ich duże pudełko. Teraz także wieszają je w Boże Narodzenie. Kakao i kanapki z serem. Wyprawy na basen. Pamiętała, że matka zawsze siedziała przy łóżku, kiedy córkę bolało ucho.

– I mówi, że ma nadzieję spotkać także innych, bo nudziłaby się strasznie, gdyby wieczność miała spędzić na rozmowach z Magnarem – dodała Julia. Kąciki ust jej drżały.

Matka i córka popatrzyły na siebie nawzajem. W końcu wybuchnęły śmiechem.

– Dobrze, stare „JA” – westchnęła Jenna. – Ona wciąż jest taka sama. I właśnie to najtrudniej znieść. Pozwól, że włożę list do koperty, a potem do niej pójdziemy.

[5] Stein w jęz. norweskim – kamień (przyp. tłum.).

LECTIO VIII – AD ARMA

czyli *Wykład ósmy:* *Do broni!*

Jenna wiedziała, że ktoś urodzony w znaku Panny (w który słońce wchodzi 24 sierpnia) jest całkiem inny niż ktoś, kto jest Lwem i urodził się 23 sierpnia lub wcześniej, na przykład na początku miesiąca. Ona sama jest Wagą i urodziła się w październiku. Swobodnie porusza się w astrologii i zawsze instynktownie wie, pod jakim znakiem urodzili się inni ludzie. Wyprowadza kompleksowe systemy ascendentów oraz układy ciał niebieskich. Jeśli jednak gwiazdy mówią jej coś, czego nie chce słuchać, po prostu zamyka uszy i mimo wszystko robi to, co przedtem postanowiła.

Jenna wierzy w siły wyższe (choć nie w Boga). Wierzy w moc korzenia różenia, ale najbardziej ze wszystkiego wierzy w pierwotną siłę kobiet. Kiedy skończyła dziewiętnaście lat, odkryła dwie rzeczy: że matka ma rację, jeśli chodzi o mężczyzn (większość z nich jest niewinna, ale kompletnie zbędna), oraz to, że sama Jenna jest czarownicą (nie tylko w znaczeniu „niesympatyczna kobieta”).

Jenna urodziła się duża: ważyła ponad sześć kilogramów. Generalnie przy samym porodzie nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, ale jego okoliczności sprawiły, że personel szpitala wspominał go latami. Doszło mianowicie do wyjątkowego w historii świata wypadku, kiedy to przy porodzie umarł ojciec.

Matka Jenny (Johanna Hilmarsen) i ojciec (Magnar Wilhelmsen) spotkali się w dojrzałym wieku. Stanowili parę niezwykłą, ale niewielu ludzi zdążyło to zauważyć. Kiedy Johanna i Magnar się poznali, wspólne mieli ze sobą to, że oboje byli samotni. Johanna Hilmarsen urodziła się na

północy kraju, w Finnmarken^[6]. Od młodości zarabiała na życie praniem i wrózeniem, przeprowadzała się coraz dalej na południe kraju, aż w końcu osiedliła się w Oslo. Tutaj nadal prała i wróżyła, a równocześnie zaczęła też malować: wielkie, barwne obrazy przedstawiające istoty ponadnaturalne, które, jak stanowczo twierdziła, spotykała w dzieciństwie. Po pewnym czasie jakaś pani, mniej więcej tak samo ekscentryczna jak sama Johanna, kupiła znaczną część jej obrazów i dzięki temu matkę Jenny stać było na otwarcie własnego sklepu. Magnar Wilhelmsen pochodził ze starej urzędniczej rodziny, ale operatywność, która niegdyś charakteryzowała ród, malała z pokolenia na pokolenie. Magnar prowadził spokojne życie w mieszkaniu podarowanym mu przez rodziców, gdy uzyskał dojrzałość. Główna różnica między nimi polegała jednak na tym, że Johanna dobrze wiedziała, czego chce teraz, kiedy spełniło się jej marzenie o sklepie. Pragnęła mianowicie mieć dziecko. Na coś takiego Magnar nigdy by nie wpadł.

Johanna i Magnar spotkali się w księgarni. Magnar znalazł przewodnik filmowy i rozważał jego zakup. Johanna wybrała już stos książek (Znaki zodiaku, Sabat czarownic i noc Walpurgii, How to raise a child i norweskie wydanie książki Dziecko doktora Benjamin Spocka). Przypadkiem oboje wyciągnęli ręce, by wziąć tę samą książkę (Obiady dla samotnych. Przepisy i porady dla małych gospodarstw domowych). To musiał sprawić los, powiedziała rośła kobieta ze śmiechem. Mówiła dialektem północnym, a śmiech miała głęboki, trochę ochryply. Magnar poprzestał na uśmiechu, nic nie powiedział, ale, nie bardzo rozumiejąc, jak do tego doszło, parę minut później wychodził ze sklepu ramię w ramię z tą kobietą i z zupełnie inną książką kucharską, którą na dodatek niosła ona. Do ciebie czy do mnie, spytała kobieta. Your place or mine, powiedział Magnar, który obejrzał mnóstwo amerykańskich filmów. Kobieta zachichotała i stwierdziła, że ma on cięty język. Magnar nie wiedział, co powiedzieć, więc nie protestował. Spotkanie skończyło się w jego mieszkaniu. Kobieta przez cały czas się uśmiechała i zaczęła opowiadać

o sobie. A opowiadając, wypytywała też Magnara. Przedstawiła się z imienia i nazwiska, a potem spytała, jak Magnar się nazywa. Podała swój wiek i spytała o jego. Interesuje ją szydełkowanie i inne roboty ręczne, kocha szykować jedzenie, czyta dużo, ogląda dużo filmów. A czym interesuje się Magnar? Czy ma jakieś hobby? Czy wierzy w to, co ponadnaturalne? Bo ona osobiście utrzymuje codzienny kontakt z siłami wyższymi. Jaki Magnar ma zawód? Ona uwielbia zupę pomidorową z jajkami i makaronem. A jego ulubione danie? Miejsce urodzenia? Stan cywilny? No tak, chyba jest samotny. Znowu wybuchnęła tym swoim ochryplym śmiechem. Magnarowi podobał się jej sposób rozmowy. Przypominał wypełnianie formularza w towarzystwie ubezpieczeniowym, a to nigdy go nie krępowało. Johanna przytaknęła. Ona wiedziała, czego chce. Dostrzegła przymioty pod tym jego dość osobliwym zachowaniem. Widziała, że jest inteligentny, mimo że brak mu siły przebicia, że ma ładne ciało, choć zwiotczałe i niewytrenowane, a przede wszystkim zdawała sobie sprawę z własnych ograniczeń na rynku małżeńskim. Zbliżała się do końca okresu rozrodczego i nie udało się jej osiągnąć tego, co było celem jej życia. Zaczęła odwiedzać go co wieczór. Co wieczór coś przynosiła: a to mosiężny lichtarz, a to porcelanową ropuchę, a to dużą tacę. Magnar prawie się nie odzywał. Uważał, że nie ma wiele do powiedzenia, a ciętość języka okazała się zjawiskiem jednorazowym.

Czwartego wieczora Johanna Hilmarsen pocałowała Magnara Wilhelmsena. Piątego, ku niezmiernemu zdziwieniu Magnara, znaleźli się nadzy w jego łóżku. On oczywiście fantazjował na temat nagich kobiet odkąd pamięta, ale teraz nie wiedział, co zrobić z rękami. W pewnym momencie, niemal przypadkiem, musnął nimi jej piersi. Potem ujął jedną brodawkę i zachwycony poczuł, że pod jego dotykiem ta momentalnie zeszywniała; jakby w swego rodzaju równoległym wyznaniu sympatii on sam też zeszywniał. W ciągu następnych minut Magnar miał wrażenie, że zaplątał się w ciepłą i wilgotną puchową kołdrę, z której właściwie nie umiał się wydostać. Poruszał się po omacku, dotknął ręką czegoś mokrego,

zdziwił się, jakie to ciepłe i gładkie. Jej nogi leżały na jego nogach i nagle ręka mężczyzny znalazła się między fałdami jej brzucha. Zanim zdążył się zorientować, wślizgnął się w nią. Znalazł się w dziwnym stanie podniecenia, skrępowania i zdumienia. Po wszystkim siedzieli obok siebie w łóżku, oboje spoceni, dysząc ciężko. Johanna była skłonna do śmiechu, przeszkadzała jej wprowadzie nieprzyjemna lepkość między nogami, ale wiedziała, że na pewno została zapłodniona. Magnar wyglądał bardzo poważnie. Ona stroiła do niego miny, uśmiechała się czerwonymi od szminki ustami, trochę czerwonego przeniosło się na górną wargę, niczym rosnące w górę korzonki. Magnar owinął się kołdrą i wyszedł do łazienki. Długo brał prysznic, mył gruntownie całe ciało frotową szmatką. Szorował genitalia, aż przerażone stały się miniaturą samych siebie. Siedział w kucki i polewał się wodą. Postanowił, że nigdy więcej z nią się nie spotka. Miesiąc później byli po ślubie.

Johanna musiała zajść w ciążę tamtego pierwszego wieczoru albo zaraz potem, bo długo nie trwało, a już brzuch kobiety zrobił się dużo większy niż był w punkcie startowym. Magnar nieustannie miał takie samo uczucie jak kiedyś w dzieciństwie, gdy matka w wędrownym wesołym miasteczku wsadziła go do wózka diabelskiego młyna. Między kuchnią a korytarzem zawisła zasłona z koralików. Johanna mówiła nieprzerwanie. Śmiała się dużo i głośno. Na podłodze w łazience można było znaleźć porzucone damskie majtki. We wszystkich pokojach paliły się stearynowe świece. Kiedy budził się rano, w kuchni była kobieta. Kobieta zajmowała jego ulubiony fotel, kiedy chciał tam usiąść. Johanna nie lubiła rybnej zapiekanki ani dorszy, uważała, że wystarczająco dużo ryb zjadła w dzieciństwie. Zamiast tego wciąż podawała mężowi zupę pomidorową i jakieś mocno przyprawione hiszpańskie danie jednogarnkowe według przepisu z tej nowej książki kucharskiej. On dostawał od tego skurczów żołądka i wzdęć, ale zdarzało się niejednym razem, że kiedy szedł do toalety z gazetą pod pachą, tam było właśnie zajęte. No a teraz miał zostać ojcem. Johanna kupiła dziecięcy wózek i łóżeczko, dużą szufladę zapełniła

śpioszkami. Siedziała na kanapie i obrębiała nieskończone ilości cieniutkich pieluch. Miała poranne mdłości i codziennie wymiotowała do klozetu. Bywało, że widywał resztki tego na białej porcelanie. Johanna był uszczęśliwiona ciążą. Kładła ręce na brzuchu i wprost nie mogła uwierzyć, że to prawda. Wydawało się jej, że czuje ruchy córki (bo o to, żeby to była córka, zawczasu zadbała), choć dobrze wiedziała, że na to za wcześnie. Była wdzięczna, że Magnar przyczynił się do jej szczęścia, ale prawdę powiedziawszy nie miała pojęcia, do czego teraz mogłaby go wykorzystywać. W miarę jak brzuch jej rósł, Johanna nabierała przekonania, że mieszkanie jest zbyt ciasne, po prostu przeludnione. Magnar był pod wieloma względami człowiekiem dość irytującym, a na więcej dzieci ona i tak nie ma szans, wkrótce menopauza postawi tu kropkę. Co wieczór, kiedy zgasili światło, kładła rękę na czole Magnara i mamrotała coś w języku, którego on nie znał. Poddawał się tej dziwnej pieszczocie tak samo jak wszystkiemu innemu, co wraz z nią wkroczyło do jego życia.

Johanna spytała, czy Magnar nie chciałby być przy porodzie. Niewiele jest rzeczy, których on życzyłby sobie mniej, ale nie zdobył się na odmowę. Oczywiście, powiedział, z trudem przełykając ślinę. Poród był długi i trudny. Magnar, który w ogóle nie znosił wysokich dźwięków, zatykał jedną ręką ucho, a drugą głaskał swoją wyjącą żonę po policzku. Dziecko wychodzi, krzyknęła Johanna. Podbiegła akuszerka i rozsunęła jej uda. Magnar uciekł na koniec łóżka, gdzie było znacznie ciszej niż w pobliżu ust Johanny. Wtedy jednak zobaczył jej zakrwawione uda i ciemną córeczki między nimi, co wyglądało jak pokryta włosami cebulowa kopuła prawosławnej cerkwi. Upadł na ziemię. Czy zemdlął z radości, wyczerpania lub obrzydzenia, czy też po prostu poślizgnął się w kałuży wód płodowych, tego nie wiadomo. Upadając, uderzył skronią o metalowe oparcie łóżka, dostał krwotoku do mózgu, w wyniku czego dwa dni później zmarł. Całej córki nigdy nie zobaczył, tylko czubek jej głowy.

Urodziła się Jenna Hilmarsen. Ważyła 6,3 kilograma, miała 53

centymetry długości i podobnie jak matka bardzo donośny głos.

Jenna wychowywała się w mieszkaniu ojca, w którym zamieszkały obie z matką. Ojciec istniał tylko jako fotografia w czarnej ramie oraz w skąpych opowieściach matki. Nie nosiła nawet jego nazwiska. Dorastała w przekonaniu, że kobietom jest najlepiej, kiedy są same i że mężczyźni nie mają innych wartości poza nasieniem: niezbyt pociągającym, ale absolutnie niezbędnym.

*

Zrobiło się późno. Jenna była strasznie zmęczona i czekała tylko, aż Julia wyjdzie z łazienki, ale z doświadczenia wiedziała, że to może potrwać. Córka powiedziała, że zamierza umyć włosy. Jenna westchnęła. Zaczął dzwonić telefon leżący przed nią na stole. To Viveke. Jenna nie miała ochoty odbierać, ale uznała, że chyba musi. Viveke to jedna z jej najstarszych stażem przyjaciółek i zresztą bardzo miła, choć bywa trochę męcząca.

– Czy zrobiłaś coś z Olavem Stormmem? – spytała Viveke, zanim Jenna zdążyła przyłożyć telefon do ucha.

– Tak – odparła Jenna. – A poza tym cześć. Napisałam do niego list, tak jak obiecałam.

– Ale czy to pomoże? – marudziła Viveke.

– Oczywiście – zapewniła Jenna. – Mogę ci zagwarantować, że w przyszłości on już tak nie będzie się zachowywał.

Kiedy jednak odłożyła słuchawkę, ogarnęły ją wątpliwości. Nie powinna być taka pewna swego. Wie przecież lepiej niż ktokolwiek inny, że te jej czarodziejskie sztuczki nie zawsze działają. Przynajmniej nie za każdym razem. No, dość rzadko działają, jeśli ma być całkiem szczerą. Dzisiejszy dzień na giełdzie też był kiepski, Jenna jest po prostu nieudaną czarownicą. Poczuła, że zbliża się znienawidzone uderzenie gorąca, że ogarnia całe ciało, a skóra dosłownie płonie – nawet tego nie potrafi zlikwidować za pomocą czarów. Teraz chciała się tylko położyć, poczuć policzkiem gładką poszewkę poduszki, podciągnąć kołdrę pod brodę i spać.

Wyjdź już z tej łazienki, powiedziała głośno i w tej samej sekundzie drzwi się otworzyły, a w progu stanęła Julia. Rozmyśliłam się, oznajmiła. Wezmę prysznic jutro wcześniej rano.

Na poprzednich zajęciach Ella opowiedziała im o Metamorfozach Owidiusza. W jednej z książek jest scena, w której Tereus gwałci Filomełę. Filomela i jej siostra dokonują krwawej zemsty: gotują i smażą syna Tereusa i serwują go ojcu, starając się, rzecz jasna, poinformować Tereusa, co zjadł. Otóż to właśnie, powiedziała Jenna, spoglądając na Celeste. Bo zemsta nie jest chyba zemstą, jeśli ofiara tego nie wie. Ella uciszyła ją i zakończyła informacją, że Tereus, Filomela i jej siostra zostali przemienieni w słowiki.

Teraz Jenna leżała w łóżku, wyprysznicowana, dość spokojna; z pokoju Julii docierała cicha muzyka, Jenna zaś rozmyślała na temat Viveke i Stormma, Metamorphoseon, o Filomeli i zleceniu, które, jak sądziła, mogłaby dostać. O końskim ogonie Julii i dziwnej ranie na twarzy Jona D. Ommundsena. Wkrótce zasnęła. W nocy śnił jej się Olav Stormm. Był to sen niezwykły, w którym ona najpierw była ptakiem. Ptakiem fruującym w mieszkaniu reżysera, a następnie znalazła się w jego ciele. Potem latała ponad miastem, machała skrzydłami i czuła łagodny, przyjemny opór powietrza. To trochę tak, jakby pływała. W następnym śnie znalazła się w jakimś obcym mieszkaniu, mimo to wiedziała, że również należy do reżysera. Usiadła na regale z książkami, przechyliła ptasią główkę i obserwowała.

Gospodarz nastawił płytę CD. Tony koncertu na trąbkę Haydna były jedynymi dźwiękami w pokoju. Mężczyzna wziął prysznic, jest ogolony i ubrany, zrobił sobie espresso i przyniósł gazetę. Ma teraz kwadrans, żeby posiedzieć spokojnie przy kuchennym stole, wypić kawę, zjeść płatki i przejrzeć gazetę. Prowadzi aktywne życie, tylu ludzi wciąż czegoś od niego chce, i ten kwadrans spędzany w kuchni każdego ranka daje mu poczucie kontroli. Uważa, że może sobie na to pozwolić, zanim pochłoną go liczne codzienne czynności. Głaszcze się po twarzy, świeżo ogolone policzki

są gładkie niczym uda młodziutkiej dziewczyny. Gęste blond włosy starannie nasmarował żelem i ułożył. Ma na sobie koszulę czarną jak noc, świeżo wyprasowaną (w pralni na rogu – chińskie czy jakieś tam kobiety są nadzwyczajne) i ciemny garnitur. Wciąga powietrze, czuje zapach swojej wody po goleniu, żelu do włosów i kawy, napina mięśnie piersi, nastawia uszu, muzyka dociera do ich najdalszych zakamarków. Wzdycha zadowolony i sięga po *Aftenposten*.

Ptak śledzi go ze swojego punktu obserwacyjnego, wyciągając szyję, by niczego nie uronić. Nieduża biała koperta wypada spod gazety. Mężczyzna siedzi przez chwilę z kopertą w ręce, po paru sekundach ją otwiera. Jego nazwisko tym razem bardzo poprawnie, przez dwa „m”, zostało wypisane pięknymi, równymi literami. Spogląda na list, nie rozumie, o co w nim chodzi. To po fińsku czy jak? Chyba jakieś nieporozumienie, myśli, zgniata list i kopertę, wrusza ramionami i otwiera dział kulturalny *Aftenposten*. Ptak na próbę macha skrzydłami. Mężczyzna czuje chłód na głowie, ale to przechodzi równie szybko, jak się pojawiło. Ekscytujące jest zawsze sprawdzanie, czy w gazecie nie ma czegoś na jego temat albo czy nie napisano czegoś nieprzyjemnego o ludziach, których nie lubi. Tym razem nic takiego nie znajduje, a autorką komentarza jest jedna z tych beznadziejnych feministek walczących o ustanowienie kwotowej reprezentacji płci w życiu publicznym. Nie chce tego czytać, przewraca strony, by sprawdzić, czy kronika jest rozsądna. Na szczęście jest, napisana przez człowieka, który zasiada w rozmaitych komitetach i radach, i któremu on przyznał pięcioletnie stypendium artystyczne, a który w zamian postarał się, by Stormm otrzymał kierowniczą posadę, o jaką się ubiegał.

Ptak bezszelestnie ląduje na głowie reżysera, siedzi tam teraz spokojnie i wyrywa włosy – jeden po drugim. Stormm dostrzega to podczas czytania kroniki: coś w równych odstępach czasu spada na gazetę: to włosy. Blond włosy spadają z jego głowy, osiadają na rozłożone pismo.

Jenna budzi się następnego ranka i natychmiast przypomina sobie sen.

Uśmiecha się do siebie. Człowiek ma prawo śnić, myśli, ale pamięta, że sny rzadko się sprawdzają.

*

– Mamo!

Jenna słyszała, że drzwi się otworzyły i zatrzasnęły, a w sekundę później dotarł do niej głos córki. Był poniedziałkowy wieczór. Jenna siedziała z kubkiem kawy, z nogami na kanapie i oglądała amerykański romans, jeden z najbardziej banalnych, jakie widziała. Julia przybiegła prosto do niej.

– Mamo! – wykrztusiła znowu i zaczęła płakać. Nie mogła przestać. Właściwie to nie płakała zwyczajnie, wyglądało, że nie może już więcej, twarz miała bez wyrazu, a łzy płynęły i płynęły.

Jenna musiała pomóc jej się rozebrać i włożyć nocną koszulę.

– Co się stało? – pytała raz po raz, ale Julia tylko potrząsała głową, nie chciała odpowiadać, łzy ciekły nieprzerwanie.

Jenna zrobiła jej herbaty z miodem. Julia płakała. Jenna, która z początku myślała, że chodzi o zły stopień z ostatniej klasówki z chemii albo kłótnię z przyjaciółką, teraz rozumiała, że sprawa jest poważna. Naprawdę poważna.

Był już świt, kiedy Julia w końcu opowiedziała matce, co się z nią stało, gdy pracowała sama w sklepie Johanny. Jenna tuliła ją do siebie mocno, przepełniona miłością do córki oraz gniewem, który sprawiał niewypowiedziany ból. Ona ma dopiero siedemnaście lat! Moja kochana mała, szeptała z ustami przy włosach Julii. W pewnym momencie podniosła się zdecydowanie i ruszyła w stronę telefonu:

– To trzeba zgłosić na policję – rzekła. – On nie może uniknąć kary.

Julia gwałtownie pokręciła głową.

– Nigdy!

Jenna, rzecz jasna, nie chciała iść do pracy. To w końcu Julia przekonała ją, że tak nie można. Idź, mamo, powtarzała. Dam sobie radę. Przecież umiem zrobić herbatę. Roześmiały się obie, bo Julia, która

potrafiła ugotować obiad, mając osiem lat i która samodzielnie obsługiwała klientów w sklepie babci, kiedy miała czternaście, potrafi oczywiście zaparzyć sobie herbatę. I zajrzę też do babci, obiecywała. Idź, mamó!

No i Jenna poszła. Zresztą, co mogła zrobić akurat teraz, jak ukarać tego drania w eleganckim garniturze, Hermana Høstmarka? Ale bogowie wiedzą, że bardzo tego chciała. Mogłaby pójść do niego i kopnąć go z całej siły w przyrodzenie. Mogłaby go chwycić i wycisnąć jak ścierkę do podłogi. Ale nie, nie może tego zrobić, rzecz jasna. Może natomiast porozmawiać z przyjaciółkami, wspólnie szukać odpowiedniej kary. Tylko czy taka rozmowa nie będzie zdradą Julii, nadużyciem jej zaufania?

W pracy nic tego dnia nie działała i gdy wybiła druga, postanowiła wrócić do domu. I tak nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o Julii. Jenna zadzwoniła do własnych drzwi, to umówiony sygnał, jakim obie z Julią się posługiwały. W obecnej sytuacji zyskał nowe znaczenie. To taka nieważna, lecz miła tradycja, teraz jednak Jenna pomyślała, że Julia poczuje się bezpiecznie wiedząc, że to idzie matka, bo z pewnością nie ma ochoty wpuszczać kogokolwiek.

Drzwi otworzyły się wolno.

– Lepiej ci? – spytała Jenna, spoglądając na córkę niepewnie.

Julia nie odpowiedziała, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się blado i zniknęła w swoim pokoju. Jenna poczuła bolesny skurcz żołądka, miała ochotę kopać, bić, dźgać, ranić. Na podłodze w przedpokoju leżał wzorzysty bawełniany szal córki, jasnożółty w różowe cytrynki. Na moment przytuliła go do twarzy, a potem zwinęła w kulkę i wsadziła do torby. Zamknęła drzwi na zasuwę i poczuła, że ciężko oddycha, jak po intensywnym fizycznym wysiłku. Jenna umie tamować krew. Kobiety z rodu Hilmarsenów praktykowały to od pokoleń, ale nie potrafi sprawić, by psychiczne rany przestały krwawić. To najbliższa mi osoba, a ja nie umiem jej pomóc. Może źle wykorzystywałam swoje siły? Powinnam była mój czas przeznaczać dla niej, zamiast nalepiać kwiatki i słodkie kocięta na samochodzie człowieka, którego nigdy nie spotkałam. Zaniedbałam

córkę, zbyt często pozwalałam jej pracować w sklepie mamy. W wyobraźni Jenna zobaczyła Julię jako małą dziewczynkę, która stoi tuż przed drzwiami mieszkania lub przy drzwiach do sklepu i czeka na ojca, który nigdy nie przychodzi. Julio, jak ja mogłam cię zawieść? Delikatny dziecienny kark córki ze sztywno zaplecionymi warkoczykami, pełne nadziei oczy, stopniowo gasnące. Jenna często przywoływała ten obraz, kiedy potrzebowała pieniędzy i musiała brać pożyczkę od mężczyzny, który jest ojcem jej córki. Teraz obraz delikatnego karku Julii pojawił się, choć o to nie prosiła.

Z pokoju Julii nie docierały żadne dźwięki. Jenna zapukała ostrożnie, czekała na odpowiedź, której nie otrzymała, ale i tak weszła do środka.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Mamo – bąknęła Julia, a głos jej się załamał przy ostatniej zgłosce.

– Jak to się stało, moja kochana? – spytała Jenna niepewnie.

W nocy usłyszała całą historię, więc może to niepotrzebne potwierdzenie, że gotowa jest znowu o tym rozmawiać, jeśli Julia ma taką potrzebę?

– Po prostu się stało – odpowiedziała Julia.

– Tak bardzo cię kocham – szepnęła znowu Jenna. Serce przepełniało jej współczucie dla córki, a równocześnie nie wiedziała, co tamta mogłaby jej odpowiedzieć. Chyba tylko to, że ona też ją kocha.

– Ja ciebie też.

– Ja tak strasznie, strasznie cię kocham, moje dziecko – powtórzyła znowu Jenna, bo bezpieczne było wypowiedzianie tych słów, które powtarzała Julii co najmniej kilka razy w tygodniu od najwcześniejszego dzieciństwa. Ale teraz? Co miałyby mówić teraz? Oczywiście Jenna wie, że Julia jest prawie dorosła, fizycznie to już kobieta. Ale to nie oznacza, że Jenna uznaje, iż córka jest istotą seksualną. To przerażające, nie potrafi się do tego odnieść. Mieszkały razem, trzy kobiety, żadna z nich szczególnie się nie krępowała. Jenna widywała nagie ciało Julii od urodzenia, ale świadomość, że może ono być pożądane przez mężczyzn,

sprawiała, że ciało córki wydało się jej nieznajome. I niezależnie od tego, jak bardzo żal jej było Julii, Jenna nie mogła nie zadawać sobie pytania, czy wina nie leży po obu stronach. Córka poszła przecież z tym mężczyzną do domu. Miała na sobie obcisły sweter i bardzo dopasowane dżinsy. Gdy tylko te myśli się pojawiły, Jenna ze wstydem odepchnęła je od siebie. To nie jest wina Julii. Oczywiście, że nie jest.

– To nie twoja wina – powiedziała głośno.

I gdy tylko wyrzekła te słowa, usłyszała, jak fałszywie brzmią: jakby koniecznie trzeba było to precyzować. Jakby kwestia winy była niejasna. Ale teraz nie umiała więcej o tym powiedzieć. Nie mogła. Nie zdobędzie się na to.

Wstała, wyszła z pokoju córki, czuła się pokonana i niezdarna.

Ani Jenna, ani Julia tej nocy wiele nie spały, a kiedy Jenna ocknęła się po kilku godzinach niespokojnego snu, Herman Høstmark stał się chrząszczem. Miała wrażenie, że wczepił się jej we włosy i drapie ją wszystkimi odnóżami.

Jenna nienawidziła insektów. Nie jest typem histeryczki, nigdy by jej nie przyszło do głowy, że wdzięczny kobiecy lęk przed robakami może być używany do wywierania wrażenia na mężczyznach. Ona po prostu zawsze strasznie się bała pajaków, larw, chrząszczy, moli i innych podobnych stworzeń. Usiadła na łóżku z krzykiem i jednym, jedynym życzeniem: pozbyć się tego obrzydliwego żuka czy co to tam pełza po jej włosach. Chwytała garściami włosy, potrząsała nimi, by wyrzucić intruza, uniosła w górę ramiona z obawy, że poczuje na swoim nagim ciele poruszające się nóżki czy też czułki. Dostała gęsiej skórki, swędziała ją głowa. Uniosła się, uklękła na posłaniu pochylona do przodu, desperacko przeszukiwała włosy. Trwało parę sekund, zanim zdała sobie sprawę, że to się jej przyśniło i że chrząszczem był Herman Høstmark.

Julia jest ulepiona z zupełnie innej gliny niż matka. Ma ciemne włosy i szczupłe nadgarstki. Jest małomówna, poważna i wrażliwa. Jenna jest pragmatyczna, nastawiona zadaniowo, a przede wszystkim zdolna do

działania, i chociaż bywa, że podejmuje błędne decyzje, to zawsze chodzi wyprostowana i przedsiębiorcza. Julia jest marzycielką. Jest też romantyczką. I to chyba właśnie najbardziej różni ją od matki. Nikt bowiem nie zarzuci Jennie, że jest romantyczna, w każdym razie nie w odniesieniu do mężczyzn, a właśnie mężczyźni są słabym punktem Julii. Jenna podejrzewa, że Julia czeka na księcia lub rycerza i naprawdę wierzy, że ktoś taki pewnego pięknego dnia się pojawi. Nie mam pojęcia, skąd ona taka się wzięła, myślała zawsze Jenna, zastanawiała się, czy to może życiowe niedołęstwo nieboszczyka Magnara Wilhelmsena, które pominęło ją, przeszło na jej dziecko. Kiedy Jenna widzi Julię w jej zwykłej pozycji, jest przekonana, że dają o sobie znać geny dziadka: Julia może godzinami siedzieć bez ruchu, z otwartymi oczyma, które nie patrzą na nic ani na nikogo. Te jej sny na jawie muszą być zwiewne i nierealistyczne; ostatnio mogło w nich chodzić o poetycko usposobionych mężczyzn, o szampana i spacer w blasku księżyca. O adoratorów, białą ślubną suknię i gromadkę dzieci... Jenna nie była niczego pewna, ale uważała, że akompaniamentem tych marzeń Julii jest słodka muzyka i spadające z góry delikatne płatki kwiatów, czy coś w tym stylu. Jenna śmiała się z niej, zaczepiała ją i zapewniała, że księżęta z marzeń w rzeczywistości nie istnieją.

Kiedy Julia była małą dziewczynką, matka opowiedziała jej bajkę o dzielnych księżniczках, które znakomicie sobie radziły, o księżniczках, które potrafiły przerzucić księcia przez ramię, a następnie zjeść go na śniadanie, o księciu, który stał się ropuchą i o królewnach, które zostawały samotnymi matkami oraz ministrami finansów. Ubierała ją w spodnie ogrodniczki na szelkach i czytała wszystkie książki o Pippi Långstrump. Jenna mogła z ręką na sercu powiedzieć, że od momentu, kiedy Julia się urodziła, próbowała złagodzić własne spojrzenie na mężczyzn, wprost lub pośrednio: mają oni swoje zalety, wielu jest niewinnych i czarujących, ale na dłuższą metę najlepiej jest bez nich.

Nic nie działało, Julia słuchała tego, co matka mówi i niezrażona

marzyła nadal. Teraz pewnie przestanie.

Julia była sama w sklepie, kiedy w drzwiach stanął mężczyzna, który wcale nie wyglądał na kogoś, kto odwiedza takie miejsca jak sklep „U Johanny – sztuki magiczne i rzemiosło artystyczne”. Młody, urodziwy mężczyzna. Miał na sobie garnitur, który Julia oceniła jako drogi, i błyszczący krawat. Uśmiechał się szeroko, pokazując białe zęby. Jaki miły uśmiech, pomyślała Julia, która starała się uśmiechać tak, by nie było widać krzywej górnej jedyńki. Mężczyzna przedstawił się: Herman Høstmark. Sprzedaje akcesoria biurowe. Dał jej swoją wizytówkę, czarne i czerwone litery na lśniącym papierze. Przedstawiciel handlowy, napisano kursywą tuż pod nazwiskiem. Wygląda to porządnie i profesjonalnie, uznała Julia. Czy to ty jesteś tu kierowniczką, spytał. Julia zachichotała, nie, zastępuje w sklepie babcię.

Kiedy Herman Høstmark przyszedł następnym razem, powiedział, że chce tylko popatrzeć, co też zrobił, wziął jedną z babcinych makatek we wzorki, potem ją odłożył, zdjął jakąś książkę z półki, przeglądał przez chwilę, zerkając równocześnie na Julię. Zauważyła, że jest obserwowana. Oblizła wargi, wciągnęła brzuch, wyglądała obojętnie przez okno i zachowywała się dokładnie tak, jak zachowuje się kobieta, która dobrze wie, że patrzy na nią mężczyzna. Kiedy podszedł do lady z małym ceramicznym półksiężycem w rękach, Julia miała nadzieję, że tym razem zacznie z nią rozmawiać. Zdążyła nawet pomyśleć, że stanowiliby piękną parę. Doszła do wniosku, że krawat jest prawdopodobnie jedwabny. Prawdziwy jedwab. Ale generalnie nie było w Høstmarku nic niemęskiego. O takich jak on babcia zwykła z pogardą mówić „czaruś”. Julia uważała, że to cudowne. Podniosła wzrok. Jesteś bardzo dobrą ekspedientką, powiedział, zapłacił i wyszedł. W progu odwrócił się i mrugnął do niej. Nigdy dotychczas nie przeżyła czegoś równie romantycznego. Natychmiast zatelefonowała do swojej najlepszej przyjaciółki. Wiesz co?

Julia zaczęła czekać na Hermana Høstmarka. Chętnie szła do pracy, nigdy więcej nie narzekała. I nareszcie, któregoś dnia późnym

popołudniem, on znowu przyszedł. Jest jeszcze przystojniejszy niż za pierwszym razem, uznała Julia. Kupił pudełko kadzideł, a potem chwilę stał przy ladzie i rozmawiał z nią. Upewnił się, czy przekroczyła już najniższy przewidziany w kodeksie wiek inicjacji seksualnej (i to z dobrym okładem). Nie jest przecież głupi. Jako doświadczony uwodziciel natychmiast wiedział, jak ją osaczyć – choć wyraźnie było widać, że ona już skruszała i jest gotowa mu ulec. Opowiadał jej rutynowo o swoich podróżach do miast azjatyckich i południowoamerykańskich, o niebezpiecznych sytuacjach, w których się znajdował. Powiedział, że codziennie trenuje podnoszenie ciężarów, nigdy nie zaniedbuje zajęć. Zwierzył się jej, że nie znosi wody po goleniu ani kremów. Julia przytakiwała. Tak, prawdziwi mężczyźni takich rzeczy nie używają. Pochyliła się nad ladą, słuchała i spoglądała na niego ufnie, z podziwem. Nie chciała byś zobaczyć, jak mieszka skromny przedstawiciel handlowy? Julia dopiero co skończyła siedemnaście lat. Miała na sobie stanik w pieśni Snoopy. Brodawki jej piersi były niewielkie, w tym samym kolorze, jak te róże, o których dopiero co fantazjowała, róże, które on mógłby jej kupić. Szyję miała owiniętą żółtym bawełnianym szalikiem w różowe cytrynki. Jest całkiem nowy i bardzo była zadowolona, kiedy wiązała go rano przed lustrem. Uważała, że jest wyrafinowany (słowo, którego właśnie się nauczyła). Ubrana była w dzinsy, tak ciasne, że on miał wielkie problemy ze ściągnięciem ich poniżej bioder, zwłaszcza że Julia płakała, kopała i próbowała go odepchnąć. Takie z was kokietki, powiedział z uśmiechem. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, zapewniał, głaszcząc jej szyję i kark. Chcesz tego, prawda? Prawda? Uśmiechał się do niej, a ona zauważyła, że odsłania dziąsła i pokazuje zęby. W jednym z nich dostrzegła ciemne wypełnienie. Prawda? Tak, potwierdziła. Kiedy pociągając nosem wiele godzin później weszła do mieszkania, jej szyja była niemal niewidzialna. Ukryła pod szalikiem podłużne, podbiegnięte krwią zadrapania. Zanim zamówił jej taksówkę, zaproponował, że może mogliby się spotkać i spędzić razem przyjemne chwile również w przyszłości. A potem dał jej

pieniądze na taksówkę i podziękował za seks.

Pamiętaj, moja droga, szepnął jej do ucha, zanim przyjaznym gestem wypchnął ją za drzwi, że przyszedł do mojego domu z własnej woli. Całowałaś mnie z własnej woli. Poszedł do mojej sypialni też wyłącznie z własnej woli, prawda? Ostatnie, co zobaczyła, to jego uśmiech. Ten jego miły uśmiech. Miała go przed oczami jeszcze długo potem, kiedy drzwi za Høstmarkiem się zamknęły. Dokładnie tak jak kot z „Alicji w krainie czarów”, którą mama i babcia czytały jej w dzieciństwie. Na tabliczce na drzwiach znajdowało się jego nazwisko i jeszcze drugie, kobiece. Zwymiotowała na wycieraczkę. Odczuwała rodzaj triumfu, kiedy przyglądała się cuchnącym wymiocinom, wolno wsiąkającym w plecionkę.

Non ita bene. Nie za dobrze, brzmiała odpowiedź Jenny na Elli: ut vales (Jak się czujesz?) na początku pierwszej lekcji. Podczas przerwy Ella podeszła do Jenny, która rozmawiała z Frøydis i Celeste.

– Jesteś trochę blada – zauważyła. Powstrzymała się od powiedzenia „wyglądasz na wyczerpaną”. Elli zawsze jest przykro, kiedy z pozoru dobrze jej życzące przyjaciółki i koleżanki mówią, że wygląda na wyczerpaną. Pytają, czy dobrze spała, zastanawiają się, czy nie zaczyna być chora. Postanowiła, że ona sama nigdy nie użyje tej formy wobec swoich współsióstr. Teraz robiła sobie wymówki: uważasz, że to naprawdę lepiej powiedzieć komuś, że jest blady niż, że wygląda na wyczerpanego? Co?

– A jak tam twoja mama?

– Nie jest lekko – odparła Jenna. – Wczoraj wstała, ubrała się i wybierała do pracy, którą zakończyła dwanaście lat temu.

Ella popatrzyła na nią i ku swojemu zdumieniu poczuła ukłucie zazdrości: jak to dobrze mieć matkę, o którą człowiek naprawdę się troszczy. I odwrotnie: mieć matkę, która się troszczy. Opanuj się, Ello Blom, jesteś zazdrosna o nieszczęsną kobietę, która traci siły na opiekę nad matką w demencji! Przestań!

Żadna z przyjaciółek nie zauważyła, że podeszła do nich pani Næss.

Było oczywiste, że rozumiała, o czym Jenna mówi:

– My, stare kobiety, bywamy problematyczne – stwierdziła pani Næss żartobliwie.

Jenna uścisnęła jej ramię.

– Ja kocham starsze panie – powiedziała. – A moją mamę w szczególności i właśnie to czyni wszystko tak cholernie trudnym.

– Rozumiem – zgodziła się pani Næss z powagą. – To samo również dla nas czyni wszystko cholernie trudnym. Gdyby nie miłość, życie byłoby o wiele prostsze.

Jenna spojrzała w dół na włosy pani Næss, niemal całkiem białe, na jej wyprostowane plecy i na pochylone ramiona. Widziała ją wyraźnie oczyma duszy: w granatowym mundurze, uważną, troskliwą i zawsze miłą stewardessę, która poświęciła całe życie zawodowe na obsługiwanie innych, podawanie im płaszczy i kurtek, pocieszanie marudzących dzieci i niezadowolonych biznesmenów. W jej oczach pojawiły się łzy, choć akurat w tej chwili sama nie wiedziała, co je wywołało, czy słowa pani Næss o miłości, czy raczej myśl o matce.

– Dobrze, to teraz pójdę do naszych dwóch panów – oznajmiła pani Næss. – Wy z pewnością macie wiele do omówienia – dodała.

Żadna nie poprosiła, by została. Pani Næss zwlekała nieco z wyjściem z klasy, wykorzystywała wiek do tego, by długo szukać rękawiczek. Ale chociaż z jednej strony aż się paliła, żeby poproszono ją o pozostanie, to z drugiej coś jej mówiło, że tamte akurat w tej chwili potrzebują czasu dla siebie. Dzieje się coś poważnego. Włożyła więc rękawiczki i wyszła.

Podczas gdy Ella poczuła jedynie ukłucie, Frøydis ogarnęła jawna zazdrość i wcale tego się nie wstydziła. Tak bardzo kochała mamę, dałaby wiele, żeby mieć ją przy sobie teraz, ze sklerozą czy bez. Chętnie pomogłaby Jennie w czasie, który pozostał do przeprowadzki Johanny, ale jak miałyby coś takiego zaproponować, żeby nie budzić zdziwienia. Może lepiej zapytać, czy nie mogłaby jej któregoś dnia odwiedzić, spędzić z nią wieczoru?

– Jenna – zaczęła niepewnie. – Myślałam o twojej matce...

– A w ogóle jak sobie radzisz, Jenna? – wtrąciła swoje pytanie Celeste. Matki nie są jej ulubionym tematem rozmów. Matka Celeste żyje, jest zdrowa i na ciele, i na umyśle, ale z latami pani Ringstad nie robi się sympatyczniejsza. Celeste stara się mieć z nią jak najmniej do czynienia.

– Nic szczególnego, ja się boję – odparła Jenna. Czuła łzy pod powiekami i wiedziała, że jej oczy muszą być teraz czerwone. Chyba nietrudno zauważyć, że zaraz się rozpłacze.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Celeste.

W tym samym momencie ogarnęła ją dobrze znana fala strachu i wyobraziła sobie, że Nero skontaktował się z Jenna, że ona też jest narażona na jego ataki.

– Moja droga, o co chodzi? – spytała Ella.

– O moją córkę.

– O córkę? – powtórzyła Ella.

– No tak. Najpierw mama, teraz córka – wykrztusiła Jenna, próbując żartować. – Ale mogę was pocieszyć, nie mam licznej rodziny. Tylko je dwie.

– Powiedz jednak co się stało? – dopytywała Frøydis.

Jenna wciągnęła powietrze.

Już zaczynała żałować. Nie powinna była wyjawiać tajemnicy Julii. To tak, jakby wystawiła córkę na kolejny atak, siłą rozsuwała jej nogi i pozwalała tym trzem obcym osobom patrzeć. Wolałaby córkę, która ma wszystko, jest piękna, zdolna i dopisuje jej szczęście. Nie chce mieć ofiary. Sama w to nie wierzy, ale jest tak, jakby się za córkę wstydziła. Przysięga, że Julia jest bez winy, a mimo to się wstydzi. Wstydzi się tego brudu, tego, co jest nie do nazwania. To wstyd blisko spokrewniony z tym, który kobiety przez tysiące lat znosiły, kiedy mężczyzna źle je potraktował, pobił, zgwałcił. Julia jest niewinna, dlaczego więc Jenna tak marnie się czuje? Wstyd, bo Julia mogłaby, powinna była postąpić inaczej. A czy Jenna ponosi za to odpowiedzialność? Czy to nie była z jej strony

lekkomyślność, zostawiać sklep matki córce, ledwie siedemnastoletniej, pozwalać jej tam pracować samotnie?

Tak, Jenna żałuje, ale w chwilę później przestaje.

– Moja droga – westchnęła Ella.

– Załatwimy to – rzekła Frøydis.

– Dostanie to, na co zasługuje – zapewniła Celeste, a jej oczy mieniły się na tle białej twarzy niczym błękitne płomienie.

*

Szkolna klasa w Oslo, z odłazącą ze ścian farbą, z szarym, zniszczonym linoleum na podłodze. Jest półmrok, tylko blask czterech stearynowych świec i trochę światła z korytarza rozjaśnia pomieszczenie. Słodki, dławiący zapach kadzidła. Pośrodku pokoju stoją cztery kobiety ubrane w czarne, długie aksamitne peleryny. Jedną z nich jest Ella. W głębi duszy zupełnie spokojna. Uczestniczy w czymś, co podejrzenie przypomina średniowieczny sabat czarownic, ale jej zazwyczaj tak krytyczny wewnętrzny głos milczy. Co się stało? Zasnąłś odurzony kadzidłem i uwiedziony ciężkimi, aksamitnymi pelerynami? Próbuje pytać, ale nikt nie odpowiada. Kiedy później starała się analizować to, w czym brała udział, największy problem miała ze zrozumieniem właśnie tego: że nagle w jej duszy zaległa cisza.

– Czy tego trochę nie za wiele? – spytała w końcu Ella. Właśnie ponownie przeanalizowały cały plan. – Przecież on będzie śmiertelnie przerażony.

– No i o to właśnie chodzi – wyjaśniła Celeste. – Ma się bać. Zasługuje na to, żeby się bać.

– Ja ją sobie bardzo dobrze wyobrażam – powiedziała Frøydis ze złością. – Leży w domu i kiwa się, podpierając głowę rękami.

– No właśnie, co z nią? – spytała Celeste.

– Ale... – zaprotestowała Ella. – My przecież nie możemy...

– Ależ tak – przerwała jej Frøydis.

– Prawie nie wychodzi ze swojego pokoju – odparła Jenna.

– Nie ma nic gorszego, niż się bać – stwierdziła Celeste z takim żarem, że Frøydis i Ella zamilkły.

– Ona strasznie się wstydzi – mówiła dalej Jenna. – Uważa, że to jej wina. A przecież to nieprawda!

– Nie – zgodziła się Celeste. – Jej winy w tym nie było.

– Biedna mała – westchnęła Frøydis cicho.

Te dwa słowa cofnęły Ellę w czasy młodości. Pamiętała, jak ją pocieszano albo odsuwano, akurat tymi dwoma słowami. Pamiętała, jak tęskniła za uznaniem, za tym, by ją dostrzegano. Pamiętała, jak to jest być wydanym na ataki i humory innych: nauczycieli, rodziców, dorosłych. Julia jest tylko dzieckiem.

– Dopadniemy go – syknęła Ella. – Zasługuje sobie.

– Do–pad–nie–my–go. Do–pad–nie–my–go – powtórzyła Celeste, mrugając do Elli i wystukując nogą rytm. Pozostałe uległy jej nastrojowi, krąg się zacieśnił, objęły się nawzajem ramionami, głowy kiwały się w takt stóp rytmicznie uderzających o podłogę. – Do–pad–nie–my–go, do–pad–nie–my–go.

To był żart, ale z wolna kobiety stawały się coraz poważniejsze. Z początku się śmiały, a potem zaczęły rozważać to, co się stało Julii, i ogarniał je gniew. Gniew mający swoje źródło w opowiadaniu o niej i Hermanie Høstmarku, który wkrótce objął też różne inne opowieści. Pierwsza była Frøydis. Myślała o mamie, o Sturli Hagbartsenie i o Arthurze Lokke. Ella myślała o Peterze i o Edmundzie Benewitzu–Nielsenie. Celeste o Neronie, o tamtym dniu, kiedy ją zmusił, by prosiła o wybaczenie za coś, czego nawet nie pamiętała. Jak ją wtedy uderzył tak mocno, że straciła równowagę i upadła na blat stołu w salonie. Dobrze było odczuwać ten gniew, zdrową, rozpaloną do białości wściekłość, lodowatą i ostrą jak zamrażający na powierzchni śnieg. Ale po chwili znowu dała o sobie znać niepewność i Celeste nie była w stanie dłużej myśleć o tym człowieku, nie myśleć, nie myśleć, nie o nim. Zamiast tego wolą się zająć młodym lekarzem–stażystą, i Napalonym Karlem,

mężczyznami, którzy się przestraszyli i uciekli. Tylko Jenna myślała cały czas o Hermanie Høstmarku. Chciała zobaczyć, jak leży upokorzony przed nimi, jego urodziwą, młodą gębę wykrzywioną strachem.

Tupot i krzyki ustały. Spoglądały po sobie, najpierw trochę onieśmielone, ale wkrótce wrócił humor:

– To chyba przez te peleryny – roześmiała się Celeste.

– Chyba tak – potwierdziła z uśmiechem Frøydis. – I wiece co? Jak już Jenna was poinformowała, nasz obiekt znajduje się właśnie teraz w studiu treningowym.

– Świetnie – ucieszyła się Ella. – Poradzimy sobie.

Celeste pokazała to, co przyniosła z pracy. Niewielki plastikowy pojemnik z różowym płynem i jeszcze mniejszy z płynem przezroczystym oraz jednorazową strzykawkę. Ella miała linę i śledzie do namiotu. Frøydis podniosła to, co zgodnie z umową miała przynieść: nożyczki. Błysnęła stal, kiedy je pokazywała. Były dość duże, spiczaste, gładkie i ostre. Uchwyty pokryte pomarańczowym plastikiem. Solidne, długie nożyce. Klasyka. Fiński design. Kuchenne nożyce, które można znaleźć w co drugim norweskim domu.

Trzy pozostałe przyjrzały im się uważnie, po czym skinęły głowami jak na dany znak, równocześnie. Frøydis bez wahania przekazała je Jennie, która wyjęła z torebki szalik i starannie owinęła narzędzie. Popatrzyły po sobie. Mogły ruszać, by złapać drania.

*

Kaptur zsuwa się jej na twarz i zasłania widok. To pomaga. Nie chce patrzeć w jego stronę. Czuje pulsowanie krwi w ciele, a w lewej skroni nabrzmiała żyła wygląda jak niebieska śliwka. I przy każdym uderzeniu serca grozi pęknięciem. Kobieta chwieje się, jest pewna, że raczej zemdleje, niż miałyby tego nie zrobić. Mężczyzna na ziemi. Celeste trafiła za pierwszym razem. Muszę trafić w tętnicę, wyjaśniła. Krew jak szalona przepływa przez ciało Elli, pociąg pospieszny, który dudni pod jej skórą. Nabrzmiała żyła musi zaraz pęknąć. On na to zasługuje, przypomina

sama sobie. Ale stoi, gdzie stała, na wpeł odwrócona, kręci się jej w głowie, puls galopuje, wciąż widzi przed sobą tę wzdętą jak balon żyłę. Teraz pęknie. Albo nie. Teraz. Zerka na rozkraczonogo faceta. Przypomina kobietę na ginekologicznym fotelu. Upokorzony, obnażony, bezbronny. Nie chce tego, ale zanim ma czas się zastanowić, zaczyna gulgotać ze śmiechu.

Obok Elli, tuż przy niej, stoi Frøydis. Ma na nogach karmelowobrazowe pantofle ze złoconymi sprzączkami z przodu, na obcasach, które zagłębiają się na kilka centymetrów w rozmokłą warstwę liści. Frøydis przełyka ślinę i przyciska swoje okrągłe ciało do kanciastego ciała Elli. Czy ona się boi? Czy żałuje? Czy czuje litość do tego faceta, który leży rozciągnięty niczym martwe zwierzę? Trzy pytania, na które nie dostaje odpowiedzi, powracają wciąż, i wciąż, bez końca. Ale na Boga, nie możemy teraz odpuścić. Czy ona się boi? Czy żałuje? Czy jest jej go żal? Zatrzymuje na nim wzrok, ciałem mężczyzny wstrząsa dreszcz i teraz ona już wie: mają rację. On na to zasługuje. Odnajduje znowu swoją królewską myśl, wydobywa ją, jest teraz jaśniejsza niż inne myśli, bardziej przenikliwa. To, co teraz robią te cztery kobiety, jest słuszne. On na to zasługuje. Frøydis prostuje się.

Skóra Celeste jest biała niczym mleko. Zawsze jest biała, ale teraz zdaje się świecić własnym światłem. Celeste spogląda na swoje ręce. Wie bardzo dobrze, że ma eleganckie palce, że jej nadgarstki są szczupłe i piękne, ale odnosi wrażenie, że to są całkiem inne ręce. Nie rozpoznaje ich. Unosi w górę dłonie, wyciąga przed siebie, znowu badawczo ogląda. Jedna dłoń coś ściska. To są jej ręce. Białe jak mleko, mimo to obce. Nagle dostrzega, że wszystko wokół skąpane jest w bieli. Wszystko, co widzi, ma ten sam kolor co ciepłe mleko. Widzi pelerynę, którą włożyła na siebie zaledwie kilka krótkich godzin temu (a może to było dawniej?). Stało się to chyba dzisiaj przed południem. Ale widzi ją teraz tylko jak szary, kosmaty cień. Przyjaciółki mającą jej w bieli, one też są ubrane w podobne do cienia peleryny. A tam, tuż przed jej stopami, ale jednak dość daleko: na pół rozebrany mężczyzna. Nagle słyszy śmiech (czy to nie Ella?) i coś, co

może być warkotem samochodów. Słyszy, że facet na ziemi jęczy, a ze zwiędłych, mokrych liści ocieka woda. I jej ręce. Czy te ręce trzymały strzykawkę z usypiającym lekarstwem? Quantum satis (Tyle, ile trzeba, wystarczająco). To było łatwe. Teraz zaciska jedną rękę wokół plastikowego pojemnika z różowym płynem. Wie, co jest napisane na etykiecie, ale litery zlewają się w jedno w tym dziwnym świetle. Nagle widzi wszystko bardzo wyraźnie: Frøydis stoi wyprostowana. Ella się uśmiecha. Jenna unosi nożyczki.

W półmroku i w tej długiej pelerynie Jenna wygląda niczym posąg wycięty w granicie. Wysoka i silna. Twarda jak kamień, nie do zdobycia, uparta. Kiedy jednak Celeste ściągnęła mężczyźnie spodnie, Jenna musiała zwymiotować. Dopiero kiedy wydobyła nożyczki z jasnożółtego szalika w różowe cytrynki, poczuła to, co od początku powinna była czuć. Wściekłość. Jest wściekła. Wściekła i przerażona. Waha się, kiedy metal dotyka ciała mężczyzny. Potem podnosi wzrok i spojrzenia czterech kobiet krzyżują się w przestrzeni nad ciałem mężczyzny. Frøydis skinieniem daje jej znak. Jenna zwiera nożyczki.

*

Kiedy doszedł do siebie, był sam, ale miał jeszcze w uszach śmiech tych czterech kobiet, na siatkówce pozostał obraz błyszczących, rozwartych nożyczek. Mężczyzna szczął zębami, miał wrażenie, że stracił czucie w rękach i nogach. Ale nie był już związany a kiedy się odwrócił, poczuł, że ziemia pod nim jest lodowato zimna i nierówna. Woń moczu się ulotniła, natomiast w powietrzu pozostał inny, cięższy, bardziej metaliczny zapach. Ostrożnie badał palce, poruszał nogami. Wszystko w porządku. Podbrzusze wciąż obnażone. Nie odczuwał bólu, ale jakąś pustkę tam na dole, która sprawiała, że o mało znowu nie zemdleł ze strachu. W ustach mu zaschło, język miał obrzmiały i bezsilny. Było ciemno, więc nic nie widział, a nie miał odwagi dotykać, żeby sprawdzić, jak źle mają się sprawy na dole. Muszę się dostać do lekarza, pomyślał. Ale co miałyby mu powiedzieć? Mimo młodego wieku Herman Høstmark

był mężczyzną doświadczonym, z niejednego pieca chleb jadł. Doktor będzie oczywiście pytał, co się stało. I co on odpowie? Ma zameldować o tych kobietach na policji? Domyślał się, że policjanci też będą wypytywać o jego rolę w tym wszystkim oraz o to, co sprawiło, że cztery kobiety tak go sponiewierały. I kim one są? Nie, najpierw musi się dostać do domu, odzyskać spokój, pozalepiać rany plastrem, zabandażować. Przecież może wykrwawić się na śmierć! Był zaskoczony i odrobinę dumny z siebie. Jest tak ciężko ranny, ale dał radę. Jak prawdziwy facet.

Później Herman Høstmark był wdzięczny losowi, że nie poszedł do lekarza. Ostrożnie podciągnął spodnie, sztywnymi palcami zapiął kurtkę, którą znalazł na ziemi kawałek dalej. Złapał taksówkę, która dzięki Bogu akurat wtedy przejeżdżała. Kierowca uchylił okno i zawołał „cześć, szefie!”, pozdrowienie, którego Herman Høstmark w żadnych okolicznościach nie uważał za zabawne. Wskakuj, powiedział taksówkarz. Herman nigdy nie wskakiwał, a już zwłaszcza teraz. Wybełkotał adres i pomyślał, że chyba wytrzyma krótki kurs. Nawet mimo to, że kierowca jest idiotą, który słucha orientalnej muzyki. Czuł, że spodnie lepią mu się do uda, był zaskoczony, że znowu nie mdleje z powodu utraty krwi, którą oceniał jako znaczną. Znajomy krajobraz z kawiarniami, sklepami i parkami przepływał za oknem. Zapłacił, z zasady nie dał ani korony napiwku, i wszedł na schody. Odepchnął swoją narzeczoną, starał się unikać jej troskliwych rąk, jej pytającego wzroku. Mieszkają razem niecały rok, a ona już zaczęła zadawać pytania, których Herman nie lubi. Tym razem też nie zwlekała.

– Gdzieś ty był? Jakiś ty brudny! Dlaczego chodzisz tak dziwnie? Co ty masz na szyi?

Herman zamknął się w łazience. Zrzucił kurtkę na podłogę i wypinał się tak, by spodnie nie dotykały poranionego podbrzusza. Rozpiął zamek błyskawiczny, po raz pierwszy spojrzął na dół, prawie mdlejąc. Jego męska duma była malutka i żałosna, ale cała. Niczym skulona, przestraszona larwa motyla leżała i odpoczywała sobie na posłaniu

z różowych włosów łonowych. Te baby nie zrobiły z niego eunucha. Nigdzie nie widział ani kropli krwi. One go ufryzowały! Wycięły mu z włosów serce i ufarbowały je na krzykliwy, cukierkowy różowy kolor. Zaklął głośno, spod serca. Narzeczona bezustannie dobijała się do drzwi łazienki.

– Herman, co ty tam robisz? Gdzieś ty był? Co ty masz na szyi?

Uniósł rękę i zerwał to coś. Szalik. Brudny, przesiąknięty błotem, ale on wyraźnie widział wzór: małe, bardzo małe różowe cytrynki na jasnożółtym tle. Już go przedtem widział. Pamięta gdzie.

[6] Wyżyna Lapońska, najdalej na północ położona część Norwegii; norweska Laponia (przyp. tłum.).

LECTIO IX – TERRA INCOGNITA

czyli *Wykład dziewiąty:* *Ziemia nieznana*

Dzisiaj kurs łaciny, ale kiedy Ella się zastanowiła, stwierdziła, że nie cieszy się tak bardzo jak poprzednio. Odczuwała lekkie ssanie w żołądku i domyślała się, że musi ono mieć związek z Hermanem Høstmarkiem. Ista quidem vis est (To przecież gwałt). Pomyśleć, że brałaś w tym udział, Ello Blom, co ty właściwie sobie wyobrażałaś? Że też ona, zrównoważona pani adiunkt z kontem w banku, członkini klubu książki, mogła stać w czarnej aksamitnej pelerynie nad śmiertelnie przerażonym, półnagim mężczyzną. Musiała się uśmiechnąć. Bo to było oszałamiająco przyjemne. Dokładnie tak, jakby wyłączyła mózg i pozwoliła, by ciało przejęło ster. Co za głupstwa, przerwał jej natychmiast wewnętrzny głos. Wyłączyć mózg? Próbujesz wymigać się od odpowiedzialności za wydarzenia, w których uczestniczyłaś. Nie, chyba nie powinny były tego robić. Nie będzie przyjemnie spotkać się z pozostałymi wiedźmami w klasie jakby nigdy nic. A najgorsze jest chyba to, że ona jest śmiesznie racjonalna. Uważa, że nic nie osiągnęły. Cui bono? (W czyim interesie?) Co to pomoże, że cztery starzejące się kobiety wymalują włosy łonowe jakiemuś młodemu draniowi? Czy świat będzie od tego lepszy? Czy drań przestanie być draniem?

Pani Næss rozglądała się z uśmiechem. Bendik i Erik rozmawiali półgłosem, Erik śmiał się z czegoś, co powiedział Bendik. W tym samym momencie Bendik uniósł głowę i mrugnął do niej. Niebywale udany mężczyzna, skonstatowała pani Næss zadowolona, zanim jej wzrok podążył dalej. Frøydis siedziała na swoim miejscu. Górna część ciała i uda tworzyły kąt prosty, a plecy w żadnym punkcie nie dotykały oparcia krzesła. Wyjęła swój zeszyt (sztywne okładki i zakładka z jedwabiu

w kolorze koniaku), zmniejszyła kąt pochylenia o mniej więcej dwadzieścia stopni, brzuch się poruszył, spoczął na udach, a Frøydis zaczęła pisać. Pani Næss ze swojego miejsca nie widziała, co pisze, ale litery wyskakujące spod pióra Frøydis w imponującym tempie były równe i okrągłe, niektóre od góry trochę skrócone, jak na przykład „l” i „k”. Gdyby można odczytać to, co pisała, natychmiast stwierdziłoby się, że jest to bardziej bezładne niż owa precyzyjna proza, którą Frøydis zazwyczaj tworzy. Pani Næss przyglądała się jej długo, potem odwróciła głowę i spojrzała na Ellę. Stała za katedrą i przeglądała notatki do wykładu. Chyba trochę zaniedbała przygotowania na dzisiaj, bo najwyraźniej chciała wszystko uważnie przeczytać przed rozpoczęciem lekcji. Pani Næss nie była w stanie pojąć, że Ella mogła przyjść na zajęcia nieprzygotowana. Dzisiaj dzieje się tu chyba coś dziwnego? Drzwi się otworzyły i weszła Jenna. Pani Næss zdążyła pomyśleć, że samochód Jenny jest chyba znowu na chodzie; w każdym razie Frøydis przyjechała sama. Jenna miała na głowie jedną ze swoich zwyczajnych szydełkowych czapeczek, była zdyszana i zarumieniona. Skinęła krótko głową, zawahała się, zanim usiadła, tym razem nie obok Frøydis, gdzie siadała od pierwszego wieczora, ale znalazła miejsce po tej samej stronie co Bendik i Erik. Czyżby drżały jej ręce, kiedy wyjmowała książkę? Pani Næss nie była pewna.

Pani Næss zauważyła przyjaźń między Ellą, Frøydis, Jenną i Celeste, zanim one same zdały sobie z tego sprawę. Ze swojej uprzywilejowanej pozycji bystrego obserwatora dostrzegła więzi między nimi w momencie, gdy tamte cztery dopiero zaczynały to podejrzewać. Cieszyła się z tego, ale też bardzo chciałyby być młodsza, by stać się jedną z nich. Nie mogła się nadziwić, jak silny związek stworzyły w ciągu tak krótkiego czasu i wczuwała się w to tak szczerze, że niemal doznawała bólu, widząc, iż coś między nimi się zmieniło. Bo chyba coś musiało się stać?

Poprawiła się na krześle, chętnie wstałaby i objęła Ellę, odgarnęła włosy ze spoconego czoła Jenny, z uznaniem poklepała Frøydis po ramieniu. Miała nieprzepartą ochotę zaproponowania swojej pomocy jako

mediatora, dyplomatki czy po prostu mądrej babki, ale zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe. Widziałam, jak się zaprzyjaźniałyście, wiem, że założyłyście klub czy coś w tym rodzaju. Teraz widzę, że coś się popsulo. Czy mogłabym wam pomóc? Nie, pani Næss mogła jedynie siedzieć grzecznie, choć aż się paliła, by coś zrobić.

Pani Næss to przedsiębiorcza dama z mnóstwem pomysłów, ma swoje wspaniałe przyjaciółki (choć najlepsza z nich przez wiele lat, Kristina – kochana, droga Kristina – niestety odeszła), ma swoje książki, ma rodzinę (wnuki są prawdziwym błogosławieństwem, ale żyją własnym życiem i tak przecież powinno być). Ma swoje spotkania przy kawie w centrum emerytów, kurs tworzenia stron internetowych. Rhamnousia nazwała siebie na jednym z profili, który stworzyła. Nie, nie nudzi się, miała też nadzieje związane z kursem łaciny. Owszem, pani Næss ma w co ręce włożyć. Tylko mało inteligentni ludzie się nudzą, mawiał jej ojciec. Pani Næss się nie nudzi; od czasu do czasu zapewnia o tym swojego ojca w niebie. Mimo wszystko egzystencja stwarza wiele okazji do refleksji. Doszła do wniosku, że to wielka zaleta stanu emeryckiego (a może przekleństwo?). Ma czas, żeby siedzieć w ulubionym fotelu i rozmyślać. To w ostatnich latach stało się jej ulubionym zajęciem. Bywa, że się zdrzemnie, często jednak siedzi godzinami z filiżanką kawy i torebką mrożonego groszku – od wielu lat jej ekscentryczną przywarą jest rozkoszowanie się mrożonym zielonym groszkiem. Zresztą czy to przywara? Jedzenie groszku nie ma przecież żadnych skutków ubocznych prócz odrobiny powietrza w jelitach, a ona jest wdową, więc nie obciąża tym nikogo prócz siebie samej. Torebkę z groszkiem zawija w gazetę tak, by pozostawał zmrożony możliwie jak najdłużej. Robi z gazety tutkę i za każdym razem, kiedy siada, z wielkim pakietem w rękach, wspomina małe białe tutki z dzieciństwa, kupowane w soboty w sklepiku na rogu. Przez cały tydzień liczyła drobne monety i ślinka jej ciekła na widok słodczy w dużych szklanych pojemnikach. Chciała kupić wszystko, cały sklep, ale za te swoje drobne dostawała żałośnie mało. Teraz stać ją na to,

by jeść, co chce, a tymczasem ona siedzi z ogromną tutką pełną lodowatych groszków. Musiała się roześmiać, jak to dobrze, że jako siedmiolatka nie miała pojęcia o przyszłych możliwościach, siedmiolatka zresztą nie cierpiała, traktowała to wszystko z niedowierzaniem i głęboką niechęcią. Ale teraz naprawdę rozkoszuje się swoimi groszkami, wkłada do ust jedno ziarenko po drugim, ssie, czując, jak lód topnieje na podniebieniu. A poza tym one są takie śliczne, szmaragdowozielone kulki z maleńkimi zagłębieniami na powierzchni. I pobudzają jej myśli.

W ostatnich tygodniach wiele rozmyślała o czterech paniach z kursu. Zajmowały ją bardzo, wszystkie. Pani Næss siadała wygodnie w fotelu, wkładała ziarenko groszku do ust, przymykała oczy i natychmiast pojawiała się zadowolona twarz Jenny. Panią Næss fascynowała siła, jaką Jenna promienieje, mimo iż łatwo ją źle ocenić i potraktować jako śmieszkę, osobę nie do końca ukształtowaną. Wielu daje się chyba na to nabrać. Nie była pewna, czy Jenna świadomie sprawia takie mylne wrażenie, czy nie mogłaby być inna. Pani Næss nauczyła się cenić jej poczucie humoru, zaczęła się cieszyć na jej widok. Obecność Jenny poprawia humor pani Næss.

A dalej Ella. Taka zdolna. Pani Næss podziwia niezależność Elli, ale zdaje sobie sprawę, że ona też nie jest szczęśliwa. Nie odkryła tylko jeszcze dlaczego. Może jest to coś banalnego, ale nie mniej ważnego, jak na przykład nieszczęśliwe małżeństwo. Ella jest bardzo ładna w jakiś umiarkowany sposób, jakby uroda była jej dobrze skrywanym skarbem, jakby sama zapomniała, że ją posiada.

Celeste przyćmiewa je wszystkie, trudno tego nie zauważyć. Jest piękna, uderzająco piękna. Pani Næss uznała kiedyś, że najpiękniejsze są jej szczupłe ręce, ale w następnym momencie doszła do wniosku, że to włosy. Albo figura. Biała skóra. Tak, Celeste jest piękną, bez wątpienia, ale pani Næss uważa stanowczo, że i ona ma swoje tajemnice. Pani Næss była tego taka pewna, że w końcu zapragnęła je poznać. Czy Celeste się boi? Pani Næss pamięta, jak tamta zareagowała, kiedy

któregoś dnia nieoczekiwanie do drzwi klasy zapukał dozorca. Musi to wyjaśnić.

Frøydis. Bez wątpienia wydatne ciało tej kobiety przytłacza jej osobowość, mimo to niemal zakochała się w niej. Pani Næss przyłapuje się na tym, że wciąż na nią patrzy, chętnie rozmawiałaby z nią na przerwach, była blisko niej. Tak, Frøydis ma w sobie coś magnetycznego. Jest taka młoda. Taka silna. Twarz ma okrągłą i gładką, o dziewczęcych rysach, a mimo to stanowczą. We Frøydis jest coś pociągającego, co trudno zdefiniować i w oczach pani Næss to ona jest przywódczynią, osobą, do której inni się zwracają i za którą chcą podążać, i w dobrym, i w złym. Zwróciła uwagę na to, że inne spoglądają w stronę Frøydis, jakby szukając uznania. Frøydis jest kimś, chętnie myślała pani Næss. Frøydis znosi ciosy, a kiedy pani Næss przemyślała wszystko, stwierdziła, że w gruncie rzeczy jej ciało nie jest takie wielkie, jest po prostu bujne i wygląda niezwykle zdrowo.

Celeste spóźniła się dziesięć minut. Uśmiechnęła się promiennie, nie było w tym uśmiechu cienia przeprosin. Jakby nie przyszło jej do głowy, że ludzie zwykle przepraszają, jeśli nie zjawiają się na czas. Ella rozpoczęła zajęcia punktualnie o siódmej. Zaczęła powtórzeniem koniugacji słowa „być” w czasie teraźniejszym: sum, es, est, sumus, estis, sunt. Ja jestem, ty jesteś, on/ona/ono jest, my jesteśmy, wy jesteście, oni są. Poprosiła klasę o powtarzanie chórem. Sum, es, est. Sumus, estis, sunt. Jenna najwyraźniej nie lubi ćwiczeń gramatycznych, może czuje się gorsza wobec pozostałych z akademickim wykształceniem. Pani Næss natomiast z pewnością siebie przyłączyła się do chóru; odmiana tkwi w jej głowie od czasów gimnazjum. Poza tym lubi, że znaczenie słów wykracza poza gramatykę, jest swego rodzaju potwierdzeniem, że oni istnieją. Ja jestem. Ty jesteś, Frøydis. Ella jest. My wszyscy tutaj jesteśmy. Conjugato ergo sum. Declino ergo sum (Odmieniam więc jestem). Czy można tak powiedzieć? Ella uśmiechnęła się do nich. Euge! Potem zaczęła wyjaśniać zasady związków między pozycją słowa i przypadkiem. Pani Næss

przyglądała się Celeste, ale ani w jej wyglądzie, ani zachowaniu nie mogła dostrzec niczego zwracającego uwagę. Erik też długo na nią patrzył, on często tak robi, pani Næss to zauważyła. Ella uśmiechnęła się krótko i bardzo profesjonalnie na powitanie spóźnialskiej, pozostałe nawet nie podniosły oczu. Co się między nimi wydarzyło? Bo że coś takiego jest, pani Næss nie ma już wątpliwości. Prawdopodobnie coś ważnego, ale określenie tego jest trudne. Bardzo pragnęła im pomóc!

Dopiero kiedy Celeste usiadła, zrzuciła płaszcz i wyjęła zeszyt, poczuła, że coś jest nie tak. Kiedy przed wyjściem miała przekroczyć próg własnego domu, dostała regularnego ataku strachu, przez wiele minut nie miała odwagi otworzyć drzwi. Była przekonana, że Nero stoi po tamtej stronie, gdzieś na dole ciemnej klatki schodowej, i na nią czeka. Wsiadła do taksówki i dopiero wtedy była w stanie się rozluźnić, zacząć normalnie oddychać. Cieszyła się, że zobaczy przyjaciółki, teraz jednak zdała sobie sprawę, że atmosfera jest napięta. Spadło to na nią nieoczekiwanie, choć przecież powinna była przewidzieć, że coś takiego może się stać. Rozejrzała się i natychmiast stwierdziła, o co chodzi: pozostałe członkinie ligi żałują. Wstydzą się i są skrępowane wobec siebie nawzajem. To typowy nastrój „dnia po”. Nie kontaktowały się ze sobą w ciągu minionego tygodnia. Teraz Jenna i Frøydis unikają kontaktu wzrokowego. Ella mechanicznie prowadzi zajęcia. Celeste przyglądała się wszystkim po kolei, miała chęć zachichotać, ale się opanowała. One zachowują się dokładnie tak jak ktoś, kto budzi się z dudniącym bólem głowy i nagle przypomina sobie, że mówił coś strasznie głupiego niewłaściwej osobie, albo że leży w łóżku z kimś, z kim absolutnie leżeć nie powinien. Nie wstaje z łóżka, głowa mu pęka, w żołądku przelewają się resztki wina i żałuje tak, że sprawia mu to fizyczny ból. Celeste wielokrotnie mówiła rzeczy, których nie powinna, jeszcze częściej wskakiwała do łóżka z kimś, z kim nie powinna była tego robić, ale nigdy nie żałowała. Wyrzuty sumienia i niewczesny żal to generalnie nie są sprawy dla Celeste. Ona zwykle połyka tabletkę od bólu głowy i koncentruje się na bieżącym dniu.

Ella mówiła o trzech wojnach punickich, o Kartaginie. Tłumaczyła, że Punijczyk to to samo słowo co Fenicjanin, również w sensie etymologicznym, że puniceus znaczy „mały”, a Rzymianie nazywali Fenicjan „małym ludem”. Ella jest na tyle doświadczoną i zdolną nauczycielką, że łatwo było zauważyć, iż dzisiejsze zajęcia nie są takie jak zwykle. Skoro Celeste już raz zwróciła uwagę na atmosferę, mogła dojść do wniosku, że Ella jest mniej zaangażowana niż normalnie. Jej głos brzmi bardziej monotennie, że spogląda raz po raz na Erika, Bendika i panią Næss. A co z wiedźmami? Czy one coś zauważyły? Nie, Frøydis i Ella są zbyt zajęte sobą – i swoim wstydem? Celeste pośpiesznie zerknęła na Bendika (wyglądał dzisiaj bardzo dobrze w obcisłym swetrze) i Erika (jak zawsze, kiedy na niego patrzyła, pomyślała o Sebbe, automatycznie ich ze sobą porównując), obaj oni słuchali z zainteresowaniem wykładu o wojnach punickich. No tak, to przecież mężczyźni, biedacy, stwierdziła Celeste, a subtelne zmiany nastroju zrobiły na niej wrażenie. No i co z panią Næss? Celeste zerknęła w jej stronę. Może się domyśla, że coś jest na rzeczy? Pani Næss to przenikliwa osoba. Na przykład natychmiast zauważa, kiedy Celeste na nią patrzy i też spogląda w jej stronę. Celeste cofnęła wzrok, ale w starej twarzy tamtej coś dostrzegła. Pani Næss jest zaintrygowana. Zrozumiała, że coś się dzieje. O czym mówi teraz Ella? No tak, wciąż jeszcze o wojnach punickich. Newiusz napisał *Bellum Poenicum*, co oznacza „Wojna punicka”. *Bellum* to nominativus, liczba pojedyncza, przykład na drugą deklinację. Bendik, możesz to odmienić?

W końcu nadeszła przerwa. Po raz pierwszy Celeste miała wrażenie, że zajęcia trwają zbyt długo, znowu przypomniała sobie zniecierpliwienie z czasów szkolnych, tak samo było, kiedy siedziała na lekcjach historii w piątce po południu. Czuła wówczas, że wskazówka sekundowa w zegarku porusza się nieskończenie wolno, nie mogła się doczekać dzwonka. Musi z nimi porozmawiać, to trzeba załatwić. Wstała w tej samej chwili, gdy Ella, pięć minut po terminie, zakończyła pierwszą lekcję. Bendik i Erik już wychodzili z klasy. Trzy pozostałe panie podnosiły się

niechętnie. W ubiegły wtorek starały się zostać same, jak najszybciej wypchnąć pozostałych na korytarz. Tym razem pani Næss przeprosiła i niemal wybiegła, słysząc było pogodne głosy Bendika i Erika na korytarzu. Ella stała przy katedrze i znowu przekładała papiery. Jenna spoglądała w górę i w dół, potem popatrzyła na Frøydis. Ta dała znak, że wychodzi, ale Celeste chwyciła ją za ramię, zwróciła uwagę, jakie miękkie jest ramię Frøydis, jakby dotykała poduszki wypełnionej najdelikatniejszym puchem. Wyraz twarzy miała zaś surowy.

Bendik i Erik stali w jesiennych ciemnościach, z głowami pochylonymi ku sobie, i z chłopięcym żarem rozmawiali prawdopodobnie o hard rocku i heavy metalu. Pani Næss zniknęła gdzieś, pewnie w toalecie. Jenna, Frøydis, Ella i Celeste zostały w klasie. Nie było to przytulne pomieszczenie, ściany pomalowane na zielono, farba odpada z nich wielkimi płatami. Linoleum zniszczone, a przed tablicą rozdarte (Ella musi uważać, by się nie potknąć, kiedy podchodzi do tablicy). Na pulpitych pozostały ślady po uczniach Szkoły Morskiej z dawnych czasów. Na jednym wyrzeźbiono imię Oskar. Valparaiso i Przylądek Dobrej Nadziei wypisano czarnym tuszem na miejscu Celeste, która wyobrażała sobie, że odbywały się tu długie lekcje nawigacji i geografii, czy czego tam nauczano w takiej szkole. Lekcje jednak dłużyły się uczniom, tak jak jej zajęcia z historii. Na tablicy, staroświeckiej czarnej desce, Ella wypisała białymi literami: *Inter arma silent leges* (Podczas wojny milczą prawa). Światło, które Celeste zazwyczaj odbierała jako ciepłe i przyjazne, teraz zabarwiało ich twarze jadowitą żółcią. Żadna się nie odzywała. Celeste zamknęła drzwi na korytarz, odwróciła się do swoich trzech przyjaciółek.

– Posłuchajcie mnie, dziewczyny. On na to zasłużył.

Tamte nadal milczały, ale Celeste miała wrażenie, że Jenna leciutko kiwnęła głową. Ona sama roześmiała się cicho, potem mówiła dalej:

– Ja jestem tylko prostą farmaceutką, ale nie trzeba naukowych tytułów z psychologii, by zrozumieć, co się z wami dzieje. Diagnoza jest prosta: żałujecie.

– Ale nie powinnyśmy były tego robić – odparła Ella momentalnie, jakby ta replika była zamknięta w jej głowie i nareszcie pojawiła się możliwość, by ją uwolnić. – Nie powinnyśmy były – powtórzyła mniej pewnie.

– Nic podobnego – zaprotestowała Celeste. – Ja uważam, że powinnyśmy były. Pomyśl, co on zrobił!

– No właśnie – wtrąciła Jenna cicho.

– Ale inna sprawa to zmusić jakiegoś głupka, by nawygadywał bzdur w telewizji, czy spowodować rozwolnienie u paru niedojrzały facetów, czy też zniszczyć park i opinię innego dupka, a co innego stosować gwałt – upierała się Ella.

Frøydis wyżej uniosła głowę.

– Ella – zaczęła. – Z Edmundem–Benewitzem Nielsenem też obeszlęśmy się surowo. Nie chcę powiedzieć, że on na to nie zasłużył, ale...

– Znieczulić go, związać... – przerwała jej Ella, ale po chwili blado się uśmiechnęła. – ...to chyba za wiele.

– Za wiele? No dobrze, to rzeczywiście dość brutalne – przyznała Celeste. – Ale tego, co zrobił Herman Høstmark, też nie da się porównać z innymi. Boże drogi, przecież go nie skrzywdziłyśmy.

– Dobrze wiesz, że on myślał, iż zamierzamy obciąć mu ptaszka – powiedziała Ella.

– Tak – potwierdziła Celeste. – I cieszę się, że tak myślał.

– To, co mówisz, jest rozsądne – rzekła Frøydis.

Celeste poczuła ciepło w sercu i radość, że Frøydis ją chwali, a uznanie dodało jej energii, by wyjaśnić pozostałym, co ma na myśli:

– Tamte nasze akty zemsty były... czyste. To, co zrobiłyśmy z Hermanem Høstmarkiem, to konfrontacja z rzeczywistością. Po raz pierwszy byłyśmy na miejscu razem z ofiarą. To tak jakby nagle zobaczyć, że próżniowo zapakowane jagnięce kotlety są żywym zwierzęciem o niewinnych oczach i miękkiej wełnie.

– Ale czy to pomogło? – spytała Ella z powątpiewaniem.

– Tak – potwierdziła Jenna wysokim, czystym głosem. – Tak, uważam, że pomogło. Julia o niczym nie wie, a ja nie jestem pewna, jakby to przyjęła. Ale tak, pomogło.

– No dobrze – rzekła Ella z wyraźną ulgą.

– O tak – dodała Celeste. – To nie jest patetyczna racjonalizacja po fakcie. Uważam, że możemy podsumować sprawę następująco: nasz ufryzowany przyjaciel Herman Høstmark dwa razy pomyśli, zanim znowu spróbuje rzucać się na nastolatki.

Nastrój w klasie zauważalnie się rozluźnił, prawdopodobnie dlatego, że wszystkie cztery kobiety właśnie w tej chwili miały wyryty na siatkówkach ten sam obraz: przestraszonego, skulonego penisa na tle jadowicie różowych włosów łonowych.

– Ale czy on po prostu nie zgolił wszystkich śladów? – upierała się Ella. – To nawet bardzo modne. Mężczyźni w jego wieku bardzo często usuwają sobie włosy tam na dole.

– To prawda, mogę potwierdzić – zawołała Celeste. Przechyliła głowę na bok i puściła oko.

– No i przy okazji może zgolić ślady – powtórzyła Ella.

– Nie wszystkie – zaproponowała Celeste. – Przynajmniej nie od razu. Ta farba wgryza się w skórę. Będzie nosił w kroku to różowe serce co najmniej przez dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie. I ty myślisz, że to pomoże? – zastanawiała się Ella.

– Jestem przekonana, że to była dla niego nauczka – odparła Celeste ze śmiechem. – Upokorzenie, strach, który czuł, kiedy tak tam leżał. Największą karą nie była fryzura. Najgorszą karą było to, że tak się bał.

– Myślę, że ona ma rację – powiedziała Frøydis.

– A ja wiem, że ma rację – dodała Jenna. – I wiem też, że kiedy stał w łazience z maszynką do golenia i zamierzał usunąć różowe włosy, to przez moment miał ochotę obciąć sobie wszystko. Wyobrażam sobie, jak stoi, spogląda na lśniące ostrze żyłki oraz na to swoje żalosne przyrodzenie i myśli do ilu beznadziejnych czynów ono go nakłoniło,

rozważa więc, czy by go się nie pozbyć.

– Naprawdę tak myślał? – spytała Celeste.

– Skąd... – odezwała się równocześnie Ella.

– Ja wiem, że tak myślał – upierała się Jenna, a coś w jej głosie sprawiało, że pozostałe milczały.

Spoglądały na nią przez chwilę i każda z osobna próbowała pojąć, co się dzieje w głowie Jenny.

– I na pewno mu nie stanie – oznajmiła nagle Jenna.

Przyjaciółki popatrzyły na nią zaskoczone i jeszcze bardziej zdumione.

– Skąd ty wiesz? – zaczęła Ella, ale nie powtórzyła pytania, mimo że Jenna nie odpowiedziała.

– Potem mu to przejdzie – krótkotrwałe zaburzenie erekcji.

– No dobrze – rzekła Ella sucho, ale musiała się uśmiechnąć.

– Jesteś pewna, że teraz jest impotentem? – spytała Celeste.

Jenna przymknęła oczy, długo stała bez ruchu. W końcu powiedziała:

– Taka pewna to nie jestem. Może się mylę.

Na kilka sekund zaległa cisza, a one znowu zdumione spoglądały na Jennę. Ella zaczerpnęła powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Niech Jenna zachowa swoje przekonanie. A ty, Ello Blom, zachowaj swoją racjonalność! Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu (Jenna wygląda wspaniale, kiedy tak stoi) i zamiast wystąpić z kolejną rozsądną repliką, roześmiała się i powiedziała:

– Wiecie co, dziewczyny? Kiedy tak teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że jedyne, co mi się naprawdę podoba, to to, że zachowałyśmy się równie prymitywnie jak mężczyźni w gromadzie.

– Mężczyźni – syknęła Celeste i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Przecież zachowałyśmy się niczym zwariowani uczniacy – oznajmiła Ella. – Jak banda chuliganów. Stałyśmy się ofiarami naszej masowej sugestii. Omal nie zaczęłyśmy wydawać bojowych okrzyków. To okropne.

– Raczej jak niewielki batalion umundurowanych żołnierzy – prychnęła Frøydís. – W tych twoich strojach musi być jakaś dziwna siła, Jenna.

– Przerwa kończy się za chwilę – poinformowała Ella nauczycielskim tonem, spojrzawszy na zegarek. – Muszę wam jeszcze powiedzieć jedno, zanim pozostali wrócą. Katullus napisał utwór, który moim zdaniem bardzo by się spodobał Hermanowi Høstmarkowi. Opowiada on o Attisie, który sam się wykastrował, i gramatycznie rzecz ujmując, przeszedł w trakcie tego zabiegu z rodzaju męskiego na rodzaj żeński: „Jestem kobietą, byłem mężczyzną...”.

– Świetnie – skinęła głową Frøydis. – Oto nasz mężczyzna.

– Znikające klejnoty – powiedziała Ella.

– Kto jest następny na naszej liście? – spytała Celeste wyzywająco. – Przecież teraz się nie poddamy.

– Dopiero co zaczęłyśmy – odparła Frøydis, nagle ogarnięta wolą walki. – Mamy zadanie do wykonania.

– W każdej chwili tamci mogą tu przyjść – ostrzegła Ella, podchodząc do katedry.

– Kto jest następny? – upierała się Celeste. – Musimy zrobić kolejne zebranie.

– Ja nie wiem – szepnęła Ella, zdenerwowana i równocześnie roześmiana. – Ale zebranie może się odbyć u mnie. Teraz jednak zaczynają się zajęcia.

– Świetnie. Jest coś, o czym chciałabym wam powiedzieć. Mam kandydata – rzekła Celeste cicho. – A co się tyczy Hermana Høstmarka – on na to zasłużył.

– Kto zasłużył na co? – spytał głos od progu.

Bendik i Erik stali w drzwiach i patrzyli.

– Rozmawialiśmy o Kaliguli – wyjaśniła Ella bez wahania, a Celeste popatrzyła na nią z uznaniem. – Został trafiony nożem i umarł w wieku dwudziestu ośmiu lat.

– Kto? – spytała pani Næss.

Chłopcy usiedli już na swoich miejscach, teraz w drzwiach ukazała się siwa głowa pani Næss. No właśnie, pomyślała Celeste. Pani Næss

podejrzewa, że my coś robimy.

– Gajusz Juliusz Cezar August Germanikus – wyrecytowała Ella. Przyjęła pozę nauczycielki i stanęła za katedrą. – Lepiej go znamy pod imieniem Kaligula.

– Ach, Kaligula! – ucieszyła się pani Næss. – Trzeci cesarz rzymski. Byłam pewna, że mówicie o kimś innym.

– Nie – zaprzeczyła Ella.

– Nic podobnego – dodała Celeste w sekundę później. I natychmiast tego pożałowała. Powinna była trzymać język za zębami, bo teraz widać, że po prostu desperacko pragną całą sprawę ukryć. Pani Næss nas zaczepia. Szczerze mówiąc, ona przekomarza się z nami. A może nie? Czytałam kiedyś, że Kaligula chciał mianować na konsula własnego konia – dodała pani Næss.

– Zgadza się – roześmiała się Ella. – To znana historia.

– Ów koń z pewnością był ogierem – uzupełniła tamta, spoglądając na Ellę, która nie znajdowała właściwej odpowiedzi.

Tak, tak, pomyślała Celeste. Ona nas zaczepia.

Pod koniec drugiej lekcji Ella mówiła o łacińskich nazwiskach. Jeśli obcy zostawał obywatelem Rzymu, to dostawał on (albo ona, wtrąciła Celeste, no nie wiem, odparła Ella, chyba nie do końca tak to było) łacińskie nazwisko na znak nowego obywatelstwa.

Znamienici mężowie rzymscy mieli po trzy nazwiska: praenomen, nomen, cognomen. Praenomen jest czymś w rodzaju imienia, ale używali go jedynie bardzo bliscy przyjaciele i krewni. Następny jest nomen gentis, czyli część nazwiska wskazująca, do jakiego rodu się należy. Gens oznacza zbiór rodzin posiadających wspólny nomen. Chętnie podkreślano, że wszyscy pochodzą od praojca rodu czy plemienia (albo od pramatki, wtrąciła Celeste), choć oczywiście tak nie było. Ostatnią część nazwiska Rzymianie określali jako cognomen. To nazwisko, a właściwie przydomek, też było dziedziczone i często miało coś wspólnego z fizycznymi cechami tego, który nosił je jako pierwszy. Ahenobarbus znaczy miedzianobrody,

Flaccus to długouchy. Chętnie bym go zobaczyła, roześmiała się Jenna. Jeden z przodków Cyclerona, czyli Marcusa Tulliusa Cicerona, jak brzmi jego pełne nazwisko, musiał mieć mnóstwo brodawek, bo to właśnie jego nazwisko oznacza. Naprawdę? – wykrzyknął Bendik. Mhm, przytaknęła Ella, a właściwie jest to nazwa grochu, więc prawdopodobnie brodawki miały kształt ziaren grochu. Uff, jęknął Erik. Dzisiaj wiele współczesnych nazwisk to stare rzymskie cognomina. Mniej znamienici obywatele mieli po dwa imiona, niewolnicy tylko jedno. I to odnosi się również do kobiet. No coś takiego, zdziwiła się Frøydis. Najczęściej była to sfeminizowana forma imienia ojca rodu. Córka Marcusa Tulliusa Cicerona nazywała się Tullia. Główną osobą w rzymskiej rodzinie był oczywiście mężczyzna: pater familias. Można powiedzieć, że był głową rodziny, to on głosował, pełnił służbę wojskową, płacił podatki oraz był odpowiedzialny za żonę i dzieci. Najczęściej tylko pater familias nosił trzy nazwiska. Pozostali tego nie potrzebowali, nie występowali bowiem jako osoby publiczne. To były czasy, westchnął Bendik. Milcz, głupi chłopie, odparła Celeste przyjaźnie.

Ella zerknęła na zegarek. Miała do dyspozycji jeszcze kilka minut. Mówiła więc, że wielu wykształconych ludzi w średniowiecznej Europie latynizowało swoje imiona i nazwiska; kpił z tego na przykład Ludvig Holberg^[7], który jednego zadufanego w sobie studenta, Rasmusa Berga, przechrzczył na Erasmusa Montanusa. Montanus to po łacinie góra, znamy to słowo między innymi z angielskiego.

– A moje imię jest staronordyckie – oznajmiła Frøydis. – Oznacza coś w rodzaju bogini władców. Dis w staronordyckim oznacza boginię.

– A pierwsza część? – spytał Bendik.

– Frøy to przecież męski odpowiednik bogini płodności Frøi.

– To znaczy, że nosisz imię po mężczyźnie, Frøydis?

Celeste spojrzała na Frøydis niemal z wyrzutem.

– I obawiam się, że nie po byle jakim mężczyźnie – odparła Frøydis, udając skrepowaną. – Ten Frøy bywa często przedstawiany z ogromnym fallusem.

– Z ptakiem, moja siostró Frøydis – skorygowała Celeste, kręcąc z przejęciem głową.

– Phallus należy do drugiej deklinacji – powiedziała Ella z bardzo poważną miną. – A mentula to określenie ludowe.

– Chcesz powiedzieć, że fiut po łacinie nazywa się mentula?

– Tak jest – odparła Ella.

– Dobrze wiedzieć – uśmiechnęła się Celeste. – Pożyteczna informacja.

Nastrój w klasie był zupełnie inny niż podczas pierwszej lekcji. Ella też odzyskała zwykły entuzjazm. Jej studenci śmieją się i żartują ze sobą. Ella odczuwała wdzięczność, wprawdzie nie bardzo wiedziała, do kogo powinna ją skierować, ale to była właśnie wdzięczność. Wdzięczność za to, że została nauczycielką na tym kursie, że poznała ich wszystkich, że w tak dojrzałym wieku zdobyła trzy przyjaciółki. Bo przecież one traktują ją jako przyjaciółkę. Przełknęła ślinę, zdawała sobie sprawę, że jest beznadziejnie sentymentalna.

– Erik oznacza potężnego władcę – zawiadomił nosiciel tego imienia, zachęcony swobodną atmosferą.

Bendik i Frøydis wybuchnęli śmiechem. Najmłodszy student Elli, którego ona w myślach nazywała Erykiem Rudym, zarumienił się jak zwykle.

– Natomiast Bendik to znacznie spokojniejszy facet – wtrąciła, by odwrócić uwagę od zmieszanego Erika. – To imię łacińskie, benedictus znaczy błogosławiony.

Bendik, wciąż roześmiany, potakiwał i palcem kreślił nad swoją głowę aureolę.

Ella rozejrzała się i wskazała na panią Næss.

– Anne to wariant imienia Anna, imienia hebrajskiego. Oznacza...

– ...Bóg jest łaskawy – dokończyła Næss.

– Recte, Anna Næssus – uśmiechnęła się Ella. – Næss to to samo słowo co nos.

– Ekstra! – ucieszył się Erik, który już się pozbierał po poprzedniej

replce. – Ja jestem Ericus.

– Bardzo dobrze, Ericus. I ty, Jenna, też zostałaś całkowicie zlatynizowana – mówiła Ella. – Jenna to łacińska forma od Jenny. Twoje imię wzięło początek od Johannes, co także oznacza „Bóg jest łaskawy”.

– Oj, chyba jest – mruknęła Celeste żartobliwie i w tym samym momencie pomyślała o Sebbe, o swoim ukochanym synu.

– A co z twoim imieniem? – spytał Bendik. – Elvira jakaś tam, prawda?

– Tak jest – potwierdziła Ella. – Elvira prawdopodobnie pochodzi z hiszpańskiego i niektórzy uważają, że oznacza to „cała prawda”. Druga część ma to samo źródło co vere, „prawda” po łacinie.

– No to właściwie ty nie możesz kłamać? – spytał Erik.

– Nie ma chyba nikogo, kto by od czasu do czasu nie mijał się z prawdą – odparła Ella swobodnie. – Caelestina Circoppidan. Celeste Ringstad. Celeste pochodzi z francuskiego.

– Tak, to znaczy niebiański – przytaknęła Celeste, unosząc wzrok ku górze.

– Jak pięknie – zachwycił się Bendik. – Dostałaś to imię po kimś?

– Nie, nie jestem po nikim ochrzczona. Dostałam je, bo moja matka była na mnie wściekła – odparła Celeste.

*

Celeste dostała swoje imię w niecałą minutę po urodzeniu. A jego wybór polegał na nieporozumieniu. Nieszczęsna pani Ringstad była kompletnie wyczerpana po długiej ciąży i trudnym porodzie.

Na początku małżonkowie Ringstad dowiedzieli się, że dziecko (było to już drugie) urodzi się pod koniec lipca. Podczas tej ciąży pani Ringstad zrobiła się niebywale gruba. Musi pani wytrzymać, proszę się rozluźnić i pić herbatę, powtarzał jej lekarz. 20 lipca pani Ringstad spakowała do torby wszystko, czego będzie potrzebować w szpitalu i zaczęła czekać. Dziecko w jej brzuchu zachowywało się jak zwykle. Nic nie wskazywało na to, że ma jakieś plany wyjścia na świat. Kopało, popijało wody płodowe, spało. Nadszedł sierpień. Wyjątkowo gorący tamtego roku. Żyły pani

Ringstad nabrzmiewały, ciężko jej było oddychać i dręczyła ją zgaga, a kłopoty z miednicą sprawiały, że prawie nie mogła chodzić (co prawda nie bardzo tego pragnęła). Przeważnie siedziała w dużym wiklinowym fotelu w cieniu i popijała z dużej szklanki herbatę z lodem, czytając przy tym leksykon imion. Jej dziecko już dawno dojrzało do narodzin. Chyba samo też to zauważało, ale zaciskało drobne piąstki i nie chciało wychodzić. Może dlatego, że był to mały człowieczek, który nienawidził, by inni nim rządzą. Minął pierwszy tydzień sierpnia. Matka siedziała niczym wieloryb na zacienionej, ale i tak zbyt gorącej werandzie. Bolały ją żebra, kiedy próbowała głębiej zaczerpnąć powietrza. Porobiły się jej żyłki, niczym grube liny opasywały nogi. Cierpiała na zaparcia, lekarz zaordynował suszone śliwki do herbaty. Piła mrożoną herbatę, żuła śliwki i wciąż czytała leksykon imion. 12 sierpnia mąż zawiózł ją do szpitala. Nie mogła już siedzieć wyprostowana, nawet w samochodzie musiała leżeć na boku, z brzuchem opartym o przednie siedzenie, które jej mąż przesunął możliwie jak najdalej i sam jechał z kolanami pod brodą. Hmm, powiedział doktor, uciskając brzuch ciężarnej. Potem osłuchał go stetoskopem. Dziecko ma się znakomicie. Musi pani wytrzymać. Poród może się zacząć w każdej chwili. Lekarz zaordynował czerwone wino, by przyspieszyć bieg spraw.

Pani Ringstad sączyła trunek, nadal żuła śliwki i piła herbatę. Ale dziecko nie chciało się urodzić. Trzymało się mocno małymi paluszkami, zapierało o ścianki macicy i odmawiało współpracy. Jakby na coś czekało. Wieczorem 23. sierpnia pani Ringstad zatelefonowała do szpitala i oznajmiła, że zaczyna się obawiać, iż chwyci wielki nóż do chleba i sama sobie zrobi cesarskie cięcie. Spróbujemy przyspieszyć poród, zdecydował lekarz. Proszę wytrzymać. Mówił coś o kleszczach, coś o porodzie próżniowym. Proszę się uspokoić, pani Ringstad, dziecko będzie na świecie dziś wieczorem.

Kiedy pan i pani Ringstad przybyli do szpitala, była za piętnaście dwunasta. Ciężarna kobieta powlekła się na salę, gdzie czekał lekarz

przygotowany do przeprowadzenia porodu próżniowego, na stoliku przy łóżku leżały lśniące instrumenty, wszystkie skonstruowane po to, by wydostawać na świat odporne dzieci. Teraz dam pani zastrzyk, który rozpocznie proces porodu, potem nakłujemy pęcherz płodowy i w ciągu paru godzin będzie pani mogła powitać swoje dziecko, obiecywał lekarz. Proszę się tylko położyć. Ale w tym samym momencie, kiedy to powiedział, z pani Ringstad chlustnęły wody, a ona skuliła się pod wpływem gwałtownego skurczu, upuściła torbę, straciła mowę. Bez medycznej asysty, w ciągu niecałego kwadransa, druga córka państwa Ringstadów przyszła na świat. Wydarzyło się to minutę po północy, 24 sierpnia.

Dziewczynka ułożona była nogami do przodu, miała niezwykle ciemne włosy i cała była różowa jak świeżo ugotowany łosoś.

– Więc tak wygląda ten mały prześladowca – powiedziała pani Ringstad, kiedy złożono jej w ramionach zawiniątko.

– Na co ty właściwie tak długo czekałaś, moja kochana? – ćwierkał pan Ringstad.

– Ona musi mieć na imię Celeste – oznajmiła pani Ringstad głośno i zdecydowanie. Zawsze miała słabość do pretensjonalnych imion. – Bo to oznacza kogoś, kto przychodzi za późno.

– Jest śliczna – zachwycił się pan Ringstad.

Pani Ringstad natomiast długo przyglądała się twarzyczce swojej nowo narodzonej córki.

– Owszem – powiedziała w końcu. – Jest piękna. Niemal tak samo piękna jak jej siostra.

Później małżonkowie odkryli, że Celeste wcale nie oznacza kogoś, kto przychodzi za późno. Celeste znaczy niebo. Byli jednak zgodni co do tego, że imię pasuje znakomicie: dziecko miało ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy.

– Niebiańsko błękitne – mówił pan Ringstad.

– Bleue Celeste – rzekła pani Ringstad, która zajrzała do francuskiego słownika i dlatego знаła te słowa. – Na dodatek dziecko jest strasznie

uparte – dodała, oddając wrzeszczącego noworodka mężowi.

– Tak, mała Celeste ma wielką siłę woli, z pewnością będzie dokładnie taka, jak zechce – rzekł ojciec, biorąc córkę na rękę.

Celeste była śliczna i rzeczywiście uparta. Przez całe życie wykazywała przykrą tendencję do spóźniania się i odkładania obowiązków na ostatnią minutę, mimo to osiągała wszystko, co zaplanowała. Dwa razy była szczęśliwą panną młodą, przeszła przez dwa co najmniej tak samo szczęśliwe rozwody. Jej życie było cudownie proste, dopóki nie pojawił się w nim Nero. Pomyśleć, że zastanawiała się nad trzecim małżeństwem. Że naprawdę to rozważała!

Minutę po dwunastej tej nocy, kiedy urodziła się Celeste, zaledwie kilka kilometrów od szpitala, pewna mała dziewczynka usiadła na łóżku. Miała około dziesięciu lat. Była jak na swój wiek wysoka, jasne włosy zaplatała w dwa warkocze, które teraz częściowo się rozplotły. Jej matka spała. Jak to często bywało, nocowały w pokoiku na zapleczu sklepu matki. Dziewczynka siedziała na łóżku. Nie bała się, ale nie wiedziała, co ją obudziło. Teraz, mówił jakiś głos w jej duszy, teraz wszystko stanie się jasne. Musisz powiedzieć, że jest jasne. Dziewczynka ziewnęła. To jest teraz jasne, bąknęła sennie, odwróciła się na bok i zasnęła. Rano niczego nie pamiętała. W nocy z 23 na 24 sierpnia zmienia się znak zodiaku z Lwa na Pannę.

Celeste miała prawie czterdzieści lat, kiedy powiedziano jej, jakie to dla niej ważne, że przyszła na świat później niż tak naprawdę miała się urodzić. Podczas którejś przerwy stały z Jenną i tamta wyznała, że od razu wiedziała, iż Celeste jest spod znaku Panny. Celeste przekrzywiła głowę i zmarszczyła czoło. Niezrażona tymi sygnałami Jenna dodała, że przez całe życie była pewna, iż musi spotkać Pannę, Koziorożca i Lwa. I że osoby spod tych trzech znaków zmieniają jej życie. Johanna przekazała dalej wróżbę, którą sama usłyszała od swojej matki (moja wnuczka, córka mojej córki, która się jeszcze nie narodziła, spotka Pannę jadącą na Koziorożcu i prowadzącą Lwa). Jenna zawsze wierzyła, że jednym z tej trójki będzie

mężczyzna jej życia. Ale kiedy teraz myślała o trzech kobietach, wcale nie była rozczarowana. Trzy kobiety są zdecydowanie bardziej pożyteczne. Do czego właściwie miałyby wykorzystać mężczyznę. Ma już przecież jedno dziecko i to wystarczy.

*

Frøydis rzadko jada pizzę, ale zawsze, kiedy to robi, myśli, że powinna jeść ją częściej. Pizza na cienkim spodzie, warstwa domowej roboty sosu pomidorowego, śnieżnobiała mozzarella (z mleka bawolic, rzecz jasna) i może kilka cieniutkich plastrów parmeńskiej szynki. Najpierw zjadła pizzę, odsuwając na później świętowanie jeszcze jednej udanej akcji. Izolowała jedną przyjemność od drugiej. Było coś niemal nieodpartego w kontraście między chrupkim spodem i miękkimi dodatkami, coś zmysłowego, twarde przeciwko miękkiemu, mężczyzna i kobieta. Anders i ona. Uśmiechnęła się do siebie, bo pominąwszy czaszkę, zęby, paznokcie i płeć, Anders w przeważającym stopniu miał konsystencję żelków. Wypełniła schemat „Business Managera”, wyciągnęła wnioski, wyznaczyła nowe cele. Samokrytycznie odnotowała, że powinna jeszcze bardziej chwalić. W Kvervik kładzie duży nacisk na chwalenie i uznanie. Wie też, że pochwała od kobiety – dla mężczyzny – nie jest tyle samo warta co pochwała od mężczyzny; ale jednym z jej, przez nią samą określonych celów, jest chwalenie pracowników, którzy na to zasłużyli.

Popatrzyła na talerz. Był pusty, jeśli nie liczyć paru okruchów i kilku plam zastygłego sosu. Na razie radzi sobie świetnie. Doszła do wniosku, że ma to dla niej pozytywny skutek, można powiedzieć terapeutyczny. Ale z Hermanem Høstmarkiem jest inaczej. On wykorzystał swoją powierzchowność i wdzięk, by uwieść dziewczynę, którą natychmiast potem porzucił. To samo robił Arthur Lokke. Odsunęła od siebie talerzyk i nagle poczuła mdłości, radość, którą sprawiało jej jedzenie, ulotniła się. Ten człowiek zniszczył mamana. Stwierdziła, że pewnie nigdy nie zdoła go odszukać, ale czy nie jest pociechą to, że właśnie tak przeraziły Hermana Høstmarka, iż nigdy więcej nie będzie próbował działać niczym

pozbawiony skrupułów uwodziciel? Frøydis przymknęła oczy, na chwilę odsunęła od siebie cel, realizację, wnioski, nowy cel. Wszystkie narzędzia, którymi posłużyła się jako kierownik, także odsunęła na bok. Wszystko musi zniknąć. Niczego ma tu nie być. Przyjemność. Mdłości. O tak, teraz czuje się lepiej. Czy na pewno? Czy tej akcji przyświecały jakieś intencje – również dla niej osobiście? Tak, tak było. Chociaż to nie to samo, co stanąć twarzą w twarz z Arthurem Lokke, a jednak przynosi ukojenie myśli, że ich działania prawdopodobnie powstrzymają innego faceta przed popełnieniem podobnego przestępstwa w przyszłości. Tak.

Znowu otworzyła oczy, rozejrzała się po swojej kuchni, odnowionej zaledwie dwa lata temu. Wybrała wtedy kolor czerwony. Kilka przyjaciółek ostrzegało ją, mówiły, że szybko jej się znudzi, ale ona była pewna, że taką właśnie kuchnię chce mieć. Lubi swoją kuchnię. Lubi swoje życie.

*

Celeste jest tylko półtora roku młodsza od swojej siostry Cindy. To niewielka różnica, łatwo było o niej zapomnieć i porównywać obie dziewczynki, traktując je jako równolatki (To ona jeszcze poprawnie nie mówi? Cindy robi to już od wielu miesięcy!), ale Celeste była dzieckiem numer dwa. Matka nigdy nie pozwoliła jej myśleć inaczej. Zaczęło się to jeszcze przed urodzeniem. Ciąża z Cindy była niczym taniec po płatkach róż w porównaniu z fizycznymi udrękami, jakie ściągnęła na matkę Celeste. Poród był wprawdzie krótki, ale bardzo bolesny (nie starczyło nawet czasu na znieczulenie). Fakt, że Celeste nagle tak zaczęło się spieszyć, sprawił również, że krocze matki zostało rozdarte do tego stopnia, iż na wiele lat odcisnęło to piętno na małżeńskim życiu, o czym pani Ringstad musiała sobie przypominać, kiedy tylko spojrzała na Celeste. Cindy jako niemowlę była spokojna. Przeważnie leżała w swojej kołysce i spała, budziła się tylko na karmienie, uśmiechała się z wdzięcznością, zanim została ponownie ułożona pod ozdobioną koronkami kołderką. Celeste, dziecko niebiańskie, okazała się, szczerze

powiedziawszy, rozczarowaniem. Miała kolkę, ale nie dość na tym: gdy miesiące wypełnione przejmującym krzykiem noworodka dobiegły końca i wszyscy odetchnęli z ulgą, Celeste zaczęły nawiedzać wszelkie możliwe infekcje. Miała brzydką, pokrytą czerwonymi plamami skórę. Nie, Celeste nie dawała wiele szczęścia, za to przyczyniała mnóstwo pracy i mordęgi. W miarę jak siostry Ringstad dorastały, stawało się coraz bardziej oczywiste, że Cindy rzeczywiście jest piękną. Była nie tylko słodka czy ładna, nie. To była nieziemsko piękna dziewczyna, taka, co to ludzie oglądają się na ulicy, a w tramwaju, kiedy wsiadała, zalegała kompletna cisza. Z taką osobą obcy ludzie chcą się fotografować. Celeste też wyrastała na ładną dziewczynę, ale ładną normalnie. Taką, o której ludzie pewnie by mówili, że jest urodziwa, gdyby nie stała obok niej Cindy. Kiedy dziewczęta miały po kilkanaście lat, pojawiły się u nich dodatkowe elementy urody: miękkie piersi i szczupła talia oraz pięknie zaokrąglone biodra. Celeste wystrzeżeliła w górę, ale kobiece kształty kazały na siebie czekać. Obie odziedziczyły ciemną karnację matki i mimo swoich niebieskich oczu wyglądały niemal jakby pochodziły z południowych krajów. Matka porównywała Cindy z pewną kształtną włoską gwiazdą filmową, natomiast o Celeste żartobliwie mawiała, że jest chuda niczym dziecko z Biafry. Mój kochany, ja tylko żartuję, tyle to Celeste zniesie, mawiała, kiedy pan Ringstad ostrzegawczo szeleścił gazetą. I z pewnością miała rację. Tyle Celeste była w stanie znieść. Cały okres dojrzewania przetrwała nadzwyczaj dobrze, a kiedy jako dziewiętnastolatka zamieszkała sama, jej wiara w siebie i dobre samopoczucie rozkwitły niczym kwiat. To samo uczyniły biodra i piersi. W ciągu trzech pierwszych tygodni na stacji zrobiła się bujna w tych miejscach co trzeba, uzyskując przyciągający uwagę kształt szklanej klepsydry, co później dawało mnóstwo radości i jej, i bardzo wielu mężczyznom. Tak, Celeste zawsze miała duże zapotrzebowanie na mężczyzn, więc może nic dziwnego, że jeden z nich okazał się potworem. Zwykle była dumna z faktu, że nigdy nie żałuje tego, co robi. Co się stało, to się nie odstanie. Nie żałowała więc,

ale powinna jednak spojrzeć na sprawę samokrytycznie. Nawet jeśli nie ma w tym jej winy, to musiała przyznać, że gdyby prowadziła takie życie, jakie przystoi cnotliwej kobiecie, nigdy by do czegoś takiego nie doszło. To, że nie umiera przez cały czas ze strachu, zawdzięcza swojemu uporowi, temu, że zmusza się, by myśleć o innych rzeczach, że nie pozwala, by on kierował jej życiem. Dziś wieczorem opowie przyjaciółkom o Neronie.

Dopiero po powrocie do domu sprawdziła komórkę, która przez cały wieczór była wyłączona. Sięgała po nią z wielką niechęcią. Bała się, że zobaczy jakiś nieznany numer, ale znalazła tylko wezwania od dentysty oraz SMS-a wysłanego później: „Mam na ciebie ochotę, jestem wolny wieczorem”. Celeste skasowała wiadomość i rzuciła telefon na kanapę, a sama poszła do sypialni, stanęła przed lustrem i zaczęła się rozbierać. Kiedy została tylko w staniku, pięknym, białym z koronkami (tym samym, który miała na sobie podczas ostatniego spotkania z dentystą), zaczęła przeglądać się w lustrze. Z lewego ramienia zsunęła ramiączko i przechyliła się tak, że pierś wysunęła się spod stanika. Była to niezwykle piękna pierś. Duża, mimo to sprawiała wrażenie, że unosi się w górę, jakby nie licząc się z własnymi rozmiarami ani z wiekiem Celeste. Celeste ujęła ją w dłoń, rozkoszowała się jej miękkością i ciężarem.

Potem odpięła haftki na plecach i zdjęła stanik. Wewnątrz drugiej miseczki znajdowała się poduszka koloru skóry. Tam, gdzie powinna być jej prawa pierś, nie było nic. To znaczy nie całkiem nic: tam, gdzie dawniej znajdowała się prawa pierś Celeste, teraz jest blizna. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Szczupła kobieta o jednej piersi. Lekarz powiedział, że powinna tę bliznę traktować jako symbol zwycięstwa. Odniosła zwycięstwo nad rakiem. Minęły już cztery lata. Ale nie tylko dlatego lubiła bliznę, nie tylko z powodu tego, co reprezentuje. Uważała też, że jest dość ładna i zdecydowała się nie poddawać rekonstrukcji. Bo przecież nie będzie tak jak kiedyś było, woli więc, by zostało tak jak jest teraz. Podoba się jej to. U góry lekarze zostawili resztkę jej dawnej piersi (dzięki temu będziesz mogła nosić dekolty, wyjaśniono jej). Poniżej znajdował się krater, a w

kraterze blizna. Przesuwała po niej palcem. Blizna miała blisko centymetr szerokości i schodziła w dół, do centrum krateru, niczym rozgwiazda o czterech cienkich ramionach. Z czasem zrobiła się srebrzystosina, mieniła się jak macica perłowa. Celeste uważała, że w bliźnie jest jakaś tajemnicza, wyjątkowa uroda, że wygląda jak stworzenie z morskiej głębin, obce i nieznanym, które na pierwszy rzut oka wydaje się odpychające, ale które – jeśli przyglądać mu się wystarczająco długo, śledzić linie jego ciała, studiować niewyraźny wzór na oślizgłym grzbiecie, zwrócić uwagę na grę światła w płetwach – okazuje się jednak piękne. Celeste wiedziała, że blizna ma taką tajemniczą urodę, piękno, na którego zauważenie potrzeba czasu. A tyle czasu i odwagi posiada niewielu mężczyzn.

Od czasu do czasu Celeste, jeśli uzna to za właściwe, zdejmuje z siebie wszystko. Nie robi tego nigdy pierwszego wieczoru (czy wszystkie prezenty otwierasz naraz?), zdarzało się jednak, że pokazywała się cała później. Może po to, by potwierdzić sobie raz jeszcze, że mężczyzna na widok blizny zaczyna się bardzo spieszyć: zonaci dostają ostrych moralnych skrupułów wobec żony, samotni nie są jeszcze gotowi do kolejnego związku, niektórzy przypominają sobie, że mają spotkanie, inni nie są w stanie ukryć obrzydzenia. Bjørn jest jedynym, który się tym nie przejmuje. Gdyby wszystko w życiu było takie proste i bezproblemowe jak Bjørn! On całuje krater i pieści potem jej lewą pierś z jeszcze większym zapalem i zmysłowością.

*

Celeste tak przywykła, że mężczyźni na nią patrzą, że po prostu poprzestała na zarejestrowaniu, iż wzrok Erika zatrzymuje się na niej często. Owszem, podobało się jej to, pochlebiali, że dziewiętnastolatek tak wyraźnie jej pożąda. Kiedy, jękając się, spytał, czy Celeste miałyby czas na krótką rozmowę podczas przerwy, uśmiechnęła się do niego i stłumiła chęć pogłaskania go delikatnie po twarzy. Przytaknęła i gdy ruszyła za nim do drzwi, nagle zaczął zachowywać się tak swobodnie, że zrozumiała,

iż chce zaprowadzić ją do kąta, w którym razem z Bendikiem zwykle spędzał przerwy. Widziany z tyłu, mógł się wydawać dorosłym mężczyzną. Był wysoki, ramiona miał zdumiewająco szerokie, ale ruchy zdradzały chłopca.

Celeste czekała na rozmowę, a zarazem bała się, by go nie urazić. Myślała, że może będzie tak skrępowany, że nie potrafi wykrztusić słowa, ale cieszyła się też, że usłyszy z jego ust ładne rzeczy na swój temat. Nigdy nie jest przyjemnie kogoś odpychać. W każdym razie musi zadbać, by zrobić to bardzo delikatnie. On jest przecież taki młody!

Dotarli na miejsce. Celeste marzła, trzęsła się w swoim futrze.

– Robi się coraz zimniej – powiedziała, by mu pomóc.

Erik milczał, spoglądał to na nią, to w dół, na podłogę.

– Chciałeś mi coś powiedzieć – rzekła łagodnie, uśmiechając się zachęcająco.

– Ja jestem nowym społecznym asystentem Sebastiana – oznajmił Erik.

Celeste milczała. Nie odwróciła oczu, jak przypuszczała, że Erik oczekuje. Nie pomyślał zawczasu, że ona ze wstydem spuści wzrok, ale uznał teraz, że skoro nadal patrzy prosto na niego, to może powinien powiedzieć jej coś mocniejszego.

– Dlaczego mówiłaś, że nie masz dzieci?

Celeste wciąż nie odpowiadała. Erik zaczął się złościć, zwykła nerwowość całkiem go opuściła.

– Czy ty go się wstydzisz?

– Nie – odparła Celeste spokojnie.

– Ale trzymasz go w ukryciu? Nie opowiadasz o nim innym.

– Nie opowiadam – przytaknęła Celeste.

– Dlaczego to robisz? Sebastian nie jest kimś, kogo trzeba się wstydzić!

– Toteż ja się nie wstydzę.

– Więc dlaczego?

Celeste uniosła rękę, by powstrzymać Erika i opuściła ją na jego ramię:

– Nie mam zwyczaju opowiadać o Sebastianie dlatego, że tak bardzo go kocham. Sebastian jest dla mnie wszystkim.

– Ale...

– Posłuchaj mnie, Eriku. Jesteś bardzo młody. Mógłbyś być moim synem. I rzeczywiście sobie wyobrażałam, że jesteś moim synem. Ale to Sebbe nim jest. I ty go znasz.

– Każdy człowiek jest wart tyle samo, co inni – powiedział Erik. Zabrzmiało to, niestety, bardziej dziecinnie, niżby chciał.

– Od urodzenia Sebbe odbyłam zbyt wiele rozmów wskazujących, że nie wszyscy myślą jak ty i ja. Nie jestem w stanie narażać Sebbe na ludzką głupotę. Nawet jeśli on nie słyszy, co ludzie mówią o nim do mnie. Przykro mi, kiedy ktoś mnie rani. Przykro, kiedy muszę tłumaczyć, bronić. Rozumiesz to?

– Tak.

Erik nie rozumiał, ale nie był już zły.

– Dzieci powinny chodzić, kiedy kończą rok, powinny mówić „mama” i „miś” mniej więcej w tym samym czasie. Potem zaczynają czytać, grać w piłkę nożną, jeszcze później stają się beznadziejnymi nastolatkami, uczą się, podkradają alkohol i dolewają wody do karafki z wódką ojca, doprowadzają swoich rodziców do szaleństwa, zakochują się, kończą studia, idą do pracy. Sebastian nigdy nie trzymał się tego schematu. A ja nie jestem w stanie znieść współczucia w oczach ludzi. I wcale nie chowam go w ukryciu. Jest oczywiście mnóstwo ludzi, którym opowiedziałam o Sebbe. Nie wspominam o nim tylko w sytuacjach, w których uznam to za stosowne. Sebastian to Sebastian. Kocham go takim, jakim jest. Ale wiem także, że mógłby być inny.

Erik nie spuszczał z niej wzroku.

– Nigdy nie przestałam porównywać go z innymi. Nie mogę patrzeć na ciebie, nie widząc równocześnie Sebastiana. Ty możesz chodzić po mieście, możesz się całować z dziewczyną. Mógłby wieczorami pić z tobą piwo, gdyby w odpowiednim momencie dostał dość tlenu.

Erik zrezygnował z wyjaśniania, że nie całował się ze zbyt wieloma dziewczętami i że to nie ma znaczenia. Nie rozumiał wszystkiego, co Celeste powiedziała, ale pojął jednak sporo i cieszył się, że jest na tyle dorosły, by pojmować.

^[7] Ludvig Holberg (1684-1754), pisarz duński, twórca duńskiego języka narodowego, jedna z najwybitniejszych postaci skandynawskiego Oświecenia, profesor uniwersytetu w Kopenhadze.

LECTIO X – CLAVAM EXORQUERE HERCULI

czyli *Wykład dziesiąty:* *Wyrwać Herkulesowi maczugę*

W tej chwili nie planowały kolejnych akcji. Zemściły się już w różny sposób na mężczyznach, o których rozmawiały na swoim pierwszym spotkaniu. Ponadto zajęły się też młodym Hermanem Høstmarkiem. Frøydis wiedziała jednak, że to jeszcze nie koniec. Powinny działać dalej! Dziś wieczorem spotkają się u Elli, by przedyskutować, co robić w przyszłości. Celeste powiedziała, że chciałaby im coś wyznać. Frøydis miała wielką nadzieję, że mogłaby to być nowa akcja. I w momencie, kiedy sformułowała tę myśl, zrozumiała, jakie to egoistyczne, oznacza bowiem, że równocześnie pragnie, by Celeste miała problemy. Tylko niewielkie, skorygowała sama siebie, tylko jeden, mały, niewinny problem z mężczyzną, potrzebującym niewielkiego, niewinnego upomnienia.

Mieszkanie Elli i Petera nie było ani miłe, ani przytulne. Było eleganckie. Wysmakowane. Wyglądało jak mieszkania pokazywane w czasopismach wnętrzarskich. Wysokie, dobrze utrzymany parkiet. Na jasnych ścianach duże obrazy, a także sporo czarno-białych artystycznych fotografii. Frøydis rozejrzała się wokół. Ella i Peter mieli stół zaprojektowany przez Pieta Heina i osiem krzeseł Hansa Wegnera. W uporządkowanej, dużej kuchni stały krzesła Eamesa z białymi plastikowymi siedziskami na drewnianych nogach. Na blacie stał dzbanek Alessi i wyciskacz do cytrusów Starcka. W salonie dwa fotele Barcelona obite czarną skórą i ogromny księgozbiór ustawiony alfabetycznie na regałach Montana.

Design meblowy to język, który nie wszyscy znają. Wyraźny znak dla innych, posługujących się tym samym językiem, ale kompletnie obojętny dla niezorientowanych. Jenna uznała, że mieszkanie Elli jest piękne, ale

zbyt bezosobowe i sterylne. Celeste nie miała żadnych kłopotów ze stwierdzeniem, iż świadczy ono o kosztownym guście, ale też nie zna tego języka zbyt dobrze, rozpoznała tylko najbardziej popularne elementy (między innymi dzbanek Alessi, który bardzo szybko upowszechnił się do tego stopnia, że koneserzy zaczęli go wymieniać na coś bardziej oryginalnego).

Jenna poczekała, by również Celeste usiadła na kanapie, po czym podniosła z podłogi swoją dobrze znaną torbę i podała im peleryny.

– One coś w sobie mają, prawda? – spytała Celeste.

Jenna roześmiała się i zrobiła przesadnie rozbawioną, a zarazem tajemniczą minę.

– Żebyś ty wiedziała – rzekła, mrugając porozumiewawczo.

– Przy okazji chciałam ci powiedzieć, że wczoraj jadłam obiad z Sangvikiem – poinformowała Celeste Ellę.

– Świetnie – ucieszyła się tamta. – Żal mi było tego faceta. Spytał o siekierkę?

– Nawet się nie zająknął. Świetnie się bawił, pozwoliłam mu też zapłacić.

– A jak tam u ciebie w domu? – spytała Frøydis.

– Dziękuję – odparła Jenna, poważniejąc. – Właściwie z Julią dobrze, a za parę tygodni mama dostanie miejsce w Solheim. Mówi, że nie może się doczekać.

Ella podała kolację, tak właśnie określiła ten posiłek – kolacja, i Celeste, która była jedyną wśród nich osobą wychowującą się w domu, w którym tym słowem określano ostatni posiłek dnia, przeżyła krótki i całkiem nieoczekiwany przyływ nostalgii. I chyba tęsknoty. Nie do końca umiałyby to określić, zresztą wcale nie chciała nad tym się zastanawiać, nie widziała powodu do rozpatrywania dzieciństwa. Teraz ma inne zmartwienia, z którymi się zmaga. Za parę minut opowie przyjaciółkom o Neronie.

Ella podała dzbanek z herbatą Celeste, która nalała najpierw Frøydis,

a potem sobie, i kiedy Frøydis wrzuciła do filiżanki trzy kostki cukru, Celeste automatycznie zrobiła to samo. Z zasady jednak nie używa cukru do herbaty, zwłaszcza zielonej. Zepsuła wykwintny napój Elli ładując do niego trzy wielkie kostki cukru. W gruncie rzeczy zirytowało ją bardzo, że Ella użyła słowa „kolacja” (nikt przecież tak już nie mówi!), złościła się na siebie, że pozwoliła myślom wkroczyć na tory, po których nigdy się nie porusza, a także na Frøydis, która podsunęła cukier. Zabrakło jej energii, by wstać, wyjść do kuchni i pozbyć się obrzydliwej herbaty, przystawiła więc filiżankę do ust i wlała w siebie gorącą, słodką ciecz, o mało nie poparzyła sobie gardła, ale za to pozbyła się paskudztwa. Koniec z tą sprawą, problem rozwiązany.

Ponownie nalała sobie herbaty, uniosła filiżankę do ust i upiła mały łyk, rozkoszując się czystym smakiem. Od czego zacząć? Czy musi opowiedzieć im też o Sebbe? W pewnym sensie miała na to ochotę. Nie wydawało się jej właściwe, że one nie wiedzą.

Celeste siedziała pośrodku kanapy, z talerzykiem na kolanach. Stół w salonie był tak niski, że trudno z niego jeść. Peter zwykle na to narzekał i zazwyczaj jadł w ten sam sposób, co teraz Celeste. Sweter, który miała na sobie, był dokładnie w takim samym kolorze jak poduszki z jedwabnej surówki, które Ella właśnie kupiła i położyła na kanapie. Celeste i poduszki zlewały się w jedno, wyglądało to jak obraz. Ella wiedziała, że Celeste tego nie zaplanowała (nie mogła przecież przewidzieć, jakie ona ma poduszki, poza tym zdawała sobie sprawę, że Celeste nie przejmuje się ani poduszkami, ani krzesłami Wegnera, i chyba to właśnie ją dręczyło), ale mimo wszystko czyż to nie typowe dla Celeste? W każdym razie jest typowe dla pewnych siebie kobiet, że bez zastanawiania się siadają pośrodku najwygodniejszego mebla w pokoju.

Celeste zjadła i odstawiła talerzyk na stół. Ella natychmiast postawiła go na własnym oraz na talerzyku Jenny. Na dolnej półce pod stolikiem leżały magazyny wnętrzarskie, kilka czasopism zawodowych i dzisiejsze gazety. Celeste wzięła jedną z nich i zaczęła przeglądać. Ella popatrzyła

na nią i uznała, że jeśli nie jest ona wprost nieuprzejma, to w każdym razie dość źle wychowana. Czytać podczas posiłku! Jenna, która siedziała obok Celeste, obserwowała ją ze współczuciem. Zauważyła, że jest zdenerwowana i nie panuje nad sobą. Nikt nic nie powiedział, jedyne dźwięki w pokoju to widelec Frøydis stukający o porcelanowy talerzyk oraz szelest gazety.

– No nie, popatrzcie tutaj, dziewczyny – krzyknęła nagle Celeste, rozbawiona, roześmiana. – Jest tu artykuł o Olavie Stormmie! Ze zdjęciem. Prawie go nie poznałam.

– A kto to taki? – spytała Frøydis, wciąż z pełnymi ustami.

– To reżyser z niezwykle bujnymi włosami i odpowiednią do tego pewnością siebie – powiedziała Jenna. – Nie tak dawno temu widziałas go w telewizji.

– Aha – przypomniała sobie Frøydis. – To ten arogancki facet, który był w telewizji razem z naszym przyjacielem Karlem Hebbnem?

– Otóż to – rzekła Jenna.

– *Mundus vult decipi* (Świat chce być oszukiwany) – wtrąciła Ella.

– Bujne włosy, mały ptaszek – roześmiała się Celeste cicho.

– A ty skąd o tym wiesz? – krzyknęły niemal równocześnie Jenna i Frøydis.

– Tak przypuszczasz, czy naprawdę wiesz? A posteriori? – spytała Ella, bardziej opanowana, ale najwyraźniej ciekawa.

Celeste wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z wystudiowaną, tajemniczą miną. Miała w życiu wielu mężczyzn i nie widziała powodu, by to ukrywać, raczej na odwrót. Stormma wprawdzie nigdy nie spotkała, ale zdobyła solidne empiryczne podstawy, by zakładać, że mężczyzna z tak gęstymi włosami na głowie między nogami nie ma nic niezwykłego. Zresztą na zdjęciu w gazecie jest niemal łyśy.

– On już nie ma bujnych włosów – stwierdziła Celeste pochylona nad gazetą. – Tutaj piszą, że cierpi na jakąś chorobę skóry głowy, która spowodowała, że je stracił.

– Co? – krzyknęła Jenna.

– Alopecia areata – sylabizowała Celeste.

– Alopex po grecku znaczy „lis” – oznajmiła Ella.

– Stormm nabawił się lisiej choroby – zaśmiewała się Celeste. –
W każdym razie włosy wypadają mu garściami.

– Pozwólcie, że zacytuję Owidiusza – poprosiła Ella. – W Ars amandi czytamy: Głowy pozbawione włosów są wstydem, tak jak pozbawione rogów kozły, tak jak krzak bez liści, jak łąka bez trawy.

– Biedny człowiek – westchnęła Frøydis, uśmiechając się szeroko.

Jenna już się nie odzywała. Była bliska szoku.

Talerzyki, sztuce i wszystko inne zostało uprzątnięte ze stołu. Ella podała świeżo zaparzoną herbatę w innym dzbanku (wysokim, pięknie zdobionym, z norweskiej porcelany) oraz maleńkie filiżanki do kawy w pastelowych kolorach (odziedziczone po babci, zaznaczyła) i dzbanek z kawą. Do tego salaterkę z belgijskimi słodyczami.

– Celeste, mówiłaś, że chcesz nam coś opowiedzieć – zagaiła Frøydis. W jej głosie brzmiało zadowolenie i oczekiwanie. Podnosiła do ust czekoladkę.

Celeste skinęła głową.

– No to już! Ulżyj swojemu sercu.

Zacierала ręce, by pokazać, jak bardzo się cieszy na planowanie nowego aktu zemsty. Twarz Celeste natomiast pozbawiona była wyrazu.

– Przestań, Frøydis. To poważna sprawa – rzekła Jenna. – Czy ktoś ci grozi? – spytała, pochylając się nad stołem ku Celeste.

Potem Jenna nie była w stanie wyjaśnić, dlaczego zapytała akurat o to. Po prostu impuls.

Celeste przytaknęła.

– Więc naprawdę ktoś ci grozi?

Znowu przytaknęła.

– Przepraszam – wykrztusiła Frøydis, bliska załamania. – Nie wiedziałam.

– Oczywiście, że nie mogłaś wiedzieć – szepnęła Celeste. – Przecież wy o niczym nie miałyście pojęcia. Nic wam nie mówiłam.

– Jak poważna jest ta sprawa? – spytała Jenna.

– Najbardziej, jak to możliwe – odparła Celeste. – Ja... dłużej już nie mogę.

– Co on robi? – spytała Frøydis.

– Píše do mnie, że... – Celeste urwała –...że potnie mi twarz.

– Co za człowiek! – wykrzyknęła Frøydis.

– ...że mnie zgwałci, poderżnie gardło i temu podobne.

– Rany boskie – jęknęła Jenna.

– ...że mnie zabije – zakończyła Celeste niemal niedosłyszalnie.

– Co ty mówisz? – krzyknęła znowu Frøydis.

– Celeste, moja kochana – użalała się nad nią Jenna.

– Pierwsze listy były na pozór dość niewinne, łagodne pogróżki, paskudne i dosyć wyraźne, ale... Pisał na przykład tak: „Widziałem cię wczoraj”. Nieprzyjemne, ale jakoś to znosiłam. Potem zaczęło być gorzej.

– Co pisał później?

– Że zawsze wie, gdzie byłam, co robiłam, z kim rozmawiałam. Pisał, że poprzedniego dnia słyszał, jak się śmieję. Że podoba mu się sposób, w jaki to robię. I że dlatego boli go myśl, iż w którymś momencie będzie zmuszony zastopować ten mój śmiech.

– To musi być dla ciebie straszne – westchnęła Jenna.

– Dostałam też list dzisiaj rano.

Frøydis popatrzyła w oczy Elli. Czy to naprawdę tak jest? Czy Celeste troszkę nie przesadza? Ona przecież uwielbia opowiadać różne historie, szokować nas, myślała Frøydis. To przecież królowa dramatu w białych norkach.

Celeste otworzyła torebkę (rzucający się w oczy worek z delikatnej skórki w kolorze burgunda) i wyjęła z niej niewinnie wyglądający list. Rozłożyła go. Była to zwyczajna kartka formatu A4 zapisana budzącym zaufanie pismem. Podała ją Frøydis. Ta odczytywała zdania półgłosem,

przerwała zaszokowana, kiedy dotarła do ostatniego, ale po chwili i to przeczytała. Chcę rozplatać cię na dwoje, od genitaliów w górę, do centrum.

– Zameldowałaś o tym na policji? – spytała w końcu Ella, bo Frøydis nie sprawiała wrażenia, że chce coś powiedzieć.

– Owszem – przytaknęła Celeste. Było wyraźnie widać, że zbiera się jej na płacz. – Poszłam na policję. On mi oczywiście zabronił kogokolwiek informować, powiedział, że mi... ale ja i tak poszłam. Po tym, jak was poznałam, zrobiłam to.

– Świetnie – ucieszyła się Frøydis. – Świetnie.

– I co policja na to? – pytała Ella.

– Powiedzieli, że niewiele mogą, dopóki on nic mi nie zrobi.

– A on nie zrobił? – zdziwiła się Frøydis, unosząc się na siedzeniu.

– Uznali, że nie – odparła Celeste. – To kompletnie nie miało sensu. Równie dobrze mogłabym się powstrzymać przed składaniem tej skargi. Na nic się to nie zda.

– A więc ty go znasz?

– Tak, znam go. Wiem, do czego jest zdolny. Nic mi nie pomoże.

– Czy on... maltretował cię wcześniej? – spytała Jenna z wahaniem.

– Tak.

– Kim jest ten drań? – dopytywała się Frøydis. – Jak on się nazywa?

– On... Ja nazywam go Nero... Nie wiem, czy ja... Najgorsze jest to, że on grozi... że uprowadzi Sebbe, jeśli się wygamam.

– Sebbe? – powtórzyły Jenna i Frøydis chórem.

– Kim jest Sebbe? – spytała Ella równocześnie z nimi.

To właśnie w tym momencie Celeste załamała się i zaczęła szlochać, oparła się o zbyt niski stolik Elli i wyła niczym zwierzę. Ella, siedząca obok, ku swemu zaskoczeniu niemal położyła się na jej plecach, głaskała i poklepywała, poklepywała i głaskała, szepcząc słowa pociechy do ucha. Jenna oparła dłonie na głowie Celeste. Ta zaś powoli od szlochu przechodziła do pociągania nosem, próbując przy tym mówić, ale można

było z tego zrozumieć tylko pojedyncze słowa i od czasu do czasu jakieś zdanie. Mówiła, że ma wyrzuty sumienia. Sebbe jest całkiem niewinny. Ona bardzo go kocha. Dopiero kiedy Celeste zaczęła płakać cicho, można było pojąć, o co chodzi. Celeste była przez jakiś czas z tym swoim prześladowcą. Sebastian jest jej synem. Listy z pogrózkami zaczęły przychodzić osiem miesięcy temu. Jenna i Ella nadal głaskały ją po plecach i poklepywały po włosach, Ella nie przestawała szeptać uspokajających słów, robiły to też Jenna i Frøydis. Kiedy dotarło do nich, że Celeste ma syna, o którym przedtem nie wspomniała ani słowem, wymieniły spojrzenia i dalej robiły to, co dotychczas: głaskały, poklepywały, szeptały. Celeste wyplakała się w końcu i uniosła głowę, a wtedy najpierw zobaczyła Frøydis. Siedziała z zaciśniętymi wargami i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Musimy coś zrobić – oznajmiła Frøydis w tej samej chwili, w której Celeste napotkała jej wzrok.

– On jest niebezpieczny – ostrzegła Celeste. Oczy miała czerwone od płaczu, tusz do rzęs spływał dwoma strumieniami po policzkach. – Najwyraźniej często znajduje się w pobliżu, bawi się mną. Zwykle pisze, jak byłam ubrana.

– To znaczy, że cię obserwuje – skonstatowała Ella. Przedtem, bez zastanowienia, źle reagowała na to, że Celeste ukrywała prześladowcę w tajemnicy. Teraz jednak stwierdziła, że to ze strachu, zwłaszcza że Celeste wyznała, iż ma syna. Jeszcze jedna tajemnica! Szybko uznała, że to nie jest problem, wybaczyła Celeste, by w chwilę później dojść do wniosku, że nie ma czego wybaczać. Ty też wielu rzeczy im nie powiedziałaś, wypomniła sobie. Wszystkie mają tajemnice, pomyślała po chwili, zerkając pośpiesznie na Frøydis. Każdy ma tajemnicę, Ello Blom, nie szkodzi, że im nie wybaczyłaś. Chodzi raczej o to, że znamy się zaledwie kilka krótkich tygodni. Generalnie Ella nie oskarżała Celeste. Patrzyła na nią z głębokim współczuciem.

– Tak, on mnie obserwuje – przyznała Celeste. – Z pewnością wie

także, kim jesteście wy. Ale chyba nie dopuszcza do siebie myśli, że mogłam wam o nim opowiedzieć.

– Kiedy miałaś z nim ten romans? – spytała Jenna.

– Cztery lata temu.

– I co spowodowało, że dopiero teraz, tak długo po tym, zaczął ci grozić? – chciała wiedzieć Ella.

Celeste pośliniła palec i próbowała zetrzeć rozmazany tusz.

– Wytarłam? – spytała Ellę.

Ella pochyliła się.

– Masz jeszcze trochę pod lewym okiem. Niedużą smugę.

– Tam?

– Bliżej nosa.

– Mogę ci dać lusterko – zaproponowała Frøydis.

– Nie trzeba – odparła Celeste. – W tym mieszkaniu nie ma chyba nikogo, kogo mogłabym dzisiejszego wieczora uwodzić.

– Mam nadzieję, że nie – uśmiechnęła się Ella.

– Dlaczego nawiązał z tobą kontakt po tak długim czasie?

– Bo ja zawsze muszę być absolutnie poprawna – odparła Celeste cicho, teraz już całkiem uspokojona. – Świat jest mały, a Oslo jeszcze mniejsze. Jego natomiast wielu ludzi zna.

– Nazwałaś go Nero, ale jak się nazywa? – spytała Frøydis po raz drugi.

– Cato Mathiassen.

– Oj! – jęknęła Frøydis.

– Ten Cato Mathiassen? – spytała Ella.

– We własnej osobie – odparła Celeste cierpko.

– Ale... – zaczęła Jenna i zaraz urwała.

– Zgadza się z tobą – przytaknęła Celeste. – Paradoksalne, prawda?

– Ja zawsze czytam jego kolumnę – oznajmiła Jenna.

– Ja też – przyłączyła się Frøydis.

– I czytałam też tę jego książkę – mówiła dalej Jenna. – „Instrumenty

miłości”.

– Ja oczywiście o nim nie zapomniałam, zresztą nigdy do tego nie dojdzie – zaczęła Celeste. – Jeśli chodzi o niego, to trudno zapomnieć, bo wciąż pojawia się w telewizji i radiu, no i ma swoją szpaltę w gazecie.

– Zawsze mi się wydawało, że on wygląda na człowieka wyrozumiałego, przynajmniej na tym zdjęciu w gazecie – mruknęła Jenna. – Taki miły, mądry mężczyzna.

– Zdjęcie zrobił zdolny fotograf – ucięła Celeste. – Ale masz rację. Jest mądry. I pełen wyrozumiałości, jeśli chodzi ci o to, że rozumie innych ludzi. Tak, rozumie.

– To w końcu jego zawód – rzekła Frøydis.

– No właśnie – przytaknęła Celeste. – Ale ma wyjątkowy talent do rozszyfrowywania innych ludzi.

– Pisuje takie refleksyjne odpowiedzi – wtrąciła Ella, która od dłuższego czasu się nie odzywała. – Zawsze mi się wydawało, że to musi być spełnienie marzeń, zostać żoną kogoś takiego. Kogoś, kto wie wszystko o komunikacji i współdziałaniu mężczyzny i kobiety, kogoś, kto zna wszelkie problemy i potrafi je rozwiązywać.

– Otóż to – podjęła Celeste. – Wielu ludzi tak myśli. Jest on bez wątpienia najbardziej popularnym psychoterapeutą małżeńskim w mieście. Każe sobie słono płacić, ale i tak listy oczekujących są długie. Wybiera klientów, których uważa za najciekawszych. I, jak powiedziałam, Oslo nie jest duże. Jakiś rok temu dowiedziałam się od koleżanki, że jedna z jej przyjaciółek rozpoczęła z mężem terapię u Cato Mathiassena, u samego Cato Mathiassena. Okazałam z pewnością większe niż przeciętne zainteresowanie tym, co mi opowiedziała, bo w końcu zaczęła mi zdawać tygodniowe raporty, oczywiście w największym zaufaniu. Teraz bardzo się poprawiło między nimi, mówiła, to świetny terapeuta. Moja przyjaciółka jest nim zachwycona, Cato Mathiassen to unikat. Zapisał im codzienne pocałunki i wyjazd na weekend do Rzymu. W ciągu dwóch miesięcy małżonkowie odnotowali wyraźny postęp, aż nagle,

któregoś dnia podczas lunchu moja koleżanka oznajmiła, że są w separacji, a w kilka miesięcy później dowiedziałam się, że owa przyjaciółka ma romans z Cato Mathiassenem.

– A czy to nie... nie jest zakazane? – spytała Ella.

– W tym czasie formalnie przestała już być jego pacjentką, więc zakaz ich nie dotyczył, choć oczywiście sprawa jest nieetyczna, w najwyższym stopniu nieetyczna.

– Ty też poznałaś go w ten sposób? – spytała Frøydis szorstko.

– Tak – przyznała Celeste. – Moje drugie małżeństwo zaczynało się rozpadać, jakimś cudem udało nam się dostać do Cato Mathiassena. Po pół roku byliśmy w separacji, a ja zostałam kochanką psychologa.

– Skuteczna terapia – stwierdziła Jenna.

– No, tak można powiedzieć – przyznała Celeste.

– Kochanką? – spytała Frøydis.

– Tak, on był wtedy żonaty – wyjaśniła Ella. – Też świeżo w separacji. Czytałam jakiś wywiad z nim, gdzie mówił, że kocha swoją żonę, ale uznał, iż najlepiej będzie, jeśli każde pójdzie swoją drogą.

– Ona była jego najlepszą przyjaciółką i wsparciem w życiu, nigdy by nie zrobił takiej kariery, gdyby jej przy nim nie było – recytowała Jenna. – Też czytałam ten wywiad.

– W gruncie rzeczy trochę zazdrościłam jego żonie – wyznała Ella.

– Powiem ci, że nie miałaś powodu – rzekła Celeste. – On ją dręczył regularnie przez wiele lat.

– To dlaczego od niego nie odeszła? – spytała Jenna wzburzona.

– To nie takie łatwe – odparła Celeste. – To nawet cholernie trudne. Kiedy usłyszałam o tej ślicznej przyjaciółce mojej koleżanki, postanowiłam, że nie będę siedzieć i czekać na to, co się stanie.

– Ale przecież nie wiedziałaś...

– ...że on ją dręczy? Nie, tego nie wiedziałam, ale było coś w tym, że moja koleżanka nagle przestała o nim opowiadać, co sprawiło, że mimo wszystko zyskałam pewność, iż tak jest.

– I co zrobiłaś? – spytała Ella.

– Skontaktowałam się z radą etyki Norweskiego Towarzystwa Psychologicznego i opowiedziałam, co mnie spotkało oraz że mam powody sądzić, iż nie jestem jedynym przypadkiem.

– Świetnie! – zawołała Frøydis z uznaniem. – Świetnie!

– Rada wezwała Cato Mathiassena. Odbyła z nim rozmowę, poinformowano go, że mogą mu odebrać prawo do wykonywania zawodu, dostał wyraźne ostrzeżenie. Moim zdaniem on się boi, że zostanie pozbawiony licencji.

– Gdyby do tego doszło, byłby to prawdziwy upadek – powiedziała Ella.

– A skąd Cato wie, że to ty skontaktowałaś się z tą radą etyki? Oni chyba mają obowiązek milczenia? – spytała Frøydis.

– Pewności nie mam, ale, jak powiedziałam, Cato Mathiassen posiada niewiarygodną zdolność odczytywania intencji innych ludzi.

– Coś trzeba zrobić – ożywiła się Frøydis. W jej głosie słychać było gotowość do walki.

– Tu chodzi nie tylko o mnie – rzekła Celeste cicho. – Muszę myśleć także o Sebastianie.

– A my musimy znaleźć jakieś rozwiązanie – westchnęła Jenna.

– Przecież ty nie możesz dłużej tak żyć – dodała Ella.

– Nie. Celeste przełknęła ślinę.

– W każdym razie my cię wspieramy. Coś z tym zrobimy. Wszystkie razem.

Ella sama słyszała, jak banalnie i sentymentalnie to brzmi. Zbierało się jej na ironiczny śmiech i mnóstwo cierpkich komentarzy, ale nigdy ich nie wypowiedziała, choć gotowa była wysłuchać swojego wewnętrznego głosu. Bo przecież powiedziała, co myśli. Chciała, żeby wszystkie razem zajęły się tą sprawą.

Celeste zauważyła to w chwili, kiedy miały wychodzić. Stały wszystkie razem na korytarzu, Ella właśnie skomplementowała jej sweterek.

– Jaki piękny kolor – powiedziała.

– Dziękuję – odparła Celeste bardzo uprzejmie, choć popatrzyła na sweterek dość obojętnie.

Jedna ze ścian w przedpokoju była wytapetowana, pozostałe pomalowane. Na tej wytapetowanej wisiał ogromny zbiór czarno-białych fotografii różnych rozmiarów, ale w takich samych ramkach.

– O, czy to twoja córka? – spytała Jenna, pokazując największą fotografię przedstawiającą dziewczynkę ze skośną grzywką i pyzatą buzią.

– Tak – powiedziała Ella. – To Maja, kiedy była mała. A to ona już dorosła.

– Piękna dziewczyna – powiedziała Celeste. – Podobna do mamy.

Ella uśmiechnęła się.

– A ta szczęśliwa panna młoda to twoja mama? – spytała Frøydis.

– Nie – odparła Ella. – To matka Petera.

– A tutaj to ty i Peter, prawda? – spytała Jenna, wskazując zdjęcie po lewej stronie.

Ella sprawiała na nim wrażenie bardzo młodej. Miała ślubną suknię z szerokim dołem, bukiet z białych róż i welon do pasa.

– Tak – potwierdziła. – To Peter i ja.

– Jak ślicznie wyglądasz – zaszczębiotała Jenna.

– I jaka piękna suknia – dodała Frøydis.

– No a mąż, bardzo przystojny – chwaliła Jenna. – Naprawdę urodziwy. Szczęściara z ciebie. Masz wszystko.

Celeste z zainteresowaniem podeszła bliżej. Właściwie była bardzo zmęczona, ale teraz ciekawość wzięła górę i zapragnęła bliżej przyjrzeć się „przystojnemu” i „naprawdę urodziwemu” mężowi.

Najpierw myślała, że jej się przywidziało, że wysiłek związany z opowieścią o Neronie był zbyt duży, nagle jednak zrozumiała konsekwencje tego, co widzi, odskoczyła i nadepnęła stopę Jenny.

– Auuu!

– Bardzo przepraszam – szepnęła.

– A gdzie dziś wieczorem podziewa się twój mąż? – spytała Frøydis.

– Ma zebranie, ale może wrócić w każdej chwili.

Ella zdumiona spoglądała na Celeste, która oparła się o ścianę i naprawdę wyglądało, że zaraz zemdleje. Skóra Celeste zawsze jest biała, ale teraz była biała w jakiś nieprzyjemny sposób, wargi zbladły, a cienie pod oczami poszerzyły się.

– Źle się czujesz? – spytała Jenna.

– Nie, ale chyba dzisiaj wieczorem było tego trochę za wiele – odparła Celeste i zaczęła wkładać płaszcz.

– Może przenocujesz u nas? – spytała Ella z troską.

Celeste pokręciła głową, cmoknęła gospodynię w policzek i pierwsza wyszła z mieszkania.

LECTIO XI – CAUSA BELLI

czyli Wykład jedenasty: Przyczyna wojny

Tydzień temu Celeste wysłała SMS-a, w którym definitywnie zakończyła znajomość z dentystą. Potem on przysłał jej wiele wiadomości, kilkakrotnie próbował do niej dzwonić, ale w końcu najwyraźniej się poddał. Celeste jeszcze chyba nigdy nie odczuwała takiej ulgi po pozbyciu się kochanka. Przez dwie noce pod rząd odwiedzał ją Bjørn, a dzisiaj postanowiła uczcić tamtą sprawę i przyjęła zaproszenie do domu od pewnego kolegi, który właśnie rozpoczął pracę w dziale marketingu jej firmy. Miał złośliwe poczucie humoru i krzaczaste brwi.

Postarał się jako gospodarz, przygotował pierś kaczki, perfekcyjnie różową, z chrupiącą, przypieczoną skórką, opiekane warzywa z tymiankiem i miodem oraz chłodny sos jogurtowy. W tle grała muzyka, coś jazzowego. Pili ciężkiego burgunda. On był świeżo ogolony i ładnie pachniał. Dla Celeste nie ulegało wątpliwości, co pragnąłby uzyskać tego wieczora. Ona też nie była niezainteresowana, mimo to postanowiła czekać. Całowali się, pozwalala, by jego język dotykał jej, podobało jej się to, nie spieszyła się i mimo wszystko przerwała pieszczoty.

– Powinnam zbierać się do domu – oznajmiła i przez chwilę zastanawiała się, czy to kokieteria (absolutnie nie, bo Celeste nigdy nie gra), zaraz jednak doszła do wniosku, że tu wcale o kokieterię nie chodzi. Jeśli ma na coś ochotę, to sobie to po prostu bierze. Tym razem miała tylko ochotę na to, by pożądanie narastało, chciała pozwolić sobie na jeszcze jeden wieczór taki jak ten, znowu zjeść coś świetnie przygotowanego, pić drogie wino i rozkoszować się premią, którą będzie się przeżywać jeszcze bardziej. On przyjął jej odmowę bez mrugnięcia, nie podejmując więcej prób zbliżenia, choć nie wiedziała, czy to z uprzejmości,

czy raczej z braku wiary w siebie. A może dlatego, że przywykł, iż kobiety rutynowo muszą określoną ilość razy powiedzieć „nie”. Najpewniej jednak on uznał tak samo jak ona: że w konsekwencji będą mieć z tego więcej, jeśli zaczekają dzień czy dwa. A zresztą wszystko jedno, co on sądzi o sprawie. To nie jego myśli interesują Celeste. Odprowadził ją na ulicę, pocałowali się na dobranoc.

Po winie Celeste miała lekką głowę, zjadła akurat tyle ile trzeba. Postanowiła, że wróci do domu spacerem. To niedaleko, najwyżej kwadrans szybkim krokiem. Miała ochotę na tego mężczyznę, wyobrażała sobie jego ciało nad swoim, odczuwała pożądanie jako przyjemne mrowienie i za każdym razem, kiedy stawiała stopę na chodniku, a ruch sprawiał, że napinały się mięśnie ud i poruszały brzuch, mrowienie narastało, by potem znowu opaść i powrócić przy następnym kroku. Poruszała się szybko, z tym pożądaniem wznoszącym się i opadającym, lekko oszołomiona. Było mgliście, taką mgłą w Oslo widzi się często, kieruje ona myśli w jakieś nieokreślone miejsca w Vestlandet. Na ulicach nie ma prawie nikogo, a światło latarni przenika przez mgłą jak otulone wata, zaczarowane. Celeste znowu pomyślała o Vestlandet, z którym właściwie nigdy nic jej nie łączyło, tylko wspomnienie letnich wakacji dawno temu (Cindy narzekała na ból brzucha i rodzina spędziła noc w zamku z bajki, czyli starym drewnianym hotelu) i z kilku seminariów w ostatnich latach. Szła ulicami Oslo, syta i zmęczona, zadowolona, lekko podniecona, jej kroki odbijały się echem między domami, a ona myślała o umięśnionym męskim ciele, o marznącym powietrzu nad wąskim fiordem, stromych górach, ośnieżonych szczytach.

Potem nie mogła zrozumieć, że pozwoliła, by to się stało. Obwiniła siebie, nie tyle za to, że zdecydowała się na samotny nocny spacer po ulicach, ile raczej o to, że ani przez moment nie pomyślała o Neronie. Aż do chwili, kiedy przed nią stanął. Nagle wyłonił się z nicości, wyszedł z mgły, jak w kiepskim filmie. Nie mogła sobie wybaczyć, że była nieprzygotowana. Wiedziała, że to by oczywiście nic nie pomogło i Frøydis

to samo powiedziała następnego dnia – zupełnie bez zastanowienia: Moja droga, to nie twoja wina, nic nie mogłabyś zmienić.

Kiedy nareszcie dotarła do własnego mieszkania, zamoczyła ręcznik w zimnej wodzie i przyciskała go do najbardziej bolesnych ran; nie była w stanie sprawdzić, czy są poważne i czy nie wymagają opatrzenia. Chwiejąc się, weszła do przedpokoju, sprawdziła raz jeszcze, czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz i na łańcuch, wzięła kołdrę i spędziła noc w łazience; udało się jej nawet przedrzemać kilka godzin. Nie ma mowy, by mogła pójść do pracy, zrozumiała to natychmiast po przebudzeniu.

Wczesnym popołudniem rozległ się dzwonek u drzwi. Celeste leżała, drzemiąc. Teraz drgnęła, zwały się na nią wydarzenia poprzedniego wieczora. Skuliła się. Nie myśleć, nie myśleć. Znowu rozległ się dzwonek, a zaraz potem ktoś zaczął stukać. Celeste z całej siły zakrywała rękami uszy, a kiedy wreszcie przestała i próbowała znowu się położyć, usłyszała swoje imię. Rozpoznała głos Jenny. Ostrożnie usiadła. Chyba się przesłyszała. Bolało ją całe ciało; gdy tylko podniosła się z podłogi, poczuła bolesne pulsowanie w jednym oku. Zaraz jednak usłyszała to ponownie. Celeste, otwórz! To naprawdę głos Jenny.

Siedziały razem w salonie Celeste. Jenna podniosła jej sweter, by obejrzeć wszystkie skaleczenia i nie mogła się powstrzymać, by nie krzyknąć „och!”, kiedy zobaczyła, co zrobił Cato Mathiassen. Nie powiedziała nic więcej, nie pytała, jak to się stało, wstała tylko i wyszła z pokoju, po czym wróciła z watą, plastrami i maścią, zaczęła wolno oczyszczać rany.

– Dlaczego przyszłaś?

– Czułam, że coś jest nie w porządku – odparła Jenna. – Po prostu wiedziałam, że jestem ci potrzebna. Teraz pojedziemy do mnie...

– Ale nie musisz... Ja nie jestem w stanie – zaczęła Celeste.

– Jedziemy. Mam samochód. Szczęśliwie dzisiaj jest na chodzie.

Celeste przez całą noc leżała obok Jenny w jej podwójnym łóżku. Żadna z nich wiele nie spała. Teraz Celeste siedzi tutaj, w salonie Jenny.

Przyszły wszystkie. Było późne przedpołudnie czy raczej wczesne popołudnie. Jenna miała się zająć sklepem matki, ale posłała tam Julię z kartką, że dzisiaj, niestety, będzie zamknięte. Ella mruknęła coś, że i tak tego dnia miała pracować w domu, Frøydis wzięła sobie wolne. Nie ma problemu, zapewniła i machnęła ręką, kiedy Celeste powiedziała, że nie powinny opuszczać pracy z jej powodu. Niczego nie potrzebuje, ani do jedzenia, ani do picia, one jednak wmusiły w nią filiżankę herbaty i parę bułeczek, które przyniosła ze sobą Frøydis (kiedy byłam chora, mama zawsze dawała mi pszenne bułeczki, poinformowała). Otuliły ją pledem, zmusiły, by się położyła. Ona protestowała, próbowała bagatelizować wydarzenie, przekonywała, że wszystko poszło dobrze, że znakomicie sobie poradziła i że nie muszą pieścić się z nią. W końcu jednak uległa ich troskliwości, położyła się na kanapie, długo bezradnie płakała, w końcu zasnęła, a trzy pary rąk głaskały ją po plecach, po ramionach, po czole. Potem przyjaciółki na palcach wymknęły się do kuchni Jenny, typowej dla lat 80. Nie było tu oślepiająco białych frontów, lśniącej stali ani blatów na wysoki połysk. Kuchnia Jenny urządzona była sosnowym drewnem. Znajdowała się tam kuchenka czteropalnikowa, wyglądająca jak jeszcze niedawno wszystkie inne kuchenki. Na parapecie pysznił się dosłownie las ziół i przypraw, na ścianach wisały warkocze czosnku i bukiety suszonych kwiatów. Staroświecka półka na talerze wypełniona była po brzegi biało-niebieskim serwisem – jeden półmisek wyraźnie wyszczerbiony. Drzwi lodówki wypełnione samoprzylepnymi kartkami z odręcznymi notatkami, znajdował się tam też duży magnes z sentencją „Nadstaw drugi policzek” oraz wycięty z gazety artykuł w sprawie cen akcji w nadchodzącym okresie. Usiadły przy kuchennym stole, na którym pośrodku leżała książka „Instrumenty miłości”.

– Musiałam ją jeszcze raz przeczytać – powiedziała Jenna, podniosła na moment książkę, ale zaraz odłożyła. – On tak mądrze pisze o istocie miłości. Robi mi się od tego niedobrze.

– Coś musimy przedsięwziąć – zaczęła Frøydis.

Pozostałe kiwały głowami.

– Choć to niebezpieczne, coś musimy zrobić – powtórzyła Frøydis.

– Trzeba doprowadzić do tego, żeby zrozumiał – rzekła Jenna.

– Istnieją ludzie, którzy nigdy, nigdy nie rozumieją – wtrąciła Frøydis.

– Może policja? – zastanawiała się Ella.

– To na nic się nie zda. Przecież ona rozmawiała z policją wielokrotnie.

– No ale teraz na nią napadł – upierała się Ella.

– Tak, wiem. Jeden z najbliższych przyjaciół matki jest emerytowanym policjantem. Telefonowałam do niego dzisiaj rano, kiedy Celeste na chwilę się zdrzemnęła w moim łóżku. Opowiedziałam mu o wszystkim, a kiedy poprosiłam, by rozmawiał ze mną szczerze, odparł, że sprawa będzie trudna. Nie ma świadków.

– Ale są listy – zaproponowała Frøydis.

– Cato Mathiassen nie jest przecież głupi. Postarał się, by listy nikogo nie naprowadziły na jego ślad.

– Trzeba go unieszkodliwić, wykluczyć z gry – stwierdziła Ella.

– Na gwałt należy odpowiadać gwałtem – powiedziała Frøydis buńczucznie.

Jenna i Ella spojrzały na nią. Milczały, ale nie zgadzały się z jej poglądem. Tyle tylko, że akurat w tej chwili nie miały nic do zaproponowania. Celeste, poraniona, leży na kanapie w salonie, ale to nie usprawiedliwia posługiwania się takimi samymi metodami, nie mają moralnego prawa, by zadawać fizyczne rany innemu człowiekowi. Na sekundę ich oczy się spotkały, wiedziały, że wszystkie myślą tak samo.

– Nie możemy tego zrobić, Frøydis – rzekła w końcu Ella.

– Więc on może dalej tak postępować? Mamy pozwolić mu, by zatłukł ją na śmierć?

Roztrząsały sprawę na wszystkie strony. Frøydis argumentowała swój pogląd spokojnie i precyzyjnie, Ella i Jenna słuchały, a potem z takim samym spokojem przedstawiały własne punkty widzenia. Nie mogły dojść do porozumienia, ale kiedy wieczorem się zegnały, Frøydis wiedziała,

czego chce: chce zadzwonić do pani Næss. Chciała usłyszeć zdanie innego rozsądnego człowieka. Tylko czy może do niej zadzwonić? Jak pani Næss zareaguje na telefon od Frøydis?

*

Quot capita tot sensus (Ile głów, tyle opinii). Ale musi być możliwe osiągnięcie porozumienia. Ella była z jednej strony pobudzona, a z drugiej przygnębiona, kiedy po dniu spędzonym u Jenny wracała do domu. Domyślała się, skąd to pobudzenie, ale nie miała pojęcia, co dzisiaj czyni jej egzystencję szczególnie nieznośną. Czy jest to szczęście Frøydis, nieszczęście Celeste czy też bezradność wobec Cato Mathiassena?

– Halo! – zawołała jak zwykle.

Peter odpowiedział „halo”, ale się nie ruszył. Siedział w salonie i oglądał coś w telewizji, z rozwodnioną whisky w ręce. No dobrze. Ella postanowiła, że ona skupi się nad herbatą i gazetą w kuchni. Na stoliku leżał ich spory stos, między innymi poranne wydanie (z nekrologami), wybrała jednak cieńsze, popołudniowe. Uświadomiła sobie, że od wielu dni nie czytuje nekrologów, choć od lat czyniła to codziennie, zaniedbując tę czynność jedynie z powodu wyjazdów. Pośpiesznie przejrzała gazetę, zatrzymała się dopiero, kiedy dotarła do artykułu: Najlepsze ciasto marchewkowe w mieście. Dziennikarze gazety odwiedzili osiem kawiarni i cukierni. Spróbowali ośmiu ciast marchewkowych i wypowiedzieli się na temat ich smaku oraz wyglądu. Na dodatek zważyli ciastka i wyliczyli cenę za gram. Czytała z zainteresowaniem, porównywała ceny, spoglądała na zdjęcia, stwierdziła, że nie podobają się jej ciasta z grubą, lepką glazurą, natomiast z uznaniem kiwała na widok udekorowanego małą marchewką z marcepanu. Ella kochała tego typu reportaże. Kto serwuje najlepsze kakao w mieście, w jakim kiosku możesz kupić najlepsze kiełbaski, w którym barze w Oslo podają prawdziwe dry martini (stirred, not shaken). Ktoś, kto znałby Ellę jedynie powierzchownie, mógłby sądzić, że ma to coś wspólnego z jej dążeniem do bycia najlepszą. Ale to nieprawda. Zresztą Ella wcale takim dążeniem opętana nie jest. Choć

pozostaje faktem, że w wielu dziedzinach jest najlepsza.

Wyjęła długopis i zaczęła zakreślać odpowiedzi testu, szybko jednak się opanowała. Muszą być jakieś granice. I co ją tak fascynuje w tego typu artykułach? Nigdy przecież nie odwiedza opisywanych miejsc, może jest w tym jakaś pseudonaukowość, systematyczność? Od czasu do czasu przyłapuje się na myśli, że to musi być świetna praca. Chodzić z miejsca na miejsce, zbierać materiały, porównywać i wyciągać wnioski. Nigdzie nie czają się wielkie katastrofy, nie ma plotkowania kolegów za plecami, nie ma utraty prestiżu, jeśli człowiek się pomyli, żadnych intryg. Chociaż co ona o tym wie. Może życie dziennikarza specjalisty od marchewkowego ciasta jest tak samo trudne i pełne niebezpieczeństw, jak życie akademika.

Kroki na korytarzu. Ella pośpiesznie zamknęła gazetę. Nie, żeby wstydziła się przed Peterem, ale też nie chciała, by ją zastał zagłębiającą się w ocenę ciast. Uśmiechnęła się do niego, przygładziła włosy.

– Chcesz filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję – odparł Peter grzecznie. – Pomyślałem, że coś zjem.

– Mam ci coś przygotować?

– Dziękuję ci bardzo, wezmę tylko kromkę chleba.

Byli perfekcyjną parą. Tamtego dnia, kiedy brali ślub, słońce świeciło i ptaki śpiewały na wiele głosów. Tak, tak, zapowiadało się szczęście aż po grób. Ella nie miała większych marzeń niż to, by ona i Peter mogli żyć ze sobą szczęśliwie. Pogoda też była wspaniała, a ptaki śpiewały równie melodyjnie, kiedy nie tak dawno obchodzili dwudziestolecie małżeństwa (to się podobno nazywa porcelanowe gody). Ella przyjęła czerwone róże i komplet zdobionych emalią deserowych łyżeczek od męża, pocałowała go w policzek i wiedziała, że tego się nie doczekają.

Bardzo wcześnie zrozumiała, że dla niej szczęście nie oznacza profesorskiego tytułu, podziwu kolegów, udziału w konferencjach ani publikacji w najwyższej rangi czasopismach. Oczywiście tworzy to ważną i pozytywną część jej życia, ale nie czyni szczęśliwą, w każdym razie ten typ szczęścia niewiele znaczy, nie przypomina nawet tego, jakie ją

przepelnia na myśl o Mai. Maja, która wiele lat temu miękkimi usteczkami dotykała jej skóry, szukając brodawki piersi i ssała tak mocno, że Ella odczuwała to w całym ciele. Maja, która z wściekłością rozpryskiwała wodę z wanienki i wrzeszczała czerwona na całym ciele niczym samochód strażacki. Maja z mysimi warkoczykami, w nowych, lakierowanych bucikach.

Planowali dużo dzieci. Peter zamawiał syna. Żartobliwie, rzecz jasna, ale mimo to nie był w stanie ukryć, jakiej płci dziecko chciałby mieć najbardziej. Na szczęście ona ma Maję. Ella miała Maję do czasu, gdy córka zaczęła studiować w Kopenhadze. Tego dnia, kiedy Maja pakowała do dwóch walizek ubrania, książki, szminkę i pigułki antykoncepcyjne, żeby przeprowadzić się do Danii, Ella zamknęła się w łazience. Siedziała na krawędzi wanny i całkiem poważnie rozważała, że nigdy stamtąd nie wyjdzie. Nie chciała obciążać Mai swoimi małżeńskimi problemami. Nigdy nie powiedziała do córki złego słowa o ojcu (zresztą nie było wiele złego do powiedzenia), nigdy obie nie dyskutowały o sytuacji Elli, mimo to Maja wiedziała. Ella nigdy nie miała przyjaciółek, z którymi by rozmawiała na takie tematy, a one nie znały jej tak dobrze, by domyślać się niewypowiedzianego. Maja to więc jedyna osoba, która wie, że Ella jest nieszczęśliwa. Bogu dzięki Ella była przekonana, że Maja wierzy, iż małżeństwo jest udane.

Teraz wstała, wypłukała dzbanek po herbacie, włożyła filiżankę do zmywarki, rozejrzała się, czy Peter nie zapomniał czegoś sprzątnąć, a co ona mogłaby wstawić do zmywarki lub do lodówki, ale mąż niczego po sobie nie zostawił. Chociaż raz, skonstatowała Ella gniewnie. I mimo wszystko wytarła blat.

– Ella? To głos Petera z salonu.

– Tak?

– Właśnie zaczyna się film. Francuski, i podobno romantyczny.

– Tak? – powtarza Ella. Ona wie, że jej głos jest chłodny, ale nie chce ryzykować kolejnej porażki dzisiejszego wieczora. To ładnie z jego strony,

że powiedział jej o filmie.

– Możemy obejrzyć go razem? Otworzymy to czerwone wino, które dostaliśmy od Mai na gwiazdkę.

Dziesięć, urażona strona jej osobowości chciała odpowiedzieć zdecydowane „nie” i demonstracyjnie zacząć myć wannę lub coś takiego. Zwyciężył jednak rozsądek i poszła do męża. Wzięła ze sobą dwa kryształowe kieliszki z najładniejszego kompletu (który kupili w Pradze wiele lat temu) i usiadła obok niego.

*

Mensis december oznacza „dziesiąty miesiąc”. Ostatnie cztery miesiące roku mają nazwy od liczb oznaczających ich kolejność: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Septem, octo, novem, decem. Kiedyś rzymski rok rozpoczął się w marcu, wyjaśniała Ella.

– A jak brzmiało pierwsze zdanie, które mały Marius i jego koledzy czytali po łacinie? – spytał Bendik.

– Cóż – odparła Ella. – Zdaje mi się, że to było to: Gallia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam qui ipsorum lingua Celtae, nostra Galli appellantur.

– W każdym razie my to czytaliśmy? – zawołała pani Næss.

– A co to znaczy? – dopytywała się Jenna. – Coś z Galią i trzema częściami?

– Tak. „Galia cała jest podzielona na trzy części...” (... z których jedną zamieszkują Belgowie, drugą Akwitańczycy, trzecią ci, którzy w ich języku Celtami, w naszym Gallami są nazywani). Cezar pisał o wszystkich wojnach, w których uczestniczył, a tutaj jest mowa o wojnie galijskiej.

– Wiele wojował ten Cezar – powiedział Erik.

– O tak – zgodziła się Ella. – Starożytni Rzymianie wojowali niemal stale w tym lub innym miejscu, zawsze jednak byli bardzo zainteresowani tym, by wojnę jakoś usprawiedliwić.

– No właśnie – przytaknęła Frøydis. – Uważali, że ofiary na to zasługują.

– Tak chyba można powiedzieć.

– Pomyśleć, że spotykamy się przedostatni raz – rzekła nieoczekiwanie Jenna.

Został jeszcze mniej więcej kwadrans ostatniej lekcji i przez parę sekund nikt się nie odzywał. Ella mówiła właśnie o Cyceronie i listach, które zostawił. Teraz umilkła i usiadła za tymi dwoma pulpitemi, funkcjonującymi w charakterze katedry. Nie zamierzała już mówić o Cyceronie, miała inne plany na resztę zajęć.

– Dziwnie będzie tak po prostu skończyć – rzekł Erik.

– I smutno – potwierdził Bendik.

Ella uśmiechnęła się do nich. Była dumna ze swoich studentów.

– Dzisiaj mamy wyjątkowy dzień.

Erik przytaknął, jakby domyślał się, co Ella zamierza powiedzieć. Że dzisiaj jest przedostatnie spotkanie, że ma nadzieję, iż wiele się nauczyli i że dalej powinni pracować nad łaciną.

– Dzisiaj ktoś ma urodziny – oznajmiła jednak nauczycielka.

Erik przestał przytakiwać, rozejrzał się wokół. Pani Næss potrząsała głową.

– Najlepsze gratulacje, pani Næss – mówiła Ella.

– Nie, masz urodziny? – spytała Celeste. Siedziała obok Frøydis, jej białe futerko wisiało nieporządnie na oparciu krzesła. Od czasu napadu nie była w pracy. Do wczoraj mieszkała u Jenny, z wyjątkiem krótkiej wizyty u Sebastiana. On nic nie powiedział na temat jej obrażeń, ale kiedy wychodziła, podniósł Panią Pusię i przyłożył do policzka matki. Wczoraj Jenna odwiozła Celeste do domu i odprowadziła ją do mieszkania. Celeste lekko zawstydzona spytała, czy nie mogłaby zajrzeć do szafy, pod łóżko i do łazienki. Jenna zrobiła to i zapewniła Celeste, że w mieszkaniu nikogo nie ma, ale że mimo wszystko posiedzi tutaj, dopóki Celeste nie zaśnie. Następnego dnia przyszła Frøydis z dwiema dużymi plastikowymi torbami wypchanymi jedzeniem, co wzruszyło Celeste, choć szczególnie głodna nie była.

Dzisiaj obudziła się i postanowiła pojechać na kurs. Wzięła prysznic (kilka ran nadal piekło w zetknięciu z wodą), wyjęła ubranie, które chciała włożyć. Ale na godzinę przed wyjściem nogi pod nią się ugięły, musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść, dowlekła się do kanapy i skulona usiadła w rogu z podciągniętymi kolanami. Starła się być jak najmniejsza. Kurczyła się, widziała, że pokój się rozrasta, że odległość do sufitu jest coraz większa, a ściany rozjeżdżają się na boki. Odległość od podłogi też była duża, serce biło jej szybciej, niż sądziła, że to możliwe, czuła, że staje się myszą, małą, przerażoną myszą, która siedzi pod zieloną niczym owoc kiwi poduszką i chowa się, bo w wielkim świecie czyha na nią wiele niebezpieczeństw, a ona nie ma jak się bronić, ma tylko to swoje cienkie, miękkie futerko, a pod nim wnętrzości, kruchy szkielecik, żyły i to małe, bijące serce. Siedziała tak bardzo długo, dopóki nie zapisał telefon komórkowy. To SMS. Boże, od Nerona! Nie myśleć, nie myśleć. Kiedy nareszcie podniosła telefon, zobaczyła, że wiadomość jest od Elli. „Wybierasz się dzisiaj? Mam cię podwieźć?” Celeste zaczęła oddychać spokojnie. Nie jest przecież żadną myszą. Da sobie z tym radę. Musi dać radę. Ma przecież je. Wspólnie coś wymyślą. „Dziękuję, bardzo chętnie skorzystam”, odpisała. Poszła do łazienki i starannie się umalowała. No a teraz siedzi obok Frøydis. Ma na sobie elegancki sweterek z golfem, żeby nikt nie zauważył śladów na szyi, a rany na twarzy wytłumaczyła tym, że podrapała się na wycieczce w lesie (taka jestem niezdarna!), kiedy Erik zawołał: Jezu, co ci się stało?!

- Moje gratulacje – powiedział Bendik, całując panią Næss w rękę.
- Czy mogę cię uściskać? – spytała Jenna.
- Czego sobie życzysz z okazji urodzin? – dopytywała Frøydis.
- Nietrudno odpowiedzieć. Chciałabym sushi.
- To się chyba da załatwić – uśmiechnął się Bendik.
- Chcę jeść sushi z nagiego mężczyzny – wyjaśniła pani Næss i wypuściła z objęć Jennę. – Wytnę z piersi mięsień soczysty jak u tuńczyka.

– Rozumiem – uśmiechnął się znowu Bendik. – Pectoralis major. Mięsień piersiowy większy.

– Bardzo dobre życzenie – rzekła Celeste z uznaniem.

– A jak zamierzasz je spełnić? – spytała Jenna.

– Moje przyjaciółki powiedziały, że zamówiły coś takiego – odparła pani Næss zadowolona.

– Oniemiałam z podziwu – zawołała Celeste. – Czy istnieje coś lepszego niż przyjaciółki?

– A teraz zaśpiewamy urodzinową piosenkę – zaproponowała Ella impulsywnie.

– To było imponujące – cieszyła się pani Næss, kiedy śpiew ucichł. – Dziękuję wam wszystkim.

– Dopiero zaczęliśmy – oznajmiła Ella i triumfującym gestem uniosła białą plastikową torbę. Położyła przed sobą na pulpicie i wyjęła dwie papierowe torebki z orzechami. W jednej włoskie, w drugiej pistacjowe. – I mam też miód! Ella wyjęła przezroczystą plastikową butelkę z płynnym miodem akacjowym. – W Rzymie jadano miód z orzechami. My dzisiaj też tak zrobimy. A do tego ser!

– Mówią, że po serze człowiek ma dziwne i urozmaicone sny – powiedziała pani Næss.

– Naprawdę? – spytała zaciekawiona Jenna.

– Ja kocham ser – wyznała Frøydis. – Jaki kupiłaś?

– Gdzie wyczytałaś, że człowiekowi śni się coś wyjątkowego po serze? – spytała Ella. – Mam pecorino, ricottę i jeszcze jakiś twardy, żółty. A przy okazji, czy pamiętacie, że słowa „kuchnia” i „kucharz” pochodzą od łacińskiego coquere?

– Słyszałam to w Anglii, kiedy tam mieszkałam. W młodości na jakiś czas wyjechałam na Wyspy – powiedziała pani Næss.

– Co tam robiłaś? – spytał Bendik.

– Chodziłam na kurs.

– A co z chlebem? – spytał Erik.

– No właśnie, co z chlebem? – powtórzyła Ella, spoglądając na niego zaczepnie. – Chcesz powiedzieć, że powinniśmy mieć też chleb, a może pytasz, czy Rzymianie jadali chleb?

– I to, i to – odparł Erik bez zastanowienia.

– Rzymianie chleb jedli, a wykopaliska w Pompejach pokazują, że często do ciasta dodawano ziarna i fasolę. Więc to już wiesz, a ja dodam: „tak, kupiłam też panis”.

– Na jaki kurs? – spytał Bendik panią Næss.

– Świetnie – ucieszył się Erik. – Ser bez chleba jest dla smakoszy.

– Akurat wtedy skończyłam szkołę dla pilotów w Teksasie i chciałam...

– Naprawdę?! – przerwała jej Jenna.

– Jesteś pilotem? – wtrącił Bendik. – To chyba nie może być prawda.

– Ekstra! – zawołał Erik. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Przecież mówiłam, że pracowałam w SAS-ie – odparła pani Næss. Wyraźnie ją bawiło, że trzymała ich w nieświadomości. – Nikt mnie o nic więcej nie pytał.

– Ale jak do tego doszło? W tamtych czasach chyba niewiele kobiet wybierało taki zawód.

– Ja byłam jedną z pierwszych – stwierdziła pani Næss. – Ale chyba nie skończyliśmy jeszcze zajęć.

– Owszem, skończyliśmy – odparła Ella. – Teraz obchodzimy urodziny.

Zsunęli ławki w jeden duży stół. Rozmawiali o swoich ulubionych daniach (Soczysty hamburger, powiedział Bendik. Tego bym nie pomyślała, odparła Celeste. Pieczony w piekarniku łosoś, dodała Jenna. A ja nie potrafię się zdecydować, westchnęła Frøydis. Sushi, zakomunikowała Ella.). Dyskutowali o przywódcach partyjnych i ochronie środowiska. Celeste, wspomagana przez Bendika, wygłosiła krótkie wprowadzenie do mikrobiologii, ale dlaczego podjęli ten temat, nikt nie pamiętał. W jakiś sposób rozmowa zeszła na choroby dziewiętnastowiecznych marynarzy, wywołane niedożywieniem, a potem nagle przeszli do gramatyki czasowników łacińskich. Ella próbowała

wytłumaczyć im różnicę między indykatywem a koniunktywem, ale tylko Frøydis sprawiała wrażenie, że coś z tego rozumie; reszta właściwie jej nie słuchała. Erik zerkał na panią Næss.

– Jak to jest latać?

– Fantastycznie – odparła. – Niebiańsko.

– Zawsze miałaś ochotę zostać lotnikiem?

– Czy mam zaczynać od początku? – spytała pani Næss.

– Prosimy – zachęcała ją Ella. – Podasz dalej ser, Eriku?

– Bardzo byśmy chcieli posłuchać – dołączyła się Jenna.

– To nie jest specjalnie ekscytujące – zaczęła pani Næss przepraszającym tonem. – Ale ja jestem z natury dość systematyczna. Moja mama urodziła się w tym samym roku, w którym norweskie kobiety otrzymały prawo głosu.

– W Zjednoczonych Emiratach Arabskich kobiety do dzisiaj go nie mają – zauważyła Celeste.

– Naprawdę? – zdziwił się Erik.

– O tak – potwierdziła Frøydis. – A w Liechtensteinie otrzymały je dopiero w 1984. Teraz jednak chciałabym posłuchać Anny. Przepraszam, pani Næss.

Kiedy pani Næss skończyła opowiadać, przy stole panowała cisza. Pierwszy otworzył usta Bendik i wypowiedział tylko jedno słowo.

– Dzielna!

– Dobrze, dobrze – zaoponowała pani Næss. – Naprawdę dzielne to były pierwsze kobiety–piloci. Dagny Berger. Gidsken Jakobsen. To były damy! Urodzone ponad trzydzieści lat przede mną. Nie, ja poszłam tylko za ich przykładem, nic więcej. Eriku, czy mógłbyś oddać mi przysługę? Zaśpiewaj dla nas!

– O tak! – poparła ją Ella. – Bardzo chcemy posłuchać.

– Ale nie mogę śpiewać rockowego tekstu bez mojej gitary – protestował Erik.

– Oczywiście, że możesz. Świetnie dasz sobie radę – przekonywała

Jenna.

Po wielu zachętach Erik ustąpił i przedstawił jedną ze swoich pieśni. Siedział przy stole, najpierw śpiewał przyciszonym głosem, zarumieniony, z przymkniętymi powiekami, potem jednak coraz donośniej i coraz pewniej. W końcu wstał, dłonią wybijał takt o pulpit. Głos miał głęboki i piękny, postukiwanie dodawało całości uroku. Długo bili mu brawa. Ella pochwaliła za teksty, które okazały się pełną fantazji mieszanką łacińskich cytatów i zdań z podręcznika.

– Świetny tekst – pochwaliła też Celeste. – Nie będę udawać, że wszystko zrozumiałam. I jaki masz wspaniały głos!

– Dziękuję – uśmiechał się Erik. – To była próba. Ja tylko próbowałem.

– Ekstra! – zawołał Bendik.

– Eriku, to było wspaniałe – mówiła pani Næss ze wzruszeniem.

Ella miała ochotę podejść i go uściskać, ale poprzestała na uśmiechu.

Zrobiło się cicho. Wszyscy siedzieli syci i zadowoleni przy stole. Ser i orzechy zniknęły, nikt ich nie popędzał, ale nikt nie zachęcał do pozostania, kiedy Bendik i Erik zaczęli się pakować.

– Nadszedł chyba czas kobiet. Opiekujcie się moją ulubioną panią – powiedział Bendik, nachylając się i całując panią Næss w czoło. – Chodź, Eriku, odwożę cię do domu. Valette!

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Frøydis poczuła narastające oczekiwanie. Oto są wszystkie razem. Czy powinna powiedzieć coś do pani Næss, czy może lepiej poczekać?

– Dwóch wspaniałych ludzi – rzekła pani Næss, wyglądając przez okno, skąd widziała Bendika i Erika idących do samochodu.

Celeste przytaknęła.

– Owszem. Erik to świetny chłopak. I oczywiście Bendik także – dodała pośpiesznie.

– U was wszystko w porządku? – spytała pani Næss. – A co z twoją mamą, Jenna?

– Dziękuję – odparła Jenna, uśmiechając się do pełnej troskliwości pani

Næss. – Mówi, że nie może się doczekać przeprowadzki.

– Zdaje mi się, że nie jesteś do końca sobą – zwróciła się pani Næss do Celeste, która oprócz podrapanych policzków miała jasnofioletowy cień pod okiem, którego nie mogła chyba się nabawić przy upadku w lesie.

Celeste automatycznie podniosła rękę do oka.

– Wszystko w porządku – zapewniła.

– Dobrze to słyszeć – odparła pani Næss, ale trudno było nie zauważyć, że jej nie wierzy.

Porozmawiam z nią w cztery oczy, postanowiła Frøydis.

Siedziały jakąś godzinę, rozmawiając o tym i owym, zanim zdecydowały się opuścić Szkołę Morską. Frøydis odwiozła do domu Jennę i panią Næss. Celeste wsiadła do volvo Elli.

– Powodzenia – powiedziała pani Næss, wysiadając z samochodu. – I dziękuję za podwiezienie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A powodzenia w czym?

– We wszystkim – odparła pani Næss swobodnie.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Frøydis.

Następnego dnia wieczorem Frøydis do niej zadzwoniła. Pani Næss nie była tym w ogóle zaskoczona, a gdyby nawet, to nic nie dawała po sobie poznać. Witaj, Frøydis, powiedziała spokojnie i zaprosiła ją do siebie na filiżankę kawy. Teraz, niezwłocznie. Frøydis zerknęła na Andersa, który grał na komputerze. OK, powiedziała. Zaraz będę.

– Ella, Jenna, Celeste i ja – zaczęła, kiedy pani Næss ulokowała ją w wygodnym fotelu i podała kawę. – Mamy coś w rodzaju stowarzyszenia. Albo klubu.

Pani Næss uniosła swoją filiżankę do ust, dmuchnęła i upiła niewielki łyk.

– Wiem – odparła spokojnie.

– Ach tak – rzekła Frøydis równie spokojnie. – Próbujemy dać nauczkę komuś wybranemu, kto sobie na to zasłużył. Jest to, pod wieloma względami, projekt pedagogiczny.

– No właśnie. A uczniami zawsze są mężczyźni.

– Zgadza się.

– I na razie wam się udawało? – spytała pani Næss. Jej włosy były starannie ułożone w loki, ale policzki gorączkowo płonęły, a oczy lśniły.

– Absolutnie. Wiedźmy przeprowadziły kilka udanych akcji i w większości przypadków nauczka, jaką dałyśmy, przekraczała nasze oczekiwania.

– Więc nazywacie się Wiedźmy – zauważyła pani Næss. – To mi się podoba. Wiedźmy to niedoceniana rasa.

Frøydis opowiedziała, jak cała sprawa doszła do skutku tego dnia, kiedy po drugich zajęciach wszyscy poszli do pubu. Potem była noc w Solheim. Pani Næss kiwała głową, czas najwyższy, żeby ktoś zabrał głos w sprawie beznadziejnej sytuacji osób starszych tutaj, w Oslo. Frøydis uśmiechnęła się.

– Następny był facet nazwiskiem Karl Hebborn – powiedziała. – Napakowałyśmy mu do głowy różnych bredni i zmusiłyśmy, by wygłosił to wszystko w nadawanym na żywo programie telewizyjnym.

– Aha, to byliście wy! – zawołała pani Næss. W tamten piątkowy wieczór siedziała w domu i oglądała telewizję. – Nieszczęsny człowiek – dodała.

– On na to zasłużył – stwierdziła Frøydis.

– Nie wątpię – odparła pani Næss. – Jeszcze kawy?

Frøydis zreferowała najważniejsze punkty tej jesieni. Doping i białe kombinezony narciarskie. Zawieszenie profesora w obowiązkach, różowa seks-fryzura.

– Jesteście niesamowite – rzekła pani Næss z uznaniem. – No a teraz?

– No właśnie, teraz – powtórzyła Frøydis. – Tak, teraz mamy poważne problemy. Chodzi o Celeste.

– Tego się obawiałam.

– Ona została pobita.

– Kochanek?

– Eks. Musimy go powstrzymać. Doprowadzić do tego, by zrozumiał. Ale nie jesteśmy jeszcze zgodne, jak.

Siedziały długo i roztrząsały sprawę na wszystkie strony. Powoli plan zaczynał nabierać kształtów. Na koniec pani Næss przyniosła notatnik.

– Lepiej mi się myśli, kiedy jednocześnie piszę.

– To tak jak mnie! – zawołała Frøydis.

Razem stworzyły chronologiczną listę, która zawierała osiem punktów. Krytycznie czytały ją kilka razy, zmieniały kolejność, skreśliły jeden punkt, dodały inny.

– Coś się zaczyna wyłaniać – rzekła wreszcie Frøydis.

Pani Næss przytaknęła.

– Ale perfekcyjne jeszcze nie jest – dodała. – Tak naprawdę to wciąż brak dobrego pomysłu – dodała po chwili.

– No, ale strukturę już mamy. I ja coś wymyślę – zapewniała Frøydis optymistycznie. – A może nie, flight captain?

– A poszłaś tam, żeby obejrzeć jego dom?

– Poszłam. Wczoraj wieczorem.

– Świetnie. To naszkicuj plan. Najlepiej z lotu ptaka, gdybyś była tak miła. Tak wolę, aberracja zawodowa.

Frøydis narysowała, pani Næss kiwała głową, stawiała jakieś krzyżyki i litery na planie.

– A zatem: pozwolimy osobie A zadzwonić i ulokujemy osoby B i C tam. W takim razie chciałabym zaproponować, by osoba D stała tu. W charakterze ubezpieczenia na wszelki wypadek.

– Wygląda to rozsądnie – oceniła Frøydis.

– Kluczowe słowo to bezpieczeństwo. U nas w pracy zawsze stawialiśmy je na pierwszym miejscu. W takiej potencjalnie groźnej sytuacji najpierw trzeba myśleć o bezpieczeństwie. On jest rosły. Powinna więc być również osoba E. Powinno nas być pięć.

Frøydis uśmiechnęła się, bo pani Næss była taka stanowcza, a także dlatego, że zaczęła mówić „my” zamiast „wy”.

– Pozwól mi zostać psem stróżującym. Będę stać poza jego domem i obserwować. Ty będziesz mi dawać sygnały przez okno Y lub X, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– A jeśli nie dam ci żadnego sygnału?

– Wtedy zadzwonię na policję.

– Dziękuję – powiedziała Frøydis. – Tę propozycję przyjmuję z wdzięcznością.

– Ale pozostałym nie musimy wszystkiego mówić – dodała pani Næss.

– Nie, może rzeczywiście nie. Ale przy następnym spotkaniu, jeśli nam się powiedzie z Cato Mathiassenem, to myślę, że będzie nas pięć.

Pani Næss uniosła filiżankę z kawą i przepiła do Frøydis.

– I dopadniemy Cato Mathiassena. Ja... my... Wiedzmy muszą tylko wpaść na Genialny Pomysł – rzekła Frøydis wolno. Jej starannie wyskubane brwi zmarszczyły się tak, że połączyły się nad nosem. Ona też uniosła filiżankę i uśmiechnęła się do pani Næss.

LECTIO XII – CONSUMMATUM EST

czyli
Wykład dwunasty:
Dopełniło się

Stały w kuchni Frøydis. To znaczy Ella, Celeste i Jenna stały, sama gospodyni natomiast siedziała na kuchennej wyspie i machała nogami. Jej stopy w czerwonych lakierkach stukały o szafkę z garnkami, które wraz z rondlami i patelniami podzwaniały metalicznie w takt uderzeń obcasów. Frøydis była podniecona, mówiła głośno i szybko, z przejęcia język jej się plątał. Rozmawiały o pelerynach. Nie temat sam w sobie tak Frøydis poruszał, ale cała sytuacja. Dziewczyny były u niej w domu po raz pierwszy i mogła przedstawić im Andersa! Pełna oczekiwaniami zawołała go, kiedy w końcu wszystkie zebrały się w salonie (Celeste spóźniła się bardziej niż zwykle i tym razem trzy pozostałe bały się, czy coś jej się nie stało). Anders, zawołała, i nie kryła radości, gdy po paru sekundach rzeczywiście się pojawił. Abrakadabra. Stała pośrodku niczym magik. Wszystkie widziały, że rozpiera ją duma, mogły jednak dostrzec, że jest też odrobinę zaskoczona, jakby nie do końca polegała na własnych zdolnościach, jak sztukmistrz–amator, który nie jest jeszcze pewien, co wychynie z kapelusza, kiedy on (albo ona) uniesie ręce w górę. Anders, uśmiechnięty, wyszedł z pokoju gościnnego, w którym urządził swój gabinet. Miał na sobie nową koszulę, białą, ozdobioną kolorowym materiałem na plisie z guzikami i po wewnętrznej stronie kołnierzyka oraz mankietów, dyskretnie, ale w wyrafinowany sposób. To ona wyszukała tę koszulę i dzisiaj włożył ją po raz pierwszy. Anders, chodź, przywitaj się z moimi przyjaciółkami.

On wciąż się uśmiechał (miał bardzo sympatyczny uśmiech i robiły mu się przy tym dołeczki w policzkach!), po kolei podawał gościom rękę.

– Musi być coś magicznego w tych pelerynach – powiedziała znowu

Celeste, choć właściwie nie bardzo nad tym się zastanawiała.

– Magia może się wyrażać w różny sposób – odparła Frøydis, nadal stukając butami w szafkę. Na blacie obok niej stał wielki dzbanek gorącej czekolady. Anders to dla nich przygotował, zanim wrócił do siebie, prawdopodobnie po to, by rozgrywać na komputerze mecz futbolowy, podejrzewała Frøydis. I na chwilę wydało się jej, że on trwoni czas, ale gorącą czekoladę potrafi zrobić, to trzeba mu oddać. Przygotowuje się to w ten sposób, że do gorącego mleka wrzuca się pokruszoną czekoladę, trochę cukru i pół łyżeczki mielonego chili. Anders długo stał ze słoikiem na przyprawę w ręce, zanim go otworzył.

– Czy mam dodać chili? – spytał.

– Oczywiście, że możesz – zgodziła się Frøydis.

– To jest pyszne, ale sama wiesz, że nie wszyscy lubią takie rzeczy.

– Trzeba tylko odpowiednio posłodzić – odparła. – Piekący pieprz wywołuje przyjemne łaskotanie, kiedy wszystko poza tym jest odpowiednio słodkie.

Obok dzbanka stała salaterka z bitą śmietaną, także mocno posłodzoną, i z dwiema szczyptami cukru waniliowego.

– Pyszna czekolada – pochwaliła Ella.

Każda z nich trzymała w rękach kubek gorącego napoju z dodatkiem bitej śmietany, grzejąc palce i popijając małymi łyżkami.

– O tak, musisz powiedzieć Andersowi, że to jest perfekcyjne – poprosiła Jenna.

– Ja myślę, że Jenna zaczarowała peleryny – Celeste wróciła do poprzedniego tematu.

Ella nie mówiła nic, albo dlatego, że była zbyt uprzejma, by powiedzieć, co naprawdę myśli, albo dlatego, że czuła, iż coś jest na rzeczy, ale nie chciała głośno tego przyznać.

– Co ty z nimi robisz? – nalegała Frøydis. Nie chciała się poddać. Jenna wybuchnęła śmiechem.

– Nic – odparła.

Frøydis zeskoczyła na podłogę i wylądowała przed Jenna.

– Odpowiedz mi – domagała się z żartobliwą pogrózką w głosie.

Jenna wciąż się śmiała, teraz spoglądała na Frøydis, która stała przed nią, ujmując się pod boki, rozbawiona.

– Masz śmietanę na nosie – powiedziała Jenna. – Nic z nimi nie zrobiłam – dodała chichocząc. – Chyba nie wierzycie w takie głupstwa?

Rozsiadły się przy kuchennym stole, Frøydis zamknęła drzwi. Teraz będą rozmawiać o Cato Mathiassenie. Dzbanek wciąż stał na blacie kuchennej wyspy, ale czekolady zostało w nim niewiele, poza tym wystygła. Frøydis zrobiło się przykro, kiedy popatrzyła na Celeste. Tamta spoglądała przed siebie, obie ręce położyła na stole, wewnętrzną stroną dłoni w dół. Musiało to być niewygodne, wyglądało też nie najlepiej, ale nikt nie miał ochoty się śmiać, bo widać było wyraźnie, że ona nie zdaje sobie sprawy, w jakiej pozycji siedzi, a jeszcze wyraźniej, że jest jej trudno, że znalazła się na krawędzi załamania.

– Teraz musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz o tym człowieku – rzekła Frøydis. – Pamiętaj, że im więcej opowiesz, tym łatwiej będzie nam zorganizować odpowiednią akcję. Wiele nad tym się zastanawiałam, sporo wymyśliłam, ale wciąż brakuje istotnego elementu.

Ella uśmiechnęła się, słysząc ten nieoczekiwane oficjalny język Frøydis. Ale przecież go rozpoznawała. To strategia, którą Ella sama świetnie rozumie. Na razie jednak nic nie mówiła. Siedziała tylko obok Celeste, patrzyła na jej szczupłe ręce i milczała. Nieruchome, piękne i białe, leżały na blacie jak wyrzeźbione w marmurze.

Czy rzeczywiście trzeba żałować Celeste? Ona jest po prostu zbyt perfekcyjna, czyż nie?

– Opowiadaj! – zachęcała Frøydis.

W końcu Celeste skinęła głową, nie odwróciła wzroku, wciąż patrzyła prosto przed siebie, ale jeszcze raz kiwnęła, zdecydowanie, jakby się zgadzała, że rozwiązanie jej problemu tkwi właśnie w tym: musi tylko zacząć mówić, to wszystko się ułoży. Wciąż jednak milczała, nadal kiwała

głową, niczym mechaniczna lalka. Ella skuliła się. Oczywiście, że szkoda dziewczyny. Na Boga, została strasznie pobita, a ty siedzisz tu i zazdrościsz jej mężczyznom, których miała. Zazdrościsz tych jej kształtnych ramion. Ramion, które – gdybyś im się przyjrzała – nadal mają czerwone pręgi i rany, na których wciąż są sińce, choć zrobiły się teraz żółte i prawie niewidoczne.

Celeste przeniosła wzrok na Frøydis, która siedziała przy stole naprzeciwko niej.

– Jak powiedziałam, byliśmy kochankami – zaczęła. Głos brzmiał cicho, ale stanowczo i wyraźnie. – Byliśmy razem przez rok.

Celeste umilkła.

– Świetnie – rzekła Frøydis zachęcająco, tak jak się przemawia do dziecka, które nareszcie odzyskało rozsądek.

– Kiedy zaczęłaś czegoś się domyślać? – spytała Jenna.

– Z początku niczego nie zauważałam – odparła Celeste. Kiedy chciała spojrzeć na Jennę, skierowała w jej stronę nie tylko oczy, ale odwróciła całą głowę, a ruch wydawał się sztywny i niezdarly. – Był zabawny, opiekuńczy, sto razy bardziej szarmancki, niż bywają mężczyźni, którzy już cię zaciągnęli do łóżka. Był też spokojny, czasami myślałam, że jest nieco nudny z tym swoim brakiem temperamentu. Wszystko zaczęło się od drobiazgu. Byliśmy razem na przyjęciu. On robił takie rzeczy. Zabierał mnie na przyjęcia, choć w dalszym ciągu był żonaty.

– Co mówiła żona? – spytała Ella.

– Chyba jej o nic nie pytał. Akurat w ten weekend pojechała do ich domku letniskowego. Nigdy nie zapomnę sukni, jaką miałam na sobie tamtego wieczora. Powiedział, że jest mi w niej do twarzy. W drodze do domu w taksówce zaczął zgłaszać pretensje, że flirtowałam z jednym z panów. Może i trochę flirtowałam, to prawda, może nawet nie tylko trochę, ale nie mogłam zrozumieć, dlaczego on tak reaguje. Nie przywiązywałam do tego wagi. Śmiałam mu się w twarz, śmiałam się z jego zazdrości, choć z drugiej strony to mi się podobało. Uważałam, że to

zabawne i takie męskie, że on domaga się swojego prawa własności. Wtedy mnie uderzył. Całkiem nieoczekiwanie. Uderzył mnie zaciśniętą pięścią prosto w usta. Ale najgorsze były jego oczy, które zobaczyłam, kiedy opuściłam ręce. Przyglądał mi się.

– Sprawiał wrażenie złego? – spytała Jenna.

– Nie, on patrzył... jakby to powiedzieć... badawczo. Przyglądał mi się z ciekawością, jakby chciał zobaczyć, jakie rany mi zadał i jak ja na to zareagowałam.

– No a jakie ci zadał? – spytała Ella ostrożnie.

– Z ust ciekła mi krew, miałam rozciętą wewnętrzną stronę policzka. Potem okazało się jeszcze, że uszkodził mi ząb.

– No a kierowca? – spytała Frøydis.

– Po prostu jechał dalej, jakby nic się nie stało.

– Rany boskie!

– A ty? – chciała wiedzieć Jenna. – Co ty zrobiłaś?

Celeste pokręciła głową:

– Weszłam z nim do domu. Położył mi zimny okład na twarz i chciał iść ze mną do łóżka, ale zrezygnował, bo odmówiłam. Dopiero kiedy następnego dnia zobaczyłam się w lustrze, zrozumiałam, co się stało. Włożyłam tę wydekoltowaną suknię, w której do niego przyjechałam, i w której, jak powiedział, było mi bardzo ładnie, po czym zatelefonowałam po taksówkę i wróciłam do domu. Wiedziałam, że nigdy, przenigdy więcej nie chcę go widzieć. Zdarłam z siebie tę suknię, zwinęłam i wyrzuciłam do worka na śmieci. Wciąż jeszcze to widzę – cienki niebieski materiał razem ze skorupkami od jajek i pustą tubką po kawiorze.

– No a potem? – spytała Frøydis niepewnie.

– Potem mu wybaczyłam. Po tygodniu znowu byliśmy razem.

– Boże kochany, jak to... – zaczęła Ella.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – odparła Celeste bezbarwnym tonem, zanim Ella zdążyła dokończyć zdanie. – Wierzyłam mu, miałam nadzieję, że się zmieni.

– Ale on się nie zmienił – skonstatowała Jenna.

– Nie, nie zmienił się.

– Ile razy... to się zdarzyło? – spytała Ella. Stwierdziła przy tym, że bardzo trudno jest znaleźć właściwe słowa. Obawiała się, że może sprawiać wrażenie oceniającej, że można by pomyśleć, iż uważa za niezrozumiałe, że Celeste nie rzuciła go po pierwszym razie. Zarazem zdawała sobie sprawę, jak trudno jest odejść, jak bardzo człowiek liczy, że wszystko się zmieni, że będzie lepiej.

– Nie liczyłam – odparła Celeste cicho.

I Ella pożałowała, że zadała to pytanie. Liczba przecież nie ma znaczenia.

– Myślę jednak, że pobił mnie dziesięć, może dwanaście razy, zanim ja...

– Zanim odeszłaś – dokończyła Frøydis.

Celeste przytaknęła.

– Zawsze po awanturze chciał iść ze mną do łóżka, a w końcu przestawałam protestować. On mnie pocieszał, głaskał miejsca, w które przedtem mnie uderzył, całował rany, jakie mi zadał.

– Co za perwersyjny drań – wybuchnęła Frøydis.

– Żałował. Mówił, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobi. Płakał, płakaliśmy, obejmując się nawzajem. Tłumaczył mi, że przyczyną jest jego dzieciństwo. Że ojciec źle go traktował.

– A ty go rozumiałaś? – wtrąciła Ella.

– Tak, rozumiałam go – odparła Celeste krótko. – Też chciałam mu się zwierzać. Jest niebywale uważnym słuchaczem.

– Opowiadałaś mu bardzo dużo – rzekła Ella wolno. – Zwierzałaś mu się, mówiłaś mu rzeczy, których nigdy byś nikomu innemu nie powiedziała.

– Tak – potwierdziła Celeste. – Masz rację. Był dobrym kochankiem, ale dobrych kochanków jest mnóstwo, natomiast mężczyzn, którzy naprawdę słuchają, którzy zadają pełne zrozumienia pytania, udzielają

rad, tacy mężczyźni pojawiają się równie rzadko jak...

– ...jak dobre jedzenie w przydrożnych knajpach – wtrąciła Frøydis i udało jej się sprawić, że Jenna i Ella roześmiały się, a Celeste uśmiechnęła.

– Doszło do tego, że zaczęłam bardziej czekać na te rozmowy po, niż na sam seks. Rozmawialiśmy o małżeństwie. Ja, która byłam już mężatką dwukrotnie i sądziłam, że mam to z głowy na zawsze. Zaczęłam marzyć o dziecku z nim. Był jedynym z moich kochanków, który poznał Sebastiana. Sebbe nigdy nie powiedział, że go lubi, ale nie mówił też, że nie lubi. Jedyne, co powiedział, to że jego zdaniem Cato Mathiassen ma paskudny głos.

– A ma?

– Nie w tradycyjnym rozumieniu – odparła Celeste. – Ma zwyczajny, niski głos.

Umilkła i głośno przełknęła ślinę. Żadna z pozostałych też się nie odzywała. Ella drgnęła, kiedy Celeste podjęła przerwana opowieść.

– To prawdziwy esteta. Zresztą same o tym wiecie, zawsze się to powtarza w wywiadach z nim. Kocha drogie wina, najbardziej włoskie. Zawsze ma w domu świeże cięte kwiaty. Na ścianach, zarówno w domu, jak i w gabinecie wisi mnóstwo obrazów. Wiele z nich to podarunki od samych malarzy. Zna nadających ton artystów, pisarzy, aktorów.

– A nie wiesz, czy Olav Stormm jest jego znajomym?

Celeste uśmiechnęła się blado.

– Nie wiem, ale wcale by mnie to nie zdziwiło. Bo interesuje się teatrem i muzyką. Zwłaszcza muzyka wiele dla niego znaczy. Słucha głównie utworów klasycznych. Tak, w młodości marzył, by zostać muzykiem. Zawsze dużo mówił o tym, że właściwie to pragnął innej kariery.

– Ach tak? – wtrąciła Frøydis. – Więc Cato Mathiassen marzył, by zostać muzykiem?

– Tak, pianistą. Często dla mnie grywał. Jest w tym naprawdę dobry.

Sam to stwierdzał, ale mówił, że nie na tyle dobry, by uczynić z tego zawód. Muzyka jednak, jak mówiłam, znaczy dla niego bardzo wiele. On... zawsze nastawiał CD z muzyką klasyczną, kiedy wpadał...

– Co za obrzydliwy typ – jęknęła Jenna. – A ja go tak podziwiałam.

– Na pewno byś się w nim zadurzyła, gdybyś go spotkała – odparła Celeste.

– Pewnie masz rację – odparła Jenna pojednawczo.

No to co zrobimy? – spytała w końcu Frøydis. – Celeste?

– Nie mam pojęcia.

Jenna chrząknęła.

– Coś musimy zrobić.

Ella przytaknęła.

– Musimy. Faceta trzeba powstrzymać.

Celeste popatrzyła na nią, jedną rękę położyła na ręce Elli, tak że dwa palce znalazły się na nadgarstku i dwa po wewnętrznej stronie dłoni. Reakcja nadeszła natychmiast, jakaś delikatna struna w ciele Elli zaczęła drzeć, jakby palce Celeste na niej grały, napinały ją, drzenie schodziło w dół, głęboko, aż do miednicy. Ella cofnęła ramię, ręka Celeste opadła na stół.

– Tak – powiedziała Frøydis. – Musimy coś zrobić. Wciąż o tym myślę, ale jeszcze całkiem jasno sprawy nie widzę.

– Będziemy realizować zadanie w domu czy gdzie indziej? – zastanawiała się Ella.

– U niego w domu – odparła Frøydis stanowczo.

Ella przytaknęła.

– To znaczy on kocha muzykę – zastanawiała się Jenna.

Frøydis popatrzyła na nią z uwagą.

– A jaki jest jego ulubiony utwór? – spytała.

Celeste wzruszyła ramionami, ale zaraz sobie przypomniała.

– Nie wiem, czy to jego faworyci, ale wiem, że bardzo lubi Mozarta. I Haydna.

– Jenna – zawołała Frøydis z ożywieniem. Wyprostowała się i wyciągnęła palec w stronę Jenny. – Jak dalece znasz się na komputerze?

– To zależy. Mamy się włamać do jego laptopa? Tego nie potrafię, jeśli nie będziemy mieć dostępu do wspólnej sieci, jak to było w przypadku...

– Nie, nie – przerwała Frøydis. – Tym razem to bardziej wyrafinowane – oznajmiła. – Trzeba mu zepsuć radość ze słuchania muzyki, w każdym razie ulubionych utworów.

– Brzmi interesująco, choć nie do końca rozumiem, co miałybyśmy zrobić – powiedziała Jenna.

– Wgramy obce tony w utwory, które najbardziej lubi, a potem zmusimy go, by tego słuchał. Raz za razem, w kółko.

– Sprytne – ucieszyła się Ella.

– To będzie brzmiało straszliwie – rzekła Frøydis zadowolona.

– O tak, to bardzo dobry pomysł – zgodziła się Jenna. – Tylko nie mam pojęcia, jak mogłabym tego dokonać.

Frøydis patrzyła na nią rozczarowana, ręce opadły jej na podolek.

– W takim razie co by tu...

– Sebbe może to zrobić – wtrąciła Celeste nieoczekiwanie. – Sebbe zna się na wszystkich tego rodzaju sprawach.

– No i tym razem też będziemy potrzebować czegoś usypiającego.

– To moja najprostsza sztuczka – uśmiechnęła się Celeste. Mówiła znowu swoim prawie normalnym głosem.

– Świetnie – rzekła Ella z ulgą. – No to mamy plan. Pozostaje tylko wyznaczyć dzień.

– No i przeprowadzić akcję – roześmiała się Jenna.

– Jeszcze nie wszystko zaplanowałyśmy – ostrzegła Frøydis, unosząc rękę.

Pozostałe w milczeniu odwróciły się ku niej.

– Mam jeszcze jeden pomysł.

Wstała i podeszła do szafki z szufladami w kuchennej wyspie. Najpierw otworzyła najwyższą i najwyraźniej znalazła to, czego szukała. Nóż. Nóż

do krojenia chleba, z błyszczącym trzonkiem ze lśniącymi nitami. Stała przed nimi z nożem uniesionym niczym miecz.

– Dwa i pół tygodnia temu Cato Mathiassen stał nad Celeste z takim samym nożem. Ciął i dźgał jej skórę, przeciągał ostrze po szyi i ramionach. Pomyślcie, jak ona się czuła. Pomyślcie, jak musiała się bać!

Celeste wpatrywała się w podłogę, nie mówiła nic. Zaciskała dłonie.

– To jednak nie oznacza, że my też mamy stanąć przed nim i wymachiwać takim symbolem fallicznym – przerwała Jenna. – Odłóż to, bardzo cię proszę.

Frøydis odłożyła nóż z powrotem i zatrzasnęła szufladę, ale zaraz otworzyła drugą. Ukucnęła i grzebała w swoich kuchennych narzędziach, chwyciła jedno z nich i uniosła w górę.

– No a to? Poznajecie?

Milczały, w końcu Jenna niepewnie spytała:

– Czy jego też mamy strzyc?

– Nie – odparła Frøydis krótko. – On podobno lubi grać na fortepianie, prawda?

– Tak – potwierdziła Celeste mechanicznie. – Przecież mówiłam.

– „Tnij, tnij, mówiła czarownica” – jak w znanej bajce.

Frøydis kłapała nożyczkami, powtarzając głośno:

– Tnij, tnij.

Podeszła do Elli z uniesionymi nożyczkami, jej ręka zastrzygła w powietrzu przed nosem koleżanki.

– Frøydis – upomniała ją Ella.

Frøydis opuściła nożyczki.

– Nie – odparła poważnie, normalnym głosem. – Jego strzyc nie będziemy. On zasługuje na coś znacznie gorszego. Stosuje wobec kobiet przemoc fizyczną. Nie powinien więc się dziwić, że kobiety odpowiedzą mu tym samym. A żeby grać na pianinie, trzeba mieć wszystkie palce w porządku, czyż nie. Między jedną oktawą a drugą jest duża odległość, prawda?

– Chciałabyś?... Rany boskie! – jęknęła Ella.

– Nie, no, przyhamuj! – krzyknęła Jenna.

Celeste nie powiedziała nic. Jej ręce wciąż leżały, białe i beczynne, na blacie stołu. Niczym dwie części ciała nienależące do nikogo.

– On chyba na to zasługuje – odparła Frøydis niewinnie. – Zrujnował życie Celeste. Uważacie, że nie należy się za to chociaż jeden mały palec? Posłuchajcie no teraz, dziewczyny. Oto mój plan!

*

Anders położył się spać. Przyjaciółki wyszły. Frøydis siedziała sama przy kuchennym stole, nakrytym do uczyty dla jednej osoby. Zapaliła stearynową świecę i ułożyła wszystko porządnie jak należy: nóż, widelec i serwetka. Szklanka. Młynek do pieprzu i solniczka. Dzbanek z jabłkowym sokiem. W koszyczku leżały kromki ciemnego żytniego chleba i puszysta, biała paryska bułka. Masło w miseczce. Rostbef, miękka szynka serrano na półmisku, a obok pokrojony w plasterki ogórek i pomidor. Na talerzyku wieprzowe kiełbaski. Salaterka domowej roboty sałatki z raków w majonezie. Szwajcarski ser z dużymi dziurami, na lewo od sera nożyczki.

Frøydis jadła już od około kwadransa. Teraz westchnęła. Wiedziała, że nadejdzie uczucie sytości, ale na szczęście dopiero za kilka minut. Może nadal jeść. Kawałek żytniego chleba grubo posmarowanego masłem, na to plasterki wieprzowej kiełbaski, świeżo mielony pieprz, a na górę dwa plasterki pomidora. Ludzie nieznający Frøydis, omiatający jedynie wzrokiem jej okrągłe ciało, sądzą, że to kobieta, która dosłownie wpycha jedzenie do ust, bezkrytycznie pochłania ogromne jego ilości w wielkim tempie, nie dając sobie czasu na delektowanie się smakiem. Tymczasem Frøydis to prawdziwa smakoszka. Rozmyśla o jedzeniu przez większą część dnia. Bywa, że marzy o jakimś daniu i cmoka z satysfakcją. Anders opowiada, że pewnej nocy wyraźnie coś gryzła, przełykała i wydawała odgłosy zadowolenia, zanim odwróciła się na drugi bok i pogrążyła we śnie. Obudziła się rano i najpierw pomyślała o Andersie, a potem

z radością o śniadaniu, o sadzonych jajkach, delikatnym, tłustym i chrupkim bekonie, o kropelkach wody na maśle i bułeczkach zrumienionych w piekarniku.

Cato Mathiasen musi zostać ukarany. To się rozumie samo przez się. Frøydis zatelefonowała do pani Næss i poinformowała ją o uzupełnieniach planu akcji. Tamta nie była taka zachwycona, jak Frøydis się spodziewała. No dobrze, powiedziała tylko, wypełnię rozkaz dowódcy, ale to może być niebezpieczne.

Ostatni kęs kanapki zniknął teraz w jej gardle, przymknęła oczy i rozkoszowała się smakiem. Oto ma plan. Niczym w objawieniu pojawił się Genialny Pomysł. Ale może popełnia błąd? Może to zbyt ryzykowne? Wypiła resztę soku jabłkowego. Nie, damy sobie z tym radę, postanowiła. Celeste przyniesie strzykawkę, Jenna łańcuch, Ella aparat fotograficzny, a ja nożyczki.

*

– Chyba powinnaś się wkrótce położyć? O której jutro zaczynasz w szkole?

– Idę na drugą lekcję – odparła Julia.

Jenna nie powiedziała nic więcej. Nie umiała wyobrazić sobie nic lepszego niż siedzenie na kanapie z córką obok w domu przy Vålerendze, z dużymi kubkami herbaty, przy zapalonych świecach, ustawionych na starej ceramicznej tacy matki i z adwentowym wieńcem na zwykłym miejscu koło telewizora. Miała wrażenie, że po wydarzeniu z Hermanem Høstmarkiem Julia stała się bardziej dojrzała. Siedziały teraz jak dwie dorosłe kobiety i rozmawiały o różnych sprawach. Wciąż jednak córka nie stała się domatorką, nie była bardziej zorganizowana. Jej pokój w dalszym ciągu wyglądał jak po katastrofie, nigdy nie myła piekarnika, chociaż nabrudziła lazanią czy pizzą, nie wieszała ręczników w łazience, nie wycierała podłogi, różne rzeczy rozrzucała wokół siebie. Jenna pochyliła się w stronę córki, wchłaniała zapach jej skóry, pocałowała ją w policzek, potem znowu się wyprostowała. Teraz żadnych kazań. To może poczekać.

Zresztą i tak niewiele da.

Dawniej Jenna siadywała u boku Johannya, z włączoną cichą muzyką, latem przy otwartych szeroko drzwiach werandy i z zapalonymi świecami (na tej samej tacy) zimą.

Przed chwilą była na dole, żeby sprawdzić, czy u matki wszystko w porządku. Johanna przez cały dzień nosiła się z czymś, co teraz szeptem przekazała Jennie. Dotyczyło to wielkiej akcji, dzięki której będzie można dokonać zemsty na złym cesarzu.

Jenna pokiwała głową i uśmiechnęła się tak, jak się kiwa i uśmiecha do małego dziecka, które z przejęciem opowiada o swoim wymyślonym przyjacielu. Wracając na górę pomyślała: jakie to dziwne, że matka mogła powiedzieć to o cesarzu; potem nastawiła wodę na herbatę, zawołała Julię i przestała się zastanawiać nad słowami Johannya.

*

Tym razem spotkanie od samego początku przebiegało w atmosferze wielkiej powagi. W sprawie Hermana Høstmarka posunęły się daleko, ale wobec prześladowcy Celeste muszą posunąć się jeszcze dalej. Wóz albo przewóz.

W zabudowanej willami i segmentami dzielnicy Bærum panował nastrój bożonarodzeniowy. Śnieg leżał na drzewach. Na wielu drzwiach wisiały wieńce z jedliny, udekorowane lśniąco bombkami, z krasnoludkami w środku, a w wielu ogrodach drzewa przystrojono światełkami. Cztery Wiedźmy szły w stronę jego domu, obok siebie, wolno, ale świadome celu. Śnieg tłumiał wszelkie dźwięki, ich kroków nie było słyhać, jakby kobiety poruszały się w wacie.

– Ile razy chodziłyśmy już na akcję? – spytała Jenna, bardziej po to, by cokolwiek powiedzieć, wypełnić czymś ciszę.

– Teraz to już chyba było pięć – rzekła Ella. – Pięć. Jon D. Ommundsen, Dag Martin Martinsen, Karl Hebborn, Edmund Benewitz-Nielsen, Herman Høstmark – wyrecytowała Frøydis. – Pięć.

– I jeszcze drink dla agenta nieruchomości – wtrąciła Jenna

rozbawiona, ale żadna tego nie skomentowała. Jenna została zignorowana, ale nie potraktowała tego jako demonstracji siły; rozumiała aż nazbyt dobrze, dlaczego jej nie odpowiadają. Wszystkie po prostu się boją, a wtedy zapomina się o życzliwości i uprzejmości. Jenna zresztą czuje to samo.

– Dzisiaj mamy Cato Mathiassena. To zupełnie inna sprawa – stwierdziła Ella rzeczowo. Zatrzymała się, stała chwilę w mroku poza kręgiem światła najbliższej latarni. Znalazły się w tej chwili tak blisko celu, że widziały dom nieprzyjaciela.

– On jest niebezpieczny – ostrzegła Celeste, jakby nie zostało nic z jej zwykłego, pewnego siebie zachowania. Głos brzmiał obco, cicho i niechętnie, jakby zmuszała się do mówienia.

Stały blisko siebie, stłoczone. Niczym gromadka osieroconych szczeniąt, pomyślała Ella. Śmiertelnie przerażonych, piszczących. Nie wiedziała, dlaczego przyszły jej do głowy akurat szczenięta. Może to te aksamitne peleryny przypomniały jej lśniąca, czarną sierść labradora. Cztery niezdarne, niedorośle egzemplarze gatunku *canis lupus familiaris*. Ella głęboko i z drzeniem zaczerpnęła powietrza. Teraz posuwamy się za daleko, to zbyt niebezpieczne, a w duszy wewnętrzny głos odpowiedział niczym echo: Tak, Ello Blom, tym razem masz rację. Teraz posuwacie się za daleko. To jest niebezpieczne. Ale musicie to zrobić: *Audere est facere* (Trzeba się odważyć).

Frøydis wsunęła rękę pod pelerynę Jenny. Dopiero kiedy dotknęła chłodnej skóry tamtej, poczuła, że ma bardzo wilgotne dłonie. Uścisnęła Jennę krótko, na zachętę, tyleż dla Jenny, co dla siebie. Potem ostrożnie sprawdziła, czy strzykawka znajduje się tam, gdzie powinna, w bocznej kieszeni torby, wyjęła ją i trzymała gotową w ręce. To oczywiście Celeste załatwiła i samą strzykawkę, i to, co się w niej znalazło (musimy mieć coś mocnego, powiedziała Frøydis, coś, co go powali natychmiast).

Teraz Celeste patrzyła na strzykawkę trzymaną przez Frøydis. Była tego samego typu, co tamte używane do spreparowania orzechowej

czekolady. Wspomnienie narciarskiego biegu dało jej siłę, by powiedzieć:

– Ruszamy... Teraz.

– Pamiętajcie, że on na to zasłużył – przypomniała Ella, ale zabrzmiało to zbyt oficjalnie, by wywołać jakiś dodający otuchy efekt.

– On... zasługuje... – wyjąkała Celeste. Język jej się plątał. Było widać, że z trudem nad sobą panuje.

Frøydis ze strachu kręciło się w głowie, z troską patrzyła na białą, spiętą twarz Celeste. Jak zdołają przeprowadzić to, co zaplanowały? Cato Mathiassen to wysoki i wysportowany mężczyzna, a one wiedzą bardzo dobrze, do czego jest zdolny.

Ruszyły w stronę drzwi wejściowych. Cato Mathiassen mieszkał w przeszklonym domu, w cichej, bocznej uliczce. Część frontowa wyglądała imponująco, wysokie, podwójne drzwi dębowe z mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa i witrażowym oknem ponad nią. Ale sam dom prezentował się raczej skromnie – ostatni w szeregu ośmiu innych. Domy były takie same, tylko drzwi różne. Sąsiedzi Cato Mathiassena mieli proste, pomalowane na czerwono. Żadne z pozostałych zresztą nie były nawet w przybliżeniu tak duże jak u niego.

– Gdybym była psychologiem, to chyba mogłabym dokonać analizy dotyczącej wyboru drzwi – powiedziała Ella.

– Czy nie powinniśmy już zaczynać? – spytała Jenna.

Upewniły się, czy Cato Mathiassen jest w domu sam.

– Jesteś gotowa? – spytała Frøydis.

Ella przytaknęła.

Nie, w żadnym razie nie wyglądają jak niezdarne szczenięta. Raczej jak wyżyły. Czarne, piękne psy o lśniącej sierści. Tego, że czarne wyżyły prawdopodobnie nie istnieją i że długonogie, szczupłe wyżyły są rasą w najmniejszym stopniu nie przypominającą Frøydis, postanowiła nie przyjmować do wiadomości.

Pozostałe trzy skryły się za narożnikiem domu. Ella zdjęła kaptur, który zwisał teraz na plecach, owinęła szyję turkusowym szalem. Zgodziły

się co do tego, że bez kaptura i z szalem w ostrym kolorze jako elementem odwracającym uwagę on nigdy nie zauważy dziwnego stroju, w każdym razie nie w półmroku i nie na pierwszy rzut oka (– A musimy mieć te peleryny? – spytała Ella. – Jasne, że musimy – odparła Jenna stanowczo).

Ella zagryzała wargi, by poprawić ich kolor, żałowała, że nie położyła świeżej warstwy szminki, nie powinna być taka bezbarwna i zdenerwowana. Głęboko wciągnęła powietrze, poczuła, że nie jest w stanie kontrolować oddechu, że drży. Na skroniach i na szyi krew pulsowała coraz szybciej i szybciej. Przymknęła oczy, koncentrowała się, powtarzała to, co ma powiedzieć, wyobrażała sobie, co on odpowie, jakie ruchy powinna wykonywać. Próbowala też przedstawić sobie jego reakcję, to, w jaki sposób ruszy do ataku. Bo z pewnością tak zrobi, kiedy odkryje, że ona nie jest osobą, za którą się podaje i że nie jest sama. Znowu zaczerpnęła powietrza, tak samo głęboko, poczuła ból w klatce piersiowej, wypuściła powietrze przez usta. Trochę ją to uspokoiło, była gotowa. Spoglądała to na kołatkę, to na przycisk dzwonka, w końcu położyła palec na przycisku i zadzwoniła. Minęło ledwie kilka sekund, a jedna część podwójnych drzwi została otwarta.

On wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciach w gazecie. Piękny mężczyzna, o łagodnych, pełnych zrozumienia oczach i z pokojowym wyrazem twarzy. Był jednak o wiele większy, niż Ella myślała, choć Celeste przygotowywała je na to. Dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, na tyle oceniła jego wagę. Cato Mathiassen niemal wypełniał otwór swoich ogromnych drzwi. Ella uśmiechnęła się do niego, starała się wyglądać kobieco i bezradnie.

– Cześć – zaczęła łagodnie. – Jestem Nora, jedna z twoich sąsiadek.

– Cześć – odparł Cato Mathiassen. I uprzejmie czekał.

– Mam nadzieję, że będziesz mógł mi pomóc – mówiła Ella, przekrzywiając lekko głowę i spoglądając na niego błagalnie.

– Tak?

– Ale przede wszystkim – przerwała mu, zanim zdążył powiedzieć coś

więcej – muszę wyznać, że jestem twoją prawdziwą wielbicielką. Regularnie czytuję twoją szpalnę.

– Dziękuję – odparł Cato Mathiassen i lekko skrepowany, z czym było mu bardzo do twarzy, spoglądał na swoje stopy. – Ładnie, że mi to mówisz.

– Szczerze powiedziawszy, kupuję co sobotę gazetę głównie ze względu na twój tekst.

– No to bardzo się cieszę. Serdeczne dzięki.

– Chodzi o to... Uff, nie chciałabym zawracać ci głowy taką sprawą – tłumaczyła Ella i na kilka sekund przestała grać. Powiedziała to, co myśli. Naprawdę go podziwia. A teraz prosi go o pomoc, chce dłużej z nim porozmawiać. Jest rzeczywiście sympatyczny i Ella pamięta jego przenikliwe i starannie przemyślane rady, jakich udziela w swoich tekstach.

– Mów – zachęcał przyjaźnie. – Słucham.

– Bo, widzisz... Jakiś kot się skaleczył, tam, akurat za twoim domem.

– Co? – zawołał Cato Mathiassen przerażony.

Ella odnosiła się sceptycznie do tego chwytu z kotem. Uważała, że jest mało prawdopodobne, by dał się nabrać. Myślała, jak zareagowałby Peter i podejrzewała, że wzruszyłyby jedynie ramionami, gdyby przyszła jakaś obca kobieta i zaczęła paplać coś o rannym kocie. Nawet gdyby była uderzająco piękna. Jak Celeste.

Ale na Cato Mathiassena opowieść o kocie podziałała. Zareagował natychmiast. Biedny zwierzak, bąknął i wyglądał na szczerze zmartwionego. Pochylił się – jego barki były niemal tak szerokie jak skrzydło drzwi – i włożył buty. W następnym momencie stał na ganku razem z Ellą.

Celeste miała rację. On kocha koty, mówiła, poza tym będzie chciał zrobić na tobie wrażenie. Na mnie, zdziwiła się Ella. Na każdej, odparła Celeste. A jeśli na dodatek się dowie, że ty wiesz, kim on jest, będzie się czuł zobowiązany dorosnąć do własnego image, człowieka chętnego do

pomocy, bezinteresownego.

Pomysł z rannym kotem natychmiast też przekonał Frøydis. Jest w tym piękny symbol zemsty, stwierdziła. To przecież klasyczny trik, jakim we wszystkich epokach posługiwali się pedofile. Świetna puenta, ucieszyła się Ella. Mam gdzieś symbolikę, rzekła Celeste, ale to zadziała.

– Gdzie on jest? – spytał Cato Mathiasen.

– Tuż za rogiem – odparła Ella. – Chodź.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Ella i Jenna trzymały mężczyznę. Celeste podwinęła mu rękaw koszuli. Frøydis dźgnęła. Trafiała w płaską żyłę za pierwszym razem. W ciągu sekundy było po wszystkim. Cato się zgiął, dopiero kiedy leżał przed nimi na ziemi, muskularny, sto dziewięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, zdali sobie sprawę, że raczej im się nie uda i że nie ma co liczyć na powodzenie.

Przeniesienie ogromnego, bezwolnego ciała to prawie niemożliwe zadanie nawet dla czterech kobiet, mimo że zawczasu ukryły pod krzakiem nosze na kółkach. W końcu jakoś zdołały go na nie wtaszczyć. Głowa mu się kiwała, nogi wlekły po ziemi, ręce zostały ułożone wzdłuż ciała. Ruszyły, szły tyłem, ciągnąc za sobą nosze. Frøydis i Jenna trzymały każda swój uchwyt, Celeste pchała z jednej strony, Ella z tyłu, i szeptała niczym sternik: Teraz w prawo! Teraz ostrożnie.

W domu przechyliły nosze, zrzuciły nieprzytomnego na podłogę niczym ładunek drewna. Zostawiły go w wiatrołapie, głowa znalazła się pod komodą na wysokich nóżkach, jedna stopa przy wyjściu, tak że Jenna musiała się pochylić, zgiąć mu kolano i ustawić pod kątem, by dało się zamknąć drzwi. Cato wyglądał, jakby zasnął tak szybko, że nie zdążył nawet wygodnie ułożyć swego ogromnego ciała. Twarz miał spokojną, na wargach wciąż ten blady uśmiech, ten sam lekko zdziwiony uśmiech, jaki tam się pojawił, kiedy okrążywszy narożnik domu zamiast rannego kota zobaczył gromadkę ubranych na czarno ludzi. Mózg zdążył to zarejestrować, wydał mięśniom twarzy polecenie uśmiechu, ale w następnej chwili Cato stracił przytomność.

Celeste stała przy ścianie i ciężko dyszała. Przeciągnięcie go to był wielki wysiłek, ale zmęczenie brało się bardziej ze strachu niż z fizycznego napięcia mięśni. Osunęła się wolno po ścianie, aż pięty dotknęły górnej części ud. Siedziała tak, w kucki, pochylona do przodu, twarz ukryła w dłoniach. W jej mózgu pojawiły się dwa wyraźne, choć blade obrazy. Jeden przedstawiał Sebbe, jego oczy, palce wystukujące takt piosenki Abby, a drugi obraz to jej suknia, ta cienka, niebieska suknia, którą wyrzuciła do śmieci, razem z papierami, skorupkami jajek i zgniecioną tubką po kawiorze. Te dwa obrazy ukazywały jej się naprzemiennie, a od czasu do czasu równocześnie, niczym podwójna ekspozycja. Nakładały się na siebie, mieszały się i znowu wolno rozdzielały, jakby znajdowała się w mętnej wodzie. Albo jakby śniła. Ale ja nie śpię, zapewniała sama siebie. Siedzę tutaj, w jego domu, i jestem całkiem przytomna.

– Zgodnie z wyliczeniami Celeste będzie spał co najmniej godzinę – szepnęła Frøydis.

Wróciła po dokonaniu krótkiej inspekcji w domu. Tak jak to ustaliły z panią Næss.

– Ale czy mimo wszystko nie powinnyśmy, dla wszelkiej pewności?... – spytała Ella.

Frøydis zerknęła pośpiesznie na ogromnego mężczyznę i skinęła głową.

– Owszem, nie możemy ryzykować. On może nie być szczególnie życzliwie usposobiony, kiedy wróci do przytomności.

– Celeste, no i jak? – szepnęła Jenna.

Celeste nie odpowiadała, wciąż siedziała z głową ukrytą w dłoniach. Długi spiczasty kaptur zsunął się jej z głowy i leżał na podłodze niczym czarny wąż.

Od strony Cato Mathiassena doszło je ciche mamrotanie. Frøydis zeszywniała. Jej chłodne opanowanie było delikatną powłoką skrywającą strach. I teraz dźwięki wydawane przez Cato Mathiassena rozdarły tę powłokę. Stała cicho, żaden mięsień nawet nie drgnął w jej ciele. Do takiego strachu nie przywykła, ale mimo wszystko natychmiast go

rozpoznała. Boi się zranienia, boi się umrzeć, boi się zostać pozarta. Nigdy przedtem tak wyraźnie nie odczuwała, co to znaczy mieć słabe kobiece ciało, być fizycznie ułomną. Zamieszkuje ciało pozbawione siły i mocy, ciało, które byle jaki facet może uszkodzić gołymi pięściami.

– Co zrobić z Celeste? – spytała Jenna, dotykając delikatnie ramienia Frøydis.

– Zostaw ją, niech sobie po prostu siedzi – odparła. Potem wskazała na leżącego. – Myślicie, że zdołamy przeciągnąć go do salonu?

Jak zwykle Frøydis bolały stopy. Zadała sobie sporo trudu, by botki na wysokich obcasach ustawić pięknie jeden obok drugiego, zanim, bosa, odwróciła się znowu do koleżanek i ciała Cato Mathiassena. Czuła się absurdalnie mała obok tego mężczyzny, jednak zdecydowanie ujęła jego ramię (ręce jej drżały, ale to zlekceważyła), podczas gdy Jenna chwyciła drugie. Ella trzymała głowę, żeby jej nie uszkodzić podczas przeciągania. Twarz z lekkim, uprzejmym uśmiechem znajdowała się kilka decymetrów od niej. Dopchnęły go do miejsca, które Frøydis znalazła za kanapą, niewidocznego z ulicy. Jenna i Ella wyjęły taśmę samoprzylepną. Frøydis trochę się uspokoiła. Energicznie podeszła do okna, które pani Næss ochrzciła jako „okno Y”. Stała tuż przy szybie – w umówionym miejscu na zewnątrz znajdowała się pani Næss. Frøydis uczyniła gest, który oznaczał „na razie wszystko idzie zgodnie z planem”. Obecność jeszcze jednej osoby, wyposażonej w telefon komórkowy i apteczkę z logo SAS-u, dawała poczucie bezpieczeństwa. Zanim pani Næss opuści posterunek, Frøydis ma dwukrotnie przesłać jej sygnał.

Ułożyły go na plecach. Pierwsze, co zrobiły, to owinęły szeroką, srebrzystą, grubą taśmą nogi Cato w kostkach, i ręce w nadgarstkach. Przywiązały go do kanapy i kolumnienki przy kominku łańcuchem, tym samym, którym posłużyły się w domu opieki. Związane ręce przytwierdziły do łańcucha. Jenna znowu zatrzasnęła kłódkę. (Zaopiekujesz się kluczem, Frøydis? Jasne, to przecież już prawie tradycja.) W końcu starannie zakleiły jego usta, mógł oddychać tylko

nosem.

Dopiero w chwilę po wykonaniu tych czynności Jenna zauważyła, że w pokoju gra muzyka, cicha, przyjemna melodia wypełniała pomieszczenie. Salon był piękny, ciężkie antyczne meble, duże obrazy, drogie i w mieszczańskim guście. Ella wyszła do Celeste, która wciąż siedziała na korytarzu. Frøydis stała przy regale z książkami i przewracała zawartość teczek, którą tam znalazła. Zniszczonej, papierowej, zielonej teczki z gumką, noszącej ślady częstego używania.

– Rany boskie! – wykrzyknęła nagle półgłosem.

– Co to jest?

– Chodź i zobacz.

Jenna podeszła, pochyliła się i spoglądała Frøydis przez ramię. W teczce znajdowały się fotografie, niezbyt dużo, może z tuzin. Wszystkie przedstawiały kobiety. Niektóre zdjęcia barwne, inne czarno-białe, różnej wielkości i formatu. Było tu kilka profesjonalnych portretów wykonanych przez fotografa, i zdjęcia amatorskie zrobione w restauracji, na wycieczce, w lesie. Cztery czy pięć z nich sprawiało wrażenie, że zrobiono je bez wiedzy fotografowanych kobiet. Były chropowate i nieostre, a kobiety stały w dziwnych pozach lub znajdowały się w ruchu. Zdjęcia tak intymne, że przykro patrzeć. Frøydis odłożyła je na sam spód. Jeden z portretów przedstawiał kobietę o jasnych lokach i niezwykle szerokim uśmiechu, inny niedużą i drobną, z długim sznurem koralu na szyi. Pośród nieznanym kobiet nagle uśmiechnęła się do niej Celeste. Na dość dużym zdjęciu. Oczy miała intensywnie niebieskie, twarz nieco pełniejszą niż teraz, inną fryzurę.

– A to jego żona – powiedziała Jenna cicho, biorąc inną fotografię. – Czy raczej była żona. Widziałam ją w gazetach. Domyślam się, że jedna z tamtych to przyjaciółka koleżanki Celeste.

– Dlaczego on trzyma te zdjęcia? Jak myślisz, co z nimi robi?

– Siedzi i rozkoszuje się widokiem – oznajmiła Jenna zdecydowanie. – Patrzy po kolei na zdjęcia, przypomina sobie, co zrobił tym kobietom,

przymyka oczy i słyszy ich krzyki, czuje zapach krwi i strachu.

– Tak uważasz?

– Tak – potwierdziła Jenna. – Ja to wiem. Ale więcej tego robił nie będzie. Wkładam teczkę do swojej torby i po powrocie do domu wszystko spalę.

– A Celeste?

– Jej nic nie powiemy – odparła Jenna, zaciągając błyskawiczny zamek torebki. – Tak, Celeste nie powinna o tym wiedzieć.

Celeste się podniosła. Stała teraz w drzwiach z przedpokoju i spoglądała na pogrążony w półmroku salon. Ella obejmowała ramieniem jej barki. Może widok Cato Mathiassena leżącego, pooblepianego taśmą, przykutego łańcuchem do metalowej kolumny kominka stanowi dla niej jakąś pociechę? W każdym razie Celeste uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

– Dziewczyny, w tych swoich pelerynach wyglądacie jak wariatki.

– I nawzajem – odparła Jenna również szeptem.

– Dlaczego my szepczemy? – spytała Frøydis.

Ella roześmiała się. Frøydis wstała i potknęła się o łańcuch, który uderzył w kolumnę i zadzwonił przenikliwie. Wszystkie cztery wybuchnęły histerycznym chichotem.

Celeste wolno szła do miejsca, w którym leżał związany więzień. Zatrzymała się jakieś pół metra przed nim. Nie poruszała stopami, ale wyciągała głowę i górną część ciała do przodu. Studiowała go bardzo uważnie. Prócz lampy do czytania nad fotelem w rogu, w salonie nie było innego światła, porzucony pled leżał na podłodze, w kieliszku na małym stoliku zostało niedopite wino. Prawdopodobnie Cato Mathiassen otulony pledem słuchał muzyki, z kieliszkiem wina w zasięgu ręki.

W pokoju było tak ciemno, że go wyraźnie nie widziała. Kiedy tak stała pochylona nad swoim prześladowcą, rysy jego twarzy zlewały się w jedno. Wyobraziła sobie, że on wstaje, taki ogromny, i unosi rękę. Jęknęła.

– Co się dzieje? – spytała Frøydis.

– Nic – odparła Celeste. Wyprostowała się, cofnęła o parę kroków. Nie myśleć, nie myśleć.

W końcu poczuła, że wraca jej spokój. Rozejrzała się. Pokój był dokładnie taki, jakim go zapamiętała. To raczej niewielki salon, mógł się nawet wydawać ciasny, bo zdominowany był przez lśniący fortepian. Przypominała sobie te wielkie obrazy, zwłaszcza tamten we wszystkich odcieniach błękitu, i drugi, niezwykle tajemniczy, przedstawiający coś, co mogło wyglądać na tygrysa, leżała i spoglądała na ten obraz w dniu, kiedy Cato uderzył ją tak, że upadła.

Cato Mathiassen miał wypełnione po brzegi regały z książkami, rozpoznawała grzbiety wielu z nich. Duże stosy zeszytów nutowych leżały na bocznym stole. Na jednej z krótszych ścian regały ze zbiorem płyt CD, a także starych longplayów, o które zawsze tak się bał. Na ścianie obok fortepianu wisiały skrzypce. Nie grywał na nich jako dorosły, opowiadał jej, że ojciec przymuszał go do ćwiczeń.

Nagle Cato się poruszył, łańcuch zadzwonił o parkiet, potem znowu zrobiło się cicho. Oczy Mathiassena są teraz zamknięte. Ona pierwszy raz od wielu lat widzi, jaki jest piękny. Na krótki moment Celeste ogarnia współczucie.

Szybko jednak się opanowuje:

– Calvadosa, moje panie?

Wszystkie cztery siedziały na kanapie Cato Mathiassena i podawały sobie z rąk do rąk piersiówkę. On znowu się poruszył, Celeste spojrzała na zegarek.

– Zdaje mi się, że zaczyna się budzić. Trochę przed czasem. Może waży parę kilo więcej, niż wyliczyłam.

Froydis przygotowała torebkę mrożonego groszku, starannie zapakowanego w gazetowy papier. Położyła go, jak zaplanowały, na głowie Cato, by przyspieszyć wybudzanie.

– Mrożony groszek, no wiesz! – zdziwiła się Jenna. – To oryginalne. Myślałam, że przyniesiesz zwyczajne kostki lodu.

– To działa – zapewniła Frøydis.

– Czy mam włączać? – spytała Ella, a Frøydis kiwnęła potakująco.

Ella wyciągnęła rękę i wzięła od Celeste lśniącą płytę CD. Podeszła do odtwarzacza, otworzyła kieszeń i położyła płytę na miejscu, przycisnęła „play” i podkręciła głośność. Wybrały koncert na trąbkę Haydna. Piękny otwór klasycystyczny, w którym tony następują logicznie po sobie, tworząc harmonię. Celeste poprosiła Sebastiana, o zmodyfikowanie muzyki tak, by w niektórych akordach jeden ton pojawiał się o ćwiartkę później – utwór grany jest jak należy, i nagle, w trudnych do przewidzenia odstępach, jeden ton się spóźnia, tworząc dysonans. Sama Celeste jest mniej niż średnio muzykalna, ale i ona nie mogła tego słuchać. Okropne, stwierdziła zadowolona.

– Twój syn wykonał dobrą robotę – pochwaliła Jenna.

Celeste uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Nero będzie cierpieł. I w miarę upływu czasu będzie czuł się z tym coraz gorzej i gorzej – powiedziała Frøydis. – Dysharmoniczne partie będą się nieustannie powtarzać.

– I nieubłagane, niczym skurcze porodowe – uśmiechnęła się Ella.

Wyszły do kuchni i zamknęły za sobą drzwi.

– Może wypijemy resztę tego wina? – spytała Jenna. Znalazła otwartą butelkę, z której wypito niewiele.

– Mogę zobaczyć?

Ella półgłosem odczytała napis na etykiecie:

– Denominazione di origine controllata. Negrar. Verona. 1997. Włoskie – stwierdziła. – Valpocella.

– Drogie? – spytała Celeste, a Ella przytaknęła.

Frøydis otworzyła lodówkę i uważnie przeglądała zawartość:

– Czy ktoś miałby ochotę na trochę foies gras do wina?

Budził się stopniowo. Kiedy jeszcze był nieprzytomny i organizm podejmował próby przywracania świadomości, mózg zaczął rejestrować muzykę. Za każdym razem, gdy rozlegały się dysharmoniczne tony, pod

okiem mężczyzny drgał jeden mięsień. Teraz uniósł powieki, rozejrzył się po pokoju i potrzebował paru sekund, by pojąć, gdzie jest. Wszystko wydawało mu się dziwnie obce. Leżał jednak we własnym salonie, tam jest oparcie kanapy, tam kominek, tam jego fortepian, dalej kolekcja płyt. Na stole stoi wazon z białymi, smukłymi liliami, które kupił parę godzin temu, kiedy wracał z gabinetu. Widział kwiaty ponad oparciem kanapy. Był włączony koncert na trąbkę Haydna. Zbyt głośno. Rozpoznawał utwór, ale z jakiegoś powodu było w nim coś okropnego. Nareszcie usłyszał. Coś nie tak z nagraniem, może z płytą, albo może z odtwarzaczem. Skrzywił się w mimowolnym grymasie. Uszy bolą od słuchania tego. Powinien przestać słuchać. To najprostsza rzecz na świecie.

Na czole odczuwał chłód. Coś się napinało wokół jego ust, w końcu zdał sobie sprawę, że jest zakneblowany, w sekundę później pojął, że został przykuty łańcuchem do własnego kominka. Próbował wstać, ale okazało się, że jest to niemożliwe, ponieważ został też przymocowany do kanapy. I przez cały czas gra ta okropna muzyka. Wciąż ten sam utwór, jeden z jego ulubionych, ale jakby poprzedzielany fałszywymi wstawkami. Znowu postanowił, że nie będzie tego słuchał. Ma silną wolę. To musi być możliwe. Bolało go wszystko i tylko worek z lodem na czole przynosił ulgę. Skulił się, czując, że nadchodzi kolejny dysonans. Odwrócił głowę, worek z lodem zsunął się, on próbował przyciskać ucho do podłogi, zatkać je, ale niestety uszy miał otwarte. Tam, tam. Cato jest małym chłopcem ze skrzypcami. Nad nim stoi ojciec.

Chciał myśleć o czymś innym. Jedyna naturalna myśl była taka: Kto mu to zrobił? Włamywacze? Czy znajdują się jeszcze w domu? Znowu sprawdził, czy przypadkiem nie ma zwidów, ale nie. Wszystko jest na swoim miejscu. Obrazy, odtwarzacz CD (niestety to stamtąd dociera znowu ów przerażający dźwięk – to nie do zniesienia), duże srebrne lichtarze na kominku. Zaczął czekać na fałszywy ton, bał się, że wkrótce nadejdzie. I oczywiście nadchodził. Cato wił się na podłodze. Łańcuch uwierał go w plecy, ale to akurat dobrze, bo fizyczny ból pozwalał mu się

koncentrować na czymś innym. Nagle zdał sobie sprawę, o co chodzi. Ktoś musiał tak ustawić tę muzykę. Zawiera ona najbardziej upiorny dysonans, ale zrobiono to bardzo subtelnie, wandalizm przeprowadzony po mistrzowsku. Zniszczeń dokonała bardzo zdolna osoba. Trzeba się skoncentrować. Czy nie było tu kogoś imieniem Nora? Piękna nieznajoma kobieta, która miała... o, jest kolejny zgrzyt, wpija się głęboko w uszy, wibruje i przedłużająca się udręka trwa, dopóki muzyka nie zacznie brzmieć jak przedtem, ale on wie, że tamto wróci, szybko, bardzo szybko. To jak czekanie na kolejny cios.

Co to było z kotem? Jakiś kot, podobno ranny. Próbował wyobrazić sobie to zwierzę, ale mu się nie udało, bo oto znowu zbliża się tamto, narasta niczym coraz wyższa fala, która wkrótce go zaleje potwornym dźwiękiem, o już, już jest. Teraz! Kiedy umilknie, tkwi jeszcze w jego uszach jak brzęcząca osa. Próbował krzyczeć, by zagłuszyć muzykę, ale spoza taśmy z jego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Łomotał butami w podłogę, jednak stopy miał dziwnie bezsilne. Nie wiedział, jak długo tak leży, sam zadawał sobie ból łańcuchem, by odwrócić uwagę od tego wypaczonego utworu, który powtarzał się wciąż i wciąż od początku, a odstępy między diabelskimi tonami zdawały się coraz krótsze. Pośrodku udręki – leżał i czekał, i tłukł głową w podłogę, unosił się i opadał, uderzając o wiele mocniej niż powinien, by jakoś od tego uciec – pośrodku muzyki, którą sam diabeł musiał skomponować, usłyszał śmiech. I nagle sobie przypomniał: ktoś musiał go związać, ułożyć na podłodze, włączyć muzykę. Znowu wszystko zniknęło z jego pamięci. Zdążył poczuć lekkie zaskoczenie, że zapomniał o czymś, co pewnie jest ważne. Ale oto znowu nadchodzi fałszywy ton. Cato napręża się, zaciska powieki, napina mięśnie brzucha i czeka, aż straszna muzyka przeminie. Kto się śmiał? Ktoś jest w jego kuchni. Plecy kanapy, patrzeć prosto na te plecy, nie przejmować się muzyką, to jest całkiem zwyczajna kanapa z chabrowym wełnianym obiciem. Tony, fałszywe tony nadchodzą. Ojciec wznosi się nad nim niczym góra. Cato Mathiassen podnosi głowę tak wysoko, jak tylko może, i tłucze

nią o podłogę. Nie czuje bólu. Twarz mu zszarzała, oczy zaczynają wychodzić z orbit, próbuje szarpać obiema rękami. Stopy w eleganckim obuwiu drżą, górną częścią ciała wstrząsają spazmy. Łańcuch podzwania. Cato słyszy śmiech dochodzący z daleka, ale do nikogo nie dociera dudnienie głowy opadającej na podłogę przy nogach kanapy. W końcu ogarnia go ciemność.

Kiedy Cato Mathiassen znowu się ocknął, stały wokół niego cztery postacie, wszystkie miały na sobie ciemne okrycia, ich twarze były niewidoczne. Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to że w pokoju jest cicho, i próbował uśmiechać się do nich spod taśmy, jak ufne dziecko uśmiecha się do swego wybawcy, który uwolnił je od muzyki. Leży teraz bez ruchu, rozkoszując się ciszą, ale głowa zaczyna znowu pracować. Został uwięziony. To chyba te istoty musiały go związać, przykuć łańcuchami, włączyć płytę. Kim są ci ludzie? Czego chcą? To oczywiste, że intencje mają złe. Ale jakie? I dlaczego? Nogi zaczynają mu drżeć w niekontrolowany sposób i czuje, jakby nie mógł przez nos zaczerpnąć dość powietrza, unosi ręce, które też są związane taśmą wokół nadgarstków i przymocowane do łańcucha, próbuje nimi dotknąć knebla, ale ręce bezradnie opadają na piersi.

Najmniejsza i najgrubsza postać coś powiedziała, zadała mu jakieś pytanie. Nie pojął ani słów, ani sensu, ale domyślił się, że ta istota jest kobietą i w tej samej chwili stwierdził, że one wszystkie są kobietami. Nie mógł zrozumieć, że od razu tego nie zauważył. Teraz widzi to wyraźnie, po ich postawach, po gracji ruchów najwyższej z nich, po szczupłych, białych nadgarstkach innej. To tylko kobiety. Ogarnia go ulga. Z tym w jakiś sposób sobie poradzi. Wstyd, że dał się pokonać kobietom. Nie, to nie jest przede wszystkim wstyd. Jest wściekły. Ta mała, tłusta baba!

– Lubisz muzykę? – spytała Frøydis. Teraz powtórzyła pytanie.

Cato Mathiassen popatrzył na nią.

– Odpowiadaj!

Ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– A jak ci się podobała nasza?

Popatrzył na nią chłodno.

– Podobała ci się, tak? – mówiła Frøydis. – Dobrze, że to mówisz, bo kiedy będziemy stąd wychodzić znowu włączymy ci tę płytę. I ustawimy „replay”. Czy to nie wspaniałe?

On wciąż na nią się gapił.

– Czy to nie wspaniałe, pytałam?

Cato zirytowany wyprężył ciało, zanim skinął głową.

– Dobrze – ucieszyła się Frøydis. – To jesteśmy zgodni. Słyszałam, że lubisz grać na fortepianie. To prawda?

Mężczyzna znowu kiwnął.

– A uważałbyś za rzecz przykrą, gdybyś już więcej nie mógł grać?

Tym razem popatrzył na nią uważniej. Skrzydełka nosa Elli zaczęły poruszać się nerwowo. Widać było, że Cato jest wściekły. On się nie boi, on jest rozjuszony. Ella też uznała, że kiedy patrzy na Frøydis, to w oczach ma pogardę, ale pewna nie była.

– Zadałam ci pytanie – powiedziała Frøydis. Jej głos był niski, intensywny.

Ella i Jenna wymieniły spojrzenia. O tak, Frøydis radzi sobie znakomicie.

Mężczyzna kiwnął. Przeniósł wzrok z Frøydis na pozostałe kobiety. Długo patrzył na Celeste, potem na Jennę, a w końcu na Ellę. Oprócz tego, że miały na sobie peleryny, dodatkowo ukryły twarze za szalikami, więc nikt nie mógłby ich rozpoznać. Ella o tym wiedziała. Mimo to żołądek jej się zacisnął, kiedy Cato utkwiał w niej wzrok.

– Teraz się trochę pobawimy – oznajmiła Frøydis. – Ty jesteś psychologiem, prawda? A może wolałbyś być nazywany specjalistą od psychiki? Słyszałam, że wolisz ten tytuł.

Mężczyzna spoglądał na nią. Teraz w jego oczach więcej było bezradności niż gniewu. Jakby próbował pojąć, czego ona chce, kim jest, ale musiał zrezygnować.

– Co byś ty, jako fachowiec, uznał za gorsze: uderzyć drugiego człowieka, czy kazać mu słuchać trochę dysharmonicznej muzyki? No co? Odpowiadaj!

Teraz jego oczy wskazywały, że gniew przeradza się w niepokój, może nawet w strach. Poruszał się zdenerwowany, dotychczas mógł wierzyć, że to gang włamywaczek, ekscentrycznych, ale mimo wszystko zainteresowanych jego własnością, niczym więcej. Co prawda zniekształcone nagranie powinno być wyraźną wskazówką, ale on mimo to zachował nadzieję. Teraz wiedział, że atak skierowany jest przeciwko niemu personalnie, że te kobiety szukają zemsty, zemsty za to, co zrobił jednej lub kilku z nich. Kto by to mógł być? W przebłysku pojawiła się przed nim delikatna twarz, jasny koński ogon, sznur koralu na szyi, ale zaraz zniknęła. Nie, to niemożliwe. Ona jest zbyt słaba, zbyt przerażona. Nigdy nie odważyłaby się zrobić mu czegoś takiego.

– Odpowiedz! – krzyknęła Frøydis, kopiąc kanapę. Znowu włożyła na nogi botki, by zwiększyć swój autorytet kilkoma centymetrami wzrostu i by wzmocnić planowane kopniaki.

– Powinnaś dać mu alternatywę, trzeba zadawać pytania typu „tak czy nie” – wtrąciła Ella. To były pierwsze słowa, jakie teraz wypowiedziała.

Cato Mathiassen wbił w nią wzrok. Jej głos i to, co powiedziała, brzmiało rozsądnie.

Frøydis, na moment zbита z tropu, popatrzyła na nią, na szaroniebieskie oczy Elli, jedyne, co widać było z jej twarzy, w końcu zrozumiała, o co Elli chodzi i powiedziała takim samym niskim i sympatycznym głosem, jakim posługiwała się Ella.

– Czy gorsze jest słuchanie takiej muzyki?

Mężczyzna pośpiesznie pokręcił przecząco głową.

– A zatem gorsze jest zostać pobitym?

Kiwnął parę razy potakująco, chętnie, bo chciał pokazać, że wie, iż one mają rację i że żałuje wszystkich swoich grzechów.

– Może zdejmemy mu tę taśmę? – spytała Ella cicho. – I dowiemy się,

co ma nam do powiedzenia?

– Nie! – wrzasnęła Frøydis.

Cato Mathiassen podskoczył. A chociaż trzy pozostałe kobiety wiedziały, że Frøydis potrafi wrzeszczeć, one też podskoczyły.

Frøydis spojrzała na niego, po czym sprawdziła czas.

– Ja chcę tylko... – powiedziała niezdecydowanie, podchodząc do okna.

Ella i Jenna patrzyły na nią zdumione.

Frøydis nie mogła nikogo na zewnątrz dostrzec, wiedziała jednak, że ona tam stoi i świadomość tego ją uspokajała. Uniosła lewą rękę z kciukiem wysuniętym w górę i pokiwała głową. Wszystko w porządku, realizują już punkt siódmy. Dotarli do tego, co pani Næss określiła jak point of no return (powiedziała, że początkowo był to termin lotniczy, punkt w rozkładzie lotu, od którego samolot nie ma wystarczająco dużo paliwa, żeby zawrócić, a zatem musi lecieć dalej, nie ma wyboru: trzeba kontynuować podróż zgodnie z planem). Potem wróciła do pozostałych.

– Pobijeś kogoś? – spytała Frøydis.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– No więc sam widzisz – powiedziała Ella z naciskiem na każde słowo.

– Rozumiesz, co robisz, kiedy kogoś bijesz? Zwłaszcza kogoś, kto jest od ciebie słabszy?

Cato przytaknął.

– On po prostu się boi – zwróciła uwagę Jenna.

– Gównu z tego rozumie – dodała Frøydis. – Wcale nie żałuje.

Cato Mathiassen patrzył na nią błagalnie, apelował wzrokiem do Jenny i Elli, które sprawiały wrażenie spokojniejszych i rozsądniejszych niż ta nieduża, gruba istota, która wrzeszczy i kopie.

– Nowe zadanie – powiedziała Frøydis lodowatym głosem. – Jesteś gotowy?

Mężczyzna kiwnął.

– Co jest gorsze: przerażać człowieka, pisząc do niego listy z pogrózkami i śledzić go, czy nie móc nigdy grać na fortepianie?

– Sformułuj to inaczej – wtrąciła Ella.

– Co jest gorsze? Przerażać człowieka?

On przytaknął.

– Czy nigdy więcej nie móc grać na fortepianie?

Znowu przytaknął.

– No teraz to już nie wiem – rzekła Frøydis wolno, pochylając się nad mężczyzną.

Chociaż były cztery i chociaż on leżał związany oraz starannie oblepiony taśmą, poczuła strach, mięśnie jej się napinały, a serce zaczęło bić szybciej. Spokojnie zaczerpnęła powietrza i jeszcze wolniej wypuściła je z płuc. Wiedziała, że w ten sposób ukryje przed nim swój strach. Spojrzała mu w oczy. W pierwszym odruchu chciała je natychmiast odwrócić, ale zmusiła się, by tego nie robić, on patrzył na nią zimno i z pogardą. Trwało to kilka sekund. Jego pycha dała Frøydis siłę, by powiedzieć:

– Powtarzam: co jest gorsze – przerażać człowieka? Sprawić, żeby żył w ciągłym niepokoju?

Mężczyzna przytaknął.

– Co jest gorsze? – powtórzyła Frøydis. – Nie móc więcej grać na fortepianie?

Cato, patrząc Frøydis w oczy, pokręcił przecząco głową.

– OK – odparła Frøydis. – W końcu doszliśmy do porozumienia. Wiemy, że lubisz grać na fortepianie dla pięknych kobiet. Sądzymy jednak, że nie powinienesz więcej tego czynić. Czy to rozumiałe? Zrozumiałe?

Mężczyzna znowu przytaknął.

Częściowo dlatego, że tak to wyreżyserowały, częściowo zaś dlatego, że nie potrafiła inaczej, podczas całego tego seansu Celeste stała w cieniu i starannie unikała kontaktu wzrokowego z Cato Mathiassenem. Teraz spojrzała mu prosto w oczy.

– Daj mi torbę – zwróciła się do Jenny, nie spuszczać wzroku z ofiary.

A kiedy Jenna się zawahała i stała nieporuszona, Celeste niemal

krzyknęła:

– Daj mi torbę!

Jenna zacisnęła wargi, mimo to uśmiechnęła się pod nosem i przesunęła torbę nogą w stronę Celeste.

– Czy to nie powinnam ja... – zaczęła Frøydis.

Celeste potrząsnęła głową.

– Ale przecież uzgodniłyśmy, że... – upierała się Frøydis.

Celeste nie odpowiadała. Pochyliła się i ani na sekundę nie spuszczać oczu z mężczyzny, znalazła to, czego szukała. Zdjęła kaptur z głowy, rozwinęła szal zakrywający jej twarz. Cato Mathiasen spojrział na nią.

– Dziękuję za ostatnie spotkanie – powiedziała Celeste takim tonem, jakby przypadkiem wpadli na siebie na jakimś koktajlu, a wszystko między nimi było w najlepszym porządku, jakby żadne bolesne słowa nigdy nie padły, jakby nikt nie został pobity i zraniony. Stała tak przez wiele sekund, nic nie mówiąc, nie odwracając oczu. Przyjaciółki patrzyły na nią z uznaniem. Wspaniale, Celeste!

Cato Mathiasen też nie spuszczał wzroku z Celeste, jego oczy stawały się coraz łagodniejsze, w końcu napełniły się łzami. Uniósł związane ręce w stronę knebla i patrzył na nią błagalnie. Celeste jak zahipnotyzowana wpatrywała się w twarz na podłodze. Z jednego oka mężczyzny spłynęła łza, w dół, na skroń.

– Usuniemy mu taśmę z ust? – spytała w końcu Jenna. – Przecież nic nam zrobić nie może.

– No właśnie, może mogłybyśmy go rozkneblować? – zastanawiała się Ella.

– Przecież może być interesujące to, co ten drań nam powie – rzekła Frøydis twardo.

– Co ty na to, Celeste? – spytała Jenna.

– Tak – odparła Celeste. I odłożyła nożyczki na stół.

Jenna ukucnęła, odnalazła koniec taśmy i zaczęła ją rozwijać. Ostatnią warstwę, przyklejoną bezpośrednio do skóry, zerwała szybkim ruchem.

Spojrzała na czerwone otarcia, potem na pozostałe kobiety, zanim spojrzała mu w oczy i powiedziała tak, jak uzgodniły:

– Chciałbyś nam coś powiedzieć, ty dupku?

Cato Mathiassen ostrożnie poruszał wargami, potem chrząknął:

– Dziękuję, że uwolniłyście mnie od tej taśmy.

– Liczymy, że masz nam coś bardziej interesującego do powiedzenia – rzekła Frøydis.

– Oczywiście. Tylko najpierw chciałem podziękować. A poza tym miło cię znowu widzieć, Celeste.

– Mogę cię zapewnić, że Celeste nie uważa tego spotkania za miłe – warknęła Ella.

Cato Mathiassen uśmiechnął się blado. Wyglądał żałośnie, leżąc na podłodze, przykuty, ze związanymi rękami i z czerwonymi śladami oraz resztkami kleju na twarzy.

– Rozumiem to. Dzisiaj wieczorem wiele zrozumiałem. Rozumiem strach, jaki ścigałem na innych.

Celeste wpatrywała się w podłogę, nie mogła patrzeć mu w oczy. Ella i Frøydis pośpiesznie wymieniły spojrzenia. Jenna spoglądała na poranioną skórę wokół ust mężczyzny i pytała samą siebie, czy istnieje choćby najmniejsza możliwość, by ten człowiek mówił prawdę.

– To był dla was wysiłek. Widzę przecież, że jesteście kobietami, które zwykle nie robią tego rodzaju rzeczy. A w ogóle to dobry pomysł z tym kotem. Ech, Nora – powiedział, mrugając do Elli.

Ona mu się przyglądała. Stwierdziła, że nietrudno zrozumieć, dlaczego kobiety z własnej woli dają mu się uwodzić.

– Uwierzcie mi – zaczął znowu. – Zasłużyłem na to i na dużo gorsze rzeczy. Wy mnie obudziłyście.

– W porządku – przerwała mu Frøydis. – Przynajmniej w jednym masz rację, a mianowicie, że zasługujesz na znacznie gorsze potraktowanie niż to, co zrobiliśmy.

– Tak – potwierdziła Jenna. – To, co zrobiłeś Celeste i innym kobietom,

jest niewybaczalne.

– I jeszcze z tobą nie skończyliśmy – dodała Frøydis. – Daj mi to, Celeste.

Celeste cofnęła się, a potem odwróciła i podniosła ze stołu nożyczki. Zawiesiła je na jednym palcu i poruszała wyciągniętą ręką. Potem bez słowa podała nożyczki Frøydis. Ta pokazała je Cato Mathiassenowi, trzymała je nad nim. Ona też nic nie mówiła, tylko machała nożyczkami nad jego twarzą.

– Widziałem je – powiedział Cato, uśmiechając się ostrożnie.

Frøydis ponownie odłożyła nożyczki na stół, stuknęły głośno, opadając na szklaną płytę.

– Więc potrzebowałeś tylko kogoś, kto otworzyłby ci oczy? – spytała.

Cato Mathiassen przytaknął.

– Potrzebowałem... żeby sam poczuł strach.

Cztery kobiety spoglądały po sobie. Jenna uśmiechała się. Natychmiast stwierdziła, że w tym zdaniu jest coś znajomego, ale musiało minąć parę sekund, by zrozumiała, że on wyjął je wprost z „Instrumentów miłości”.

Frøydis skinęła głową.

– To bardzo dobrze – powiedziała cicho. – Bardzo dobrze, Cato Mathiassenie.

– Celeste... Nora i wy dwie pozostałe. Nie czuję już własnych palców. Obawiam się, że moje krążenie ustaje. Ostrożnie próbował poruszać palcami.

– Uff – jęknęła Ella, jakby mu współczuła.

– Wiem, że zasługuję na cierpienie, ale to potwornie boli. Czy mógłbym prosić, byście poluzowały trochę tę taśmę? Tylko troszkę.

Popatrzyły na siebie nawzajem, przechylały głowy, unosiły pytająco brwi, kiwały, jakby w milczeniu radziły się jedna drugiej. Potem wszystkie się uśmiechnęły.

– Oczywiście – zgodziła się Frøydis chętna i miła.

Jenna uklękła obok niego, pozostałe przyglądały im się. Z pewnym

wahaniem zaczęły zdejmować taśmę. Ella wsunęła rękę do torby Celeste i wyjęła coś, co natychmiast schowała za plecami.

– Dziękuję – powiedział Cato. – Dziękuję. To strasznie boli.

– Jakiś ty biedny – wzruszyła się Ella. – Wierzymy jednak, że coś z tego zrozumiałeś.

Jenna nadal usuwała warstwę po warstwie. Taśma była mocno sklejona, praca wymagała czasu. Cato Mathiasen leżał spokojnie, pojękiwał tylko i w równych odstępach czasu spoglądał z wdzięcznością na Jennę.

– Czy to ta ręka cię boli? – spytała, mocując się z taśmą na prawej dłoni.

– Tak – potwierdził Cato Mathiasen. Najwyraźniej bolało go bardzo.

– Zaraz skończę – obiecała Jenna.

Pośpiesznie spojrzała na Ellę, która skinęła głową. Wszystko w porządku.

W tej samej chwili, kiedy uwolniła jego rękę, Mathiasen jedną chwycił kostkę Jenny, a drugą uderzył ją w twarz.

– Przekłete cipy! – wrzasnął. – Co wy sobie myślicie, że kim jesteście?!

W nocy, kiedy Frøydis siedziała przy kuchennym stole z kubkiem kakao i truflami w czekoladzie firmy Godiva, które jeden po drugim moczyła w gorącym napoju i wkładała do ust, nie mogła przestać się oskarżać. Przewidziała, że Cato Mathiasen zachowa się tak, jak się zachował. Liczyła się z tym, że będzie próbował jakiś sztuczek, jak tylko nadarzy się okazja. Jenna zgłosiła się na ochotnika. Jestem z was największa i najsilniejsza, wiele zniosę, przekonywała. Ella stała gotowa z aparatem fotograficznym.

Frøydis wzięła jeszcze jedną truflę, zanurzyła ją w kubku i zlizwała warstwę na pół rozpuszczonej, tłustej czekolady. Cato musiał przecież wiedzieć, że nie zdoła przeciwstawić się im wszystkim, w końcu nadal miał związane taśmą kostki, był przykuty do kanapy. Musiał wiedzieć, a mimo to... Ona zakładała, że mężczyzna nie potrafi ukryć nienawiści do

kobiet, pogardy czy jak to nazwać, ale nie pomyślała, jaki jest silny. Jeden nadgarstek miała sinoczarny, bolało, kiedy poruszała ręką. Z Jenną jest jeszcze gorzej. Pani Næss czekała na ostatni sygnał od Frøydis. Ten nigdy nie nadszedł. Jak to dobrze, że tamta miała ze sobą apteczkę.

Wszystkie cztery zaczęły krzyczeć. Jenna upadła i kaptur zsunął się jej z głowy. Twarz miała umazaną krwią, która wciąż ciekła jej z nosa. Światło lampy padało prosto na nią. Była czerwona i błyszcząca, jakby nosiła maskę, i Frøydis przez moment myślała, że przyjaciółka nie żyje. Ona sama stała bez ruchu, a Cato Mathiassen wciąż trzymał ją za kostkę. Rozbity aparat fotograficzny leżał pod krzesłem. Jenna jęknęła i właśnie ten dźwięk sprawił, że Frøydis się ocknęła. Kopnęła Cato Mathiassena w rękę tak mocno, jak tylko mogła, ale uważała, by równocześnie nie kopnąć Jenny w kostkę. Na nic się to nie zdało, ale przynajmniej ocuciło Ellę i Celeste. Wspólnymi siłami uwolniły Jennę i odciągnęły ją od prześladowcy. Potem znowu zaczęły oblepiać nadgarstki mężczyzny taśmą. Udało mu się podrapać Ellę po rękach, chwycił przedramię Frøydis i przekręcił z taką siłą, że była przekonana, iż złamał jej rękę. Akurat w tym momencie do salonu wmaszerowała pani Næss, niczym najprawdziwszy deus ex machina. Ella i Celeste nie zdążyły okazać zaskoczenia jej obecnością, bo z całej siły grzmotnęła małą białą metalową walizeczką Cato Mathiassena w szczękę. Wtedy odpuścił. Przez cały czas z jego ust wydobywał się strumień przekleństw. Przeklęte kurwy! Cipy! Będziecie się smażyć w piekle! Celeste, ty cholerny potworze z jednym cyckiem!

Kiedy go związały i upewniły się, że w żaden sposób nikogo nie dosięgnie, przystąpiły do ponownego zalepienia mu ust. Ella ledwie uniknęła ugryzienia, pani Næss zdzieliła go tak, że potem leżał spokojnie, ale jego usta nadal wyrzucały z siebie przekleństwa i wyzwiska. Ostatnie, co powiedział, to, że Celeste nie jest w stanie spełnić nawet podstawowego zadania kobiety: bo przecież nie potrafiła urodzić normalnego dziecka. Do diabła, ale pech. One pracowały bez słowa i kiedy ponownie go

zakneblowały, zaległa cudowna cisza.

Pani Næss klęczała obok Jenny, ocierała jej twarz, zatkała wacikami nos i zalepiła plastrem wielką ranę na czole. Potem Jenna i pani Næss stały obok siebie i spoglądały na leżącego. Frøydis wzięła nożyczki ze stołu i klapała nimi przed nosem Cato Mathiassena. On gapił się na nią, widziała, że jego źrenice robią się coraz większe.

– Jeśli coś się stanie Celeste albo którejś z nas, to wiesz, co ci zrobimy – ostrzegła Frøydis.

Po chwili Celeste podeszła do niej. Stała przez chwilę i spoglądała to na przyjaciółkę, to na Cato Mathiassena. Potem wyrwała nożyczki z rąk Frøydis. Nożyczki, te lśniące nożyczki, których używały do ufryzowania Hermana Høstmarka. Teraz spoczywały w dłoni Celeste. Uniosła je, pozwoliła, by Mathiassen na nie popatrzył, by dostrzegł wszelkie detale: lśniącą stal, ostrza zapewniające wyjątkową siłę cięcia, jedno gładkie, drugie ząbkowane. Składała razem pomarańczowe uchwyty i kierowała czubek ku jego rękom.

– Do tego dotarliśmy, kiedy nam przerwano – powiedziała. – Wydaje mi się, że pytałyśmy cię, czy lubisz grać na fortepianie dla pięknych kobiet, czyż nie tak było?

Cato Mathiassen kiwnął głową. Jedna jego powieka drgnęła. Białka oczu zrobiły się czerwone i matowe. Celeste przysunęła nożyczki jeszcze bliżej jego rąk. Próbował przyciągnąć je do siebie, ale łańcuch był za krótki. Zginał palce, paznokcie drapały koszulę. Stopy znowu zaczęły bębnić w podłogę. Poruszał głową, przewracał oczami, ale taśma nie pozwalała mu nic powiedzieć, słychać było tylko głuche pomruki wydobywające się z gardła. Wyglądał jak śmiertelnie przerażony, opuszczony przez matkę szczeniak, pomyślała Ella.

Celeste dała znak głową. Trzy pozostałe kobiety ułożyły palce prawej ręki mężczyzny płasko na jego ciele.

– Nie ruszaj się – poleciła Celeste.

Cato Mathiassen wciąż się na nią gapił. Źrenice prawie zrównały się

z tęczęwkami.

– Nie ruszaj się, bo inaczej mogłabym dźgnąć cię nożyczkami w brzuch – dodała Celeste słodziutkim głosem. – A tego chyba nie chcesz?

Rozwarła ostrza nożyczek, przysunęła je do jego prawej dłoni. Pogłaskała nimi nadgarstek, metal pieścił skórę. Celeste znajdowała się w swoim własnym świecie, w swoim mlecznobiałym świecie. Nożyczki przepływały ponad ciałem leżącego, znajdowały się bardzo blisko, tuż-tuż. Cato jęknął, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Jak w transie kreśliła wzory na jego przedramieniu. Nagle wyprostowała się, tempo narastało, jednym ostrzem jak w zabawie dotykała jego palców, niczym dziecko, które bezmyślnie ciągnie kij wzdłuż płotu. Kierowała się w stronę małego palca, zatrzymała się na moment, uważnie obserwowała twarz mężczyzny mokrą od potu. Oczy miał zamknięte. Po chwili zwróciła się do trzech pozostałych kobiet:

– Teraz. Teraz to zrobię.

Ella wtrąciła:

– Celeste, zastanów się.

Ręką Cato Mathiassena wstrząsnął dreszcz.

– Nie powinieneś się poruszać – ostrzegła Celeste. – Chyba nie chcesz, żebym się pomyliła i obcięła więcej niż jeden palec.

– Nie rób tego, Celeste – prosiła Jenna.

Cato Mathiassen otworzył oczy i popatrzył prosto na Frøydis. Celeste przymknęła ostre nożyczki wokół jego małego palca. Trzymał teraz rękę bez ruchu.

– Celeste – zaczęła Frøydis. Jej głos brzmiał stanowczo. – Nie róbmy tego tym razem. – A potem dodała, zwracając się do Cato Mathiassena: – Jeśli nie zrozumiałeś tego przedtem, to powinieneś zrozumieć przynajmniej teraz, co jesteśmy w stanie ci zrobić. Jeśli choćby pomyślisz o tym, by znowu zbliżyć się do Celeste lub do którejś z nas, nie zawahamy się. Zapłacisz za to palcem.

Celeste nie reagowała, trzymała nożyczki w tej samej pozycji, z małym

palcem Cato Mathiassena między ostrzami. Skaleczyła nawet lekko skórę i na nożyczki spadła pojedyncza kropla krwi.

– Celeste, zostaw go! – powtórzyła Frøydis.

Ani drgnęła.

Frøydis dała znak Elli i Jennie. Ella złapała Celeste od tyłu i trzymała mocno, natomiast Jenna wyrwała jej z rąk narzędzie.

Celeste szarpnięciem uwolniła się od Elli, zakręciła się elegancko niczym wściekła baletnica i odebrała nożyczki Jennie. Stała potem przed nimi z groźną miną.

– Jeden palec – powiedziała. – Jeden mały palec.

Ponownie przysunęła nożyczki do ciała mężczyzny, przeciągała je po brzuchu, teraz odsłoniętym. Trzy pozostałe tylko patrzyły.

Słyszała, jak ciężko oddycha mężczyzna na podłodze. Jego stopy przestały już bębnić w parkiet. Lewą ręką odpięła mu sprzączkę od paska, wprawnym ruchem rozpięła spodnie i wydobyła członek. Ujęła nożyczki obiema rękami i objęła narząd ostrzami. Teraz to zobaczyła, dostrzegła to, czego przedtem nie widziała. Nożyczki wyglądały niczym kobieta w rozkroku, kobieta w pomarańczowej sukni z rozstawionymi nogami.

EPILOGUS

czyli Epilog

Na razie były tylko we cztery. Frøydis siedziała w białym, bujanym fotelu Jenny. Pani Næss ulokowała się między Ellą i Jenną na kanapie. Na parapecie okiennym siedział zapomniany krasnoludek. Na stole przed nimi stał termos z kawą i dzbanek z herbatą. Na tacy leżała szarlotka, ogromna, okrągła szarlotka z glazurą i siekanymi migdałami, ale dziwnie płaska jak na takie ciasto, jej brzegi smętnie wystawały poza tacę.

– Nie chciała wyrosnąć – tłumaczyła się Jenna. – Najczęściej, kiedy robię coś do jedzenia, kończy się to tak, jak Rzymianie postąpili z Kartaginą.

Ella i pani Næss głośno się roześmiały.

– Z pewnością jest pyszna, choć wygląd świadczy przeciwko niej – pocieszała Ella. – Spędziłyście dobre święta?

– Czy mamy coś nowego na tapecie? Czy któraś z nas musi wyrównać rachunki z kimś, komu trzeba by dać nauczkę?

– Ta szarlotka przypomina mi Cato Mathiassena, zwisającego z noszy – powiedziała Frøydis.

– Ja nie mam na co się skarżyć, dziękuję – odparła Jenna. – W naszym domu święta były piękne, ciche i spokojne. Upiekłyśmy z Julią sto dwanaście pierniczkowych staruszek. Połowa się spaliła, ale szkody zakamuflowałyśmy dużą ilością glazury.

– Ja dostałam zgłoszenie – powiedziała Frøydis. Właściwie postanowiła czekać, aż wszystkie będą na miejscu, ale teraz nie mogła się już powstrzymać.

– Zgłoszenie? – powtórzyła Ella.

– Co masz na myśli? – spytała Jenna.

– Od osoby postronnej.

Po głosie trudno było poznać, co o tej sprawie myśli. Czy jest zaszokowana? A może przestraszona? Dumna? Ella przyglądała się jej badawczo. Twarz Frøydis nie wyrażała niczego.

– Nie rozumiem – rzekła Ella. – Od osoby postronnej?

– Zaczekajmy na Celeste, to wszystko wam opowiem – zapewniła Frøydis spokojnie. Ale zaraz zaczęła się kołysać, tak że bieguny zazgrzytały o podłogę.

I właśnie w tym momencie wbiegła zdyszana Celeste. Miała zaczerwienione policzki i nos, płatki śniegu na ramionach i we włosach, nawet na rzęsach.

– Na dole było otwarte, więc po prostu weszłam. Nie macie pojęcia, co wam powiem!

– Nie, nie mamy. Co się stało?

– Chcesz szarlotki?

– Nie, dziękuję. Ale napiłabym się herbaty. Pożyczysz mi swój komputer, Jenna?

Celeste rzuciła płaszcz na podłogę, botków nie zdjęła. Śnieg na nich topniał, tworząc mokre plamy. Usiadła na pufie z laptopem Jenny na kolanach. Uderzała szybko w klawiaturę, naciskała, czekała, pisała znowu. Nikt nic nie mówił, wszystkie na nią patrzyły.

– Tu – powiedziała po chwili. – Popatrzcie tutaj, dziewczyny.

Pochyliły się nad komputerem, który Celeste postawiła na stole. Frøydis podniosła się z fotela i oparła się ręką o blat.

– To są przecież zdjęcia z biegu narciarskiego – stwierdziła i musiała się uśmiechnąć.

– Uff, popatrzcie na te pewne siebie, upaprane świnię.

– A popatrzcie tutaj – rzekła Celeste, otwierając filmik.

Edmund Benewitz–Nielsen po wielkim odkryciu opowiadał reporterowi wiadomości, jak bardzo się cieszy, że archeologowie zaczną kopać w jego posiadłości.

– Biedak! – Jenna wybuchnęła śmiechem. – A właśnie, czy oni zaczęli

wykopaliska?

– Nie, przeprowadzili tylko badania powierzchniowe – odparła Ella. – Archeolodzy widocznie nie są przekonani, że znajdą tam coś więcej poza tą jedną siekierką. Ale dlaczego?

– Tak, archeolodzy mają tu ostatnie słowo – przerwała jej Frøydis. – Edmund Benewitz–Nielsen dostał za swoje, niezależnie od tego, czy zniszczą mu ogród, czy nie. Nagle umilkła. – Ale jak to się stało, że Edmund Benewitz–Nielsen i moi koledzy z Kvervik znajdują się na tej samej stronie internetowej?

– No właśnie – przytaknęła Ella. – Też chciałabym wiedzieć.

– Czy ktoś odważy się spróbować szarlotki?

– Ja bardzo chętnie – zgłosiła się pani Næss.

– I ja też – powiedziała Frøydis.

– Ale to jeszcze nie wszystko – rzekła Celeste. – Trzymajcie się mocno.

Kliknęła i na ekranie pojawiło się duże zdjęcie Daga Martina Martinsena na podium. Zdjęcie przecinał na skos napis: „Przyłapany na doping” – dużymi, czerwonymi literami.

– Co to za strona? – dziwiła się Frøydis. Wyprostowała się i ujęła pod boki. Głos jej drżał, podbródek zaczął się trząść. Jenna zdjęła komputer ze stołu i położyła go sobie na kolanach, ręce poruszały się szybko po klawiaturze.

– To wygląda na blog. Podpisany przez Tygrysice.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Frøydis.

– Tajemnicza sprawa – rzekła Jenna rozmarzonym głosem. – Lubię tajemnice.

– Jeśli podpisały się Tygrysice w pluralis, to jest ich więcej niż jedna – zwróciła uwagę Ella.

– A jak odkryłaś tę stronę? – spytała pani Næss. – Szarlotka smakuje wybornie. Trzeba tylko nie myśleć utartymi schematami: tej szarlotki mianowicie nie należy gryźć, trzeba ją ssać.

– Ja niczego nie odkrywałam – odparła Celeste odrobinę piskliwym

głosem. – Krótco przed wyjściem z domu odebrałam maila z informacją, żebym na tę stronę weszła.

– Przede wszystkim musimy się uspokoić – radziła pani Næss. – Trzeba trochę zjeść, pomyśleć, nie tracić panowania nad sobą.

– Czy mam przynieść coś jadalnego i miękkiego? – spytała Jenna. – Mam w lodówce karton czekoladowego puddingu.

– Brzmi znakomicie – oceniła pani Næss. – Od kogo był ten mail?

– Adres na hotmailu, imię sfingowane: Rhamnousia.

– To jest inne imię Nemezis – poinformowała Ella.

Jenna wróciła z czekoladowym puddingiem, pięcioma salaterkami, pięcioma łyżkami i z nożyczkami. Nożyczkami z pomarańczowymi, plastikowymi uchwytami. Rozcięła karton i odkroiła odpowiednie porcje dla pani Næss, Frøydis i dla siebie.

– Salaterki zostawiam na wypadek, gdybyście się rozmyśliły.

– A co tam u twojej mamy? – spytała pani Næss, wkładając łyżkę do ust.

– Dziękuję, w porządku – odparła Jenna. – Tylko nieustannie powtarza, że nie może spać. Powiedziała mi, że jeśli nie zaśnie, to ja nie zostanę zraniona.

– Tak? – zdziwiła się Frøydis.

– Niestety, widziała mnie, kiedy tamtej nocy wróciłam do domu od Cato Mathiassena. Usłyszała, że jestem i wyszła na korytarz. A w jej głowie wszystko się miesza. Kiedy się dowiedziała, że dzisiaj wy macie przyjść, zabrała się do wielkich przygotowań. Wyjęła swój runiczny bębenek, myślę też, że pożyczyła sobie moją pelerynę.

– Runiczny bębenek? – spytała Ella.

– Tak, jedna z dawniejszych czarownic z rodu Hilmarsenów była szamanką – odparła Jenna.

Mówiła najzupełniej poważnie, ale kiedy Ella zaczerpnęła powietrza, by coś powiedzieć, zrobiła do niej oko. I Ella umilkła.

– Czarownica czy nie czarownica – zaczęła Frøydis. – Czy nie możemy

tego wyjaśnić? Rhamnousia. Tygrysice. Nie podoba mi się to. Jenna, czy ty byś mogła?...

Jenna skinęła głową i znowu położyła sobie komputer na kolanach.

– Oj, czy wiecie, kim jest ten facet? – wykrzyknęła po zaledwie kilku sekundach. Znalazła zdjęcie pewnego mężczyzny. Miał faliste włosy i okulary w ciemnych oprawkach, blady, sterczący brzuch i psią obrozę z czarnej skóry z długimi, ostrymi szpikulcami na całej długości. Przyglądały mu się, kręcąc głowami.

– Nie, na szczęście nie – uśmiechnęła się Celeste.

– Nie jest to nikt z kręgu moich znajomych – stwierdziła Ella.

– Bo istnieje chyba możliwość, że zazwyczaj on się ubiera nieco inaczej – roześmiała się Jenna.

Pani Næss stłumiła chichot, nawet Frøydis się śmiała.

– To jakiś rodzaj forum dyskusyjnego – poinformowała Jenna. – Nie blog. Jest tu wiele osób, które przekazują informacje i komentarze, zamieszczają zdjęcia i filmiki. Wygląda na to, że tematem są mężczyźni. Na przykład jest tekst o jednym takim, który nie chce płacić alimentów. I jakieś dziesięć-dwanaście zdjęć. Poczekajcie! Tego to ja widziałam w gazecie. Chyba jakiś polityk!

– Pokaż – domagała się Ella. Mrużąc oczy, wpatrywała się w ekran. – Masz rację, jest przewodniczącym czegoś gdzieś w Sørlandet.

– Mam nadzieję, że nie robi tego akurat teraz, kiedy pełni taką funkcję – rzekła pani Næss cierpko.

– Nie powiedziałaś nam jeszcze, czego dotyczy to zamówienie, które dostałaś – przypomniała Jenna.

– Nie – rzekła Frøydis. Wzięła nożyczki ze stołu. Strzygła nimi w powietrzu. – Jak myślicie, co Cato Mathiassen robi w tej chwili?

– Zamówienie? – powtórzyła Celeste. – Jakie zamówienie?

– Ja też pomyślałam właśnie o Cato Mathiassenie – wtrąciła Jenna.

– Pewnie siedzi w domu i pije wino – odparła Ella, próbując się uśmiechać.

– Jeśli nie gra na fortepianie – dodała Frøydis. – Albo nie leży w łóżku z kobietą, którą dopiero co pobił.

– Myślisz? – zaczęła pani Næss.

– Tak – odparła Frøydis, zanim tamta dokończyła. – Sądzę niestety, że akcję przeciw Cato Mathiassenowi musimy uznać za jedynie w połowie udaną.

– No, przynajmniej zmieniłyśmy jego stosunek do Haydna – stwierdziła Celeste cicho.

– O tak, to nam się udało. Zmieniłyśmy go gruntownie – mówiła Frøydis. – I oczywiście nigdy nie zdobędzie się na to, by zaatakować którąkolwiek z nas.

– Zachowałyście się tak, jak on się zachowuje, i to jest jedyny język, który rozumie – stwierdziła pani Næss.

– Dał się podejść – powiedziała Ella. – Byłaś cholernie dobra, Celeste.

– I bardzo mi się to podobało – odparła wolno. – To oszałamiająca przyjemność udawać, że naprawdę chcę zrobić użytek z nożyc.

– Oczy ci płonęły – roześmiała się Frøydis. – W pewnym momencie naprawdę myślałam, że możesz to zrobić.

– I przez moment miałam taką ochotę.

– Nabrał dla nas respektu – wtrąciła Jenna. – Ale wielka szkoda, że nie udało nam się go sfotografować. Zrobić zdjęcie Cato Mathiassenowi, kiedy rzuca się na mnie z pięściami. To by był wspaniały środek nacisku. Gdybyśmy miały takie zdjęcie, on nigdy by się nie odważył podnieść na nikogo ręki. Ale aparat się rozpadł, ten drań zmiażdżył go gołymi rękami.

– Wracajmy do internetu – westchnęła Frøydis. – Robi mi się niedobrze, kiedy rozmawiamy o Cato Mathiassenie. Pozwólcie, że jeszcze raz obejrzę sobie zdjęcia, na których moi koledzy stoją w swoich upaskudzonych, białych kombinezonach.

Pani Næss uśmiechnęła się zadowolona i wzięła jeszcze jedną porcję czekoladowego puddingu.

– Ale jak ci ludzie zdobyli zdjęcia z biegu narciarskiego? – nie mogła się

nadziwić Ella.

– One już się skutecznie rozeszły po internecie – wyjaśniła Jenna. – Wysłałam je przecież do wybranych kobiet z Kvervik. Przepuszczalnie ktoś z firmy zrobił też zdjęcie Dagowi Martinowi Martinsenowi.

– Ale...

– To mi pomogło – oznajmiła Frøydis. – Mam chyba ochotę trochę się pośmiać.

– Ale – ciągnęła Ella – co z Edmundem Benewitzem–Nielsenem? Domyślam się, że jego zdjęcie można skopiować tylko ze stron telewizji. Skąd jednak ktoś wiedział, że on był obiektem zemsty?

– No właśnie? Skąd ktoś to wie? – powtórzyła Frøydis i zerwała się z miejsca. – Dzisiaj dostałam SMS-a z numeru, którego właściciela nie potrafię określić.

– No i to zamówienie – dodała Celeste.

– Chwileczkę, tutaj je mam – Frøydis odczytała głośno wiadomość: „Mam znajomego, który potrzebuje przywołania do porządku. Chętnie przekażę dane.”

– Najwyraźniej ktoś o nas wie.

– To mi się nie podoba – powiedziała Frøydis co najmniej po raz trzeci.

– A mnie natomiast bardzo. To cholernie dobre – wykrzyknęła pani Næss. – Nie ma czego się bać. Czyż nie tego chcemy?

– A może powinniśmy zrobić tak jak rzemieślnicy? – roześmiała się Celeste. – Otworzymy w internecie forum, na którym zrozpaczone kobiety będą przedstawiać swoje życzenia co do aktów zemsty, a inne kobiety będą mogły zgłaszać, w jaki sposób chciałyby pomóc.

W tej chwili z parteru doszedł je głuchy łoskot. Jenna zerwała się z laptopem w objęciach i chciała biec na dół. Julia, która wyszła ze swojego pokoju, była szybsza:

– Pobiegnę sprawdzić, mamo.

Jenna wróciła więc do internetu, trochę zdekoncentrowana, wyraźnie zajęta tym, co mogło się stać z matką.

– Dziewczyny, spójrzcie tutaj – zawołała nagle. – Moim zdaniem musicie się temu przyjrzeć.

– A co to takiego? – spytała Ella, pochylając się, by lepiej widzieć.

– Zdjęcie Cato Mathiassena. I zostało zrobione właśnie w tej chwili!

– Właśnie teraz? – zdziwiła się Frøydis.

– Co? – szepnęła Celeste, a gardło tak jej się zacisnęło, że z trudem wypowiadała słowa.

Jenna przycisnęła biały trójkącik, który uruchamiał film. Choć nagranie było niewyraźne, bez trudu można było zobaczyć, że to Cato Mathiassen psycholog, felietonista, autor Instrumentów miłości, tłucze drobną, płaczącą kobietę z długim sznurem koralu na szyi. Twarz kobiety była niewyraźna, ale kamera dobrze uchwyciła Cato Mathiassena.

Celeste głośno przetykała ślinę, zmuszała się do patrzenia.

– Rany boskie – jęknęła Ella zaszokowana, kiedy film się skończył.

– Kto zrobił... – zaczęła Frøydis.

– Może kobieta na filmie sama to nakręciła – odparła pani Næss. – Albo może ta Rhamnousia jej pomogła.

– W każdym razie licencji psychologicznej już on miał nie będzie. W końcu zwyciężyliśmy. Wiedźmy, zwyciężyliśmy na koniec!

– Nie mam pojęcia jakim sposobem – dziwiła się Frøydis z uśmiechem. – Ale zwyciężyliśmy.

– Ciii! – szepnęła Jenna.

Julia wróciła. Przyjaciółki matki widziały ją po raz pierwszy. Dziewczyna uśmiechała się, przekrzywiała głowę i przyglądała każdej po kolei.

– Jak miło się z wami przywitać. Mama tyle o was opowiadała.

– Same dobre rzeczy, mam nadzieję? – żartowała Celeste.

– O tak – odparła Julia z powagą. – Przynajmniej prawie same dobre. Potem zwróciła się do matki: – Z babcią wszystko dobrze. Po prostu postawiła ten duży bębenek runiczny na stole. No i on, oczywiście, spadł.

– Aha – bąknęła Jenna. – Dobrze. Ale co ona, na Boga, robi?

– Nie mam pojęcia – odparła Julia, wracając do swojego pokoju. W progu odwróciła się. – Babcia kazała ci powiedzieć, że z Cezarem wszystko w porządku. Ostatecznie osiągnęła to, co zaplanowała. To, co kończyło się źle, kiedy zasypiała.

Uśmiechnęła się po raz ostatni i zamknęła za sobą drzwi. Jenna siedziała przez chwilę zamyślona, zanim znowu spojrzała na swoje cztery przyjaciółki. Wszystkie milczały. I nagle jakby coś się stało, pięć kobiet w tej samej sekundzie wybuchnęło śmiechem. Jenna głębokim i bulgoczącym, wydobywającym się aż z żołądka, równocześnie stukała rytmicznie dłońmi w blat stołu. Pani Næss uderzała się po udach i rżała niczym rozbrykana klacz. Celeste przywarła do Elli i wydawała z siebie na zmianę szloch lub zanosiła się śmiechem. Frøydis odchyliła w tył głowę, jej śmiech był dziewczęcy, intensywny, zaraźliwy. I jakby uważała, że hałasuje niewystarczająco, tupiała w podłogę, co brzmiało niczym zespół bębenków. Ponad wszystkim unosił się srebrzysty, dźwięczny śmiech Elli. Śmiały się głośniejszy i dłużej, niż kiedykolwiek to robiły. A kiedy jedna na moment przestawała, by zaczerpnąć powietrza lub dać odpocząć mięśniom brzucha, pozostałe kompensowały jej brak, śmiejąc się jeszcze głośniejszy, dopóki nie było ich znowu pięć.

Julia, uśmiechnięta, siedziała w swoim pokoju na podłodze, wsłuchiwała się w to, co dzieje się za drzwiami. Na parterze Johanna zasnęła.

– Z czego myśmy się śmiały? – zachichotała rozluźniona Celeste, wciąż opierając się o Ellę.

– Nie mam pojęcia – odparła tamta. Jej twarz lśniła od łez ze śmiechu.

– Śmiałyśmy się dlatego, że pani Næss ma rację – wyjaśniła Frøydis. Była zdyszana i wciąż rozbawiona. Wstała, podeszła do pani Næss i położyła jej ręce na ramionach. – Jeszcze wszystkiego nie rozumiem, ale masz rację: to jest cholernie dobre.

– To początek czegoś wielkiego. Citius, altius, fortius (Szybciej, wyżej, mocniej) – wyrecytowała Jenna i po każdym słowie uderzała dłońmi o blat

stołu, aż trzaskało.

– Mam propozycję – zaśmiała się pani Næss wzruszona. – Urządźmy przyjęcie w Solheim, kiedy pani Hilmarsen tam się przeprowadzi.

– Genialny pomysł – stwierdziła Celeste i nagle dostała kolejnego ataku śmiechu: – Możemy zatrudnić kelnerów z nagimi torsami. Możemy serwować staruszkom cosmopolitan.

Czoło i policzki Jenny miały kolor dojrzałych poziomek, znowu siedziała, dmuchając w grzywkę. Całe jej ciało pokrywały krople potu, mimo że zdjęła żakiet, ale tym razem nie uważała, że to udręka. Jest jej ciepło, jest bezpieczna i beztroska.

– Nie wątpię, że tej pani w szlafroku koloru czerwonego wina nasz pomysł się spodoba – powiedziała z uśmiechem. – I mojej matce też.

– Możemy też podawać drinka, który tak wspaniale smakuje: sex on the beach. Będziemy nadal karać mężczyzn, którzy na to zasługują. I będziemy urządzać przyjęcia na cześć dzielnych kobiet! – wrzasnęła pani Næss.

Literatura Północy

Literatura od zawsze była główną formą artystycznej wypowiedzi Skandynawów. Można cofnąć się do Średniowiecza, kiedy to mieszkańcy Północy tworzyli sagi, opowieści o ludziach, które – początkowo przekazywane w ustnej tradycji, a później spisane – stały się jednym z fundamentów literatury europejskiej. I tak już zostało, Skandynawowie piszą nadal, niektórzy twierdzą nawet, że zdolności literackie to największy dar, jaki od losu dostali. Dość wcześnie też literatura skandynawska zdobyła sobie uznanie w świecie. Mówiono, że jest trudna, ponura, że pokazuje człowieka odartego z wszelkich osłon, bez upiększeń, ale te mroczne opowieści czytano z zainteresowaniem i nadal się to robi.

Pisarzy z krajów północnych zawsze najbardziej obchodziły takie problemy jak: człowiek wobec swoich słabości, wobec tego, co nosi w duszy (a nie zawsze są to sprawy piękne, bo zło jest uwodzicielskie). Inny problem to człowiek wobec siły wyższej, co bardzo pogłębiał fakt, że mieszkańcy krajów nordyckich od wieków wychowują się i żyją w religii i kulturze protestanckiej. Nadal w wielu kwestiach prezentują postawy ewangeliczne – dobro to dobro, zło to zło. Życie to obowiązek. A dodać trzeba, że Północ to nie bardzo życzliwa człowiekowi kraina – skaliste, nieurodzajne ziemie i klimat, w którym świat przez znaczną część roku skuty jest lodem – im dalej na północ, tym dłużej. Trzeba wielkiej siły i hartu, żeby tam żyć; tak było zwłaszcza w czasach, zanim zdobycze cywilizacji pozwoliły pokonywać największe przeszkody. Z drugiej jednak strony trudno być obojętnym na niezwykłą urodę Północy, gdzie krótkie, ale intensywne lato wybucha feerią barw, a i nawet mroźne zimy, jeśli raz je się pozna, nie pozwolą o sobie zapomnieć. Gdy zaś wszystko pogrąża się w nieprzerwanych, długotrwałych ciemnościach, ziemię, jak zawsze wierzone, zaczynają zaludniać istoty nadprzyrodzone, z którymi człowiek też musi się liczyć i to nawet bardzo.

To są właśnie czynniki, które od zawsze kształtowały skandynawską literaturę, czyniły ją i nadal czynią rozpoznawalną także dla innych – bo

otwiera przed nimi przestrzenie, jakich nie znajdują gdzie indziej.

Współcześni mieszkańcy Północy piszą tak, jak zawsze pisali. W XIX i XX wieku wprowadzili do literatury światowej dzieła fundamentalne, a moda na Skandynawów to nie jest zjawisko sezonowe czy przemijające. Choć podlega zmianom, tak jak i sama literatura. Wciąż w cenie jest tam wielka (często dosłownie, także objętościowo) powieść obyczajowa o tematyce i współczesnej, i historycznej, z typowymi dla tego piarstwa rozlewnymi opowieściami, w których konstruowaniu i przekazywaniu Skandynawowie są mistrzami. Wciąż bardzo dobrze ma się powieść tradycyjna, raczej pozbawiona eksperymentów, zwłaszcza formalnych. I wciąż widać tu dziedzictwo średniowiecznych sag: w możliwie prosty sposób opowiadać o ludziach, którzy tutaj żyli przed nami lub żyją teraz. Nadal jednym ze znaków firmowych krajów nordyckich jest literatura dla dzieci, ostatnio zaś, od dwóch mniej więcej dziesięcioleci, mamy do czynienia z kolejną odstoną mody na Skandynawów, a to za sprawą kryminałów. Kryminał skandynawski jednak to nie jest klasyczna powieść policyjna, to raczej utwór społeczno-obyczajowy osnuty wokół wątku czy – często – wątków kryminalnych. Nie chodzi w nich tylko o intelektualną grę, gdzie wystarczy logicznie myśleć i kojarzyć fakty, żeby wytropić przestępcę. Te najnowsze kryminały to zwykle świetnie skonstruowane i znakomicie napisane opowieści o współczesnym społeczeństwie, w którym, jak wszędzie, dochodzi do przestępstw. „To Skandynawia... jest taka?” – pytają zdumieni czytelnicy.

To, co zdecydowanie wysuwa się ostatnio na plan pierwszy w literaturze Północy, to książki, których akcja rozgrywa się tu i teraz, pisane najczęściej przez kobiety, choć nie tylko i nie tylko dla nich przeznaczone. Męska reprezentacja w tym nurcie literackim jest wprawdzie mniej liczna, ale też warta uwagi. Wydarzenia dokonujące się we współczesnym świecie, bardzo szybko i bardzo głęboko zmieniają nasze życie. Zmiany trzeba definiować, diagnozować nowe sytuacje, szukać nowych sposobów działania, po prostu się określać, znajdować sobie

miejsce w tym wszystkim nowym. Kto się pogubi – przegra. Wiemy, że trzeba się rozwijać, robić karierę, nie dać się wyprzedzić, a z drugiej strony mamy zwyczajne, bardzo tradycyjne ludzkie tęsknoty – żeby mnie ktoś kochał, żebym ja kogoś kochała, żeby dzieci... Co ważniejsze? Czy to wszystko jest w ogóle potrzebne? Co daje szczęście? Czy trzeba jeszcze się zastanawiać nad wyborem: mieć czy być? Świat zewnętrzny pcha nas zdecydowanie w stronę „mieć”, ale jako ludzie nie przestaliśmy tęsknić za tym, żeby też „być”.

Na takich kwestiach te powieści się skupiają. Są tak aktualne, że niekiedy czyta się je jak bieżącą prasę. I są bardzo uniwersalne, bo przecież ludzie na całym świecie borykają się z tym samym.

Książek tego rodzaju w krajach nordyckich ukazuje się co roku po kilkanaście. Pisane są przeważnie z wielkim talentem, zmysłem obserwacji, znajomością psychologii. Na czele stawki, jak to już nieraz bywało, znajduje się Norwegia. I właśnie utworami norweskich pisarek otwieramy naszą serię Literatura Północy. Będą to powieści Helene Uri oraz Vigdis Hjorth. Obie reprezentują średnie pokolenie w norweskiej literaturze, ale będą też przedstawicielki starszej generacji, cieszące się światową sławą, takie jak Herbjorg Wassmo czy Anne Karin Elstad oraz najmłodsze, których co roku przybywa. Chcemy przedstawiać literaturę duńską, ostatnio w Polsce jakby mniej znaną, a zdecydowanie zasługującą na upowszechnienie. Literaturę szwedzką – zarówno tę powstającą w Szwecji, jak i pisaną w Finlandii przez autorów szwedzkojęzycznych – od dziesięcioleci obfitującą w znakomite dzieła, a współcześnie polskiemu czytelnikowi prezentowane raczej wybiórczo, żeby nie powiedzieć – przypadkowo. Wiele ciekawego dzieje się też w literaturze fińskiej, a także islandzkiej. Tam też wydaje się nie tylko kryminały.

I to wszystko będziemy naszym czytelnikom prezentować.

*Anna Marciniakówna,
redaktor serii*

LITERATURA PÓŁNOCY

W serii
LITERATURA PÓŁNOCY
ukazą się następujące książki

WBREW REGUŁOM
VIGDIS HJORTH

„Wbrew regułom” opisuje związek Trulsa i Louise, sprzedawcy samochodów i profesor literatury.

Historia dwóch osób uwięzionych w swoich kręgach kulturowych, opowiedziana z inteligencją i humorem.

„Mogę tylko chwalić... Autorka analizuje różnicę klas, miłość, intymność, sztukę i życie, posługując się czystym, prostym i piekielnie precyzyjnym językiem... Cudownie się czyta.”

– Cathrine Krøger, Dagbladet

„Pisarka pozwala językowi zabłysnąć w tej świetnej, pełnej pasji powieści o mentalnych różnicach między klasami... Błyskotliwa i ostra, a chwilami nawet zabawna.”

– Stein Roll, Adresseavisen

VIGDIS HJORTH (ur. 1959) pisze w sposób wciągający i dowcipny, a zarazem wyzywający i ostry. W swoich powieściach skupia się przede wszystkim na kobietach i bada, w jaki sposób mogą żyć i się realizować, nie

pozwalając uwięzić się w rolach i konwencjach. Od chwili swojego debiutu w 1983 roku Hjorth wydała ponad dwadzieścia książek, również dla dzieci i młodzieży, a od 1990 roku pisze przede wszystkim powieści dla dorosłych, dzięki którym została uznana za jedną z najciekawszych współczesnych pisarek norweskich.

W CIENIU WIELKICH DRZEW

KRISTINE HENNIGSEN

Dwoje onieśmielonych ludzi w szpitalnej windzie. Czy ich drogi połączą się w jedną?

Karl Henrik odwiedza w szpitalu swoją umierającą matkę, z którą przez całe życie mieszkał pod jednym dachem. Mimo to wcale nie przepełnia go wyłącznie smutek...

Regine jest florystką, która niedawno straciła pracę i właśnie wraca z pierwszego badania USG. Ojciec dziecka naciska na aborcję, ale ona sama nie podjęła jeszcze decyzji.

Karl Henrik zarabia na życie jako dialogista popularnego serialu Skjærgårdsliv, ale brak mu okazji, by wykorzystać swoje celne repliki w prawdziwym życiu. Regine wychowała się w licznej, rozgadanej rodzinie intelektualistów. Ona sama jest cicha i najlepiej rozumie się ze swoim niesłyszającym bratem.

„W cieniu wielkich drzew” to ciepła opowieść o dwojgu nieśmiałych ludziach, jednej kwiaciarni i wielu pięknych słowach.

KRISTINE STORLI HENNINGSEN zadebiutowała w 2012 powieścią „W cieniu wielkich drzew”. Autorka urodziła się w Oslo w 1974 roku, pracuje jako dziennikarka, prowadzi

również bloga. Mieszka w Drammen z mężem i trójką dzieci.

GDYBY TYLKO

VIGDIS HJORTH

W 2006 czytelnicy Dagbladet uznali tę książkę za jedną z najważniejszych norweskich powieści ostatniego dwudziestopięciolecia.

Ida jest dramatopisarką - młodą i piękną, odnosi sukcesy, prowadzi uregulowane życie, ma męża i dwoje małych dzieci. Czy jest szczęśliwa? Na pozór tak, ale gdzieś tam, w głębi tli się niepokój, że to nie wszystko, że życie może i powinno dawać więcej.

I przypadkiem poznaje Arnolda Buska. To wykładowca uniwersytecki, tłumacz Brechta. Przeciętny mężczyzna w średnim wieku - kolejna żona, dziecko, poza tym chętnie uwodzi studentki. W Idzie budzi namiętność, która wywróci do góry nogami całe jej życie. Sam Arnold początkowo się broni ale ulegnie gdy namiętność Idy nabierze cech wręcz opętania.

Potem opętani będą już oboje. Każde szuka prawdziwego uczucia, oddania, bliskości, ale jedyne, co sobie nawzajem dają to fizyczność, traktowana z jakąś straszliwą zachłannością: więcej, więcej! Nic nie przynosi ukojenia, wszystko wzmaga niedosyt, lęk przed stratą, poczucie zagrożenia. Oboje wprawdzie zrywają dotychczasowe związki, ale mieszkają w dwóch oddalonych od siebie miastach. I wciąż nienasycenie. Stale powtarzane „kocham cię” przestaje znaczyć cokolwiek.

Co jeszcze zrobić, by pogłębić doznania? Powoli zaczynają przekraczać najbardziej intymne granice: alkohol,

seanse grupowe, kluby swingersów, a potem kac moralny – dwoje zabłąkanych ludzi, spragnionych odrobiny ciepła, cząstki elementarne rzucone w pustą przestrzeń.

A przy tym pięknie napisane!

BEZ OPAMIĘTANIA

LENA ANDERSSON

„Bez opamiętania” to opowieść o tym, jak dalece jesteśmy gotowi okłamywać samych siebie, by tylko zaspokoić pragnienie bycia kochanym, lecz także o tym, jak trudno jest nie wykorzystywać słabości ludzi i jakie brutalne bywają rezultaty tego wszystkiego. Lena Andersson przedstawia w swojej powieści, jak to jest, kiedy przeżywa się gwałtowną pasję, nie mogąc się w pełni w niej pogрузić. Jest to szczegółowe studium władzy i opętania. Opowieść na zmiany spokojna i bardzo bolesna.

LENA ANDERSSON, rocznik 1970, z wykształcenia filozofka, jest pisarką, dziennikarką, eseistką i krytykiem literackim. Pracuje jako wolny strzelec w szwedzkiej prasie i radio, zajmuje się tam najogólniej biorąc tematyką równości, np. kobiet i mężczyzn, ale też m.in. prawami imigrantów. Dotychczas wydała pięć książek, tym dla dzieci i o emigrantach w Szwecji („A więc jesteś Szwedem?”, 2004).



HELENE URI

Norweżka, rocznik 1964, jest pisarką i... profesorem językoznawstwa. Ma w dorobku podręczniki akademickie, książki dla dzieci i młodzieży oraz powieści dla dorosłych i w tym, jak piszą krytycy, jest najlepsza. Ostatnio zrezygnowała z pracy naukowej i zajmuje się wyłącznie literaturą.

Jej książki cieszą się wielką popularnością, zostały przetłumaczone na 16 języków i zajmują wysokie pozycje na listach bestsellerów - nawet po 50 tygodni!

Filmowe prawa do powieści „Wiedźmy” zostały sprzedane w Norwegii.

WIEDŹMY

„Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet nie są naszym celem, niech się nimi zajmują inni. Policja. My weźmiemy się za tych, którzy kobietami gardzą”.

Wydane w 2012 roku w Norwegii „Wiedźmy” to opowieść co najmniej zaskakująca.

Cztery panie mniej więcej w tym samym wieku – trochę przed czterdziestką, trochę po – spotykają się niespodziewanie na wieczorowym kursie łaciny. Bratnie dusze o podobnych doświadczeniach i podobnym odbiorze świata.

Wszystkie mają od dawna przekonanie, że trzeba coś zrobić i robią to. Każda zgłasza swojego kandydata, który jej się najbardziej dał we znaki i sięgają po najskuteczniejszą broń – ich celem jest przede wszystkim ośmieszenie, a czasem, kiedy trzeba, także postraszanie.

Nadszedł czas zemsty...